

**Raymond E. Feist**

# **NIEBAJKA**

*Tłumaczyła Kinga Dobrowolska*

*Tytuł oryginału Faerie Tale*

Jednym z prawdziwie rzadkich skarbów w życiu jest przyjaźń. Pod tym względem uważam się za prawdziwego szczęśliwca. Przyjaciele są mi oddani z całego serca, a nawet i bardziej, co wyraża się na zbyt wiele sposobów, abym mógł je tu wszystkie wymienić - lecz nade wszystko w miłości, akceptacji i wsparciu. Nigdy nie zdołam im dorównać pod względem wielkoduszności.

Niemniej, jako skromny dowód swego uznania, dedykuję tę książkę:

WSZYSTKIM PIERWOTNYM UCZESTNIKOM WIECZORÓW  
CZWARTKOWYCH:

Steve'owi A., Jonowi, Anicie, Alanowi, Timowi, Richowi, Ethanowi, Jeffowi, Lorri, Steve'owi B. i Bobowi (a także April - albowiem nie pamiętam już czasów, kiedy jej tam nie było), z czasów, gdy dom April i Steve'a był jeszcze mieszkaniem Steve'a i Jona, a my pociliśmy się pospołu nad egzaminami końcowymi, wynikami doświadczeń, egzaminami ustnymi, obroną, poszukiwaniem pracy, wzlotami i upadkami, nad cierpieniem, miłością i zżywaniem się... naszej wspólnoty.

## PODZIĘKOWANIA

*Proszę, by głębokie wyrazy szacunku za pomoc przy realizacji tego raczej niezwykłego pomysłu przyjęły następujące osoby:*

*April i Steve Abrams, Richard Freese, Ethan Munson, Richard Spahl, Adrian Zackheim, Jim Moser, Lou Aronica, Pat LoBrutto, Janny Wurts.*

Raymond E. Feist

kwiecień 1987

San Diego, Kalifornia

## PROLOG

### MAJ

Barney Doyle siedział w swym zagraconym warsztacie i po raz czwarty w ciągu ostatnich siedmiu lat usiłował naprawić leciwą kosiarkę elektryczną Olafa Andersena. Zdjął już nakrętkę cylindra i rozważał właśnie, czy wypada mu odprawić nad nią ostatnie obrzędy - spodziewał się, że dobrzy ojcowie z kościoła Świętej Katarzyny nie pochwaliliby tego pomysłu. Nakrętka pękła - to dlatego Olaf nie mógł włączyć silnika - a ścianki cylindra były już cienkie niemal jak papier od zużycia i poprzednich renowacji. Najlepsze, co mógłby zrobić Andersen, to zainwestować w jedną z tych ścinarek do trawy Toro, z tymi ich fikuśnymi dzwonkami i gwizdkami, a starą maszynę rzucić w kąt, by dordzewiała do końca. Barney wiedział jednak, że Olaf będzie strasznie zrzędził, gdyby przyszło do kupna nowej, ale to już problem Olafa. Barney wiedział także, że wydobyć choćby centa od Olafa za taką diagnozę graniczy niemal z cudem. Najlepiej dla wszystkich zainteresowanych byłoby, gdyby Barney potrafił wycygnąć jeszcze jeden sezon pracy od zdychającej maszyny. Przyłożył do ostrzy osełkę i zamyślił się głęboko. Może trzeba spróbować jeszcze raz. Być może uda się, jeśli założy za duży pierścień - może też zespawać tę małą szczelinę, a wtedy uda się odzyskać prawie normalne sprężenie. No, ale jeśli nie wyjdzie, wtedy Barney straci czas i pieniądze włożone w części. Nie, zdecydował w końcu, lepiej powiedzieć Andersenowi, żeby szykował pogrzeb.

Gorący, wilgotny podmuch wiatru załomotał otwartą okiennicą. Barney w roztargnieniu odsunął koszulę ze spoconej piersi. Meggie McCorly, pomyślał zniechęca, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech. Była dlań uosobieniem piękna w tej swojej prostej, bawełnianej sukience, opinającej pełne, rozkołysane biodra i obfite piersi, kiedy codziennie wracała ze szkoły do domu. Na chwilę załął go przyływ wspomnień tak żywych, że w starych łądzwiach ozwało się echo dawnego pożądania. Barney wyjął chusteczkę i otarł czoło. Rozkoszował się zapachem wiosny, gorącymi, wilgotnymi aromatami nocy, tak podobnymi do tych, które unosiły się nad sadami i polami hrabstwa Wexford. Barney myślał o tamtej nocy, kiedy on i Maggie urwali się z potańcówki, z zatłoczonej i dusznej sali, wymknęli się nie zauważeni, gdy całe miasto świętowało na weselu Paddy'ego O'Shea i Mary McMannah. Gorące wspomnienia sprawiły, że Barney musiał jeszcze raz przyłożyć do czoła chusteczkę i poczuł, że coś tam drgnęło w okolicach pachwiny. Śmiejąc się pod nosem,

pomyślał, że w jego starym ciele zostało jeszcze trochę życia.

Na długą chwilę zatracił się we wspomnieniach o na wpół zapomnianych namiętnościach, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas przeciąga osełką po ostrzu Andersenowej kosiarki, tak iż zdążył już doprowadzić krawędź do srebrzystego połysku. Opuścił osełkę, zachodząc w głowę, co też w niego nagle wstąpiło. Nie myślał o Meggie McCorly, odkąd wyemigrował do Ameryki, jeszcze w trzydziestym ósmym. Ostatni raz słyszał o niej, kiedy wyszła za mąż za jednego z chłopaków Cammacków z Enniscorthy. Nie mógł sobie przypomnieć za którego, a to nappełniło go smutkiem.

Przez małe okienko służącej za warsztat szopy dostrzegł znieca jakiegoś ledwie dostrzegalne, szybkie poruszenie. Odłożył osełkę i podszedł do okna, by wyrzeć w słabnące światło wieczoru. Nie dostrzegłszy jednak nic, co mogło przyciągnąć poprzednio jego uwagę, powrócił w głąb warsztatu. Gdy tylko okno znalazło się poza jego polem widzenia, znów dostrzegł coś kątem oka. Otworzył drzwi szopy i postąpił o krok. Potem stanął w miejscu.

Kiedy powoli cofał się do wnętrza szopy, ogarnęła go gwałtowna fala dawnych wyobrażeń, na wpół pamiętanych baśni i zasłyszanych w dzieciństwie pieśni. Poczł jednocześnie i radość, i przerażenie tak piękne, że wywoływało łzy w oczach, przełamując wszelkie bariery racjonalności. Powierzone jego pieczy narzędzia cywilizacji - zepsute tostery, kosiarka, robot kuchenny z przepalonym silnikiem, a nawet jego małe telewizorek do oglądania meczy baseballowych - wszystkie leży pokonane przez tradycję tak starożytną, że poprzedzała nawet pojawienie się ludzkich społeczności, a która teraz objawiła się znieca przed drzwiami do jego szopy. Nie odrywając wzroku od tego, co dostrzegł przed progiem, wciąż cofał się wolno, po omacku, dopóki plecami nie natrafił na stół z narzędziami. Sięgając za siebie, ściągnął z zawieszanej na ścianie półki zakurzoną butelkę. Dwadzieścia dwa lata temu, kiedy ślubował abstynencję, umieścił na tej półce butelkę whisky Jamesona jako przypomnienie i wyzwanie. W ciągu tych dwudziestu dwóch lat nauczył się z czasem ignorować jej obecność, zamknął uszy na jej syreni śpiew, dopóki nie zespoliła się całkowicie z wnętrzem małej szopy, w której zwykł pracować.

Powoli wyciągnął korek, rozrywając szeleszczący, zetlały papier banderolki akcyzy. Nie odwracając głowy, nie odrywając wzroku od drzwi, podniósł butelkę do ust i zaczął pić.

## WZGÓRZE KRÓLA ELFÓW

### CZERWIEC

1

- Wy dwaj, przestańcie!

Gloria Hastings stała, wspierając się rękoma pod boki, i patrzyła w ich stronę. Sean i Patrick przestali więc wyklócać się o to, kto ma większe prawo do baseballowego kija. Dwie pary wielkich niebieskich oczu już wcześniej przyjrzały się matce i, jak jedna, doszły do wniosku, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zgodę osiągnęli na zwykły sobie sposób - dzięki szczególnemu porozumieniu bez słów. Sean zrzekł się kija na rzecz Patricka i obaj wymknęli się na zewnątrz.

- Nie odchodźcie za daleko! - zawołała za nimi Gloria.

Przysłuchując się przez chwilę, jak jej ośmiolatkowie zbiegają z hałasem po starych schodkach u wejścia, pograżyła się w myślach o niemal nadnaturalnej więzi, jaka łączyła obu chłopców. Przed ich narodzinami wszystkie te opowiadki o bliźniakach, ich empatii oraz podobieństwie wyglądu i upodobań zdawały się jej stekiem ludowych bajd, lecz teraz skłonna była przyznać, że istnieje między nimi coś niezwykłego, jakaś bliskość znacznie głębsza niż ta, która zwykle bywa między rodzeństwem.

Kończąc rozmyślenia, rozejrzała się po bałaganie, jaki zostawiła po sobie ekipa od przeprowadzek, i po raz kolejny zwątpiła w sensowność tego pomysłu. Wędrowała bez celu wśród pootwieranych skrzyń z dobytkiem, przygnębiona już na samą myśl o prostym przecież zadaniu posortowania setek drobiazgów, które przywieźli ze sobą z Kalifornii. Samo tylko zdecydowanie, gdzie każdy z nich powinien się znaleźć, zdało jej się iście syzyfową pracą.

Rozejrzała się po pokoju, jakby spodziewała się, że od czasu ostatnich jego oględzin coś zdążyło się w nim zmienić. Świeżo wypolerowane, pełne słoików deski podłogi - które na nowo będą wymagały polerowania, kiedy wyniesie się stąd wszystkie skrzynie i pudła - wskazywały na całkowicie jej obcy styl życia. Przyjrzała się wielkiemu kominkowi z ręcznie rzeźbioną fasadą, jakby był tworem z innej planety, tak jaskrawy kontrast stanowił z prymitywnymi, ceglasto-kamiennymi kominkami z czasów jej dzieciństwa na kalifornijskim ranczo. Schody w holu z balustradą z polerowanego klonu oraz rozsuwane drzwi wiodące do jadalni i pokoju dziennego stanowiły relikty innej epoki, przywodząc na myśl obraz Williama

Powella jako Clarence'a Daya albo Cliftona Webba w *Cheaper by the Dozen*. Ten dom aż się prosi - raczej się domaga, poprawiła się w myślach - o wysokie krochmalone kołnierzyki w erze dżinsów. Gloria z roztargnieniem odsunęła z twarzy zabłąkany kosmyk jasnych włosów, który próbował wymknąć się spod zawiązanej na głowie czerwonej chustki, i zwalczyła w sobie niemal nieprzemyślany atak tęsknoty za domem. Rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, od którego należało zacząć porządkowanie - na pierwszy rzut oka bezkresnego bałaganu - z rezygnacją uniosła ręce.

- Laureaci Oscara nie tym powinni się zajmować! Phil!

Kiedy nie doszła jej żadna odpowiedź, opuściła wielki pokój dzienny i wykrzyczała imię męża na wiodących na górę schodach. I znów żadnej odpowiedzi. Wąskim korytarzem przeszła do kuchni i pchnęła wahadłowe drzwi. Stary dom wyeksponował kuchnię na wschód, dzięki czemu otwierane na zawiasach okiennice nad zlewem i suszarką wpuszczały do środka poranne światło. W lipcu będzie tu rano gorąco, pomyślała, ale za to wieczorami będzie można posiedzieć w przyjemnym chłodzie, kiedy pootwiera się okna i drzwi wiodące na oszkloną werandkę z tyłu domu, żeby wpuścić wieczorny wietrzyk. Taką w każdym razie miała nadzieję. W południowej Kalifornii w dzień potrafiło być gorąco jak w piecu, ale był to suchy upał, wieczory zaś bywały niesłychanie piękne. Boże, pomyślała sobie w duchu, co ja bym dała za uczciwe patio i o połowę mniej wilgoci! Zwalczywszy nagły przypływ żalu z powodu przeprowadzki, odciągnęła lepiącą się do skóry bluzkę i wpuściła pod nią dla ochłody trochę powietrza, po czym jeszcze raz wrzasnęła imię męża.

W odpowiedzi usłyszała pod stołem jakiś chrobot. Przestraszona, odwróciła się gwałtownie i wypowiedziała ulubione przekleństwo: „A niech to wszyscy diabli!” Pod stołem w kuchni zobaczyła Wielkiego Pecha, rodzinnego czarnego labradora. Ze skruszoną miną leżał przy dziesięciofuntowej paczce psiej karmy, którą właśnie splądrował. Po podłodze potoczyły się chrupiące granulki.

- Wynocha! - zakomenderowała.

Wielki Pech znał reguły gry równie dobrze jak chłopcy, więc bez wahania wyskoczył spod stołu. Wpadł w poślizg, szukając drogi ucieczki, skołowany, bo nieoczekiwanie znalazł się na zupełnie obcym terenie. Przybył tu ledwie wczoraj wieczorem, nie miał więc czasu na opanowanie tutejszych wyjść awaryjnych. Zawrócił najpierw w jedną stronę, potem w drugą, machając z lekka nisko spuszczonego ogonem, aż wreszcie Gloria przytrzymała mu wahadłowe drzwi wiodące na korytarz. Pies wypadł przez nie jak strzała i popędził korytarzem w kierunku wyjścia z domu. Ona sama ruszyła za nim, otworzyła mu drzwi wyjściowe, a kiedy znalazł się na zewnątrz, krzyknęła:

- Idź poszukać chłopców!

Odwróciwszy się, wypatrzyła wyciągniętego wdzięcznie na schodach wielkiego czarnego kocura. Philip nazwał zwierzątko Hemingway, ale wszyscy wołali nań Ernie. Zaczynała powoli tracić nerwy, złapała więc kota i wystawiła za próg.

- Ty też wynocha! - warknęła, zatrząskując za nim drzwiami.

Ernie był okrzepłym w bojach weteranem tego rodzaju rodzinnych wybuchów, zatem przyjął to z taką godnością, jaką są w stanie osiągnąć tylko brytyjscy ambasadorzy, biskupi Kościoła episkopalnego i kocury. Rozejrzył się po ganku, wyszukał nasłonecznioną łatkę podłogi i tam ułożył się do drzemki.

Gloria natomiast wróciła do kuchni, nadal wołając męża. Ignorując chwilowo bałagan pozostawiony przez Wielkiego Pecha, opuściła kuchnię i przeszła się po kuchennej werandzie. Obrzuciła podejrziwym spojrzeniem wysłużoną pralkę i suszarkę. Już wcześniej doszła do wniosku, że nie obejdzie się bez wizyty w domu handlowym, ponieważ opanowało ją ponure przeświadczenie, że owe dwa urządzenia tylko czekają, by pożreć każdą sztukę odzienia, jaką w swojej naiwności mogłaby do nich włożyć. Miała nadzieję, że sprowadzenie nowych zajmie nie więcej niż kilka dni. Przystanęła na chwilę przed wyblakłą, wystrzępioną sofą, która zajmowała sporą część przestrzeni kuchennej werandy, i do swojej listy zakupów u Searsa dodała w duchu zestaw werandowych mebli.

Otworzyła zewnętrzne drzwi z siatki i zeszła po schodkach na podwórze za domem - rozległa połać nagiej ziemi, wyznaczana z jednej strony przez dom, rząd starych jabłoni po lewej, walący się garaż po prawej i równie zrujnowaną stodołę naprzeciwko - dobre pięćdziesiąt metrów od domu. W pobliżu stodoły wypatrzyła wreszcie męża, który rozmawiał właśnie z córką. Wciąż wyglądał jak profesor z Ivy League - pomyślała - z tymi wolno postępującymi zakolami, siwiejącymi włosami i intensywnym spojrzeniem brązowych oczu. Ale miał też uśmiech, od którego topniało w człowieku serce, dzięki któremu wyglądał czasem jak chłopiec. Gloria zauważyła, że jej pasierbica, Gabrielle, przechodzi właśnie jeden ze swych rzadkich, acz intensywnych ataków dąsów, rozważała więc przez chwilę, czy nie zawrócić i nie zostawić ich samych. Wiedziała, że Phil właśnie poinformował Gabbie, iż ta nie może mieć tego lata swojego konia.

Gabbie stała z ramionami splecionymi ciasno na piersi, ciężar ciała przerzuciła na lewą nogę - poza typową dla nastolatek, którą swego czasu Gloria i inne ponad dwudziestoletnie aktorki musiały naśladować, ryzykując wywichnięcie stawów. Przez krótką chwilę Gloria podziwiała urodę pasierbicy. Kiedy się pobrali, Phil był właśnie u szczytu kariery, a Gabbie pozostawała pod opieką babki ze strony matki i uczyła do jakiegś



prywatnej szkoły w Arizonie. Ojca i jego nową żonę widywała tylko na Boże Narodzenie, Wielkanoc i przez dwa tygodnie lata. Po śmierci babki zamieszkała z nimi. Gloria lubiła Gabbie, jednak nie było łatwo im się porozumieć, a teraz miała okazję obserwować, jak dziewczyna o zmiennych nastrojach przeistacza się w piękną kobietę. Nagle doznała ukłucia żalu oraz lekkiego poczucia winy, że ona i Gabbie być może już nigdy się ze sobą nie zżyją. Odłożyła na bok chwilowy niepokój i podeszła bliżej.

- Słuchaj, skarbie - mówił Phil - to potrwa jeszcze tydzień lub dwa, a potem zagroda zostanie naprawiona i będzie można pomyśleć o wypożyczeniu jakichś koni. Wtedy ty i chłopcy będziecie mogli sobie jeździć, kiedy tylko zechcecie.

Gabbie odgarnęła długie jasne włosy, przymrużyła brązowe oczy. Głorię uderzyło, jak bardzo dziewczyna przypomina swoją matkę, Corinne.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy przywieźć z domu Bumpera, ojcze. - Słowo „ojcze” wymawiała w ten charakterystyczny dla młodych dziewcząt sposób, mający podkreślić, że dawno straciły wszelką nadzieję, iż kiedykolwiek zostaną zrozumiane. - Pozwoliłeś chłopakom przywieźć tego niedorozwiniętego psa, sam też wziąłeś Erniego. Słuchaj, jeśli chodzi o pieniądze, to przecież zapłacę. Dlaczego musimy wypożyczać jakieś głupie konie od farmerów, kiedy w Kalifornii nie ma kto jeździć na Bumperze?

Gloria zdecydowała, że czas przejść dowodzenie - podchodząc bliżej, włączyła się do rozmowy.

- Przecież wiesz, że tu nie chodzi o pieniądze. Dzwonił Ned Barlow i powiedział, że w zeszłym tygodniu jeden z koni wpadł w panikę na pokładzie i że musieli w końcu go uspić, bo stanowił zagrożenie dla załogi i jeźdźców. Ned przez to o mało co nie stracił i drugiego konia. Towarzystwo ubezpieczeniowe kazało mu zamknąć interes, dopóki nie uporządkuje bałaganu. Do tego minął już pierwszy tydzień czerwca, a Ned twierdzi, że minie ze cztery lub pięć tygodni, zanim uda mu się znaleźć odpowiedni wóz i kierowcę, potem kolejny na samo przewiezienie konia, jeśli brać pod uwagę wszystkie konieczne postoje. Kiedy Bumper tu w końcu trafi, ty będziesz się już zbierać do wyjazdu na uniwersytet. Będziesz musiała wysłać go z powrotem, żeby był na miejscu, kiedy wrócisz do szkoły i będziesz chciała pojeździć. Czy mam mówić dalej? Posłuchaj, Gabbie, już Ned dopilnuje, żeby o niego zadbali i żeby ktoś na nim jeździł. Zobaczysz, że będzie czekał na ciebie w dobrej formie, kiedy tam wrócisz.

- Oooh! - jęknęła z irytacją Gabbie. - Nie wiem, dlaczego musieliście mnie wlec na tę farmę! Mogłam spędzić wakacje z Ducky Summers. Jej rodzice już się zgodzili.

- Przestań marudzić - rzucił ostro Phil, lecz po jego minie widać było, że żałuje swego

tonu.

Tak samo jak jej matka, Gabbie instynktownie wiedziała, jak mu dopiec, nawet się zbytnio przy tym nie wysilając. Różnica między nimi polegała na tym, że Gabbie korzystała z tej umiejętności rzadko, zaś Corinne - regularnie.

- Słuchaj, skarbie, przykro mi, ale nie lubię Ducky i tych jej modnych przyjaciół. To smarkacze, którzy dysponują zbyt wielką ilością pieniędzy i czasu, a nie mają na spółkę nawet uncji zdrowego rozsądku. A do tego mama i tato Ducky są teraz gdzieś w Europie. - Posłał żonie znaczące spojrzenie. - Wątpię, czy mają pojęcie, kto ostatnimi czasy sypia w ich domu.

- Słuchaj, wiem, że Ducky ma w głowie fiu bździum i co dwadzieścia minut nowego chłopaka, ale przecież potrafię o siebie zadbać.

- Wiem, że potrafisz, skarbie - odparł Phil - ale dopóki nie skończysz szkoły, musisz znosić ojcowskie prerogatywy. - Dotknął dłonią jej policzka. - I tak pewnie zaraz ukradnie mi cię jakiś facet, Gabbie. Nigdy nie mieliśmy dla siebie zbyt wiele czasu. Pomyślałem, że moglibyśmy urządzić sobie takie rodzinne lato.

Gabbie westchnęła z rezygnacją i pozwoliła ojcu na lekki uścisk, lecz widać było, że nie jest zadowolona. Gloria doszła do wniosku, że czas zmienić temat.

- Ludzie, przydałaby mi się pomoc. Dobre wróżki od przeprowadzek ogłosiły strajk, więc nasze pudła nie rozładują się same.

Phil posłał żonie uśmiech, Gabbie zaś wydała z siebie cierpiętniczy jęk i powlokła się ciężko w stronę domu. Kiedy weszła po stopniach werandy, Phil odezwał się:

- Zapewne jej nie doceniam, ale wciąż prześladowały mnie wizje, że będę musiał lecieć z powrotem, żeby ją wykupić z aresztu za posiadanie narkotyków.

- Albo żeby załatwić jej pierwszą aborcję? - podsunęła Gloria.

- To pewnie też. Chciałem powiedzieć: jest już na tyle dorosła.

- Już od kilku lat, kolego - odrzekła Gloria, wzruszając ramionami. - Ja w jej wieku nie byłam, ale mnie wychowywały w bojaźni Bożej zakonnice od świętej Genowefy.

- No cóż, mam nadzieję, że wykaże w tych sprawach trochę rozsądku. Spodziewam się, że już raczej za późno na poważne rozmowy ojca z córką.

- Jeśli sędzić po tym, jak wypełnia sobą dzinsy, to o jakieś sześć lub siedem lat za późno. A poza tym, to nie twój interes, chyba że sama zapyta o radę.

Phil roześmiał się, lecz nie całkiem wesoło.

- Tak, pewnie tak.

- Wyraży współczucia, stary. Ciężko stać się od razu rodzicem nastolatka. Niemniej,

w ciągu ostatnich dwóch lat spisywałaś się wcale przyzwoicie.

- Tobie też nie jest łatwo - odbił piłeczkę.

Posłała mu wesoły uśmiech.

- A pewnie. Nie jestem jej matką, a poza tym sama jeszcze pamiętam, jak to jest mieć naście lat. Słuchaj, jeśli ktoś zaraz mi nie pomoże przy tych pudłach, Gabbie nie będzie tu jedyną osobą, która ciska się na wszystkie strony. Kiedy odliczyć wojownicze bliźniaki, klauna w przebraniu psa i przemądrzałego dachowca, zostajemy ja, ty i Panna Amazonka z Encino.

Phil zachmurzył się nieznacznie. Z przebłyskiem troski w ciemnych oczach zapytał:

- Czyżbyś zaczynała żałować, że się przeprowadziliśmy?

Gloria zawahała się, zastanawiając się w duchu, czy powinna podzielić się z Philem swymi wątpliwościami. Jednak zaraz doszła do wniosku, że tęsknota za starym domem minie, kiedy się zadomowią i nawiążą nowe znajomości, więc odpowiedziała:

- Nie, nie bardzo. To tylko przez to rozpakowywanie. - I zaraz zmieniła temat: - Jakąś godzinę temu dzwonił Tommy.

- I co tam nowego u superagenta? Kolejna propozycja do filmu? - spytał żartobliwie.

- Nie. - Kuksnęła go w żebra. Tommy Raymond był jej agentem, kiedy pracowała w teatrze off-Broadway, a potem w Hollywood. Gdy wyszła za Phila, rzuciła aktorstwo, ale przez wszystkie te lata Tommy pozostawał z nią w kontakcie, a ona zaliczała go do swych nielicznych bliskich przyjaciół z branży. - Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że Janet White wystawia jesienią sztukę na Broadwayu. Wznawiają *Kres długiej drogi*.

- Znów cię świerzbi?

Uśmiechnęła się.

- Już nie, odkąd sztuka, w której grałam ostatnio, zrobiła klapę w Hartford. - Phil wybuchnął śmiechem. Gloria nie zrobiła wielkiej kariery ani w Nowym Jorku, ani w Hollywood, gdzie się poznali. Phil jednak zaczął nazywać ją „laureatką Oscara”, co wkrótce stało się ich rodzinnym żartem. Nie żałowała dokonanego wyboru, nie była zbyt żądna sławy, ale od czasu do czasu tęskniła za teatrem, za wyzwaniem, jakie stawiała przed nią praca, i za koleżeńską atmosferą za kulisami. - Tak czy owak, mamy zaproszenie na premierę.

- Smoking z wypożyczalni i cała reszta, jak przypuszczam.

Parsknęła śmiechem.

- Ja też tak przypuszczam. Zakładając, że Janet przeżyje najazd z prowincji. - Ciągnąc męża za rękaw, dodała: - Chodź, przystojniaku, pomóż mi. Kiedy już się uporamy z bałaganem, możesz skoczyć po obiad do McDonalda albo Pułkownika, a gdy dzieci pójdą do

łóżek, wyszoruję ci plecy i pokażę kilka sztuczek, których nie nauczyłam się u dobrych siostrzyczek od świętej Genowefy.

Phil pocałował ją w policzek i mruknął:

- Tak jak się spodziewałem. Poskrobiesz lekko z wierzchu grzeczną katoliczką irlandzką pensjonarkę, a znajdziesz pod spodem rozpustną staruchę.

- Coś się nie podoba?

- Ależ skąd - odparł, całując ją w szyję. Przytuliwszy go, Gloria wetknęła mu rękę pod ramię i razem pomaszzerowali w stronę starego budynku, który odtąd miał być ich domem.

Sean i Patrick maszerowali wzdłuż niewielkiego strumyka, lawirując wśród skał w ślad za drobnymi strużkami wody. Koryto pogłębiło się znacznie, a Sean, jako ten ostrożniejszy, przestrzegł:

- Lepiej wejdźmy na górę. - Wskazał ręką na wznoszący się po prawej brzeg.

W tej właśnie chwili korytem strumienia - z wywieszonym czerwonym ozorem i ogonem majtającym dziko na powitanie - przybiegł pędem ku nim Wielki Pech. Okrążył chłopców, potem zaczął obwąchiwać ziemię.

- Czemu? - zapytał Patrick, który miał w głębokiej pogardzie wszystko, co choć trochę przypominało ostrożność.

- Bo moglibyśmy tam utknąć - odparł Sean, wskazując ręką miejsce, gdzie koryto opadało gwałtownie w niewielką kotlinkę. Głos chłopca brzmiał cienko i niepewnie na tle wesołego bulgotania wody. - Poza tym, mama kazała nam nie odchodzić daleko.

- Nie bądź głupi, ona zawsze mówi takie rzeczy - zabrzmiała odpowiedź Patricka, a on sam szarpnął za ucho Wielkiego Pecha i ruszył z biegiem strumienia. U paska zwisała mu na rzemyku rękawica łapacza, a czapka Angelsów tkwiła zawadiacko na głowie. Na ramieniu niósł kij Louisville Slugger w taki sposób, w jaki żołnierze zwykle dźwigają karabin. Sean zawahał się chwilę, potem ruszył za bratem, starając się utrzymać na głowie sfatygowaną czapkę Padresów. Może i byli bliźniakami, ale Seanowi jakoś brakowało tej naturalnej pewności siebie, jaką wykazywał Patrick, a wrodzona nieśmiałość pozbawiała go także gracji, sprawiając, że częściej ślizgał się po kamieniach i żwirze.

Sean potknął się i wylądował twardo na tyłku. Pozbierał się na nogi, a całą złość wywołaną upadkiem skierował przeciwko bratu. Otrzeptał się z kurzu i zaczął ostrożnie pokonywać stromy spadek koryta. Na poły zlął, na poły ześliznął się po pochyłości, przez cały czas mocno dzierżąc w lewej ręce rękawicę i piłkę baseballową. Kiedy dotarł na dno kotlinki, po Patricku nie było już śladu. Strumyk wykonywał w tym miejscu ostry zakręt, ginąc z oczu po prawej stronie.

- Patrick? - wrzasnął Sean.

- Tutaj - dotarła do niego odpowiedź. Sean pospiesznie ruszył w tę stronę, minął zakręt i stanął tuż obok brata.

W takich właśnie chwilach chłopcy potrafili się porozumiewać bez słów. Bezgłośnie doszli do zgodnego wniosku:

„Strasznie tutaj”.

Przed nimi przycupnął stary kamienny mostek, który rozpinał się nad strumieniem, tak by wydeptana tam ścieżka mogła ciągnąć bez przeszkód swą wędrówkę przez las. Nawet kamienie, z jakich go wzniesiono, wydawały się jakoś sfatygowane i wymęczone, jakby ze wszystkich sił opierały się takiemu ułożeniu i ugięły się dopiero przed brutalną siłą. Każdy kamień porastał dziwny czarnozielony mech - dowód na obecność zła tak zgubnego, że swym trującym wyziewem zatruwało znajdujące się dookoła kamienie. Po obu brzegach zarośnięte krzewami aż do samej linii wody wejście pod most ziało ku nim jak czarna, głęboka czeluść. W ciemnościach pod łukiem mostu nie było widać nic z wyjątkiem mniejszego kręgu światła po drugiej stronie. Wyglądało to tak, jakby światło zatrzymywało się u granic mostu i wolno mu było świecić dopiero, kiedy minęło te granice.

Chłopcy wiedzieli, że w tych ciemnościach znajduje się czyjeś leże. W ponurym mroku pod mostem coś się czało. Coś niedobrego.

Wielki Pech spał się nagle i zaczął warczeć, jeżąc sierść na grzbiecie. Patrick złapał go za obrozę w chwili, gdy miał rzucić się pod most.

- Nie! - krzyknął, kiedy pies pociągnął go za sobą. Wielki Pech natychmiast stanął, choć skamlał, żeby go puścić.

- Lepiej wracajmy - rzucił Sean. - Niedługo będzie obiad.

- Tak, obiad - zgodził się Patrick, który przekonał się, że trudno mu oderwać wzrok od czarnej czeluści pod mostem. Wycofywali się krok za krokiem. Wielki Pech z niechęcią usłuchał Patrickowego rozkazu i szedł razem z nimi, najpierw skamlał z podkulonym ogonem, potem szczekając.

- Hej! - Zza pleców dobiegł ich czyjś krzyk. Chłopcy aż podskoczyli z przestachu, tracąc na chwilę dech. Patrick przywarł mocniej do obroży Pecha, a labrador zawarczał i okręcił się, by bronić chłopców, ale zarazem zbił Patricka z nóg.

Patrick poleciał przed siebie, a Sean rzucił się psu na kark, żeby powstrzymać atak na nieznajomego, który pojawił się za ich plecami.

Mężczyzna wyciągnął ku nim obie ręce na znak, że nie ma żadnych złych zamiarów. Wielki Pech wrywał się ze wszystkich sił.

- Przestań! - krzyknął Sean. Pies cofnął się, wciąż warcząc na obcego.

Bliźniacy zmierzli nieznajomego wzrokiem. Był młody, choć oni nie określiliby go w ten sposób, gdyż dla ośmiolatka każdy powyżej osiemnastki to już dorosły.

Mężczyzna z kolei przyglądał się bliźniakom. Obaj mieli kędzierzawe, brązowe włosy wystające spod baseballowych czapeczek, głęboko osadzone, wielkie niebieskie oczy i okrągłe buzie. Gdyby byli dziewczynkami, uznano by ich za ładnych. Kiedy będą starsi,

zostaną pewnie uznani za przystojnych. Obcy uśmiechnął się i rzucił:

- Przykro mi, że przestraszyłem was i waszego psa. Do diabła, to moja wina. Nie powinienem był krzyknąć. Powinienem przewidzieć, że pies będzie nerwowy. - Mówił tak jakoś miękko, melodyjnie. Jego mowa brzmiała inaczej niż ta, do jakiej przywykli bliźniacy.

Nie widząc żadnego bezpośredniego zagrożenia dla chłopców, Wielki Pech przestał warczeć i wstrzymał się na razie z opiniami o obcym. Bliźniacy wymienili spojrzenia.

- Słuchajcie, chłopaki, przepraszam, że was przestraszyłem. W porządku?

Obaj jednocześnie kiwnęli głowami. Patrick zagadnął:

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że Wielki Pech będzie nerwowy?

Mężczyzna roześmiał się, a chłopcy od razu poczuli się pewniej.

- Wielki Pech, co?

Słyszając swe imię, pies ostrożnie machnął ogonem. Mężczyzna powoli wyciągnął przed siebie rękę i pozwolił labradorowi ją obwąchać, potem poklepał go po łbie. Po chwili machanie ogonem stało się bardziej wyraziste.

- Będziemy kumplami, co, stary? - mówił nieznajomy. Pochylił się do przodu, wsparł rękę o kolana i zapytał: - A kim wy jesteście, chłopaki? Nie wiedziałem, że tu mieszkają jacyś wielkoligowcy.

Chłopcy uśmiechnęli się szeroko, słysząc aluzję do swoich czapek i sprzętu.

- Dopiero co przeprowadziliśmy się tutaj z Kalifornii. Mieszkamy na farmie.

- Wasz ojciec to Philip Hastings? - Bracia przytaknęli w milczeniu. - Słyszałem, że ma się wprowadzić na Farmę Starego Kesslera, ale nie wiedziałem, że już tam jest. No, ja chyba też powinienem się przedstawić. Nazywam się Jack Cole. - Wyciągnął do nich rękę, ale nie tak, jak to zwykle robią dorośli, kiedy chcą się ponabijać z dzieci, a normalnie, jak do nowo poznawanych ludzi. Chłopcy z kolei podali mu swoje imiona, wymienili uścisk dłoni i w milczeniu orzekli, że Jack Cole, choć stary, jest znośny.

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że Wielki Pech będzie nerwowy? - powtórzył Patrick.

- W tej części lasu od miesiąca grasuje wielki samiec szopa. Bardzo prawdopodobne, że to jego właśnie wywęszył wasz pies tam pod mostem. Jeśli tak, to dobrze się stało, że go nie spuściliście. Ten szop rozszarpał już większość kotów i połowę psów w okolicy.

Chłopcy popatrzyli na mężczyznę bez przekonania. Jack Cole roześmiał się.

- Słuchajcie, daję wam słowo. To nie żaden mały zwierzaczek z kreskówki. Ten szop jest prawie tak wielki jak wasz pies, a do tego jeszcze stary, cwany i wredny. A to jego teren, jasne?

Chłopcy wymienili spojrzenia i kiwnęli głowami. Jack spojrział w górę strumienia.

- Zresztą, to i tak nie najlepsze miejsce do zabawy. Na wzgórzach w pobliżu jeziora zdarzają się nagle ulewy, a kiedy trafia się jakaś szczególnie obfita, w strumyku błyskawicznie wzbiera woda. Rozumiecie, mogłaby was tu zaskoczyć. Na przyszłość trzymałbym się z dala od tego miejsca, wiecie? - Przytaknęli w milczeniu. - Chodźcie, odprowadzę was do domu. Pewnie zbliża się pora obiadu. Poza tym, chciałbym poznać waszego tatę.

Chłopcy pociągnęli za obrozę Wielkiego Pecha i zaczęli wspinać się w górę koryta. Kiedy mijali zakręt, Sean obejrzał się w stronę mostu i przez chwilę miał wrażenie, że ktoś... albo coś... obserwuje go z głębokiego mroku pod przęsłem.



Gloria przyjrzała się groteskowym rzeźbom wyciętym w poprzecznej belce na daszku werandy i, skonsternowana, pokręciła głową. Obrzuciła wzrokiem pokraczne figuryнки, które przykucnęły pod okapem dachu, i mruknęła do siebie:

- O tym właśnie marzy każda dziewczyna: żeby zamieszkać w Notre Dame.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła ten dom, podała w wątpliwość zdrowie psychiczne męża, i to nie do końca żartem. Budynek miał wiele dostrzeżonych przez Phila zalet: solidną konstrukcję z przełomu wieków, deski z najsolidniejszego drewna, a przy każdym zawiasie ozdobne okucia, wzmocnione dla pewności gwoździami. Wykonano go z materiałów, o jakich współczesny budowniczy może tylko pomarzyć: z jesionu, dębu i świerku, z wiekiem stwardniałych na kamień, z marmuru i łupku. Podłogi były z tekowego drewna, a cała instalacja z miedzi. Lecz do Phila nie dotarło jakoś, że stanowi on także żywy obraz braku wdzięku, świadectwo upodobań ojca Hermana Kesslera, który wyraźnie pozbawiony był gustu. Pierwszy Kessler postawił architekuralny galimatias. Rozległy balkon, porwany z jakiejś plantacji sprzed wojny secesyjnej i przewieziony na północ na farmę tego pana, sterczał z lewej strony domu pod ślepym spojrzeniem gotyckich okien. Meble z czasów regencji ścierały się z kolonialnymi, a na ścianie pokoju, który miał być gabinetem Phila, wisiała wypchana tygrysia głowa, spoglądając żałośnie na najbrzydszy perski dywan, jaki Glorii zdarzyło się oglądać. Biorąc to wszystko pod uwagę, doszła do wniosku, że doprowadzenie do ładu domu staruszka Kesslera potrwa co najmniej rok.

Weszła z powrotem do domu i ruszyła szybko w stronę kuchennego wyjścia, spodziewając się, że będzie musiała wołać chłopców dobre dziesięć minut, zanim raczą się zjawić. Ale w chwili kiedy miała otworzyć siatkowe drzwi werandy, późnopołudniowe powietrze przeszył krzyk Patricka:

- Mamooo!

Pchnęła drzwi i z półśmiechem przyglądała się idącym od strony lasu bliźniakom. Dookoła chłopców skakał Wielki Pech, a nieco z tyłu szedł nieznajomy młody mężczyzna. Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami, a na nogach dość solidne buty. Kiedy wszyscy trzej zbliżyli się na odległość krzyku, Patrick wrzasnął:

- Mamo, to jest Jack! Co na obiad?

Gloria zerknęła na zegarek i zorientowała się, że dochodzi piąta.

- Hamburgery albo kureczak, co tam wasz ojciec zdoła przywieźć z miasteczka. Witaj, Jack.

- Dzień dobry, pani Hastings - odparł młody człowiek z szerokim uśmiechem i zdecydowanie południowym zaśpiewem w głosie.

- W jaki sposób pańskie ścieżki skrzyżowały się z tymi oto Jackiem i Plackiem?

- Zauważyłem, że chłopcy wędrują wzdłuż koryta strumienia. A wiosenne powodzie potrafią pojawić się niepostrzeżenie, jeśli ktoś nie zna wcześniejszych ich oznak. - Widząc, że oczy Glorii zwężają się niebezpiecznie, szybko dodał: - Ale nie ma się czym martwić, pani Hastings. Od paru tygodni na wzgórzach nie padało, więc nie ma szans na błyskawiczny przybór wód. Mimo wszystko jednak to nie najlepsze miejsce do zabaw. Pomyślałem sobie, że dobrze będzie im o tym powiedzieć. - Gloria utkwiała pełen dezaprobaty wzrok w synach, którzy natychmiast doszli do wniosku, że czas najwyższy zniknąć w głębi domu, co zaraz uczynili z łomotem odzianych w trampki stóp na werandzie, przerwany trzaśnięciem siatkowych drzwi.

Gloria wzniosła oczy ku niebu, a następnie spojrzała na Jacka.

- Dziękuję, panie...

- Cole. Jack Cole. Nie ma za co, proszę pani. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, że chodziłem po pani lesie?

- Po moim lesie? - powtórzyła Gloria.

- To znaczy: waszym, całej rodziny. Wasza posiadłość ciągnie się jeszcze pół mili za mostkiem na strumieniu.

- Pół mili. Mamy posiadłość, która kończy się pół mili od domu?

- Nawet dalej. Mostek jest o prawie ćwierć mili stąd, proszę pani.

- Mam na imię Gloria.

Przez moment sprawiał wrażenie nieco zażenowanego, potem odezwał się:

- Proszę wybaczyć moje zakłopotanie, ale nie spotkałem w życiu zbyt wielu aktorek.

Gloria wybuchnęła śmiechem.

- Mój Boże! Kim pan jest? Czyżby moim fanem, tu w tej głuszy, i to po tylu latach?

- No cóż, nigdy nie widziałem pani na scenie, ale czytałem o pani mężu, a tam wspomniano też o pani karierze.

- Ulotna sławo! - westchnęła Gloria z udanym smutkiem. - Tak czy owak, sam fakt, że wiedział pan o mojej skromnej karierze, wymaga, abyśmy się czegoś napili, zakładając, że lodówka jeszcze działa, a pan ma ochotę na piwo?

- Bardzo dużą ochotę - odparł młodzieniec z uśmiechem. - Miałem cichą nadzieję, że uda mi się poznać panią i pani męża.

- W takim razie proszę wejść do środka, a ja spróbuję znaleźć dla pana jakieś piwo.

Phil powinien zaraz wrócić z jedzeniem.

Prowadząc młodego człowieka do kuchni, Gloria zdjęła z głowy chustkę, puszcżając luzem jasne włosy. Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że pragnie mu się podobać, co jednocześnie rozbawiło ją i lekko zaniepokoiło. Od czasu urodzenia bliźniaków ani razu nie stanęła przed kamerami, straciła więc odruch nieustannego sprawdzania własnego wyglądu, właściwego wszystkim młodym aktorkom w filmowej dżungli. A teraz ten młodzieniec, sądząc z wyglądu niewiele starszy od Gabbie, sprawił, iż żałowała, że nie ma pod ręką lustro i myjki. Nagle poczuła się głupio i powiedziała sobie w duchu, że ani myśli przeproszać za swój wygląd. A jednak - był przystojny w ten naturalny sposób, jaki najbardziej jej odpowiadał: smagły, ciemnowłosy, o sylwetce sportowca, ale nie zanadto umięśniony. Gloria uśmiechnęła się w duchu na myśl, jak zareaguje na niego Gabbie. Był naprawdę słodziutki. Odwracając się do Jacka, rzuciła:

- Wciąż jeszcze jesteśmy w trakcie rozpakowywania.

Jack zrobił zafrasowaną minę.

- Bardzo panią przepraszam, jeśli przyszedłem nie w porę. Mogę wpaść innego dnia.

Potrząsnęła głową i otworzyła lodówkę.

- Nie, chciałam w ten sposób przeprosić za ten bałagan. - Wręczyła mu piwo. - A poza tym, jestem Gloria, nie „pani”.

Jack uniósł w zdziwieniu brwi, kiedy przyjrzał się białej butelce.

- Royal Holland Brand - rzucił z wyraźną aprobatą.

- Phil należy do tych najrzadszych ptaków - jest dobrze opłacanym pisarzem. Kupuje je skrzynkami.

Jack łyknął piwa i uśmiechnął się zadowolony.

- Wyobrażam sobie. Wystarczy pomyśleć, jaki sukces odniosły nakręcone na ich podstawie filmy. Niemniej, często się zastanawiałem, dlaczego nie napisał kolejnej książki.

- Czytałeś którąś z książek Phila? - Glorię zaczął nagle interesować ten młody człowiek.

- Czytałem wszystkie. A także wszystkie opowiadania, jakie opublikował. Powinno się je złożyć w antologię.

- Czytałeś wszystkie trzy książki Phila - rzuciła, siadając.

- Cztery - poprawił ją Jack. - Napisał też ten romans pod pseudonimem Abigail Cook.

- Mój Boże! Odrobiłeś pracę domową!

Jack uśmiechnął się - chłopięcym uśmiechem na męskiej twarzy.

- Trafiaś w sedno z tą pracą domową. Kończę studia na uniwersytecie we Fredonii...

Rozmowę przerwał im nagły hałas dobiegający od drzwi, wszczęty przez bliźniaków i Wielkiego Pecha.

- Jest tato! - darł się Patrick, a Sean wtórował mu jak echo.

- Dzieci, przejdźcie może do zwykłego, umiarkowanego ryku - poleciła Gloria. Tak jak się spodziewała, została całkowicie zignorowana. Choć rozpakowywanie było dla niej źródłem nieustających cierpień, chłopcy uważali, że jedzenie z tutejszych imperiów żywieniowych przez dwa wieczory pod rząd to niebywała gratka.

Przez drzwi w holu wkroczył Phil, dźwigając dwie baryłki pyszności od Pułkownika. Postawiwszy je na stole, pocałował Glorię w policzek i odezwał się:

- Witam! A to co? Już mnie zdradzasz?

Gloria puściła tę uwagę mimo uszu.

- Phil, to Jack Cole, nasz sąsiad. Jest twoim fanem.

Phil wyciągnął rękę do gościa i obaj wymienili uścisk dłoni.

- Niewielu ludzi zwraca uwagę na to, kto napisał scenariusz, Jack.

- On czytał twoje książki, Phil. Wszystkie.

Phil wyglądał na zadowolonego, kiedy powiedział:

- No cóż, w takim razie, Jack, mało jest ludzi, którzy czytali moje... Czy Gloria powiedziała „wszystkie”?

Jack uśmiechnął się wesoło.

- Nawet *Wichry mrocznej namiętności* Abigail Cook.

- A niech mnie! Słuchaj, a może zjesz z nami kolację? Mamy kurczaki klasyczne i ekstra chrupkie, a tam, skąd pochodzi ta butelka piwa, na pewno znajdzie się jeszcze jedna.

Jack już szukał wymówki, gdy wtem do kuchni weszła Gabbie, niosąc papierowe torby pełne bułeczek, ziemniaków i innych dodatków do kurczaka. Miała rzucić jakąś uwagę, gdy nagle dostrzegła Jacka. Przez krótką chwilę dwoje młodych stało naprzeciwko siebie, wyraźnie szacując się wzrokiem i - jak nietrudno się domyślić - obojgu spodobało się to, co przed sobą zobaczyli. Kiedy Gloria oznajmiła: - To Jack Cole, a to Gabrielle - na twarzy Jacka pojawił się najszerszy tego wieczoru uśmiech.

Młodzi wymienili krótkie ukłony, a w tym czasie Phil zagnał bliźniaki do mycia rąk. Gloria zwalczyła w sobie gwałtowną chęć parsknięcia chichotem. Gabbie dotknęła w roztargnieniu kołnierzyka, policzka, potem pasemka ciemnych włosów, Gloria zaś dobrze wiedziała, że dziewczyna w tej chwili dałaby wszystko za lustro, grzebień i czystą bluzkę. A i Jack nagle wyraźnie nie mógł usiedzieć w miejscu. Gloria spojrzała na Jacka, potem na Gabbie i orzekła:

- W porządku, jeden więcej na obiedzie.

Obiad przebiegał w luźnej atmosferze. Phil, Gloria, Jack i Gabbie usadowili się wokół kuchennego stołu, podczas gdy bliźniacy przysiedli na skrzyni przed telewizorem w salonie. Jack mówił niewiele, ponieważ swymi pytaniami sprowokował Phila do opowiedzenia całej historii i przyczyny ich rodzinnej przeprowadzki z Kalifornii.

- Tak więc - mówił Phil - kiedy *Gwiazdni piraci* i *Gwiazdni piraci 2* okazały się wielkimi hitami, dostała mi się duża część z wpływów kasowych, a także honorarium za prawa do *Piratów 3* i *4*, i ile tam ich jeszcze zdołają nakręcić, uzyskałem sumkę, którą zwykłem zwać „idź do wszystkich diabłów”.

- „Idź do wszystkich diabłów”? - zdumiał się Jack.

- Tato rozumie przez to - odpowiedziała mu Gabbie - że ma dość pieniędzy, żeby móc powiedzieć każdemu hollywoodzkiemu producentowi: „Idź do wszystkich diabłów”.

Gabbie zdołała dorwać się do lustra, grzebienia, myjki i świeżej bluzki, a teraz przez cały wieczór prawie nie odrywała wzroku od Jacka.

- No właśnie. Teraz mogę powrócić do tego, czym zajmowałem się przedtem, a co idzie mi o wiele lepiej, to jest do pisania książek.

- Ode mnie nie usłyszysz pan słów sprzeciwu. Niemniej, większość pańskich filmów była całkiem niezła. *Piraci* mieli diabelnie dobry scenariusz w porównaniu z innymi filmami tego gatunku. Bardzo podobało mi się to specyficzne poczucie humoru. Dzięki niemu postacie zdawały się bardziej realne. No i intryga była sensowna - no, może swoiście sensowna.

- Dziękuję, ale jeśli nawet tak było, to film i tak jest bardziej dziełem reżysera. Nawet biorąc pod uwagę poprawki redaktora, książka to wytwór jednego człowieka. Zbyt wiele lat upłynęło od czasów, kiedy mogłem pisać bez zmian w scenariuszu, bez uwag reżyserów, producentów, innych pisarzy, a nawet aktorów, z których każdy wywrzaskiwał mi nad uchem niezbędne poprawki. W filmie pisanie to praca kolektywna. Nie wiesz, co to życie, jeśli nie uczestniczyłeś w omawianiu scenariusza. - W głosie Phila dźwięczał ton na poły prześmiewczy, na poły poważny. - Torquemada pewnie by za nimi przepadał. Jakiś idiota z międzynarodowego konglomeratu, któremu trzeba wyjaśniać po kolei każdą linijkę wierszyka dla dzieci, mówi ci, jak masz przerobić sceny, żeby nie obraziła się żona prezesa rady nadzorczej. Albo agent domaga się zmian w pięknie przemyślanym scenariuszu, bo działania bohatera mogą źle wpłynąć na image jego gwiazdy. Są agenci, którzy kazaliby wszystko pozmieniać samemu Szekspirowi - kazaliby rozwieść Otella z Desdemoną, bo fani ich klienta

nie zaakceptują go w roli żonobójcy. Albo studio filmowe życzy sobie nieco więcej rozbieranych scen, żeby film był dozwolony od osiemnastu, a nie od piętnastu lat, bo wydaje im się, że nastolatki nie pójdą na film dozwolony od piętnastu lat. Mówię wam, to czysta Alicja po drugiej stronie lustra.

- Naprawdę jest aż tak źle? - zapytał Jack.

Gabbie podniosła się z krzesła i zaczęła zbierać ze stołu papierowe talerze i serwetki.

- Jeśli wskaźnikiem może być poziom głośności wrzasków taty, to rzeczywiście jest źle.

Phil sprawiał wrażenie urażonego.

- Ja nie wrzeszczę.

- Owszem, wrzeszczysz - wtrąciła się Gloria. - Już kilka razy myślałam, że rozwalisz telefon, kiedy trzasnąłeś słuchawką po rozmowie z kimś ze studia. - Zwróciła się teraz do gościa: - Przez cały wieczór tylko słuchasz, Jack. Nie daliśmy ci szansy, żebyś opowiedział nam coś o sobie.

Jack uśmiechnął się radośnie, kiedy Gabbie postawiła przed nim kolejną butelkę piwa, dając mu do zrozumienia, że powinien zostać dłużej.

- Och, naprawdę, niewiele mam ciekawego do opowiedzenia. Jestem zwykłym chłopakiem z Durham w Karolinie Północnej, który zrobił licencjat z anglistyki na tamtejszym uniwersytecie i powędrował na północ, żeby postudiować na uniwersytecie we Fredonii. Miałem do wyboru kilka programów seminaryjnych, w tym jeden bardzo kuszący w San Diego, ale chciałem, aby moją promotorką została Agatha Grant, więc pociągnąłem za kilka sznurków, dostałem się do niej i oto jestem tutaj.

Phil otworzył szeroko oczy.

- Aggie Grant! To stara przyjaciółka rodziny! Była i moją promotorką, kiedy pisałem pracę magisterską z literatury współczesnej na uniwersytecie w Cornell. Jest we Fredonii?

- Na emeryturze. Odeszła w zeszłym roku. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o pociąganiu za sznurki. Jestem jej ostatnim seminarzystą. Zależy mi na doktoracie z literatury. Za kilka miesięcy, po egzaminach ustnych, przekonam się, czy pozwolą mi rozpocząć studia doktoranckie, a po drodze obronię pracę magisterską. O powieściopisarzach, którzy pisali na potrzeby filmu, oraz o tym, jak praca w filmie wpłynęła na ich późniejsze pisarstwo. Przyglądam się sylwetkom pisarzy, którzy zajmowali się jednym i drugim: Fitzgeraldowi, Runyonowi, Williamowi Goldmanowi, Faulknerowi i Clavellowi. No i oczywiście panu. Choć zasadniczo skupiam się na Fitzgeraldzie. Kiedy tylko obiorę zasadniczy kierunek swojej pracy, pewnie skoncentruję się na nim.

- Umieściłeś mnie w zacnym towarzystwie. - Uśmiechnął się Phil.

- Całość jest dość hermetyczna i pewnie dosyć nudna. - Jack był wyraźnie zakłopotany. - Kiedy tutejsza gazeta napisała, że kupił pan ten dom, pomyślałem sobie, że może się wproszę i przeprowadzę z panem wywiad.

- No cóż, pomogę, jeśli tylko zdołam - odparł Phil. - Ale niewiele mam wspólnego z Fitzgeraldem. Nie piję tyle co on, nie mam romansu z innym pisarzem, a moja żona zachowuje się racjonalnie... przeważnie.

- Dzięki - rzuciła z przekąsem Gloria.

- Miałem zamiar zadzwonić do Aggie, wziąć wolny weekend i pojechać do Ithaki. Nie miałem pojęcia, że się przeprowadziła. Przy pierwszej nadarzającej się okazji podskoczę do Fredonii, żeby się z nią zobaczyć. Boże, ile to już lat!

- Właściwie to wcale nie musi pan jechać do Fredonii. Agatha mieszka teraz po drugiej stronie lasu, na skraju Pittsville. To właśnie jest część naszej umowy. Mam tu drugi etat jako ogrodnik, totumfacki do wszystkiego, a od czasu do czasu kucharz, choć zwykle woli sama miotać się po kuchni. Na uniwersytet wpada tylko wtedy, kiedy musi: na kolokwia, gościnne wykłady, czasem zjazdy absolwentów i tym podobne uroczystości.

- Powiedz Aggie, że wpadnę do niej za dzień lub dwa.

- Przez następne dwa tygodnie będzie na uniwersytecie w Nowym Jorku. Opracowuje zbiór esejów na jakieś sympozjum w Brukseli, ale zaraz potem powinna wrócić. Za nic nie przepuści obchodów Czwartego Lipca w Pittsville.

- No dobrze, więc gdy tylko wróci, przypilnuj, żeby do nas zadzwoniła.

- Ucieszy się, kiedy usłyszysz, że już dotarliście. Spodziewam się, że z tej okazji przygotuje jakiś specjał. - Jack dokończył piwo i podniósł się z miejsca. - No cóż, chciałbym bardzo podziękować za gościnę i kolację. To była dla mnie naprawdę wielka przyjemność. - To ostatnie zdanie zostało mało subtelnie skierowane pod adresem Gabbie.

- Mam nadzieję, że wkrótce cię ujrzymy, Jack - odparła Gloria.

- Nie chciałbym się państwu narzucać. Zwykle włóczę się po okolicy, kiedy myślę nad jakimś problemem dotyczącym mojej pracy, czasem jeżdżę też konno po okolicznych lasach.

- Konno? - podchwyciła Gloria, a po jej twarzy przemknął cień zastanowienia. Obecność Jacka sprawiła, że po raz pierwszy od chwili przyjazdu Gabbie miała lepszy nastrój, a Glorii bardzo zależało na tym, żeby dziewczyna miała czym zająć myśli i nie stroiła fochów.

- Kilka mil dalej wzdłuż autostrady leży farma, gdzie hodują konie. Pani Laudermilch jest przyjaciółką Agathy, więc czasem mi je pożycza. A wy jeździcie konno?



- Rzadko - odparł Phil. - Ale nasza Gabbie łapie każdą okazję, jaka się nadarzy.

- O?

- Bumper - mój koń - to czempion rasy Blanket Appaloosa. Najlepszy w biegach stadionowych w całej południowej Kalifornii i jeden z najlepszych w krosie ze stajni Highridge.

- Nigdy nie jeździłem na appaloosach. Są trochę mało wrażliwe, jak słyszałem. Ale chyba dość pracowite? Czempion, tak? Spodziewam się, że dość drogi?

- No cóż, jest dobry... - Gabbie wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że pieniądze nie grają tu roli. Gloria i Phil uśmiechnęli się do siebie.

- W domu miałem tennessee walkera. Może miałybyś ochotę wybrać się na przejażdżkę któregoś popołudnia, kiedy już się zdomowicie?

- Jasne, w każdej chwili.

- Jadę odwiedzić rodzinę w Durham, pojutrze. Pobędę tam ze dwa tygodnie. To może kiedy wrócę?

- W porządku - odparła Gabbie, wzruszając ponownie ramionami.

- W takim razie załatwione. Jak już mówiłem, było mi bardzo miło gościć u państwa. Z góry cieszę się na następne spotkanie.

Phil wstał i uściśnął dłoń młodzieńca.

- Zawsze będziesz mile widziany - rzuciła Gloria, kiedy Jack opuszczał dom kuchennymi drzwiami. Powróciwszy do męża, odezwała się: - No, Gabbie, sprawy nie przedstawiają się aż tak źle, prawda?

Gabbie westchnęła.

- Zdecydowanie niezły towar. Jak powiedziałaaby Ducky Summers: dla takiego tyłka warto umrzeć. Ale jak mam powstrzymać odruch wymiotny, kiedy zjawi się tu z niedorozwiniętą, twardogłową i zimnokrwistą rolniczą szkapą? Fuj!

Gloria uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Rozpakujmy jeszcze jedną skrzynię, a ja potem zagnam chłopaków do łóżek.

Gabbie z rezygnacją pokiwała głową, a Phil wyprowadził ją z kuchni. Gloria ruszyła za nimi, ale kiedy wychodziła z kuchni, ogarnęło ją nagle przecucie, że jest obserwowana, jakby ktoś utkwiał w niej nieprzyjazny wzrok. Odwróciła się raptownie i przez ułamek sekundy wydawało jej się, że dostrzegła coś za jednym z okien. Poruszywszy głową, zobaczyła już tylko migoczące przebłyski światła, kiedy blask żarówki odbijał się od wszystkich nierówności szyby. Lekko zaniepokojona wyszła z kuchni.

Sean próbował zakopać się głęboko na swojej pryczy piętrowego łóżka. Tutejsze zapachy stanowiły dlań zupełną nowość. Kiedy okazało się, że przywiezione z domu poduszki chłopców nie znajdują się tam, gdzie się spodziewano, wyciągnięto z tutejszego schowka stare poduszki z pierza, które mimo czystych powłoczek nadal czuć było stęchlizną. A dom nieustannie rozbrzmiewał jakimiś dziwnymi odgłosami. Lekkie poskrzypywania i pojękiwania, dziwne ćwierkania i szepty, wydawane przez nocne stwory, powodowały, że Sean zakopywał się coraz głębiej pod ciężki koc i wзираł sponad jego krawędzi, niezdolny ani na chwilę rozluźnić się w swym niespokojnym nocnym czuwaniu.

- Patrick? - szepnął, ale odpowiedział mu tylko głęboki oddech śpiącego brata. Patrickowi obcy był Seanowy strach przed ciemnością. Pierwszego wieczoru Patrick próbował siłą wymusić dla siebie spanie na górnej pryczy - każdego z chłopców nęciło nowe przeżycie, związane ze spaniem tak wysoko nad ziemią - ale mama zapobiegła bójce i to Sean wybrał liczbę najbliższą tej, którą sobie pomyślała. Teraz zastanawiał się, jaki to kaprys losu umieścił go na górnej pryczy. Z góry wszystko wyglądało tak jakoś niesamowicie.

Przez okno wpadał księżycowy blask, to mocniejszy, to słabszy, kiedy przez niebo przepływały z wolna chmury, na przemian pogrążając pokój w głębokim mroku, to znów rozświetlając go poświatą niemal tak jasną jak światło dnia. Roztańczone cienie przybierały dziwne kształty, które Sean zdołał jednak w porę rozpoznać.

Za oknem rósł stary wiąz, a jego gałęzie kołysały się łagodnie na lekkim wietrze. Kiedy chmury odsłaniały księżyc, cienie drzew stawały się wyraźniejsze, tworząc na podłodze dziwne przedstawienie. Liście szeleściły na wietrze, rzucając roztrzepotane cienie, które przemieszczały się po całym pokoju - hebanowoszare kształty, rozbiegające się na wszystkie strony w szaleńczym popłochu, wypełniające noc bliżej nieokreśloną groźbą.

Sean przyglądał się grze cieni z niemal rozkosznym dreszczem, jaki budzi poczucie zagrożenia - kiedy jeżą się włosy na karku i wilgotnieją dłonie. Wtem coś się zmieniło. W najciemniejszym kącie pokoju coś się poruszyło. Sean poczuł ucisk w piersi i zimną obręcz na żołądku. Pośród igraszek szarości i czerni to coś ruszało się w zupełnie innym rytmie, sunąc w widoczny sposób ku piętrowemu łóżku chłopców.

- Patrick - powtórzył głośno Sean. Brat poruszył się i mruknął coś przez sen, gdy tymczasem kształt znów zaczął ślizgać się po podłodze. Przesuwał się powoli, wijąc się zygzakiem przez dywan, a Sean wyteżał wzrok, żeby go dostrzec, bo kiedy nieruchomiał, zupełnie ginął z oczu. Przez długie, męczące chwile chłopiec nie widział najmniejszych oznak

ruchu, ale kiedy miał się już odprężyć i uznać, że było to tylko przywidzenie, to coś ruszało się znowu. Koszmarnie niewyraźny kształt powoli zbliżył się do łóżka, a w końcu zniknął u jego podnóża, gdzie Sean nie mógł go już widzieć.

- Patrick! - powtórzył jeszcze raz i wcisnął się w najdalszy kąt łóżka, byle dalej od pełznącego stwora. Potem usłyszał dźwięk drących o drewno pazurów, jakby coś pięło się po starym słupie łóżka. Wstrzymał oddech. Nad krawędzią pryczy pojawiły się dwa czarne, przypominające szponiaste dłonie kształty, obrzydliwie zdeformowane, które jakby po coś na ślepo sięgały, a za nimi - już po chwili - potworna maska przerażenia i nienawiści, czarne, powykęcane oblicze o zupełnie nieprawdopodobnych oczach: czarnych, opalizujących źrenicach, otoczonych żółtą tęczówką, która zdawała się świecić w ciemności. Sean wrzasnął.

W tej samej sekundzie Patrick też już nie spał i także krzyczał, a chwilę później w drzwiach pojawiła się Gloria, która włączyła światło.

Tuż za nią stanął Phil, a od drzwi pokoju Gabbie dobiegł jej głos:

- Co się dzieje?

Gloria wyciągnęła ręce i przytuliła Seana.

- O co chodzi, kochanie?

- Coś... - zaczął Sean. Nie mogąc dokończyć, wskazał tylko palcem. Phil urządził całe przedstawienie z przeszukiwaniem pokoju, a w tym czasie Gloria uspokajała przestraszonego chłopca. Gabbie wystawiła głowę zza drzwi swego pokoju i powtórzyła: „Co tu się dzieje?” Miała na sobie za duży podkoszulek Uniwersytetu Los Angeles, którego używała jako koszuli nocnej.

Z mieszaniną ulgi i pogardy w głosie Patrick odpowiedział:

- Sean miał koszmar.

Pogardliwy ton brata kazał Seanowi zareagować:

- To nie był sen! W pokoju coś było!

- No cóż - wtrącił Phil - cokolwiek to było, już sobie poszło.

- Kochanie, to był tylko sen.

- Wcale nie - odparł Sean, rozdarty między łzami frustracji z powodu tego, że mu nie wierzą, a gorączkową nadzieją, iż być może mają rację.

- Postaraj się przespać. Zostanę przy tobie, aż zaśniesz, dobrze?

Sean nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale rzucił: „Dobra”. Ułożył się i zaczął powoli godzić się z myślą, że to był tylko sen. Kiedy obok stała matka, a w pokoju paliło się światło, tamta czarna twarz zdała się wytworem sennej wyobraźni, a nie czymś realnym.

- O raju - mruknął Patrick z niesmakiem. Przetoczył się na drugi bok i ostentacyjnie

zaznaczył, że on nie potrzebuje niczyjej obecności, żeby spać spokojnie.

Narzekania Gabbie wróciły w ślad za nią do jej sypialni, kiedy Phil powyłączał światła. Gloria została, stojąc cierpliwie przy piętrowym łóżku, dopóki Sean nie zasnął.

Za oknem sypialni chłopców ciemny kształt ześlizgnął się po rynnie, a potem przerzucił zwinnie na najbliższą gałąź drzewa. Przeskakując i huśtając się na gałęziach, schodził coraz niżej, aż wreszcie zeskoczył na ziemię z wysokości dziesięciu stóp. Poruszał się nienaturalnie szybkim, rozkołysanym krokiem, pochyloną sylwetką przypominając małpę. W pobliżu balkonu przystanął, spoglądając przez ramię opalizującymi oczyma w stronę okna pokoju chłopców. Jakiś inny ruch w głębi lasu sprawił, że przypadł do ziemi, jakby bał się, że zostanie odkryty. Między pniami drzew rozbłyły na chwilę migoczące światła, śmignęły i znikły. Mroczny stwór zawahał się, poczekał chwilę, potem pognął w stronę lasu, wydając z siebie dziwne szepty.

Budynek stawał się domem - powoli, z oporami. Wkrótce zbadano już wszystkie dziwne zakątki, a zastarzałe zapachy spowszedniały. Różne swoiste, acz dziwaczne cechy budynku - mały składzik pod schodami tuż obok drzwi do piwnicy, dziwaczna szopa z tyłu, a także klekocące na wietrze rury - stały się czymś dobrze znanym. Gloria zastanawiała się nad sytuacją w rodzinie: Gabbie nie była najszcześniejsza, ale przestała pogrążyć się w ponurych myślach, a bliźniacy dzielili między sobą swój sekretny świat i wydawało się, że czuliby się zadowoleni wszędzie, gdzie byłaby z nimi rodzina. Gloria martwiła się o to, jak chłopcy zareagują na przeprowadzkę, a oni tymczasem najszybciej się zaadaptowali. Bardzo korzystnie przeprowadzka wpłynęła na postawę Phila. Pisał codziennie jak w uniesieniu. Nie chciał jednak pokazać jej tego, co napisał, twierdząc, że nie chce zapeszyć. Wiedziała, że to tylko takie głupie gadanie, bo przecież długo w noc omawiała z nim niektóre pomysły. Wiedziała, że po prostu boi się, że jeśli nie spodoba się jej to, co napisał, czar pryśnie. Wszystko w swoim czasie, myślała, wszystko w swoim czasie.

W siedemnastym dniu po wizycie Jacka Cole'a listonosz doręczył im liścik. Zaadresowany był do „pana Philipa Hastingsa z Rodziną”. Gloria otworzyła go, podczas gdy Phil przeglądał pismo od swego agenta.

- ...z góry cieszą się na możliwość publikacji twojej najnowszej pracy. Kilku wydawców już teraz wyraziło zainteresowanie... - czytał na głos Phil.

- Przeczytaj to - poleciła Gloria, wręczając mu liścik.

Obejrzał kopertę i ściągnął brwi. Jednym z jego ulubionych tematów do narzekań był zwyczaj otwierania przez Glorię adresowanych do niego listów, co ona zresztą uwielbiała robić.

- Tu jest napisane „z Rodziną”. Czyli ze mną - rzuciła z udawanym wyzwaniem w głosie.

Phil westchnął.

- Pobity jeszcze przed bitwą. - Potem przeczytał na głos: - Pani Agatha Grant zaprasza pana Philipa Hastingsa z Rodziną na kolację w niedzielę 24 czerwca. Koktajle o siedemnastej. Wyłącznie wyrazy ubolewania.

- A to co może znaczyć?

- To znaczy: proszę odpowiedzieć, jeśli nie będziecie mogli przyjść, ty kalifornijski barbarzyńco.

Gloria żartobliwie uśmiechnęła się, że zamierza kopnąć męża.

- Barbarzyńco! A kto nazwał tamto miasto La Dżoul-laa, kiedy pierwszy raz składał mi propozycję?

- Ja?

- Ależ bez wątpienia ty. To było u Harva Marona, na popremierowym party po *Bridesdale*. Pojawiłeś się obok mnie, kiedy mój chłopak poszedł po drinki - Robbie Tedesco, to z nim wtedy byłam. Ledwie dzień wcześniej poznaliśmy się w studio, a ty powiedziałaś: „Dostałem zaproszenie na weekend do domku na plaży mojego przyjaciela w La Dżoul-laa. Myślisz, że mogłabyś się urwać na parę dni?” - Ostatnie zdania wypowiedziała niskim głosem, naśladowując jego sposób mówienia.

Phil wydawał się lekko zakłopotany.

- Pamiętam, a jednak wciąż trudno mi uwierzyć, że to zrobiłem. Nigdy przedtem nie poprosiłem obcej kobiety, żeby spędziła ze mną weekend. - Potem uśmiechnął się. - Tak czy owak, pojechałaś ze mną.

Gloria roześmiała się na głos.

- Pojechałam, i owszem! Pewnie wykombinowałam sobie, że ktoś i tak złapie tego wschodniego tradycjonalistę, więc niby dlaczego to nie mam być ja. - Żartobliwie złapała garść jego szpakowatych włosów i przyciągnęła głowę w dół, by pocałować go przelotnie. - A La Jolla była piękna.

- Ty też... i wciąż jesteś - odpowiedział i pocałował ją mocno. Czuł, jak reaguje jej ciało. Skubnął ją żartobliwie po szyi i szepnął: - Od lat nie robiliśmy tego w samo południe, mała.

Wtedy rozdzwonił się telefon, a Gabbie zawołała z góry:

- Ja odbiorę!

Jednocześnie usłyszeli trzask siatkowych drzwi na werandzie i do kuchni wpadli z łomotem chłopcy.

- Mamooo! - darł się Patrick.

- Co na lunch? - dopytywał się Sean w kontrapunkcie.

Wybuch namiętności przeminął. Gloria, wsparta o pierś męża, potrząsnęła głową.

- Taka jest cena rodzicielstwa. - A po krótkim pocałunku dodała: - Ale przechowaj tę myśl do wieczora, kochany.

Gabbie zbiegła do połowy schodów, wlokąc ze sobą telefon.

- To Jack. Wrócił. Mamy zamiar pojechać dziś po południu, potem pójdziemy coś zjeść i do kina. Więc nie będzie mnie na obiedzie. W porządku?

- Jasne - odpowiedział jej Phil, kiedy od kuchni nadciągnęli bliźniacy. Gabbie pognała

z powrotem po schodach.

- Mamo - pytał Patrick - co na lunch?

- Jesteśmy głodni - zgodził się z nim Sean.

Gloria spojrzała na męża wzrokiem pełnym ubolewania i wzruszyła ramionami.

Położywszy dłonie na barkach synów, zawróciła ich i rzuciła:

- Za mną, wojsko.

I już jej nie było, zniknęła w kuchni, żeby nakarmić swą małą gromadkę. Phil wciąż jeszcze czuł w holu jej zapach, a w głębi siebie owo silne poruszenie, jakie natychmiast wywoływał każdy ich bliski kontakt. Westchnąwszy z żalu, że zmysłowa chwila umknęła, wrócił do czytania poczty, kierując kroki do swego gabinetu.

Gabbie stanęła jak wryta w niemym, lecz jakże przyjemnym zaskoczeniu. Na koniec rzuciła:

- W porządku! - przeciągając dla emfazy swój okrzyk.

Jack uśmiechnął się i gestem zaprosił ją, by podeszła bliżej i wzięła od niego wodze klaczy, którą jej przyprowadził. Było to piękne i bardzo zadbane zwierzę. Gabby ujęła wodze.

- Są fantastyczne.

- Pan Laudermilch hoduje pełnokrwiste i gorąckrwiste krzyżówki. Jest przyjacielem Aggie, a ja pomagałem mu trochę przy farmie, więc często pożyczają mi konie. Kiedyś hodował pełnokrwiste do wyścigów, teraz przerzucił się na konie do skoków.

Gabbie przyglądała się zwierzętom z podziwem. Od razu zauważyła wdzięczną krzywiznę karków, pięknie wzniesiony ogon i lekko skierowane do przodu uszy.

- Muszą mieć w sobie coś z arabów - oznajmiła, przejmując wodze od Jacka.

Młodzieniec przytaknął z szerokim uśmiechem.

- I trochę z quarterów. Te nie biorą udziału w zawodach. Pan Laudermilch nazywa je „zestawem do przejażdżek”. Twoja nazywa się My Dandelion, a to jest John Adams.

Objęła kark klaczy i poklepała.

- Witaj, malutka - zagruchała. - Chyba się zaprzyjaźnimy, co? - Szybko wsiadła. Poprawiła się, nie przyzwyczajona do angielskiego siodła, i rzuciła: - O Boże! Czuję się dziwnie.

- Przepraszam - zmartwił się Jack. - Myślałem, że jeździsz po angielsku.

Gabbie potrząsnęła przecząco głową i spięła wierzchowca do truchtu.

- Niestety, po kowbojsku. Ale jeździłam też po angielsku, tyle że dawno. - Machnęła ręką w stronę własnej stopy. - Najwyższej klasy kowbojskie buty. Muszę kupić w mieście jakieś bryczesy i buty do konnej jazdy. Co najwyżej jutro będę miała trochę posiniaczone kolana, to wszystko.

Ruszyli w stronę lasu, a Gabbie pozwoliła Jackowi prowadzić.

- Uważaj na niskie gałęzie - ostrzegł ją przez ramię. - Tutejsze ścieżki nie są tak utrzymane jak trasy do przejażdżek.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie, i przyjrzała się jego twarzy, kiedy odwrócił ją z powrotem w stronę drogi. Uśmiechnęła się pod nosem, obserwując ruchy pleców, gdy kierował koniem. Bez wątplenia towar pierwsza klasa, pomyślała, a potem zaczęła się zastanawiać, czy w college'u czeka na niego jakaś dziewczyna.



Szlak poszerzył się, więc jechała teraz obok niego i zagadnęła:

- Ładne te lasy. Przywykłam raczej do wzgórz wokół doliny.

- Doliny?

- Doliny San Fernando. - Skrzywiła się. - No, wiesz, koleś, dziewczyny z doliny, superodlotowe, koleś. Znasz to: zajebisty, kijowy i te rzeczy. - Wyglądała na poirytowaną. - Wychowałam się w Arizonie. Ten obrazek zaprowadza mnie do rozpacz. - Nagle wybuchnęła śmiechem z powodu swego przejęzyczenia, a Jack jej zawtórował. - LA to po prostu pustynny odzysk. Zakręć wodę w ogrodowym wężu, a zniknie cała zieleń. To tylko chaparral - wiesz, takie karłowate, suche krzaki - i trochę drzew przy strumieniach. Mnóstwo eukaliptusów - zupełnie nie przypominają tutejszych lasów. Jest tam zwykle gorąco i sucho, a do tego strasznie się kurzy. Ale już przywykłam.

Uśmiechnął się, a ona doszła do wniosku, że podczas uśmiechu ładnie wygina mu się linia ust.

- Nigdy dotąd nie byłem na zachód od Missisipi. Parę lat temu myślałem, że wybiorę się do Los Angeles, ale w czasie żeglowania złamałem nogę i w ten sposób zmarnowałem całe lato.

- Jak ci się to udało?

- Wypadłem z łódki i trafiłem na połąc twardej wody.

Myślała przez chwilę intensywnie, bo odpowiedział jej z bardzo poważną miną, potem jęknęła.

- Ale zalewasz! Jesteś taki sam jak mój ojciec.

- Uznaję to za komplement - odparł z wesołym uśmiechem. - A tak naprawdę to jeden głupek, któremu się wydawało, że umie żeglować, wykonał zwrot przez sztang i nikogo nie uprzedził, a ja złapałem za bom i wyrzuciło mnie za burtę. Roztrzaskałem nogę w drzazgi. Następne półtora dnia spędziłem w łubkach z wiosł, potem dziewięć tygodni przeleżałem w gipsie i jeszcze sześć w nim przechodziłem. Chirurg spisał się świetnie, ale i tak nie odzyskałem stuprocentowej sprawności. Kiedy jest zimno, trochę kuleję. No i beznadziejnie biegam. Za to dużo chodzę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, ciesząc się ciepłym, wiosennym powietrzem i widokiem lasu. Zapadła niezręczna cisza, bo każde z nich czekało, aż to drugie coś powie. W końcu odezwał się Jack:

- Jaką specjalność wybrałaś na studiach?

- Jeszcze nie zdecydowałam - odparła Gabbie, wzruszając ramionami. - Jestem dopiero na drugim roku. Waham się między psychologią a literaturą.

- Nie znam się zbytnio na psychologii. - Spojrzała na niego ironicznie. - To znaczy, nie wiem, co z taką specjalizacją można robić potem. Ale czy wybierzesz jedno, czy drugie, będziesz to musiała kontynuować na studiach magisterskich.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Jak już mówiłam, jestem dopiero na drugim roku. Mam jeszcze trochę czasu. - Przez dłuższą chwilę milczała, a potem wyrwało jej się: - Tak naprawdę to chciałabym pisać.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, kim są twoi rodzice.

Dziwne jest to, pomyślała Gabbie, że w ogóle mu o tym powiedziałam. Nigdy nikomu nie pisała o tym ani słówka, nawet Jill Moran, najlepszej przyjaciółce.

- I chyba w tym właśnie tkwi cały problem. Każdy będzie zakładał z góry, że muszę być świetna. A jeśli nie będę?

Jack popatrzył na nią poważnie.

- No to nie będziesz.

Wstrzymała konia, próbując odgadnąć, co miał na myśli. Zadumany odwrócił wzrok. Przeświecające przez liście promienie słońca podświetliły jego profil.

- Przez długi czas próbowałem pisać powieść, ale w końcu się poddałem. To miała być powieść historyczna, *Okrąg Durham*. O moim zakątku na przełomie wieków. Niektóre fragmenty wydawały mi się niezłe. - Urwał na chwilę. - Była jednak straszna. Trudno przyszło mi przyznać to w końcu przed sobą. Tylu przyjaciół nieustannie mnie do niej zachęcało, że przez dłuższy czas wydawało mi się, że jest całkiem dobra. Bo ja wiem. Chyba po prostu człowiek musi to robić.

Westchnęła i poklepała konia po karku. Ciemne włosy opadły, zakrywając jej twarz.

- Ale mimo wszystko, ty nie masz dwojga rodziców-pisarzy. Matka dostała Pulitzera, ojca nominowano do Oscara. A mnie było stać tylko na kilka głupich wierszydeł.

Pokiwał głową, potem zawrócił konia i ruszył wzdłuż szlaku. Po długiej chwili milczenia dodał:

- A jednak myślę, że człowiek po prostu musi to robić.

- Może masz rację - odparła. - Słuchaj, masz jeszcze coś z tego, co według przyjaciół było świetne?

Z lekkim uśmiechem, zażenowany wyznał:

- Mam całe. Całe cholerne pół powieści.

- Wejść z tobą w układ. Pokażesz mi swój rękopis, a ja dam ci zobaczyć mój. - Jack wybuchnął głośnym śmiechem, słysząc ten zwrot rodem ze szkolnego podwórka. - No co?

Boisz się?

- Nie - zdołał wydusić, chichocząc.
- Tchórz, bojączka - zgrywała się Gabbie, budząc w nim jeszcze większą wesołość.
- Dobra, poddaję się - powiedział wreszcie. - Pozwolę ci przeczytać swój... może.
- Może!

Sprzeczali się nadal, pokonując niewielkie wzniesienie i wkrótce zniknęli za jego wierzchołkiem. Z głębi lasu przyglądała się im para jasnoblękitnych oczu. Potem spomiędzy krzewów wyłoniła się smukła, młodzieńcza postać, która lekkimi krokami bosych stóp skierowała się ścieżką na szczyt wzniesienia. Ukryty za pnem młodzieniec obserwował zjeżdżającą w dół po szlaku Gabbie. Oczyma pieścił jej młode plecy, upajając się widokiem długich, ciemnych włosów, smukłej kibici i krągłych pośladków, podkreślonych piękną postawą w siodle. Dał się słyszeć jego wysoki, melodyjny śmiech. Był to obco brzmiący dźwięk, dziecinny, acz starożytny, w którym niósł się pogłos dzikich pieśni, prymitywnych obrzędów i gorących, pełnych muzyki nocy. Rudobrzęde kędziory otaczały twarz jak z portretów Michała Anioła lub któregoś z prerafaelitów.

- Ładna - zwrócił się młodzieniec do drzewa, poklepując je po wiekowej korze, jakby mogło go zrozumieć. - Bardzo ładna. - Wtem gdzieś w pobliżu rozległ się głos ptaka, a młodzieniec podniósł głowę. Zaświergotł nagle nieludzkimi tonami, jakimś gwizdzącym szeptem - jak szpak-przedrzeźniacz, naśladując tamtego ptaszka. Ptaszek śmignął w powietrze w poszukiwaniu domniemanego intruza. Chłopak krzyknął z radości, że udał mu się ten niewinny żarcik, a ptak wciąż latał to tu, to tam, nie przerywając poszukiwań. Potem młodzian westchnął, przypomniawszy sobie piękną dziewczynę, która go minęła.

Wysoko w górze, między listowiem, do spodniej strony gałęzi przylgnęła mocno istota z czerni. Obserwowała dwoje jeźdźców z nie mniejszym zainteresowaniem niż postać na dole. Lecz jej myśli nie były ani wesołe, ani płochy. Wzbierała w niej natarczywa potrzeba, coś pośredniego między żądzą a głodem. Piękno oddziaływało na nią tak samo mocno jak na młodzieńca. Lecz inne miały ją pragnienia, bo podczas gdy siłą napędową chłopca była erotyka, dla niej piękno stanowiło jedynie początek, punkt wyjścia. Dla niej piękno można było pojąć dopiero przez zniszczenie. Tak więc pełni urody Gabbie mogła odczuć dopiero za pośrednictwem powolnej podróży przez ból i cierpienie, przez torturę i bezradność, zakończonej krwią i śmiercią. A jeśli ból zadać umiejętnie, tak jak uczył pan, tortura może ciągnąć się całe wieki.

Lecz kiedy czarna istota pogrzyżyła się w swych mrocznych, nieludzkich myślach, kontemplując prosty cud cierpienia, uświadomiła sobie pewną prawdę. Przyjemności, jakiej

mogło dostarczyć zniszczenie pięknej dziewczyny, nie da się nawet porównać z uniesieniem, w jakie może ją wprawić zniszczenie tych dwóch chłopców. Takie cudowne dzieci, jeszcze niewinne, wciąż jeszcze czyste. To oni są prawdziwym łupem i nagrodą. Powolny ból i przerażenie, jakie można zadać tym dwóm, byłyby... Stwór wzdrygnął się na samą myśl o mrocznych rozkoszach, potem znieruchomiał, ażeby ten na dole go nie zauważył i nie kazał jemu z kolei odczuwać takiego bólu. Młodzian postął jeszcze chwilę z jedną dłonią opartą o drzewo, drugą zaś ścisnął się w roztargnieniu za lędźwia, rozpamiętując obraz ślicznej ludzkiej dziewczyny, która przejechała obok. Potem okręciwszy się jak w tańcu, rozpląnął się w zaroślach, znikając z oczu śmiertelnym. Mała polanka pozostała pusta, słychać tylko było niesione echem odgłosy jego łotrowskiego śmiechu.

Czarny stwór odczekał w bezruchu, aż młodzieniec nie zniknie w głębi lasu, bo mimo młodego wyglądu to właśnie jego należało się bać, to on mógł wyrządzić najwięcej krzywd. Kiedy upewnił się, że tamten odszedł na dobre, a nie chowa się tylko, planując jedną ze swych okrutnych sztuczek, potężnym skokiem odbił się od drzewa. Poruszał się wśród gałęzi w zupełnie obcy człowiekowi sposób - miał stawy jakby nie z tego świata - kiedy tak spieszył dokądś we własnych mrocznych sprawach.

- Co robi twoja matka? - pytał Jack.

- Nie mam pojęcia. Kiedy ostatnio o niej słyszałam, była gdzieś w Ameryce Środkowej czy Południowej i pisała o kolejnej wojnie domowej bądź też rewolucji. - Gabbie westchnęła. - Nieczęsto mam od niej wieści. Góra trzy listy w ciągu ostatnich pięciu lat. Nie miałam nawet pięciu lat, kiedy ona i tato się rozeszli. To było wtedy, gdy matka zaczynała zdobywać uznanie, kiedy przygotowywała książkę o upadku Sajgonu.

- Czytałem ją. Jest świetna.

Gabbie pokiwała głową.

- To świetna pisarka, ale jako matka - beznadziejny przypadek.

- Słuchaj, jeśli nie chcesz o tym mówić...

- Nie, w porządku. Większość informacji i tak została podana do wiadomości publicznej. Mama napisała kilka powieści, zanim z ojcem przenieśli się do Kalifornii. Żadne z moich starych nie zarabiało wtedy wiele na pisaniu, ale mama miała ojcu za złe, że o jego książkach pojawiają się notki w prasie, a ona wciąż tylko dostaje odmowne listy z wydawnictw. Tato mówi, że nie robiła mu wymówek, ale z pewnością był to jeden z pierwszych czynników, jaki ich skłócił. Potem tato dostał propozycję ekranizacji swojej drugiej książki, *Wszystkie piękne obietnice*, więc przenieśli się do Hollywood. Tato pisał scenariusze i zarabiał duże pieniądze, a mamie dostałam się ja. Z czasem została aktywistką ruchów antywojennych, takich jak te w sześćdziesiątym ósmym, po ofensywie w Tet. Pisała artykuły, pamflety, a któregoś dnia jeden z wydawców zaproponował jej napisanie książki, wiesz, *Dlaczego protestujemy*.

- Była całkiem niezła, choć trochę zbyt propagandystyczna.

Gabbie poprowadziła konia tak, by ominął zwalony pień drzewa, obrośnięty krzakami.

- No cóż, może fikcję pisała kiepską, ale jej publicystyka była jak dynamit. Wreszcie zauważyli ją krytycy i zaczęła dobrze zarabiać. Między rodzicami nigdy nie było za dobrze, ale właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć, i to szybko. Matkę tak pochłonęło pisanie o ruchu antywojennym, a później i koniec wojny, że ciągle puszczała go kantem. Biedny tato, miał iść na jakąś kolację w wytwórni albo coś w tym rodzaju, a ona nie wracała do domu albo pojawiała się w dzinsach i flanelowej koszuli na oficjalnym przyjęciu. Zrobiła się dość radykalna. Byłam za mała, żeby dużo z tego zapamiętać, ale z tego, co mówiła mi moja babka, oboje zachowywali się nieszczególnie. Z tym, że w opinii większości małżeństwo rozpadło się z winy mamy. Potrafi być naprawdę wredna, a do tego jest uparta. Nawet jej

własna matka przyznała, że główna część winy leżała po jej stronie. Tak czy owak, pewnego wieczoru ojciec wrócił do domu i zastał ją na pakowaniu. Właśnie otrzymała ze Szwajcarii specjalne zezwolenie na lot z Czerwonym Krzyżem do Wietnamu, żeby mogła napisać o upadku Sajgonu. Ale musiała wylecieć jeszcze tego samego wieczoru. Między nimi nie układało się wtedy za dobrze, więc ojciec oznajmił, że jeśli poleci, to może już nie wracać. No i nie wróciła.

Jack pokiwał głową.

- Nie chcę wydawać sądów, ale wygląda na to, że dla twojej matki to była wymarzona okazja, no wiesz, ten upadek Sajgonu i w ogóle. - Z jego słów wynikało jasno, że uważa, iż jej ojciec nie miał prawa żądać, aby żona została w domu.

- No. Ale tak się składa, że ja byłam wtedy w szpitalu z zapaleniem opon mózgowych. Mówią, że o mało nie umarłam. - Gabbie zamyśliła się na chwilę. - Prawie nie pamiętam, jak wyglądała. Znam ją co najwyżej ze zdjęć, a to nie to samo. Tak czy owak, stała się pieszczoszkiem radykałów, a zanim wojna dobiegła końca, była już dość szanowaną pisarką polityczną. Teraz jest wielką damą lewicy, orędowniczką populistycznych haseł na całym świecie. Jedyłą dziennikarką, której pozwolono przeprowadzić wywiad z pułkownikiem Zamorą, kiedy był w niewoli u rebeliantów, i takie tam bzdury. Resztę już znasz.

- Musiało ci być ciężko.

- Pewnie tak. Ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było inaczej. Tato musiał bywać w wytwórni o najróżniejszych porach, często też musiał jeździć na zdjęcia plenerowe i tym podobne rzeczy, więc zostawił mnie u babki. W każdym razie to ona mnie wychowywała, dopóki nie skończyłam dwunastu lat. Potem zaczęłam chodzić do prywatnej szkoły w Arizonie. Ojciec chciał, żebym z nim zamieszkała, kiedy ożenił się z Glorią, ale babka nie chciała na to pozwolić. Nie wiem, jak to dokładnie było, ale chyba tato próbował mnie odzyskać, a ona go postraszyła. - Spojrzała uważnie na Jacka. - Larkerowie to stara rodzina ze starymi pieniędzmi, no wiesz, naprawdę starymi. Prywatne odrzutowce i międzynarodowe korporacje. No i tuziny najemnych prawników, wielkie wpływy w polityce. Myślę, że babcia Larker miała na własność kilku sędziów w Phoenix. Tak czy owak, mogła zablokować każdą akcję sądową, którą przedsięwziąłby tato, mimo że i on, według powszechnych standardów, dysponował niezłymi pieniędzmi. Zostałam więc u niej. Babcia była trochę bardziej pravicowa od Huna Attyli, wiesz? Czarnuchy, czerwoni populiści i „komunistyczni agitatorzy z zewnątrz”. Uznawała Reagana za liberała, twierdziła, że Goldwater jest za miękki dla komunizmu, a bircherzyści\* [\*Bircherzyści - członkowie John Birch Society, ultrakonserwatywnego stowarzyszenia założonego w 1958 r. w celu zwalczania domniemanej

komunistycznej działalności w USA. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)] to gromadka świętych chłopaków i dziewczyn. Tak więc jeśli nawet uznawała mamę za skomuszałą wariatkę, nie życzyła sobie, żebym mieszkała z „tym pisarzem”, jak nazywała tatę. Chyba obarczała go winą za to, że mama stała się skomuszałą wariatką. W każdym razie, kiedy dwa lata temu babcia Larker zmarła, zamieszkałam z ojcem. Przeżyłam z rodziną ostatni rok szkoły średniej i pierwszy na uniwersytecie. To wszystko. - Jack pokiwał głową, a Gabbie ze zdziwieniem zauważyła, że na jego twarzy odmalował się wyraz szczerzej troski. Nie wiadomo dlaczego, to odkrycie ją zmartwiło, poczuła się jak pod obserwacją. Nagle zawstydzila się tej swojej, jak uznała, paplaniny. Poganiając konia, zapytała: - A ty?

Jack zrównał się z nią na swoim wierzchowcu i odparł:

- Nic szczególnego. Stara rodzina z Karoliny Północnej. Pra-pra-pradziadek wybrał hodowlę koni zamiast uprawy tytoniu. Niestety, udało mu się wyhodować tylko powolne konie wyścigowe, więc podczas gdy wszyscy okoliczni sąsiedzi się bogacili, on cudem uniknął bankructwa. Moja rodzina nigdy nie miała zbyt dużo pieniędzy, za to całe tony szlacheckiej historii rodu - parsknął śmiechem - i powolne konie. Trzymamy się tradycji. Nie mam braci ani sióstr. Ojciec prowadzi badania - jest fizykiem - na Uniwersytecie Karoliny Północnej, i to właśnie dlatego skończyłem tam studia licencjackie. Mama jest staromodną panią domu. Obawiam się, że moje wychowanie przebiegało dość normalnie.

- Brzmi cudownie - odparła z westchnieniem Gabbie. Potem, zmieniając ton i nastrój, dodała: - Jedźmy trochę szybciej. - Zamierzyła się, by wbić pięty w boki My Dandelion. Zanim jednak zdołała to uczynić, usłyszała krzyk Jacka:

- Nie!

Ton jego głosu sprawił, że podskoczyła z przestachu, więc natychmiast obróciła się ku niemu, czując rozlewający się po policzkach rumieniec. Była na pół zażenowana, na pół rozżłoszczona. Nie podobał jej się ten ton.

- Przepraszam, że tak wrzasnąłem - tłumaczył się - ale tu niedaleko jest dość paskudny zakręt, a potem dość gwałtowny spadek, z którego trzeba trafić na mostek, a to dość trudne. Jak już mówiłem, ten szlak nie przypomina prawdziwego szlaku jeździeckiego.

- Przepraszam. - Gabbie odwróciła się z powrotem do przodu i umilkła. Zapadła niezręczna cisza, ale żadne z nich za bardzo nie wiedziało, jak można naprawić tę sytuację. W końcu odezwał się Jack.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro.

- Już przeprosiłam - odparła Gabbie rozdrażnionym tonem.

Jack przybrał rozjuszony wyraz twarzy i dodał nieco głośniejszemu:

- Ale mnie i tak jest bardziej przykro niż tobie.

Gabbie wykrzywiła się do niego i krzyknęła:

- Tak?! A mnie jest tak przykro, jak tobie nigdy w życiu nie będzie!

Przez chwilę oboje ciągnęli tę niby sprzeczkę, minęli spadek terenu i odkryli przed sobą mostek. Koń Gabbie spłoszył się nagle i próbował zawrócić.

- Hej! - Ścisnęła klacz mocniej kolanami, bo ta wciąż próbowała wyrywać się na boki. Kiedy zaczęła zarzucać łbem, Gabbie ściągnęła mocniej wodze i rzuciła: - Przestań! - Koń usłuchał, a Gabbie obejrzała się na Jacka. - Co jest?

- To Most Trolla.

Aż jęknęła głośno.

- Daj spokój!

- Tak go nazywają tutejsze dzieciaki. Nie sądzę, aby siedział pod nim troll, który dybie na kozły, ale z niewiadomych przyczyn konie nie lubią po nim przejeżdżać. - Chcąc pokazać jej, o co mu chodzi, musiał ściągnąć wodze Johna Adamsa i kilkakrotnie mocno zdzielić go piętami po bokach, zanim zdołał zmusić go do wjazdu na most. Gabbie zrobiła podobnie i przekonała się, że My Dandelion też nie bardzo pali się, by wejść na stare kamienie mostka, dopóki dziewczyna nie ubodła jej naprawdę mocno piętami. Lecz kiedy tylko znalazły się w połowie mostka, klacz wyrwała nagle przed siebie, jakby nie mogła się doczekać, kiedy go opuści.

- To dość niesamowite.

Jack przytaknął kiwnięciem głowy.

- Sam nie wiem. Konie potrafią być dość dziwne. Może wyczuwają tam jakiś zapach. Tak czy owak, mówi się, że to nawiedzony las...

- Nawiedzony! - przerwała mu szyderczo Gabbie.

- Nie twierdzę, że w to wierzę, ale dzieją się tutaj różne dziwne rzeczy.

- Na przykład jakie? - spytała, ruszając naprzód.

- Jakieś światelka w lesie, wiesz? Jak błędne ognie, tylko że w pobliżu nie ma bagnisk. Może to ognie świętego Elma. W każdym razie niektórzy ludzie twierdzą, że głęboko w lesie słyszeli muzykę, - a poza tym krąży też historia o zaginionych dzieciach.

- Porwanych?

- Nikt nie wie dokładnie. To się wydarzyło prawie sto lat temu. Mówią, że pewnego razu grupka ludzi wybrała się na piknik z okazji Czwartego Lipca i wtedy w lesie zginęła parka dzieci.

- Przypomina film, który kiedyś widziałam.



- Tak, to było mniej więcej to samo. - Jack uśmiechnął się wesoło. - W tym lesie naprawdę łatwo się zgubić, a wtedy wyglądało tu o wiele gorzej. Żadnej drogi w promieniu wielu mil, co najwyżej koleiny po wozach. Pittsville zajmowało wtedy mniej więcej jedną dziesiątą dzisiejszego miasteczka. Żadnych osiedli ani domów handlowych, tylko kilka oddalonych od siebie farm i gęste lasy. W każdym razie przeszukiwano las bardzo długo i nie natrafiono na najmniejszy ślad. Żadnych ciał, nic. Niektórzy sądzą, że zabili je Indianie.

- Indianie?

- W pobliżu znajdował się rezerwat. Małe plemię Cattaraugusów, Alleganów albo tym podobnych. Zamknięto go dawno temu. No więc banda farmerów wkroczyła wtedy do tego rezerwatu i już mieli zacząć strzelać, kiedy Indianie oznajmili, że te dzieci porwały duchy. I co dziwne, farmerzy po prostu odwrócili się i poszli do domu. Przez następne lata wiele razy zdarzały się tu podobne historie. Ten las cieszy się dość znaczną sławą z powodu różnych dziwnych zjawisk.

- Jak na chłopaka z południa sporo wiesz o tutejszych lasach.

- To dzięki Aggie - odparł z serdecznym uśmiechem. - Jest czymś w rodzaju eksperta. To takie jej hobby. Przekonasz się, co mam na myśli, kiedy ją poznasz. Przyjdiesz w następną sobotę, prawda?

Uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie z trudem ukrywane zainteresowanie.

- Pewnie tak.

Minęli gęstą kępę drzew i nagle ujrzeli przed sobą duży, łysy wzgórek. Wznosił się na wysokość jakichś dwudziestu pięciu stóp, dominując nad niewielką polaną. Porastała go wyłącznie trawa. Nie było na nim żadnego drzewka czy krzewu.

- Pagórek wrózek! - orzekła Gabbie z wyraźnym zachwytem.

- Erlkönighügel.

- Co takiego?

- Erlkönighügel. Po niemiecku dosłownie to Wzgórze Króla Olch, czyli Wzgórze Króla Elfów. Tak je nazwał ojciec staruszka Kesslera. Tak zresztą brzmi oficjalna nazwa posiadłości w księgach: Wzgórze Króla Elfów, choć wszyscy tutaj nazywają ją Farmą Starego Kesslera.

- Dość odległe od pierwowzoru. Wiąże się z tym jakaś historia?

Okrążając powoli wzgórze, Jack odpowiedział:

- Myślę, że tak, ale ja jej nie znam. Wiem tylko, że tutejsi nazywają to miejsce Lasem Wrózek, odkąd w 1820 roku założono Pittsville. Myślę, że stąd właśnie zaczerpnął pomysł ojciec staruszka Kesslera, kiedy pojawił się tu osiemdziesiąt kilka lat temu. W Niemczech też

mają legendy o elfach i wróżkach. W każdym razie *Der Erlkönig* to tytuł poematu Goethego. Dość strasznego zresztą.

Pokonali wzniesienie i zjechali po niewielkiej pochyłości ku ścieżce, która prowadziła z powrotem na farmę. Kiedy odjeżdżali, Gabbie obejrzała się przez ramię na pagórek. Z niewiadomych przyczyn ogarnęło ją przeczucie, że to miejsce pogrążone jest w oczekiwaniu. Odsuwając na bok tę dziwną myśl, zaczęła się zastanawiać, co zrobić, żeby Jack jeszcze do niej zadzwonił.

Farma Agathy Grant okazała się morzem zieleni, otoczonym brzegami nowo budowanych domków. Przez lata wyprzedano większość otaczających ją gruntów, a nowa firma budowlana, Colonial Woodlands, rozłożyła się niecałe sto jardów za stodołą. Tylko wielkie pofalowane łąki na północy, a od południa lasy chroniły dom przed całkowitym zagarnięciem przez rozrastające się ciągle miasteczko. Agatha żyła dosłownie na brzegach miasta. Jej dom stanowił kolejne dziwo z przełomu wieków, choć z zewnątrz wydawało się, że znacznie staranniej przemyślano jego wystrój - dumiała Gloria.

Agatha powitała ich na frontowych schodkach. Była to starsza, krzepka pani o żywym spojrzeniu i wyprostowanej sylwetce, mimo trzymanej w lewej dłoni laski z kościaną gałką. Nadzwyczaj ciepło przywitała Phila, po czym złożyła uprzejme całusy na policzkach Glorii i Gabbie. Wprowadziła wszystkich do obszernego salonu, gdzie czekał już na nich Jack Cole, i zaprosiła, by usiedli. Chłopcy zajęli natychmiast dwuosobową sofę, zafascynowani jej dziwnym, obustronnym układem. Gabbie i Gloria rozsiadły się w dwóch wygodnych fotelach, natomiast Agatha przysiadła na obszernej sofie obok Phila, trzymając go za rękę.

Jack otworzył barek, ukazując oczom zebranych przedni wybór trunków, zapytał, kto sobie czego życzy, po czym zajął się przygotowywaniem drinków. Wręczył szklaneczkę Philowi, który pociągnął łyk i ku swemu miłemu zaskoczeniu odkrył w niej aromatyczną szkocką single-malt.

- Glenfidditch?

- Glenfidditch.

- Ależ dziękuję panu - rzucił Phil z widocznym zadowoleniem.

- Masz coś dla chłopców? - zapytała Agatha.

Jack pokazał dwie wysokie szklanki.

- Coca. Może być?

Chłopcy odebrali od niego szklanki. Jack rozdał pozostałe drinki, potem trzymał się w pobliżu Agathy, aż ta po chwili upomniała go:

- Jack, przestań tak nade mną krążyć. Bądź grzecznym chłopcem i idź usiąść obok tej ładnej dziewczyny.

Młodzieniec, z szerokim uśmiechem na twarzy, ruszył posłusznie w stronę fotela Gabbie i przysiadł na poręczu. Agatha uśmiechnęła się, a Gloria zrozumiała, dlaczego jej mąż żywi do niej tak dużą sympatię. Była osobą pełną wewnętrznego ciepła. Sprawiała, że obcy ludzie szybko przestawali odczuwać w jej obecności skrępowanie. Teraz zwróciła się do

Phila:

- Kiedy Malcolm Bishop wydrukował w pittswilskim „Heraldzie” tę krótką notkę o twoim przyjeździe, ledwie mogłam uwierzyć. Co cię tu przywiodło?

Phil roześmiał się i zerknął na Glorię.

- Zdecydowałem się wrócić do pisania powieści.

- Nie, chodziło mi raczej o to, dlaczego akurat Okręg Williama Pitta? - Patrzyła teraz na Phila w taki sposób, że na chwilę wprowadziła Glorię w lekkie zakłopotanie. Nie wiadomo dlaczego ta starsza pani nadal uważała, że Phil musi się przed nią tłumaczyć, jakby wciąż był jej studentem, a i z twarzy samego Phila widać było, że i on nadal czuje tę zależność.

- Stąd pochodzę. Stary dom rodzinny byłby za mały. Ma tylko dwie sypialnie, a do tego leży w dzielnicy, która jest teraz dość zaniedbana. Rozejrzałem się więc za czymś większym i natrafiłem na Farmę Starego Kesslera. - Wzruszył ramionami. - Bo ja wiem. Dość miałem Los Angeles i przemysłu filmowego. Pamiętam jeszcze te pola i łowienie ryb w stawie Doaków. Pamiętam opowieści o nawiedzonym Lesie Wrózek i to, jak podpuszczaliśmy się nawzajem, żeby przejść tamtędy po zmroku w Halloween, a nikt nigdy się nie odważył. Pamiętam mecze baseballowe na dzikim boisku i to, jak w lecie jeździłem swoim starym, sfatygowanym rowerem po zakurzonych drogach. I te głupawe dowcipy, jakie dzieciaki z liceum w Charlestown opowiadały o nas, z Picville. I jak się na nich wściekaliśmy, a potem sami zaczęliśmy mówić tak samo. Pamiętam... że jestem stąd.

Pokiwała głową.

- No cóż, przekonasz się, że wiele się tu zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. - Potem uśmiechnęła się i całe napięcie gdzieś znikło. - Ale wiele też pozostało bez zmian. - A zauważywszy, że chłopcy wypili już colę, zwróciła się do nich: - Może pójdziecie pobawić się na dwór. Mamy kilka nowych zwierząt w stodole. Kotka się okociła.

Chłopcy zerknęli na matkę, która kiwnęła głową na znak przyzwolenia, po czym szybko skorzystali z możliwości ucieczki. Phil wybuchnął śmiechem.

- Kiedy byłem w ich wieku, nie cierpiałem „dorosłych” rozmów.

- Jak my wszyscy - zgodziła się z nim Agatha. - A więc teraz piszesz?

- Tak, choć idzie mi to znacznie ciężiej niż kiedyś.

- Zawsze tak jest.

Słyszając tę uwagę, Jack roześmiał się głośno.

- Mówię dokładnie to samo, kiedy próbuję uporządkować jej papiery.

- Ten chłopak to prawie taka sama niezdara jak ty, co oznacza, że jest tylko odrobinę lepszym asystentem. - Phil nie sprawiał wrażenia zbytnio przejętego takim porównaniem. -

Choć, co prawda, na tle innych moich studentów radziłeś sobie całkiem dobrze. Cieszę się, że wróciłeś do pisania książek. Te filmy trudno byłoby nazwać sztuką.

Rozmowa zesłała na omawianie różnic między scenariuszem a powieścią i przez chwilę wszyscy oswajali się z nową sytuacją, ciesząc się odkrywaną na nowo przyjaźnią między Agathą a Philem oraz tą drugą, nowo nawiązywaną - między Gabbie a Jackiem. Gloria trzymała się na uboczu, obserwując męża. Phil odpowiadał na pytania Aggie i w pewnym sensie jej naciski zdołały w jedną chwilkę wydusić zeń więcej treściwej informacji, niż Glorii udało się wyciągnąć w ciągu ostatnich kilku tygodni. Niepewna, co właściwie czuje, zamyśliła się na chwilę.

Żałowała, że Phil nie powiedział jej tyle co Aggie, ale z drugiej strony starsza pani była w jego życiu kimś bardzo szczególnym. Kiedy rodzice Phila zginęli w wypadku samochodowym, wychowywała go ciotka, Jane Hastings. Aggie Grant, przyjaciółka Jane z czasów studenckich, oraz jej mąż Henry często gościli w jej domu. Kiedy Phil uzyskał licencjat na uniwersytecie w Buffalo, przeniósł się do Cornell, by studiować u Aggie. I to właśnie Aggie załatwiła mu stypendium, dzięki któremu mógł skończyć studia. Gloria przyznawała w duchu, że Aggie wywarła olbrzymi wpływ na karierę Phila. Choć była przyszywaną ciotką, bardziej niż związki rodzinne liczył się fakt, iż była jego mentorką, potem promotorem pracy magisterskiej i pozostała jedyną osobą, dla której żywił niezachwianą zawodową sympatię i szacunek. Gloria przeczytała dwie z krytycznoliterackich książek Aggie i obie uznała za rewelacyjne. Umysłowość tej kobiety zdawała się istnym cudem - na podstawie lektury ukończonego dzieła potrafiła intuicyjnie wczuć się w procesy myślowe, jakie towarzyszyły autorowi w trakcie pracy. Nie zdobyła szerokiego uznania poza kręgami akademickimi, miała też swoich przeciwników, lecz nawet najbardziej zajadli spośród nich zmuszeni byli przyznać, że jej pomysły warte są przynajmniej rozważenia. Nie wiadomo, jakim cudem Aggie wysnuwała na temat nieżyjących twórców teorie, które po prostu pasowały. Niemniej na polu literatury Gloria pozostawała jedynie czytelnikiem, a nie krytykiem, więc niektóre fragmenty książek Aggie zdały jej się tajemnymi rytami, przeznaczonymi tylko dla wąskiego kręgu wtajemniczonych wyznawców. Nie, nie, jeśli Agatha jest w stanie naciągnąć Phila na rozmowę o jego pracy, Gloria raczej powinna jej być wdzięczna. A jednak czuła się lekko pominięta. Nagle usłyszała, że Agatha zwraca się bezpośrednio do niej.

- A ty co o tym wszystkim sądzisz?

Gloria postanowiła improwizować, wykorzystując aktorskie umiejętności. Nie wiadomo dlaczego nie chciała, by wiadano, że się zamyśliła i nie śledziła toku rozmowy.

- O książce? Czy o przewodniczce?

Agatha spojrzała na nią uważnie, potem uśmiechnęła się.

- Miałam na myśli przewodniczkę. To chyba duża zmiana dla ciebie po Hollywood i tym wszystkim.

- No cóż, wschód nie jest dla mnie aż tak zupełną nowością. Pochodzę z Kalifornii, ale kiedy pracowałam w teatrze, przez kilka lat mieszkałam w Nowym Jorku. Niemniej, żoną farmera będę po raz pierwszy w życiu.

- Trudno byłoby cię nazwać żoną farmera, moja droga. Herman Kessler trzymał tylko tyle żywego inwentarza, żeby móc uzyskać ulgi podatkowe: tuzin owiec, do tego mnóstwo kur i kaczek. Na farmie nigdy niczego nie uprawiano. Ojciec Hermana, Fredrick Kessler, nie pozwalał na to, potem to samo robił Herman. Od ponad wieku te łąki nie znają pług, a las - topora. Zresztą, w tych okolicach nigdy się tyle nie uprawiało co w innych, pobliskich. Las za waszym domem to może nie pierwotna puszcza, ale chyba najgęstszy bór w promieniu wielu setek mil. Możliwe, że jest jedyną taką łąką niewykarczowanego gruntu w całym stanie Nowy Jork.

- Sam miałem cię zapytać o to samo - wtrącił Phil.- Kiedy byliśmy w Cornell, wydawało mi się, że zadomowiłaś się na dobre w Ithace. A teraz pojawiłaś się w moim rodzinnym mieście. Dlaczego?

Aggie podniosła się i podeszła do rozsuwanych drzwi.

- Chwileczkę.

Odsunęła drzwi i zniknęła im z oczu, lecz niemal natychmiast pojawiła się z powrotem, niosąc wielki niebieski segregator. Siadając na kanapie, wręczyła segregator Philowi. Otworzył go i przeczytał stronę tytułową.

- *Migracja irlandzkiej mitologii ludowej do Ameryki w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Studium krytyczne.* Agatha Grant. - Zamknął segregator. - Myślałem, że jesteś na emeryturze.

- Na emeryturze to jeszcze nie znaczy w grobie. To takie moje hobby od niepamiętnych już czasów. - Zastanawiała się przez chwilę. - Zaczęło się wkrótce po śmierci mojego Henry'ego. Pracowałam już nad tym, kiedy byłam twoją promotorką, tylko nigdy ci o tym nie wspominałam. Aarne i Thompson dokonali bardzo ścisłej klasyfikacji, którą opublikowano w 1961 roku. A ja teraz wykorzystuję ich indeks, żeby z jego pomocą badać twórczość Reidara Christiansena. On sam prowadził badania porównawcze folkloru skandynawskiego z irlandzkim. Mam zamiar zrobić coś podobnego ze starszymi celtyckimi mitami i irlandzkimi legendami, które przywędrowały do Ameryki. - Teraz zwracała się

zarówno do Phila, jak i Glorii oraz Gabbie. - Kiedy jako dziecko wyrastałam w East Hampton, miałam cudowną guwernantkę, Irlandkę o nazwisku Colleen O'Mara. Panna O'Mara opowiadała mi i bratu najcudowniejsze historie o elfach i wróżkach, o karzełkach i skrzatach. Przez całe życie fascynowały mnie podania ludowe. Formalne wykształcenie uzyskałam z literatury klasycznej i współczesnej, ale rozczytywałam się w bajkach Yeatsa zupełnie tak samo jak w jego wierszach - a pewnie i z większym entuzjazmem. W każdym razie tym się obecnie zajmuję. Było wiele fal imigracyjnych z Irlandii - poza tym ogólnie znanym ziemniaczanym głodem - w czasie których do Ameryki zjechało tysiące ubogich mieszkańców wsi. Większość z nowo przybyłych osiedlała się w wielkich miastach bądź też wędrowała na zachód, by pracować przy budowie kolei. Natomiast Pittsville jest jedną z niewielu społeczności wiejskich, które przyjęły i zatrzymały kilka fal irlandzkiej imigracji, większość zaś z osiedleńców została farmerami. Tutejszy obszar to taka mała Irlandia. Ten region nie jest mi całkiem obcy, bo przecież przez wiele lat przyjeżdżałam tu do mojej drogiej Jane. - Na wzmiankę o zmarłej ciotce wymieniła z Philem ciepłe spojrzenia. - Kiedy zaproponowano mi katedrę we Fredonii, nie wahałam się ani chwili, gdzie zamieszkać. Lubię Pittsville. Mam stąd tylko pół godziny drogi do miasteczka uniwersyteckiego. Poza tym, czekało mnie tu kilka miłych niespodzianek.

Phil pokazał po sobie, że nie rozumie, co Aggie ma na myśli, więc Jack pospieszył z wyjaśnieniem:

- Niedaleko stąd mieszka Mark Blackman. - Machnął niedbale ręką w zachodnią stronę.

- Ten okultysta? - zainteresował się Phil.

- Ten sam - odparł Jack.

- Kim jest ten Blackman? - zapytała z kolei Gabbie.

- To pisarz, naukowiec, wszystko po trosze - wyjaśnił jej Jack. - Dosyć znacząca, ale i dość kontrowersyjna postać. Opublikował wiele książek o okultyzmie i magii, które mocno poruszyły środowiska akademickie. Poza tym, jest ulubionym przeciwnikiem Aggie w dyskusjach.

- Mark Blackman prowadzi swoje badania w nieco piracki sposób, poza tym zwykle głosi opinie, których nijak nie potrafi obronić, ale robi to w czarujący sposób. Wkrótce go poznacie. Dołączycie do nas na kolacji.

- Wspaniale - ucieszył się Phil.

- Jest również kopalnią wiedzy o sprawach, którymi się teraz zajmuję - mówiła Agatha. - W swej bibliotece ma kilka bardzo rzadkich książek: pierwsze wydanie *Legendy o*

*elfach i wróżkach oraz tradycyjne podania ludowe z południowej Irlandii* Thomasa Croftena, jeśli możesz w to uwierzyć, a do tego niesłychaną liczbę prywatnych wspomnień i dzienników. Jego pomoc jest wprost nieoceniona.

- A co Blackman robi w Pittsville?

- Sam go o to zapytaj. Mnie nie udało się z niego wyciągnąć żadnej rzeczowej odpowiedzi, choć zabawnie było słuchać, jak się wykręca. Zdradził mi tylko tyle, że pracuje nad nową książką, choć jej temat nadal pozostaje wielką niewiadomą. I to wszystko. - Agatha przerwała na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - Uważam, że jest fascynujący, choć irytuje mnie trochę tą przesadną dyskrecją.

Phil roześmiał się głośno.

- Agatha wierzy w powszechną wymianę pomysłów. - Tę uwagę rzucił w stronę pozostałych, nie zważając na głośne protesty zainteresowanej. - Kiedy zacząłem skrobać na boku jakąś fikcję, nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chcę jej nic pokazać, zanim nie będzie gotowe.

Agatha zwróciła się do Gabbie:

- Dziecko, twój ojciec nie pisze. On warzy w jaskini magiczne mikstury i biada temu, kto przerwie czar, zanim będą gotowe.

Phil przyłączył się do ogólnego śmiechu, a rozmowa wróciła do tematu starych znajomych i przyjaciół ze wspólnie spędzonych lat w Cornell.



Patrick i Sean krążyli nad skrzynką w stodole. Kotka spoglądała na chłopców obojętnie, kiedy głaskali i bawili się z jej młodymi. Kocięta były akurat w tym rozkosznie niezdarnym okresie, tuż po otwarciu ślepek, a ich nieporadne psoty pobudzały chłopców do nieustannego śmiechu.

Patrick podniósł jedno z kociąt, które cichutko zamiauczało. Pogłaskał je i rzekł:

- Całkiem fajne, co?

Sean kiwnął głową i pogładził drugiego kociaka. Nagle jego uwagę przyciągnął szelest siana dobiegający z najodleglejszego kąta stodoły.

- Co to?

- Co?

- Tam! Coś rusza się w sianie. - Wskazał miejsce ręką. Patrick odłożył kocię i podniósł się z kolan. Ruszył zdecydowanie we wskazanym kierunku, ale Sean krzyknął:

- Nie!

Patrick zawahał się i odwrócił.

- Dlaczego? - zapytał stanowczo.

Sean z widocznymi oporami podszedł bliżej i stanął obok brata.

- Może to szczur albo coś.

- O rany! - rzucił Patrick. - Ale z ciebie dzidzia. - Rozejrzał się dookoła i zauważył przy drzwiach zardzewiałe widły. Zdjął je ze ściany. Ledwie mógł manewrować długim narzędziem. Powoli podszedł do wskazanego kąta i zaczął nakłuwać stare, zleżałe siano. Przez długą chwilę wydawało się, że pod porzewiałymi zębami wideł, którymi wymachiwał przed sobą, nie ma nic oprócz skoszonej, suchej trawy. Ostrożnie zanurzył widły głębiej i odgarnął na bok kilka wiązek.

Wtem pod sianem coś się ukazało. Podniosło się. Miało nie więcej niż dwie stopy wzrostu i patrzyło na chłopców wielkimi oczyma. Był to mały człowieczek, od stóp do głów ubrany w dość dziwaczny strój - wysoki kapelusz, zielony surducik, wąskie bryczesy i buty z maleńkimi złotymi sprzączkami.

Chłopcy zamarli bez ruchu, jakby bali się nawet odetchnąć. Mały człowieczek uchylił przed nimi kapelusza i z dzikim, wrzaskliwym śmiechem zeskoczył z siana dokładnie między nich, wylądował i natychmiast puścił się biegiem po klepisku stodoły. Patrick powtórzył jak echo Seanowy okrzyk przestachu, kiedy puścił widły i okręcił się gwałtownie, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z maleńkiej postaci, która przy przeciwległej ścianie stodoły

podskoczyła wysoko i zniknęła w szczelinie między obluzowanymi deskami.

Chłopcy stali jak wryci, z wytrzeszczonymi oczyma, i w milczeniu próbowali dojść do ładu z tym kalejdoskopem obrazów, jakich byli świadkami. Powoli odwrócili się do siebie twarzami i każdy ujrzał na obliczu drugiego dokładne odbicie własnego przestachu. Po czym szeroko otwarte niebieskie oczy, zastygłe na twarzach uśmiechy i wyprostowaną sztywno sylwetkę zastąpił nagle ruch, gdy obaj rzucili się pędem do wrót stodoły.

Wybiegli na dwór, po czym obejrzel się za siebie. Wtem zamajaczył przed nimi cień i zagarnęła ich para potężnych ramion. Chłopcy krzyknęli z przerażenia, bo coś trzymało ich mocno. W nozdrza uderzył ich dziwny, niemiły zapach, a głęboki, zgrzytliwy głos zahuczał:

- No, no! O co chodzi, chłopaki?

Ramiona puściły, a chłopcy cofnęli się o krok. Przekonali się, że cień należy do starszego, wysokiego i barczystego mężczyzny o siwych, potarganych włosach i nieogolonej twarzy przypominającej wyprawioną skórę. Przyglądał im się przekrwionymi oczyma, uśmiechając się w dość przyjacielski sposób.

Serce Patricka powoli zwolniło swój szaleńczy łomot, a chłopak rzucił okiem na Seana. Wymienili między sobą jakąś myśl, bo obaj rozpoznali zapach, który unosił się dookoła mężczyzny jak obłoczek piżma. Mężczyzna cuchnął whisky.

- No, spokojnie, o co chodzi?

- Coś tam było - zaryzykował Patrick, wskazując na stodołę. - W sianie.

Mężczyzna wyminął chłopców i ruszył w głąb stodoły, potem poczekał, aż wskażą mu miejsce. Rzeczowym krokiem podszedł do leżących wideł i ostentacyjnie ponakłował nimi siano.

- Już sobie poszło - powiedział Sean.

Mężczyzna ukląkł i porozgarniał trochę siana, a potem wstał i widłami zrobił jako taki porządek. Odwrócił do chłopców pogodną, uśmiechniętą twarz.

- No i co to było? Szczur?

Patrick zerknął na Seana i ledwie dostrzegalnie kiwnął głową, ostrzegając, by ten nic nie mówił.

- Możliwe - odpowiedział. - Ale to było dużo większe. - Wciąż mówił napiętym głosem, więc z całej siły starał się odzyskać panowanie nad sobą.

Mężczyzna obrócił się w miejscu i spojrzał w dwie przejęte twarzyczki.

- Duże, mówicie? No cóż, gdyby tu były kury albo kaczki, ale ich nie ma, i gdyby to była noc, a nie jest, podejrzewałbym, że to łasica albo lis. Cokolwiek to było, zniknęło jak wczorajsze obietnice. - Mężczyzna odłożył widły na miejsce. Potem popatrzył uważnie na

chłopców. - No, chłopaki, który pierwszy zechce mi powiedzieć, co tu właściwie widzieliście?

Patrick milczał, więc odezwał się Sean:

- To było duże i miało zęby. - Jego głos wciąż drżał, więc zabrzmiało to przekonująco.

Wyraz twarzy mężczyzny uległ natychmiastowej zmianie. Błyskawicznie stanął przy nich i schylił się, wsparty dłońmi o kolana, tak że oczyma znalazł się na poziomie wzroku chłopców.

- Jak duże?

Patrick rozstawił ręce na odległość mniej więcej dwóch stóp.

- O, takie.

Mężczyzna wyprostował się powoli i potarł zarośnięty podbródek.

- Święci pańscy. To mógł być ten stary zbój. Pewnie przyszedł tu na obiad z kociąt - rzucił cicho.

- Jaki zbój? - spytał Patrick, który nie mógł sobie wyobrazić, po co ktokolwiek miałby jeść kocięta.

Mężczyzna ocknął się z chwilowego zamyślenia.

- No tak, taki jeden szop. Stary tyran, co mieszka w lesie na wschód stąd. Od jakiegoś miesiąca zabija kury i kaczki, a od czasu do czasu schrupie kota albo psa. - Jakby do siebie dodał: - Chociaż gdyby to był rzeczywiście on, kocia mama narobiłaby niezłego hałasu.

Sean pokiwał głową, a Patrick powiedział:

- Jack mówił, że on mieszka pod mostem.

- Tak mówił, co? Jack Cole to całkiem przyzwoity chłopak, ale to obcy, bo pochodzi z Karoliny Północnej. Tak czy inaczej, dorośli zawsze muszą znaleźć sobie jakąś odpowiedź, nawet jeśli jest zła. - Z tym obaj chłopcy łatwo się zgodzili. - Gdyby farmerzy wiedzieli, gdzie się chowa ten zbój, dopadliby go już kilka tygodni temu. No, chłopaki - dodał po chwili - panna Grant nie ucieszy się, gdy się dowie, że ten stary szop buszuje w jej szopie i zagraża kociętom. Zgadzą się?

Chłopcy wzruszyli ramionami i kiwnęli głowami. Mężczyzna jeszcze raz potarł podbródek.

- No dobrze, mam wasze słowo. A więc na tym koniec. - Zmieniając temat, zapytał: - No, ale co wy właściwie robiliście w szopie panny Agathy, co, chłopcy?

- Powiedziała, że możemy pobawić się z kociętami.

- No, skoro tak powiedziała, to powiedziała - zgodził się mężczyzna. - Ale one są jeszcze bardzo malutkie i jak wszystkie dzidzisie muszą dużo odpoczywać. Może

wyjdziemy na dwór i pójdziemy zobaczyć jagniątka na łące? - Delikatnie, ale stanowczo wprowadził ich na podwórko. - A kim wy właściwie jesteście?

Chłopcy podali mu swoje imiona, a mężczyzna oznajmił:

- Patrick i Sean? To piękne irlandzkie imiona.

Patrick uśmiechnął się szeroko.

- Nasza mama jest Irlandką. Nazywała się O'Brien.

- O'Brien! - wykrzyknął mężczyzna. - Ale chyba nie z tych O'Brienów z Ballyhack, co?

- Jest z Glendale - zauważył Sean.

- No jasne, pełno jest najróżniejszych O'Brienów, to fakt. - Zatrzymał się przed wejściem do stodoły. - No, Seanie i Patricku, na mnie wołają Barney Doyle, zresztą całkiem słusznie, bo tak się właśnie nazywam. Miło mi was poznać. - Wymienił z nimi uroczysty uścisk dłoni. - Chodźmy więc i popatrzmy sobie na jagnięta.

Kiedy szli przez podwórze, siatkowe drzwi uchyliły się i wyrzała zza nich Agatha Grant.

- Barneyu Doyle! Dokąd to zabierasz tych chłopców?

- Żeby im pokazać jagnięta, panno Agatho.

- A co z moją pompą? Potrzebuję wody, żeby przygotować kolację.

- Wszystko naprawiłem i chodzi jak nowe, o czym już by pani wiedziała, gdyby odkręciła pani kurek. W tej właśnie chwileczce miałem zboczyć z drogi, żeby pani o tym powiedzieć.

Z miny Agathy wynikało jasno, że nie bardzo chce jej się w to wierzyć, ale kiwnęła tylko głową.

- Kolacja będzie za godzinę, więc przypilnuj, żeby wrócili na czas i zdążyli umyć ręce.

- Dobrze, panno Agatho.

Kiedy gospodyni wróciła do środka, Barney oświadczył:

- Bardzo porządna kobieta, choć nie Irlandka. Chodźmy teraz zobaczyć te jagnięta.

Kiedy szli ścieżką prowadzącą na łąki po południowej stronie domu, z szosy zjeżdżał właśnie jakiś samochód i kierował się podjazdem w stronę domu. Chłopcy pobiegli przodem, a Barney podrapał się fraszobliwie po głowie. Szczerze wątpił, by w szopie było coś, co miało dwie stopy wysokości i zęby, bo kotka już przenosiłaby swoje młode w inne miejsce, gdyby w pobliżu czaił się drapieżnik. Lecz nie miał żadnych wątpliwości, że coś musiało mocno nastraszyć malców. Zmówił w duchu krótką modlitwę do świętego Patryka i świętego Judy, żeby to były tylko jakieś hałasy, a nie to, czego się obawiał. Potem ruszył pospiesznie w ślad

za bližniakami.

Agatha przyglądała się z ganku, jak z samochodu wysiadają dwaj mężczyźni. Stojący obok niej Philip także obserwował parę nowo przybyłych. Kierowcą był wysoki mężczyzna o energicznym kroku. Miał czarne włosy, poprzetykane na skroniach srebrnymi nitkami, zaczesane gładko do tyłu, wysokie czoło i zupełnie czarną, krótko przyciętą bródkę. Wiek mężczyzny trudno było określić po wyglądzie: wahał się między trzydziestką a pięćdziesiątką. Nosił biały golf, na to - mimo ciepłej pogody - brązową sztruksową marynarkę oraz brązowe luźne spodnie. Kiedy wszedł po schodkach, uśmiechając się na powitanie do Agathy, Philip zauważył, że ma prawie czarne oczy.

- Marku, to jest Philip Hastings.

Mężczyzna wyciągnął rękę do uścisku i rzekł:

- Czytałem pańskie książki, panie Hastings. Można powiedzieć, że jestem pańskim wielbicielem.

- Proszę mi mówić Phil.

- A to jest Gary Thieus - oznajmiła Agatha. Philip wyciągnął rękę.

- Po prostu Gary - odrzekł ten drugi z szerokim uśmiechem, który odsłonił wprost niewiarygodną liczbę zębów. Był obcięty na zapałkę, a po obu stronach jego głowy sterczały duże, prawie spiczaste na końcach uszy.

- To mój asystent - wtrącił Mark - i najlepszy kucharz w okolicy, wyłączając tu obecnych.

- Wejdźcie i napijcie się czegoś. Kolacja nie jest jeszcze gotowa, więc mamy czas, żeby się lepiej poznać. - Agatha pozwoliła Philowi przytrzymać drzwi, podczas gdy sama poprowadziła nowych gości do środka.

Philip wszedł ostatni, tuż za Garym. Asystent Blackmana poruszał się charakterystycznym długim, luźnym krokiem, który Philowi przywodził na myśl koszykarzy, a w każdym razie kogoś ze sportową przeszłością.

Jack podał drinki Markowi i Gary'emu, a Agatha zniknęła z powrotem w kuchni. Jack powrócił w pobliże Gabbie, a Gloria skomentowała uśmiechem uwagę Marka, że widział ją kiedyś w jakiejś sztuce. Kiedy jednak wspomniał o niewielkich komplikacjach w trakcie drugiego aktu, uśmiechnęła się znacznie szerzej.

- Naprawdę widziałeś tę sztukę! - Wyciągnęła rękę i mocno uściśniła jego dłoń. - W moim poprzednim zawodzie słyszałam wiele pustych pochlebstw.

- Nie, rzeczywiście widziałem tę sztukę i całkiem dobrze pamiętam też twoją rolę.

- Jack, co powiesz na partyjkę tenisa jutro? - zagadnął Gary.

Młodzieniec jęknął głucho.

- Chciałeś chyba powiedzieć: jak zapatruję się na to, że jutro spuścicie mi kolejne baty? - Zwrócił się do Gabbie: - Wie, że mam kulawą nogę, i lubi wprawiać mnie w zakłopotanie.

- A ty grywasz? - Gary spytał Gabbie.

- Trochę - odparła dziewczyna.

- To świetnie, wpadnę po Ellen i możemy zagrać debla.

Gabbie wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej polegniemy razem - odezwał się Jack. - Dziewczyna Gary'ego gra w tenisa tak samo dobrze jak on, a to znaczy świetnie. Mam nadzieję, że potrafisz kryć większą połowę pola.

Po twarzy Gabbie przemknął leciutki uśmiech, Gloria zaś roześmiała się cicho, kryjąc twarz za szklanką i pociągając łyk drinka.

Mark przybliżył się do niej i zapytał konfidencjonalnie:

- Czy ona gra dobrze?

- Gabbie rozgrywa mecz tak, jakby to była bitwa - odszepnęła Gloria.

- Gary jest całkiem niezły, Ellen też.

- Zapowiada się ciekawy mecz - wtrącił Phil, który podszedł, by usiąść obok żony.

- Kupiłeś Farmę Starego Kesslera - zauważył Mark. - To jedna z najciekawszych posiadłości w okolicy. Sam próbowałem ją wynająć, kiedy miałem zamiar tu osiąść.

Gloria i Phil wymienili spojrzenia, po czym Phil odpowiedział:

- Mieliśmy po prostu szczęście. Zacząłem szukać oferty tydzień po tym, jak farmę wystawiono na sprzedaż. Kupiliśmy ją prawie za bezcen. Kessler zmarł ledwie miesiąc przed tym, jak zadzwoniłem do agenta. A zatem musiałeś chyba próbować wynająć ją od samego staruszka.

- Właściwie nie. Kiedy tu przyjechałem, Kessler był w Niemczech, a dom prawie rok stał pusty, jednak nie mogłem znaleźć nikogo, kto mógłby mi wskazać, jak się z nim skontaktować. Może odwiedzał krewnych albo przyjaciół swego ojca. Tam zresztą zmarł, jak wiecie.

Philip kiwnął głową.

- Wspominano nam o tym. Po co chciałeś wynająć tę farmę?

Mark uśmiechnął się.

- To miejsce ma własną historię. - Umilkł na chwilę, potem ciągnął dalej: - Właśnie

pracuję nad nową książką i choć niechętnie wdaję się w szczegóły, powiedzmy, że historia rodziny Kesslerów ma niemałe znaczenie dla jej treści. Ojciec Hermana, Fredrick Kessler, był dość tajemniczym człowiekiem. Przybył tu z południa Niemiec, a może z Austrii w 1905 roku i przywiózł ze sobą mnóstwo pieniędzy. Wygląda na to, że kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, miał drobne problemy z obywatelstwem, ale poza tym uważany był za szanowanego obywatela tutejszej społeczności. Ożenił się z dziewczyną, Helgą Dorfmann, i miał z nią syna. Kupił fabrykę mebli, konkurującą z podobnymi, choć większymi zakładami w Jamestown. Produkował meble tanie, lecz solidne, więc zarobił mnóstwo pieniędzy. Jedną z bardziej interesujących historyjek opowiada o tym, że na terenie swej posiadłości zakopał całą swoją fortunę w złocie.

Gloria roześmiała się, zachwycona.

- Ukryty skarb! Zaczniemy kopać!

Gary uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

- To ogromna posiadłość. Zajęłoby to wam sporo czasu. A poza tym, to tylko bajka do poduszki.

- Mnie samego interesuje - ciągnął Blackman - biblioteka Kesslera i różne inne poniewierające się drobiazgi, efemerydy z czasów młodości Fredricka Kesslera, by tak rzec.

Gloria spojrzała na Phila, który powiedział:

- My sami ledwie rzuciliśmy okiem na książki w bibliotece. Agent nie miał pojęcia, co się znajduje w tym domu. Kiedy Kessler zmarł, zalegał z podatkami, więc spieszno im było sprzedać posiadłość. Sąd wyznaczył Kesslerowi egzekutora bankowego. Odniosłem wrażenie, że nie wszystko odbyło się w całkowitej zgodzie z przepisami. Urzędnik z działu pożyczek, z którym rozmawiałem, w oczywisty sposób chciał tę sprawę jak najszybciej załatwić. Tak czy owak, nie było żadnych spadkobierców, więc dzięki umowie otrzymaliśmy wszystko, łącznie ze starymi ubraniami, zastawą, meblami i książkami. Nie zdążyłem się w tym zorientować nawet w jednej dziesiątej. Proszę bardzo, możesz wpadać i pożyczać, co tylko zechcesz.

- Miałem nadzieję, że to usłyszę. Może więc za kilka dni. Wiesz, co ci powiem: gdyby ci nie przeszkadzało, że Gary i ja pomyszkujemy przez jakiś czas po domu, moglibyśmy w tym samym czasie skatalogować zbiory, tak żebyś miał pełny spis, kiedy skończymy. A jeśli coś wpadnie mi w oko, chciałbym mieć prawo pierwokupu.

- Masz je.

- W piwnicy i na strychu też jest pełno starych kufrów - dorzuciła Gloria.

Gary'emu zaświeciły się oczy.

- Cudownie! Kto wie, jakie dziwne skarby czają się w mroku!



Gabbie wybuchnęła śmiechem.

- Jack twierdzi, że ten las jest nawiedzony, a teraz jeszcze ten ukryty skarb! Ty to masz nosa, tato!

W salonie znów pojawiła się Agatha i zażądała pomocy, więc Jack zgarnął Gabbie i we dwójkę poszli nakrywać do stołu. Gary wspomniał jakiś film Phila, więc rozmowa skierowała się w stronę opowieści z Hollywood i nieuchronnych frustracji związanych z kręceniem filmów. Gloria wycofała się, pozwalając, by rozmowa toczyła się obok niej. Z niewiadomych przyczyn wzmianka o nawiedzonym lesie i ukrytych skarbach wzbudziła w niej niepokój. Z równie niewyjaśnionych przyczyn zaczęła się zastanawiać, gdzie też podziewają się chłopcy.

Kolacja była wyśmienita. Zgodnie z obietnicami Jacka Agatha Grant okazała się wyjątkową kucharką. Przygotowała bardzo elegancki posiłek, każde zaś ze składających się na niego dań przyrządziła, dbając o szczegóły, co gwarantowało prawdziwą ucztę. Nawet bliźniacy, którzy zwykle mocno grymasili przy jedzeniu, tym razem skończyli swoje porcje bez narzekań.

Gloria zauważyła, że jej chłopcy są trochę nieobecni duchem i że od czasu do czasu spoglądają na siebie, jakby łączył ich jakiś sekret. Zapytała, czy dobrze się bawili, a obaj zgodzili się, że farma Aggie jest fajna.

- Barney pokazał nam jagnięta - zaryzykował Sean.

- Kim jest Barney? - zainteresował się Phil.

- To taki pan - odpowiedział Sean. - Naprawiał kanalizację.

- No, pachnie jak wujek Steve - dodał Patrick, nabijając na widelec różyczkę brokułu. „Wujek” Steve Owinski był innym scenarzystą, bliskim przyjacielem Phila, a także nałogowym alkoholikiem.

Jack wstał i szybko pozbierał ze stołu puste talerze, żeby odnieść je do kuchni.

- Barney Doyle - odezwała się Agatha. - To tutejsza złota rączka. - Dostrzegłszy lekką troskę na obliczu Glorii, dodała: - Trochę popija, ale jest zupełnie niegroźny. Z tego, co słyszałam, w młodości był niezłym zabijaką, ale całe lata temu przysiągł, że nie tknie więcej alkoholu. I nagle znów zaczął pić. Nie mam pojęcia dlaczego.

- No cóż, wiecie, co mówią o alkoholikach - wtrącił Gary - że tak naprawdę nigdy nie wychodzą z nałogu. Gloria przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Tak czy owak - kontynuowała Agatha - naprawdę ma smykałkę do takiej roboty, więc gdybyście mieli jakieś problemy ze sprzętami, dzwońcie do niego. Serwisanci z domów towarowych zwlekają tygodniami, chcą zabierać zepsute urządzenia ze sobą, a potem trzymają je w nieskończoność. Barney jest solidny i niedrogi. Ma warsztat, właściwie taką szopkę, po drugiej stronie mojej farmy, przy samym końcu Williams Avenue. Od was można przejść na skróty przez las. - Agatha uśmiechnęła się tkliwie. - Barney przypomina mi prostsze czasy, do których tęsknię, kiedy w razie problemów wystarczał jeden miejscowy warsztat. To żyjący relikwiny dawnej Ameryki. Poza tym, trzymam go tutaj nie tylko ze względu na jego zdolności, ale i z powodu swoich badań. Urodził się w Irlandii i posiadał niesłychane bogactwo irlandzkiej tradycji ustnej. Porównując to, co on wie, z tym, co przechowali w pamięci tutejsi Irlandczycy w drugim, trzecim i czwartym pokoleniu, mogę próbować

określić, jak wielkim zmianom podlegały mity przywiezione z Irlandii do Ameryki.

Jack wytknął głowę zza drzwi.

- Kawy? - Policzył tych, którzy się zgłosili, i zniknął z powrotem w kuchni.

Gabbie podniosła się z miejsca.

- Chyba pójde mu pomóc.

- Aggie podjęła się trudnego zadania - odezwał się Mark. - Irlandzkie podania ludowe, jak większość europejskich, „zastygły” przez utrwalenie ich w druku. Dzisiaj dzieci raczej czytają baśnie, niż słuchają ich, siedząc u kolan matek, jeśli w ogóle je czytają.

- A zatem nie sądzisz, by udało jej się wykryć jakieś większe zmiany? - zapytał Phil.

Mark pokręcił przecząco głową, a Agatha uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Już raz się o to spieraliśmy - oświadczyła. - Mark jest czymś w rodzaju domorosłego antropologa społecznego i twierdzi, że w Europie i Ameryce nie istnieje już prawdziwa tradycja ustna.

- No cóż, może podtrzymywana jest jeszcze wśród starszych Indian albo wieśniaków w Appalachach, ale nigdzie indziej. Nie w czasach, kiedy w Europie i Ameryce można sięgnąć po książkę i przeczytać w niej daną historię. Nie, jeśli badasz podania o cluricaune - w okręgu Williama Pitta znajdziesz tę samą opowieść co w hrabstwie Cork.

- Co to są cluricaune? - zainteresował się Phil.

- Karzełki. W różnych częściach Irlandii nazywane są też lurikeen, lurigandaun i luricans.

Agatha zerknęła w stronę chłopców i zapytała:

- A wy wiecie, co to są karzełki?

- Małe ludziki w zielonych kubraczkach? - odparł Patrick z dziwnym wyrazem twarzy.

Słyszając jego odpowiedź, Sean otworzył szeroko oczy i z nagłym ożywieniem wypalił:

- Darby O’Gill!

- No właśnie! - roześmiał się Phil.

- Kto to jest Darby O’Gill? - zdziwił się Mark.

- To taka postać z filmu Disneya, *Darby O’Gill i Mały Ludek*. Chłopcy oglądali go przed naszym wyjazdem z Kalifornii.

- Tak - naburmuszył się Sean - tam na kablówce mieliśmy kanał z disnejowskimi kreskówkami.

- Poddaję się - orzekł Mark. - Chłopcy swoją wiedzę o mitach czerpią z telewizji.

- Są niepokieszeni, że na farmie nie ma telewizji kablowej - wtrąciła się Gloria. Zmierzwiała włosy Seana. - Teraz będziecie musieli zadowolić się trzema kanałami, jak

normalni ludzie.

- Chłopaki, to miała być niespodzianka, ale niech tam. W przyszłym tygodniu przyjdą zainstalować nam antenę satelitarną.

Chłopcy otworzyli szeroko oczy.

- Będziemy mieli setki kanałów! - krzyknął Patrick.

Wśród ogólnego śmiechu Gloria kazała synom uspokoić się nieco.

- Tato Barry'ego Waltersa ma taki kanał, gdzie są gołe panie - oznajmił Sean.

- Porozmawiamy o tym w domu - odparła Gloria.

- Nic nie szkodzi. - Roześmiał się Phil. - Zamówiłem taką z blokadą. Chłopcy jeszcze przez kilkanaście lat nie będą mogli oglądać niczego, co ma adnotację „Tylko dla dorosłych”.

Do jadalni wrócili Jack z Gabbie, niosąc kawę i ciasto.

- A skoro mowa o elfach i wróżkach, to wiecie, jaka dziś jest noc?

Mark i Agatha popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem, ale to Gloria odpowiedziała w końcu:

- Noc świętojańska.

- Jak u Szekspira? - spytał Jack.

- Myślałem, że letnie przesilenie było trzy dni temu - zdziwił się Phil.

- W kalendarzu kościelnym wypada dwudziestego czwartego - wyjaśniła Gloria. - W dzień urodzin świętego Jana Chrzciciela.

- Czytałem *Sen nocy letniej* - mówił Phil. - Ale myślałem, że chodzi o jakąś zwykłą letnią noc.

- Są trzy dni, o których powiada się, że mają dla wróżek specjalne znaczenie: pierwszy maja, dwudziesty czwarty czerwca i pierwszy listopada. Według legendy dzisiejsza noc jest nocą świętowania i mocy.

- A pozostałe dwa dni? Wiem, że pierwszy listopada to Dzień Wszystkich Świętych, ale co z pierwszym maja?

- To święto robotników - podsunął Gary. - Wróżki są marksistami.

Na tle ogólnego jęku pozostałych Agatha wyjaśniła:

- To dzień po Nocy Walpurgii, tak samo jak Dzień Wszystkich Świętych następuje po Halloween. Oba są Dniem Przenosin.

Widząc, że pozostali nic nie rozumieją, Mark Blackman pospieszył z wyjaśnieniem:

- W irlandzkiej tradycji wróżki w te dwa dni przenoszą się z miejsca na miejsce. Mówimy tu o wróżkach gromadnych. Szekspir kazał im na wieki pozostawać wśród mroku:

*My zaś, elfy, przy Hekaty  
Potrójnym zaprzęgu gońce,  
Co jak za snem w mroków światy*

*Uchodzim, gdy błysnie słońce...* \* [\* Oba cytaty z: W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, tłum. Stanisław Koźmian. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1955.]

- Ale jest w tym poglądzie zupełnie odosobniony. Według tradycji wróżki żyją przez sześć miesięcy w jednej połaci lasu, potem przenoszą się do innej, być może w innej części świata. Odbywają tę podróż w ciągu jednej nocy.

Mark ponownie zacytował Szekspira:

*Dokoła ziemię tym lotem opaszę  
W czterdzieści minut.*

- I właśnie dlatego wszędzie krąży o nich tyle opowieści. Przez wieki wróżki mieszkały już w każdej części świata - dodała Aggie. - Jeśli się w nie wierzy.

- A dziś właśnie jest ta ich szczególna noc? - rzuciła ze śmiechem Gabbie.

- Według legendy - potwierdziła Aggie. - Dziś w nocy organizują wielkie przyjęcie.

Gabbie odwróciła się do Jacka i zaproponowała:

- Chodźmy wieczorem na ten pagórek wrózek. Może zobaczymy to przyjęcie.

- Nie radziłbym - odezwał się Mark. Wszystkie spojrzenia momentalnie zwróciły się w jego stronę. - Ten las po zmroku może być dość niebezpieczny.

Gloria sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

- Jak to: niebezpieczny?

Gabbie skrzywiła się groteskowo.

- Upiory? Indiańskie duchy przodków?

- Gabbie, daj mu skończyć - rzuciła ostro Gloria. Gabbie splonęła się i już miała coś odpowiedzieć, kiedy zobaczyła, że Jack kręci głową i pokazuje jej chłopców, którzy siedzieli nieruchomo, przyglądając się Markowi z niezwykłą uwagą. Nagle pojęła troskę Glorii i zrobiło jej się głupio. - Dlaczego w lesie jest niebezpiecznie, Mark? Dzikie zwierzęta?

Mark uśmiechnął się, usiłując przybrać uspokajającą minę.

- Nie, nic z tych rzeczy. Od wieków nie ma tu wilków ani niedźwiedzi. Od jakichś stu lat w okolicy nie trafiło się nic większego od lisa lub łasicy. Chodzi o to, że łatwo się tu zgubić, a miejscami trzeba przedzierać się przez prawdziwą gęstwinę. - Zwrócił się do Aggie:

- Pamiętasz Reno MacManusa? Zgubił się, wracając na skróty po ciemku, spadł z wysokiej skarpy i złamał biodro. Znaleźli go dopiero po dwóch dniach. Zmarł z wycieńczenia. A przecież mieszkał w tych stronach przez całe życie. To nie najlepszy pomysł - szwendać się po zmroku po lesie, i to tylko miałem na myśli.

- Reno MacManus był pijaczną, który zgubiłby się i we własnej wannie. Jeśli Jack i Gabbie wezmą latarki i będą trzymać się ścieżki, nie powinni mieć kłopotów. - Spojrzała na młodych wesoło, jakby chciała zaznaczyć, że Mark wykazał się tępotą, nie zauważywszy, że chcą spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

- No cóż, to prawda - przyznał wreszcie Mark i zakończył temat.

Agatha podniosła się z miejsca.

- Przenieśmy się do salonu, jak cywilizowani ludzie, i tam kontynuujmy ten przemąły wieczór. - Zerknęła na Jacka. - Weź ze sobą brandy, dobrze?

Opuścili jadalnię i rozsiedli się wygodnie w salonie, gdzie rozmowa zeszła na zupełnie inne tory. Gloria, siedząc obok Phila, rzuciła spojrzenie na chłopców, którzy byli wyraźnie znacznie mniej niesforni niż zazwyczaj. Miała ich o coś zapytać, jeszcze przy stole, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, o co. Porzuciła więc tę myśl.

Gabbie i Jack szli niespiesznie po ścieżce, przed nimi zaś sunął krąg światła z latarki, oświetlając opadłe gałązki czy inne drobne przeszkody na drodze. Gabbie uparła się, żeby Jack poszedł z nią przez las w poszukiwaniu elfowego party. Światło zamigotało i przygasło na chwilę.

- Cholera jasna! - odezwał się chłopak. - Przeklęte baterie wysiadają.

- Nie do wiary! - odparła dziewczyna z szerokim, południowym zaśpiewem. - Co za język?! I w dodatku u dżentelmena! - Jack, ledwie widoczny w mroku, uśmiechnął się szeroko. - W porządku, Lancelocie. Zdarzyło mi się w życiu słyszeć kilka krótkich anglosaskich przerywników. Jestem wyzwoloną dziewczyną.

Jack roześmiał się cicho.

- To zauważyłem. I do tego wyjątkową.

Gabbie zamilkła i przez chwilę szli w milczeniu, po czym zapytała:

- Nie mówisz tego ot, tak sobie, prawda?

Zatrzymał się i skierował w dół światło latarki. Przez chwilę, w odbitym od ścieżki blasku, studiowali się nawzajem. Nic nie odpowiedział, ale pochylił się ku niej i delikatnie ją pocałował. Dziewczyna zastygła na chwilę, potem przysunęła się lekko i pozwoliła mu się objąć. Poczowała ciepło jego silnego ciała, a serce w przyplýwie podniecenia zaczęło jej walić jak młotem. Po jakimś czasie odepchnęła się łagodnie, mówiąc cicho:

- Ach... to była całkiem niezła odpowiedź.

Uśmiechnął się.

- No chyba. - Objął ją w pasie i ruszył dalej, a dziewczyna dostosowała swój krok do jego kroku. - Naprawdę myślę, że jesteś wyjątkowa, Gabbie. Wiem, że dużo przeszłaś, ale to tylko dodało ci głębi. Większość dziewcząt w twoim wieku - tych, które znam - jest zwykle o wiele młodsza.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Czasami próbuję się z tym kryć. A z tobą... chyba ci po prostu ufam.

- Dzięki.

Przez chwilę nic nie odpowiadała, więc słyszeli jedynie odgłos swoich kroków na ścieżce i poszum wiatru wśród drzew. Wieczór był wilgotny i ciepły, a nad lasem wisiał księżyc, prawie w pełni, który oświetlał nieco drogę. W końcu zagadnęła:

- Ja... spotykasz się z kimś?

- Z nikim szczególnym - odparł bez chwili wahania. Urwał na chwilę, potem dodał: -

Miałem dziewczynę, jeszcze na Chapel Hill, nazywała się Ginger Colfield. Spotkaliśmy się w kolejce przy zapisach na pierwszy rok, wiesz: Cole - Colfield. Chodziliśmy na poważnie. Przynajmniej tak traktowała to Ginger. Ale kiedy tu przyjechałem, trochę trudniej było nad wszystkim zapanować, wiesz? Ginger jest teraz w Atlancie. Pracuje dla firmy Coca-Cola, w dziale reklamy. Wydaje mi się, że zaręczyła się. A u mnie od roku nic nowego. A jak u ciebie?

- Tylko chłopak z liceum, dwa lata temu w Arizonie. Od tego czasu nic. Czasem tylko się z kimś umawiam.

- Mnie to nie za bardzo wychodzi - odparł Jack. - Mam tendencję do popadania w długotrwałe związki. - Umilkł na chwilę. - Po tym ostatnim nie mogłem jakoś się pozbierać, wiesz?

Słyszając to wyznanie, Gabbie odczuła zarówno ulgę, jak i rodzaj zakłopotania. Jack bardzo jej się spodobał, bardziej niż którykolwiek inny chłopak od dłuższego już czasu, jednak martwiła się, że sprawy mogą wymknąć się spod kontroli.

- Nie masz zbyt dobrego zdania o romansach na odległość, co?

Przystanął i zapytał:

- W październiku wracasz do Kalifornii, prawda?

Odwróciła się do niego twarzą.

- Tak. - Nagle zezłościła się na siebie za to, że niepotrzebnie przyspiesza bieg rzeczy. - Słuchaj, nie chcę robić z tego żadnej wielkiej sprawy, okej?

Odwrócił wzrok, jakby wypatrywał czegoś w mroku, a potem rzekł:

- A może to już jest wielka sprawa.

Spięła się nagle, niepewna, co teraz powinna zrobić. Gdzieś z najgłębszego zakamarka wypłynęła w niej cała fala uczuć, zaskakując ją swoją intensywnością. Nagle bardzo przestraszyła się Jacka Cole'a i wpływu, jaki na nią wywierał. Lecz zarazem wiedziała, że to, co zostanie powiedziane w ciągu kilku następnych minut, może mieć zasadniczy wpływ przynajmniej na resztę lata, a może nawet na znacznie dłuższy okres. Wypuszczając wraz z westchnieniem ten nagły przypływ energii, pochyliła się do przodu i oparła mu głowę na ramieniu.

- Człowieku... co ty ze mną wyprawiasz?

Objął ją, nie mówiąc ani słowa. Miała wrażenie, że serce próbuje wyrwać jej się spomiędzy żeber, że nie może nabrać w płuca dość powietrza. A on szepnął jej miękko do ucha:

- Możesz przenieść się do Fredonii. A może ja mógłbym się jeszcze załapać na ten



program w San Diego. Moglibyśmy uciec do Paryża i mieszkać na jakimś poddaszu, tylko że beznadziejnie mówię po francusku. - Zachichotała. - Ale może na razie poczekajmy i zobaczymy, czy jutro nadal będziesz chciała się do mnie odzywać, dobra?

Uśmiechnęła się, uspokojona taką odpowiedzią. Dostrzegła w jego oczach jakąś niezwykle ujmującą troskę, dobrze widoczną mimo mroku nocy. Czując w całym ciele gwałtowne uderzenie gorąca, rzuciła:

- Mogłabym stwierdzić u siebie poważny przypadek sympatii do ciebie, Jacku Cole.

W odpowiedzi znów ją pocałował. Kiedy nieco ochłonęli, dodała ochryplym głosem:

- Może nawet coś więcej.

Znów się pocałowali. Gabbie uświadomiła sobie zniecka, że po raz pierwszy, odkąd zaczęła umawiać się na randki, jest z mężczyzną, który mógłby w każdej chwili zabrać ją gdzieś, żeby się z nią kochać, a ona poszłaby za nim bez wahania. W uszach pulsowała jej krew, oddychała szybko i głęboko. W chwili dziwnego oderwania myśli zastanowiła się w duchu: „Czy ja się zakochuję w tym facecie?”

Nagle Jack zeszywniał i nastrój przysł.

- Co jest? - zapytała.

- Posłuchaj - rzucił zduszonym głosem.

Wyteżyła słuch. Z początku nie słyszała nic, dopiero po chwili dotarł do niej cichy, nieznanym dźwięk. Rozbrzmiewał tuż pod maskującym poszumem poruszanych nocnym wietrzykiem liści ledwie cień innego dźwięku, irytująco bliski czegoś dobrze znanego, ale wciąż niepojęty i nierozpoznawalny.

Wtem w powietrzu pojawiło się coś innego - jakaś nowa jakość, cudowna i przerażająca. Coś błąkało się na krawędzi pojmowania, sięgając przez świadomość do głębszych, bardziej prymitywnych warstw emocji. Gabbie poczuła, że puls przyspiesza jej gwałtownie, a do oczu napływają łzy. Szepnęła:

- Co się dzieje?

Przytuliwszy ją mocniej do siebie, Jack odszepnął:

- Nie wiem, Gabbie. Nie mam pojęcia. - Oddychał głęboko, jakby starał się zapanować nad ogarniającymi go obcymi, potężnymi emocjami. Wziął kolejny głęboki wdech i dodał: - Tu się dzieje coś dziwnego. - Rozejrzał się dookoła. - Wydaje mi się, że to tam. - Z tymi słowami czar nie wiadomo czemu przysł. Czymkolwiek były te zdumiewające i dziwne odczucia, pierzchły, kiedy tylko się poruszył. Gabbie także wzięła dla uspokojenia kilka głębokich wdechów, potem ruszyła za nim.

Ostrożnie sunęli przez las w stronę źródła owych odczuć. Kiedy przelazili przez pień

zwalonego drzewa, Jack oświadczył nagle:

- Wiem, gdzie jesteśmy.

Gabbie rozejrzała się, ale nie miała bladego pojęcia, gdzie się znajdują. Całą uwagę skupiła teraz na Jacku, bo zdała sobie sprawę z tego, że gdyby coś mu się stało, nie będzie nawet w stanie sprowadzić pomocy.

- Gdzie jesteśmy?

Wskazał kierunek ciemniejącym strumieniem światła z latarki i wyjaśnił cicho:

- Tam, za tym wzniesieniem, znajduje się Most Trolla. Stąd ścieżka prowadzi prosto na tyły twojego domu.

Z ulgą kiwnęła głową. Jack ruszył przed siebie jak żołnierz na zwiadach, lekko przygarbiony, napięty, jakby w oczekiwaniu zasadzki. Manewrował między drzewami, wspinając się po niewielkiej pochyłości. U jej szczytu zaklął.

- Co się stało? - zapytała Gabbie.

- Przeklęta latarka wysiadła. - Słyszała, jak uderza nią o dłoń, ale nie dostrzegła żadnego światła. Po kilku nieudanych próbach uruchomienia jej na nowo Jack schował latarkę do tylnej kieszeni spodni. Rozejrzał się dookoła, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności.

- Chodź tu bliżej - szepnął.

Gabbie wspięła się wyżej i wtedy dojrzała go w mroku.

- Świeci księżyc - zauważył - ale bądź ostrożna. Bywa tak, że człowiek stąpnie tam, gdzie jak mu się wydaje, wszystko widzi, a i tak może się przewrócić i złamać nogę.

- Może powinniśmy zawrócić?

- Bezpieczniej będzie iść dalej w górę, a potem zejść z powrotem na ścieżkę po drugiej stronie Wzgórza Króla Elfów. Chodźmy. - Ujął ją za rękę i poprowadził na szczyt wzniesienia. Nagle cały zeszytniał. Gabbie ścisnęła go za rękę:

- O co chodzi?

Jack patrzył oczyma otwartymi szeroko ze zdumienia. Wskazał kierunek ręką. Przez chwilę Gabbie nie mogła dostrzec, co sprawiło, że stanął, potem nagle zauważyła wśród mroku, że na łysym wierzchołku Wzgórza Króla Elfów coś się porusza. Wyglądało to tak, jakby przez księżyc przesunęła się chmura, a na ziemi zatańczyły cienie. Zerknęła w górę: niebo było czyste, bezgwiazdne, ponieważ dominował na nim jasno świecący księżyc. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, stwierdziła, że na szczycie wzgórza coś się przesuwa. Jakieś kształty, przypominające ludzkie sylwetki, chwiały się i sunęły w niesłyszalnym rytmie, zdawałoby się powolnej, uroczystej pawany. Wiatr przyniósł ku nim nikły dźwięk jakby dzwoneczków, może kurantów, brzmiący prawie jak muzyka. Powietrze wypełnił

dziwny aromat, będący mieszanką zapachów kwiatowych i korzennych, zupełnie obcy, a mimo to znany.

Jack przetarł dłonią oczy, jakby przypuszczał, że tę wizję wywołała jakaś dolegliwość wzroku. Gabbie już miała się odezwać, kiedy Jack nagle wciągnął ją za pień drzewa. Coś się zbliżało. Jack mocno przyciskał do siebie Gabbie, która z niewiadomego powodu zaczęła się okropnie bać.

Coś zbliżało się ku nim przez mrok i to coś pchnęło Gabbie w jakiś pierwotny emocjonalny stan, w dziecięce przerażenie wobec nieznanego zła czającego się w ciemnościach. Przyłgnęła z całej siły do Jacka. On sam stał mocno i pewnie jak skała, pod którą można się skryć - jej obrońca. Wtedy coś pękło w niej i pojęła, że Jack będzie jej bronił. I w tej samej chwili całą swą troskę skoncentrowała na nim. Nagle zaczęła się bać, że go utraci.

Strach wzbierał w niej stale. Wiedziała, że coś potężnego i złośliwego czai się w zasięgu ręki. Cokolwiek to było, znalazło się na tyle blisko, że mogło ich dotknąć. Gabbie ukryła twarz na piersi Jacka i wstrzymała oddech, ogarnięta niewytłumaczalnym przerażeniem. Czuła w pobliżu czyjąś obecność, która wkrótce całkowicie ich otoczyła. To coś wiedziało, że oni kryją się za drzewem i już miało po nich sięgać. Wiedziała, że kiedy ich dotknie, oboje będą zgubieni. Prymitywny instynkt podszeptował jej, co to jest, a w gardle Gabbie wzbierał krzyk przerażenia.

Potem zła obecność zniknęła. Gabbie powstrzymała gwałtowne pragnienie zerwania się z krzykiem do ucieczki, przełknęła własny strach. Czuła, że Jack stęzał z napięcia jak skała, że oddycha teraz płytko i gwałtownie. To, co się do nich zbliżało, zawróciło, a wraz z nim odeszło przerażenie. Gabbie wbiła palce w ramiona Jacka i nasłuchiwała przez chwilę, lecz bezimienne zło zniknęło.

Wśród mroku rozbrzmiewały teraz tylko znane im dźwięki nocy - poskrzypywanie poruszanych wiatrem starych konarów, szelest liści. Tu i ówdzie szybki tupot małych łapek wskazywał, że mijało ich któreś z nocnych stworzeń, być może uciekająca przed sową wiewiórka lub żerujący w pobliżu szop.

Gabbie wciągnęła powietrze głęboko i gwałtownie, czując, jak rozlewa się po niej fala ulgi. Poczowała, że Jack również rozluźnia się z wolna. Szepnął:

- Nic ci nie jest?

- Nic - odszepnęła. - Co to, u diabła, było?

- Nie mam pojęcia. - Wyprowadził ją zza pnia i zerknął ponad wzniesieniem. To, co widzieli wcześniej, zniknęło bez śladu. Po chwili milczenia zapytał: - Co widziałaś?

Gabbie zawahała się, bo sama nie była do końca pewna.

- Coś. Jakies bliżej nieokreślone kształty. Może to te światełka, o których opowiadałeś mi, kiedy jeździliśmy konno. Wiesz, ognie świętego Elma. W każdym razie to nie było wyraźne.

Jack na dłuższą chwilę pogрузił się w milczeniu. W końcu powiedział:

- Tak, to musiało być to.

- A dlaczego pytasz? Co ty widziałeś?

Jack spojrzał na nią, w świetle księżycy jego twarz wyglądała bardzo blado.

- Pomyślisz pewnie, że zwariowałem, ale mógłbym przysiąc, że w pierwszej chwili widziałem na szczycie wzgórza gromadę tańczących ludzi, poubieranych w długie szaty i suknie. A potem nagle wszystko spowila mgła.

- Za dużo brandy? - rzuciła bez przekonania.

- Może. Ale jedno jest pewne: wyglądało to niesamowicie. - Wziął ją za rękę i poprowadził przez szczyt wzniesienia, a potem w dół, w stronę ścieżki do domu. - Odtąd, kiedy będę słyszał dziwne opowieści o tym lesie, będę brał je trochę bardziej poważnie.

Kiedy ruszyli dalej, Gabbie zaczęła rozpamiętywać, co się stało. Po pokonaniu Wzgórza Króla Elfów wspomnienie o tańczących postaciach stawało się coraz bardziej zamazane, aż w końcu nabrała przekonania, że tylko wyobraziła sobie te kształty, a tamto przerażenie wywołał lęk przed mrokiem. Gdy przekroczyli Most Trolla i zbliżali się do domu, stawała się coraz bardziej pewna, że padła ofiarą własnej wyobraźni.

- Jack?

- Co?

- To pewnie głupio zabrzmiało, ale... co właściwie widzieliśmy tam na wzgórzu?

Jack zmylił na chwilę krok, jakby zaskoczyło go to pytanie, potem odzyskał równowagę.

- Co...? Coś... bo ja wiem. Pewnie jakieś igraszki światła. A dlaczego pytasz? Martwisz się?

Powiedziała, że nie, i z powrotem umilkła. Nie mogła pojąć, dlaczego tak strasznie przejęła się kilkoma dziwnymi kształtami w oddali. Była pewna, że to, co widzieli ona i Jack, było tylko grą cieni i księżycowego blasku na szczycie łysego wzgórzka. Zresztą, jej myśli szybko porzuciły rozpamiętywanie sekretów nocy. Wszystkie zwracały się teraz w stronę zasadniczej kwestii - tego, co właściwie czuje do Jacka. A to, jak dla niej, była wystarczająco duża tajemnica.

Ukryty za nimi w mroku, wystąpił teraz zza drzewa, słysząc niesione wiatrem ostatnie

odgłosy tancerzy. Kiedy krył się przed oczyma śmiertelnych, był czarny i bezkształtny. Gdy sobie tego zażyczył, maska zmieniała się, a on oszałamiał swoim pięknem, stawał się wzbudzającą podziw doskonałością. Miał oczy niebieskie jak lód zamarzonego jeziora w zimowej kryjówce, której nigdy nie oglądały oczy śmiertelnika, i pełne gracji ruchy, gdy zdawał się przepływać bezgłośnie przez krajobraz. Całą jego postać otaczał nikły blask, a towarzyszył mu zapach korzeni i kwiatów. Był światłem, pięknem i złem. Spoglądał za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu, potem zwrócił się twarzą w stronę tej drugiej. To właśnie jej bliska obecność powstrzymała go w zamiarze zabawienia się kosztem tej dwójki śmiertelnych, którzy ich mijali. Tylko ona potrafiła rzucić wyzwanie jego woli. Tylko ona miała dość mocy, by mu się przeciwstawić. Ogarnięty złością, lekko przestraszony, roześmiał się, a śmiech ten rozdarł czerń nocy. Z wykrzywioną twarzą już pozbawioną wesołości ukłonił się w stronę dworu Królowej i zniknął.

Na odległym wzgórzu dwór Królowej zatrzymał się w tańcu, bo ucichła muzyka. Grajkowie jak jeden mąż odwrócili się i wbili wzrok w ciemność za tancerzami. Wszyscy zadrżeli, bo wiedzieli, że to znów on pojawił się wśród nocy i zabiera to, czego tylko zapragnie, i że z dala od Królowej wszyscy zdani są na jego łaskę. Bali się, bo słyszeć jego śmiech, znaczyło usłyszeć szaleństwo.

Gloria podskoczyła lekko z przestachu, słysząc trzaśnięcie kuchennych drzwi. Przez krótką chwilę dobiegał ją z oddali inny dźwięk - odgłos śmiechu. Uspokoila się, kiedy rozpoznała głosy Gabbie i Jacka. Przyszło jej do głowy, żeby zobaczyć, czy u nich wszystko w porządku, ale doszła do wniosku, że cichy, intymny ton ich rozmowy wskazuje na to, że obecność trzeciej osoby byłaby niemile widziana. Biorąc pod uwagę, że Gabbie w oczywisty sposób pociągał ten młody chłopak z Karoliny Północnej, Gloria postanowiła, że da im spokój.

Rzuciła okiem w stronę, gdzie Phil przeglądał jakieś notatki do swojej jutrzejszej pracy. Potem usłyszała krzyk Patricka: „Mamo! Tato!” Bez zastanowienia zerwała się z krzesła i popędziła po schodach. Chłopak wołał podekscytowanym, ale nie przestraszonym głosem. Philip z zatroskaną miną ruszył za żoną, zastanawiając się w duchu, dlaczego zrobiła się taka nerwowa.

Wchodząc do pokoju chłopców, przekonali się, że obaj siedzą na skrzyni z zabawkami i pełnymi zachwyty oczami wyglądają przez okno.

- O ranyyy! - zawołał przeciągle Sean. A Patrick powtórzył po nim jak echo.

Za stodołą w nocnym powietrzu zawisło tuzin małych światełek, drobinek niebieskozielonego blasku, które przetasowywały się w mroku, rozbłyskując i gasnąc na przemian.

- Fajne! - oznajmił Patrick.

Phil roześmiał się.

- To robaczki świętojańskie, chłopcy. Myślicie, że to jest coś? Jeden porządny deszcz, a będziemy ich tu mieć tysiące. Weźmiemy słój i nałapiemy trochę. - Potem zwrócił się do żony: - Wiesz, zupełnie zapomniałem, że istnieją świetliki. Jest to coś, co uznaje się za oczywistość, kiedy się wśród nich wyrasta. Wcale nie myślałem o tym, co poczują chłopcy, kiedy zobaczą je po raz pierwszy.

Gloria uśmiechnęła się. Nie wiadomo dlaczego, wciąż była podenerwowana, a teraz zrobiło jej się głupio z powodu niepotrzebnego niepokoju. Niemniej, ona tu jest matką.

- Dobra, a teraz wracamy do łóżek.

- Och, mamó - jęknęli równocześnie obaj chłopcy.

- Nie moglibyśmy jeszcze chwilę popatrzeć? - zapytał Sean błagalnym tonem.

- No dobrze, ale tylko chwilę. Za dziesięć minut wracam i jeśli nie będziecie w łózkach, to...

Chłopcy uśmiechnęli się łobuzersko. To nie brzmiało jak prawdziwa groźba.

- Zaraz wrócimy do łóżek - zapewnił Patrick. Wszyscy wiedzieli, że chłopcy wskoczą pod kołdry dopiero, kiedy na schodach rozlegną się kroki matki.

- W takim razie zgoda. Dziesięć minut.

Phil objął żonę w talii.

- W przyszłym roku usłyszycie piszczki.

- Co to są piszczki? - spytał zaciekawiony Sean.

- Wiosenne piszczki - odpowiedział ojciec. - Małe żabki, wielkości gumki do ołówka, wydające strasznie głośne dźwięki. To zabawne.

- Fajnie - oznajmił Patrick.

- Dobranoc, chłopcy - powiedział Phil i oboje dorośli wyszli.

Patrick i Sean dotrzykali słowa i wskoczyli do łóżek sekundę przed wejściem Glorii do ich pokoju. Kiedy otuliła ich kołdrami i wróciła na dół, Patrick szybko zasnął. Ale Sean czuł się dziwnie niespokojny, więc po dziesięciu minutach przewracania się w łóżku, poddał się i podkraść się z powrotem do okna.

Usadowił się wygodnie na skrzyni z zabawkami i przyglądał się, jak w oddali przeplatają się w tańcu zielononiebieskie światełka. Ten widok go zafascynował. W pustynnym klimacie Kalifornii nie spotyka się świetlików, a te tutaj były tak samo świetne, jak wszystko, co widział w Disneylandzie. Potem kilka światełek ruszyło w stronę domu. Sean wyciągnął szyję, żeby im się przyjrzeć, kiedy zniknęły pod okapem zwieńczonego dachówką okna. Widział mdły odbłask światełek i wiedział, że robaczki świętojańskie są tuż poniżej miejsca, w którym mógłby je dojrzeć. Przykładając twarz jak najbliżej szyby, ledwie mógł je dostrzec.

Gdy wtem jeden z nich pomknął wprost na szybę, Sean cofnął się leciutko z zaskoczenia. Otworzył szeroko oczy, bo to, co widział teraz przed sobą, w najmniejszym stopniu nie przypominało owada.

W powietrzu przed jego oczyma zawisła maleńka świetlna postać. Malusieńka kobieta, naga i doskonale ukształtowana, nie większa od Seanowego kciuka, polatywała jak koliberek na ledwie widocznych przejrzystych skrzydełkach. Ogromne oczy na malutkiej twarzy przez chwilę patrzyły na chłopca z widocznym rozbawieniem, po czym stworzenie odleciało pędem.

Sean siedział oszołomiony. Zerknął w stronę śpiącego Patricka, potem zwrócił się twarzą do drzwi na korytarz, które pozostały uchylone, żeby rodzice mogli bez hałasu zajrzeć do chłopców. Nie był pewien, co powinien teraz zrobić.

Przez długą chwilę siedział tak z bijącym pospiesznie sercem, aż w końcu wrócił do łóżka. Sen długo nie nadchodził.



Orkiestra grała hałaśliwie patriotyczną pieśń, a mimo iż wyraźnie brakło zgodności w wyborze tonacji między instrumentami dętymi blaszanymi a drewnianymi, tłum i tak reagował gorącym aplauzem. Maszerująca Orkiestra Licealna „Kuguary” szła na czele manifestacji wzdłuż Central Avenue, gdzie minie biura „Pittsville Herald”, potem skręci w State Street i wkroczy na tereny parku miejskiego. Trwały doroczne obchody święta Czwartego Lipca.

Chłopcy przysiedli na krawężniku u stóp stłoczonych dorosłych, a ich nieduży wzrost zapewniał im doskonałe pole widzenia. Każdy z nich miał w ręku małą amerykańską flagę i wymachiwał nią z wielkim entuzjazmem. Choć transmitowana w telewizji Parada Róż niezbyt ich interesowała, ta uroczystość, na którą składała się szkolna orkiestra, platformy domowej roboty i lokalne sławy w samochodach z tutejszej agencji Buicka, stanowiła dla nich obiekt fascynacji. Było w tym wszystkim jakieś pierwotne uniesienie, szczerzy, nieokiełznany duch zabawy i święta, jakiego nie doświadczyli nigdy przedtem.

Patrick trącił brata łokciem. Każdy pretekst był dobry do wszczęcia braterskiej bijatyki i Sean już się szykował do starcia, ale wstrzymał się w swoich zapędach, bo Patrick zawołał:

- Jest Gabbie!

Phil i Gloria, stojący nad synami, pomachali rękami, kiedy na widoku pojawili się jadący konno Gabbie i Jack. Miejscowi hodowcy i miłośnicy koni wystawili grupkę jeźdźców, poprzebieranych w stroje z czasów wojny o niepodległość. Jack siedział na Johnie Adamsie w kostiumie myśliwego. Nosił czapkę z szopa i flintę, ściągniętą z czyjogoś strychu. Gabbie miała na sobie piękną suknię - wyciągniętą na tę okazję z czyichś rodzinnych kufrów - która powinna była raczej znaleźć się w muzeum. Uszyta z bogatego srebrnego brokatu, nisko wycięta i dopasowana w talii, dobrze podkreślała jej figurę i ukazywała sporo dekoltu. Kiedy dziewczyna się pojawiła, w tłumie dało się słyszeć kilka głośnych gwizdów. Gabbie zaczerwieniła się, a Jack wyglądał na wyraźnie poirytowanego. Wypatrzwszy w tłumie ojca, macochę i chłopców, dziewczyna pomachała im ręką. Mijając ich, rzuciła bezgłośnie: „Po damsku”, wywracając przy tym oczyma jak w akcie rozpacz. Gloria roześmiała się i kiwnęła głową na znak, że rozumie jej mękę.

Kiedy jeźdźcy ich minęli, Gloria odezwała się:

- Prawda, że jest śliczna?

Phil przytaknął kiwnięciem głowy, a jego mina zdradzała głęboką miłość i dumę z córki. Gloria uśmiechnęła się pod nosem, kiedy dodała:

- Jack także pięknie się prezentował.

Phil wzruszył ramionami. Przed nimi przetoczyła się grupka dzieci z Gimnazjum imienia Williama Pitta, maszerując z determinacją godną wojskowej gwardii honorowej.

- Chyba tak - odparł z roztargnieniem. Gloria roześmiała się głośno. - Co? - zdziwił się.

- Po prostu znów wyłazi z ciebie nadopiekuńczy instynkt ojcowski, to wszystko.

- Ze mnie?

Gloria przyglądała się Jackowi i Gabbie skręcającym w State Street, dopóki nie zniknęli im z oczu.

- Może się mylę, ale wygląda mi na to, że tych dwoje zaczyna łączyć coś poważnego.

Phil popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Co takiego? Przecież to jeszcze dzieci.

- Nie według prawa obowiązującego w stanie Nowy Jork, kochany. Oboje mają prawo głosu, wolno im też robić wiele innych rzeczy, które pozostawia się zwykle rozsądnym z założenia dorosłym.

- No cóż, oboje są jeszcze dość młodzi, jakkolwiek by na to patrzeć. - Gloria znów wybuchnęła śmiechem, a jej mąż sprawiał wrażenie poirytowanego. - Jestem śmieszny, co? - Gloria tylko kiwnęła głową, dając upust swej wesołości. W końcu i Phil się do niej uśmiechnął.

- A więc myślisz, że to poważna sprawa?

Z dołu dobiegł ich głos Seana:

- No, w każdym razie dużo się całują.

Oboje rodzice zgodnie spojrzeli w dół, a Gloria zapytała:

- Szpiegowaliście siostrę?

Patrick, wyraźnie zniecierpliwiony, popatrzył na matkę i odpowiedział:

- O rany, mówią sobie dobranoc akurat pod naszym oknem. - Wydał wargi i udawał, że całuje Seana. Ten wybuchnął śmiechem i odepchnął go od siebie. - Buzi, buzi!

- No, no! - uspokajał ich Phil, starając się zachować powagę. - Odczepcie się od Gabbie. - Ale na twarzy żony dostrzegł wierne odbicie własnego rozbawienia.

W końcu Gloria oświadczyła:

- Dajcie jej trochę luzu, chłopcy. Za kilka lat będziecie robić to samo. A jeśli Bóg ma poczucie humoru, wasze dziewczyny będą miały młodszych braci.

Bliźniacy zrobili takie miny, jakby ten pomysł zasługiwał na umieszczenie pomiędzy smażoną wątróbką na obiad a wizytą u dentysty.

- Faj! - skomentował Sean, a Patrick tylko potrząsnął głową.

Parada trwała dalej, a kiedy minęła ich ostatnia przygotowana w domu platforma, Phil zaproponował:

- Przejdźmy do parku. - Zerknął na zegarek. - Uroczystości kończą się za godzinę, więc możemy przygotować piknik i rozpaść ognisko, zanim dołączą do nas Gabbie i Jack. Potem będziemy mieli spokój aż do fajerwerków.

Nagle, jak za sprawą czarów, obok rodziny Hastingsów pojawił się nieznajomy chłopiec. Obrzucił spojrzeniem bliźniaków, którzy odpowiedzieli mu równie taksującym wzrokiem.

- Gracie? - zagadnął, uderzając małą pięścią w podniszczoną rękawicę baseballową. Obaj chłopcy równocześnie wzięli z chodnika leżące tam dotąd rękawice. - W parku będzie mecz. Chcecie zagrać?

Chłopcy zerwali się na równe nogi, a to wystarczyło za odpowiedź. Popędzili przed rodzicami, tylko odrobinę powstrzymani okrzykiem Glorii, by nie odchodzili zbyt daleko.

Gabbie zbliżała się do miejsca wybranego na rodzinny piknik, wyzywającym gestem przytrzymując spódnicę nad kostką i prowadząc za sobą My Dandelion. Gloria zauważyła zbliżającą się pasierbicę i odezwała się:

- O cholera, pokłócili się.

Phil podniósł wzrok znad żarzącego się węgla, w którym grzebał, i przytaknął kiwnięciem głowy.

- No tak. Wygląda zupełnie jak jej matka, kiedy chciała urwać mi za coś głowę. Uszczelnić luki!

Gabbie udało się opaść na wielki koc tak, by mimo poszumu okręcanych jedwabii i sztywnych płóciennych halek nie utracić ani trochę ze swej rozzłoszczonej postawy.

- Witaj, Gabbie - odezwała się cicho Gloria.

- Cześć, kotku - dodał ojciec, przesuując węgle.

Za odpowiedź otrzymali odgłos przypominający stęknienie. Dziewczyna rozejrzała się dookoła i zauważyła, że bliźniaków nie ma w pobliżu, gdyż grają z miejscowymi w naprędce zorganizowany mecz baseballowy, a wszyscy inni krzątają się przy przygotowywaniu posiłku. Po kilkuminutowym milczeniu rzuciła:

- No dobra, czemu nic nie mówicie?

Gloria wyjęła z dłoni Phila długi widelec do barbecue i przechylając głowę, dała mu znak, że powinien porozmawiać z córką. Phil przycupnął przy Gabbie i zaczął:

- No to w czym problem?

- Och, to ta cheerleaderka! Piegowata małolata z wielkimi cyckami.

- Jack? - upewnił się Phil, odczuwając w duchu próżny żal, że nie ograniczył się do synów.

- Tak - warknęła. - Oprowadzaliśmy konie, żeby odpoczęły, zanim zabierzemy je z powrotem, a tu przyłazi ta mała suka i chce z nim porozmawiać „w sprawie osobistej” - dodała, naśladując powłóczysty ton tamtej - a on mi mówi, żebym jechała przodem i że za chwilę mnie dogoni. No cóż, jeśli gustuje w nieletnich, to jego sprawa.

Phil zerknął na Glorię, błagając w milczeniu o pomoc. Gloria przestała więc udawać, że poprawia coś przy ogniu, i podeszła do pasierbicy.

- Może jesteś dla niego trochę za surowa, Gabbie.

Oczy dziewczyny błysnęły gniewnie, gdy zerwała się z miejsca.

- Muszę odprowadzić My Dandelion z powrotem do stajni pana Laudermilcha.

- Jeśli zamierzasz pojechać konno do Laudermilchów, to jak się stamtąd wydostaniesz?

Z ledwie ukrywaną złością odparła:

- Mają nas odwiedzić.

Gloria pokręciła głową, kiedy Gabbie podkasła spódnicę i wskoczyła na konia w sposób niezupełnie przystojący damom. Dziewczyna przytrzymała spódnicę w okolicach talii, ukazując pod nią obcięte nad kolanem dżinsy i gołe łydki. Jedną nogę przewiesiła przez łęk.

- Do diabła, jak ja nienawidzę jeździć po damsku!

Zawróciła klacz i śmigając pejczem, pognąła ją klusem.

Gloria odwróciła się do Phila.

- Tak, śmiałabym twierdzić, że sprawy wyglądają coraz poważniej.

- Przynajmniej z jednej strony - zgodził się, wstając. - Nawet ją rozumiałem, kiedy szalała po zerwaniu z Dannym, w zeszłym roku... Byli ze sobą dość długo. Ale przecież Jacka zna od miesiąca. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby się tak zachowywała przy chłopaku.

- To dlatego, że teraz zakochała się w mężczyźnie, mój chłopcze. W młodym, ale już mężczyźnie. Ten pierwszy raz jest zawsze najgorszy.

Phil nie odpowiedział, tylko popatrzył w stronę, gdzie chłopcy rozgrywali swój mecz.

- Może jakoś to będzie - rzucił.

Gloria roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję.

Kilka chwil później pojawił się Jack, prowadząc za sobą Johna Adamsa.

- Cześć! - rzucił niefrasobliwie.

Gloria i Phil wymienili spojrzenia, a Jack rozejrzał się dookoła.

- Gdzie Gabbie?

- Powiedziała, że musi odprowadzić konia z powrotem do stajni - odpowiedziała mu Gloria.

- Zgadza się, ale nie minąłem jej po drodze - odrzekł Jack.

- Pojechała w tamtą stronę - wyjaśniła Gloria.

- O, do diabła - zaklął Jack, po czym dodał pospiesznie: - Przepraszam.

- Coś między wami zaszło? - zapytał Phil.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Chodzi mi o zakręt za Williams Avenue. Ona pojedzie na skrót przez las za waszą farmą. Nie zna dobrze tamtych szlaków, więc może się zgubić. Lepiej pojedę za nią.

Gloria rozważała przez chwilę, czy powinna się wtrącać, ale w końcu powiedziała:

- Gabbie była trochę wytrącona z równowagi.

Jack wskoczył na konia.

- Naprawdę?

- Mówiła coś o jakiejś cheerleaderce.

Chłopak zrobił zdziwioną minę.

- Tak powiedziała?

- Dość niedwuznacznie - odparł Phil.

Jack pokręcił głową.

- To Sheila Riley. Zdecydowała się zdawać do Cornell i chce prosić Aggie o list polecający. Prosiła mnie o pomoc, bo trochę wstydzi się Aggie, to wszystko. Poza tym spotyka się z jednym facetem w Penn. - Jack przyjrzał się uważnie Glorii. - Gabbie naprawdę to ruszyło?

- Wkurzyło do ostateczności - zauważyła Gloria.

- Phil, z całym szacunkiem, czy nie zauważyłeś przypadkiem, że twoja córka potrafi być czasem cokolwiek uparta i zawzięta? Że nie wspomnę o skłonności do przesadnych reakcji.

- Zauważyłem, Jack, a jakże, zauważyłem.

Młodzieniec wzniosł oczy ku niebu.

- Lepiej pojedź za nią. Została jeszcze godzina do zmroku. Jeśli nie przejedzie szybko przez las, będzie nie lada problem.

Bez zbędnych słów wbił pięty w boki Johna Addamsa i ruszył w kierunku Williams Avenue. Phil zaczął się śmiać, a Gloria zapytała zdziwiona:

- O co chodzi?

- Nic, po prostu podoba mi się ten facet.

- Mnie też - odrzekła.

- Hej, popatrz tam. - Phil wskazał ręką kierunek.

Zerkając w stronę rozgrywających baseballowy mecz chłopców, Gloria zapytała:

- Co takiego?

Phil zarechotał z zadowoleniem.

- Patrick wykonał kapitalny rzut na drugą bazę i wyprzedził biegnącego. Chłopak ma dobry wyrzut.

Gloria uśmiechnęła się pobłaźliwie na ten dowód ojcowskiej dumy.

- No cóż, zabierajmy się więc do wiktuałów, sir. To koniec dziewiątej rundy, przy pałce Potężny Casey, więc czy wygrają, czy przegrają, za chwilę opadnie nas gromada

głodnych chłopców.

Phil roześmiał się i wrzucił na ruszt kilka hot dogów.

Gabbie minęła szopę. Nad drzwiami wisiała schludnie wymalowana tabliczka z napisem, który wieścił: „Zakład Naprawczy Doyle’a”. Popędziła My Dandelion przez krawężnik z ubitej ziemi i minęła szopę. Wiedziała, że o kilka stóp w głębi lasu znajduje się już granica posiadłości Aggie. Nigdy jeszcze tędy nie wjeżdżała, ale kilkakrotnie byli z Jackiem w pobliżu. Wiedziała mniej więcej, gdzie biegnie ścieżka, która prowadzi na ich farmę, a stamtąd знаła już drogę na farmę Laudermilchów. Nie chciała ryzykować, że jadąc przez miasto, spotka Jacka, a ponadto odprowadzając konia do stajni Laudermilchów, miała czas, aby trochę pomyśleć.

Jej złość ulatywała, ustępując miejsca żalowi i poczuciu straty. Nigdy dotąd nie była o nikogo zazdrosna, obcy więc był jej ten dziwny, tępy ból w okolicy żołądka. Jedyne poważniejszy związek Gabbie zakończył się źle, ale nawet wtedy czuła raczej oburzenie na myśl, że ją okłamywano, niż tę okropną pustkę w środku. Policzki jej płonęły, a w oczach bez powodu zbierały się łzy. Czuła się okropnie nieszczęśliwa. Jak on mógł? - pytała samą siebie. Z łatwością odpowiadała. Z tej małej rudej była niezła laska - wielki biust, wąska talia, no i szczupłe nogi aż do samej ziemi. W oczach Gabbie zakręciły się łzy i ogarnęła ją czarna rozpacz.

Nagle do jej świadomości dotarło dziwne telepanie. Od razu domyśliła się, że obluzowała się któraś z podków My Dandelion. Zanim zdążyła ją zatrzymać, klacz potknęła się, zmieniła rytm chodu i okulała.

Gabbie natychmiast znalazła się na ziemi i już badała lewe przednie kopyto wierzchowca. Wygięta podkowa zawisała na jednym gwoździu. Klnąc z cicha, dziewczyna oderwała ją od kopyta. Przyglądając się przedmiotowi, dostrzegła, że dwa zagięte gwoździe wyrwały się i obluzowały koniec podkowy. My Dandelion przydeptała potem ten luźny koniec i wyrwała podkową niemal w całości. Nie zwracając uwagi na smugi błota, jakie końska noga pozostawiła na srebrnym brokacie, Gabbie zbadała następnie kopyto. Zauważyła dość dużą szczelinę w miejscu, skąd wykręcił się zagięty gwóźdź i kilka pomniejszych dziurek po powyciąganych hufhalach. Zaklęła jeszcze raz, myśląc o powstaniu ewentualnego krwiaka. Jeśli szczelina nie jest zbyt głęboka, będzie można ją wypełnić albo szczepić za pomocą metalowej klamry. W przeciwnym razie będzie się pogłębiać i dojdzie aż do samej koronki.

- Och, do diabła! - krzyknęła w bezsilnej złości. - To ci dopiero zasrany dzionek! Wielkie dzięki, świecie!



Trzymając w prawej ręce podkowę, lewą ujęła wodze. Będzie teraz musiała prowadzić zwierzę, bo jadąc na nim po tej kamienistej ścieżce, ryzykowała jeszcze większe urazy. Obejrzała się przez ramię i z ulgą zauważyła, że klacz nie oszczędza lewej nogi. To znaczyło, że jej nie uszkodziła. Niemniej, ścieżka jest kamienista i twarda, więc trzeba bardzo zważać na to, którądy prowadzi się konia. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wrócić do parku, ale prowadzenie konia po betonie mogło być tak samo albo i bardziej niebezpieczne jak po bitej drodze.

Przed sobą miała kamieniste wzniesienie, wiodące na tereny Aggie, po którym normalnie by wjechała, ale teraz musiała obejść.

- Ale którądy? - zapytała sama siebie.

Wybrawszy drogę na lewo, zaczęła je okrążyć. Nie powinnam mieć trudności z odnalezieniem ścieżki, kalkulowała w duchu. Wzniesienie nie jest znów takie duże.

Nieco później zaczęła odczuwać pierwsze oznaki niepokoju. Choć okrążyła wzniesienie - tego była pewna - nie rozpoznawała okolicy. A noc zapadała nadszpiewanie szybko.

Próbowała ustalić, skąd dobiegają ostatnie promienie zachodzącego słońca. Jaśniej było po prawej stronie, więc doszła do wniosku, że tam właśnie jest zachód. Powinna była iść wciąż na południe, a więc podążała w dobrym kierunku. Nagle pojawiło się przed nią koryto strumienia, którego nigdy przedtem nie widziała.

Sprowadziła konia powoli w dół jaru i odkryła, że po kamienistym dnie bulgoce wesoło malutka strużka. Przystanęła i zaczęła się zastanawiać. Jeśli pojedzie wzdłuż łożyska, na pewno trafi w końcu na Most Trolla, a stamtąd miała do domu już tylko rzut beretem.

Przeprowadziła My Dandelion na drugą stronę jaru i zaczęła się posuwać wzdłuż jego krawędzi. Cienie w lesie wkrótce pogłębiły się znacznie, a ona poczuła, że jej niepokój pogłębia się wraz z nimi. Coś za długo trwało to szukanie mostu, tego była pewna.

Wtem dobiegł ją jakiś odgłos. Uderzył w uszy i przestraszył. Był to czysty, dobrze znany, dźwięczący odgłos, którego jednak nie potrafiła sprecyzować. Dobiegał z przodu.

Zatrzymała się. Dźwięk powtórzył się rytmicznie kilka razy, a ona już wiedziała, że jest zupełnie niemożliwe, aby słyszała to, co właśnie słyszała. To na pewno coś zupełnie innego, doszła do wniosku.

Poprowadziła klacz dalej. Minęła łagodny zakręt koryta, a potem kępę drzew rosnących tak gęsto, że tworzyły szczelną zasłonę. Za drzewami stał wielki kryty wóz. Do jednego z jego wysokich kół przywiązano starego jabłkowitego konia. W tyle płonęło jasno przenośne palenisko, a wysoki mężczyzna przyglądał się bacznie kawałkowi obrabianego

metal, który trzymał przed sobą wielkimi szczypcami. Doszedł do wniosku, że jest prawie gotów i jeszcze raz zanurzył go w ogniu. Poobracał nim wśród węgla i na coś nadepnął. Palenisko rozgorzało jaskrawą czerwienią, a Gabbie dostrzegła, że u dołu pieca stoją przypięte nożne miechy. Mężczyzna pracował nimi nieprzerwanie, dopóki węgle nie rozżarzyły się do białości. Potem wyciągnął swój kawałek metalu, złożył na stojącym z tyłu wozu kowadle i zaczął uderzać weń wielkim młotem.

Gabbie nie wierzyła własnym oczom. Oto w samym środku lasu trafiła na pogrążonego w pracy podkuwacza. Zafascynowana przyglądała się, jak obraca szybko kawałkiem kutego metalu, który przypominał wyglądem wielki kołek. Potem popatrzyła na trzymaną w ręku podkowę i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zwariowała.

Zbliżyła się do kowala, a on podniósł na nią wzrok. Kiedy zobaczyła jego oczy - tak błękitne, że aż elektryzowały - z wrażenia zmyliła krok. Mężczyzna wyglądał młodo i mimo muskulatury oraz warstwy sadzy było widać, że jest uderzająco przystojny. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i czarną brodę. Spod ronda szerokoskrzydłego kapelusza wymykały się kosmyki równie czarnych włosów. Nosił staroświecką płócienną koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami. Jego przedramiona pokrywały gęste czarne włosy, których kępki wystawały także ponad zapięciem koszuli. Spodnie przytrzymały czarne szelki. Nagle Gabbie zrozumiała wszystko. W okręgu Cattaraugus żyją jacyś amisze. W jednym ze sklepów w mieście widziała kilku. Nie uznają samochodów czy coś w tym rodzaju, więc uprawiają rzemiosła takie, jakimi zajmowali się ich przodkowie. A ta wędrowna kuźnia była jak rodem z dziewiętnastego wieku.

Mężczyzna obejrzał swoje dzieło i zanurzył je w beczce z wodą. Odłożył szczypce i podszedł do Gabbie. Uniósł palec wskazujący do ronda kapelusza i odezwał się:

- Dobry, panienko. Widzi mi się, że ma panienka kłopoty.

Gabbie zdumiał jego akcent. Modulacja i wymowa brzmiały prawie jak ze Szkocji albo z północy Anglii, a dotąd sądziła, że amisze pochodzą gdzieś z Niemiec czy Holandii.

Mężczyzna uśmiechnął się, dziewczynę zaś uderzyła potężna siła, tkwiąca w jego wzroku. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, ale owo spojrzenie było jak pieśczęta.

Gabbie spłonęła rumieńcem, żałując w duchu, że ma aż tak głęboki dekolt u sukni. Czują, jak rumieniec spływa jej aż do samych piersi.

- A, tak... - odparła. - Mój... - Z trudem oderwała wzrok od jego oczu i spojrzała na trzymaną w ręku podkowę. - Mój koń stracił podkowę. - Wyciągnęła ku niemu trzymany przedmiot. Mężczyzna ujął go, obejrzał dokładnie, a potem podniósł nogę konia i zbadał kopyto.

- To nic wielkiego, ale dobrze panienka zrobiła, że prowadziła wierzchowca. Wiele pań jechałoby dalej, a następnego ranka narzekałyby, mówiąc stajennemu, że koń okulał. Zaraz temu zaradzimy.

- Dziękuję. - Gabbie ruszyła za kowalem, który podprowadził My Dandelion w pobliże paleniska i przywiązał ją do tylnego koła. Dziewczyna czuła się nieco zbita z tropu dziwną uwagą o stajennym.

- Ale co z pana pracą?

- Skończona, dziewczeczko. Ściął mi się lon w osi wozu, więc musiałem sobie urobić nowy. Jak tylko naprawimy tę szkodę, ruszam w dalszą drogę.

Gabbie przysiadła na zwalonym pniu i przyglądała się, jak kowal ze znanstwem jeszcze raz ogląda kopyto.

- Trzeba będzie troszkę wypełnić, żeby kopyto się nie rozszczepiło - oznajmił.

- Klamra?

- Chyba nie, choć gdyby było trochę głębiej, pewnie bym założył. - Podniósł wzrok znad kopyta i uśmiechnął się do Gabbie, a ona znów poczuła, że oblewa ją fala gorącego zażenowania. - A więc panienka zna się na koniach. Nie tak jak większość dam. Zwykle pozostawiają takie sprawy swoim stajennym.

Zupełnie ją rozstroił. Nagle złapała się na tym, że myśli wędrują jej swobodnie. Był bardzo przystojny w ten jakiś zwierzęcy sposób, jak przystojny zapaśnik lub zawodnik piłkarski. I przy tym diablo seksowny. Gabbie przyłożyła rękę do czoła, a kiedy ją odjęła, dłoń była zupełnie mokra. To pewnie od gorąca, jakie bije od paleniska, poza tym było parno. Wzięła głęboki wdech. Było coś bardzo dziwnego w tym kowalu.

- Przepraszam, że pytam, ale czy jest pan amiszem?

Mężczyzna roześmiał się, a Gabbie aż dreszcz przebiegł po grzbiecie. Śmiech brzmiał swawolnie, a zarazem groźnie.

- Nie, dziewczeczko. Nie mam zaszczytu przynależeć do tego szlachetnego grona. Ale to lud, który rozumie i szanuje stare obyczaje i stara się zachować dawną prostotę.

Mężczyzna wsunął podkowę w palenisko i podszedł do konia. Wziął do ręki wielką raszplę i zaczął czyścić kopyto.

- Podkowa jest ociupinę wygięta. Migiem ją naprostuję.

Gabbie znów zadrzała, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

W lesie było ciemniej niż zazwyczaj o tej porze, a ona nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Odpychając od siebie niepokój, zagadnęła:

- Nie wiedziałam, że w tych okolicach pracują wędrowni podkuwacze, panie...?

Z przelotnym uśmiechem, który wywołał gęsią skórę na jej ramionach i piersiach, odpowiedział:

- Smith, Wayland Smith. Jeździ nas kilku w okolicy, choć ja sam nie zawsze byłem - jak to panią nazwała? - wędrowny. Miałem swoją kuźnię w White Horse i przez wiele lat byłem znany jako najlepszy kowal w okolicy, ale czasy się zmieniają i ruszyłem za robotą. Tak to wygląda.

Próbowała oszacować jego wiek. Mógł być przed lub po trzydziestce, lecz jego sposób bycia kazał jej myśleć, że jest o wiele starszy. Otaczała go aura siły - zasadnicza, prymitywna i niezwykle erotyczna.

- Myślę, że zostałem w White Horse do dziś dnia, ale zjawił się po mnie mój pan... Uciekłem ze służby i nie poszedłem za nim...

Słowa te zdawały się zamierać w oddali, zresztą Gabbie i tak niewiele z nich rozumiała. Pan? Służba? Mówi, jakby był jakimś poddanym albo niewolnikiem. Niemniej natychmiast opuściła ją wszelka ciekawość, kiedy na nowo zaczęła mu się przyglądać.

Opuściwszy końską nogę, wyjął podkowę z paleniska. Przyjrzał się jej uważnie, obracając na obie strony, jakby próbował coś wyczytać z jej czerwonego blasku. Z szerokim uśmiechem, od którego Gabbie aż się wzdrygnęła, wsunął podkowę między płonące węgle i zaczął pracować miechem. Powiedział coś do Gabbie, ale nic z tego do niej nie dotarło. Kiwnęła więc tylko głową. Pompował rytmicznie w górę i w dół, oczyma śledząc sobie tylko wiadome sprawy w ogniu. Potem, jak współczesny Wulkan, wyjął podkowę z płomieni i zdecydowanym ruchem przełożył ją na kowadło. Prawą ręką chwycił za młot i uniósł go wysoko, a potem spuścił na podkowę z głośnym brzękiem, od którego Gabbie aż leciutko podskoczyła. Młot wędrował w górę i w dół, a ona przekonała się, że ten widok oraz dźwięki wprawiają ją w stan hipnozy. Operujące młotem mięśnie rąk kowala spinały się i rozluźniały, a jej ten widok zdał się fascynujący. Z każdym zamachem mocno wydychał powietrze, prawie stękając, co Gabbie przypominało odgłosy, jakie wydawał Jack, kiedy się mocno całowali. Kowal uśmiechnął się szeroko, jakby w rozbawieniu, a czyste, białe zęby zaśniły pięknie na tle brody. Nucił sobie jakąś melodyjkę, podbijając rytm uderzeniami młota, jakby wybijał takt tańca. Gabbie czuła, jak ten rytm sączy się jej aż do samej duszy, a jednocześnie uświadomiła sobie, że gdzieś głęboko w środku wzbiera w niej wilgoć. Miała półprzymknięte oczy, jakby śniła, a kowal w swej surowej potędze wydał jej się niemal piękny. Myśli wypełniły się obrazami jego ciała - skóry okrytej cienką warstwą potu, w której odbijał się płomień paleniska - wyginającego i poruszającego się nad nią, a dziewczynie aż zaparło dech. Potrząsnęła głową i jakby z oddali pojawiła się myśl: „Co się ze

mną dzieje?” Myśl pierzchła tak samo szybko, jak się zjawiała, i nie zagościła w jej pamięci. Gabbie dalej przyglądała się kowalowi.

Pot, który zebrał się pod rondem jego kapelusza, spłynął mu strumyczkami po policzkach, a zawilgocona koszula przylgnęła do ciała. Gabbie zdawało się, że jeszcze nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny aż tak silnego. Pewna była, że przewyższał siłą wszystkich futbolistów i ciężarowców, jakich widywała w telewizji. A przy tym jego siła była bardziej zasadnicza, bardziej prymitywna i naturalna od tej, z którą obnoszą się faceci spędzający całe godziny w siłowniach. Przez myśli przemknęło jej wyobrażenie atlasów i ciężarków. Porównała je z tym, co widziała przed sobą, i zachciało jej się śmiać. Pompowanie żelastwa to nie to samo co kucie żelaza.

Słyszając jej śmiech, mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się w odpowiedzi. Prawie zaparło jej dech od tego spojrzenia. Poczula, że całe jej ciało płonie i wzdryga się gwałtownie. Ogarnęła ją łaskotliwa, rozgorączkowana nadwrażliwość, a spójne dotąd myśli zaczęły rwać się i wymykać. Podnieciła się, patrząc, jak Wayland Smith wali młotem w gorące żelazo na kowadle. W cokolwiek nieobecny sposób jęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie traci zdrowych zmysłów. Przecież przekucie podkowy nie zajmuje więcej niż minutę - od dziecka przyglądała się, jak podkuwają konie. Ale teraz wydawało jej się, że patrzy na tego mężczyznę już od wielu godzin. A z każdym poruszeniem miecha, z każdym uderzeniem młota Gabbie czuła, jak umykają gdzieś logiczne myśli, a zamiast nich w środku narasta jej prymitywna, paląca potrzeba.

Wayland zanurzył podkową w beczce z wodą, a Gabbie aż syknęła. Oczy nabiegły jej łzami nagłego smutku, jakby w tej zimnej wodzie zanurzono nie rozżarzony kawałek metalu, a jej rozgorączkowane ciało. Przez polankę przeleciał zimniejszy powiew wiatru, a dziewczyna zadrżała, przejęta nagłym chłodem. Boże! Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się. Kowal podszedł z podkową do konia, przypasował ją, a potem zaczął przypilowywać kopyto. Raszpla wygładziła spękaną powierzchnię, a kowal starannie przymierzał się do każdego posunięcia, żeby podkowa osiadła pod właściwym kątem. Wreszcie z kieszeni koszuli wyjął gwoździe i zaczął ją przybijać.

Gabbie wstała, bo spodziewała się, że zaraz będzie mogła odjechać, ale natychmiast poczuła, że uginają się pod nią kolana. Zrobiła krok i przekonała się, że nogi ma jak z gumy. Coś tu było nie tak, więc poczuła się skonsternowana i trochę przestraszona. Powiew wiatru przyniósł zapach kwiatów, a Gabbie zakręciło się w głowie. Do zapachu kwiatów dołączyła jakaś korzenna nuta, od której serce zabiło jej mocniej... jak w rytmie kowadła, pomyślała z roztargnieniem.

Potem mężczyzna wyprostował się i oznajmił:

- Gotowe, panienko.

Gabbie czuła spływającą po policzku strużkę potu, a głos kowala docierał do niej jak z oddali.

- Dziękuję - rzuciła słabo.

Obeszła konia, żeby wziąć od mężczyzny wodze. Wtem poczuła jego dłonie na swej talii. Oddech uwiązał jej w gardle, ciało zapłonęło, przebiegł ją dreszcz podniecenia. Odwróciła się, pewna, że ją obejmie. Jakaś odległa część jej myśli szalała z przestachu, ale reszta utkwiała w mglistym obłoku gorąca i różnorodnych woni. Czuła słony zapach jego potu, przytłumiony zapachem dymu, przemieszanego z wonią kwiatów i korzeni. Korzeni? - zdziwiła się. Powieki opadły, a usta rozchyliły się w oczekiwaniu. Mężczyzna podsadził ją na siodło z taką łatwością, jakby była dzieckiem. Zamrugła, próbując dojrzeć coś spoza łez. Stał obok i przytrzymał jej wodze. Wzięła je, a kowal dodał:

- Proszę jechać wzdłuż strumienia, panno Hastings. Za chwileczkę trafi panienka na most. Stamtąd już tylko kilka minut do domu. I proszę jechać szybko. Światła ubywa, a las nie jest bezpieczny po zmroku.

Trzepnął klacz po zadzie, a My Dandelion ruszyła z kopyta, uwożąc Gabbie z kręgu światła wokół wozu. Dziewczynie kręciło się w głowie, wciągała mocno powietrze, próbując wyrównać oddech. Przekonała się, że płacze, że odczuwa przepastnie głęboki smutek, sama nie wiedząc dlaczego. Potem z wolna zaczęła dochodzić do siebie.

Rozejrzała się i uprzytomniła sobie, że wie, gdzie się znajduje. Okazało się też, że jest znacznie jaśniej, niż sądziła. Przecież spędziła z kowalem jakieś pół godziny lub więcej, powinno więc już być zupełnie ciemno.

Co właściwie zaszło? Kiedy jej dotknął, niemalże doznała orgazmu, a to rozstroiło ją do stopnia, jakiego sama nawet nie pojmowała. Niezwykle przerażała ją myśl, że jakiś mężczyzna może mieć nad nią tak potężną seksualną władzę. Bo nie było to nic innego - naga i pierwotna potęga seksu. Oczy znów jej się zaszkliły, tym razem z zażenowania, więc otarła je wyzywającym gestem. Do diabła, nie jestem dzieckiem, żeby się bać, bo napaliłam się na jakiegoś faceta - powiedziała sobie. Ale jakiś inny głos w środku podpowiadał, że to, czego doświadczyła, to nie było takie sobie zwykłe podniecenie. Podniecić ją mógł Jack, a ten Wayland Smith po prostu wyrócił ją na nice. Nagle poczuła, że się boi. Obejrzała się za siebie, ale nie dostrzegła ani śladu po kowalu i jego wozie. Wtedy uświadomiła sobie, że nawet nie zaproponowała mu zapłaty! A zaraz za tamtą myślą pojawiła się nowa: przecież wiedział, gdzie ona mieszka, więc jeśli chce zapłaty, może sobie po nią przyjść. Ale skąd

wiedział, kim jestem? - pojawiło się natychmiast kolejne pytanie. Myśl, że mógłby jej szukać, zarówno przepełniała ją radosnym dreszczem, jak i przerażała. Kiedy na dobre odzyskała ostrość widzenia, rozejrzała się wokół. Jak daleko ujechała w tym podobnym do snu stanie?

Dotarł do niej tętent kopyt innego konia, więc zaczęła się zastanawiać, czy to nie Wayland Smith zdecydował się jechać za nią. Na pół z obawą, na pół z podnieceniem odwróciła się i czekała, a wtedy - w gwałtownym przypiływie ulgi - przekonała się, że szlakiem zbliża się Jack.

Zatrzymał konia tuż obok niej, już miał się odezwać, gdy raptem zobaczył coś w jej twarzy i zapytał:

- Nic ci nie jest?

Gabbie dotknęła policzków i przekonała się, że płyną po nich łzy. Pokręciła tylko głową.

- Gabbie, o co chodzi? To chyba nie przez Sheilę Riley, co? To tylko dzieciak.

Gabbie popatrzyła na niego, wyraźnie nic nie rozumiejąc.

- Sheila Riley? - powtórzyła cicho. - Nie. - Przechyliła się przez dzielącą oba konie odległość i pocałowała Jacka, wsuwając mu język w usta. Roznamiętniona, omal nie spadła przy tym z konia.

Jack wyciągnął ręce, żeby ją przytrzymać, kiedy niezbyt ochoczo odsuwał ją od siebie, potem dotknął jej twarzy.

- Jezu Chryste! Jesteś cała rozpalona! Chodź, trzeba cię zawieźć do domu.

Gabbie pokiwała bezmyślnie głową. Bez protestów oddała Jackowi wodze, a sama przytrzymała się siodła. Myśli miała zamglone, pełne obrazów ognia i korzennych aromatów, i za nic nie mogła pojąć, dlaczego wszystko tak jej się miesza.

Gloria podniosła wzrok znad prania i zobaczyła, że przy drzwiach od ganku stoi Jack.

- Cześć. Wchodź.

- Jak Gabbie?

- Zmęczona, ale poza tym nic jej nie jest. Dzisiaj rano nie miała już gorączki. Lekarz powiedział, że nie musi leżeć w łóżku, chyba że się gorzej poczuje. Sądzi, że złapała jakiegoś wirusa.

Wyraz twarzy Jacka mówił jasno, że chłopak nie zgadza się z tą diagnozą.

- Glorio, ona była wczoraj naprawdę w kiepskim stanie. Nie jestem specjalistą, ale uważam, że miała halucynacje.

Gloria przerwała składanie ręczników.

- Dlaczego tak sądzisz?

Jack skrzyżował ręce na piersi i oparł się o framugę drzwi. W tej chwili przez kuchenne drzwi wytknął nos Wielki Pech, zobaczył gościa, obwąchał go na powitanie, po czym zniknął z powrotem we wnętrzu domu.

- Instalują nam dzisiaj antenę satelitarną, a robotnicy prosili, żebym zamknęła go w domu. - Jack zrobił zaskoczoną minę. - Jest zbyt przyjacielski. Płacze się pod nogami. - Młodzieniec pokiwał głową. - No to co mówiłeś?

- Opowiadała o spotkaniu z kowalem, z jakimś facetem, który jechał krytym wozem i naprawił zgubioną podkowę. Rozmawiałem z masztalerzem pana Laudermilcha, a ten mi powiedział, że kilka dni wcześniej My Dandelion pękło kopyto, więc je spiłowali i założyli na nowo podkowę. Sprawdził i nie znalazł niczego, co potwierdzałoby historię Gabbie. Poza tym, miałem w stosunku do niej najwyżej dziesięciominutowe opóźnienie, a to, o czym opowiada, nie mogłoby się zdarzyć w tak krótkim czasie. A zatem musiała mieć halucynacje.

Gloria sprawiała wrażenie zmartwionej.

- Gabbie raczej nie ponosi wyobraźnia. Pewnie opowiadała ci o swojej matce i babce - w każdym razie dzieciństwo mogło spowodować u niej niestabilność emocjonalną, ale zwykle obiema stopami stąpa mocno po ziemi. Ma charakterek, choć trzeba przyznać, że to bardzo rzeczowa dziewczyna.

- No cóż, w dzieciństwie przechodziłem dość ciężką chorobę z wysoką gorączką i wydawało mi się wtedy, że w szafie kryją się gigantyczne króliki. Ludzki umysł zdolny jest do wielu rzeczy.

- Gorączka mogłaby być tego przyczyną - zgodziła się ostrożnie Gloria. - Może jednak



powinna pójść do lekarza.

W tej chwili dobiegający z kuchni głos sprawił, że oboje zwrócili się w tamtą stronę. Na ganek wyszła Gabbie i rzuciła wesoło:

- Glorio, umieram z głodu... - Na widok Jacka urwała gwałtownie i nachmurzyła się. -

Witam - dodała lodowatym tonem.

Gloria ułożyła ostatni ręcznik na nowej suszarce.

- Chyba pójdę sprawdzić, jak radzą sobie robotnicy - rzuciła i wycofała się pospiesznie.

- Nic ci nie jest? - zapytał Jack.

Nie wiadomo dlaczego, Gabbie wyraźnie rozeźliło to pytanie.

- No pewnie. A co miałyby mi być?

- No, wczoraj wieczorem byłaś trochę nie tego, to wszystko.

Wiedziona ciekawością, spojrzała nań nieco łagodniej.

- Co to ma znaczyć „trochę nie tego”? Byłam po prostu zdenerwowana. - Znów się nachmurzyła. - A skoro już o tym mowa, co ty tu robisz? Myślałam, że umówisz się gdzieś z królową balonów.

- Z Sheilą? - Czoło Jacka ściągnęło się troską. - Wyjaśniłem ci to już wczoraj wieczorem. Chce, żeby Aggie napisała jej list polecający do Cornell. Zresztą, chodzi z jednym studenciakiem z Penn. Gabbie, czy ty w ogóle nie pamiętasz, jak przywiozłem cię wczoraj do domu?

Gabbie zbladła. Wycofała się w głąb kuchni i usiadła przy stole.

- Ja... pamiętam tylko, jak wyjeżdżałam z parku. Jechałam przez las, a potem... wszystko zaczyna mi się trochę mieszać. Dziś rano obudziłam się we własnym łóżku, więc doszłam do wniosku, że jakoś musiałam trafić do domu. My Dandelion! Miałam ją zawieźć do pana Laudermilcha.

Jack odsunął sobie drugie krzesło i także usiadł.

- Zająłem się tym wczoraj wieczorem, kiedy już położyłem cię do łóżka.

Nagle Gabbie spłonęła rumieńcem.

- Ty mnie położyłeś do łóżka?

Jack uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- No cóż, miałaś wysoką gorączkę, więc ktoś musiał. Położyłem cię do łóżka, zadzwoniłem do pana Laudermilcha, wyjaśniłem, jak sprawy stoją, a on przysłał tu dwóch chłopaków po konie. Kiedy twoi wrócili, poszedłem do domu.

Gabbie ukryła twarz w dłoniach i jęknęła głośno.

- Ale mi wstyd!

Jack odchylił się na krześle.

- Tak, doskonale to rozumiem. W dodatku ten tatuaż jest dość ohydny.

Spojrzała na niego przez palce, na w pół rozbawiona, na w pół zmartwiona, potem zdzieliła go po ramieniu.

- Ty draniu! Założę się, że dobrze się przy tym bawiłeś. Wykorzystałeś okazję.

Na twarzy Jacka malowało się rozbawienie przemieszane z wyraźną troską.

- Prawdę mówiąc, to bardziej się martwiłem. Byłaś mokra od potu, cała rozpalona. Musiałem cię wycierać zmoczonym ręcznikiem. - Uśmiechnął się szerzej. - Ale nie mogę ręczyć, że nic przy okazji nie zauważyłem.

Zdzieliła go jeszcze raz, tym razem mocniej.

- Ała! - zaprotestował. - Dosyć.

Nagle wyciągnęła rękę i chwytając go za kark, przyciągnęła ku sobie. Pocałowała go, długo i namiętnie. Oddał jej pocałunek, a kiedy się odsunęła, zapytał cicho:

- A to za co?

- Za to, że się martwiłeś i że nie wykorzystałeś okazji.

Wzruszył ramionami i odparł łagodnie:

- Gabbie, kiedy cięgniesz mnie do łóżka, to chcę mieć pewność, że tego naprawdę chcesz, a nie tylko majaczysz w gorączce.

Gabbie otworzyła szeroko oczy.

- Ciągnę cię do łóżka?

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Owszem... miałaś wczoraj... hm... dość interesujące pomysły.

Gabbie znów ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże! - Po minucie spojrzała na niego. - Myślałam, że to był tylko sen. - Kolejny raz zakryła dłońmi twarz. - Chyba zaraz umrę. - Podniosła wzrok. - Co mówiłam?

Jack wybuchnął śmiechem.

- A co mi dasz, jak ci powiem?

Odkoczył do tyłu, kiedy znów się na niego zamierzyła.

- Ty sukinsynu! - rzuciła ze śmiechem. - Lepiej mi zaraz powiedz!

Jack cofał się przed nią, wyciągając ręce w błagalnym geście.

- Ja nic nie wiem...

Gabbie skoczyła naprzód, a on umknął na kuchenny ganek. Pod kuchennym stołem czaił się Wielki Pech, który w odpowiedzi na to nagłe zamieszanie natychmiast się

rozszczeakał, dając upust psiej radości z powodu wrzawy.

- Zamknij się, ty burku - rzuciła roześmiana Gabbie. - A ty - wycelowała palcem w Jacka - mów!

Pies znów się rozszczeakał. Jack zatrzymał się, nie mogąc opanować ataku śmiechu.

- Poddaję się.

Gabbie weszła w krąg jego ramion, a on ją pocałował.

- Nie mówiłaś zbyt wiele. Coś o kowalu, który naprawił podkowę My Dandelion, a potem milczałaś, dopóki nie zacząłem cię rozbierać. - Wtuliła twarz w jego ramię, pojękując cicho z zawstyżenia. - Potem postanowiłaś mi się odwzajemnić.

Wybuchnęła śmiechem.

- O rany! Naprawdę musiałam być trochę nie tego.

- To mi się podoba!

Spojrzała mu w oczy.

- Nie przejmuj się - powiedziała, całując go. - Dopóki nie interesuje cię panna Wielkie Zderzaki, nie będziesz miał ze mną problemów.

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Naprawdę byłaś zazdrosna?

Gabbie oparła mu głowę na ramieniu.

- Tak, byłam. - Nieoczekiwanie znów się rozzłościła. - Niech to diabli! - rzuciła butnowniczo, wyrywając mu się z objęć, i wróciła do kuchni. - To nie w porządku!

Zrównał się z nią jednym krokiem i ujął pod ramię. Rozpęd sprawił, że Gabbie obróciła się w miejscu, a on przyciągnął ją do siebie.

- Co jest nie w porządku?

- Za niecałe trzy miesiące będę z powrotem w Kalifornii.

- Hej! Będzie dobrze.

Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem.

- Obiecujesz?

Uśmiechnął się radośnie.

- Obiecuję.

Dziewczyna przygryzła wargę.

- A więc próbowałam cię rozebrać? - Jack przytaknął kiwnięciem głowy. - Och! - rzuciła, krzywiąc się lekko, i wróciła do kuchni. - Konam z głodu. Zjedzmy coś.

- Jak rozumiem, chcesz w ten sposób zmienić temat rozmowy. - Patrzył na nią z zachwytem, kiedy schyliła się, żeby zajrzeć do lodówki. - Niemniej, wczoraj naprawdę

napędziłaś mi strachu.

Obejrzała się przez ramię.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Wyraźnie się rozpromieniła.

- Dzięki. - Zajrzała znów do lodówki i zapytała: - Szynka czy kielbaski?

- Szynka.

Wyjęła z lodówki produkty i zatrzasnęła drzwi. Położyła wszystko na stole i zamarła na chwilę, wyraźnie zamyślona.

- Czy powiedziałaś, że mówiłam coś o jakimś kowalu?

- Tak, mówiłaś. A dlaczego?

- To dziwne. Po prostu... mam w głowie obraz mężczyzny... bo ja wiem. To pewnie od tej gorączki.

Jack pokiwał głową w odpowiedzi, jednak zastanowiły go jej słowa. W tym lesie wydarzyło się stanowczo zbyt wiele dziwnych rzeczy, a on sam jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia, że widział coś na Wzgórzu Króla Elfów w sobótkową noc, tylko za nic nie potrafił sobie przypomnieć, co to było. Wieczorami, tuż przed zapadnięciem w sen, przychodziły doń dziwne obrazy: podobni duchom tancerze i nikła, nieziemska muzyka. Rano próbował przypomnieć sobie ten sen, ale zawsze wymykał się jego pamięci, a mimo to wiedział na pewno, że coś tam było. Otrząsnął się z zamyślenia i wyciągnął z szafki dwa talerze, żeby wręczyć je Gabbie.

- Dobra, potwory, cofnijcie się.

Chłopcy niechętnie wycofali się o krok, przyglądając się robotnikom. Beton wokół słupa wylano już kilka dni temu i pozostawiono do wyschnięcia, a teraz montowano na nim samą antenę. Patrick i Sean kręcili się tu od samego rana, zadając pytania i generalnie włączając wszystkim pod nogi. Obu robotnikom wyraźnie to nie przeszkadzało, ale Gloria postanowiła ustanowić im strefę zdemilitaryzowaną, w której mogliby spokojnie popracować. Zerknęła w stronę domu, ciekawa, czy Gabbie i Jack zdołali dojść do porozumienia. Cieszyła się, że dziś rano Gabbie wyglądała już normalnie, lecz nadal gnębił ją niepokój z powodu wydarzeń wczorajszego wieczoru. Atak gorączki był nagły i bardzo poważny. Musiała mieć co najmniej 39 stopni, jeśli mogła wnioskować z dotyku. Gloria miała spore doświadczenie z gorączkującymi dziećmi, wiedziała więc, że temperatura Gabbie była bardzo wysoka. A mimo to - nie ma szkody, nie było faula, jak powtarza ciągle tamten komentator sportowy w Los Angeles.

Jednak w tym nagłym wybuchu choroby i równie nieoczekiwanym ozdrowieniu coś Głorię niepokoiło. Zwyczajnie nie pasowało to do jej zestawu akceptowalnych chorób. Wszystko, co nie podpadało od razu pod przeziębienie, grypę, złamanie kości lub uczulenie, automatycznie stawało się podejrzane. Nielogiczne symptomy zwiastowały zawsze, że zbliża się coś strasznego. Gloria miała jedną głęboką fobię, o której nie wiedział nikt, nawet Phil, a mianowicie lęk przed chorobą. Rak, choroby serca oraz inne przewlekłe i powodujące zniedołężnienie przypadłości o długich, fachowych nazwach, które wykręcały kości, wypełniały płuca ciecżą, pozbawiały siły mięśnie, były potwornościami, z którymi jej umysł nie potrafił się pogodzić. Najsilniejszy, najbardziej krzepki mężczyzna, jakiego znała - jej ojciec - zmarł na raka. A objawy były z początku bardzo mylące. Jego śmierć spotęgowała w niej ten głęboki strach przed niosącymi niemoc chorobami. Palenie rzuciła jeszcze w średniej szkole, kiedy inne dziewczyny dopiero się za to brały. Nie była fanatyczką zdrowej żywności, ale unikała rafinowanego cukru i wysokocholesterowej żywności, pilnowała też, by wszyscy w rodzinie zażywali ruchu. Kiedy się poznali, zamęczała Phila, żeby zaczął biegać, a teraz się uzależnił. Nie, pomyślała Gloria, to zwykły wirus. Niemniej gdzieś głęboko w środku zastanawiała się, czy nie powinna była się uprzeć, aby Gabbie poszła do lekarza.

Ted Mullins, właściciel tutejszego sklepu ze sprzętem radiowo-telewizyjnym, nadzorował montaż instalacji osobiście. Nieźle zarabiał na okolicznych farmerach, ale to była najbardziej skomplikowana i najdroższa stacja naziemna, jaką udało mu się do tej pory

sprzedać, zależało mu więc, aby wszystko odbyło się bez problemów. Upewniwszy się, że wszystko idzie jak należy, zwrócił się teraz do Glorii:

- Proszę pani, teraz będziemy musieli podczepić kabel wewnątrz domu. - Gloria tylko kiwnęła w roztargnieniu głową. - A pies, proszę pani?

Gloria uśmiechnęła się.

- Chłopcy, weźcie Wielkiego Pecha na spacer.

- Och, mam - zaczął Sean. Posłała więc obu znane im dobrze spojrzenie, a oni natychmiast zamilkli i ruszyli w stronę domu.

- I niech to będzie długi spacer.

Mullins, przyciężkawy mężczyzna w średnim wieku, odezwał się:

- Ładne chłopaki. Musi być pani z nich dumna.

Przyglądając się, jak Patrick i Sean znikają za węglem domu, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Owszem. To świetne dzieciaki.

- Sam mam chłopaka w ich wieku, Casey. Powinni się poznać.

- A czy ten pana Casey gra w baseball, panie Mullins? - zapytała Gloria.

- Bez przerwy - odrzekł mężczyzna z wesołym uśmiechem.

Gloria odpowiedziała podobnym uśmiechem.

- A więc jeśli dotąd się nie poznali, na pewno wkrótce to nastąpi.

Mullins wytarł ręce w chusteczkę i schował ją do kieszeni.

- W przyszłym roku, kiedy w końcu oddzielią nasz rejon od Frewsburga w rozgrywkach Małej Ligi, zorganizujemy nabór do własnej drużyny. Kiedyś mieliśmy taką, ale piętnaście lat temu gwałtownie spadło nam zaludnienie podczas kryzysu, kiedy wszystkie fabryki albo pozamykali, albo poprzenosili. Wiele rodzin wyjechało wtedy za pracą do Kentucky albo Teksasu. Trzeba było wozić dzieciaki do Frewsburga. Teraz sprowadzają nam tu te cuda techniki i wreszcie mamy dość dzieci, żeby założyć znowu własną ligę. - Rzucił okiem na antenę, wyraźnie zadowolony z postępu prac. - Ale na razie mamy tylko dzikie boisko. Proszę im powiedzieć, że prawie codziennie chłopaki grają na łące. Nie na tej przy parku, bo tam zwykle grają mecze piłkarskie, ale na tej koło stawu Doaka. Zbierają się koło pierwszej.

- To trochę daleko.

- Nie bardzo. Mogą pójść na skróty przez las i wtedy wyjdą przy końcu Williams Avenue. Łąka jest o jedną przecznicę dalej.

Glorii niezbyt podobała się myśl, by chłopcy mieli regularnie chadzać przez las.

Niemniej ten las zaczynał się tuż za ich podwórkiem, a skoro zanosilo się na to, że rodzina Hastingsów ma zamiar chwilę tu pomieszkać, orzekła, iż lepiej będzie do tego przywyknąć. Kiedy ruszała z mężczyzną w stronę domu, rzuciła:

- Wspomnę im o tym.

Mullins odwrócił się i wykrzykiwał jakieś polecenia do swego współpracownika, który zamachał ręką na znak, że zrozumiał. Przez drzwi wypadli pędem chłopcy, wlokąc za sobą Wielkiego Pecha.

- Pan Mullins ma syna w waszym wieku - poinformowała ich Gloria.

- Casey Mullins? - zapytał zaraz Patrick.

Mężczyzna potwierdził kiwnięciem głowy, a Sean już dodawał:

- Graliśmy z nim wczoraj w parku. To świetny shortstop.

- A nie mówiłam - dodała Gloria.

- No cóż, teraz też pewnie tam jest. Chłopcy grają prawie codziennie niedaleko stawu Doaka. Jestem pewien, że cieszyliby się, mając was w drużynie. - Zerknął na Głorię, bo przyszło mu do głowy, że może wyrwał się nieco przedwcześnie. - Jeśli mama wam pozwoli.

Patrick odpowiedział za matkę:

- Pozwoli.

- No, to mi się podoba - odparła Gloria.

- Możemy iść, mamó? - zapytał Sean.

- Tylko się nie spóźnijcie na obiad, a jeśli się coś stanie, dzwońcie. Przyjadę po was. Nie chcę, żebyście mi się włączyli po lesie w ciemnościach. Macie dwudziestkę?

- Telefon kosztuje dwadzieścia pięć centów, mamó - poinformował ją Sean, z trudem kryjąc pogardę dla tak jawnej ignorancji. - A my mamy pieniądze.

- W porządku, Diamentowy Joe. Tylko uważajcie na siebie.

- Dobra! - odparli chórem i pomknęli w stronę lasu.

- Wygląda na to, że już znają ten skrót - zauważył pan Mullins.

- No jasne, przecież są dziećmi - odparła Gloria. - Dzieci zawsze znają wszystkie skróty.

Patrick wrzał ze złości.

- Chłopie, ale ty potrafisz być tępy.

- To nie była moja wina! - odparował Sean.

- Nie goni się do shortstopa w czasie pick-offu, głupku. Każdy o tym wie! - szydził otwarcie Patrick. Na chwilę zatrzymał brata. - Słuchaj, kiedy sygnalizuję długi wyrzut, ty przesuwasz się do trzeciej, rozumiesz? Prawie rąbnąłem cię w głowę, a Casey nawet nie widział lecącej piłki. Naprawdę wszystko schrzaniłeś.

Sean odwrócił się i ruszył w milczeniu. Kiepskie zagranie zakończyło się przegraną ich drużyny, ale to jeszcze nie był żaden problem. Problem w tym, że zdegradował ich obu w oczach miejscowych dzieciaków. Teraz przyjdzie im znosić długi tydzień przykrego wyczekiwania, kiedy będą wybierani do drużyny na końcu, razem ze słabeuszami i fajtlapami, dopóki znów nie udowodnią, ile są warci. Patrick nie znosił u Seana żadnych niedociągnięć, zakładając, że skoro są bliźniakami, we wszystkim powinni być tak samo dobrzy. Sean był dobrym miotaczem - a w każdym razie lepszym od przeciętnej - podczas gdy Patrick zwykle łapał, bo potrafił bezbłędnie trafić do każdej bazy, jednak w zapale walki Seanowi często umykały różne drobne niuanse gry, podczas gdy Patrick stale zachowywał głowę na karku. Prawda wyglądała tak, że Sean wykazywał ledwie przeciętne zdolności tam, gdzie Patrick się wybijał. Talenty Seana przejawiały się raczej w roztważnym przemyśliwaniu, w wybieraniu odpowiednich dla miotacza miejsc. Był typem myśliciela, posiadał też nadmiernie wybujałą wyobraźnię, która częściowo ponosiła odpowiedzialność za jego ogólną bojaźliwość. Bał się ciemności, dlatego że wyobrażał sobie czyhające w mroku strachy, podczas gdy Patrick reprezentował zwykle bardziej prozaiczną postawę: jeśli czegoś nie widać, to tego po prostu nie ma. Sean spojrzał na Wielkiego Pecha, ale psa niewiele interesowały troski obu chłopców.

- Może powinniśmy potrenować? - podsunął wreszcie Sean.

Patrick wzruszył ramionami.

- Dobra, jeśli to coś pomoże. Ale nie wiem, co to za wielki problem zejść mi z drogi, kiedy rzucam tę zakichaną piłkę.

Skęcili przy końcu Williams Avenue, pokonując niewielkie wzniesienie, jakie biegło przy „Naprawach sprzętu domowego” Barneya Doyle’a. Drzwi szopy otwały się i na progu pojawił się Barney. Szybko zamknął za sobą drzwi i postawił coś na ziemi przed progiem. Obróciwszy się, wypatrzył chłopców i zawołał:

- No, no, czy to nie chłopaki Hastingsów, co?



Sean wzruszył ramionami, a Patrick odpowiedział:

- Cześć, panie Doyle.

Podeszli do niego zwawo, kiedy chował klucze do kieszeni. Rozejrzawszy się dookoła, Barney oświadczył:

- Będziemy mieli dziś piękną, letnią noc, to pewne. I chyba nie będzie tak wilgotno jak zwykle. Przydałoby nam się od czasu do czasu trochę suchego powietrza dla odmiany.

Sean zauważył, że Wielki Pech obwąchuje stojący przy drzwiach spodek mleka, więc zapytał:

- Ma pan kota?

Barney pochylił się i poklepał Wielkiego Pecha po głowie. Pies ocenił go chyba jako osobnika przyjaznego, bo dość wdzięcznie zniósł ten przyjazny gest.

- To nie dla kota, chłopcy. To dla Daonie Sidhe. - Kiedy bliźniacy popatrzyli na niego bez zrozumienia, dodał: - A gdyby nie brakło wam wykształcenia, wiedzielibyście, że to gaelickie słowo oznaczające Dobry Ludek.

Sean i Patrick wymienili się spojrzeniami, oskarżając się nawzajem o zdradzenie tajemnicy. Zauważywszy tę wymianę, Barney opacznie ją zrozumiał i oświadczył:

- Wszystko w porządku, chłopcy. Jeszcze nie zwariowałem. Wielu z nas, którzy pochodzimy ze Starego Kraju, wystawia przed próg mleko dla Małego Ludku. - Chłopcy dalej nic nie odpowiadali, a Barney rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. Przyklęknął powoli, bo w jego wieku to już nie takie łatwe, i szepnął: - Kiedy sam byłem chłopakiem, jeszcze w hrabstwie Wexford, mieszkałem na farmie, spory kawałek od Foulksmills. Choć farma była śliczna, byliśmy biedni jak kościelne myszy. - Załzawione i przekrwione oczy zdawały się wpatrywać w coś bardzo odległego. - Jednego dnia poszedłem szukać młodego byczka, którego dał mojemu ojcu wuj Liam. To był piękny cielak, ale wykazywał upodobanie do wędrówek i przygód. Dla cielaka to było w porządku, bo poznawał wiele nowych miejsc i nawiązywał nowe znajomości, ale dla mnie to było prawdziwe utrapienie, bo to ja zawsze musiałem go szukać i sprowadzać do domu - ku wielkiej uciechy moich braci i sióstr. No więc pewnego majowego dnia ten byczek zawędrował aż do Wellington Bridge - a to, dla waszej wiadomości, jest dość odległe miasto, a nie pobliski most - dlatego udało mi się go znaleźć i poprowadzić do domu dopiero po zmroku. Noc była ciepła, pachniało kwiatami i koniczyną, wiał wiatr od kanału. Ogólnie rzecz biorąc, była to bardzo przyjemna noc na wędrówkę. Miałem wtedy ledwie kilka lat więcej niż wy, chłopcy, więc rozglądałem się bacznie, idąc sam z cielakiem, ale nie bałem się, bo rozrabiaki siedziały już po swoich pubach, a w tamtych czasach rozboje nie zdarzały się często. I nagle usłyszałem tę

muzykę i zobaczyłem światła.

Chłopcy znów popatrzyli na siebie i tym razem Patrick zapytał:

- Karzelki?

Barney z powagą pokiwał głową.

- Wszystkie Daonie Sidhe - szepnął. - W każdym rozmiarze i kształcie, jaki przybierają, tańczyły na szczycie wzgórza, a był to widok wspaniały i przerażający. - Podniósł się powoli. - Potem już nigdy więcej ich nie widziałem, aż do wiosny tego roku.

- Danisze? Czy są źli? - zapytał Sean z wyraźną obawą w głosie.

- To Daonie Sidhe, choć „danisze” brzmi dość podobnie. A czy są źli? - powtórzył Barney, pocierając brodę. - No cóż, to trudne pytanie. Niełatwo powiedzieć, czy są dobre, czy złe. Mogą być i takie, i takie - albo ani takie, ani takie, zależnie od kaprysu. Mówi się, że nagradzają cnotliwych, a karzą złych, ale przeważnie dają nam spokój. Poczekajcie chwilę.

Wepchnął ręce głęboko w kieszenie roboczego kombinezonu, czegoś szukając. Kiedy to znalazł, wyjął rękę i podsunął chłopcom do obejrzenia. Był to gładki kamień z dziurą w środku, zawieszony na skórzanym rzemyku.

- Co to jest? - spytał zdziwiony Patrick.

- To kamień wrózek.

- Och! - wykrzyknął Sean.

Patrick jednak nie wyglądał na przekonanego.

- To tylko zwykły kamień.

- To prawda, do pewnego stopnia. Ale z drugiej strony, magiczna różdżka to też tylko kawałek patyka, jeśli tak na to spojrzeć.

- Czy jest magiczny? - zapytał Sean.

- Na swój sposób, chłopcze, na swój sposób. Ma moc, dzięki której Dobry Ludek nie może skrzywdzić tego, który ma go przy sobie, więc muszą w nim być jakieś czary.

- Ale w jaki sposób? - dopytywał się, nadal nie przekonany Patrick.

- W jaki sposób, tego ci już nie powiem. Wiem tylko, że tak działa. I nie wystarczy do tego byle jaki kamień z dziurką. Nie można wziąć kawałka żwiru i wywiercić w nim dziury, wiecie. To musi być kamień wygładzony przez wodę w strumieniu, z naturalną dziurą, który trzeba znaleźć na suchym brzegu. Musi być czarodziejski, bo inaczej skąd wzięłoby się tyle tych zasad?

To przekonało chłopców. Patrick nie wykazał zbyt wielkiego zainteresowania, ale Sean pogładził kamień palcami. Nagle coś kazało Barneyowi się rozejrzeć.

- Moim zdaniem popołudnie dobiega końca, a wy spóźniliście się na obiad. Matka

będzie się martwić. No - zwrócił się do Seana - zatrzymaj sobie ten kamień, żeby Dobry Ludek nie postraszył was w drodze do domu, a ja sobie znajdę drugi.

- Mogę go zatrzymać? - ucieszył się Sean.

- Tak, chłopcze, ale teraz już pędźcie. I nie zapomnijcie, że Dobry Ludek będzie wam sprzyjał, jeśli zostawicie dla nich trochę mleka lub chleba.

Sean zawiesił rzemyk na szyi, a kamień zawisł mu gdzieś w okolicach pępka. Pomyślał, że skróci go, kiedy wróci do domu.

- Dziękuję, panie Doyle - odezwał się.

- Do widzenia - dodał Patrick.

Nie mówiąc więcej ani słowa, chłopcy ruszyli dalej, a wokół nich podskakiwał Wielki Pech. Kiedy weszli w las, rzucili się do biegu. Biegli w pysznym poczuciu niebezpieczeństwa, bo cienie tymczasem pogłębiły się i wydłużyły, nadając zarośłom groźny wygląd.

Chłopcy biegli i krzyczeli, radując się prostym faktem, że są ośmiolatkami, przed którymi rozciąga się jeszcze niemal bezkresne lato, zanim znów dopadnie ich ponura rzeczywistość szkoły. Z początku tęsknili za Doliną i kolegami, ale dzieciaki z Pittsville okazały się w porządku i w dodatku bez przerwy grały, i to też było świetne. Wszystkim brakowało Małej Ligii, ale miejscowi mówili, że w przyszłym roku zacznie się znowu.

A potem, sami nie wiedząc jak i kiedy, znaleźli się na tym łysym pagórku, który Jack nazwał Wzgórzem Króla Elfów. Obaj uśmiechnęli się nerwowo i podzielili między sobą sekretny dreszcz na myśl o tajemnicy i czarach. Nagle porozumieli się bez słów i natychmiast rozpoczęli zabawę w „róbcie wszystko co i ja”. Patrick okrążał biegiem wzgórze, a Sean biegł za nim i powtarzał wszystkie jego ruchy. Wielki Pech także próbował się bawić, ale nie mógł oprzeć się pokusie, by biec najpierw obok jednego, potem obok drugiego z braci. Wrzeszczeli z uciechy. Wbiegli z powrotem pomiędzy drzewa z tym nieograniczonym zapasem energii, jaki posiadają wszystkie dzieci, śmiejąc się z czystej przyjemności życia. Na koniec dotarli do mostu.

Przystanęli. Wielki Pech zjeżył sierść na karku i wydobył z gardła głęboki warkot. Zdyszani chłopcy pojęli nagle, że Most Trolla znów stał się strasznym miejscem. Od czasu tamtego pierwszego spotkania z Jackiem przechodzili przez niego wiele razy i choć nigdy nie należało to do przyjemności, nie odczuwali przy tym tak namacalnego poczucia zagrożenia, jak za tamtym pierwszym razem. Ale teraz wróciło, silniejsze nawet niż poprzednio. Patrick zdjął z ramienia kij Louisville Slugger i trzymał go przed sobą jak maczugę. Dotykając palcami kamienia, który podarował mu Barney, Sean szepnął:

- Wróciło.

Żaden nie miał pojęcia, co to właściwie było, lecz obaj świetnie wiedzieli, że w ciemnościach pod mostem czai się jakaś nieprzyjazna istota. Wielki Pech zawarczał głucho i ruszył do przodu.

- Do nogi! - krzyknął ostro Sean, a zwierzę posłusznie wróciło do jego boku. Zaskowyczało i zawarczało, lecz posłuchało dość chętnie. Patrick kiwnął głową i obaj ruszyli do przodu, stawiając stopy na kamieniach Mostu Trolla.

Nagle spod mostu przywiało podmuch zła, który zawirował dookoła nich jak cuchnący wiatr. Obaj chłopcy maszerowali szybko, oczy otwarli szeroko ze strachu, lecz rzeczowym krokiem zdążali nieprzerwanie ku przeciwnemu brzegowi. Instynktownie wiedzieli, jakie obowiązują ich zasady: aby bezpiecznie przejść, nie mogą patrzeć pod nogi ani za siebie. Nie wolno im się odezwać. Nie wolno biec. I nie wolno się zatrzymać. Gdyby zrobili którąkolwiek z tych rzeczy, to coś spod mostu miałoby prawo się na nich rzucić i powlec obu do swojej kryjówki. Chłopcy nie wymyślili sobie tych zasad, po prostu je znali i byli im posłuszni.

Na samym środku mostu Sean poczuł nieprzepartą chęć, by puścić się biegiem, zerknął więc szybko na Patricka. Patrick odpowiedział mu chmurnym, ostrzegawczym spojrzeniem. Bieg oznacza zgubę. Równym krokiem poprowadził bojaźliwego brata przez most, dopóki nie wyszli poza zasięg starego, zaciemnionego łuku. Wielki Pech zawahał się, ale ręka Seana błyskawicznie złapała go za obrożę, zmuszając do zachowania równego kroku. Kiedy tylko pod stopami zamiast kamieni poczuli z powrotem grunt, jak jeden skoczyli przed siebie i rzucili się do szaleńczego biegu. Wielki Pech wahał się przez ułamek sekundy, zaszczekał wyzywająco w stronę mostka, a potem rzucił się w pogoń za chłopcami.

Sean obejrzał się szybko za siebie, niepewny, czy zasada nieoglądania obowiązuje także poza mostkiem. Kiedy most zniknął za drzewami, wśród których uciekali, chłopiec wypatrzył jakąś ciemną sylwetkę. Widziało go! Walcząc z atakiem paniki, wyprzedził brata. Patrick zobaczył, że Sean go mija i natychmiast rozpoczął się wyścig.

Zanim dobiegli do domu, z myśli wywiało im już wszelkie obawy o czyjąś mroczną obecność pod mostem i teraz troszczyli się już tylko o to, kto pierwszy dotknie drzwi ganku. Jak zwykle, o krok zwyciężył Patrick, a przy jego boku Wielki Pech.

Gloria stała w kuchni, zajęta ostatnimi przygotowaniami do obiadu.

- Trochę za bardzo na styk, chłopcy - oznajmiła cierpko, ze spojrzeniem utkwionym w zegarze. W lecie jadalі o siódmej, w czasie roku szkolnego o szóstej. - Macie akurat dość czasu, żeby umyć ręce - i żeby mi to nie było wytarcie brudu w ręcznik! - krzyknęła za nimi, kiedy pobiegli w stronę łazienki. Gloria powróciła do szykowania obiadu.

- Popatrz na to - odezwał się Gary, podając Markowi jakąś książkę. Mark otworzył ją, przeczytał kawałek i uśmiechnął się szeroko.

- Co tam macie? - zainteresował się Phil, grzebiąc na swoim biurku.

- Sprośne niemieckie wiersze - wyjaśnił Gary. - Stary Herman miał swoje słabostki.

Mark odłożył książkę.

- Dosyć kiepskie. - I dodał pod adresem Phila: - Słuchaj, jeśli przeszkadzamy, tylko powiedz.

Phil zbył tę uwagę machnięciem ręki.

- Skończyłem pierwszą wersję, a teraz Gloria czyta ją na górze. Biorę chłopców na ryby. Jednym z powodów, dla których opuściłem Los Angeles, było to, że chciałem więcej czasu spędzać z dziećmi. Piętnaście godzin dziennie w wytwórni czyni z rodziny gromadę obcych sobie ludzi. - Odłożył trzymane w ręku papiery i ruszył w stronę drzwi. - Gabbie wyszła gdzieś z Jackiem, więc macie bibliotekę dla siebie.

Mark zmierzył spojrzeniem ciągnące się od podłogi do sufitu półki pełne książek i pokręcił głową.

- To może potrwać dłużej, niż się spodziewałem.

Phil obrócił się w drzwiach.

- Na strychu i w piwnicach jest jeszcze trochę. Bawcie się dobrze.

- Złapcie prawdziwego potwora - odparował Gary z uśmiechem.

Phil wetknął głowę do salonu, pełniącego teraz funkcję pokoju do oglądania telewizji. Sean i Patrick siedzieli na podłodze przed nowym wielkoekranowym telewizorem, który Phil zamówił tydzień temu. Gloria nie powiedziała nic na ten zakup - było ich na to stać - lecz w gruncie rzeczy nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż i synowie muszą oglądać te wszystkie bramki i zwody w naturalnych wymiarach.

- Chodźcie, dzieciaki - rzucił Phil.

Sean skoczył na równe nogi i wyłączył telewizor. Transmisja meczu na żywo z Chicago na WGH rozpoczęła się godzinę temu, według tutejszego czasu o drugiej po południu. Chłopcom ogromnie podobało się, że mogą nakierowywać antenę w różne strony, żeby wylapywać stacje z całego świata, jednak najbardziej zadowoleni byli z transmisji baseballowych z Atlanty, Chicago i Nowego Jorku. Sean złapał oparty niedbale o ścianę bosak i rzucił radośnie:

- Padresi prowadzą czterema punktami.

Patrick pokręcił głową z widocznym niesmakiem.

- Sandberg skopał punkt. Dwa niezasłużone biegi w pierwszej! - Zachował sympatię dla Aniołów, ale zdecydował, że w ogólnonarodowej lidze będzie trzymał za Cubsami. Sean był w siódmym niebie, bo jego ulubiona drużyna znalazła się bardzo blisko trzeciej pod rząd wygranej z Cubbiesami, ku wielkiej konsternacji jego brata.

Phil otworzył frontowe drzwi i znalazł się naprzeciwko Hemingwaya, który wybrał sobie na legowisko akurat środek progu. Kot otworzył oczy i podniósł wzrok na jedynych trzech ludzi, jakich w tym domu tolerował. Phil spojrzał w dół, a kiedy stało się jasne, że stary kocur nie zamierza się ruszyć, po prostu przeszedł nad nim.

Kiedy Sean zamykał drzwi za swoim bratem, odezwał się:

- Życz nam powodzenia, Ernie. Może złapiemy ci jakąś rybę.

Mina kota wskazywała jasno, że nie podziela tak optymistycznych poglądów co do wyników tej wyprawy.

Gdy Gloria usłyszała, że wychodzą, uśmiechnęła się do siebie. Odłożyła manuskrypt na łóżko i przez chwilę rozmyślała o przeczytanym przed chwilą rozdziale. Książka Phila jest niezła, ale w tym punkcie opowieści narracja trochę mu się rozłazi. Wiedziała, że przy poprawkach wyłapie to i uzwięźli, ale wiedziała też, że pragnie, aby mu to wypomniała.

Kiedy usłyszała zapuszczany silnik samochodu, wzięła do ręki słuchawkę telefonu i wybrała numer. Telefon odebrano już po drugim sygnale.

- Aggie? - Głos po drugiej stronie coś odpowiedział. - Powiedz Jackowi i Gabbie.

Odwiesiła słuchawkę z tajemniczym uśmiechem na twarzy. Zeskoczyła z łóżka i boso ruszyła po podłodze, a potem w dół po schodach. Kiedy zeszła na podest, zajrzała do małego pokoiku i cofnęła się. Gary Thieus sterczał w kominku.

Mark Blackman stał tyłem do drzwi, zaglądając Gary'emu przez ramię, podczas gdy ten badał coś przy przeciwległej do wejścia ścianie. Gloria weszła do środka i zagadnęła:

- Nie wydaje mi się, żebyście znaleźli tam książki, chłopcy.

Mark odwrócił się, wcale nie zaskoczony jej wejściem.

- Popatrz tutaj. - Wskazał na coś ręką, ale ona zobaczyła tylko ogołoconą z książek półkę. - Głębokość półki zaraz przy kominku różni się od pozostałej części. Za tymi półkami znajduje się przestrzeń.

Z wnętrza kominka odezwał się Gary:

- Mam coś. - Wyszedł z paleniska i podał im jakiś klucz. - Wiele starych domów miewa różne małe skrytki, na przykład za cegłą w kominku albo pod fałszywą deską w podłodze, a nawet ukryte piwniczki. Czasem w jednym domu znajdują się aż dwa albo trzy

takie schowki. Z boku paleniska znalazłem niewielkie wgłębienie, zakryte luźnym kamieniem.

Gloria wzięła klucz do ręki, zauważając, że jest okryty sadzą, i zapytała:

- Do czego on jest?

- Nie wiem - odparł Mark. - Czy macie tu jakieś drzwi, których nie dało się otworzyć?

- Nie - odparła Gloria - chyba że nie zauważyłam jakichś w piwnicy. Nie spędziłam tam zbyt wiele czasu. - W roztargnieniu poklepała się kluczem po policzku, pozostawiając małą smużkę sadzy. - Mark, czego ty właściwie szukasz?

- Sam nie jestem pewien - odparł Blackman. - Gdybym miał tę pewność, wiedziałbym lepiej, jak mam się zabrać do szukania. - Wskazał na policzek Glorii i na klucz.

- To nie brzmi zbyt sensownie - odrzekła, wycierając zabrudzone miejsce.

Mark odsunął się i oparł się plecami o biurko Phila, podczas gdy Gary przysiadł na stercie książek.

- Glorio, czytałaś którąś z moich książek?

- Nie - przyznała, bynajmniej nie zmieszana.

- To nic dziwnego. Większość z nich jest wciąż jeszcze w przygotowaniu, ale kilka można znaleźć w bibliotekach albo na półkach z różnymi dziwnymi opowiastkami - no wiesz, obok książek napisanych przez ludzi, którzy lecieli na Wenus w latającym spodku albo wiedzą, gdzie jest Atlantyda. Większość z moich prac poświęcona jest poszukiwaniu prawdy kryjącej się w mitach i legendach, zwłaszcza w dziedzinie okultyzmu i magii. Jeśli za mitem kryje się jakiś okruczek prawdy, pragnę do niego dotrzeć. Napisałem długą rozprawę na temat mistycznych wizji odbieranych pod wpływem pejotlu w trakcie indiańskich rytuałów religijnych. Twierdziłem w niej, że podczas owych rytuałów środki halucynogenne zawarte w pejotlu uwalniają w zażywających głębokie pokłady pamięci rasowej. Według mnie rdzenni mieszkańcy południowo-zachodniej Ameryki byli zupełnie inaczej ukształtowani psychicznie od Europejczyków, dzięki czemu potrafili docierać w głębsze, „prymitywniejsze” warstwy pamięci genetycznej, których istnienia ludzie cywilizowani nawet nie podejrzewali.

- Brzmi dość po jungowsku - orzekła Gloria.

Mark uśmiechnął się lekko, a Gary wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

- Bo to jest bardzo jungowskie - odparł Gary.

- Ale co to ma wspólnego z tym, że buszujecie mi w kominku?

- Słuchaj, nie lubię rozmawiać o swojej pracy, zanim nie przekażę jej wydawcy, ale w tej sytuacji należy ci się wyjaśnienie. Wierz mi jednak, że nie knujemy nic niegodziwego. Chodzi tylko o to, że nie lubię rozmawiać o tym, nad czym akurat pracuję. - Urwał na chwilę.

- Pamiętajsz, jak mówiłem u Aggie, że szukam informacji o starym Kesslerze? - Kiwnęła głową potwierdzająco.- Był jednym z kilku ludzi, których losy udało mi się prześledzić, a którzy byli zamieszani w pewne dość dziwne przypadki, bardzo dla mnie interesujące.

- Na przykład?

- Na przykład, sporo spraw, które wciąż jeszcze próbuję rozwikłać. Wiem tylko, że na początku wieku tam, gdzie dziś jest południe Niemiec - w Bawarii, a częściowo i Wirtembergii - nastąpił nagły zwrot ku bardziej prymitywnym wierzeniom, tak jakby chłopstwo chciało powrócić do wiary przodków, którzy powierzchownie byli chrześcijanami, lecz w rzeczywistości była to tylko cienka pozłotka na głęboko zakorzenionym systemie obrządków pogańskich. W dodatku nawracali się całymi gromadami. Wybuchła istna epidemia opowieści o czarach i magicznych obrządkach.

- No pięknie - odezwała się Gloria. - A teraz jeszcze mi powiesz, że ojciec starszka Kesslera zadawał się z pogańskimi kapłanami?

- Nie - poprawił ją Mark. - Mówię tylko, że ojciec starszka Kesslera był bardzo tajemniczym człowiekiem, znanym szerzej, niż można by sądzić wedle jego statusu drobnego kupca, i to w czasach, kiedy wśród chłopstwa w południowych Niemczech rozpętało się istne piekło na ziemi. Znalazłem z pół tuzina wzmianek o Fredricku Kesslerze i kilku innych ludziach, z którymi się znał i spotykał. Ale co mnie doprowadza do szału... to to, że cały czas patrzę na czarną skrzynkę. Coś tam w środku jest, tylko nie mam pojęcia co. - Skrzyżował ręce na piersi, a na jego twarzy pojawił się wyraz frustracji. - Około osiemdziesięciu, może osiemdziesięciu pięciu lat temu w południowych Niemczech wydarzyło się coś szczególnego i dość tajemniczego, a było to niezmiernie ważne, choć dotąd nie wiadomo, co to dokładnie było. I był w to zamieszany Fredrick Kessler. Chciałem porozmawiać z jego synem, ale kiedy tu przyjechałem, w zeszłym roku, tamten przebywał już w Europie. Próbowałem uzyskać od jego prawnika pozwolenie na to, żeby tu trochę pogrzebać, ale nie chciał mi go udzielić. Tak więc wemknąłem się tu chyłkiem i obejrzałem posiadłość. Nie włamałem się do domu. Ale prawnik jakimś cudem dowiedział się o tym i zagroził, że jeśli jeszcze raz postawię nogę na gruntach Kesslera, naśle na mnie szeryfa. Zatem przez jakiś czas zajmowałem się tym, co udało mi się znaleźć w miasteczku: przeszukiwałem archiwum tutejszej gazety, miejscowe biblioteki, przeprowadzałem wywiady z ludźmi, którzy znali starszego Kesslera - choć niewielu ich już pozostało. Kiedy zmarł Herman, byłem akurat w Waszyngtonie, sprawdzałem stare akta bankowe. Zanim zdążyłem wrócić, ty i Phil już złożyliście ofertę kupna tego domu. A oto, co udało mi się poskładać z różnych kawałków: że Fredrick Kessler i jego towarzysze odegrali kluczową, choć niejasną rolę w tym nawrocie pogańskich



obrzędów i że w historii nigdy jeszcze nie było takiego wypadku. Niemcy z przełomu wieków nie były krajem, w którym coś takiego miałyby prawo się wydarzyć. To nie to samo, co wieśniacy w Transylwanii, przestraszeni, że Dracula znów podniósł się z grobu, ani aborygeni w Australii ze swoją wiarą w duchy zwierząt. To było coś takiego, jakby ni z tego, ni z owego w 1905 roku każdy mieszkaniec Connecticut uwierzył nagle w duchy, elfy i stare bóstwa. A potem, co najbardziej zaskakujące, głowy Kościołów katolickiego i protestanckiego, a nawet przywódcy społeczności żydowskiej, dotąd przez nich prześladowanej, wszyscy połączyli siły z miejscowymi władzami, żeby wspólnie przeciwstawić się temu nagłemu nawrotowi pogaństwa. Było to - w najdosłowniejszym sensie - polowanie na czarownice. Wielu ludzi aresztowano, niektórych wygnano z rodzinnych wsi i miasteczek, a bardzo wielu zaginęło - spodziewam się, że zostali zabici. W ciągu kilku następnych lat sprawę uciszano - nawet sto lat temu ludzie troszczyli się o wizerunek publiczny - ale była to prawdziwa mała inkwizycja.

- No, diablo piękna historia - odezwała się Gloria. - Ale skąd ta tajemnica? Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Mark wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, nie lubię gadać o swoich badaniach. Zatem częściowo dlatego. Poza tym, jest jeszcze kwestia religijna. Uznane Kościoły nie bardzo lubią, kiedy wypomina im się pewne grzechy przeszłości. A niektórzy ludzie, nawet w dzisiejszych czasach, wciąż jeszcze wzdrygają się, kiedy porusza się przy nich temat pogańskich wierzeń.

- Zwłaszcza w dzisiejszych czasach - wtrącił Gary. - Fundamentalisci potrafią narobić wiele hałasu, jeśli tylko zechcą.

Mark przytaknął.

- A poza tym są jeszcze te historie o skarbie.

- Wspominałeś o tym u Aggie, a potem obróciłeś wszystko w żart.

- No cóż, to może wcale nie być żart. Bez względu na przyczynę - związki z pogaństwem czy jakieś inne powody - staruszek Kessler i jego kolesie w tamtym czasie dość pospiesznie wynieśli się z Niemiec i pojawili się w Kanadzie, w Stanach oraz Afryce Południowej. Było ich około tuzina. Wszyscy podróżowali bez większych bagaży, ale w ciągu dwóch lat od osiedlenia się w nowym miejscu stali się dobrze prosperującymi biznesmenami. Skąd wzięli na to pieniądze? Jeśli sprawdzić zapisy, wynika z nich, że Kessler potrzebowałby na początek jakichś dwudziestu lub trzydziestu kawałków, a wygląda na to, że miał znacznie więcej.

- Na dzisiejsze to byłoby ćwierć miliona - wtrącił Gary.

Gloria nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że Mark wciąż jeszcze nie powiedział jej wszystkiego. Ale zanim zdołała zareagować, otworzyły się frontowe drzwi i dobiegł ich głos Gabbie:

- Mamy go!

Do pokoju wtoczył się Jack, dźwigając wielkie pudło, które położył następnie na podłodze przy biurku i pospieszył z powrotem. Gloria zwróciła się więc do Marka:

- Pogadamy za chwilę.

Jack i Gabbie wnieśli jeszcze kilka innych pudeł i zaczęli je szybko otwierać.

- Co się dzieje? - dopytywał się Mark.

- To urodziny taty - obwieściła Gabbie, wyciągając z pudła coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak mały telewizor. - Kupiliśmy mu edytor tekstów. To w samoobronie - dodała z wesołym uśmiechem. - Tato fatalnie pisze na maszynie. W wytwórni mieli specjalnych ludzi od przepisywania scenariuszy. Bez tej maszyny ja albo Gloria wylądowałybyśmy przy przepisywaniu jego manuskryptów.

Bez mała w pół godziny na biurku Phila stanął kompletny komputer. Podłączono doń drukarkę, a następnie Jack wykonał kilka testów.

- Wszystko chodzi idealnie - oznajmił.

- No cóż, jeśli organizujecie przyjęcie dla Phila, to pewnie powinniśmy się zbierać. Wrócimy jutro.

- Nie, zostańcie - poprosiła Gloria. - Słuchaj, Phil jest taki sam jak ty, jeśli chodzi o trzymanie pracy w tajemnicy, ale teraz, skoro puściłeś farbę, będzie zachwycony. A Gabbie jedzie do Pittsville po chińszczyznę, więc kilka dodatkowych gąb nie czyni różnicy.

- Dobra - odrzekł Mark. - Zakładam, że dołączy do was Aggie?

- Ma się rozumieć.

- Co to ma znaczyć: Gabbie jedzie po kolację? - wtrąciła Gabbie.

- Zostałaś wybrana w tajnym głosowaniu - odparła jej macocha. - A poza tym, miałam telefon od pana Laudermilcha, który powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, żeby My Dandelion przenieść do nas na resztę lata, skoro oporządziliśmy stodołę. Mówi, że niezła z ciebie amazonka.

Gabbie otworzyła szeroko oczy. Odwróciła się do Jacka.

- Ty parszywcu! Nawet nie pisałeś!

Roześmiał się głośno.

- To miała być niespodzianka. A poza tym, to był pomysł twoich starszych.

Gabbie rzuciła się Glorii na szyję.

- Dzięki, Glorio. To wspaniały koń. Lubię ją prawie tak samo jak Bumpera. Będę się nią dobrze zajmować.

- Proszę bardzo, Gabbie. - Gloria odwzajemniła jej uścisk. - Phil zgodził się też, żebyśmy trzymali u siebie Johna Adamsa. Ale musisz oporządzać oba, a do umowy wchodzi też nauka konnej jazdy dla obu chłopców.

Gabbie wskazała na Jacka z udawanym niesmakiem, kiedy rzuciła:

- No to teraz pewnie będę musiała znosić go codziennie.

- No, no! - zaprotestował obiekt fałszywych drwin.

- Jedźcie teraz po zwierzęta, a potem, kiedy wrócą Phil i chłopcy, po kolację. Dobra?

- Dobra! - zakrzyknęła Gabbie z entuzjazmem, łapiąc Jacka za rękę i niemal wywlekając go z gabinetu.

Gloria patrzyła chwilę za nimi, a potem odezwała się:

- Może wróćcie tymczasem do swojej roboty, a ja do czytania manuskryptu Phila. Po kolacji porozmawiamy jeszcze o sprawie skarbu Kesslera czy czym tam jeszcze. W porządku?

- Doskonale - odparł Mark.

On i Gary wrócili więc do przeglądania książek, a Gloria powędrowała na górę. Nie zapomniała o schowanym w kieszeni dzinsów kluczu, a wiedziała, że i Mark ma go ciągle w pamięci.

W małym schowku pod schodami coś czarnego nasłuchiwało, zwisając po spodniej stronie schodów. Wydało z siebie zadowolone westchnienie i oszacowało, że czas się zbierać. Poruszało się jak gigantyczny pajak, gdyż jego długie ramiona i nogi zdawały się lgnąć do miejsc, których dotknęły. Przystanęło na chwilę przy listwie podłogowej, przypatrując się wąskiej szczelinie między deskami. Następnie skurczyło się w sobie, pościskało kości i stawy, aż wreszcie zdołało się przez nią precyzyjnie przesuwać. Ledwie słyszalnym szeptem syknęło „Klucz. Ten klucz”. Potem z chichotem zniknęło po drugiej stronie.

Na skraju polany, w polu widzenia dworu Królowej, włożył się, rzucając pogardliwe wyzwanie jej potędze. Tulił się w cieniu potężnych pni, ten szaleniec ze światła i słodkich aromatów, oczekując na swego sługę. Coś czarnego pędziło ku niemu przez las, aż na koniec przystanąło u stóp swego władcy i coś mu szepnęło.

Pan spojrzał w dół na małą maskę czarnej wściekłości, a na jego własnej twarzy malował się podobny wyraz szaleństwa i gniewu. Idealne, białe zęby zaciskały się w obrzydliwym uśmiechu, a otwarte szeroko oczy wyglądały jak niebieskie kule obłędu połyskujące nieludzkim światłem.

- Dobrze, dobrze - odszepnął swemu słudze, gładząc go po kanciastej głowie jak człowiek głaszczący psa. Małe, podobne do małpy stworzenie zaświergotało z radości, widząc, że jego pan jest szczęśliwy. Nieczęsto się to zdarzało. - A teraz wróć tam i czekaj. Kiedy nadejdzie pora, pokażemy im zamek. - Bez chwili wahania stwór popędził przez las tak sprytnie, że żadne ludzkie oko nie było w stanie go dojrzeć.

Istota ze światła wstała, rozpostarła szeroko ramiona i spojrzała w niebo. Kiedy klasnęła rękoma nad głową, nad lasem potoczył się grzmot.

Przez wzgórze przeleciał nagły powiew wiatru, a Królowa podniosła się z miejsca, kiedy cały jej dwór zwrócił oczy w stronę źródła gromu.

- Jak śmiesz... - zaczęła, ale w cieniu nie było już nikogo. Syknęła ze złości przez zęby równie nieskazitelne i nieziemskie jak zęby tamtego. Znów odszedł. Usiadła powoli, zerknąwszy na tego, który kiwnął głową, a w oczach miał odbicie jej własnego skrywanego strachu. Machnięciem ręki wydała rozkaz, a muzycy natychmiast podjęli na nowo przerwana melodię, lecz część radości umknęła z kręgu, przegnana hukiem gromu. I wszyscy wiedzieli, że tylko ten, który z nich zadrwił, mógł sobie pozwolić na taki afront. Tylko on miał dość mocy. A ta świadomość sprawiała, że nadciągająca noc miała być o wiele zimniejsza.

Phil wkroczył do domu, prowadząc za sobą chłopców i niosąc pełen kosz.

- Hej! - zawołał. - Jesteśmy!

Do kuchni weszła Gloria, teatralnym gestem trzymając się za nos.

- Do zlewu z tym!

Phil z chłopcami położyli połów we wskazanym miejscu, a Gloria spojrzała na siedem ryb.

- Czy wy nie wiecie, głuptaki, że macie tylko moczyć robale?

Chłopcy uśmiechnęli się z dumą.

Phil pocałował ją w policzek.

- Ja je oczyszczę. Muszę nauczyć chłopaków, jak to się robi.

Patrick skrzywił się i wykrzyknął:

- Fuj! Rybie flaki!

Sean tylko wybuchnął śmiechem.

- Najpierw mycie, później flaki - zakomenderowała Gloria. - Chcę wam coś pokazać.

Wygnała ich na kuchenny ganek i dopilnowała, by ich ręce przestały śmierdzieć rybami.

- Przed kolacją wszyscy musicie się przebrać, ale najpierw chodźcie ze mną.

Poprowadziła ich do gabinetu Phila i rozsunęła drzwi.

- Niespodzianka! - krzyknęła Gabbie, a Aggie, Jack, Mark i Gary pospieszyli z urodzinowymi gratulacjami.

Phil pokręcił głową i rzekł:

- Miałem nadzieję, że wszyscy zapomnieli. W moim wieku można już sobie pozwolić, żeby jedno czy drugie przeoczyć. - Gloria posłała mu pełne dezaprobaty spojrzenie. Dopiero wtedy dostrzegł stojący na biurku edytor z wielką czerwoną wstążką na czubku. - Co?! - Z wrażenia usiadł powoli przy biurku.

- Wszystkiego najlepszego, tatusiu! - odezwała się Gabbie, ściskając go od tyłu za szyję.

Phil siedział wpatrzony w ciemny monitor i przez długą chwilę milczał. W końcu zapytał:

- Jak to się obsługuje?

- Jack ci pokaże.

Phil zwolnił krzesło, a Aggie zauważyła:

- Jest bardzo podobny do mojego, tylko bardziej bajerancki.

Phil roześmiał się na głos.

- Wydawało mi się, że wciąż korzystasz ze swojego starego remingtona.

- Mój chłopcze, żyjemy w świecie zaawansowanej techniki, choć mogło to umknąć twojej uwagi - zestrofowała go. - Nie pozwól, żeby to coś cię zastraszyło. Kiedy już do niego przywykniesz, zaczniesz rzucać kamieniami w swoją starą maszynę do pisania. A teraz coś nieco bardziej tradycyjnego. - Wręczyła Philowi pudełko. - Wszystkiego dobrego, Philipie.

Phil otworzył pudełko i wyjął z niego przepięknie zdobiony srebrny nóż do papierów.

- Aggie! To należało do Henry'ego. Nie mogę tego przyjąć.

- Oczywiście, że możesz, głuptasie. Ja też w końcu kiedyś umrę i wolę, żebyś dostał go ty, a nie stan Nowy Jork. - Zerknęła na piękną srebrną pochewkę. - Kupiłam to dla niego, kiedy spędzaliśmy miodowy miesiąc w Meksyku. Wykonano go w jakiejś krainie srebra. Trzeba go regularnie czyścić. Wszystko jest z czystego srebra: ostrze, rękojeść i pochwa, więc straszliwie zachodzi patyną. - Uśmiechnęła się. - Tak, zatrzymaj go, Philipie.

Phil wydawał się szczerze wzruszony podarkiem, który należał do osobistych drobiazgów męża Aggie.

- Dzięki - powiedział, podnosząc się, by ucałować ją w policzek.

Bliźniacy stanęli blisko Gabbie, oglądając uważnie komputer. W końcu Sean zapytał:

- W jakie gry można na nim grać?

- Można zainstalować „Spy Huntera”? - dopytywał się Patrick.

Jack wybuchnął śmiechem.

- No cóż, można na nim grać, ale...

- Żadnych gier! - zaprotestowała Gloria. - To prezent dla waszego ojca, a nie zabawka.

Jedna gra komputerowa i już nigdy nie będzie mógł się do niego dopchać.

- Och, mamó - protestował Patrick.

- Tylko bez „och, mamó” - odrzekła z udanym oburzeniem. - Wy dwaj, idźcie się oporządzić. Kolacja za pół godziny. - Chłopcy dali za wygraną i wmaszerowali po schodach na górę, żeby się umyć i przebrać w czyste podkoszulki.

Phil stał za plecami Jacka, podczas gdy chłopak pokazywał mu podstawowe operacje systemu. Potem wskazał ręką na podręczniki użytkownika i dodał:

- Gdybyś miał jakieś problemy, dzwoń do mnie...

- A on będzie w stodole - przerwała Gabbie.

- Pewnie tak - odparł z uśmiechem Jack.

- No dobrze, kto chce drinka? - wtrąciła się Gloria.

- To wskazówka dla mnie - oznajmiła Gabbie.

- Jak to? - zdziwił się Phil.

- Kolacja. Mam ją przywieźć. Najlepszy hunan od Loo Fonga, a do tego szechwan.

Wracam za piętnaście minut.

Gdy Gabbie wypadła pospiesznie na zewnątrz, Gloria oświadczyła:

- Pobaw się teraz swoją nową zabawką, Phil. Ja zajmę się tymi rybami.

Pokiwał z roztargnieniem głową, kiedy dziabnął na próbę w klawiaturę.

Porsche 911 turbo Gabbie zostało w Kalifornii, gdzie czekało na jej powrót z początkiem roku akademickiego, wzięła więc pontiaca ojca i poprowadziła go tak jak zwykle - szybko, ale nie po wariacku. Nie znosiła marnować czasu. Jedzenie już czekało gotowe i spakowane w dwa kartonowe pudła, które wystarczyło przenieść na tylne siedzenie samochodu. Gabbie, wbrew przepisom, zawróciła na McDermott Street - upewniwszy się najpierw, czy nikt nie nadjeżdża z przeciwnej strony - i ruszyła w stronę szosy, którą tutejsi nazywali autostradą. Dla Gabbie była to nobilitowana dwupasmowa wiejska droga, a do tego mocno wąskawa w porównaniu z tym, do czego przywykła w południowej Kalifornii. Wydostawszy się na tę „autostradę”, jechała z prędkością większą o pięć mil od tutejszych ograniczeń, uznawszy słusznie, że miejscowa policja uznaje to za zupełnie dopuszczalny poziom niesubordynacji. Zbliżała się już do zjazdu, prowadzącego w stronę domu, kiedy nagle oślepił ją nieoczekiwany promień słońca, który rozblysnął między drzewami na odległym wzgórzu. Przechyliła lekko głowę i spuściła osłonę. Wtem otworzyła szeroko oczy i obejrzała się w stronę zachodzącego słońca. Na szczycie wzgórza, na odchodzącej od autostrady drodze, coś rysowało się wyraźnie na tle nieba. Dźwięk klaksonu zwrócił jej uwagę z powrotem na to, co się dzieje na drodze. Wdepnęła gwałtownie hamulce i zjechała na prawo. Przez nieuwagę zbczyła nieco na lewo, więc kierowca nadjeżdżającego z przeciwka auta obrzucił ją chmurnym spojrzeniem i mijając ją, machnął pogardliwie ręką. Kiedy pokonywała zakręt przy zjeździe z autostrady, serce waliło jej jak młotem. Podwójnie zdenerwowana, zjechała na pobocze i zatrzymała samochód. Wzięła kilka głębokich wdechów, potem obejrzała się na tylne siedzenie, żeby sprawdzić, czy nic się nie rozlało, i po chwili ruszyła w dalszą drogę do domu.

Mruczała do siebie pod nosem, że pewnie wyobraziła sobie to wszystko. Przez jedną chwilę na tle wieczornego nieba zobaczyła coś, co przypominało sylwetę starego, krytego wozu, ciągniętego przez jednego konia. Opadło ją jakieś mgliste wspomnienie, które już-już miała rozpoznać, kiedy pierzchło. Pozostało jej tylko imię Wayland. Nie mogła też pojąć, dlaczego po policzkach toczą jej się strumienie łez.

Po kolacji dorośli rozsiedli się w pokoju dziennym, a chłopcy udali się do salonu, żeby trochę pooglądać telewizję, zanim pójda do łóżek. Jack i Gabbie poszli do stodoły, żeby sprawdzić, jak się mają wypożyczone od Laudermilchów konie, choć nie było ku temu specjalnego powodu. Gabbie snuła już plany postawienia płotu, który miałby się ciągnąć od stodoły wokół całego południowego pastwiska, a umożliwiłby puszczenie koni luzem. Gloria zwróciła uwagę Phila, że dziewczyna czyni dość długoterminowe plany jak na kogoś, kto za dwa miesiące wraca do Kalifornii. Phil zbył tę uwagę wzruszeniem ramion.

Wszyscy za to podsłuchali rozważania Gabbie, Gary zaś odezwał się:

- Dozna niemałego szoku, kiedy dowie się, ile to będzie kosztować.

Phil i Gloria wybuchnęli śmiechem. Mark i Gary wymienili między sobą spojrzenia, a Aggie podsumowała:

- Pieniądze to żaden problem.

- Musiałeś nieźle zarobić na tych *Gwiazdnych piratach*, Phil - zauważył Mark.

- Nie mówimy tu o moich pieniądzach - odparł Phil, a kiedy Mark popatrzył na niego zdezorientowany, objaśnił: - Gabbie nie lubi, kiedy o tym mówimy, ale wszyscy to wiedzą. Jest dziedziczką.

- Larkerowie z Phoenix - wyjaśniła Aggie.

Mark zamrugał ze zdumienia, potem rzucił:

- No tak. Przecież jej matka to Corinne Larker.

Aggie kiwnęła głową.

- Została wydziedziczona przez Helen Larker, która uczyniła Gabbie jedyną spadkobierczynią całego majątku.

- Ale ona jest taka...

- Jaka? - zainteresował się Phil.

- Bo ja wiem - odparł Mark, wzruszając ramionami. - Normalna? A może tak: niepodobna do dzieci bogaczy?

- Gabbie ma głowę na karku - odparła Gloria. - Nie znosi ostentacji. Kiedy była w szkole, dostawała tylko niewielkie kieszonkowe, dopóki nie skończyła osiemnastu lat. Nauczyła się obywać z niewielkim dochodem. Teraz może dostać wszystko, czego potrzebuje, wykonując jeden telefon do zarządcy majątku babki, co jej najzupełniej odpowiada. Jak do tej pory pozwoliła sobie na dwie drogie zachcianki: konia, który kosztował ją więcej, niż chciałoby mi się pomyśleć, i to jej porsche, którym jeździ diabelnie szybko.



Poza tym wydaje naprawdę niewiele. Zarządca zwróci jej majątek w całości, kiedy wyjdzie za mąż lub ukończy dwadzieścia pięć lat.

- Jeśli to nie jest zbyt drażliwa kwestia - wtrącił Gary - czy można wiedzieć, ile tego jest?

- Sam nie wiem - odparł Phil - ale to wiele, wiele milionów.

- W takim razie - zauważył Gary - jeśli chce mieć płot, będzie go miała. - Następnie na jego twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech. - Zastanawiam się, ile by kosztowało nasłanie płatnego mordercy na Jacka.

Wszyscy się roześmieli, a Mark odpowiedział:

- Zapytaj Ellen. Zaczynij tylko się kręcić koło Gabbie, a ona naśle mordercę na ciebie.

- To prawda.

- Kiedy wreszcie poznamy tę twoją dziewczynę, Gary? - zainteresował się Phil.

- No cóż, mieliśmy z Markiem zaprosić was wkrótce do siebie, i tam byście ją poznali. Dziś wieczorem jesteśmy czymś w rodzaju niezapowiedzianych gości.

Phil uniósł pytająco brwi, a Mark wyjaśnił mu, że chciał wrócić do sprawy klucza. Powtórzył swoją teorię w sprawie Kesslera oraz co do możliwości istnienia legendarnego skarbu, a kiedy skończył, wszyscy na chwilę zamilkli.

- No, no, to ci dopiero historia - odezwał się Phil. - A co w sprawie skarbu? Chyba nie sądzisz, że naprawdę jest ukryty gdzieś tutaj?

- To całkiem możliwe. Kessler przybył tu z Niemiec, rozkręcił duży interes bez żadnego kapitału zakładowego, potem przez dwa lata prowadził go pod kreską, zanim wreszcie wyszedł na swoje. To chyba jasne, że musiał przywieźć z Niemiec dość znaczną fortunę. W Niemczech nie znalazłem na jego temat prawie żadnych informacji, więc można dowolnie zgadywać, skąd wziął te pieniądze. Jest jeden drobny szczegół, który odkryłem w rejestrach bankowych w Nowym Jorku. Pewien agent firmy zaopatrującej go w sprzęt zgłosił, że weksel bankowy, którym Kessler zapłacił za pierwszą dostawę maszyn, miał adnotację „fundusze zabezpieczone w złocie”, co praktykuje się dość rzadko. A Kessler wykupił weksel z zysków swojej fabryki, więc złoto, o ile zdołałem się zorientować, pozostało nietknięte.

- A więc - podsumował Phil - sądzisz, że Kessler splądrował w Niemczech jakiś sekretny skarbiec pełen złota, żeby tu założyć fabrykę?

- Kiedy tak to ująć, rzeczywiście brzmi dość głupio - zgodził się Mark. - Ale zanim zacznę tworzyć jakiegokolwiek teorie, potrzebuję więcej faktów. Nie zgromadziłem ich dość nawet na porządną historyczną powieść, że nie wspomnę o prawdzie.

- A co z tym kluczem? - zapytała Gloria.

Mark wstał.

- Jeśli uda wam się odszukać drzwi, które otwiera ten klucz, możliwe, że znajdziecie za nimi coś, co pomoże mi odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Fredricka Kesslera, przede wszystkim co on i jego nagłe wzbogacenie mają wspólnego z dziwnymi wypadkami w Niemczech na przełomie wieków i całą tą resztą.

- No i - dodał Gary - możecie odnaleźć jego skarb, jeśli istnieje.

- Powinniśmy się zbierać - orzekł Mark. - Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chcielibyśmy kontynuować poszukiwania również jutro.

- Ależ proszę bardzo - odpowiedział Phil, odprowadzając ich do drzwi.

Kiedy wyszli, Gloria odezwała się:

- Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie powiedział nam wszystkiego, co wie o tej sprawie.

- Mark ma skłonność do bycia tajemniczym, ale jest absolutnie nieszkodliwy, moja droga - oznajmiła Aggie. - Poza tym, wciąż wymyśla te swoje cudowne i całkowicie nieprawdopodobne historie.

Kiedy wrócił Phil, Gloria zapytała:

- A więc sądzisz, że to tylko nieprawdopodobne historie?

- Nie - odparła Aggie. - Po prostu nie podzielam jego zamiłowania do przeskakiwania od faktu do faktu i dowolnego zakładania związków przyczynowo-skutkowych. Jego prace dobrze się czyta, ale większości z nich nie biorę zbyt poważnie. Ma obsesję na punkcie starożytnych sekretów i mitów, a do tego nie może znieść, kiedy czegoś nie wie. Nie jest tak beznadziejny jak ten Holender ze swoimi bóstwami z kosmosu, ale też nie należy do zbyt ścisłych badaczy. Jest często krytykowany, i nie bezpodstawnie. Ale na jego obronę muszę powiedzieć, że w wielu jego pracach można dostrzec przebłycki geniusz. Niektóre z jego twierdzeń potwierdzono później, przeprowadzając bardziej naukowe badania. Mark to nie szarlatan. Po prostu bardziej przypomina Indianę Jonesa niż Margaret Mead. - Umilkła na chwilę. - Ale zapytajcie samych siebie, kogo wolelibyście na tropie ukrytego skarbu: Indianę Jonesa czy Margaret Mead? No cóż, robi się późno, a ja powinnam się zbierać. Dajcie znać, kiedy natraficie na kolejne cuda.

Odprowadzili ją do drzwi, a Phil poszedł do stodoły po Jacka. Gloria wetknęła głowę do salonu, żeby poinformować bliźniaków, iż czas do łóżek. Prowadząc ich na górę, nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że Mark ujawnił im tylko niewielką część prawdy o tym, czego szukał. Przypomniała też sobie, że ma poszukać zamka, do którego pasowałby klucz znajdujący się w jej kieszeni.

## SIERPIEŃ

1

Sierpniowe dni to pieski czas, bo wschodzi Syriusz, Psia Gwiazda. W baseballu, kiedy sezon jest już w dwóch trzecich za nami, upał i wilgoć zaczynają zbierać swoje żniwo. Obniża się przeciętna i słabną ramiona miotaczy. Odnawiają się stare kontuzje, a drużyny zaczynają grać rezerwowymi albo przyglądać się innym zespołom, żeby kupić od nich tego czy innego gracza. Kluby w czołówce odnotowują spadek, a te, które jeszcze pod koniec lipca rozprawiały o pucharze świata, pierwszego sierpnia mówią: „Poczekajmy do przyszłego roku”. Drużyna, która przez cały sierpień prowadzi w swojej klasie, to dobra drużyna.

Gabbie obawiała się sierpnia, bo po nim miał przyjść wrzesień, a wtedy musiała w końcu podjąć jakąś decyzję: wraca do Kalifornii czy zostaje w Pittsville. Minął już pierwszy tydzień sierpnia, a ona miała wrażenie, jakby czas przeciekał jej przez palce. Rozmawiali już z Jackiem, ale coś przeszkadzało obojgu zadeklarować się ostatecznie, co zmusiłoby ją do pozostania. Przegarniając widłami siano w stodole, Gabbie nagle czegoś się przestraszyła. Przerwała pracę i przystanęła wsparta o widły. Zamyśliła się. Jack pojechał z Aggie do Nowego Jorku, żeby spotkać się z członkami jakiejś komisji czy czegoś w tym rodzaju. Nie było go już od tygodnia, więc miała czas, żeby wszystko sobie poukładać. Zakochała się w nim, a przynajmniej zależało jej na nim bardziej niż na którymkolwiek innym chłopcu w swoim życiu. I to właśnie napełniało ją troską. Czy go kocha? Czasem czuła się jak małe dziecko i wtedy wszystko ją przerażało. Szła przez życie, kryjąc przed innymi wszystkie swoje lęki, wobec ludzi była zawsze chłodna i opanowana, nawet twarda. Przez cały czas pobytu w prywatnej szkole stanowiła ulubiony obiekt drwin innych dziewcząt, zarówno z powodu urody, jak i pieniędzy, ale nigdy nie udało im się przełamać tej obronnej fasady. Gabbie może krwawić w środku, ale na zewnątrz nie uroni nawet jednej łzy. Niemniej to, że nie daje niczego po sobie poznać, nie oznacza, że nie potrafi cierpieć.

W szkole średniej miała tylko jednego chłopaka na poważnie, Danny'ego. Uważała wtedy, że go kocha. Wydawał jej się inny niż większość chłopców. Sądziła, że ich związek przetrwa szkołę, a potem lata, które on spędzi w college'u. Kiedy dostał się do Stanford, otrzymała od niego trzy listy. W trzecim oznajmiał jej, że poznał inną.

Na to wspomnienie twarz Gabbie okryła się rumieńcem. Wściekła się wtedy, wskoczyła do samochodu i pognęła na północ, zatrzymując się po drodze tylko raz, żeby

zatankować. Jej porsche odnotowano w kilku miejscach między stanowej numer 5, kiedy jechała z szybkością przekraczającą 120 mil na godzinę, a podróż do Palo Alto zajęła jej mniej niż pięć godzin. Szalała po Stanford prawie do pierwszej w nocy, kiedy to Danny wrócił wreszcie do akademika ze spotkania ze swą nową dziewczyną. Konfrontacja była bardzo upokarzająca. Podstawę nowego związku Danny'ego stanowił wyłącznie seks. Gabbie i Danny nigdy nie odbyli pełnego stosunku. Ich miłosna gra zawsze kończyła się tak, że Gabbie musiała go powstrzymać. Podczas ostatnich wspólnych tygodni weszli w stadium ostrych pieszczot, kiedy każde z nich osiągnęło szczyt, jednak Gabbie nadal odmawiała zgody na pełne zbliżenie. Jakoś nie potrafiła wpuścić Danny'ego w głąb siebie, tak jakby to miało być ostatecznym przyznaniem, że chodzi tu o miłość. A ta dziewczyna poszła z nim do łóżka już na pierwszej randce. Był nią całkowicie opanowany, wpadł w seksualną obsesję, a Gabbie uznał za niepożądanego intruza z przeszłości, którego najlepiej pozbyć się szybko i bez sentymentów. Nazwał ją cnotką i podpuszczalską, a potem ze szczegółami, bardzo obrazowo opisał seksualne wybryki swej nowej dziewczyny, jakby fakt, że chętnie im się oddaje, stanowiło jakiś dowód na to, że go kocha. Gabbie uciekła stamtąd pełna bólu i wstydu.

Spodziewała się, że tato i Gloria urządzią jej awanturę, ale oboje zachowali się wspaniale. Ofiarowali jej wsparcie, nie usłyszała ani słowa krytyki na temat tak przesadnej reakcji. Nigdy potem już nie kontaktowała się z Dannym. Teraz zrozumiała, że była to jedynie urażona duma i zaborczość. Atak zazdrości, który dopadł ją nieoczekiwanie podczas pikniku na święcie Czwartego Lipca, to było coś całkiem innego - przerażenie na samą myśl, że mogłaby Jacka utracić.

Wróciła do przetrząsania siana i uśmiechnęła się na myśl o Jacku. Między Jackiem a Dannym była taka ogromna różnica. Danny był miłym chłopcem - przeważnie - ale był jeszcze chłopcem. Jack był delikatnym i kochającym mężczyzną. Nigdy nie rozmawiał z nią o Ginger, o tej byłej dziewczynie z Atlanty, z wyjątkiem odpowiedzi na bezpośrednie pytania Gabbie. Powiedział jej, że z tego związku wyszedł trochę rozbity, a ona temu przypisywała ową niechęć do rozważań na temat przyszłości. Ilekroć Gabbie zaczynała się martwić, co będzie jutro, Jack zbywał ją krótkim „Wszystko się jakoś ułoży”. Masz cholerną rację, Jacku Cole, wszystko się ułoży. W nagłym przyplywie silnych uczuć spostrzegła, że oczy zachodzą jej wilgocią. Cholera, ona naprawdę się zakochała. Wiedziała też, że wkrótce zawlecze go w jakieś ustronne miejsce, żeby tam się z nim kochać. Nigdy nie naciskał i nigdy nie oskarżał, zdawało się, że całkowicie zdaje się na jej inicjatywę. Już dwa razy żałowała, że nie był trochę bardziej stanowczy. Od czasu tamtego pierwszego spaceru w lesie, od czasu wieczoru u Aggie, gotowa była pozwolić, żeby się z nią kochał. Ta wstrzeźliwość jednak tylko

umacniała ją w przekonaniu, że to on właśnie jest najodpowiedniejszy do tego, by zostać jej pierwszym - a może i jedynym - kochankiem. Gabbie wzięła głęboki wdech, uświadamiając sobie nagle, że trochę się denerwuje. Jack miał wrócić za godzinę czy dwie, a Gabbie zastanawiała się w duchu, czy to nie powinno się stać właśnie dziś.

Dokończyła rozrzucać siano w boksach i odłożyła widły. Konie były na pastwisku, o tej porze roku mogły tam pozostawać i na noc, ale siano i tak wilgotniało. Chłopcy odbyli kolejną lekcję konnej jazdy, zanim pobiegli na jeden ze swych regularnie odbywających się meczy. Ku swojemu zaskoczeniu Gabbie przekonała się, że bardzo ją cieszą te ich wspólne lekcje. Kiedy przyjechała z Arizony, bliźniacy mieli po sześć lat - byli milutcy, ale strasznie absorbujący. Teraz robili się z nich normalni mali faceci, każdy z własną osobowością. Potrafili nawet bez specjalnych narzekań wypełniać różne drobne zadania przy oporządzaniu koni, jakie im zlecała. Mimo że dokuczali jej z powodu Jacka, wydawało się, że żywią prawdziwą sympatię do swej starszej, przyrodniej siostry oraz jej chłopaka i po każdej lekcji okazywali szczerą wdzięczność. Ona także ich kochała, mimo że doprowadzali ją do szału, ładując się bez pukania do łazienki. Kilka przyjemnych i odprężających kąpiei skończyło się już ciskaniem mokrych gąbek w jednego czy drugiego brata.

Gabbie otarła pot z czoła. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek uda jej się przywyknąć do tutejszej wilgoci po latach spędzonych w suchym, gorącym powietrzu Arizony i Los Angeles. Nieoczekiwane letnie ulewy były czymś zupełnie jej obcym, a ta z dzisiejszego poranka okazała się absolutnie cudowna. Mimo że był już wczesny wieczór, a słońce kryło się już za wzgórzami na zachodzie, wewnątrz stodoły przypominało łaźnię parową. Pociągnęła za koszulę, żeby wpuścić pod nią trochę powietrza. Rzadko nosiła stanik, więc teraz poczuła na piersiach chłodzący powiew. Rozpięła koszulę i zaczęła wachlować się jej połami, aby parujący pot trochę ją ochłodził. Przyjrzała się sobie, gdy chłodny powiew wywołał na piersiach gęsią skórę. Może nie są tak duże jak u Sheili Riley, ale nie takie znów najgorsze, pomyślała, dotykając się w roztargnieniu. Kiedy musnęła palcami brodawki, te natychmiast się podniosły, a jej przyszedł na myśl Jack.

- Chryste - mruknęła półgłosem - mam w głowie tylko seks.

Nieoczekiwany dźwięk sprawił, że zastygła. To był czyjś śmiech. Okręciła się na pięcie i okryła pospiesznie. Poszukując wzrokiem źródła dźwięku, spojrzała ku sąsiedkowi, prawie niewidocznemu w przedwieczornym mroku.

- Kto tam? - Z głębi cienia dał się słyszeć nowy wybuch chłopięcego śmiechu. - Sean? Patrick? - Znów ten śmiech. - Czy to wy mnie szpiegujecie, potwory? - spytała ze złością, czując, że się czerwieni.

Wciąż słyszała tylko śmiech i nagle zaczęła się bać. To nie był Sean ani Patrick. Brzmiało w tym śmiechu coś dziwnego, niemal obłąkańczego. Ruszyła w stronę wrót stodoły, gdy nagle czyjś melodyjny szept rzucił za nią:

- Wstrzymaj się i zaczekaj chwilkę, Gabrielle.

Gabbie obróciła się błyskawicznie i ujrzała chłopca, sądząc z wyglądu najwyżej czternasto - lub piętnastoletniego, który przykucał u krawędzi sąsiada, częściowo skryty w cieniu.

- Jak...? Kim jesteś?

Nieznajomy zeskoczył, a w niej serce aż drgnęło z przestachu. Patrzyła, jak opada z wysokości dwunastu stóp, lądując pewnie na stopach jak gimnastyk zeskakujący z drążka.

Nosił parę dość szczególnych spodni, jak się wydawało - z grubo tkanego płótna, przewiązanych w pasie rzemieniem. Przypominały trochę szpitalne spodnie, jakie nosili niektórzy w jej szkole. Był bosy i nagi od pasa w górę, a kiedy się wyprostował, okazał się trochę wyższy od niej. Miał dobrze rozwinięte mięśnie, raczej jak u wysportowanego chłopca niż jak u mężczyzny, a na głowie gęstwinę splecionych loków w takim odcieniu brązu, jakiego nie widziała jeszcze nigdy i u nikogo, a które najbardziej przypominały jej kolor kory na pniach drzew. Jego młoda twarz też wyglądała niezwykle z wysoko sklepiionymi kośćmi policzkowymi, strzelistymi łukami brwi, niemal okrutnymi ustami i szeroko, głęboko osadzonymi oczami. Nagle uderzył ją niezwykle błękit tych oczu, była pewna, że już je gdzieś widziała. Oszołomiona, zapytała cicho:

- Kim... jesteś?

- Wędrowcem, poszukiwaczem, moja piękna. - Patrzył na nią, pieszcząc wzrokiem jej ciało. Na jego twarzy widniał wyraz aprobaty, a nawet otwarta pożądlivość. - Nie odchodź jeszcze, albowiem twoje towarzystwo jest mi niezwykle miłe. - Mówił jakoś dziwnie, z akcentem, którego Gabbie nie potrafiła zidentyfikować, ale który zarazem wydał jej się dziwnie znajomy. Wyciągnął ku niej dłoń, a serce Gabbie znów podskoczyło - gdzieś w środku zaczęło wzbierać przerażenie. Już miała krzyknąć, zerwać się do ucieczki, ale jakoś nie udało się jej wykonać ani jednego, ani drugiego. Młodzian dotknął jej włosów, potem policzka. Kiedy musnął opuszkami palców jej skórę, całe ciało Gabbie spięło się gwałtownie, bo od szyi przez piersi ku łądźwiom przeszył je nieoczekiwany dreszcz. Znów stwardniały jej sutki, a drżące ciało rozpałiło się gorącem. W nozdrza uderzył ją zapach korzeni i kwiatów, od którego zakręciło jej się w głowie.

Chwiejąc się na nogach, stała jak wryta, podczas gdy młodzian obchodził ją dookoła. Nie była w stanie śledzić go wzrokiem, bo jej głowa - nie wiadomo dlaczego - nie chciała się

odwrócić, a spojrzenie utkwilo gdzieś w przodzie. Kiedy znalazł się za jej plecami, pochylił się ku niej i opierając brodę na jej ramieniu, szepnął:

- Nie nachodziłbym cię, Gabrielle, gdyby nie przyzywała mnie pieśń twego pragnienia. Twa gorączka daje się wyczuć, a wyczuwana, rozpala me żądze. - Zachichotał, a na ten dźwięk po plecach Gabbie przebiegły ciarki. - Twa nadobna postać niesie rozkosz moim zmysłom. Tobie więc zwrócę teraz tę rozkosz, ponieważ widzę twe pragnienia równie wyraźnie, jak kruk widzi pierwsze oznaki burzy na niebie. - Poczula, że przyciska jej rękę do krzyża, a po chwili, że ta ręka zsuwa się na prawy pośladek. Wzdrygnęła się tylko, niezdolna się poruszyć, złapana w pułapkę jak jeleń na widok świateł zbliżającego się samochodu. W środku niej coś krzyknęło rozpaczliwie, a przecież nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, i jeszcze potężniej zaczęła zbierać w niej żądza. Młodzik tymczasem znów stanął przed nią, więc teraz widziała go w całej okazałości. Pod spodniami nie nosił bielizny, więc zauważyła wyraźny wzwód. Miał elektryzujące oczy, błękitne jak światło błyskawic. Chłopięce rysy przysłaniały mroki wieków - był jednocześnie dziecięcy i prastary, z wyglądu zarazem piękny i przerażający. Przysunął się bliżej, a ona nie widziała teraz nic poza jego oczyma. Błękitne jak migocąca powierzchnia lapis lazuli, jak doskonale czysty lód, te oczy wypijały z niej wolę. Głos pieścił, zmysłowy i miękki.

- Czy taki kwiat zmarnieć ma z braku opieki? Nie - szeptał jej do ucha. Policzek i ucho Gabbie omiółł gorący podmuch jego oddechu, a ona znów się wzdrygnęła. - Skoro kwiecie i tak ma zginąć, nie powinno więdnąć, trzeba je zerwać. Chodź, pójdz za mną, dziecię. - Pchnął ją leciutko, a ona przekonała się, że idzie w stronę wrót stodoły. Chłopak zaś, na poły skacząc, na poły tańcząc, dotarł do wrót chwilę przed nią. Zatrzymał się i wyjrzał na zewnątrz, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku, potem pchnął wrota na oścież. Gabbie przekonała się, że idzie - wbrew własnej woli.

Miała wrażenie, że jej umysł oddzielił się od ciała, że odarto ją z woli. Poruszała się dziwnie, szarpanymi zrywami, tak jakby to, co nią kierowało, nie zniewoliło zupełnie jej ciała. Jej ciała? - zastanawiał się umysł. Z całej siły walczyła, by się zatrzymać, i poczula, że jej ciało zwalnia u wrót stodoły.

Młodzieniec okręcił się i stanął przed nią, posyłając jej palący uśmiech, od którego oślepla na chwilę jak od blasku błyskawic. Głosem przypominającym muzykę rzekł:

- Znasz swoje pragnienia. Nie przystawaj. Pójdz, pójdz ze mną. - Od niechcenia wykonał dłonią gest, jakby rysował w powietrzu półksiężyc, i dodał: - Słuchaj, słuchaj, Gabrielle.

Z oddali doleciała ją teraz muzyka, łkająca melodia tak piękna, że Gabbie ły

zakręciły się w oczach. Wzniosłe muzyczne tematy zagarnęły ją potężną siłą oddziaływania, choć wykonywane były zaledwie przez kwintet: harfę, trzy flety i jakiś nieznany jej rodzaj drewnianej piszczałki. Niemniej muzyka przepłynęła przez nią jak potężna fala, wyzwalając emocje, które dotąd kryły się gdzieś głęboko. Płakała, bo te dźwięki brzmiały zbyt pięknie, by mogły pochodzić od śmiertelnych, cudowne, a zarazem smutne. Była to najśliczniejsza pieśń, jaką zdarzyło jej się słyszeć, a przy tym najbardziej melancholijna.

Potem motyw przewodni stał się żwawszy, melodia rozbrzmiewała teraz ochoczymi, wesołymi synkopami. Gabbie poczuła, że jej ciało reaguje na tę zmianę - puls przyśpiesza, kiedy ona porusza się w takt muzyki, na wpeł idąc, na wpeł tańcząc za tym dziwnym młodzianem. A on odwrócił się i pisał dookoła niej. Nie wiadomo skąd wyciągnął fletnię - cztery trzcinowe piszczałki powiązane razem. Wygrywał na niej kontrapunkt do melodii, a Gabbie ogarnęła wesołość, płynąca jednak na pół z radości, a na pół z obłąkania. Jakaś maleńka jej cząstka, głęboko w środku, pozostała z boku, próbując uporządkować ogarniającą ją szaleństwo, lecz ta samotna cząsteczka była teraz jedynym logicznym bytem w całym wszechświecie, bo wszystko dookoła Gabbie zdawało się zaczarowane.

Szopa wydała jej się zamazana, jakby widziała ją przez brudne szkło, światło na niebie stało się elektrycznym, palącym błękitem, drgającym od niewidocznych, a wyczuwalnych energii. Drzewa szeleściły na wietrze, przemawiając do niej w jakimś starożytnym języku. Nawet błoto pod nogami zdawało jej się uroczym, wilgotnym i ciepłym dywanem do tańca.

Chłopiec sunął przez pastwisko, a przy nim szła Gabbie. Stała się lalką, marionetką, której sznurkami pociągał z wielką wprawą. Przekonała się, że kręci się w kółko, zatacza kręgi, jak kiedy była dzieckiem, biegającym dla czystej radości płynącej z ruchu. Wesoły śmiech odpowiedział echem na jej śmiech i zobaczyła, że chłopiec uśmiecha się do niej szeroko.

Bez najmniejszego wysiłku przeskoczył przez płot, wsparty tylko dłonią o szczyt kołka. Gabbie wspięła się za nim - zwykle wychodziło jej to mało zgrabnie, teraz odbyło się zgodnie z melodią rytmicznie i harmonijnie. Chłopak poprowadził ją w las, w chłodną zieleń boru. W łagodnym wieczornym powietrzu śpiewały drzewa, a ona słuchała.

Nigdy przedtem las tak nie wyglądał, nie pulsował widzialnym życiem i energią. Mrok stał się miękką, dającą osłonę ciemnością, przejrzystą dla jej oczu, kiedy ukazał jej zupełnie nowy wymiar. Widziała teraz każdą gałąź i liść, każde drzewo, każde - jedyne i niepowtarzalne. Zobaczyła, że istnieje drugi świat, ukryty świat, obejmowany i otoczony przez ten świat, w którym się urodziła. Wiedziała, że ten inny świat jest tutaj od zawsze, ale nigdy przedtem nie zdołała go dostrzec. A teraz, pośród tego radosnego, oszalałego tańca,



widziała go wyraźnie. W ciemnościach chłopiec rozjarzył się własną, bladobłękitną poświatą.

Potem zaczął tańczyć w kręgu dookoła niej. Przez cały czas grał na fletni i wirował jak Pan na bachanaliach. Gabbie patrzyła na jego ramiona i plecy, kiedy się obracał, na młode mięśnie rysujące się wyraźnie pod skórą. W miarę, jak się przybliżał, nozdrza Gabbie zaczęły atakować wonie leśnych kwiatów, miodu i korzeni. Boże, jakież on piękny, pomyślała, gdy poczuła jego bliskość. Kiedy się obrócił, dostrzegła, że mimo szaleńczego tańca nadal ma wzwód, stanowiący hołd dla jej urody. Gabbie zalało przemożne pożądanie. Jej ciało stało się teraz bytem samym w sobie, ożyło świadomością. Każde włókno każdego mięśnia pragnęło zwijać się i skręcać, ściągać i prostować, więc wkrótce zapomniała się w tańcu. Jej skóra była jak naelektryzowana, włosy rozwiewały się dookoła głowy jak ciemna aureola. Brodawki stwardniały do granic bólu, a brzuch i lędźwie zalała fala wilgotnego ciepła. Jakiś odległy głos głęboko w środku wrzeszczał z przestרחu, błagał, by uciekała. Puściła go mimo uszu.

Nie wiedząc, jak to się stało, że młodzian stanął nagle przed nią, Gabbie poczuła mgliście, że rozpina jej bluzkę, a po chwili po piersiach musnął ją chłodny powiew, po policzku zaś śmignął lekko jego język. Całe jej ciało spięło się, naprężyło jak skręcona sprężyna, a wtedy on dotknął leciutko jej piersi. Gabbie eksplodowała w rozbłysku gorącej wilgoci, a jej ciało rozprężyło się w dzikim, niekontrolowanym spazmie.

Poczuła, że słabną pod nią kolana i już miała się osunąć na ziemię, gdy nagle opasało ją zadziwiająco silne ramię i przytrzymało w miejscu jak dziecko. Jej całe ciało zlane było potem, który spływał w dół strużkami. Z trudem łapała powietrze. W odległym zakątku umysłu ta świadoma istota o imieniu Gabbie skuliła się nagle ze strachu, bo jej ciało zupełnie wyrwało się spod kontroli, stając się czymś zupełnie osobnym. Poczuła, że zamiast upaść, kładziona zostaje delikatnie na ziemi. Wzdrygnęła się pod wpływem krążącej w niej fali przyjemności, która zagłuszyła ostatni strzęp woli. Chłopiec powiedział miękko:

- Pójdź, piękna młódko, pójdź, pozwól, bym obdarzył cię rozkoszą. - Pochylił się i pocałował Gabbie. A potem wypił z niej duszę.

Zręcznie rozpiął zamek u dzinsów dziewczyny. Dłonią zataczał ogniste kręgi na brzuchu, aż oddech uwiązał jej w gardle. Opuścił głowę i zaczął całować jej piersi, a ona poczuła, że sprężyna w okolicach lędźwi zaciska się od nowa. Umysł przyćmiły gorące, wilgotne pragnienia i już nie mogła myśleć. Wsunął dłoń w jej majtki, a potem między nogi. Dziewczyna trzęsła się, rzucała i wierzgała jak dzikie zwierzę, a z jej ust wyrwały się prymitywne odgłosy rozkoszy.

Zamknięty gdzieś w środku, odizolowany od ciała, tlił się umysł Gabbie. Wśród tego namacalnego żaru ukazywały się jej obrazy, kalejdoskop wspomnień, barw wirujących jej w

głowie, roztańczonych jak półprzeźroczyste wielobarwne paciorki, kłębiące się w osłepiającym blasku. Widziała oto przed sobą wszystkich mężczyzn, jacy kiedykolwiek ją pociągali, wyraźnych w każdym szczególe. Stali teraz przed nią, pobudzeni i gotowi - każdy stanowił obiekt jej pożądania i każdy gotów był z radością spełnić każdą jej zachciankę. Ze szkolnych lat przyplętnęło do niej wspomnienie ogiera, gotowego do pokrycia klaczy, i śmiechy dziewcząt, które przyglądały się, jak jeden ze stajennych trzyma ogromny penis, próbując wprowadzić go w rozplodową klacz, tak by nie zostać przy tym podeptanym przez rozognione zwierzę. Chichoty przeistoczyły się później w ciche jęki i westchnienia, gdy dziewczęta nieoczekiwanie zaczęły dzielić ten akt z klaczą. Potem otoczyły Gabbie, a znienawidzone prysznice w sali gimnastycznej stały się nagle areną zmysłów - młode, mocne ciała wiły się pod strumieniami gorącej wody i połyskiwały w niebieskawym świetle. Wezbrały w niej pragnienia, o jakich nawet nie śniła, i zapragnęła pieścić te smukłe ciała, zbadać ich wilgotną tajemnicę, skosztować tych ust. Zapłonęły czerwone światła - nie, teraz widzi, że to ogień - i jej oczom ukazał się ogromny mężczyzna. Jego ramiona prężyły się, kiedy uderzał w kowadło, a idealne ciało zalewał pot. Wayland, pomyślała. Potem uświadomiła sobie, że obok siebie ma chłopca, który bada językiem miękkie zarysy jej brzucha.

Przez szkarłatną mgłę własnej tętniącej krwi dostrzegła, że chłopiec przesuwają się teraz na nią. Jego twarz rozmazała się i przez moment widziała na jej miejscu inną twarz - maskę szaleństwa, uwiecznioną przez chorego umysłowo artystę. Spoglądała na nią twarz pełna okrutnego piękna, potem zaczęła zniżać się na spotkanie jej twarzy. Gorący oddech był słodki jak zaprawiony korzeniami cydr, a wyslizgujący się z ust język przypominał długi, ostry strąk papryki. Pocałunek sparzył jej wargi, dotyk boleśnie wstrząsnął ciałem, a rozkosz wzniosła się na takie wyżyny intensywności, że już dłużej nie mogła jej znieść. Mokry płomień między nogami zelektryzował ją, a kiedy wspięła się na nowy szczyt pożądania, wiedziała, że już nie zdoła go zaspokoić. W poszukiwaniu nieosiągalnego rozładowania przekroczyła granicę między rozkoszą a cierpieniem. Pożądanie umknęło, bo w tej sekundzie rozkosz zmieniła się w ból.

Gabbie poznała, czym są katusze. Porwał ją dziki strach. Strach dogłębny i nieopanowany. Ogarnęła ją świadomość, że oto zawisała na krawędzi zatrąty bez odkupienia, poza sprawami ciała i namiętności - balansuje na skraju utraty ducha. We wnętrzu własnej głowy krzyczała z przerażenia, lecz z ust dobywały się tylko jęki rozkoszy, bo ciało nadal pozostawało poza jej kontrolą. Uwięziona w tej pułapce, wiedziała, że to, co się dzieje, nie ma nic wspólnego z miłością. Miłość polega na dawaniu, a tu coś jej odbierano, odzierano z

czegoś nadzwyczaj cennego. Gabbie jeszcze raz krzyknęła w duchu, ale ciało wydawało jedynie ochryple odgłosy seksualnego zaspokojenia.

Młodzian zaatakował ją ze zwierzęcą furią. Jego zęby i paznokcie zostawiały ogień na jej białej skórze, a każde ugryzienie, każde zadrapanie wyrывało z niej tylko jęk rozkoszy. Głęboko w środku Gabbie kulila się z przerażenia, bo pozostała jej tylko rola widza wobec poczynañ własnego ciała, tak zapamiętałego w tej groteskowej żądzy, że nawet ból był dlań źródłem przyjemności. W śmiertelnym przerażeniu zatkała bezgłośnie w głębi ducha. Czuła, jak ręce chłopca uprawiają na jej ciele swą perwersyjną magię. Miała świadomość, że za chwilę ją weźmie. Wiedziała też, że kiedy to się stanie, nie będzie dla niej powrotu do świata, jaki знаła. Zdawała sobie sprawę, że za tą rozkoszą i bólem może być już tylko śmierć.

Kiedy przerażenie i namiętność sięgały niemalże szczytu, nagle przeszkodził im jakiś dźwięk, a ta odległa, uwięziona część Gabbie natychmiast zwróciła się w stronę, skąd dobiegał. Ktoś wołał ją po imieniu. Głos był jeszcze daleko, ale wyraźnie się zbliżał. Potem usłyszała, jak dobrze znany jej głos woła: „Gabbie?!” Jej lędźwie przeszył nieznosny paroksyzm bólu, jakby ktoś przepuścił przez miejsce, które nie było w stanie znieść nawet najłżejszej pieczyoty, elektrowstrząsy. Wygięła się i skręciła, czując, jak przez jej ciało przepływa prąd elektryczny. Syknęła tylko cicho, bo ładunek energii był tak potężny, że nie miała siły krzyczeć. A przecież nawet w tej chwili wiedziała, że to jedynie zapowiedź całego koszmaru bólu, jaki jeszcze ją czeka. Mogła tylko skamleć bezgłośnie, pochłaniana falami gorąca i bólu, pojęła też, że będzie musiała znosić je przez całą wieczność, zanim wreszcie nadejdzie śmierć.

Potem żar wygasł, ale ból pozostał. Gabbie poczuła się tak, jakby ktoś wylał kaskady lodowatej wody na jej rozgorączkowane ciało. Serce zatrzymało się na chwilę i zamarł w niej oddech. Całe ciało zeszywniało. Potem serce podjęło pracę, a pojedynczy, rwany wdech wypełnił jej płuca lodowymi drzazgami. Leżała zziębnięta, zmaltretowane zaś ciało dygotało z szoku po tak nagłym przejściu od palącego żaru do lodowatego chłodu. Coś jej zabrano, pozostawiając ją wśród pełnego lodowych odłamków morza, a łomot krwi w uszach brzmiał jak odgłos dalekich fal, roztrzaskujących się z łoskotem o hebanowe skały. Unosiła się więc w tym pozbawionym światła, naelektryzowanym arktycznym oceanie. Pierwszym wrażeniem, które wdarło się w tę czerń, był zapach wilgotnej ziemi. Już nie wirowało jej w głowie od słodkich aromatów, czuła teraz żyzne ily, mieszanek zapachów drzew i liści, wonie traw z nutą piżma od jakichś odległych lisic, roznoszące się w chłodnym wieczornym powietrzu. W nieskoordynowany, ostrożny sposób jej umysł zaczął łączyć się na powrót z ciałem. Uświadomiła sobie najpierw dziwne drżenie, które się nasilało, aż wreszcie uprzytomniła

sobie, że to drży jej ciało, a zęby głośno podzwaniają. Poruszyła głowę i natychmiast poczuła w czaszce taki ból, że głośno krzyknęła. Potem zrobiło się jasno, prawie oślepiająco jasno.

- Kto to?! - krzyknął czyjś daleki głos. - Gabbie! O Boże!

Gabbie poczuła, że atramentowa mgła zaczyna się podnosić. Zamrugła i potrzęsła głowę. Przerazenie zniknęło, jakby ktoś je odegnał, ale znaczna część bólu i ten okropny chłód pozostał, a ona nie mogła przestać się trząść. Potem obok siebie zobaczyła Jacka.

Odstawił latarnię na ziemię, a Gabbie odwróciła wzrok od oślepiającego światła.

- O Boże, co tu się dzieje? - wyszeptał ochryple. Gabbie nie potrafiła jednak skupić na niczym wzroku, wymykały się jej także słowa Jacka, zanim zdołała dobrze pojąć ich znaczenie. Potem rozfragmentowane myśli zaczęły zbijać się w większe kawałki, a ona popatrzyła na siebie. Była prawie naga, koszulę miała rozpiętą i rozchełstaną, a zerwane dzinsy i majtki zwinięte dookoła jednej kostki. Leżała w błocie, wzdłuż ścieżki wiodącej w stronę Mostu Trolla. Całe piersi i brzuch pokrywały ślady zębów i zadrapania. Sutki pulsowały bólem od chłodu, a przy każdym poruszeniu lędźwie przeszywał gwałtowny, ostry ból. Zdała sobie sprawę, że twarz pokrywają jej zmierzwione, wilgotne włosy, które zasłaniają jej widok, więc osłabłą ręką próbowała odgarnąć je sobie z oczu. Zamrugła, oszołomiona, i zaczęła płakać. Wyciągnęła bezsilne ramiona w stronę Jacka.

- O Boże, Gabbie, co się stało? - spytał, tuląc ją do siebie.

- Jack? - zdołała wreszcie wykrztusić szeptem przez wyschnięte gardło.

Gabbie czuła, że Jack podnosi ją z ziemi. Kiedy niósł ją w stronę domu, znów straciła nad sobą panowanie. Zniknęły ostatnie resztki mrozącego duszę przerażenia i tego oślepiającego, nieprzytomnego pożądania, które zastąpiła odraza tak głęboka, że wszystkie jej myśli zwinęły się w przerażony kłębek. Wybuchnęła płaczem, a potężne łkanie w niepohamowanych wstrząsach szarpało całym jej ciałem. Chwilę później ścisnął jej się żołądek, odwróciła więc głowę i zwymiotowała. Między kolejnymi łkaniami zdołała wyszeptać:

- Jack, tak się boję.

Kiedy wnosił ją do kuchni, ciągle jeszcze płakała, ale chwilę później straciła świadomość.

Gabbie zamruwała. W głowie czuła bolesny łomot, a usta miała spierzchnięte i suche.

- Wody - poprosiła skrzeczącym głosem.

Gloria naląła wody z dzbanka, potem pomogła jej się podnieść, żeby mogła się napić. Od tego wysiłku Gabbie zakręciło się w głowie. Woda była zimna i mokra, więc piła długo i chciwie. Zawrót głowy zaraz minął, a do niej zaczęło powoli docierać, gdzie się znajduje. Była w swoim pokoju.

Przy łóżku stała Gloria, a tuż obok niej Phil.

- Wszystko dobrze, kochanie? - zapytała Gloria.

- Tak, chyba tak. - Gabbie uśmiechnęła się słabo. - Co się właściwie stało?

Gloria zerknęła na Phila, który odparł:

- Mieliliśmy nadzieję, że ty nam to powiesz. Nic nie pamiętasz?

- Ale co mam pamiętać? - zdziwiła się Gabbie.

Gloria przysiadła na krześle obok łóżka.

- Wczoraj o wpół do ósmej poszłaś do stodoły. Około ósmej pojawił się Jack, a mnie się wydawało, że wróciłaś już do swego pokoju. Kiedy się okazało, że cię tam nie ma, Jack złapał za latarnię i poszedł do stodoły. Nigdzie cię nie było, ale na błotnistej ziemi zobaczył ślady stóp, które prowadziły przez łąkę w stronę lasu. Poszedł za tymi śladami i znalazł cię na ścieżce.

Gabbie ściągnęła w zamyśleniu brwi.

- Pamiętam... pamiętam, że poszłam przetrząsnąć siano dla koni i że myślałam... - Zawiesiła głos. - Nic więcej nie pamiętam. - Nagle ogarnął ją strach, lecz nie potrafiła zidentyfikować jego źródła. Było to jedynie bezimienne i odrętwiające przerażenie. Zbladła i wyszeptała: - Co się stało?

- Kochanie, ktoś próbował cię zgwałcić - odpowiedział jej Phil.

Gabbie umilkła. Jakoś nie wydało jej się to możliwe. Sądziła dotąd, że kiedy próbują człowieka zgwałcić, to raczej później o tym pamięta.

- Zgwałcić? - powtórzyła cicho. Spojrzała na ojca i ujrzała na jego twarzy maskę z trudem powstrzymanego gniewu. Po raz pierwszy, odkąd z nim zamieszkała, zobaczyła swego ojca naprawdę wściekłego. - Ktoś próbował mnie zgwałcić?

- Byłaś dość mocno pobita, kochanie - odpowiedziała Gloria. - I do tego cała rozgorączkowana. Ten ktoś cię zostawił...

Gabbie spojrzała na siebie, jakby chciała coś dojrzeć przez okrycie i podkoszulek,

jakby próbowała zajrzeć w głąb własnego ciała.

- Czy on... czyja...

Gloria wzięła Gabbie za rękę.

- Wkrótce będzie tu lekarz. Posłuchaj, później porozmawiamy jeszcze o tym wszystkim. Powinnaś odpoczywać.

Gabbie opadła z powrotem na poduszki.

- Nie jestem zmęczona, tylko zupełnie rozkojarzona.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - spytał Phil.

Gabbie poczuła, że jej lęk ustępuje. Możliwość gwałtu wydała jej się mało prawdopodobna. Czowała się pobita i posiniaczona, ale jakoś nie... Sama zresztą nie wiedziała, co czuje. Potem zapytała:

- A Jack?

- Czeka na dole - odparł Phil. - Był tu przez całą noc, spał na kanapie, o ile w ogóle spał.

- A chłopcy? - Nagle Gabbie ogarnęła obawa o braci. Jeśli grasuje tu jakiś szaleniec, może im coś zagrażać.

- Nic im nie jest.

- Czy mogę zobaczyć się z Jackiem?

- Jasne - odparła Gloria, podnosząc się z krzesła. Phil ucałował Gabbie i wyszedł za żoną z pokoju. Nieomal natychmiast przy Gabbie znalazł się Jack. Był nieogolony i wymięty, wyraźnie zmęczony. Uśmiechnął się do niej.

- Cześć.

- Co za cześć? - odparła, odwzajemniając jego uśmiech. - Nie dostanę buziaka?

Pochylił się i pocałował ją.

- Wszystko w porządku?

- Ja... sama nie wiem. Och, niewiele pamiętam. - Przyjrzała się uważnie jego twarzy i odkryła, ile wysiłku kosztuje go zachowanie pozorów wesołości. Pod cichymi słowami i przelotnym uśmiechem dojrzała wrzący gniew i głębokie pokłady troski.

- A u ciebie w porządku?

Maska zniknęła, a w jego oczach pojawiły się łzy. Głos zachrypl mu z emocji.

- Nie... tak naprawdę niezbyt dobrze sobie z tym radzę. - Wziął głęboki wdech. - Nie mam gwałtownego usposobienia, Gabbie, ale przysięgam, że jeśli dorwę tego drania, zabiję go.

Gabbie zaskoczyła siłą jego uczuć.

- Hej! Spokojnie.

Jednak chłopak zupełnie stracił panowanie nad sobą, a po policzkach toczyły mu się łzy.

- Ja... ja cię kocham, wiesz?

Uśmiechnęła się.

- Wiem. Ja też cię kocham.

Przysiadł na łóżku i jeszcze raz pochylił się, by ją pocałować.

- Gdyby coś ci się stało... chyba bym zwariował, wiesz? - szepnął.

- Tak, wiem - odszepnęła. Tulila do siebie jego głowę tak, że stykali się policzkami, nie zwracając uwagi na kolącą szczecinę zarostu. W tej chwili czuła między nimi taką więź, że natychmiast opuściły ją resztki wątpliwości. Po długim milczeniu rzuciła wreszcie:

- To dziwne, ale jakoś wcale nie czuję się zgwałcona. - Jack zeszywniał, a ona dodała prędko: - Uspokój się, Jack. Mówię poważnie. Czuję się... wyczerpana, posiniaczona, ale... jakoś nie wydaje mi się... - Popatrzyła wprost na niego. - Myślę, że wiedziałabym. - Zamknęła oczy i pocałowała Jacka. Rozluźniła zaciśnięte na jego szyi ramiona, a on wyprostował się. - Coś się stało - ciągnęła cicho. Zniżyła głos do szeptu, kiedy przez głowę przeleciało jej kilka urywanych obrazów. - Ale... to nie było to, co myślałam.

Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, z dołu dały się słyszeć krzyki bliźniaków: „Jest lekarz!”. Usłyszeli otwieranie drzwi, które potem zatrzasnęły się z trzaskiem, kiedy Sean i Patrick hałaśliwie powitali gościa. Chwilę później do pokoju wkroczył doktor John Latham. Wyprosił Jacka na czas badania pacjentki. Chłopak zszedł na dół i zastał Phila i Glorię rozmawiających z jakimś mężczyzną.

Nieznamy podniósł wzrok, słysząc zbliżającego się Jacka, a Phil oznajmił:

- Jack, to inspektor Mathews.

Policjant przybył tuż za lekarzem. Powtórzył zaraz to, co właśnie mówił, kiedy wkroczył Jack.

- Przykro mi, panie Hastings, ale jeśli ona nie pamięta szczegółów, niewiele możemy zrobić.

Phil był wyraźnie zdenerwowany.

- Moja córka została zgwałcona, a wy nic nie możecie zrobić?

Inspektor rozłożył ręce.

- Panie Hastings, wiem, że jest pan wytrącony z równowagi, ale przecież nie wiemy nawet, czy istotnie została zgwałcona. To stwierdzy dopiero lekarz. Z tego, co opowiadał pan na temat jej stanu, wynika jasno, że dziewczyna nie mogła sama zbić się na kwaśne jabłko,

tak więc mamy aż nadto dowodów, iż doszło do napaści. Ale dopóki nie uzyskamy rysopisu napastnika, nie możemy ruszyć tej sprawy dalej. Wyślemy dodatkowy patrol, żeby krążył po okolicy przez parę dni. Będziemy też mieć na oku wszystkich przyjezdnych, jacy pojawią się w mieście, ale nie mamy żadnego tropu. Cholera, jeśli to włośczęga, może być teraz w połowie drogi na koniec świata. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Nie jestem prawnikiem, ale nawet gdyby udało nam się kogoś znaleźć, możemy nie mieć podstaw, by wnieść oskarżenie o napad. Bez pewnej identyfikacji nie możemy nikogo obciążyć takim zarzutem.

- Niech pan posłucha, nie obchodzi mnie, o co drania oskarżycie - zdenerwował się Phil. - Po prostu chcę, żeby go złapano.

- Zrobimy, co w naszej mocy. Chciałbym też zamienić parę słów z pańską córką, kiedy tylko będzie w stanie się ze mną spotkać. - Zwrócił się teraz do Jacka. - To pan ją znalazł?

Jack przytaknął kiwnięciem głowy, a inspektor odprowadził go na bok, by zadać mu kilka pytań.

Chwilę później po schodach zszedł doktor Latham.

- Nic jej nie będzie - oznajmił. - Miejcie ją na oku przez dzień czy dwa i dajcie znać, gdyby gorączka wróciła. - Obrzucił Phila i Glorię pełnym dezaprobaty spojrzeniem. - Szkoda, że nie przywieźliście jej wczoraj do izby przyjęć.

Gloria zrobiła zawstydzoną minę.

- Ja... To nie wyglądało wczoraj tak źle, to znaczy te ugryzienia i zadrapania zaczęły puchnąć dopiero dziś rano albo w nocy. Mam jakąś taką obawę przed szpitalami... - dodała, zawieszając głos.

- No cóż, zrobiłem jej zastrzyk przeciwtężcowy i drugi, z tetracykliny, więc te zadrapania szybko się zagoją, ale... Słuchajcie, nie będę wam prawil kazań. Na przyszłość jednak nie stawiajcie diagnozy tak pochopnie, dobra?

- Nie będziemy - odpowiedział Phil i spojrzał z ukosa na żonę. Wczoraj wieczorem Phil całkiem wyszedł z siebie, za to Gloria wydawała mu się oazą spokoju, zapewniając męża, że Gabbie ma tylko kilka siniaków. Kiedy pomagał jej położyć rozgorączkowaną dziewczynę do łóżka, wymusiła na nim przyznanie, że te zadrapania na piersiach i brzuchu nie wyglądają zbyt groźnie. Gloria oceniła, że Gabbie ma niewiele więcej niż trzydzieści osiem stopni, więc zgodził się, nie bez oporu, że nie trzeba pędzić z nią do szpitala. Tego ranka, kiedy Gloria poszła na nią spojrzeć, dziewczyna nadal miała gorączkę, a w nocy zrzuciła z siebie okrycie. Gloria dostrzegła wszystkie opuchlizny, które pojawiły się podczas snu, i natychmiast pognęła do telefonu, za pomocą którego wydołała od Aggie nazwisko doktora Lathama.



Trzeba było całej siły przekonywania Glorii, łącznie ze wzmianką o Aggie, żeby zgodził się przyjść na wizytę domową.

- I jak to wszystko wygląda, doktorze? - zapytał Phil. - Czy Gabbie została zgwałcona?

- Według mnie, nie - odrzekł doktor Latham. - Nie ma fizycznych śladów penetracji.

- Jest pan pewien? - dopytywał się Phil.

Lekarz rozumiał jego obawy.

- Na sto procent? Nie, w takich przypadkach wszystko jest możliwe, ale założę się o swoją trzydziestoletnią praktykę, że do gwałtu nie doszło. Nie, pańska córka została solidnie sponiewierana - te ślady po zębach wskazują, że mamy do czynienia z mocno chorą psychiką.

- Zamyślił się na chwilę. - Te ślady wyglądają dziwnie, bardziej przypominają znaki po oparzeniu niż po otarciu naskórka. I przysięgłbym, że na skórze pod owłosieniem łonowym są małe pęcherze. - Spojrzał na zdziwione miny Glorii i Phila i dodał: - Nie, nie sądzę, by została zgwałcona. - A po krótkiej chwili milczenia dorzucił: - Niemniej, biorąc pod uwagę okoliczności oraz intencje sprawcy, to właściwie na jedno wychodzi. Padła ofiarą napaści i potrzebuje pomocy, żeby mogła sobie z tym jakoś poradzić. Jeśli państwo zechcą, mogę kogoś polecić.

- Psychiatrę? - zapytał Phil.

- Albo psychologa. Ewentualnie kogoś z ośrodka pomocy ofiarom gwałtu w Buffalo. Objawy kłopotów emocjonalnych mogą przez jakiś czas pozostawać w ukryciu, więc miejcie oczy szeroko otwarte. Jeśli będzie sprawiała wrażenie zmartwionej, będzie miała kłopoty z zasypianiem albo zacznie wykazywać jakieś nagłe zmiany w zachowaniu, na przykład nieoczekiwane przyływy podniecenia lub niezrozumiałej euforii, czy też zacznie popadać w długotrwałe okresy milczenia, dajcie mi znać. Dam wam skierowanie.

Phil podziękował lekarzowi, a inspektor udał się, żeby zadać Gabbie kilka pytań. Kiedy obaj odjechali, Gloria poszła, żeby posiedzieć przy pasierbicy. Phil i Jack zostali sami i wymienili między sobą spojrzenie, które jasno mówiło, że obaj odczuwają to samo: wściekłość i bezsilność.

- Hej! - krzyknęła Gabbie. Jej protesty, jak zwykle, zignorowano, a bliźniacy kontynuowali bitwę. Odsunęła przykrycie, wstała i popędziła gniewnie przez korytarz do ich pokoju. Sean i Patrick tarzali się po podłodze, a utarczka właśnie miała się przeistoczyć z zabawy w prawdziwą walkę. - Ej! - krzyknęła jeszcze raz.

Chłopcy przestali się zmagać. Sean podniósł na nią wzrok.

- Co?

- Zabrać mi się z tym na dwór - poleciła Gabbie.

- Z czym? - dopytywał się Patrick z tym wrednym wyrazem twarzy, do jakiego zdolni są tylko młodszy bracia.

- Z tym hałasem, z twoim bratem i tobą - odparła, zupełnie straciwszy cierpliwość. - Bo inaczej, kiedy wrócą tato i Gloria, zrobi wam się przykro. - Obróciła się na pięcie i odeszła, żeby nie słyszeć odpowiedzi. Wtem nagły krzyk sprawił, że się obejrzała. - Co jest?!

Stojąc, Patrick próbował podnieść z podłogi Seana.

- Kazałaś mi zabrać go na dwór. - Obaj chłopcy padli na podłogę w napadzie niepoahamowanej wesołości.

- Och! - westchnęła Gabbie i wycofała się do swego pokoju. Odkąd Jack przyniósł ją do domu, chłopcy zapewnili jej dokładnie dwadzieścia cztery godziny specjalnych względów. Wczoraj przez cały dzień dosłownie chodzili na paluszkach i rozmawiali szeptem, żeby nie przeszkadzać jej w odpoczynku. Dzisiaj wszystko wróciło do normy. Dała więc sobie spokój z rekonwalescencją i zdjęła wielki podkoszulek, którego używała jako koszuli nocnej. Przystanąła na moment, żeby obejrzeć swe nagie ciało w wielkim tremie zawieszonym na drzwiach, i aż się wzdrygnęła. Opuchlizna ustąpiła, ale teraz potworzyły się zaczerwienione ślady, jak małe pęcherze po oparzeniu słonecznym - nabrzmiałe pamiątki po jakimś strasznym spotkaniu, którego zupełnie nie pamiętała. Z westchnieniem sięgnęła po parę majtek na półce i wsunęła je szybko na siebie. Założywszy dżinsy i koszulę, wciągnęła na nogi długie buty i postanowiła, że wszystkie te dziwne rzeczy pozostawi za sobą. Poza tym, powinna trochę popracować z koźmi.

Kiedy przeszła na korytarz, przekonała się, że chłopcy rzeczywiście wyszli z domu, założyła więc, że pędzą właśnie na swój popołudniowy mecz baseballowy w parku. Phil i Gloria pojechali na cały dzień do Buffalo. Phila poproszono o wygłoszenie mowy na jakimś oficjalnym lunchu w tamtejszej bibliotece, a Gabbie niemalże musiała wpaść w atak złości, żeby go do tego wyjazdu zmusić. Nie chciał jej zostawić pomimo licznych zapewnień, że

czuje się świetnie. Phil przystał na ten wyjazd dopiero wtedy, kiedy Mark zgodził się robić za niańkę. Wówczas on i Gloria doszli do wniosku, że wykorzystają ten dzień do maksimum, więc pójdą na zakupy, a potem na kolację w Klasztorze, który uważa się za jedną z najlepszych restauracji w całym stanie.

Mijając bibliotekę, Gabbie wysledziła, że Mark siedzi przy komputerze taty, więc wetknęła głowę przez drzwi.

- Cześć. Jak leci?

Mark podniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Nagle uderzyła ją myśl, że to bardzo miły człowiek. Niewiele czasu spędziła dotąd z Markiem i Garym, choć z tym drugim znacznie więcej, bo oboje z Jackiem grywali w tenisa z nim i jego dziewczyną, Ellen. Ale zawsze kiedy przebywała w pobliżu Marka, przekonywała się, że stanowi świetne towarzystwo.

- Całkiem nieźle - odpowiedział. - Tutaj już prawie skończyłem, a jutro mam zamiar zmierzyć się z piwnicą. A jak u ciebie?

Wzruszyła ramionami.

- Ciągle jeszcze mam siniaki. Ale przeżyję.

- To dobrze.

- Co robisz z komputerem taty?

- Wykorzystuję go do katalogowania biblioteki. Dla siebie zrobię wydruk, a twój tato będzie miał wszystko zapisane na dyskietkach. Będzie mógł aktualizować katalog, kiedy coś dokupi lub sprzeda.

Pokręciła głową.

- Wątpię, czy będzie o tym pamiętał. Podoba mu się edytor tekstów, ale cała reszta, jak dla niego, to rzeczy z innej planety.

Mark roześmiał się.

- Wiem o tym. Sam napisałem program do katalogowania.

Gabbie ociągała się przez chwilę przy drzwiach i wyraźnie nie mogła się zebrać w sobie, by coś powiedzieć. Po pewnym czasie Mark zagadnął:

- Chcesz o tym pogadać?

- To dość niesamowite.

- Interesuje mnie wszystko, co niesamowite. - Przyjrzał się jej uważnie. - Gabbie, jeśli nie chcesz o tym mówić, nie będę czuł się urażony, ale jeśli potrzebujesz słuchacza, służę ci z radością. - Uśmiechnął się. - A do tego jestem psychologiem.

- Nie miałam pojęcia. - Dziewczyna była wyraźnie zaskoczona.

- Jak większość ludzi. Nie praktykuję, ale obroniłem doktorat z psychologii klinicznej oraz otrzymałem licencję stanu Nowy Jork, w której jest napisane, że jestem psychoanalitykiem. Tak właśnie zetknąłem się z okultyzmem - badając różne niesamowite zjawiska psychologiczne. Moja pierwsza książka poświęcona była parapsychologii, a to znów doprowadziło mnie do innych spraw z dziedziny okultyzmu. Trochę oddaliłem się od tego, co robiłem podczas praktyki w szpitalu, ale nadal wiem, jak słuchać.

Umilkła na chwilę, jakby rozważając to, co jej powiedział. W końcu zapytała:

- Ale to pozostanie między nami?

- Całkowicie. - Nacisnął kilka klawiszy, żeby zachować w pamięci komputera to, nad czym pracował, a ona w tym czasie podeszła do fotela. Usiadł wygodnie, oddzielony od niej blatem biurka, i nie odzywał się. Po chwili Gabbie zaczęła mówić.

- Najbardziej martwię się tym, że niewiele pamiętam. To znaczy, wiem, że po przebytej traumie ludzie mają różne blokady i tym podobne rzeczy, ale sama jakoś nie czuję się... jak po traumie, wiesz? - Pokiwał głową. - To jest jak... sen. Jak wtedy, kiedy człowiek się budzi i prawie pamięta, co mu się śniło, jakiś pojedynczy obraz, ale całości nie może sobie przypomnieć.

- A co pamiętasz?

- Pamiętam... że coś słyszałam. I pamiętam... jakieś zapachy.

- Jakie?

- Chyba polnych kwiatów. Przynajmniej przypominały zapach polnych kwiatów. A musiały być dość silne, skoro zdołałam je poczuć w stodole. - Roześmiała się, sprawiając wrażenie nieco zażenowanej. - To brzmi głupio, co?

- Nie, wcale nie. Zapachy mają bardzo duże znaczenie, większe niż mogłabyś przypuszczać. Możesz na przykład patrzeć na zdjęcie swojej babki i wcale jej nie pamiętać, a innym razem zapach jej ulubionej wody kolońskiej wywoła w pamięci bardzo żywe obrazy wspomnień. To powszechne.

- No cóż, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek przedtem czuła coś podobnego. Było takie jakby korzenne. Pamiętałabym... - Zawiesiła głos i otworzyła szeroko oczy.

- Co takiego? - zapytał cicho Mark.

Gabbie zbladła.

- Już kiedyś czułam ten zapach. Ja... jestem naprawdę zaskoczona, że sobie od razu nie przypomniałam, bo tamtym razem też było dość niesamowicie.

- Kiedy? - dopytywał się Mark, wyraźnie zainteresowany.

- Kiedy My Dandelion zrzuciła podkową, w święto Czwartego Lipca. - Opowiedziała

mu o swoim spotkaniu z kowalem. Kiedy mówiła, Mark pochylił się do przodu i wsparł się łokciami o blat biurka. - To takie dziwne. Zupełnie o tym nie pamiętałam aż do tej chwili. To pewnie z powodu tamtej grypy.

- Jakiej grypy?

- Czwartego złapałam jakiegoś wirusa. Znalazł mnie Jack. Myśli, że tamten kowal to była halucynacja. Ja nie. Uważam, że to był jeden z tych amiszów z Cattaraugus. Tak właśnie wyglądał: szerokoskrzydły kapelusz, szelki, ciężkie buty. I miał taki dziwny akcent. Jeździł takim starym, krytym wozem, a na nim z tyłu woził przenośne palenisko. Ale wyglądało, no wiesz... na stare, a nie takie jak te nowoczesne, na pakach ciężarówek. Naprawdę, sama nie wiem, jak ci je opisać.

Mark nic nie mówił, a Gabbie ciągnęła dalej:

- Wiesz, wtedy byłam bardzo zła na Jacka i pomyślałam sobie, że ten kowal wygląda dość miło. Tak sobie myślałam, że fajnie byłoby znów się z nim spotkać, ale pewnie amisz nie zechciałby... czy ja wiem, umawiać się na randki z kimś innej wiary? Nieważne.

Mark uśmiechnął się i odparł cicho:

- Nie, nie wydaje mi się. Posłuchaj, Gabbie. Mogłaś naprawdę spotkać kowala. Nie wiem zbyt wiele o amiszach, ale mogę to dla ciebie sprawdzić. Powiedział ci, jak się nazywa?

Zmarszczyła brwi, a po chwili otworzyła szeroko oczy.

- Smith. Tak, nazywał się Wayland Smith.

Jedyną widoczną na twarzy Marka reakcją było leciutkie zmrużenie oczu.

- Wayland Smith - powtórzył beznamiętnym tonem.

- Tak. - Wydawało się, że Gabbie usilnie stara się coś sobie przypomnieć. - Mówił, że pochodzi z miejsca, które nazywa się White Horse. To pewnie jego rodzinne miasto. To już prawie wszystko, poza tym... - Spuściła oczy.

Po dłuższej chwili milczenia Mark zapytał cicho:

- Poza czym?

- No, on mnie tak jakby... no wiesz, podniecił.

Mark milczał zamyślony, postukując ołówkiem o policzek. Potem zapytał:

- Czy to cię martwi?

Gabbie, wyraźnie zawstydzona, spojrzała mu w oczy.

- Tak, tak jakby. To było tak, jakby siedziały we mnie dwie różne osoby, rozumiesz - wskazała na siebie palcem - tu, w środku. - Przerwała, z trudem znajdując słowa. - Ja, to moje prawdziwe ja, jest, wiesz, normalne. - Ściszyła głos, widać było, że z trudem o tym mówi. - Mam swoje potrzeby, wiesz. I... podniecam się, przy Jacku, wiesz.

Mark uśmiechnął się. Ciepło, uspokajająco - nie szyderczo.

- Tak, wiem.

Gabbie uśmiechnęła się z wyraźnym zażenowaniem.

- Ciągłe tak mówię, kiedy jestem zdenerwowana. Wiesz, wiesz, wiesz. - Potrząsnęła głową. - Babka nieźle zalaża mi za skórę za to, że każde zdanie kończę tym „wiesz”. - Nastrój stał się nieco lżejszy, a Gabbie zaczęła się rozluźniać. - Widzisz, kiedy jestem z Jackiem, to też dość mocno mnie bierze, ale to jest takie jakby normalne... - Już miała coś powiedzieć, ale szybko zmieniła to na „rozumiesz?”

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Rozumiem - potwierdził Mark.

- Ale z tym kowalem... No cóż, był niezły, a kiedy pracował, potrafiłam myśleć tylko o tym, jakie ma ciało. - Westchnęła głośno. - To znaczy, nie chodziło tylko o to, ale... - Myślała przez dłuższą chwilę, zanim w końcu dodała: - ... ale ja zwykle nie myślę zbyt wiele o męskim ciele. To znaczy: Jack ma świetne ciało, a ja na pewno miałabym problemy z facetem, od którego mnie odrzuca, ale raczej zwracam uwagę na to, co facet mówi i myśli, jak odczuwa różne rzeczy. - Znów dobierała słowa z wyraźnym wysiłkiem.

- A z tym Waylandem było inaczej?

- Mój Boże, tak! - odparła Gabbie. Znów umilkła, przypominając sobie szczegóły. - Gdy przyglądałam się, jak pracuje, cała się spociłam, a w głowie miałam tylko jedno: żeby tylko móc się do niego dorwać. - Roześmiała się, zażenowana, imitując gest zagarniania, potem pokręciła głową w zadziwieniu. - Kiedy skończył podkuwać, podsadził mnie na siodło, a gdy tylko mnie dotknął, ja prawie doznałam orgazmu, i to bez zdejmowania dzinsów. - W głosie Gabbie obok zażenowania pojawił się teraz ton troski. - Mark, to mnie przeraża. Różałabym się z nim do upadłego, wprost na gołej ziemi. Rozumiesz, nie myślałam o miłości ani wierności wobec Jacka, ani o swoim dziewictwie - o niczym. Pragnęłam tylko zedrzyć z niego spodnie i się z nim pieprzyć. - Zniżyła głos. - To było tak, jakby miał nade mną potężną władzę. Odbiło mi czy co?

Mark uśmiechnął się.

- Optowałbym raczej za „czy co” niż za „odbiło”. - Gabbie odpowiedziała mu uśmiechem. - Seks w każdym przypadku stanowi dość trudne doświadczenie. - Przyglądał jej się przez chwilę. - Zwłaszcza, jeśli jest się w tych sprawach nowicjuszem. Zacziesz sobie lepiej radzić z pociąganiem seksualnym, gdy zyskasz trochę więcej doświadczenia, ale mimo wszystko jest to coś, co potrafi człowiekiem potężnie wstrząsnąć. Co jakiś czas zdarza nam się spotkać kogoś, na widok kogo kompletnie nam odpala, choć nic zupełnie o nim nie

wiemy. Zwykle potrzeba nam czasu, zaufania i dzielonych wspólnie chwil, żeby zbudować związek, wiesz. - Oboje uśmiechnęli się na to słowo. - Ale jest jeszcze ta druga strona: chemia, miłość od pierwszego wejrzenia, rażenie gromem czy jak go tam zwał, i jest ona dość przerażająca. Rok temu poznałem kogoś na zjeździe pisarzy... No cóż, bez zbędnych szczegółów, kiedy na pożegnanie uścisnęliśmy sobie dłonie, poczułem coś w rodzaju elektrycznego szoku. Omal nie wyskoczyłem ze skarpet.

Gabbie wyraźnie się ożywiła.

- No właśnie! O mało co nie wyskoczyłam z ciuchów, kiedy mnie dotknął. - Spuściła oczy. - To było prawie jak orgazm.

- To bardzo pierwotny i potężny instynkt. I niewiele ma wspólnego z rozsądkiem. To właśnie z tego powodu ludzie pakują się w tak głębokie związki z partnerami, którzy przynoszą im niewiele dobrego.

Gabbie pokiwała głową.

- Jak moja mama i tato?

- Nigdy nie spotkałem twojej mamy, ale z tych nielicznych wzmianek, jakie słyszałem od twojego taty, podejrzewam, że mogło tak właśnie być. Widziałem zdjęcia twojej mamy i według mnie jest naprawdę niezła. - Puścił jej oko. - Tak samo jak jej córka. - Gabbie skwitowała komplement uśmiechem, tym razem już bez zażenowania. - A twój tato był jeszcze bardzo młody, kiedy się spotkali. Wedle wszelkich przypuszczeń wzięli ślub zaraz po tym, jak się poznali. Nawet teraz pewnie nie mogą dokładnie powiedzieć, co wtedy w sobie widzieli. - Urwał na chwilę. - Ale chodzi mi głównie o to, żeby ci uzmysłwić, że kiedy trafi nam się taki przypadek „chemii”, opanowuje nas całkowicie i nie ma w nim nic sensownego. A wtedy zaczynamy się bać. Poza tym, mamy poczucie, że ktoś inny zyskał nad nami władzę, a to nie jest przyjemne. Często miewamy żal do tych, których kochamy, za tę władzę, jaką mają nad nami. - Gabbie wciąż jeszcze sprawiała wrażenie zmartwionej. - Słuchaj, mówiłaś coś o grypie, tak? - Potwierdziła kiwnięciem głowy. - No cóż, w stanie gorączki często zdarza nam się dziwnie reagować. Nie jestem lekarzem medycyny, ale czytam specjalistyczne magazyny i wiem, że gorączka wyprawia różne najdziwniejsze rzeczy z hormonami i innymi substancjami, które składają się na naszą biochemię. Może efekt, jaki wywarł na tobie tamten kowal, wynikał częściowo z gorączki. A przynajmniej mogłaś zareagować mocniej niż zazwyczaj, bo miałaś zakłóconą równowagę biochemiczną w organizmie, a to wpłynęło na stopień normalnie odczuwanych oporów. Albo coś w tym rodzaju.

Gabbie westchnęła.

- Mam nadzieję. Mam... nadzieję, że to nie jest coś... no wiesz, to, czego tak naprawdę

chciałam... w głębi serca... albo coś w tym stylu. - Opuściła głowę i spojrzała na złożone na podolku dłonie. - Bo może ten facet w lesie... coś we mnie zobaczył...

- Gabbie - wtrącił Mark łagodnie - to, że podnieca cię widok przystojnego i silnego mężczyzny, nie oznacza jeszcze, że jesteś latawicą. Nie masz na czole neonowego znaku, który zapraszałby każdego przechodzącego obok faceta, żeby się na ciebie rzucił. A nawet gdybyś uprawiała seks dla sportu, nawet gdybyś miała przedtem tuzin kochanków, gwałt to zupełnie inna rzecz. Zupełnie inna. - Przez chwilę przyglądał się dziewczynie w milczeniu. Potem z poważną miną, ale uspokajającym tonem ciągnął dalej: - Często się zdarza, że ofiary w psychicznym zamęcie tracą rozeznanie, co jest sensowne, a co nie. Może ci się wszystko pokiełbasić i poczujesz, że w jakimś stopniu ponosisz odpowiedzialność za to, że stałaś się ofiarą. Rozumiesz? - Z miny Gabbie widać było wyraźnie, że dalej ma wątpliwości. - Słuchaj, możesz zacząć myśleć: „Powinnam była jakoś temu zapobiec”, „Pewnie w głębi ducha marzyłam o tym, żeby ktoś mnie zgwałcił” lub „Bóg musiał mnie za coś ukarać” bądź temu podobne rzeczy, a wtedy zaleje cię gwałtowne poczucie winy.

Podniosła nieco wzrok.

- Przychodziły mi do głowy różne takie rzeczy. Myślałam, że może... no wiesz, że jakoś go zachęcałam... że to była moja wina.

- Nie była. Ale przestraszyć i psychiczny zamęt mogą sprawić, że będziesz się obwiniać. - Przyjrzał się jej bardzo uważnie. - A czasem bywa i tak, że osoby z najbliższego otoczenia popadają w podobny zamęt i przyczyniają się do pogłębienia tych odczuć. Na przykład ojcowie albo partnerzy. Zdarzyły się tego typu problemy?

- Nie. Tato i Jack zachowali się wspaniale. - Wzrok jej pojaśniał i uśmiechnęła się. - Tak, obaj byli świetni.

Mark znów się uśmiechnął.

- Pamiętaj, że to nie była twoja wina. Dobra? - Pokiwała głową. - A teraz powiedz, czy przypomniłaś sobie coś z wydarzeń ze stodoły?

- Sama nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - Lepiej pamiętam kowala niż to, co zaszło w stodole. Ten facet w stodole? Pamiętam tyle, że był młody, może nawet młodszy ode mnie. Był... ładny, ale trochę straszny, może trochę stuknięty. Może charyzmatyczny. Mówił coś do mnie, ale we wspomnieniach widzę tylko, że rusza wargami, a nie słyszę słów, tak jakbym oglądała film z wyłączonym dźwiękiem. A potem nagle już był na mnie. Nie pamiętam zbyt wiele, naprawdę. Nie pamiętam nawet, w jaki sposób dostaliśmy się do tego lasu. - Odchyliła się do tyłu. - A więc mi nie odbiło?

Roześmiał się.



- Nie... no, może troszeczkę. - Odpowiedziała uśmiechem. - Nie ma „właściwych” odczuć po takim zdarzeniu, Gabbie. Złość, żal, wrogość, depresja, nawet napady euforii, wszystko to może pojawić się w każdej chwili. Po prostu zadbaj o to, żeby nie kryć przed sobą tego, co czujesz w danej chwili, a jeśli będzie ci ciężko, nie wahaj się na mnie nawrzeszczyć, dobrze?

Gabbie pokiwała głową.

- Jestem całkiem niezła w rozpoznawaniu własnych uczuć. Miałam z tym sporo do czynienia, kiedy dorastałam.

- Tak też myślałam. - Zawahał się na moment. - Gdybym był na twoim miejscu, po prostu żyłbym dalej. Nie próbuj niczego zapomnieć, ale pozwól, by to, co ma się pojawić w pamięci, pojawiło się, i przez jakiś czas nie zamartwiaj się białymi plamami. Wszystko wróci do ciebie, kiedy będzie miało wrócić.

Podniosła się z miejsca i oznajmiła:

- No cóż, brzmi to sensownie. - Przygryzła w zamyśleniu dolną wargę. - Wydaje mi się, że tamten zapach... w jakiś sposób wiązał się z tą całą sprawą z seksem. - Westchnęła. - Mogę z tobą jeszcze porozmawiać, gdybym przypomniała sobie coś więcej?

- Jasne, w każdej chwili.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Muszę sprawdzić, co z końmi. Jack mógł tam coś spaprać, wiesz - rzuciła lekko.

- Nie boisz się stodoły?

Uśmiechnęła się.

- Nie sądzę, żeby wciąż jeszcze się tam czał, a ty?

- Jeśli chcesz, pójdę tam z tobą.

- Nie, w porządku. Jestem dużą dziewczynką. - Zebrała się do wyjścia, potem przystanęła i dodała:

- Dzięki, Mark.

- Bardzo proszę, Gabbie. - Patrzył, jak wychodzi. Śliczna dziewczyna. Z uśmiechem przypomniał sobie uwagę Gary’ego o nasłaniu zabójcy na Jacka. Gdyby Mark miał z dziesięć lat mniej, sam mógłby coś takiego pomyśleć. Usłyszał, jak Gabbie zatrzaskuje za sobą kuchenne drzwi, i dodał z westchnieniem: „Albo gdybym miał piętnaście lat mniej”. Dwadzieścia, poprawił się, rechocząc. Z rozbawieniem odsunął od siebie tę myśl i podniósł słuchawkę telefonu. Odebrano po drugim sygnale.

- Gary? Zrób coś dla mnie. Idź do archiwum i sprawdź nazwisko Wayland Smith. Zobacz, co o nim mamy. Nie oddzwaniaj. Pogadamy o tym, jak wrócę. - Chwilę słuchał. -

Nie, będę tu siedział gdzieś do jedenastej, tak myślę. Do tej pory Gloria i Phil powinni już wrócić. Bawcie się dobrze w kinie, ty i Ellen. - Odłożył słuchawkę. Oparłszy się wygodnie, rozmyślał przez chwilę nad tym, co opowiedziała mu Gabbie. W końcu porzucił myśli o tej nowej zagadce i powrócił do komputera, który przez cały czas czekał cierpliwie na nowe dane.

Kiedy Mark wrócił do domu, w pokoju, którego używali jako biura, czekał już na niego Gary. Blackman odłożył wydruk, przygotowany na komputerze Phila, i odezwał się:

- Wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałem.

- Pamiętaj, że Ellen musi rano wstać do pracy. W przeciwieństwie do niektórych z nas nie może wyżebrać sobie dodatkowej godziny snu. Chcesz brandy? - Gary wskazał na własną szklanekę. Mark potrząsnął przecząco głową.

- Sprawdziłem tego Waylanda w archiwum - oznajmił wobec tego Gary.

- I co znalazłeś?

- To postać z podań ludowych, która pojawia się w staroangielskim poemacie *Deor's Lament*. A potem w *Kenilworth* Scotta. Jest postrzegany jako postać pokrewna Wolandowi i w tej formie znajdujemy o nim długą opowieść w *Eddie Starszej*. Ma być czymś w rodzaju superkrowa, tym, czym Paul Bunyan był dla drwali. O tym wszystkim, jak się spodziewam, sam świetnie wiedziałeś. Powiesz mi więc, po co miałem to sprawdzić?

- A zauważyłeś może, gdzie zamieszkiwał? - zapytał Mark.

Gary stęknął, wstał i podszedł do zarzuconego papierami biurka. Wyjął segregator i zaczął go kartkować. Znalazł to, co go interesowało, a resztę odłożył.

- Tu jest napisane tylko, że w White Horse.

- Sprawdź White Horse w moim katalogu miejsc.

Gary wykonał polecenie i wkrótce odczytywał na głos następną kartę.

- White Horse. Uffington, w okolicach Wantage, na południowy wschód od Abingdon, na wzgórzach Berkshire. White Horse to monument nieznanego pochodzenia, prawdopodobnie z okresu przed druidami, utworzony przez wycięcie wierzchniej warstwy torfu i ukazanie kredowej warstwy na zboczu wzgórza. Inne podobne znaleziono między innymi w Wiltshire i Yorkshire, ale ten w Uffington jest najbardziej znany. - Gary odłożył karty. - W porządku. Czy teraz powiesz mi, co się dzieje?

- Gabbie twierdzi, że Czwartego Lipca spotkała Waylanda Smitha.

Gary aż usiadł z wrażenia i rzucił cicho:

- O cholera.

- Jak zwykle, dobrze to ująłeś.

- Nie, nie, chciałem powiedzieć, że może to nazwisko to jakiś zbieg okoliczności.

- Wędrowny kowal ze starym przenośnym paleniskiem na tyłach krytego wozu, którego z powodu stroju i mowy wzięła za amisza? I który powiedział jej, że mieszka w

White Horse? - Po czym przytoczył mu szczegóły opowieści Gabbie. - I pamiętaj, to konsultacja, prawie lekarska, bo obiecałem jej, że to pozostanie między nami.

- Od kiedy to doktoranci z językoznawstwa historycznego udzielają porad z zakresu psychologii? - zapytał rozbawiony Gary, zaraz jednak sam zbył machnięciem ręki własne pytanie. - Żartowałem. Nie powiem Gabbie, że plotkujesz o jej życiu seksualnym. - Oparł się wygodnie i postukał palcami o poręcz fotela. - Tylko że to nie ma sensu, Mark. To coś takiego, jakbyś wiosłując w górę rzeki, spotkał Hucka Finna na tratwie. Ktoś musiał ją nabrać.

Mark milczał przez dłuższy czas.

- Możliwe, że mamy do czynienia z ciągiem zbiegów okoliczności. Może Gabbie ma rację i rzeczywiście istnieje kowalamisz z okolic Cattaraugus, który ma na imię Wayland i pochodzi z miasta o nazwie White Horse. Choć osobiście uważam, że szanse znalezienia amisza o angielskim imieniu bliskie są zeru.

Gary znów wstał, wyciągnął z półki atlas i zaczął czegoś szukać, przeciągając palcem po indeksie.

- O, jest. Są dwa miasta o nazwie White Horse. Jedno z nich pisze się łącznie, Whitehorse, leży na wyżynie Jukon, w Kanadzie...

- Sądzę, że to możemy sobie odpuścić.

Gary skrzywił się, że mu przerwano.

- Drugie natomiast... - uśmiechnął się cokolwiek mściwie - w okręgu William Pitt, w stanie Nowy Jork. - Przerzucił kilka stron, poszukując wskazanej w indeksie. - Leży o rzut beretem od granic Cattaraugus, w połowie drogi stąd do Pearlington, więc mogą w pobliżu mieszkać i amisze.

- Zrób coś dla mnie.

- Wiem, jedź tam i sprawdź, czy w tamtym rejonie nie pracuje kowal o nazwisku Wayland Smith.

- Tak. Jeżeli jest amiszem, nie znajdę go w książce telefonicznej. - Mark westchnął. - Nie sądzą, abyś go znalazł, ale musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Zabiła mi tym ćwieka. Albo bóstwa zbiegu okoliczności obchodziły wtedy swój wielki dzień, albo Gabbie miała najdziwniejsze parapsychologiczne doświadczenie, o jakim słyszałem.

- Albo ktoś tu zorganizował dziwny humbug - podsunął Gary.

- Co masz na myśli?

Gary spojrzał na Marka znad krawędzi swej szklanki z brandy.

- Może ktoś chce wplątać tę dziewczynę w pierwszorzędne oszustwo.

- Niby dlaczego?

Gary wsparł się o blat biurka.

- Z miliona powodów.

- Jej spadek? - upewnił się Mark.

Gary przytaknął kiwnięciem głowy.

- Sprawdziłem to i owo w bibliotece w archiwalnych numerach „Fortune” i „Wall Street Journal”. Phil wcale nie żartował z tymi wieloma milionami. Wątpię, czy Gabbie ma w ogóle pojęcie, jak daleko sięgają holdingi jej babki. Eldon Larker, pradziadek Gabbie, to był zwykły raubritter\* [\* *Raubritter* (niem.) - rycerz-rabuś.], trzecioligowiec w porównaniu z takimi Vanderbiltami czy Mellonami tego świata, ale mimo to nieźle sobie radził z gromadzeniem pieniędzy. A na tych podstawach jej dziadek budował już z prawdziwym talentem i sukcesem. Rozmawiamy tu o bliskowschodniej ropie, południowoafrykańskim złocie i diamentach, firmach komputerowych z Kalifornii, fabryce koszul na Tajwanie, koncernie perfumeryjnym w Paryżu, udziale procentowym w niedużym, lecz zyskownym przedsiębiorstwie wynajmu samochodów na ogólnokrajową skalę, sieci sklepów z dewocjonaliami w Pasie Biblijnym... i o dziesiątkach innych rzeczy. Zatem jeśli mamie Gabbie nie uda się jakimś cudem obalić testamentu - a to raczej mało prawdopodobne, bo prawnicy Helen Larker są na to o wiele za dobrzy - to dzieciak jest bogaty i to przez duże B.

- Jak duże jest to B?

- W gotówce? Może ze trzy lub cztery miliony. Ale gdyby pozbyła się holdingów, to kto wie? Jej wartość netto szacowałbym na jakieś osiemdziesiąt milionów.

- A dlaczego tak się tym interesujesz?

- Z czystej ciekawości - odparł Gary, wzruszając ramionami. Potem uśmiechnął się szelmowsko. - A może rzucę Ellen i pościgam się z Jackiem o te pieniądze.

- Już to widzę - rzucił Mark i zamilkł.

- Ta sprawa rzeczywiście nie daje ci spokoju - odezwał się Gary po dłuższej chwili.

- Bo to wszystko nie ma najmniejszego sensu. - Wyprostował się w fotelu. - Napiłbym się jednak tej brandy.

Gary przyniósł mu szklaneczkę.

- Jeśli ktoś chce się dobrać do pieniędzy Gabbie - mówił Mark - to istnieją przecież tysiące bardziej prawdopodobnych scenariuszy. Znacznie więcej podejrzeń żywiłbym do ociekającego słodyczą zawodowego tenisisty o hollywoodzkiej urodzie, latynoskim akcencie i maratońskiej wytrzymałości w łóżku niż do wiejskiego kowala. Sam już nie wiem. Niemniej sądzę, że oszustwo w celu wyłudzenia od niej pieniędzy to mało prawdopodobna wersja.

- Jeśli to jest mało prawdopodobna wersja, to co można powiedzieć o spotkaniu z żywym wcieleniem ludowego mitu?

Mark przymknął oczy, ogarnięty nagłym zmęczeniem.

- Sam nie wiem. Ale założę się o kolację w mieście, że nie znajdziesz żadnego Waylanda Smitha w White Horse, w stanie Nowy Jork.

- Nie zakładam się - odparł Gary. - Nauczyłem się już, że nie należy lekceważyć twoich domysłów. - Łyknął brandy. - Dobra, a więc jadę tam i wracam z niczym. Co wtedy?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. - Po kolejnej długiej chwili milczenia dodał: - Kiedy wraca Aggie?

- Chyba za jakieś dwa dni. Jack pojechał do Nowego Jorku, żeby pomóc jej przytaszczyć tu rzeczy. A dlaczego pytasz?

- Daj jej z jeden dzień, a potem wpadnij z wizytą. Na ile się da, zachowaj pozory, ale chciałbym, żebyś ją wybadał w pewnej sprawie, która właśnie chodzi mi po głowie.

Gary odstawił szklankę i sięgnął po notatnik i ołówek. Kiedy Markowi zaczynało się coś krystalizować, z reguły oznaczało to, że stawał przed nimi nowy projekt albo następował poważny przełom w dotychczasowych badaniach.

- Aggie lepiej niż ktokolwiek inny orientuje się w podaniach ludowych z Wysp Brytyjskich oraz ich związkach z rzeczywistymi wydarzeniami historycznymi. Sprawdź, co wie na temat kapłanów-druidów... - Mark poinstruował Gary'ego, żeby wypytał o długą listę na pozór nie związanych ze sobą tematów. Zakończył, mówiąc: - Zobacz, czy pamięta legendy o Kowalu.

Gary zakończył notowanie.

- Raczej ciężko przyjdzie mi ukryć to wszystko pod pozorem niezobowiązującej pogawędki przy drinku.

Mark uśmiechnął się.

- Poradzisz sobie.

- Tak jest, sahib. - Gary podniósł się z miejsca. - A teraz idę do łóżka. Kiedy z jednej strony mam wysportowaną dziewczynę, która pobiła mnie w kilku setach pod rząd, a potem śmiała się z tego przez cały film w kinie, a z drugiej - dziwnego szefa, zaraz czuję się wykończony. A wygląda na to, że jutro czeka mnie długi dzień.

Mark pomachał mu na dobranoc, a potem przez długi czas siedział wpatrzony w swoją brandy. Wciąż rozmyślał nad tymi samymi problemami i wciąż towarzyszyło mu to samo przecucie, że rozwiązanie znajdzie wśród tych najmniej prawdopodobnych, a nawet - jak się zdaje - niemożliwych. Ta pewność napępiała go dziwną, a zarazem trochę straszną radością.

Bo jeśli miał rację, to te same tajemnicze wydarzenia, które na przełomie wieków zatrzęsły Niemcami, rozgrywały się znów, tym razem w okręgu William Pitt, w stanie Nowy Jork.

Patrick obejrzał się, a Sean dał mu znak, że droga wolna. Otworzyli kuchenne drzwi i zbiegli pospiesznie po trzech schodkach. Patrick postawił na ziemi spodek z mlekiem, po czym obaj popędzili z powrotem do domu. Przez kilka minut obserwowali mleko, potem Sean odezwał się:

- Może oni nie przychodzą, kiedy się patrzy. Tak samo jak Mikołaj.

- Może. - Patrick wzruszył ramionami. - Chodź. Jak nas złapie mama, to dopiero będziemy mieć za swoje.

Wyszli z kuchni, żeby uniknąć gniewu matki, która w salonie oglądała z tatą jakiś głupi film. Na paluszkach weszli po schodach na górę, aż dotarli do spokojnej przystani - własnej sypialni. W okamgnieniu każdy z nich znalazł się w swoim łóżku, schowany głęboko pod kołdrą.

Coraz częściej odwiedzali Barneya Doyle'a, bo oczarował ich swymi niesamowitymi opowieściami o wielkich irlandzkich bohaterach i czarach. Zaczęli wystawiać mleko przed drzwi dlatego, że on tak właśnie robił. Z niecierpliwości ledwie udało im się zasnąć, bo już nie mogli się doczekać ranka, żeby pójść i sprawdzić, czy Dobry Ludek - jak ich nazywał Bamey - przyjął ich podarek.

Pod nimi mleko stało sobie przez jakiś czas, nie przyciągając niczyjej uwagi, dopóki nie wypatrzyła go spod werandy para świecących oczu. W świetle księżyca pojawił się jakiś kształt, który wyraźnie przyglądał się spodkowi. Nos Erniego powęszył delikatnie, a potem, przekonawszy się, że nieoczekiwany poczęstunek jest świeży, kot zaczął chleptać mleko.

Wtem nieoczekiwany szelest sprawił, że kocur odwrócił głowę. Z tyłu ostrożnie zbliżało się coś dziwnego. Mały człowieczek, nie wyższy od Erniego, podchodził coraz bliżej, wymachując w jego stronę maleńką laską. Wysokim, ledwie dosłyszalnym głosem krzyknął:

- A sio! Uciekaj!

Kot cofnął się. Z początku kusiło go, żeby zdzielić człowieczka łapą, lecz zaraz coś zaświtało mu w głowie i pospiesznie odsunął się w tył. Za tym pierwszym pojawili się następni i coś mówiło kotu, że nie należy z nimi zadzierać. To nie było pozywienie ani wróg, tylko coś obcego. Ernie oddalił się nieco i obserwował stworzenia. Było ich z pół tuzina, wszystkie malutkie, jedne z maleńkimi skrzydełkami na plecach, inne ubrane wedle staroświeckiej mody, ale wyglądały tak jakoś dziwnie i pachniały nie tak jak trzeba. Otoczyły mleko kręgiem, potem jeden z nich zanurzył w nim palec i oblizał. Pokiwał głową, po czym



wszyscy pochylili się nad naczynkiem i poczęli pić.

Wtedy z ciemności wyłoniło się coś jeszcze - coś niebezpiecznego. Kot zjeżył się i prychnął. Z mroku wyszło coś czarnego i przerażającego, coś tak niedobrego, że podniósł się i w podskokach ruszył do tyłu, prychnając i miauczając przeciągle. Małeńcy ludzie odwrócili się i zobaczyli, że zbliża się to czarne coś, a wtedy wszyscy odsunęli się od mleka, wyrażając w bezsilnej złości maleńkimi piąstkami. Ale i oni także oddali mleko bez walki w obliczu zbliżającego się zła, kryjąc się pod werandą. Ernie wahał się tylko o sekundę dłużej, zanim i on zrejterował. Odwrócił się i popędził w stronę stodoły, a potem wskoczył na jedną z małych, mizernych jabłonek. Wspiąwszy się na najwyższą gałąź, jaka potrafiła utrzymać jego ciężar, przywarował i patrzył, jak czarny stwór podchodzi do mleka. Przemieszczał się dziwnie, poruszając stawami, jakby był krzyżówką małpy i pająka. Wszystkie te sprawy przekraczały pojmanie kota, lecz jedno wiedział na pewno: to stworzenie jest niebezpieczne. Kiedy przycupnęło nad miską z mlekiem i piło, postępując z ukontentowania, wytwarzało wokół siebie mroczną aurę i wydzielalo smród zła.

Gabbie wetknęła głowę przez drzwi.

- Można ci potowarzyszyć?

Mark, który siedział na podłodze w piwnicy wśród stert książek i starych kufrów, spojrzał w górę schodów i odrzekł:

- Jasne.

Dziewczyna zeszła po schodach i przysiadła na dolnym podejściu, tak że Mark zmuszony był patrzeć na nią z dołu.

- Problemy?

- Tylko kilka koszmarów. - Przez chwilę się nie odzywała, jakby nie miała ochoty o tym rozmawiać. Rozejrzała się po panującym w piwnicy bałaganie.

- Co znalazłeś?

- Blisko tonę różnych dziwactw. Obaj Kesslerowie wykazywali dość zróżnicowany gust. - Podniósł w górę jakąś książkę. - Thomas Mann albo pierwsze wydanie warte kilkaset dolarów, albo zupełnie bezwartościowe. Będę musiał napisać do mojego przyjaciela antykwariusza, żeby to sprawdzić. - Wziął do ręki inną książkę. - A tu mamy *Magister Ludi* Hermanna Hessego, i to z całą pewnością pierwsze wydanie. A kiedy już chce się pomyśleć, że Kesslerowie, *pater et filius*\* [\* *Pater et filius* (łac.) - ojciec i syn.], byli koneserami literatury, znajdujemy coś takiego. - Machnął ręką w stronę kolejnej sterty. - Kiepsko napisane bzdety o okultyzmie, trącające szarlatanerią medyczne teorie, takie jak dieta bezszluzowa albo dobrodziejstwa lodowych kąpeli, pornografia, bestsellery wśród miernych powieścideł, zbierane na przestrzeni ostatnich stu lat, jakaś nie całkiem dorzeczna filozofia i najróżniejsze śmiecie. Sam nie wiem, gdzie oni to wszystko powynajdywali. - Mark podniósł się z podłogi. - Za grosz w tym sensu.

Gabbie sięgnęła po pierwszą książkę ze stosu, piętrzącego się przy schodach, i przeczytała tytuł na grzbiecie. Był to *Światowy przewodnik po gnomach, wrózkach i elfach oraz innych przedstawicielach Małego Ludku* Thomasa Keightleya.

- Czy to coś warte?

- Mam oryginał, opublikowany w 1850 roku jako *Mitologia wrózek*. To najnowszy przedruk bez żadnej wartości. - Rozejrzał się dookoła. - Może nie powinno mnie to interesować, ale odnoszę wrażenie, że Kessler nie bez powodu zgromadził tu tak eklektyczny zbiór ciekawostek. - Westchnął. - Z drugiej strony, cóż ja mogę wiedzieć? Może należeli do tego rodzaju ludzi, którzy kupują książki na metry, pod warunkiem, że będą miały okładki w

odpowiednich kolorach i będą pasować do koncepcji wystroju wnętrza.

Gabbie wybuchnęła śmiechem.

- Staruszek Kessler nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do spraw wystroju wnętrza, jeśli wskazówką może tu być stopień frustracji Glorii. - W tej chwili zauważyła wystający z książki skrawek papieru i otworzyła zaznaczoną w ten sposób stronę 317. Był na niej przedruk jakiejś starej ryciny. Gabbie zmrużyła oczy i oznajmiła: - Można oślepnąć przy tym świetle. - Wstała i podeszła do szczytu schodów, żeby w otwartych drzwiach lepiej obejrzyć stronę. Mark wrócił do sortowania i z otwartego kufra wyjął kolejną książkę. Zdecydował, na który stos ją odłożyć, po czym doszedł do wniosku, że nadszedł czas, by część zbiorów wnieść na górę i wprowadzić do komputera. Potem coś nagle kazało mu podnieść wzrok.

Gabbie studiowała oglądany obrazek w ogromnym skupieniu, jakby nie była w stanie oderwać odeń oczu. Po chwili rzuciła cicho:

- To nie tak.

Mark odłożył trzymaną w ręku książkę i podszedł do podestu schodów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jest za młody. - Spojrzała w dół, na Marka, a w jej oczach widać było niemaskowany strach. Mówiła ochryplym, zduszonym głosem, jakby każde słowo musiała wykaszleć z płuc.

- To on, jak był malutki. Teraz jest starszy.

Mark ruszył spiesznie ku dziewczynie i delikatnie wyjął książkę z jej roztrzęsionych rąk.

- O czym ty mówisz? - zapytał cicho.

W oczach Gabbie wezbrały łzy.

- Popatrz na tę twarz. Słabo widać, ale to na pewno on.

- Kto?

Gabbie ciężko przełknęła ślinę, zanim zdołała wykrztusić:

- To ten chłopak ze stodoły. Ten, który próbował... - Mark łagodnym gestem wyciągnął ku niej ramiona i pozwolił jej się przytulić. Trzęsła się cała jak przerażone zwierzę.

- O Boże! - wychrypiała rozpaczliwym, przerażonym szeptem. - Ja chyba wariuję!

Mark tulił ją do siebie, pozwalając jej się wypłakać. Ta jego część, która była psychologiem, wiedziała, że taki upust dany długo wstrzymywanym lękom na dłuższą metę wyjdzie jej na dobre, obawa zaś o własne zdrowie psychiczne jest tylko chwilowa. Zdawał sobie sprawę, że praca z Gabbie zacznie się dopiero teraz i przy odrobinie szczęścia nie potrwa długo, ponieważ miał do czynienia z dobrze przystosowaną i pod każdym względem zdrową dziewczyną. Jednak druga jego część - ta, która zajmowała się badaniem mrocznych

tajemnic - zdumiała się, że wcale nie zaskoczyło go takie wyznanie. Trzymał teraz książkę za plecami Gabbie i widział ilustrację, na którą patrzyła. Słowo, zapisane na marginesie przez młodszego Kesslera staroświeckim, niemieckim gotykiem, brzmiało: Butze. Wiedział, że to odmiana Putzel lub Putz. Zerknął jeszcze raz na obrazek i pokręcił głową. Czy mógł już na tyle znieczulić się na cuda, że to, co niemożliwe, go nie poruszało? Bo jeśli Gabbie nie straciła zmysłów albo bóstwa zbiegu okoliczności nie grasują znów po okolicy, to ta sama dziewczyna, która widziała w lesie Wolanda Kowala, została napadnięta przez Puka.

Phil patrzył na Marka z dezaprobatą. Kiedy Gabbie wyszła z nim z piwnicy, znajdowała się na skraju hysterii, nie mogła przestać płakać. Gloria poszła z nią na górę, a Mark zasugerował, że jeśli wkrótce się nie uspokoi, dobrze będzie wezwać doktora Lathama. Phil bombardował Marka pytaniami, ale odpowiedzi, jakie dostawał, bynajmniej go nie zadowalały.

- Phil, wiem, że to twoja córka i że jesteś zdenerwowany, ale nie mogę bez pozwolenia omawiać z tobą tego, co mi powiedziała.

Phil aż się gotował ze złości. Stał w holu z dłońmi wspartymi na biodrach, niezdolny nawet wyrazić w słowach wzbierającego w nim gniewu. Wreszcie coś się w nim przełamało i na oczach Marka wyraźnie opadł z sił. W jednej chwili gniew przerodził się w troskę. Wziął głęboki wdech i rzucił:

- Przepraszam. Poniosło mnie.

Mark skwitował to wzruszeniem ramion.

- Wcale nie. Wydawałeś odgłosy typowe dla troskliwych ojców.

- Chodźmy. Przydałby mi się drink, a nie lubię pić sam.

Mark zerknął na zegarek. Ledwie minęło południe. Zwykle nie pijał tak wcześnie, nawet na bizneslunchach z wydawcami, ale wyglądało na to, że Phil bardzo potrzebuje słuchacza.

Ledwie zdążyli nalać sobie po szkockiej, kiedy pojawiła się Gloria. Z trudem hamowała gniew. Wyjęła drinka z ręki Phila i pociągnęła zdrowy haust.

- Dzięki - rzuciła. - Nalej i sobie jednego. - Phil zrobił, jak mu kazano, gdy tymczasem ona usiadła naprzeciw Marka. - Co tu jest grane, do kurwy nędzy? - Phil spojrzał na żonę, która zwykle unikała mocniejszych słów. Widział, że jest tak przejęta stanem Gabbie, jakby chodziło o jednego z chłopców. Świadomość, że jego żona ma taki sam odruch obronny wobec swej pasierbicy, w dziwny sposób cieszyła go.

- Właśnie mówiłem Philowi, że nie będę omawiać tego, przez co przechodzi Gabbie, jeśli ona sama nie wyrazi na to zgody - odpowiedział jej Mark.

- A ty co, jej lekarz?! - cisnęła się Gloria, wyraźnie zdenerwowana. - Zostawiłam tam na górze dzieciaka, który spłakał się do nieprzytomności. Wygląda koszmarnie. Nie wiem, przez co przeszła, ale widzę jasno, że robi w portki ze strachu. Niech to wszyscy diabli, Mark, co tu się dzieje?

Mark pochylił się do przodu.

- Po pierwsze: owszem, jestem jej lekarzem. - Gloria zamrugnęła ze zdumienia. Mark przedstawił swoje kwalifikacje, a potem ciągnął dalej: - Słucham jej za darmo, ale obowiązuje mnie ta sama procedura, jak gdyby płaciła mi siedemdziesiąt pięć baksów za godzinę w gabinecie na Park Avenue.

- A niech to! - odparła Gloria w nagłym przypływie gniewu.- To nasze dziecko! Odchodzi od zmysłów! Chcę wiedzieć, co jest grane!

Kiedy patrzył, jak Phil siada przy żonie, spoglądając na nią z mieszaniną dumy i troski, nagle coś do niego dotarło. Gloria była tak samo przerażona jak Gabbie, a on już wiedział dlaczego. Główną przerażała myśl o chorobie psychicznej - a może zresztą o wszelkich chorobach. Mark zrównoważył więc troskę o Gabbie z kolejnym zadaniem, by jak najbardziej ułatwić te przejścia Glorii. Powoli, ostrożnie, by nie zdenerwować jej jeszcze bardziej, oznajmił:

- Słuchajcie, kilka rzeczy mogę wam powiedzieć. Kiedy Gabbie się obudzi, dopowiem wam resztę, jeśli wyrazi na to zgodę. Ale jeśli powie nie - nic nie mogę zrobić. Zrozumcie. - Pospieszenie mówił dalej, by nie przerwała mu Gloria. - Gabbie przytrafiło się przerażające spotkanie, które wstrząsnęło nią tak mocno, że aż do dzisiejszego ranka nie zdawała sobie sprawy, iż jest w szoku. - Przerwał na chwilę, aby te słowa lepiej do nich dotarły, potem ciągnął dalej: - Nie chcę tu robić wykładów z wiktymologii, ale dziewczyna właśnie wyszła ze stadium niedopuszczania zdarzenia do świadomości, a teraz musi radzić sobie z przerażeniem. Ale nie ma żadnych zaburzeń emocjonalnych. - Na te słowa napięcie Glorii w widoczny sposób opadło. - Gabbie reaguje normalnie, tak jak większość ludzi zareagowałaby na to, że potwornie przestraszył ich jakiś szaleniec. Gwałt nie ma nic wspólnego z seksem, to zwykła napaść. Zachłystywanie się własną potęgą - gwałtciciel chce uzyskać nad kobietą całkowitą dominację. Nienawidzi kobiet. Próbuje upokorzyć swą ofiarę, a nie... kochać się z nią. Seks jest tutaj bronią, a nie celem. I nie jest to tylko moja teoria, a ogólnie przyjęty kanon. - Przerwał na chwilę. - Gwałt to brutalny akt przemocy fizycznej i psychicznej. Utrata władzy nad sobą jest dla ofiary tak samo przerażająca jak każdy inny aspekt takiego doświadczenia. To poczucie beznadziejne, odczłowieczone: jest się na łasce kogoś, kto może zrobić z nami wszystko, co zechce. I przez cały czas towarzyszy temu groźba jeszcze większej brutalności lub śmierci. - Mark pokręcił głową. - To naprawdę przerażające. I to dlatego Gabbie reaguje tak, jakby chodziło o gwałt, choć nie doszło do samego aktu. Wypełniają gniew, poczucie winy, wstyd i jeszcze kilka innych uczuć. Teraz musi poradzić sobie z bólem. Jedyne, co nam wszystkim pozostało, to udzielić jej wsparcia. W tej chwili najbardziej potrzebuje tego, żeby jej nie dręczyć. - Mark podniósł się i starał się mówić w taki

sposób, by jak najbardziej uspokoić Phila i Glorię. - Wyjdzie z tego. Wiem, że to niewiele, ale obawiam się, że więcej nie mogę wam powiedzieć bez zgody Gabbie. W porządku?

Gloria wpatrzyła się w Marka uważnie, jakby próbowała dojrzeć coś poza tą jego profesjonalną maską. W końcu odparła:

- W porządku. - Ostatnie resztki obiekcji jakby gdzieś jej umknęły. - Dobra. W porządku. Do diabła.

- Słuchaj, w tej sprawie naprawdę nie próbuję utrzymywać niczego w tajemnicy. Jeśli chcecie jeszcze o tym pogadać, z radością was wysłucham. Wasze własne reakcje także zaczynają teraz wydobywać się na powierzchnię. A na razie udam się chyba z powrotem do piwnicy i trochę popracuję. - Pociągnął łyk z niedopitego drinka, potem go odstawił. - Pokręcę się tu, dopóki się nie obudzi. Może będzie chciała porozmawiać. - Wstał, kiedy Phil i Gloria pokiwali głowami.

Po wyjściu Marka Gloria jakby zapadła się w sobie, opierając głowę na ramieniu męża. Po chwili Phil zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Nie - odparła cicho.

Mark siedział u siebie i czytał, kiedy wszedł Gary. Chłopak podszedł do barku, nalał dwie czyste szkockie i jedną wręczył Markowi. Mark uniósł pytająco brew.

- Będzie ci potrzebna - wyjaśnił Gary, zdejmując lekką wiatrówkę z logo Seattle SuperSonics na plecach.

- W porządku, pękam z ciekawości. Co znalazłeś?

- W White Horse mieszka mniej więcej tylu amiszów co w Salt Lake City.

- A więc nie znalazłeś Waylanda Smitha.

- Nie, jesteś mi winien kolację. Znalazłem go.

- O? - zdziwił się Mark, wyraźnie zainteresowany. Pomyślał, że z ulgą powita każdy konkretny dowód, który potwierdzi doświadczenie Gabbie. - Rozmawiałeś z nim?

- Byłoby ciężko. Od dłuższego czasu nie żyje.

- Dobra, mów.

- Zajechałem do miasta i zacząłem się rozpytywać, czy w okolicy pracuje jakiś kowal. Miejscowy właściciel sklepu żelaznego okazał się bardzo życzliwy. Powiedział, że tak, w okolicy pracuje trzech kowali. A wszyscy mieszkają w pobliskich miasteczkach. Potem zapytał, dlaczego nie skorzystam z książki telefonicznej. Musiałem mu wyjaśnić, że ten, którego szukam, to prawdopodobnie amisz, więc nie będzie miał telefonu. On na to, że nigdy nie było tu żadnych kowali-amiszów, a nawet gdyby byli - zapewniał - to i tak mało prawdopodobne, żeby znaleźli robotę w White Horse. Tamtejsza ludność jest zdecydowanie prawowierna i, jak mi się zdaje, nieco bigoteryjna. Tak czy owak, wpadłem później na tego starego dziwaka, niejakiego Ry Winstona, który pamiętał, jak jego ojciec opowiadał mu o Waylandzie. Zaprowadził mnie na cmentarz, a tam znalazłem niewielki kamienny monument z nazwiskiem tego Smitha. Wygląda na to, że zmarł w 1905 roku.

Mark potrząsnął głową i jęknął głucho. Wziął swojego drinka i rzucił:

- Tego nam jeszcze brakowało: duchów. - Potem ściągnął brwi. - Dlaczego ta data wydaje mi się znajoma?

- Zaraz do tego dojdę.

Mark westchnął. Gary wykazywał tendencję do dramatyzowania opowieści i nie znosił, kiedy się go popędzało.

- A więc mamy tu spotkanie z duchami?

- Raczej możemy odpuścić wszelkie dziwaczne oszustwa. Gdyby tak było, mielibyśmy tu światowy rekord dziwaczności wśród pomysłów branych z kapelusza. Nie



widzę najmniejszego powodu, dla którego ktoś miałby się wcielać w akurat tego gościa. Dokładnie posprawałem. Smith był swego rodzaju miejscowym bohaterem, więc między starszymi ludźmi, z pokolenia ojca Rya, krąży o nim wiele opowieści, a sam Ry większość z nich słyszał za młodu. Nekrolog w tamtejszej gazecie potwierdza to wszystko. Pół dnia zajęło mi wyszukanie wiadomości w kostnicy. - Napił się i mówił dalej: - Wygląda na to, że nasz stary Wayland był czymś w rodzaju lokalnego Wee Geordie, największego mocarza we wsi. Wygrywał we wszystkich tych dziwacznych zawodach, jakie sobie urządzali, no wiesz, ciskanie końmi, przegryzanie kowadeł albo podnoszenie budynków.

Mark wybuchnął śmiechem. Gary, kiedy się już rozkręcił, miewał tendencje do koloryzowania. Mówił teraz dalej:

- A co najdziwniejsze, facet mieszkał w tej okolicy ledwie sześć miesięcy lub nieco dłużej.

- Musiał być kimś dla ojca starego Rya, że tak dużo o nim zapamiętał.

- Oślawiona postać, łagodnie rzecz ujmując, awanturnik światowej klasy, w swoim czasie - żywa legenda. Pracował przed tamtejszym saloonem Tawerna pod Kogutem, gdzie ustawił swój wóz. Wynajmował tam poddasze nad barem. Zmarł przypuszczalnie w 1905 roku, ale nigdy nie odnaleziono jego ciała. Pewnej nocy zniknął po suto zakrapianej imprezie. Przypuszczalnie upił się do nieprzytomności i wpadł do rzeki. Pomniczek wzniesli na pamiątkę kolesie z pubu. Wygląda na to, że był przywódcą takiego tamtejszego odpowiednika lumpenproletariatu. „Prostacktwo najrozmaitszej maści, woźnice, parobki i bezrobotne wałkonie” - wedle opisu miejscowej gazety. Stary Ry twierdził, że rzucał się też na każdą co ładniejszą dziewczuchę w mieście, nie wyłączając młodych mężatek. Chyba kryje się w tym jakaś tajemnica, bo sprawy nie wyciszono i jest to coś, czego stary Ry nie potrafi pojąć. Ci ludzie nawet dziś są bardzo bogobojni, a w tamtych czasach musieli być naprawdę purytańscy. Ale zważ no na to: powiedziałem staremu, że to dziwne, że żaden mąż nie próbował go zdmuchnąć. Nawet jeśli był miejscowym siłaczem, to strzelba zza drzewa mocno wyrównałaby szanse. Ry w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i rzekł: „To był Wayland. Tato mówił, że nikt nie śmiał podnieść na niego ręki. Miał moc”.

Mark zamyślił się.

- Jaką moc? - Milczał przez chwilę, a potem zapytał: - Co jeszcze?

- Biorąc pod uwagę cały ten rozbuchany seks, zapytałem Rya, czy Wayland nie pozostawił po sobie jakichś potomków, a Ry odparł: „Stary Wayland nie zostawił żadnych dzieciaków ani z prawego, ani z nieprawego łóża”. Przychodziło mu do głowy jedynie to, że chłoptaś był bezpłodny i to właśnie dlatego był tak lubiany przez panie. Żadnych problemów

z niepożądanym zajściem.

- A więc był casanową - zauważył Mark.

- Tak, ale powiem ci jeszcze, dlaczego ta data łaskocze twą nadwrażliwą ciekawość.

Przybył tutaj tego samego dnia co Kessler.

Na twarzy Marka pojawił się wyraz dużego zaciekawienia.

- Co takiego?

- Znalazłem wzmiankę o przybyciu Kesslera, „niemieckiego dżentelmena, który szuka możliwości założenia interesu” w tej samej gazecie, która donosiła o pojawieniu się kowala.

Obaj przybyli czwartego maja 1905 roku.

- Ale Kessler pojawił się w Pittsville dopiero drugiego czerwca.

- Zgadza się. Przez parę tygodni wynajmował pokój w White Horse, w Tawernie pod Kogutem - przez część tego okresu, który w naszym mniemaniu spędził w Nowym Jorku - zanim ruszył się z miejsca i zawędrował do Pittsville.

- Dobra, złożmy to na razie na karb zbiegu okoliczności. Co jeszcze?

- Teraz będzie najlepsza część opowieści. Kilka lat wcześniej ktoś sprowadził sobie garstkę ubogich Niemców, coś w rodzaju nieoficjalnego półniewolnictwa, którzy musieli odpracować podróż kilkuletnią służbą. Najprawdopodobniej było to sprzeczne z prawem i równie prawdopodobne jest, że maczały w tym palce lokalne władze. W każdym razie jedna z pikantnych historyjek opowiada o Waylandzie, jednej z tutejszych matron i niemieckiej służącej. Wygląda na to, że pewnego wieczoru patrycjuszka wkroczyła do kuchni i zastała tam Waylanda, który na kuchennej podłodze dogadzał dziewczynie w czasie, gdy powinna podawać gościom zakąski. W każdym razie wywiązała się kłótnia, w trakcie której okazało się, że Wayland obraca także tę starą, więc wybuchł skandal, jaki uwielbiają takie małe miasteczka. Ale najlepsze jest to, że ową matroną była żona burmistrza, a dziewczyna nazywała się Helga Dorfmann. Burmistrz zaraz po tym wydał ją za Kesslera, żeby pozbyć jej się z domu i, jak się wydaje, z miasteczka.

- Żona Kesslera?

- Nie inaczej. Pobrali się w niecały tydzień później.

- A więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że Kessler i Smith się znali, a przynajmniej słyszeli o sobie. - Mark siedział przez chwilę w milczeniu, potem wybuchnął udręczonym śmiechem. - Dlaczego nie mogłeś mi znaleźć kowala-amisza, Gary! - rzucił z udawanym gniewem. - No dobra, a więc mamy tu w stanie Nowy Jork najprawdziwszą postać z podań ludowych, która zdaje się doskonale pasować do swego odpowiednika z Uffington. Ale co nam pomoże połączyć ją z tym Waylandem Smithem, którego spotkała Gabbie?

- A co powiesz na to, że jego wóz wyglądał mniej więcej tak, jak go opisała?

- Widziałeś go?

- W gazecie. Zdjęcie było stare i niewyraźne, ale je widziałem. Zrobili je tuż po tym, jak zjadł drzewo albo coś w tym stylu podczas zawodów urządzanych Czwartego Lipca. A do tego miał jabłkowitego konia.

- Nie przypuszczam, żebyś przywiózł kopię?

Z szerokim uśmiechem i zamaszystym gestem Gary wyciągnął kserokopię. Choć reprodukcja była kiepska, można było rozpoznać stojącego przed wozem kowala. Podpis głosił: „Wayland Smith, niedawno przybyły do White Horse, zwycięzca w zawodach kucia koni na czas podczas obchodów Dnia Niepodległości”.

- Co o tym sądzisz? - Mark był wyraźnie poruszony. - Zjawiska parapsychologiczne? Czy Gabbie widuje duchy? Czy odbiera coś w rodzaju lokalnego pola parapsychologicznego? A może zyskaliście dowód na naszą pierwszą w życiu pętlę czasu, a ona trafiła na chwilę do 1905 roku? A może on przemieścił się na kilka minut w nasze czasy? A może to doświadczenie z zakresu życia po życiu? - Westchnął z rezygnacją. - Sam nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

- Ja też nie wiem, ale chyba możemy wykluczyć podświadomą sugestię, historyczne samoomamienie i inne hipnotyczne sztuczki. Gabbie jest tutaj nowa i nie słyszała tych opowieści. Wątpię, czy w Pittsville znalazłoby się choćby dziesięciu ludzi, którzy je znają.

Mark zabębnił palcami o poręcz fotela.

- Może pozwoli nam zbadać swój potencjał paranormalnych uzdolnień.

Gary spojrzał uważnie na Blackmana.

- Za długo cię znam, Marku. Już na coś wpadłeś. Tylko jeszcze nie chcesz mi o tym powiedzieć.

Mark przymknął oczy, jakby był znużony. Po chwili milczenia odpowiedział:

- Masz rację. Daj mi chwilę pomyśleć.

- Dobra, myśl. Ja muszę zadzwonić do Ellen. Spóźniłem się i jestem jej coś winien.

Gary popędził na górę, żeby zadzwonić od siebie. Mark siedział, tuląc w dłoniach szkocką, i próbował ubrać w słowa myśl, jaka mu się formowała. Brzmiała ona jednak zgoła fantastycznie, chciał więc najpierw wyczerpać wszelkie inne potencjalne możliwości. Poza tym, ciągle jeszcze pozostawało zbyt wiele niewiadomych. Rozparł się w fotelu i nieoczekiwanie zaczął żałować, że na studiach nie pozostał przy psychologii eksperymentalnej. Szczury i gołębie nie przysparzają człowiekowi aż tylu problemów. Ani tyle potencjalnego strachu.

Deszcz lał jak z cebra. Jego krople biły w chłopców i Wielkiego Pecha jak tysiące małych młoteczków, uparty, bezlitosny, piekący w oczy i jakimś cudem wpychający się nawet w głąb nosa, przez co wciąż kichali. Patrick i Sean maszerowali zdecydowanym krokiem przez las, przemoczeni do suchej nitki. Deszcz był chłodny, ale jeszcze nie lodowaty. Podobnie miały się ich nastroje: gdzieś w połowie drogi między irytacją, że dali się złapać przez deszcz, a radosnym zachwytem, że oto mają dobry powód, by się solidnie zmoczyć i wyblócić. W Kalifornii nigdy nie mieli okazji widzieć nagłej burzy, która dorównywałaby tutejszym. Huk gromu był ogłuszający, a nagłe rozbłyski błyskawic robiły ogromne wrażenie. Mroczne, popołudniowe światło, prawie niewidoczne pod grubą pokrywą chmur, sprawiało, że zmieniały się proporcje i kształty - las zdawał się jakiś płaski i niewiarygodnie gęsty. Altanki stały się ziejącymi groźną czernią jaskiniami, a dobrze znane pnie - złowróżbnymi, mrocznymi maskaronami na tle posępnego nieba. Chłopców zachwycał ten nieoczekiwany strach, jakiego dostarczał im cienisty las, czuli się tak, jakby brali udział w ekscytującej przygodzie. Wielkiemu Pechowi deszcz też najwyraźniej nie przeszkadzał, a przynajmniej bardziej zajmowała go zabawa chłopców niż troska o przemoczone futro.

Pobiegli na skróty przez Wzgórze Króla Elfów, jak to zwykle czynili, wracając z parku, a kiedy wspięli się na szczyt pagórka, zatrzymał ich w miejscu jeden niesamowity rozbłysk huku i światła. Podskoczyli jak jeden, bo ten pokaz był o wiele groźniejszy od wszystkich dotychczasowych. Patrick wydał z siebie głośny wrzask, coś pośredniego między krzykiem przerażenia a okrzykiem bojowym, i zbiegł w dół po zboczach, a o krok za nim Sean. W połowie drogi Patrick złapał się nagle za pierś i upadł, krzycząc: „Dostałem!” Potoczył się w dół, a Sean potoczył się razem z nim. Kiedy dotarli do podnóża wzgórka, okryci byli żdźbłami mokrej trawy, błotem i rzepami. Wyglądali okropnie. Wielki Pech rozszczękał się z radości i trącił nosem najpierw jednego z braci, potem drugiego, liżąc już i tak mokre twarze. Patrick poderwał się na nogi i wrócił na szlak, który prowadził do ich domu.

Deszcz gnał ich naprzód swym nieprzerwanym naporem. Tam, gdzie krople padały swobodnie, uderzały z całym impetem o błotnistą ziemię i eksplodowały, wysyłając w górę kropelki błota, które obryzgiwały chłopców. Spody nogawek dzinsów mieli już zupełnie czarne. Tam, gdzie krople natrafiały na gałęzie, zbierały się najpierw i łączyły, a następnie opadały na chłopców i ziemię - większe i jakby bardziej mokre - z dobrze słyszalnym pluskiem. Nigdy dotąd nie zdarzyło się bliźniakom przeżyć równie magicznego deszczu. Choć niósł ze sobą groźbę, był najcudowniejszym, najwspanialszym, najlepszym w ich życiu

deszczem.

Patrick skręcił gwałtownie ze szlaku i zbiegł po zboczu do koryta strumienia, w stronę skrótów, którym przebywali strumyk. Sean krzyknął do brata, ale ten puścił to mimo uszu. Sean nie wiedział, czy Patrick rozmyślnie udał, że go nie słyszy, czy też nie słyszał go rzeczywiście z powodu deszczu i wiatru, niemniej ta zniewaga dotknęła go do żywego.

Na początku przecinki złapał brata za ramię i obrócił go gwałtownie.

- Ej!

- No co?

- Nie schodź tam.

- Dlaczego?

- Musimy wrócić i przejść przez mostek. Jack mówił, że tu zdarzają się powodzie.

Patrick obdarzył brata spojrzeniem, które mówiło jasno, że jego obawy nie mają żadnych podstaw i płyną raczej z braku odwagi niż rozważnego skalkulowania ryzyka.

- Jeszcze za wcześnie. Deszcz zaczął się ledwie pół godziny temu. Chłopie, ty to czasem potrafisz być tchórzliwy.

Seana aż zatkało. Ze wszystkich sił usiłował sobie przypomnieć coś, przed czym jeszcze ostrzegali ich Jack - ale nie udało mu się. Chyba mówił coś o deszczu na wzgórzach. Patrick obrócił się, przeszedł krótki dystans dzielący go od brzegu strumienia i tam się zatrzymał. Woda w potoku wezbrała powyżej kostek. Wartki strumień prezentował sobą zupełnie inny widok niż ciekące meandrami strużki, do jakich przywykli. Wielki Pech zatrzymał się w pół drogi i spoglądał to ku jednemu, to ku drugiemu z braci, niepewny, za którym ma się udać. Patrick zawahał się, wyraźnie miał ochotę zawrócić, ale dostrzegł za sobą brata i podjął decyzję. Wszedł do wody.

- Patrick! - darł się Sean. - Mama dobierze ci się do skóry!

Patrick brnął przed siebie, a woda sięgała mu już po kolana.

- A niby skąd się dowie? Ty jej powiesz? - odwrócił się i zaczepnie spojrzał na ostrożniejszego brata. - Co?

Deszcz na wzgórzach zaczął się już dwa dni temu, z początku tylko delikatną mżawką, lecz potężniał z godziny na godzinę. Między skałami utworzyły się bajorka, w których woda wzbierała dopóty, dopóki nie znalazła dla siebie ujścia, a potem spływała w dół. Strużki zlewały się w strumyki, a te znów w potoki. W okolicy Wurtburga woda w zbiorniku retencyjnym podniosła się na tyle, że operator postanowił upuścić jej trochę i odkręcił zawór. Ten niewielki potop ruszył następnie suchym zwykle korytem w stronę Munson Springs. Przy Dowling Mills woda wlała się pienieście w przerwany przepust, a następnie w niewielki

potoczek, który nakierował ją w stronę Pittsville. Przy północnym krańcu Lasu Wrózek woda wezbrała za tamą z połamanych gałęzi, liści mułu i błota. Przeciekała przez nią po trochu, przez co woda w strumieniu płynącym pod Mostem Trolla znacznie się podniosła, kiedy po suchych zwykle skałach zaczęły się przetaczać tysiące galonów wody. Wtedy o zaporę uderzyła fala biegnąca od zbiornika retencyjnego, a skierowana w bok przy Dowling Mills. Prowizoryczna tama wytrzymała chwilę, potem nagle rozpadła się w kawałki i popłynęła z wodą. Łożyskiem strumienia sunęła teraz fala, której grzbiet był o dwie i pół stopy wyższy ponad poprzedni poziom wody.

Do huku gromu i maskującego stukotu deszczu dołączył teraz jak kontrapunkt znacznie bardziej złowieszczy dźwięk: wznoszący się, coraz głośniejszy głuchy rumor. Patrick zawahał się i ta jedna chwila wystarczyła, by znalazł się w pułapce, zamiast bowiem ruszyć ku któremuś z brzegów, stanął i popatrzył w górę strumienia.

Sean spojrział w stronę, gdzie utkwiał wzrok jego brat, i zobaczył, że przez koryto sunie ściana wody.

- Patrick! - wrzasnął, kiedy ściana ogarnęła jego brata. Ześliznął się w dół po nabrzeżu, żeby go dosięgnąć.

Woda sięgała ledwie do pasa, lecz swoim pędem zbiła Patricka z nóg i powlokła za sobą. Sean patrzył, jak głowa brata niknie pod wzburzoną, brunatną pianą. Z okrzykiem przerażenia rzucił się przed siebie, łapiąc za obrozę Wielkiego Pecha, który już miał skoczyć do wody w ślad za Patrickiem. Wśród potwornego zamętu myśli Sean wiedział jedno: że bez względu na to, jaki los spotka Patricka, woda zagarnie także i labradora. Ciągnął mocno za obrozę i zapadając się stopami w błocie, wspinał się z powrotem po nabrzeżu, żeby zaraz potem puścić się pędem w stronę Mostu Trolla.

Deszcz zamienił wszystko w światłocień, szarą mgłę wyzbytą kolorów, i nagle Sean spostrzegł, że się zgubił. Płacząc z przestachu, wykrzykiwał imię brata i obracał się dookoła w poszukiwaniu ścieżki, na której stał jeszcze przed chwilą. Wielki Pech zawahał się, a potem z głośnym szczekaniem wpadł pomiędzy dwa drzewa. Sean pobiegł za psem w nadziei, że przynajmniej on wie, gdzie biegnie ścieżka.

Patrick zachłysnął się, walcząc na próżno z naporem wody, potem wypłynął, kaszląc i pluając. Strumień nie był głęboki, lecz woda płynęła z potężną siłą, która zwałała z nóg nieduże ciało chłopca. Do tego wszystkie skały okazały się jednakowo śliskie, wykluczając możliwość zaczepienia się ręką. Próbował krzyknąć o pomoc, ale za każdym razem, kiedy otwierał usta, do gardła wdzierała mu się woda. Z trudem utrzymując głowę nad powierzchnią, starał się walczyć z prądem, lecz na próżno. Przyszło mu do głowy coś, czego

uczono go, kiedy bawił się na plaży w Santa Monica - coś o rwących prądach w oceanie, próbował więc poruszać się pod kątem prostym do kierunku płynącej wody. Zdołał jednak tylko pokręcić się w kółko i poobijać o skały. Był przerażony, opuszczała go też powoli wrodzona skłonność do zachowywania spokoju. Potem nagle otoczyły go ciemności.

Wiedział natychmiast: znalazł się pod mostem. A obok niego czało się Coś Złego.

Pochwyciły go czyjeś szpony. Poczuł, jak drze się na nim podkoszulek, a ramię eksploduje bólem. Uderzył na ślepo małymi pięściami, które zderzyły się z czymś żywym i miękkim. Zdał sobie sprawę, że coś go podnosi, a w nozdrza uderzył go odór gnijącego mięsa.

Coś Złego, zaczepione trzema kończynami, zwisało pod mostem do góry nogami jak gigantyczny pajak. Jedną szponiastą łapę zacisnęło na ramieniu Patricka. Przez ryk płynącej wody chłopiec słyszał wydawane przezeń nieludzkie dźwięki. Żołądek skurczył mu się z przerażenia i zwymiotował. Kopał i młócił rękoma, przyzywając rozpaczliwie matkę i ojca.

Woda znów popchnęła go w tamtą stronę i ostre szpony jeszcze raz rozdarły jego skórę. Kiedy Coś Złego szukało sposobu, żeby go lepiej uchwycić, przeorało pazurami twarz i klatkę piersiową chłopca. Pochwyciło go w końcu i uniosło w górę, a wtedy na jedną chwilę przestrzeń pod mostem oświetliło światło błyskawicy. W świadomość chłopca zdążył jeszcze wdrzeć się dziwny, odległy, rytmiczny trzask, zanim cały jego świat wypełnił się nieopisanym strachem. O kilka cali nad jego twarzą unosiła się czarna maska z żółtymi oczyma. Maska ta rozszczepiła się zaraz w paskudnym, zębiastym uśmiechu, kiedy zbrojna w pazury dłoń w bolesny sposób przyciągała chłopca bliżej. Coś Złego było mniejsze od Patricka, ale niewiarygodnie silne.

Dzięki uprzejmości operatora zbiornika retencyjnego w Wurtsburgu korytem strumienia waliła teraz druga potężna fala. Fala ta trzasnęła o oba kamienne przęsła mostka i zawahała się, gdyż solidna bariera odparła bez trudu ten pierwszy atak. Fala wlała się więc w otwór pośrodku, spiętrzając się i przybierając na sile. Patrick poczuł na ciele nagłe uderzenie wody, które wyrwało go z uchwytu Czegoś Złego. Zachłystując się wodą i strachem, mały czuł, jak prąd wlecze go dalej. Szpony chwyciły go raz jeszcze. W uszach, jak kontrapunkt do jego własnych przerażonych krzyków, dławionych wpływającą do ust i nosa wodą, zabrzmiał mu przenikliwy, nieludzki wrzask. Patrick splunął i zwymiotował. Płuca płonęły mu z braku powietrza. Próbował wziąć wdech, ale nie było czym, więc płuca ścisnęły się, wyrzucając z wnętrza wodę. Kiedy udało mu się na chwilę wytknąć głowę nad powierzchnię, zaczerpnął w końcu pojedynczy haust powietrza. Znowu dotarł do niego tamten rytmiczny trzask. Potem ogarnęła go ciemność, a nos wypełniła woda. Usta miał pełne krwi, bo przygryzł sobie język.

Jeszcze raz nawiedził go znajomy ból, bo szpony znów złapały go za ramię, tnąc okrutnie.

Wtedy woda pchnęła go dalej, a szpony zostały zmuszone do wypuszczenia zdobyczy. Patrick z ogromną siłą rąbnął o kamienne podpory mostku i poczuł, że świadomość zaczyna go opuszczać, kiedy górę brały zmęczenie, ból i strach. Coś go dźwignęło. Płuca eksplodowały mu wodą, kiedy rozkaszał się i po raz ostatni z wymiotował.

W dalekiej mgle słyszał, że ktoś woła go po imieniu i pojmował mgliście, że to musi być Sean. Rytmiczne trzaskanie okazało się szczekaniem Wielkiego Pecha. Zmusił się do otwarcia oczu i uświadomił sobie, że spogląda nań znajoma twarz. Wśród oślepiających strug deszczu zobaczył nad sobą twarz Jacka.

- Już dobrze, Patricku. Nic ci nie jest.

Patrick poczuł, że Jack bierze go na ręce, a potem biegnie - nieco niezręcznie, jakby troszkę kulał - przez las w stronę domu, a obok niego bieżą Gabbie i Sean z Wielkim Pechem u nogi. Z dziwnym roztargnieniem, prawie obojętnością, zastanawiał się, jak to się stało, że Jack i Gabbie byli akurat na mostku i dlaczego Coś Złego go w końcu puściło. Potem stracił przytomność.



Twarz Glorii zastygła w wypraną z emocji maskę. Nie spuszczała wzroku z Patricka, gdy lekarz zajmował się jego ranami. Kiedy chłopcy spóźniali się z powrotem do domu, a na dworze rozpadał się taki deszcz, zaczęła się niepokoić. Jack i Gabbie zaoferowali się, że wyjdą im naprzeciw, w stronę lasu. Byli zaledwie o pięćdziesiąt jardów od mostka, kiedy usłyszeli szczekanie Wielkiego Pecha. Na krzyk Jacka Gloria otworzyła kuchenne drzwi, by się przekonać, że jej syn wygląda jak jedna wielka krwawiąca rana. Nie czekając na karetkę, zrobili, co się dało, i w deszcz powieźli obandażowanego Patricka do szpitala w Pittsville. Gloria zadzwoniła do Aggie, gdzie Phil omawiał właśnie swój nowy manuskrypt.

Phil przygnał co sił do szpitala, a tam wspólnie z żoną zdołali ustalić, co właściwie zaszło. Teraz wszyscy czekali, by usłyszeć, co lekarz powie o stanie Patricka.

Gloria powtarzała właśnie po raz czwarty:

- Jeśli jeszcze raz przyłapię któregoś z was nad strumieniem... - Nie dokończyła groźby.

Patrick kręcił się niespokojnie. Sean był o kilka stóp dalej, na korytarzu z ojcem, a dotąd nie zdarzało się, by tylko jeden z braci brał na siebie cały ogień matczynego gniewu.

Za drzwiami do poczekalni Sean siedział ze wzrokiem utkwionym w bracie. Gloria zerknęła w jego stronę, a chłopiec jakby skurczył się na swym krześle. Dotarło do niego, że i on odpowiada za bezmyślność Patricka. Bał się o niego, ale jednocześnie był zły, że obwinia się go o głupotę brata. Podnosząc lekko głos, rzucił:

- To nie moja wina, mamo. To Patrick tam zszedł, a nie ja.

Ojciec spojrział na niego, pokręcił głową i uśmiechnął się. Wydawało się, że mówi: „To nic. Mama trochę się złości. To minie”.

Gloria spojrziała z powrotem tam, gdzie młody lekarz opatrywał rany Patricka, i poczuła zbierające się w oczach łzy, więc nie odezwała się ani słowem.

Lekarz pozostawił pielęgniarkę zabandażowanie chłopca i uśmiechnął się uspokajająco. Poprowadził Glorię tam, gdzie siedział Phil z resztą, i oznajmił:

- Nic mu nie będzie.

Gloria odczuła w środku gwałtowny przypływ ulgi. Łzy zakręciły jej się w oczach.

- Bogu dzięki! - rzuciła jak najpoważniej.

Lekarz był młodym rezydentem, niewiele starszym od Jacka. Uśmiechnął się i rzekł:

- Jest dość mocno poobijany, no i kilka z tych rozcięć wygląda paskudnie, ale w zasadzie to tylko powierzchowne rany. - Rozejrzył się dookoła. - Tylko jak to się stało, że jest

taki pocięty?

- Uniosła go fala na strumieniu w Lesie Wrózek i przeciągnęła pod Mostem Trolle. Pod mostem utworzyła się zaporę z gałęzi, a jego dosłownie przez nią przepchnęło.

Słyszając tę historię, młody lekarz aż się skrzywił.

- Tak by to właśnie wyglądało. W każdym razie zimna woda zapobiegła utracie krwi, a to brzydkie rozcięcie na czaszce zszyliśmy. Zabandażowaliśmy mniejsze rany i zrobiliśmy mu zastrzyk przeciwwężcowy. Nie sądzę, żeby mu coś jeszcze dolegało. Możecie wziąć go do domu. Tylko proszę zwrócić uwagę, czy nie pojawi się gorączka lub inne oznaki zakażenia. Za parę dni proszę przywieźć go do zmiany opatrunku. Szwy będzie można wyciągnąć za jakiś tydzień.

- A... blizny? - zapytała Gloria.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie ma się czym przejmować. Zostanie mu kilka na ramieniu i piersi, żeby miał się czym chwalić przed kolegami. Zanim dorośnie, zdążą zniknąć. A na twarzy ma tylko kilka nieznacznych zadraśnień. Nie pozostawię żadnych zniekształceń, jeśli to panią martwi. - To ostatnie dodał cicho, lecz z przekonaniem, aby było zupełnie jasne, że nie warto się nawet nad tym zastanawiać.

- Och, wyglądał tak strasznie - odparła cicho Gloria z widoczną na twarzy ulgą.

Młody lekarz przytaknął kiwnięciem głowy.

- Tego rodzaju rany wyglądają zwykle znacznie gorzej, niż jest to w rzeczywistości, dopóki się ich nie oczyści. Rany głowy bardzo krwawią, a Patrick oberwał porządnie. To właśnie stąd wzięła się większość tej krwi. Ale naprawdę nie było z nim tak źle, jak wyglądało.

Gloria pokiwała głową.

- Tak, tyle było tej krwi.

Phil przytulił żonę i odezwał się:

- Dziękujemy, panie doktorze.

- Proszę bardzo. Przed odjazdem zgłóście się w dziale administracyjnym, a oni załatwią formalności z ubezpieczeniem. Zostawię kartę w pokoju pielęgniarek, żeby wasz lekarz domowy mógł ją sobie rano obejrzeć, zanim zginie pogrzebana w kartotekach archiwum.

- Jeszcze nie wybraliśmy swojego lekarza domowego, choć pewnie można by za takiego uznać doktora Lathama. Zajmował się naszą córką.

- No cóż, John Latham to dobry wybór. Jest jednym z ostatnich lekarzy domowych z

prawdziwego zdarzenia. A przy tym ma podejście do dzieci. Jutro zajrzy tu do swoich pacjentów. Przekazę mu kartę Patricka. - Wymienił z Philem uścisk dłoni i odszedł.

- Jack, gdybyś mógł zawieźć wszystkich do domu, ja zostałbym i pozałatwiał papierkową robotę - poprosił Phil.

- Jasne - zgodził się Jack.

Gloria szła tuż obok Patricka, kiedy wywożono go na wózku przed szpital. Chłopiec wydawał się na wpół uśpiony. Sean szedł za nimi w milczeniu. Opuścili poczekalnię, gdy tymczasem Phil udał się w stronę recepcji. Na zewnątrz, na parkingu woda w kałużach odbijała nisko zawieszony księżyc, który wyglądał zza chmur. Cicho, niemal do siebie, Sean oświadczył:

- To nie były żadne gałęzie. To było Coś Złego.

Wydawało się, że nikt go nie usłyszał, choć Gabbie zacisnęła mocniej dłoń, którą trzymała go za rękę. Patricka usadzono na kolanach matki, a on nawet nie protestował, że traktują go jak dzidziusia. Sean zamknął się w sobie, pewien, że już nigdy więcej nie powtórzy tego, co powiedział o Czymś Złym. Są takie sprawy, które należy zachować dla siebie, a on podejrzewał, że ostateczna rozprawa z Czymś Złym będzie należeć do niego oraz do Patricka i że żaden dorosły nie będzie mógł im pomóc. Kiedy malec wsiadł na tylne siedzenie matczynego kombi, zaczął się nad tym zastanawiać. Mimo przerażenia, jakie ogarniało go na samą myśl o Czymś Złym pod mostem, opanowało go mocne poczucie nieuniknionego losu. Patrickowi udało się przeżyć. Jakimś cudem przeszedł pomyślnie pierwszą próbę. W obliczu tego faktu Sean odczuwał coś, co można by nazwać jedynie nikłym pocieszeniem. A potem, wsparty o siostrę, zapadł w dziwną, niespokojną drzemkę, pełną snów o ześlizgiwaniu się po błotnistych brzegach i żółtych oczach na czarnych twarzach.

- Tato! Znów się tak robi! - krzyknął Patrick.

Phil wyszedł z gabinetu i popatrzył na wielki ekran telewizora. Obraz rwał się co chwila, a chłopcy siedzieli z bardzo rozczarowanymi minami. Phillisi grali z Metsami w najważniejszej serii rozgrywek, a za godzinę zaczynał się mecz Cubsów z Piratami. Chłopcy bardzo cieszyli się na to podwójne sprawozdanie. Jednak od tygodnia telewizor szwankował. Pan Mullins był u nich już dwa razy, żeby go sprawdzić, ale nic nie znalazł. Wyraził swoje ubolewanie, mówiąc Philowi, że nie ma nic bardziej irytującego jak takie chwilowe przerwy w odbiorze. Phil wziął do ręki słuchawkę telefonu i po wstępnej wymianie uprzejmości zapytał:

- Proszę posłuchać, wiem, że poprzednio nic pan nie znalazł, ale czy nie dałoby się czegoś z tym zrobić?

- Powiedz mu, żeby założył blokadę niskoszumową - krzyknął Patrick.

Phil zamrugał ze zdumienia, a potem rzucił do słuchawki:

- Nasz młody Tom Edison powiada, że trzeba założyć blokadę niskoszumową. - Słuchał przez chwilę, po czym parsknął śmiechem. - Tak, zwykle wiedzą wszystko. - Po kilku minutach dalszej wymiany zdań odłożył słuchawkę. - Pan Mullins przyjedzie tu z nowym wzmacniaczem i po prostu go wymieni. Ten nasz odeśle z powrotem do producenta i każe go sprawdzić. W tym czasie spojrzysz jeszcze na kable i upewnij się, czy pozostałe części są w porządku. A poza tym, chodziło o konwerter blokujący niskie szumy, cwaniaczku.

Sean uśmiechnął się, a Patrick tylko kiwnął głową. Patrick był ostatnio jakiś przygaszony i nie chciał z nikim rozmawiać o tym, co mu się przydarzyło. Phil zaczynał podejrzewać, że chłopiec ucierpiał psychicznie bardziej, niż można się było z początku spodziewać. Bandaże zdjęto już tydzień temu, blizny zaczęły niknąć pod letnią opalenizną. Ale w miejsce hałaśliwego i roześmianego chłopca pojawiło się dziecko zamyślane i introspektywne. Sean też jakby się wyciszył, ale ponieważ zwykle podążał we wszystkim za bratem, Phil nie uznał tego za nic szczególnie dziwnego. Chłopcy powoli wstali, a Sean wyłączył odbiornik.

- Idziecie do parku? - zapytał ojciec.

Patrick tylko wzruszył ramionami, a Sean odpowiedział:

- Może.

- No to przyda się wam coś takiego. - Otworzył drzwi do schowka w korytarzu, wyjął stamtąd nowiutką pałkę i wręczył ją Patrickowi. W czasie wypadku pod mostem Patrick

stracił swoją rękawicę i pałkę. Chłopcy podziękowali. Potem Phil podał Patrickowi nową rękawicę, mówiąc:

- Trzeba to wypróbować.

Patrick wyraźnie się ucieszył, a Sean starał się nie wyglądać na zazdrosnego, jednak nie bardzo mu się to udało. Phil odczekał chwilę, a potem wyjął nowiusienką rękawicę gracza dla Seana.

- Wydaje mi się, że i tak wam obu potrzebne już były nowe. A może tę starą oddałbyś na rzecz klubu dla chłopców, Sean?

Malec uśmiechnął się radośnie i uderzył pięścią w nowiutką, sztywną skórę.

- Pewnie.

- Niech to będzie dla was rodzaj nauczki - rzekł Phil. - Czasem można narozrabiać, ale mimo wszystko wyjść na tym dobrze. Tylko niech to się za często nie powtarza, dobra?

Bliźniacy zgodzili się jednogłośnie.

Kiedy wyszli, Phil w dalszym ciągu rozmyślał o nich. Sprawa, która budziła jego najgłębszą troskę, to fakt, że od czasu wypadku, przez całe dwa tygodnie, chłopcy ani razu nie poszli grać do parku. Wkrótce miał rozpocząć się rok szkolny, a Phil liczył, że skorzystają jeszcze z uroków lata, zanim przyjdzie im zaadaptować się do nowego szkolnego środowiska. Obserwował, jak wychodzą, i nie dostrzegł ani śladu po dawnej wesołej bieżance. Nowy sprzęt nie przywrócił im poprzedniej żywiołowości. A kiedy zaczął się zastanawiać, czy nie powinien załatwić im rozmowy z psychologiem, w nieruchomym powietrzu rozległ się krzyk Patricka:

- Jest poczta!

Phil uśmiechnął się pod nosem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Patrick nigdy w życiu nie podbiegnie do drzwi, żeby powiedzieć coś ojcu, kiedy może mu to wykrzyzczeć przez całe podwórze.

Phil ruszył spieszenie przez podwórko i natknął się na żonę, wychodzącą zza domu, gdzie razem z Gabbie nadzorowała stawianie ogrodzeń przy stodole. Gloria uśmiechnęła się do męża.

- Omal mnie nie rozdeptali.

- Chłopcy?

- Tak. Dokąś im się spieszyło.

Phil odczuł dużą ulgę, sam nie bardzo wiedząc dlaczego. Jakby fakt, że przemieszczają się z miejsca na miejsce z całym dawnym rozpędem, stanowił pocieszenie i dobry znak. On i żona jednocześnie sięgnęli do skrzynki i roześmieli się, kiedy ich dłonie

musnęły o siebie, próbując ją otworzyć.

- Ty pierwszy, drogi Alfonsie - odezwała się Gloria.

- Wielkie dzięki, Gastonie. - Phil otworzył skrzynkę i wyjął pocztę. Szybko ją przesortował i wręczył żonie kilka kopert - przeważnie reklam lub darmowych próbek. Sam otworzył jedną i zaczął czytać, podczas gdy Gloria otwierała drugą.

- Słuchaj - odezwała się po chwili - w przyszłym tygodniu Tommy będzie tędy przejeżdżał i ma zamiar do nas zajrzeć.

- To miło - odparł Phil. - Co tam u superagenta?

- Nie pisze. Ciekawe, co też ściągnęło go w te strony?

- No cóż, jeśli znam Tommy'ego, nie chodzi o wizytę towarzyską. Nie wpadł do nas ani razu wtedy, kiedy przez dwa tygodnie mieszkał po drugiej stronie wzgórza w hotelu Beverly Hills. My musieliśmy pójść do niego. Może ma dla ciebie propozycję pracy.

Gloria prychnęła drwiąco.

- To dopiero byłoby święto.- Zaczęli iść w stronę domu. - Nie pracowałam w Nowym Jorku od prawie dziesięciu lat. Porcja uwagi, jaką przeciętny producent na Broadwayu poświęca młodym aktorkom, nie przekracza dziesięciu minut - chyba że trafiło się na Tony'ego - a i to tylko wtedy, kiedy z nim śpią lub są mu winne pieniądze. A ja, jak miałeś okazję zauważyć, raczej nie rzuciłam miasta na kolana.

- Zdarzały się już znacznie dziwniejsze rzeczy. Masz. - Wręczył jej list, który sam czytał.

Przejrzała go szybko, a potem mocno zdzieliła go w ramię.

- Ty cholero! Pozwoliłeś mi paplać i nie pisałeś ani słowa. - Złapała go i mocno uściskała. - Moje gratulacje.

- No, jeszcze się nie zgodziłem. Chcą, żeby kilka rzeczy...

Uciszyła go pocałunkiem.

- Och, zamknij się. Dopracujesz szczegóły. Jestem z ciebie taka dumna, kochanie. Pierwszy wydawca, do jakiego się zwracasz, i już otrzymałeś ofertę. - Odstąpiła o krok i dodała: - Pieniądze nie są wielkie, ale też i nie drobniaki.

- No cóż, musisz pamiętać, że swoimi pierwszymi książkami nie wdarłem się na nowojorskie listy bestsellerów. Dla wydawców moje osiągnięcia w filmie zupełnie się nie liczą.

- Słuchaj, umowa jest umową, jak mawiał mój ojciec. Podpisz umowę, potem będziesz się martwił o szczegóły.

- Chodź. Dziś wieczorem jemy na mieście.

- Świetna myśl. - Uśmiechnęła się i objęła go w pasie. Od czasu napaści na Gabbie po raz pierwszy czuła się rozluźniona.

- Na pomoc!

Gabbie odwróciła się od przybijanej właśnie deski, którą przytrzymał jej Jack. Młodzi ludzie wymienili przestraszone spojrzenia, potem Jack upuścił deskę i oboje ruszyli biegiem ku frontowej ścianie domu.

Kiedy wybiegli z za rogu, zauważyli, że jeden z robotników zwisa z poprzecznej belki przy rogu dachu, a na dole Phil gorączkowo stara się podstawić mu pod nogi drabinę, którą tamten przewrócił kopnięciem. Do wypadku spieszył też Ted Mullins. Phil przytrzymał drabinę, a Jack wspinał się po niej do zawieszonoego mężczyzny.

- Ręka mi utknęła - wysyczał mężczyzna przez zaciśnięte zęby. Zdołał postawić stopy z powrotem na drabinie, ale nie udało mu się uwolnić ręki.

Jack podniósł wzrok i przekonał się, że jeden z dziwnych, przypominających gargulce rzeźbionych stworów przekręcił się i złapał rękę mężczyzny jak w imadło.

- Dajcie mi łom albo duży śrubokręt! - zawołał Jack.

Ted wyjął ze skrzynki z narzędziami bardzo duży śrubokręt i podał Jackowi.

- Szykujcie się, żeby go złapać! - zawołał ten, wkładając śrubokręt między tę rzeźbę a następną. Potem zapał się z całej siły, wykorzystując śrubokręt jako dźwignię, i pchnął rzeźbę do góry, tak że mężczyzna mógł wyjąć rękę z zaciśniętych szczęk.

Robotnik runął w dół, gdzie złapali go Phil i Ted. Jack przyjrzał się rzeźbie dokładnie.

- Obluzowała się - zauważył. Górna część maskaronu oderwała się i wychyliła do przodu. Niższa część uderzyła o belkę wspornika, a brzydka głowa pękła za przypominającą pysk aligatora paszczą, lecz się nie rozpadła. Gdyby się połamała, mężczyzna by spadł. Jednak w tym przypadku rzeźba przytrzasnęła mu tylko rękę, a jego własny ciężar sprawił, że ręka utknęła w szczękach.

- To wygląda tak, jakby to diabelstwo mnie ugryzło - wykrzyknął robotnik, owijając rękę chusteczką. Skóra była popękana, a na chusteczce zaraz pojawiły się czerwone plamy.

- Lepiej, żeby ktoś to obejrzał - zauważył Phil.

- Zabiorę go do szpitala - oznajmił Ted.

Poprowadził mężczyznę do samochodu, a Phil popatrzył na Gabbie, potem na Jacka.

- To dość szczególne.

- Zgadza się, dość niesamowite - przytaknęła Gabbie. - Ale co on tam robił?

- Biegają tamtędy w głąb domu kable od anteny.

Jack spojrział w górę.



- Nic nie widzę.

Phil wskazał mu miejsce, gdzie wzdłuż najbliższego anteny wspornika biegł współosiowy kabel oraz linie kontrolne, które znikają następnie w dziurze u podstawy poprzecznej belki.

- Pewnie bieżą w środku.

Jack wspiał się z powrotem po drabinie.

- Wszystkie te rzeźby przymocowane są do jednego dużego kawałka drewna. Widzę tu jakieś nowe śruby. - Popatrzył na dół. - Widzę też kupkę takich samych śrub na ziemi. - Phil dojrzał u stóp drabiny z tuzin wkrętaków. - Odkręcał pewnie ostatnią, kiedy deska się przemieściła. - Jack odkręcił ostatnią śrubę i włożył ją do kieszeni. Złapał za rząd gargulców.

- Ostrożnie - upomniała go z dołu Gabbie, kiedy Jack powolutku przesunął nieporęczny kawał drewna. Kiedy odsunął go o kilka cali, zobaczył wreszcie kable.

- Bieżą wzdłuż tej dechy - oznajmił, śledząc je wzrokiem - aż do salonu.

- Tutaj wychodzą z powrotem. Mullins schował je tam, żeby nie wystawały - orzekł Phil.

- Porządny gość. Ale żeby je sprawdzić, można dostać kotka. - Jack pobiegł wzrokiem wzdłuż drewnianej deski, gdy nagle, głębiej pod dachem, coś przyciągnęło jego wzrok. - Wydawało mi się, że coś się tam rusza. Ernie? To ty się tam skradasz? - Przymrużył oczy, jakby chciał siłą woli przeniknąć mrok. Potem obejrzał się na Phila. - Macie latarkę?

- Tak, zaraz przyniosę - odpowiedziała mu Gabbie.

Jack został na miejscu, przytrzymując drewnianą fasadę z dziwnymi rzeźbami, gdy tymczasem Gabbie popędziła do domu. Po chwili wróciła i podała mu latarkę. Jack poświecił w mrok.

- Cholera, co my tu mamy? Coś tam jest w głębi.

- Co? - pytał Phil.

- Nie mogę rozpoznać. Nawet z latarką tu jest strasznie ciemno. I dość głęboko.

- Jak to zobaczyłeś? - dopytywała się Gabbie.

Jack rzucił jej z powrotem latarkę.

- Wydawało mi się, że coś się tam w głębi ruszyło. Pewnie to było złudzenie.

Podsunał płytę na miejsce i szybko przymocował jedyną śrubą, która przytrzymała ją na miejscu. Schodząc pospiesznie po drabinie, powiedział:

- Mullins będzie pewnie chciał sprawdzić kable, więc zostawię wszystko tak, jak było.

- A co z tym czymś, co zobaczyłeś? Mógłbyś to jakoś wydostać? - zapytała Gabbie.

- Jest schowane dość głęboko. Nie dosięgnąłbym nawet kijem od miotły.

- No cóż, w takim razie jak się tam dostało? - zastanawiał się Phil.

Jack przyglądał się linii dachu.

- Czy tam na górze jest pokój chłopców?

- Zgadza się.

- Czy moglibyśmy się tam trochę rozejrzeć?

- Jasne.

Pospieszyli do środka i wbiegli po schodach na piętro. W pokoju chłopców Jack podszedł do okna i wyjrzał, żeby sprawdzić jego usytuowanie w stosunku do dachu nad gankiem.

- Myślę, że to gdzieś tutaj - orzekł, wskazując punkt, gdzie ściana stykała się z podłogą.

Podszedł do skrzyni z zabawkami i zbadł kawałek ściany pod oknem. Po kilku minutach do poszukiwań włączyli się Gabbie i Phil. Nic szczególnego nie rzuciło im się w oczy, dopóki Phil nie wypatrzył dziwnego wgłębienia tuż u podstawy ściany.

- Dajcie mi ten śrubokręt - polecił.

Jack i Gabbie przyglądali się, jak Phil wkłada w zagłębienie koniec śrubokręta i podważa deskę. Natychmiast cały fragment podłogi uniósł się na tyle, że można było wsunąć pod spód palce - trzy deski przycięte tak dokładnie, że zlały się w jedno z resztą podłogi. Pokrywa wyglądała dość niezwykle, deski bowiem przycięto nie wzdłuż linii prostej, a wzdłuż naturalnych słoików drewna, tak że linia styku pozostawała niewidoczna.

- No, niech mnie wszyscy diabli - rzucił Phil.

Jack uśmiechnął się radośnie.

- W starych domach spotyka się wiele tego rodzaju rzeczy. Zbudowano je, zanim rząd zaczął poręczać za banki. U nas większość ludzi mogłaby wam pokazać, gdzie pradziadek chował przed Jankesami to, co mu jeszcze pozostało. Trzeba wypełnić szczeliny woskiem, a wtedy można jeździć po nich dłonią choćby cały dzień i nigdy się nie domyślicie, gdzie są.

Phil poświecił do środka latarką, a promień oświetlił jakiś pakiecik czy woreczek. Jack sięgnął do środka i bardzo ostrożnie wyjął stamtąd coś, co wyglądało na starannie opakowany zwitek papierów.

- Jak sądzicie: mapy ze skarbami?- zagadnął Phil.

Jack przyglądał się paczusce. Było to zawiniątko wykonane ze starej, luszczącej się na białą szmaty.

- Znieśmy to do gabinetu.

Zabrali pakiecik na dół i położyli na biurku. Jack przyjrzał się białej substancji na

rękach i orzekł:

- To chyba воск.

Phil delikatnie obmacywał zawiniątko.

- Wygląda na dość kruche. Pewnie jest stare.

- Może nie. - Jack roztarł substancję między palcami i powąchał. - Parafina - orzekł. -

Używa się jej do zabezpieczania przed wilgocią. Jedyne problem w tym, że doskonale się pali. Kiedy byłem skautem, maczaliśmy w niej zapalki.

- Nie wiedziałam, że należałeś do skautów - droczyła się z nim Gabbie.

- Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy, skarbie - odparł Jack podobnym tonem.

- Możemy otworzyć tę paczkę? - zainteresował się Phil.

- Chyba tak - odparł Jack. - To tylko ten воск daje wrażenie kruchości, a nie papier czy co tam w środku jest.

Domysły Jacka potwierdziły się wkrótce, gdyż pod warstwą wosku kryło się opakowanie z cienkiej ceraty. Wewnątrz znaleźli kilka dokumentów.

Jack i Phil przejrzeni je jeden po drugim, a Gabbie zapytała:

- Co to właściwie jest?

Jack wzruszył ramionami.

- Wszystkie są po niemiecku. Ja zdołałem wywalczyć w szkole ledwie trzy minus, a i to było dawno temu. Umiesz czytać po szwabsku?

- Tylko po hiszpańsku, i to dość nędznie - przyznała Gabbie.

Dotarł do nich odgłos zajeżdżającego samochodu. Gabbie wyjrzała przez okno i oznajmiła:

- Jesteśmy uratowani. To Mark.

Wybiegła z pokoju.

Phil zerknął na zegarek.

- Jest trochę za wcześnie.

Jack uśmiechnął się.

- Lubię facetów, którzy umieją pojawić się w porę.

Do pokoju weszli Gary i Mark, a u boku tego ostatniego - Gabbie. Jack zerknął na nich raz, potem drugi i z niejaką przykrością zauważył, jak Gabbie tuli się do ramienia Marka. Odkąd zaczęli regularne sesje terapeutyczne, zaczęła dużo o nim mówić. Jack z dużym wysiłkiem starał się zwalczyć nierozumny przypływ zazdrości.

- Gabbie twierdzi, że znaleźliście coś interesującego - odezwał się Gary.

Phil wskazał im zwitek, a Mark wziął do ręki jeden z papierów. Szybko przejrzał go i

podał Gary'emu. Jeden po drugim patrzyli nań, a potem wybuchali śmiechem.

- A to doskonale!

- Co to jest? - dopytywała się Gabbie, podskakując w podnieceniu.

- Zapiski Fredricka Kesslera. Stary łajdak był oszustem.

Gary wskazał na papier.

- Mówiąc bez ogródek: zajmował się szwindlami.

- Co takiego?

- Trzeba będzie przeczytać to jeszcze raz, uważnie - odpowiedział Gary - ale wygląda na to, że prowadził różne dziwne transakcje w kilku bankach jednocześnie. I o ile się nie mylę... hm... - porównał trzy różne papiery - ...wszystkie trzy pożyczki wziął pod to samo zabezpieczenie. - Obdarzył ich tym swoim ukazującym zęby uśmiechem. - A wydaje mi się, że ludzie nie przepadają za takimi praktykami.

- A przynajmniej bankowcy - dodał Mark. Wtem uśmiech zniknął z jego twarzy. - Popatrz na to.

Gary spojrzał i aż gwizdnął.

- A niech mnie. To nie do wiary.

- Co takiego? - dopytywała się Gabbie, uradowana znaleziskiem.

- Adnotacja prezesa banku, niejakiego pana Schmidta z Trustu Przedsiębiorców Niemieckich w Nowym Jorku, potwierdzająca, że widział złoto, które ma być wykorzystane jako zabezpieczenie. - Szybko przebiegł wzrokiem pozostałe dokumenty. - Widzicie, jest jeszcze kilka podobnych. Ten jest z Pierwszego Niemiecko-Amerykańskiego Banku Brooklyńskiego.

- Wszyscy bankierzy noszą niemieckie nazwiska, a do tego wszystkie dokumenty są po niemiecku.

- To praktyka dość powszechna w tamtych latach - wyjaśnił Mark. - Imigranci woleli prowadzić interesy z własnymi rodakami. Bank Amerykański założono wiele lat temu w San Francisco jako Bank Włoski.

- Czy mogli mieć ze sobą jakieś powiązania jeszcze w Niemczech? - zastanawiał się Gary.

- Nie wiem, ale nie można wykluczyć takiej możliwości. Może to jacyś wspólni znajomi od interesów w Niemczech. Może to amerykańsko-niemieckie banki, które miały swoje filie w obu krajach. Tak czy owak, jedno jest pewne: stary oszust kilkakrotnie wykorzystał to samo złoto jako zabezpieczenie pod pożyczki.

- Jak to możliwe? - dziwił się Jack. - Czyżby banki nie sprawdzały, czy gdzieś nie ma

już papierów na to złoto? Albo nie brały złota w zastaw?

- Kiedyś, przed falą bankructw podczas Wielkiego Kryzysu, nie sprawdzano wszystkiego tak dokładnie - zauważył Mark. - Wtedy często, można powiedzieć, ryzykowano. Bez państwowego nadzoru banki mogły być albo starymi, dusznymi kantorami, albo luźnymi, szybkimi kartelami inwestycyjnymi, które wedle własnego uznania grały pieniędzmi swoich inwestorów na giełdzie towarowej lub giełdzie papierów wartościowych. Istniało wtedy znacznie szersze pole do nadużyć. Bankructwa zdarzały się dość regularnie. - Mark w dalszym ciągu przeglądał dokumenty, a w końcu orzekł: - Ale nie ma tu nic, z czego można by wnioskować, co zrobił w końcu z tym złotem.

- Może sprzedał? - podsunął Jack.

- Gdyby tak było, to spodziewałbym się raczej, że i po tej transakcji pozostanie jakiś rachunek. - Mark wskazał na leżące przed nim papiery.

Gary przytaknął kiwnięciem głowy.

- Wygląda na to, że w każdej sprawie był nader skrupulatny. Przez te papierki mógł nieźle wtopić, gdyby wpadły bankierom w ręce, zanim pospłacał weksle.

Gabbie wyglądała na rozczarowaną.

- Miałam nadzieję, że to mapa wiodąca do skarbu.

- A ja miałem nadzieję, że to coś, co pomoże mi powiązać Kesslera ze wszystkimi dziwnymi wydarzeniami w Niemczech na przełomie wieków - odparł Mark. - Niemniej, otrzymaliśmy kolejny kawałek do naszej układanki.

- Może gdzieś tutaj będzie kolejna skrytka.

Gary uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Chcecie się bawić w poszukiwaczy skarbu?

- Wasza czwórka może się bawić, jeśli macie ochotę. My z Glorią jemy dziś na mieście - odpowiedział Phil. - Skoro wszyscy tu jesteście, mogę wam powiedzieć już teraz. Dostałem propozycję w sprawie książki.

Obwieszczenie to spotkało się z rundką głośnych gratulacji, a Gloria, która brała właśnie prysznic, zawołała z góry:

- Co tam się dzieje?

- Zejdź do nas! - odkrzyknął jej Phil. - Urządzamy przyjęcie!

- Nie wcześniej, aż włożę na siebie coś innego niż ręcznik kąpielowy. Czekaście, aż się ubiorę!

Kilka minut później Gloria zeszła na dół w szlafroku, z włosami wciąż jeszcze wilgotnymi po kąpieli.

- O co chodzi?

- Mapy skarbów i zaginione złoto - odparł jej mąż, tańcząc radośnie wokół biurka. - Opowieści o korupcji w najwyższych kręgach. Bankierzy w zмовie z tajemniczymi Niemcami. - Mark i Gary wybuchnęli głośnym śmiechem. - Oszustwa, przy których spłonąłby rumieńcem nawet sprzedawca paraleków. Do tego sekrety dawnych wieków, pełne spraw cudownych i strasznych, a wszystko to gotowe na przyjęcie poszukiwaczy wielkiej przygody. - Całując ją lekko w policzek, dodał z widoczną uciechą: - No i oprócz tego świętujemy prawdziwy cud: wydawcę, który od pierwszego czytania poznał się na geniuszu.

Gloria uśmiechnęła się.

- A więc wreszcie do ciebie dotarło. - Odpowiedział jej szerokim uśmiechem i jeszcze raz pocałował. Gloria uściskała go mocno. Znad jego ramienia rzuciła: - No cóż, wygląda na to, że urządzamy przyjęcie. Gabbie, zadzwoń po pizzę. Jack, otwórz kilka piw. - Krzyknęła na poły z przyjemnością, na poły z irytacją, kiedy Phil ugryzł ją w szyję i poklepał po pośladku. - Ty zwierzu! - Kiedy Gabbie wyszła z pokoju, rzuciła za nią: - I znajdź chłopaków!

Nad ich głowami, w ciasnej przestrzeni między sufitem a podłogą przesuwało się Coś Złego. Pakiecik został odkryty i pan będzie zadowolony. Zawsze było lepiej, kiedy pan był zadowolony. To proste stworzenie, z gruntu złe, naprawdę pragnęło zadowolić swego pana. A pan ogromnie się rozgniewał, kiedy odkrył, że Coś Złego zaatakowało pod mostkiem jednego z chłopców. A Coś Złego bardzo nie lubiło, kiedy pan był zły. Przecież nie chciało zignorować woli swego władcy. Chłopak sam wepchnął się do jego leża, a pachniał przy tym tak świeżo i młodo, tak ciepło i delikatnie. Coś Złego aż wzdrygnęło się z rozkoszy, przypomniawszy sobie ciepły, wilgotny zapach Patrickowej krwi. Potem jednak wspomniało niezadowolenie pana i towarzyszący mu ból, więc przyjemny dreszczyk szybko przemienił się w dreszcz strachu. Z cichym odgłosem przypominającym westchnienie niemowlęcia sunęło na podobieństwo pająka przez tajną przestrzeń do przepelzania - nad sufitem, a pod podłogą następnego piętra - przez większość drogi zwisając do góry nogami. W pobliżu nadproża, niedaleko pokoju chłopców, odsunęło na bok wąską deskę i precyzyjnie się na zewnątrz, by zbiec szybko po rynnie. Nie lubiło jasno oświetlonych przestrzeni, bo światło dzienne sprawiało, że budziły się w nim dawno zapomniane obrazy z przeszłości, kiedy Coś Złego było jeszcze młode. Te wspomnienia sprawiały mu ból. Ponadto światło ograniczało liczbę miejsc, w których można się kryć. Ale tym razem słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie wydłużyły się znacznie, więc mogło bezpiecznie dotrzeć do lasu. Poza tym, rozważyło sobie, nic w tym domu nie stanowiło dlań zagrożenia. Nic nie mogło mu zaszkodzić. Dosłownie nic.

Patrick pokazywał swoje blizny z mieszaniną dumy i niepokoju. Dumny z widomej oznaki swej odwagi, niepokoił się, co powie Barney o Czymś Złym pod mostkiem. Stali przed majster-klepką, który usadowił się na wysokim stołku przy warsztacie. Przed sobą miał porozkładany na części mikser.

- No cóż, pocięło cię całkiem porządnie, co, Patricku Hastings? - Wbił w chłopca kaprawe spojrzenie, do którego zdążyli już przywyknąć.

- Próbowano mnie ugryźć, ale mu się wyrwałem, Barney.

Mężczyzna westchnął i pociągnął łyk z butelki, którą trzymał na podorędziu. Powstawszy ze swego stołka, poprowadził ich na zewnątrz i przysiadł na ganku. Rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się coś zobaczyć.

- Jeszcze ponad dwa miesiące. Trzeba przeżyć jeszcze dwa miesiące i trochę. - Pociągnął raz jeszcze.

- A co będzie za dwa miesiące? - zainteresował się Sean.

- Dzień Przenosin, Seanie. Dobry Ludek spakuje manatki i o północy wyruszy w drogę, a przed wschodem słońca w dzień Wszystkich Świętych już ich tu nie będzie. - Łyknął znowu, a potem zaczerpnął głęboko powietrza. - A jeśli będziemy mieć szczęście, już ich więcej w tym życiu nie zobaczymy. Dwa razy w jednym życiu to o dwa razy za dużo. - Mrugnął do chłopców porozumiewawczo. - To dlatego właśnie zacząłem znowu pić. Dobry Ludek ma słabość do głupków i pijaków, jak powiadają, i dopóki oddech pachnie mi jęczmieniem, dają mi spokój. - Mrugnął raz jeszcze, klepiąc się palcem wskazującym w skrzydełko nosa.

- Ten troll odejdzie? - zapytał Patrick.

- Tak, i wszyscy jemu podobni, choć nie wydaje mi się, żeby to był troll. Troll to wielki i przerażający stwór, który rzuca się na każdego, kto przechodzi przez jego teren. Wydaje mi się, że wpadłeś w łapy stwora z mrocznego ludu, z tych malutkich, co to utraciły nadzieję na zbawienie. Może nawet... No, nie warto gdybać. - Przeżegnał się znakiem krzyża. - Gdyby to był troll, nie miałbyś szansy przejść przez most. To Coś Złego siedzi pod spodem i nie wyłazi. Ale fala popchnęła cię do jego legowiska, a kiedy się tam znalazłeś, stałeś się należną zdobyczą. Tacy jak on zasadniczo nie ważą się wyjść na światło. - Zamyślił się na chwilę. - Choć zdarza się od czasu do czasu, że łamią zasady.

- Chcę go dostać - oznajmił Patrick z nieoczekiwanym ożywieniem.

- Co takiego? - zdumiał się Barney, unosząc w górę siwe brwi.

Bliski łoż z gniewu, malec odparł:

- Chcę wyrównać rachunki. Zraniło mnie, więc chcę, żeby je też zabolalo. Zmuszę je, żeby sobie stąd poszło.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział Barney, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Przede wszystkim, nie znasz się na czarach. Po drugie, jest pewne, że to tylko drobny stwór, a kiedy zrobisz mu krzywdę, możesz zwrócić na siebie uwagę jego większych, jeszcze mniej litościwych współbraci. Jeśli to jest to, co myślę, to pozostaje na usługach kogoś, kto potrafi sprawiać nie kończące się cierpienia. Po trzecie, wyniesie się stąd do listopada. Radziłbym odpuścić.

- Nie, chcę się zemścić.

Widząc taką determinację, Barney pokręcił głową.

- No cóż, sprawa nie jest taka prosta. - Rozsiadł się z westchnieniem, zamyślił się, a po chwili zapytał: - Umiesz posługiwać się mieczem?

- Potrafię zamachnąć się kijem baseballowym.

- No pewnie, to byłoby w pięknym stylu, gdybyś wpadł w szal bitewny i wymachiwał na prawo i lewo wielkim obosiecznym mieczem, nie patrząc, czyja głowa spada. Ale ta bestia wygląda mi na szybką i zwinną, a taką trudno trafić. - Barney wpatrzył się w Patricka uważnie. - A jak radzisz sobie z łukiem? Masz srebrną strzałę, którą mógłbyś ją trafić?

- To przy wilkołakach - wtrącił Sean tonem niedowierzania.

- Możliwe, ale na Dobry Ludek też działa. Oni wszyscy jakoś nie przepadają za metalami, nie lubią żelaza - choć wydaje mi się, że nie sprawia im zbyt wiele kłopotu, jak mówią o tym niektóre bajki. W przeciwnym razie dawno by wyginęli, przynajmniej odkąd człowiek wymyślił piec hutniczy. Kochają też swoje złoto. Gromadzą je w wielkich skrzyniach i kryją pod ziemią. Ale srebra, srebrnych ostrzy i strzał albo pocisków miotanych z procy - nie, za srebrem nie przepadają. To księżycowy metal, a ponieważ to nocne stworzenia, księżyc dorównuje im potęgą, więc się go boją. - Podniósł się powoli. - Muszę złożyć mikser pani Macklin. - Spoglądając z góry na Patricka, dodał: - Idź teraz do domu, a kiedy będziesz miał łuk ze srebrnymi strzałami albo srebrny miecz, przyjdź do mnie, to ci powiem, co dalej.

- Och Barney, to nie w porządku!

Mężczyzna pochylił się i wsparł dłonie na kolanach.

- Jak powiadała moja świętej pamięci matka - świeć, Panie, nad jej duszą - przy wielu różnych okazjach: „Co ma z tym wspólnego porządek? Tak po prostu ma być”. A teraz biegnijcie do domu, zanim zrobi się ciemno i stwór pod mostem zrobi się niespokojny.



Więcej nie trzeba im było mówić, obrócili się równocześnie i popędzili przez las w stronę domu. Kiedy zniknęli mu z oczu, Barney pokręcił głową i mruknął:

- A jeśli święty Patryk trzyma pieczę nad swoim imiennikiem, nieprędka wpadnie ci w ręce srebrny miecz, Patricku Hastings.

Przyjęcie było tym przyjemniejsze, że zorganizowane naprędce. Zaproszona telefonicznie, zjawiała się Aggie, a kiedy Ted Mullins wrócił z izby przyjęć, dokooptowano i jego. Chłopcy pojawili się tuż po tym, jak przywieziono pizzę, na którą wszyscy natychmiast rzucili się żywiołowo. Gloria zauważyła, że wprawdzie nadal są przygaszeni, jednak zaczynają wykazywać pierwsze oznaki powrotu do normalności.

- O, do licha - odezwała się nagle Gabbie. - Zostawiłam na dworze narzędzia. Lepiej pójde je pozbierać. - Bez słowa komentarla Jack podniósł się z miejsca i wyszedł wraz z nią.

Kiedy doszli do płotu, Gabbie zagadnęła:

- Dlaczego jesteś taki milczący. Coś cię gryzie?

Jack wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że zauważysz. Byłaś taka pochłonięta rozmową z Markiem.

Gabbie przyglądała mu się przez chwilę uważnie, potem pochyliła się, by zebrać narzędzia. Nie podnosząc wzroku znad chowanych do worka długich gwoździ, rzuciła:

- No cóż, świetny z niego kompan.

Jack nie zauważył tonu zaczepki w jej głosie.

- Pewnie tak - odparł beznamiętnie, zbierając młotki i układając je w otwartej skrzyni.

Gabbie uśmiechnęła się do siebie. Jack w milczeniu podniósł z ziemi skrzynkę i poziomice, potem oświadczył:

- Odniosę to na miejsce. Chcesz, żebym odniósł drewno do stodoły?

- Nie. Wystarczy, jak przykryjemy je brezentem.

Gabbie ociągała się chwilę przy wrotach, kiedy Jack wszedł do środka i odkładał narzędzia na półkę po lewej stronie drzwi. Potem rzuciła jakby od niechcenia:

- Myślę, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, minie ze cztery lub pięć tygodni, zanim skończymy grodzić dookoła.

W stodole przez chwilę panowała cisza, potem z ciemności wyłonił się Jack.

- Zostajesz?

Gabbie doszła do wniosku, że jeszcze go trochę przetrzyma.

- Jeszcze nie zdecydowałam. Przecież mogę zlecić komuś tę robotę, kiedy będę wyjeżdżać. - Twarz Jacka pociemniała. - Ale przyjadę na święta, no i na następne lato.

Jack minął ją bez słowa, podszedł do stosu sztachet i wniósł je do środka, puszczając mimo uszu sugestię pokrycia ich brezentem. Gabbie zaczynała wrzeć. Jack w jednej chwili potrafił być cudowny, a w następnej zachowywał się jak ostatni głupek. Już zdecydowała, że

zostanie, ale niech ją diabli, jeśli mu to powie, zanim on nie zacznie rozmowy. Gotowa była zrobić dla niego wszystko, ale do cholery jasnej, dziewczyna lubi, żeby ją poprosić. A wyzwolona czy nie wyzwolona, nie miała najmniejszego zamiaru prosić jego. To, co zaszło między nim a Ginger, sprawiło, że stał się nadzwyczaj powściągliwy w deklaracjach, Gabbie zaś nie miała zamiaru pozwolić, żeby czuł się zanadto jej pewny.

Westchnęła, słysząc, jak hałasuje w stodole przy układaniu drewna. Nie lubiła, kiedy był tak zdenerwowany. Nagle przyszło jej do głowy, że może to jednak ona zachowuje się dziecinnie. Już miała się odezwać, gdy nagle coś przyciągnęło jej wzrok. W mroku na tle nieba, które na zachodzie przechodziło z błękitu w róż nad indygową linią drzew, na samym skraju lasu stała jakaś świecąca postać. W nozdrza Gabbie uderzył zapach korzeni i kwiatów.

Krzyknęła.

W jednej chwili Jack znalazł się przy niej, a z domu dobiegły pytające okrzyki.

- Co się stało? - dopytywał się Jack.

Z oczyma pełnymi łez Gabbie wskazała na las.

- To on! - zdołała tylko wykrztusić.

Kiedy otwały się kuchenne drzwi, Jack rzucił:

- Zostań tu.

Jednym susem przesadził płot i pobiegł w stronę lasu i uciekającej postaci. Chłopcy przygnali pędem do siostry, nie bacząc na rozkazy matki, że mają pozostać w domu.

Zaraz obok Gabbie zjawili się Phil, Gary i Mark. Phil odesłał chłopców do kuchni.

- Co to było? - zapytał Mark.

- Widziałam go. - Gabbie wskazała ręką na las. - Widziałam tego chłopaka, który... był wtedy w lesie.

- Jesteś pewna? - dopytywał się Phil. Rozejrzał się dookoła i było jasne, że nie bardzo może pojąć, jak mogła cokolwiek dojrzeć przy tak słabym świetle.

Gabbie tylko kiwnęła głową.

- Gdzie Jack? - zapytał Mark.

- Pobiegł za nim - odparła, wskazując kierunek.

Bez słowa Gary przesadził płot i pobiegł w stronę leśnej ścieżki.

Niedługo potem obaj z Jackiem zjawili się w kuchni, gdzie czekała reszta towarzystwa. Jack, który wyraźnie kulał, wyjaśnił:

- Wydaje mi się, że go widziałem, ale ta nieszczęsna noga jak zwykle zawiodła.

- A ty coś widziałeś? - zapytał Mark Gary'ego, ale ten potrząsnął przecząco głową.

- Zadzwoiłem na policję - poinformował Phil. - Wkrótce kogoś tu przyślą.

Aggie i Ted Mullins jednocześnie podnieśli się z miejsc.

- Lepiej zacznę się zbierać - oznajmiła Aggie.

Ted Mullins przytaknął, mówiąc, że zrobiło się późno i że wróci następnego dnia, żeby dokończyć nadzór montażu anteny. Oświadczył, że odprowadzi Aggie do samochodu i będzie za nią jechał aż do samego domu, a dopiero później pojedzie do siebie. Chłopców pognano do sypialni, choć do pory spania brakowało jeszcze godziny. Przekrzykując ich głośne protesty, Gloria kazała im znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- Jack, co właściwie widziałeś? - pytał Mark.

- To jakaś cholernie dziwna historia - odparł, masując w roztargnieniu bark. - Wydawało mi się, że widzę chłopca, mniej więcej piętnastoletniego. I mógłbym przysiąc, że on świecił. To pewnie przez to wieczorne światło. A jednak widziałem go wśród drzew na tyle wyraźnie, żeby biec za nim przez most aż do Wzgórza Króla Elfów.

Mark i Gary wymienili się spojrzeniami, a Mark oznajmił:

- Chyba się trochę rozejrzę.

- Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać na policję?

- Ja też pójdę - zawtórował mu Gary. - Jeśli to szczeniak... No cóż, mógł napaść na dziewczynę, ale na dwóch dorosłych mężczyzn raczej się nie rzuci. Macie jakąś latarnię?

Gloria wyjęła z szafki przy spiżarni lampę gazową i wręczyła Gary'emu wraz z pudełkiem zapalek. Chłopak wziął od niej latarnię i wkrótce zapłonęła jasno. Śląc im na pożegnanie uśmiech i machając dłonią, dodał:

- Upewnimy się tylko, czy się tu gdzieś nie kręci, i zaraz wracamy.

Jack siedział, pocierając ramię.

- Może i ja powinienem pójść.

- Nie, przecież boli cię noga - zaproponowała Gabbie. - A co ci się stało w ramieniu?

Jacka wyraźnie zaskoczyło jej pytanie, potem zorientował się, że od jakiegoś czasu masuje sobie bark.

- Nie mam pojęcia. Pewnie nadwerżyłem coś sobie, kiedy przeskakiwałem przez płot.

- To przesądza sprawę - orzekła Gabbie. - Ty zostajesz.

- Nic nam nie będzie - rzucił cicho Mark i bez dalszej dyskusji obaj wyszli.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, co się, do cholery, wyprawia w tym zwariowanym miejscu? - rzuciła Gloria.

- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedział jej Phil.

Gary wskazywał ręką kierunek.

- To tam - szepnął.

Mark pokiwał głową.

- Ja pójdę tamtędy. - Wykonał dłonią ruch symbolizujący okrążanie, Gary zaś ruszył przed siebie. Światło lampy wyraźnie wyznaczało kierunek jego marszu, podczas gdy Mark skradał się chyłkiem w ciemnościach.

Przez dziesięć minut męczył ich i irytował jakiś ledwie dostrzegalny ruch, jakby ktoś pozostawał wciąż na granicy wyznaczanego przez nich kręgu światła, na tyle blisko, by zaznaczyć swoją obecność, ale nie ukazując się w całej pełni. Mark sunął ukradkiem, starając się czynić jak najmniej hałasu, lecz w jego uszach brzmiało to tak, jakby przedzierał się z trzaskiem przez zarośla. Zastanawiał się przez chwilę, czy to prawda, że Indianie potrafili bezszelestnie poruszać się po lesie.

Czyjś wysoki śmiech w górze sprawił, że niemal podskoczył z przestachu. Wyciągnął szyję, próbując dojrzeć coś wśród koron drzew.

- Kto tam jest?

Znów ten sam śmiech, a za chwilę odgłosy pospiesznego przemykania, jakby coś poruszało się wśród gałęzi. Potem Mark usłyszał, jak coś ciężkiego ląduje na sąsiednim drzewie. Ten, kto tam był, przeskakiwał z gałęzi na gałąź jak Tarzan. Mark pospieszył za tymi dźwiękami.

Szedł najszybciej, jak mógł, jednak ciemność i gęsto rosnące drzewa sprawiły, że wkrótce stracił ślad. Zawadził ramieniem o pień drzewa, zaklął głośno i ku swojemu zaskoczeniu usłyszał daleko przed sobą dziecięcy śmiech. Ruszył w tamtym kierunku i po kilku ledwie minutach odkrył, że się zgubił.

Przystanąwszy, zawołał:

- Gary!

Wołanie natychmiast sparodiował czyjś odległy głos, który powtórzył jak echo: „Gary!” Mark starał się ocenić kierunek, skąd dobiegał ów głos, więc jeszcze raz wykrzyczał imię Gary’ego. Jeszcze raz usłyszał też prześmiewcze przedrzeźnianie, lecz tym razem z zupełnie innej strony.

Rozejrzał się dookoła, nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Próbował ustalić położenie wschodzącego księżyca, lecz trudno było go dojrzeć przez gęste korony drzew. Potem usłyszał, że w oddali ktoś woła go po imieniu.

Kiedy zrobił pierwszy krok w tym kierunku, głos zaraz powtórzył się z zupełnie innej strony. Przystanął. Ten, kto go przedrzeźniał, teraz naśladował głos Gary'ego. Mark poczuł, że ogarnia go nagły strach. Ktoś tu igrał sobie z nimi.

Powoli, uważnie rozglądał się za czymś w rodzaju polanki lub ścieżki. Obejrzał się za siebie, próbując dojść, gdzie może być Gary. Okrążył jakiś pień i ruszył przed siebie. I zamarł.

Coś ścisnęło go w piersi, nie mógł zaczerpnąć tchu. Zamrugał, jakby chciał przywrócić ostrość widzenia, i zadrżały pod nim kolana. Siłą woli zmusił odporne ciało, by cofnęło się o krok, potem o następny. Powoli uchodził przed widokiem, jaki go powitał. Nie dalej jak o dwadzieścia stóp od niego stały trzy kobiety o oszalamiającej urodzie.

Przyodziane w długie, białe suknie, które wlokły się za nimi po ziemi, uśmiechały się zalotnym skrzywieniem pełnych warg i wyciągały ku niemu ramiona, poruszając się z chwiejnym, nieziemskim wdziękiem. Mark z trudem chwycił powietrze, lewą ręką przeciągnął po włosach. „Mój Boże” - szepnął, niezdolny zrobić już ani kroku wstecz. Zachwiał się na nogach i prawą ręką sięgnął do najbliższego pnia, by się podeprzeć. Był pewien, że gdyby mógł zobaczyć ich stopy, ujrzalby na ich miejscu ptasie szpony lub zwierzęce kopyta, bo w ten właśnie sposób przedstawiały je legendy. Miał bowiem przed sobą legendę wcieloną w życie: Białe Panny. Ogarnął go korzenno-kwiatowy zapach, a w okolicach żołądka poczuł nagłe szarpnięcie podniecenia. Gdy lędźwie wzbierały żądzą, w głowie zakręciło mu się od gwałtownego pragnienia, by ruszyć w ich stronę. Całym jego ciałem wstrząsał dreszcz pożądania tak potężny, że czuł się tak, jakby żelazna obręcz ścisnęła mu pierś - nie mógł oddychać. Miał wrażenie, że powietrze wypełniło się duszną, gorącą wilgocią, jak w upalne sierpniowe noce w Nowym Orleanie, kiedy nie usłyszysz choćby najlżejszego powiewu wiatru. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu, a prawą rękę przycisnął do pnia tak mocno, że szorstka kora przebiła skórę. Ból, jaki przy tym odczuł, pozwolił mu zachować zdrowe zmysły. Ten ból w ręce był czymś realnym.

Jego myśli wirowały. Próbował się poruszyć, lecz był jak sparaliżowany ze strachu i zdumienia. Znał baśń o Białych Pannach i wiedział, że ich objęcia przynoszą śmierć. Zebrawszy wszystkie siły, oderwał rękę od pnia i trzasnął nią z całej siły o szorstką korę, rozdierając skórę na boku dłoni. Pieczenie otartego naskórka przebiło się przez gorącą falę pożądania, pozwalając mu odzyskać na chwilę jasność myślenia. Z całej siły próbował się cofnąć. Przypomniawszy sobie strzęp podania, a wraz z nim i modlitwę, która miała jakoby chronić przed Białymi Pannami. Ledwie mogąc poruszać ustami, zaczął szeptać starogermańskie słowa.

Po nieziemsko urodziwych obliczach Panien przemknął wyraz żalu. Ta w środku posmutniała, podczas gdy dwie pozostałe odwróciły się i zniknęły, jakby przeszły przez niewidzialne drzwi do innego świata. Ta smutna przybliżała się dalej, a jej półprzejrysta biała szata przylgnęła do jej ciała, kusząco uwypuklając każdy szczegół. Przez cieniutką gazę widać było sterczące sutki. Wilgotne, nabrzmiące pożądaniem usta obiecywały zmysłowe rozkosze ponad ludzkie wyobrażenie. Mark nieomal krzyknął, rozdarty między namiętnością a strachem. Z wyjątkiem stóp, zakrytych przez suknię, kobieta wydawała się wprost idealna, i to właśnie ta jej doskonałość była tak przerażająca, bo żadna ludzka istota nie mogła mieć w sobie tyle piękna. Ten, kto pozna żar jej uścisków, pozna rozkosz nie do wytrzymania. Miłością zabija. Gdzieś w odległym zakamarku umysłu Mark pomyślał, że dosłownie zarypie go na śmierć. Jego zmysły tknęły delikatny, wilgotny zapach - nikły korzenno-kwiatowy aromat, z domieszką czegoś ostrzejszego, co uderzało jednoznacznym przekazem wprost w odpowiednie ośrodki jego mózgu. Mgliście przyszły mu na myśl feromony. Stłumił w sobie niemal nieprzetarte pragnienie, by zbliżyć się do niej, i jeszcze raz uderzył dłonią o drzewo, tym razem zdzierając skórę do żywego mięsa. Wykorzystał ten ból jako tarczę. Wyteżając wolę, cofnął się jeszcze o krok i znów powtórzył wiekową niemiecką modlitwę. I zaraz odczuł zdwojony przyływ strachu, silny jak cios pięści, bo tym razem modlitwa nie wywarła na zjawie najmniejszego wrażenia. Zbliżyła się już na wyciągnięcie ręki, a on czuł, że chwieje się na nogach, kiedy wyciągnęła ku niemu ramiona. Miał poczucie, że jego umysł został ubezwłasnowolniony w ciele i może tylko przyglądać się bezsilnie, jak to ciało wymyka mu się spod kontroli. Uwięziony we własnej głowie, krzyknął z rozpacz.

Wtem Biała Panna obróciła się gwałtownie, bo w oddali dał się słyszeć głos rogu, a za nim pełen obłąkańczej uciechy śmiech. Noc rozdzwiewała się graniem myśliwskich rogów, a wśród drzew załomotały echa tętniących końskich kopyt. Kiedy zjawa zawahała się, Mark odczuł, że jej władza nad nim słabnie. Potem spojrzała na niego i natychmiast wybuchły w nim te same co poprzednio namiętności. Postąpiła o krok z dłonią wyciągniętą w jego stronę. Wtem tuż obok nich opadł z drzewa jakiś chłopiec lub niewysoki mężczyzna. Podniósł w górę rękę, kierując otwartą dłoń w stronę Białej Panny. Ta cofnęła się i w okamgnieniu zniknęła, jakby wyszła przez jakieś niewidzialne, boczne drzwiczki.

Mark nie wahał się ani chwili, tylko odwrócił się i wiał co sił, potykając się wśród ciemności - byle dalej od tego szaleństwa. Zaczepił nogą o korzeń i upadł. Próbował wstać, ale zdołał jedynie usiąść. Czuł się jak w gorączce, opuściły go siły. Z odgłosów wynikało, że jeźdźcy pędzą przez las w stronę miejsca, w którym się znajdował. Złapał za pień i dźwignął się z wysiłkiem na nogi, potem parę razy głęboko odetchnął, żeby wyklarować myśli.

Zmuszając się do spokoju, rozejrzał się dookoła. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Odgłosy jeźdźców za jego plecami stawały się coraz głośniejsze.

Mark odwrócił się w stronę, skąd dochodziły dźwięki, potem szybko cofnął się za pień, bo spomiędzy drzew wyskoczyły niezliczone maleńkie figurki. Przez mrok mknęły dziesiątki świecących istotek, nie większych od wróbla, niektóre wielkości owadów. Uderzenia malutkich skrzydełek wygrywały niemal hipnotyczną muzykę, kontrapunkt do łomotu krwi w skroniach Marka. Jedno ze stworzeń śmignęło tuż obok jego drzewa, na moment dobrze widoczne - była to maleńka kobieta, nie większa od kanarka, naga, złotowłosa, z tyłu dostrzegł zamazane w ruchu skrzydełka, a wszystko to razem skąpane w obłoczku niebieskozielonego światła. Po ziemi przemykały inne małe postaci - mniejsze od ludzi, lecz większe od uskrzydłych istotek - skacząc jak polne koniki. Mark poczuł, że zdrowy rozsądek gdzieś mu się wymyka, kiedy tak przyglądał się malutkim mężczyznom w czerwono-zielonych kubraczkach i nie większym od nich kobietom w sukniach z pajęczyny i światła. Poczuł na twarzy spływające łzy i poznał, co to strach. Zastanawiał się, czy nie popada w obłąd, bo stworzenia te nie miały prawa istnieć, a przecież były aż nadto realne. Tylko że utrzymane w dziwnej kolorystyce, jakby ukształtowała je jakaś odmienna natura, która wymagała, aby żywe tkanki świeciły samoistnym światłem, ponieważ panujący dookoła mrok wcale ich nie skrywał. Kiedy przelatywały w pędzie, odbijały się ostro od panujących dookoła ciemności, widoczne w każdym najmniejszym szczególe, jakby na każde z tych stworzeń padał wieczysty promień miękkiego światła.

Łomot rozbijających poszycie kopyt obwieścił zbliżanie się kolejnego zjawiska, które natychmiast przypuściło atak na zdrowe zmysły Marka. Pędzili ku niemu jeźdźcy o nieprawdopodobnym wprost wyglądzie. W gardle zerwał mu się krzyk. Nieoczekiwanie poczuł na ustach czyjąś tłumiącą niewczesny okrzyk dłoni, a przed nim znów pojawił się tamten młodzian. Złapał Marka w zdumiewająco silny uchwyt i powłókł za drzewo, gdzie przycisnął go płasko do pnia i zasłonił własnym ciałem przed oczyma jeźdźców. Mark tkwił w uścisku potężnym jak imadło, przyciśnięty mocno do drzewa, czując na sobie napór ciała młodzika. Otoczył go ten sam zapach korzeni i polnych kwiatów, lecz tym razem efekt, jaki wywoływał, był nie tyle erotyczno-odurzający, co raczej trzeźwiący. Las rozbrzmiewał echem przesuających się obok jak burza jeźdźców, którzy najwyraźniej nie dostrzegli Marka ani tego, który go osłaniał. Markowi pozostało tylko dziwić się, jak mogli nie zauważyć przyciśniętej do drzewa pary, skoro konie przebiegły od nich w odległości ręki. Zdołał dojrzeć przelotnie niezmiernie piękne postacie, pędzące obok niego na koniach niepodobnych do żadnych, jakie widywał w swoim życiu - dziwnie wdzięcznych stworzeniach o płonących



oczach - które w swym biegu zdawały się niemal unosić w powietrzu, tak płynnie się poruszały. Sierść miały nieprawdopodobnie białą, koloru rozjarzonego śniegu, po którym tańczą lodowobłękitne rozbłyski światła, a na tle mroku ich rozwiane grzywy i wzniesione ogony zdawało się przenikać złote i srebrne światło. Jeźdźcy nosili zbroje dziwnej barwy i kroju, przepięknie, lecz jakby trochę niewłaściwie zaprojektowane. Zdobne hełmy przystrojono sterczącymi ozdobnikami, które raczej ściągnęłyby na hełm ostrze miecza, niż spowodowały jego ześlizgnięcie: na jednym widniały orle skrzydła z kości słoniowej, na drugim hebanowe bycze rogi, a na trzecim jelenie poroże z czystego złota. Hełmy oraz długie włócznie i smukłe lance, które trzymali w dłoniach, przywykły najwyraźniej do smagających je w pędzie gałęzi drzew. Panczerze były żłobione w rowki, zdobne wolutami, a nagolenniki, łańcuch i kaftan wyglądały raczej na ozdoby niż osłony. Niemniej były to postacie budzące grozę, a na Marku ich widok wywarł wstrząsające wrażenie.

Zniknęli w lesie, lecz siła przyciskającego go do drzewa chwytu nie osłabła. Od góry dał się słyszeć hałas, jakby coś przedzierało się wśród gałęzi ze wściekłym pośpiechem, na próżno usiłując dotrzymać kroku jeźdźcom. Przemykało po konarach jak małpa, huśtając się nad głowami stojących. Mark odczuł przez chwilę obecność czegoś niebezpiecznego i na wskroś złego, a wtedy jego strach jeszcze się pogłębił. Potem ucisk na piersi zelżał i młodzian odstąpił.

Mark osunął się z wolna na ziemię, bo osłabłe kolana nie były w stanie utrzymać jego ciężaru. Oparł się o pień drzewa i otarł brwi. Poczul, że jego ręka ocieka wilgocią, nie wiedział jednak, czy to od krwi, czy potu.

Zmusił się do wykonania kilku powolnych wdechów, potem przyjrzał się swemu wybawicielowi. Był to chłopak, nastolatek pasujący do opisu napastnika, który skrzywdził Gabbie. Mark podniósł wzrok na twarz chłopca i przez chwilę studiował ją uważnie. I wtedy dopiero się zorientował. W obliczu, które spoglądało na niego wśród mroku, nie było nic młodzieńczego. W tych oczach odbijały się wieki. Chłopiec odezwał się cicho:

- Dziś w nocy jeżdżą tu Głupiec i jego myśliwcy. Kogo zobaczą, ten jest zgubiony.

Głosem przypominającym skrzeknięcie Mark ledwie zdołał wykrztusić:

- To ty...

- Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz - przerwał mu chłopiec, przybierając na twarz maskę surowości. Odezwał się cicho: - Nie wszystko zostało przed tobą odkryte, Marku Blackman. Wiedz, że to, co się zdarzyło, dokonane zostało rękoma innymi niż moje.- Jego twarz nieco złagodniała. - A zdarzyło się tylko dlatego, że pragnienia dziewczyny przyciągnęły jego uwagę. - Młodzieniec zmrużył oczy, a mimo mroku Mark dojrzał w nich

jakieś niebieskawe, zaczarowane światełko. - Służę komu innemu, a ten ktoś pragnie zapobiec krzywdzie dziewczyny i jej podobnym, tak więc staje się waszym dobroczyńcą. - Niemal z roztargnieniem dodał: - Później może dowiesz się wszystkiego. - Lecz po chwili twarz wykrzywił mu złośliwy uśmiech. - A może i nie. Teraz jesteś moim dłużnikiem, strażniku opowieści. Zapomnij. - Z porozumiewawczym mrugnięciem wyskoczył w górę w stronę jakiejś gałęzi i zniknął. Mark skulił się na ziemi, objąwszy się ramionami dla obrony przed chłodem, jaki czuł w duszy. Po policzkach spływały mu łzy - płakał bez skrępowania. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął stamtąd małą dyktafon. Wcisnął guzik zapisu i zaczął przemawiać do czułego mikrofonu z boku urządzenia, próbując narzucić jakiś porządek oszalałym scenom, jakich był świadkiem. Ledwie doń dotarło, że usmarował dyktafon krwią, tyle wysiłku sprawiało mu mówienie. Niełatwe było to zadanie, gdyż mimo całej jego zawodowej dyscypliny i doświadczenia, głos rwał mu się i łamał. Od czasu do czasu zmuszony był przerwać, kiedy wstrząsały nim gwałtowne łkania, a pierś ścisnął lodowaty ból. Przekonał się też, że obrazy, tak wyraźnie wryte w jego pamięci, z upływem czasu zaczynają się rozmazywać, z każdą kolejną chwilą stają się coraz mniej rozpoznawalne. Mark przywoływał pośpiesznie każdy detal, lecz w tym pośpiechu jedno nie zeszło ani odrobinę. Po raz pierwszy w całym swoim życiu Mark był naprawdę przerażony.

Gabbie podniosła wzrok, kiedy do kuchni weszli Mark i Gary. Jedno spojrzenie na Marka wystarczyło, by wiedzieć, iż coś jest nie tak. Na czole miał brązową smugę, która wyglądała na zaschlą krew, jednak bardziej przekonywała o tym jego pobieląca, ściągnięta w nieruchomą maskę twarz. Inni także od razu to zauważyli, a Gloria zapytała:

- Dobrze się czujesz? - Odsunęła dla niego krzesło, a Mark opadł na nie ciężko. Pokiwał głową.

- Tak. Tylko że zrobiłem coś głupiego: oddaliłem się od Gary'ego. Nie macie pojęcia, jak straszny potrafi być ten las, kiedy człowiek zgubi drogę w ciemnościach. - Zmusił się do uśmiechu. - Chyba jestem lekko wstrząśnięty. - Podniósł w górę dłoń. - Przewróciłem się i skaleczyłem, kiedy próbowałem przytrzymać się drzewa.

- Fuj! Paskudne! - rzuciła, krzywiąc się Gabbie.

- To tylko zdarta skóra - odparł Mark. Gloria zerwała się i wybiegła, a po chwili pojawiła się z apteczką i zaczęła opatrywać skaleczenie.

- Powinieneś pójść z tym do lekarza - oznajmiła, kiedy skończyła.

- Dostałem zastrzyk przeciwężcowy niecałe dwa tygodnie temu. Nic mi nie będzie.

- Chcesz drinka? - zaproponował Phil.

Mark odmownie potrząsnął głową.

- Chyba powinniśmy się zbierać, skoro jest już policja.

To właśnie dwóch policjantów znalazło Marka siedzącego na ziemi. Gary'ego przyciągnęło do nich światło latarek. Doprowadził Marka z powrotem na farmę. Policjanci wciąż jeszcze szukali podejrzanego, jednak nie wykazywali zbyt wiele optymizmu co do wyników tych poszukiwań. Powiedzieli także bez ogródek, co sądzą o tym, że Mark i Gary próbowali na własną rękę ścigać w ciemności potencjalnie groźnego przestępcę.

Gary życzył wszystkim dobrej nocy, podczas gdy Mark nie odezwał się ani słowem. Wyglądało to tak, jakby starał się na czymś skoncentrować, lecz jako że sprawiał wrażenie mocno wstrząśniętego, wszyscy pojęli, że jest w kiepskim stanie i nikt nie wziął mu tego za złe. Kiedy obaj mężczyźni dochodzili do samochodu, Mark wyjął z kieszeni dyktafon i przekazał Gary'emu.

- Chcę, żebyś jutro mi to puścił, zanim się obudzę i wstanę z łóżka. - Pomyślał chwilę i dodał: - Włącz przy tym nagrywanie na innym magnetofonie, dobrze?

- Przyszło ci do głowy, że dzieje się tu coś, co potrafi pojąć tylko twoja podświadomość, tak? - dopytywał się Gary.

- Coś w tym rodzaju, ale muszę się przespać, żeby ten komputer - postukał się w głowę - mógł nad tym popracować.

Gary uruchomił silnik, potem zapytał:

- Nic ci nie jest?

- Nic. Pozbieram się - odparł cicho Mark.

- Co tam się wydarzyło? Dało ci niezłe popalić. - Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, więc po chwili dodał: - Wydawało mi się, że słyszałem... bo ja wiem? To brzmiało jak tętent koni. I do tego jakaś muzyka. Co się stało?

Mark już miał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Po chwili odparł:

- Nie wiem, czy potrafię to opisać. Teraz nic już do mnie nie dociera. Powiem ci jutro, kiedy puścisz mi tę taśmę.

Gary za dobrze znał Marka, żeby się z nim kłócić. Wiedział, że opowie mu wszystko we właściwym czasie. Z westchnieniem rezygnacji wrzucił bieg i oddalił się od domu Hastingsów.

Gary popatrzył na leżącego szefa i przyjaciela. Mark oddychał powoli i równomiernie, lecz jego gałki oczne poruszały się pod powiekami. Był w fazie REM. Śnił właśnie, a więc był szczególnie podatny na sugestię i zdolny przypomnieć sobie rzeczy zagrzebane głęboko w pamięci. Korzystali z tej metody już trzy razy i zawsze osiągnęli bardzo interesujące wyniki.

Gary przed pójściem do łóżka wysłuchał taśmy, czego zresztą pożałował, bo podniecił jedynie własną ciekawość i popadł w taki niepokój, że nie mógł zasnąć aż do rana i siedział potem w kuchni, pijąc kawę za kawą. Zdecydował, że pozwoli Markowi spać prawie do tej pory, o której zwykle się budził - to jest około ósmej. Dochodziła teraz za kwadrans ósma. Gary podkraść się cichutko do łóżka Marka i przyklęknął. Wcisnął guzik nagrywania na jednym z przenośnych magnetofonów, upewniwszy się najpierw, że nagrywa i że mikrofon jest nakierowany na Marka. Cichutko, tak żeby go nie obudzić, Gary odegrał mu zawartość kasety. Przyglądał się brązowej smudze na małym urządzeniu, kiedy popłynął z niego głos Marka, mówiący tonem napiętym ze strachu, jakiego Gary nie słyszał jeszcze nigdy przedtem. W ciągu ostatnich lat bywali w najbardziej niesamowitych sytuacjach, jakie ludzie potrafią sobie wyobrazić, a Mark nigdy nie okazywał nawet najmniejszych oznak lęku.

- Ciemny las w nocy. Jakiś głos przedrzeźnia i woła mnie po imieniu. Trzy kobiety w bieli, cholerne Białe Panny. Boże, o Boże. - Dało się słyszeć wyraźne łkanie, potem pociąganie nosem. - Światła i malutkie postacie... O Boże. To wróżki! Małe, cholerne wróżki. Malutkie, nagie ludziki ze skrzydełkami. O Chryste. Karzełki i skrzaty skaczą obok mnie. - Znów łkanie. - Potem jeźdźcy. O Boże, to Dzikie Polowanie. Potem chłopiec, który pachnie korzeniami. Otaczają nas jeźdźcy w zbrojach. Chłopiec zasłania mnie przed nimi. O mój Boże. O mój Boże. - Głos przycichł, kiedy Mark włożył urządzenie do kieszeni. Przez długi czas nie będzie słyhać żadnego dźwięku - Gary zdążył się już o tym przekonać - a potem, tuż przed końcem taśmy, zabrzmiał odległy, stłumiony głos policjanta i odpowiedź Marka, który wtedy już w znacznym stopniu odzyskał panowanie nad sobą. Wymiana zdań urywa się, kiedy taśma dobiegła końca. Gary wyłączył dyktafon, gdyż wiedział, że Marka nie interesuje ta część nagrania.

Kiedy cofnął taśmę i puścił jeszcze raz, zaczął przyglądać się twarzy śpiącego. Za drugim słuchaniem ruchy gałek ocznych stały się o wiele wyraźniejsze, a twarz zaczęła pokrywać się cienką warstewką potu. Oddech stał się płytszy i znacznie przyspieszył tempa. Potem Mark zaczął wydawać z siebie jakieś dźwięki, aż wreszcie krzyknął w nieartykułowany sposób i usiadł, z szeroko otwartymi oczyma, zupełnie rozbudzony.

Zamrugnął, złapał za magnetofon, jaki przygotował dla niego Gary, i zaczął mówić:

- Była... noc. Szukaliśmy w lesie napastnika Gabbie. Zawołałem cię po imieniu, Gary, i ktoś zaczął mnie przedrzeźniać, potem zdawało mi się, że słyszę twoje wołanie, ale głos dochodził ze wszystkich stron, jakby ktoś cię naśladował. Potem odwróciłem się i zobaczyłem trzy *Weissen Frauen*, które przyzywały mnie do siebie. Kiedy próbowałem się wyrwać spod ich czaru, dobiegł mnie odgłos końskich kopyt, a pomiędzy drzew... - W jego oczach widać było strach. - ...wyroiliły się setki małych stworzeń, świecących, które mijaly mnie, fruując, biegnąc i skacząc. Za nimi pędzili jeźdźcy. To było Dzikie Polowanie. Potem jakiś chłopak, nastolatek, wydaje mi się, że ten sam, który próbował zgwałcić Gabbie, zeskoczył z drzewa i zasłonił mnie przed nimi. Kiedy odjechali, powiedział: „Dziś w nocy jeździ Głupiec i jego myśliwcy. Kogo dostrzegą, ten jest zgubiony”. Potem powiedział, że to nie on... i chyba coś o tym, dlaczego dobrał się do Gabbie... że komuś służył, a teraz już nie... coś mniej więcej takiego... no, a potem... uśmiechnął się i powiedział: „Teraz jesteś moim dłużnikiem, strażniku opowieści. Zapomnij”. Potem zniknął. - Mark przetarł ręką twarz. - To wszystko, co pamiętam.

Gary zawahał się, a potem zapytał:

- Czy widziałeś jeźdźców?

Mark wstał z łóżka i wkładał szlafrok, więc Gary wycelował w niego mikrofon magnetofonu.

- Tak. Nie byli ludźmi i nigdy w życiu nie widziałem takich koni jak te, na których jeździli. - Opisał pokrótce dziwne zbroje i wygląd zwierząt.

- Czy przywódca miał głowę jelenia? - dopytywał się Gary, a Mark zamrugnął zdumiony. - Wedle niektórych legend przywódca Dzikiego Polowania ma głowę jelenia.

Mark potrząsnął głową.

- Widziałem jednego, może to i przywódca, miał na hełmie jelenie rogi. Może to o to chodzi. - Mark znów jakby zapadł się w siebie. - Muszę się umyć. Pogadamy, jak wyjdę spod prysznic.

Mark ruszył powoli do łazienki, podczas gdy Gary pobiegł na dół, żeby zaparzyć świeżej kawy. Kiedy była gotowa, zabrał dzbanek i dwa kubki do pokoju Marka. Kiedy tam wszedł, Mark wyszedł już spod prysznic i właśnie się ubierał. Wziął oferowany kubek kawy i napił się. Po chwili rzekł:

- Co za sen. Chyba za dużo się naczytałem tych różności, które wykopaliśmy u Kesslera. Może potrzebuję wakacji.

Gary zamrugnął ze zdumienia.

- Co takiego?

- Mówię, że chyba się przepracowałem. Nie uwierzysz, co mi się śniło zeszłej nocy.

Gary podszedł do dyktafonu, z którego Mark korzystał w lesie, przewinął taśmę i dał mu posłuchać nagrania. Mark po tym, jak usłyszał własny głos, przerwał ubieranie i zastygł z ręką do połowy wsuniętą w rękaw. Kiedy nagranie dobiegło końca, powoli dokończył się ubierać. Gdy usiadł, by założyć ciężkie trapery, rzucił:

- Sprawiają, że o wszystkim zapominasz.

- Kto? - spytał Gary.

- Wróżki czy elfy, kimkolwiek czy czymkolwiek są. To dlatego Gabbie wykazywała tylko część reakcji, jakie występują u ofiar gwałtu. Ona zapomina o całym zdarzeniu, dopóki ktoś jej o nim nie przypomni. - Wsparł łokcie na kolanach i zapatrzył się we własne buty. - Kiedy wyszedłem spod prysznic, to wszystko już wydawało mi się snem. Zdawało mi się, że skaleczyłem się w rękę, kiedy goniliśmy po lesie tego chłopaka. I że go nie znaleźliśmy. - Przeciągnął po twarzy zdrową ręką. - To wszystko ma swój sens.

- To dobrze - rzekł Gary, przysiadając na krześle przy toalecie. - W takim razie mi go wyjaśnij.

- Kimkolwiek są, potrafią sprawiać, że ludzie zapominają o spotkaniu z nimi. Czy nie rozumiesz, że to właśnie dlatego uważa ich się za istoty mityczne - bo nikt nie może zapamiętać, że ich naprawdę widział. Zawsze udawało nam się znaleźć tylko jakieś fragmenty, urwane opowieści, strzępki. A biorąc pod uwagę, jak przesądne były poprzednie wieki, ludzie i tak woleli nie zadawać zbyt wielu pytań. Wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś średniowiecznym chłopem i nagle ktoś wpada pędem do twojej chaty, bełkocząc coś o małych świecących stworzeniach, a następnego dnia nic już z tego nie pamięta. Tak właśnie rodzą się legendy.

Gary włączył nagrywanie i zapytał:

- Co pamiętasz z wczorajszej nocy?

Mark zamyślił się.

- Ruszyliśmy na poszukiwanie napastnika Gabbie. Potem się rozdzieliliśmy. - Zmarszczył brwi. - Wydaje mi się... wydaje mi się, że kogoś widziałem, może nawet więcej niż jedną osobę. Próbowałem za nią iść. Ja... wydaje mi się... Tam był ktoś jeszcze. Był jakiś hałas. Może to wiatr. Potem zostałem sam i pojawili się policjanci razem z tobą.

Gary cofnął taśmę i puścił mu jeszcze raz poprzednie nagranie. Mark wysłuchał i pobrał gwałtownie na twarzy.

- Musimy porobić z tego kilka kopii. Nie chcę ryzykować, że utracę jedyną rzecz,

która potrafi mi przypomnieć, co widziałem. Potem mnie zahipnotyzujesz i tak uwarunkujesz, żebym już nie zapomniał. A ja to samo zrobię z tobą. Może to się na nic nie przyda, ale na pewno nie zaszkodzi. - Popatrzył na Gary'ego. - Ty i ja poświęcimy teraz cały swój czas na to, żeby się dowiedzieć wszystkiego o Kesslerze w czasach, zanim przybył do Ameryki i pojawił się w White Horse. Będziemy musieli też dowiedzieć się czegoś o tym Waylandzie Smith. A także poszperać na strychu i w piwnicy Hastingsów za... sam nie wiem za czym. - Potarł się po twarzy, tak jakby wcale nie spał. - W tym wszystkim musi być jakiś sens.

- Mark, co tu się, do cholery, wyrabia?

- Jeśli zatrudnisz na chwilę tę swoją bujną wyobraźnię, nie będziesz miał kłopotu z dostrzeżeniem tego, co oczywiste. To, co się stało w Niemczech na przełomie wieków, dzieje się znowu tu, w okręgu William Pitt, w stanie Nowy Jork.

Gary uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli się nie mylisz, to masz na koncie odkrycie stulecia.

- Nawet nie chcę myśleć o wszystkich ewentualnych przesłankach. Chcę tylko znaleźć coś, co pozwoli nam uporządkować dotychczasowe doświadczenia, a sądzę, że odpowiedzi może nam dostarczyć Fredrick Kessler. Czy mamy do czynienia z duchami, obcymi z planety X czy wrózkami, kluczem jest Kessler...

Gary otworzył szeroko oczy.

- Ten klucz! Całkiem o nim zapomniałem.

- Musimy rozejrzeć się tam trochę uważniej i znaleźć zamek, do którego pasuje ten klucz.

Gary wstał.

- Wiesz, jestem tym wszystkim trochę podekscytowany. To bardzo dziwne.

Mark skończył zawiązywać buty.

- Pamiętaj tylko, co wydarzyło się w Niemczech.

- Masz na myśli wszystkie te pogańskie obrzędy i temu podobne?

- Mam na myśli to, że zginęło tam wielu ludzi.

Gary natychmiast spowaźniał.

- Tak, rozumiem teraz, co chcesz powiedzieć. - Nie dodawszy ani słowa więcej, zszedł po schodach.



## WRZESIEŃ

1

- Mark!

Mark odsunął się z krzesłem od biurka Phila, nie troszcząc się nawet o zachowanie tego, co zapisał, tak nagłący wydał mu się ton głosu Gabbie.

Wszedł do kuchni i zobaczył, że dziewczyna pomaga Jackowi usiąść przy stole. Po twarzy chłopaka spływały strużki potu, a całkiem przemoknięta koszula lepiała mu się do ciała. Dzień był parny i gorący, więc miałby prawo się spocić, jednak to, co Mark zobaczył, wykraczało daleko poza normę. Mimo że Gabbie pracowała razem z nim przy stawianiu płotu, jej twarz pokrywała ledwie delikatna warstewka wilgoci.

- Co się dzieje? - zapytał Mark.

- Jack jest chory, ale nie chce iść do domu - odparła tonem połajanki, lecz w gruncie rzeczy głosem pełnym niepokoju, spoglądając na chłopaka.

Jack próbował zbagatelizować swój stan.

- Nic mi nie jest. To tylko jakiś wirus. Dajcie mi kilka minut na złapanie oddechu i możemy wracać do roboty.

Mark wyciągnął ku niemu rękę, mówiąc:

- Słuchaj, jeśli jesteś chory, to nie... - Urwał gwałtownie, kiedy dotknął dłonią ramienia Jacka. Młody człowiek krzyknął z bólu. Gabbie zakryła dłonią usta i wzdrygnęła się z przestachu na ten nieoczekiwany okrzyk.

- Jack, co się stało? - zapytała, patrząc na niego oczyma pełnymi troski.

Mark przyklęknął.

- Daj mi obejrzeć ten bark.

Jack kiwnął słabo głową i pozwolił, by Mark rozpiął mu koszulę. Ten grzebał się z tym niezgrabnie przez dłuższą chwilę, bo zawadzała mu obandażowana ręka. W końcu poodpinał guziki i delikatnie ściągnął koszulę z ramienia.

- O Chryste! - rzuciła Gabbie, spoglądając na bark Jacka. Był cały zaogniony, a staw pokrywała duża opuchlizna. Jej środek przybrał już fioletową barwę, podczas gdy brzegi były ogniście czerwone.

- To żaden wirus. To zabójczy stan zapalny. Musimy cię zaraz odwieźć do szpitala. Ja prowadzę. To mi wygląda na najprostszą drogę do zakażenia krwi.

Jack spojrział na własne ramię, starając się skupić na nim wzrok.

- Jeszcze dziś rano nic tu nie było - odparł słabym głosem.

- No cóż, teraz już jest - odparł Mark, wyławiając z kieszeni kluczyki do samochodu.

Wręczył je Gabbie, mówiąc: - Uruchom silnik, a ja tymczasem wyłączę komputer twojego taty. Podjedź od tyłu. Pomogę Jackowi wyjść. - Gabbie popędziła do frontowych drzwi, a Mark delikatnie okrył koszulą rozogniony bark. W ciągu kilku minut komputer był wyłączony, drzwi pozamykane, a samochód Marka zjeżdżał na drogę wiodącą do szpitala w Pittsville.

Młody lekarz na ostrym dyżurze zbadał ramię, dotykając go lekko, ale nawet ten delikatny dotyk sprawił, że Jack skrzywił się i stęknął z bólu. Gabbie stała tuż obok niego, podczas gdy Mark przyglądał się wszystkiemu przez szklane drzwi wiodące na oddział.

- Myślę, że powinna pani poczekać na zewnątrz - zwrócił się lekarz do Gabbie. - To nie będzie przyjemny widok.

Gabbie nic nie odpowiedziała, pokręciła tylko przecząco głową.

Lekarz poprosił o nowokainę i zrobił Jackowi zastrzyk w zdrową skórę tuż obok opuchlizny. Ból wywołany wbijaniem igły sprawił, że Jack złapał kurczowo za krawędź stołu do badań, lecz nie odezwał się ani słowem.

- To ramię jest okropnie gorące. Zastrzyk powinien już za chwilę złagodzić ból.

Lekarz odczekał chwilę, potem dotknął skóry niedaleko miejsca, gdzie wbił igłę. Kiedy Jack nie zareagował, zrobił mu drugi zastrzyk, bliżej środka opuchlizny. Wyczekując, aż całe ramię się znieczuli, powiedział:

- Naprawdę nie powinien był pan pozwolić, żeby sprawy zaszły aż tak daleko, panie Cole. Tydzień temu to jeszcze mógł być zwykły czyrak, ale teraz to pierwszorzędny stan zapalny. Znalazł się pan o włos od posocznicy.

- Tydzień temu nie miałem czyraka - odparł Jack, któremu w miarę ustępowania bólu na twarz powracały kolory. - Panie doktorze, jeszcze dziś rano nie miałem żadnego czyraka.

Doktor popatrzył na niego sceptycznie.

- Nie będę się z panem sprzeczał, panie Cole, ale coś takiego nie mogło się rozwinąć w ciągu paru godzin. Czy nie odczuwał pan ostatnio żadnych dolegliwości w tym ramieniu?

Jack potrząsnął przecząco głową, ale Gabbie wtrąciła się, mówiąc:

- Rozcierałeś je przedwczoraj wieczorem, po tym biegu przez las, pamiętasz? A wczoraj przez cały dzień tak jakoś dziwnie nim poruszałeś, jakby ci drętwiało. Widziałam.

- Myślałem, że nadwreżyłem je sobie, kiedy skakałem przez płot. - Zastanowił się i dodał: - Tak, wczoraj mi trochę dokuczało.

Lekarz tylko pokiwał głową, jakby Jack przyznał się właśnie do zaniedbania. Wziął skalpel i oświadczył:

- Jeżeli robi się panu słabo na widok krwi, proponuję, żeby patrzył pan teraz na tę swoją śliczną dziewczynę. - Rozciął skórę na środku opuchlizny, a stojąca obok pielęgniarka zaczęła usuwać płynącą krew. - O rany, ale paskudztwo. - Lekarz wsunął skalpel głębiej. - Gdybym wiedział, że ropa zalega tak głęboko, posłałbym pana na chirurgię. - Poprosił o

jeszcze jedno naczynie na usuwaną wydzielinę i kiwnął głową do pielęgniarki. Podeszła do nich inna siostra i wyprowadziła Gabbie na zewnątrz, po czym bez słowa położyli Jacka na stole. Lekarz kazał zrobić mu zastrzyk z antybiotyku, a sam nieprzerwanie usuwał z ramienia nagromadzoną ropę. Zagłębiał lancet w ciele, próbując ustalić źródło zakażenia i nagle rzucił:

- A to co? - Trzymając lancet w tym samym miejscu, poprosił o długi retraktor, żeby rozciągnąć nacięcie. Potem zaczął grzebać głęboko w ranie i wreszcie wyciągnął stamtąd mały biały obiekt.

- Chyba udało nam się znaleźć przyczynę, panie Cole. - Położył to coś na czystej zielonej szmatce i oświadczył: - To odłamek kości. To on wywołał stan zapalny.

- Nigdy nie miałem żadnych problemów z ramieniem, panie doktorze - odparł słabo Jack. - Parę lat temu potrzaskałem sobie nogę, więc nie dziwiłbym się, gdybym tam miał jakiś odłamek kości. - Kiedy lekarz oczyszczał ranę, Jack opowiedział mu o swoim wypadku na żaglach.

Po opatrzeniu rany lekarz kazał Jackowi wstąpić do apteki i odebrać stamtąd tygodniowy zapas penicyliny, potem polecił uważać na siebie przez parę dni. Powiedział, że ramię powinien jutro, a potem za tydzień obejrzeć lekarz, Jack odparł zaś, że zgłosi się do doktora Lathama.

Gabbie i Mark wyprowadzili go na zewnątrz, a lekarz rozejrzał się po sprzątej sali przyjęć. Podeszedł do stolika z narzędziami, żeby przyjrzeć się wyciągniętemu fragmentowi kości, ale przekonał się, że szmatki, na której go położył, już tam nie ma. Rozejrzawszy się dookoła, już miał skomentować ten fakt, gdy nagle przeszkodził mu dźwięk syreny. Przy wejściu na ostry dyżur zatrzymała się właśnie karetka. Lekarz szybko zapomniał o dziwnym fragmencie Jackowej kości, kiedy ściągał brudne rękawice i podchodził do umywalki, żeby wyszorować ręce.

Mark siedział cicho za własnym biurkiem. Gary wyszedł dziś na kolację z Ellen, więc Mark spodziewał się, że nie zobaczy już swego asystenta aż do rana. Możliwe, że Gary przenocuje dziś u Ellen, bo zwykle korzystali z większej swobody, jaką zapewniało jej mieszkanie. Mark wpatrywał się w milczeniu w kawałek zielonej szmatki, który podwędził z ręcznie na ostrym dyżurze. Szmatka ubrudzona była teraz brązową plamką Jackowej krwi, a na tej plamce leżał maleńki przedmiot.

Mark wpatrywał się w ten przedmiot już od ponad godziny. Westchnął teraz i odsunął szufladę biurka. Rzadko sięgał po fajkę, a zapalenie tytoniu w gabinecie oznaczało, że jest czymś głęboko zatroskany. Gdyby teraz wkroczył tu Gary, wiedziałby od razu, że coś jest nie tak. Tytoń był wyschnięty i zleżały, ale Mark i tak nabił nim cybuch. Wiedział, że rozpali się za mocno i będzie parzył wargi, lecz sam ten rytuał i zapach działały na niego uspokajająco, a w tej chwili bardzo tego potrzebował.

Kiedy fajka zaczęła się palić, Mark wstał i nalał sobie brandy z prawie pustej karafki z barku. Musi zapamiętać, żeby dokupić więcej w mieście albo przypomnieć Gary'emu, aby on to zrobił. Ostatnio pijali częściej, a była to oznaka stresu, bo obaj mieli zwyczaj pić tylko po długim i ciężkim dniu pracy.

Mark wrócił do biurka, odstawił szklaneczkę, a fajkę odłożył na rzadko używaną popielniczkę. Wziął do ręki małą lupę, którą otrzymał razem z pełnym wydaniem oksfordzkiego słownika języka angielskiego, i za jej pomocą przyjrzał się uważnie białemu fragmencikowi na ścierce.

To, co lekarz wziął za odłamek kości, było w rzeczywistości trójkątnym kawałkiem białego krzemienia, długim na jakieś trzy lub cztery milimetry. Tkwił on na końcu drewnianej drzazgi, której obecność umknęła lekarzowi z powodu wielkiej ilości ropy pokrywającej krzemień. Mark otworzył dolną szufladę i wyjął stamtąd skrzyneczkę z narzędziami, między którymi znajdowały się długa pinceta, jakiej używają filateliści, i dwie pary cienkich, okrągłych szczypiec.

Pincetą ostrożnie podniósł strzałkę ze ścierki, choć obandażowana ręka sprawiała mu przy tym wiele trudności, i podsunął pod lupę, żeby ją dokładnie obejrzeć ze wszystkich stron. Umysł z wielkim trudem godził się dopuścić do siebie oglądane zjawisko, a Mark w milczeniu szukał w głowie wyjaśnienia na to, skąd mógł się wziąć taki mały pocisk.

Rozparł się w fotelu i odłożył szkło. Mimochodem przełożył maleńką strzałkę na zdrową rękę, zauważając przy tym, że prawie nic nie waży.

Myślami wrócił do wydarzeń sprzed dwóch dni, próbując poukładać sobie fragmentaryczne i zaciemnione obrazy dziwnego spotkania w lesie. Przesłuchiwał obie taśmy z tuzin razy, obaj z Garym poddali się hipnozie, by o tym nie zapomnieć, ale nawet teraz, tuż po wysłuchaniu taśmy przekonywał się, że jego wspomnienia stają się coraz bardziej odległe, wypłowiałe, nienamacalne, jakby przypominał sobie jakiś niewyraźnie nakręcony film, a nie jeden z najbardziej przerażających momentów w swoim życiu. Jaka siła może tak zaciemnić myśli człowieka? - dumał. Czyżby Ciemność? - odpowiedział sobie w duchu, wiedząc, że to raczej gładki żarcik słowny zrodzony z frustracji, a nie ze zrozumienia sił, jakie wędrują po lesie.

Z zamyślenia wyrwało go nagle leciutkie ukłucie po wewnętrznej stronie lewej dłoni, porównywalne z ukąszeniem owada. Odruchowo szarpnął ręką, potem spojrzał w dół. Malutki grot strzałki tkwił teraz wbity w mięsień tuż pod kciukiem. Zdziwił się, w jaki sposób zdołał się nią ukłuć. Nie odczuwał niepokoju, gdyż ból był ledwie odczuwalny. Sięgnął po pincetę, żeby wyciągnąć strzałkę, i serce podskoczyło w nim ze strachu, gdy dostrzegł, jak maleńki pocisk znika pod skórą, jakby wessany przez jego własne ciało.

Siedział zupełnie oszołomiony. Zgiął i rozprostował palce. Coś uwierało go nieznacznie po wewnętrznej stronie dłoni, lecz poza tym nie czuł większego bólu. Wtem zrozumiał. Złapał za jeden z ostrych noży z pudła na biurku i zaciskając zęby, przeciął skórę w miejscu, gdzie zniknęła strzałka. Ból uderzył go jak gorąca fala, oczy zaszyły mu łzami, lecz wbijał nóż coraz głębiej. Krew płynęła obficie, więc trzymał rękę nad szpitalną ścierką. Szybko upuścił nóż i sięgnął po pincetę. Przycisnął krwawiącą ranę do materiału, żeby na moment oczyścić ją z zalewającej krwi. W nacięciu widział wyraźnie malutką strzałkę, zanurzył więc w nim szczypcę i złapał za drewniany koniec. Ignorując szok bólu, zamrugał gwałtownie, by strząsnąć łzy. Spływały mu po policzkach, kiedy wyrwał strzałkę z ręki i kładł ją na przesiąkniętej krwią szmatce.

Podniósł się i stwierdził, że drżą pod nim kolana. Pobiegł szybko do łazienki, żeby nie zachlapać podłogi, i tam opatrzył ranę. Gazowym tamponem zatamował krwawienie, po czym uniósł rękę powyżej serca, żeby przyspieszyć krzepnięcie. Następnie przyjrzał się zranieniu. To, co bolało jak amputacja, a krwawiło jak śmiertelna rana, okazało się w rzeczywistości rozcięciem mającym niewiele ponad cal długości i jakieś ćwierć cala głębokości. Zaaplikował na nie obficie neosporynę i zabandażował. Zagoi się bez konieczności zakładania szwów. Teraz bolały go obie ręce, lecz był to najmniejszy z trapiących go problemów.

Wrócił do biurka i podniósł malutką strzałkę, tym razem przezornie korzystając ze szczyptic. Z prawdziwym żalem sięgnął do swej gazowej zapalniczki i zapalił ją. Bez

wahania umieścił w płomieniu małe znalezione, patrząc, jak w jednej chwili płonie drewniany bełt, a krzemień czernieje. Po chwili roztała poczerńały grot między palcami. Zgodnie z jego przewidywaniem rozkruszył się jak bryłka sadzy.

Usiadł z powrotem w fotelu, a potem pociągnął długi łyk ze swej zapomnianej brandy. Widział właśnie, a nawet został zraniony przez najprawdziwszą strzałę elfów. Zniszczył dowód rzeczowy, ale nie potrzebował już żadnych dowodów. On sam czuł się przekonany, przekonywanie zaś innych nie wydawało mu się obecnie sprawą najważniejszej wagi. Wiedział teraz, co czai się między drzewami w lesie za domem Hastingsów.

Jack został zraniony przez jedno z tych małych, skaczących stworzeń, które poprzedzały Dzikie Polowanie. Zrozumiał też, dlaczego średniowieczne legendy twierdziły, że taki postrzał zawsze kończył się śmiercią. Ówczesni znachorzy nie byli w stanie wykryć tak małej broni, a stan zapalny wywiązywał się niezwykle szybko. Gdyby nie antybiotyki, Jack mógłby być już martwy.

Mark rozważył sobie to wszystko, potem wstał i zaczął krążyć energicznie po pokoju. Przez całe godziny jego umysł zmagał się z problemem, co zrobić dalej.

Przed nadejściem świtu jął wyciągać książki z półek otaczających biurko. Kiedy trzy godziny później przez frontowe drzwi wkroczył Gary, zastał swego pracodawcę przy biurku, zapracowanego po same uszy. Jedno krótkie spojrzenie wystarczyło, by Gary się domyślił, że Mark wcale się nie kładł, w powietrzu zaś wciąż jeszcze czuć było ostry zapach zastarzałego fajkowego dymu. Gary darował więc sobie kąśliwe uwagi i zapytał:

- Co jest?

Mark w roztargnieniu wskazał ręką na książki.

- Musimy wygrzebać coś niecoś z całej kupy śmiecia. - Podniósł wzrok na Gary'ego. - Tamtej nocy, kiedy wszyscy ganialiśmy po lesie, Jack został trafiony strzałą elfów.

Gary otworzył szeroko oczy i ze zdumienia aż przysiadł.

- Ach tak.

- Mówię poważnie. - Mark uniósł w górę lewą rękę. - Popełniłem błąd i położyłem sobie tę cholerną strzałkę na rękę, a ona sama z siebie wbiła mi się w ciało.

Gary już zaczynał coś mówić, lecz się wstrzymał. Popatrzył na Marka, jeszcze raz otworzył usta i ponownie je zamknął. W końcu potrząsnął tylko głową i zapytał:

- Kawy?

- Dobra myśl.

Gary wstał i skierował się do kuchni, a po drodze zapytał jeszcze:

- Co robimy?

- Wyszukujemy każdy możliwy opis tego, jak zachowują się wróżki, a także jak sobie z nimi radzić - rytuały, modlitwy, obyczaje, etykieta, wszystko. Kiedy skończymy, chcę mieć z tego gotowy podręcznik, jak postępować z wrózkami.

Gary stał oniemiały. Przez długi czas milczał, potem kolejny raz zaczął coś stękać i urwał, niezdolny wyartykułować swego zdumienia. W końcu powtórzył „Kawy” i ruszył do kuchni.



Gabbie dźwignęła kufer, lecz on tylko się zachwiał.

- Czekaj chwilę, to ciężkie - rzucił Jack.

Obszedł dokoła stertę gazet i stanął przy dziewczynie. Razem pchnęli, a ogromny kufer zaczął sunąć z wolna po podłodze, odsłaniając dolną część półki, którą dotąd przysłaniał.

Marka i Gary'ego nie widzieli tu już od prawie dwóch tygodni, od dnia, w którym Mark zabrał Jacka do szpitala. Mark zadzwonił, że akurat na coś natrafili, lecz wkrótce wrócić do pracy przy katalogowaniu. A znów wczoraj wieczorem zadzwonił Gary, informując ich, że zabiera Ellen na długi weekend do Nowego Jorku, bo w tym czasie Mark będzie w Buffalo, gdzie ma wygłosić wykład na uniwersytecie stanu Nowy Jork podczas jednego z tamtejszych piątkowych spotkań naukowych, którą to grzeczność obiecał im już kilka miesięcy temu. Żaden z nich nie wróci wcześniej niż w niedzielę w nocy.

Gloria doszła do wniosku, że ktoś powinien przynajmniej kontynuować wynoszenie na górę materiałów, które będzie katalogował Mark, i zagoniła do tej roboty Jacka i Gabbie. Przeszukali jak dotąd z tuzin starych kufrów, a ich zawartość, z grubsza posortowana, leżała teraz w oczekiwaniu na dalsze dyspozycje Marka. Jack przyklęknął i zaczął przeglądać tytuły.

- Niektóre potrafię odcyfrować, inne nie. Moja znajomość niemieckiego jest dość fragmentaryczna. - Wyciągnął ze stosu jedną książkę. - To chyba coś o fizyce, tak mi się wydaje.

Drzwi u szczytu otwały się i usłyszeli głos Glorii:

- Gabbie, przyjechał Tommy.

- Świetnie! - ucieszyła się Gabbie, po czym ruszyła w podskokach. - Chodź. Spodoba ci się ten facet. To nietuzinkowa postać.

Jack wytarł o dżinsy zakurzone ręce i ruszył za Gabbie po schodach. W holu Phil ścisnął właśnie rękę postawnemu mężczyźnie - co najmniej sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi na prawie dwumetrowej konstrukcji, o rudawobrązowych włosach zawadiacko zaczesanych do tyłu i rudej, niemal pomarańczowej brodzie.

Gabbie uściskała wielkoluda i zniosła żartobliwe klepięcie po tyłku.

- Tommy, jak miło cię widzieć.

Człowiek zwany Tommym ścisnął ją jak cytrynę.

- Gabrielle, jesteś taka śliczna, że chyba rzucę żonę i ucieknę z tobą.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Tommy, ty nie jesteś żonaty.

- Coś takiego? Czyżby Caroline już się ze mną rozwiodła? - odparł Tommy z udawanym zaskoczeniem.

- Owszem, jakieś pięć lat temu - odrzekła, biorąc go pod ramię.

- No, cały ja - odpowiedział z udanym żalem. - Ale tak trudno w dzisiejszych czasach nadażyć za zmianami żon. To by była czwarta, o ile się nie mylę. Gabbie, czy miałabyś ochotę zostać panią Raymond numer pięć? Masz najlepszą figurę i byłabyś najładniejsza z całej gromadki. Mógłbym ubierać cię w obcisłe suknie, obwieszać klejnotami i wszędzie się tobą chwalić.

Gabbie odmówiła ze śmiechem, natomiast Gloria pchnęła Tommy'ego w stronę salonu.

- Długo zostaniesz?

- Obawiam się, że po kolacji muszę zmykać - odparł, opadając ciężko w fotel. - Mam w planach dalszą podróż do Erie w Pensylwanii, jeśli umiecie to sobie wyobrazić. Moja przyrodnia siostra wydaje jutro za męża córkę, więc chciałem odbyć wszystkie podróże za jednym zamachem, by tak rzec. Przedsięwzięcie śmiało ponad wyobrażenie, wiem, jednak konieczne. Jeśli los pozwoli, wkrótce znajdę się znowu w swym maleńkim gniazdku na Manhattanie, nie ucierpiawszy zbytnio w podróży.

- W maleńkim gniazdku! - zaśmiała się Gabbie i wyjaśniła Jackowi. - Chodzi o penthaus wart spokojnie ze dwa miliony baksów.

- Tommy, to jest Jack Cole - wtrąciła Gloria. - Jack, ta dziwaczna postać to Tommy Raymond, mój były agent.

Dłoń Jacka zniknęła na chwilę w potężnej łapie Tommy'ego, który uniósł się przy tym z fotela.

- Jack Cole! To dobrze, miałem prosić Phila, żeby po ciebie zadzwonił, jeśli cię tu nie będzie. - Opadł z powrotem na siedzenie fotela.

Jack zrobił zaskoczoną minę. Nie wyobrażał sobie nawet, skąd eks-agent Glorii mógł w ogóle wiedzieć o jego istnieniu, a co dopiero - że chciałby się z nim spotkać. Spojrzał przelotnie na Gabbie i spostrzegł, że z widocznym na twarzy niepokojem dziewczyna potrząsa ostrzegawczo głową.

Ślepy na jej ostrzeżenia Tommy Raymond ciągnął dalej.

- Już dawno byłem winien wizytę tym przemiłym ludziom, a po zapoznaniu się z twoją pracą doszedłem do wniosku, że skoro tędy przejeżdżam, połączę interes z przyjemnością.

Jack był wyraźnie oszołomiony i mrugał jak wyrwana ze snu sowa.

- Po zapoznaniu się... z moją pracą? - Odwrócił się w stronę okna, a na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia i niezadowolenia.

- Tak - potwierdził Tommy. - Z tym fragmentem manuskryptu, jaki przysłał mi Phil.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na Phila, który jednak wyraźnie nic z tego nie rozumiał.

- Nie wysyłałem ci żadnych prac Jacka, Tommy.

Spojrzenia wszystkich przesunęły się więc z wolna na Gabbie. Ta stała, spoglądając na Jacka z widocznym poczuciem winy.

- Ee... W ostatniej klasie ogólniaka podrabiałam pozwolenia na późne powroty do bursy. Umieć całkiem nieźle sfalszować twój podpis, tato.

Jack był wyraźnie rozdrażniony.

- Wysłałaś mu moje rzeczy!

Gabbie natychmiast przeszła do kontrofensywy.

- Owszem, wysłałam!

- To świństwo! - Jack niemal krzyczał.

- Ej, wy dwoje, uspokójcie się! - odezwał się Phil, jednak bez większego rezultatu.

- Umówiliśmy się, że pokażemy je sobie nawzajem, a nie, że będziemy je pokazywać wszystkim dookoła - mówił Jack.

- Tam były nieźle fragmenty.

- Co mnie to obchodzi! Nie chciałem, żeby ktoś to czytał.

- Dosyć! - przerwała im Gloria.

Oboje umilkli.

- No dobra, co się dzieje? - zapytała Gloria.

- Jack i ja umówiliśmy się, że wymienimy się rzeczami, które każde z nas napisało w ciągu kilku ostatnich lat, no wiecie, coś w rodzaju kółka wzajemnego pocieszania. Ale u niego trafiłam na naprawdę dobre fragmenty.

- Więc wysłałaś to do Tommy'ego? - zdumiał się Phil. - Dlaczego nie pokazałaś najpierw mnie?

Gabbie wzruszyła ramionami.

- Jesteś moim tatą. Pomyślałam, że jeśli Jack usłyszy od niezaprzyjaźnionego zawodowca, że to jest dobre, to może wróci do pisania.

Jack wrzał tłumioną złością.

- Nie miałaś prawa - rzucił cicho i gniewnie.

Śmiech Tommy'ego przeszkodził Gabbie w wyrażeniu sprzeciwu.

- Miała czy nie miała, młody Jacku, wysłała to, a ja przeczytałem. A teraz: masz ochotę usłyszeć, co myślę?

Ciekawość przeważała nad złością.

- Chyba tak.

- No cóż, jesteś bardzo kiepskim pisarzem prozy. - Twarz Jacka pociemniała na nowo, lecz Tommy brnął dalej. - Ale piszesz wspaniałe dialogi. Prawdę mówiąc, możesz zostać jednym z najlepszych twórców dialogów, jakich w życiu czytałem. Twoje postacie są jak bryłki ołowiu, dopóki nie otworzą ust, a wtedy skaczą i tańczą po całej stronie jak świetliste cuda. Jako książka twój *Okrąg Durham* w najlepszym razie mógłby być parodią prozy Edny Ferber. Sądzę jednak, że przetworzony na inne medium, mógłby się okazać znakomity.

- Jako sztuka? - zainteresowała się Gloria.

- Być może. Sam jednak skłaniam się raczej w stronę scenariusza filmowego. Myślę, że dałoby się z tego wykroić cudowny film.

Wziął Jacka przez zupełne zaskoczenie.

- Film? - powtórzył chłopak.

- Ja sam reprezentuję głównie aktorów, ale moja agencja para się sprawami ludzi związanych z teatrem i filmem, obok aktorów także pisarzy i reżyserów. Tak więc na obu wybrzeżach mamy agentów współpracujących na stałe z pisarzami. A o kilka stóp od ciebie siedzi scenarzysta, który w ciągu kilku ostatnich lat odnosił ogromne sukcesy w tej dziedzinie i - jeśli trafnie odczytuję sytuację - który nie będzie w stanie pomóc ci w tym zamierzeniu. Kiedy poczujesz, że scenariusz jest gotowy i możesz mi go pokazać, będę ogromnie szczęśliwy, mogąc dopilnować, by ktoś odpowiedni reprezentował cię w wytwórniach.

- Czy jakiś inny agent zgodzi się ze mną pracować tylko dlatego, że pan go o to poprosi? - Jack nadal był wyraźnie zbity z tropu.

Tommy wybuchnął śmiechem.

- Nie zrozumiałeś mnie, synu. To oczywiste, że agent w moim biurze zgodzi się z tobą pracować. To w końcu moja agencja. Krótko mówiąc: ja tam jestem szefem.

Gloria wskazała głową na Tommy'ego i rzekła:

- Jack, gdybym choć w połowie była taką aktorką, jakim Tommy jest agentem, byłabym gwiazdą. Zrób, jak ci mówi.

Tommy znów się roześmiał.

- Ty, kochanie, byłaś aktorką o mnogich talentach. Twoim jedynym niedostatkiem był niedostatek ambicji. To dlatego właśnie dokonałaś słusznej decyzji i porzuciłaś teatr, by

wyjsć za mąż. - Zwrócił się do Jacka z uśmiechem: - No więc, Jacku Cole, co nam powiesz?

Jack przysiadł na parapecie.

- E... dzięki. Ja... to dla mnie coś w rodzaju szoku. Będę musiał to sobie przemyśleć.

- No cóż, nie ma problemu. - Tommy obejrzał się na Phila. - Czy mógłbym dostać szklaneczkę brandy?

- Oczywiście, Tommy - odparł ze śmiechem Phil. - Jedna brandy dla pana.

Jack przez chwilę wyglądał jak gradowa chmura. Potem rzucił cicho do Gabbie:

- Ty! Na dwór! - I nie czekając na odpowiedź, ruszył stanowczym krokiem w stronę drzwi. Przez całą drogę - przez korytarz i frontowe drzwi - nie obejrzał się, by sprawdzić, czy za nim idzie. Kiedy dotarł do barierki przy ganku, odwrócił się i powtórzył:

- Naprawdę nie miałaś prawa.

- No dobra, może nie miałam - odparła niemal wyzywająco. - Ale Tommy powiedział, że jesteś dobry.

Jack zapatrzył się przed siebie.

- Sam nie wiem, co mam o tym sądzić. Nie wiem, czy mam się czuć zdradzony. A może tylko chcesz mi coś udowodnić.

Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy.

- Czasem potrafisz być cholernym głupkiem, Cole. - Wspięła się na palce i pocałowała go. - Dlaczego w ogóle z tobą wytrzymuję?

Cała złość gdzieś się rozwiała, kiedy otoczył ją ramionami. Po chwili zapytał:

- No to co mam robić?

- A co chcesz zrobić?

Przez chwilę milczał.

- A gdybyśmy tak się pobrali?

Złapała za przód jego koszuli i położyła mu głowę na piersi. Potem objęła go w talii i przytuliła się mocno. Oczy zaszyły jej łzami.

- Jak dla mnie, może być. - Całowała go długo i namiętnie, potem dodała: - Tak bardzo cię kocham.

Przytulił ją do siebie.

- Ja też cię kocham, Gabbie. - Znów przez chwilę milczał, potem dodał: - Wiesz, strasznie się zamartwiałem tym twoim powrotem na Wybrzeże. Nie miałem pojęcia, co robić.

- Jak już mówiłam, czasem potrafisz być cholernym głupkiem. Jest dziesiąty września. Zajęcia zaczynają się za dwa tygodnie. Musiałabym wyjechać stąd już w przyszłym tygodniu, jeśli miałabym zamiar wracać. A czy widziałeś choć jedną oznakę przygotowań do wyjazdu?

Napisałam już do władz uniwersytetu, żeby ich zawiadomić, że zostaję. A wszystko z twojego powodu, idioto. - Urwała na chwilę. - Ale może powinnam napisać jeszcze raz i zawiadomić, że wrócę na semestr zimowy?

- Dlaczego?

- Słuchaj, jeśli masz zamiar pisać scenariusz, będziemy musieli pojechać na Wybrzeże i poszukać ci jakiegoś miejsca do pracy.

- Poczekaj chwilę. - Zrobił zakłopotaną minę. - Najpierw muszę dokończyć pracę i obronić się. Mogę załatwić dla nas pokój w hotelu asystenta albo oboje możemy zamieszkać u Aggie, ale nie dam rady utrzymać żony w Los Angeles, startując jednocześnie jako scenarzysta. - Urwał. - A poza tym, nie jestem do końca pewien, czy naprawdę tego chcę. Niemniej, jeśli spróbuję, byłbym idiotą, gdybym nie skorzystał z pomocy twego ojca, jeśli tylko zechce mi jej udzielić, a to znów oznacza, że powinniśmy zostać tutaj. Słuchaj, to wszystko kręci się tak diabelnie szybko.

Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale umilkła, bo zorientowała się, że Jack ma zamiar powiedzieć jej coś ważnego. W końcu wyrzucił z siebie:

- Kiedy skończyłem uniwersytet w Karolinie Północnej, Ginger i ja snuliśmy najróżniejsze plany. - Przerwał, przypominając sobie tamte sprawy. - No, właściwie, to głównie ona je snuła. Ale... no cóż, ja się trochę wycofywałem. Może tak naprawdę wcale jej nie kochałem. - Zajrzał Gabbie w oczy. - Może tak było. A może po prostu nie miałem chęci się otworzyć i przyjąć tego, co mi ofiarowywała. Ale na samą myśl o tym, że mam się z nią ożenić, ogłupiałem ze strachu. W każdym razie, ja przyjechałem tutaj, ona przeniosła się do Atlanty i po jakimś czasie po prostu przestaliśmy być ze sobą. I zapewne głównie z mojej winy. Chyba nie chciałem wziąć na siebie odpowiedzialności, konieczności troszczenia się o kogoś innego.

Gabbie uśmiechnęła się.

- Ty naprawdę jesteś cholernym głupkiem, Jack - rzuciła z mieszaniną czułości i poirytowania. - Mówię poważnie. Nie musisz się o mnie troszczyć. Sama świetnie sobie radzę i mam swoje środki. Ty będziesz musiał jedynie nauczyć się tego, żeby pozwolić mi zatroszczyć się o ciebie... jeśli tylko twoje męskie ego południowca zdoła poradzić sobie z tą myślą.

- Ale jak? Chcesz pójść do pracy, kiedy ja będę pisał?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Przekonajmy się, na ile jesteś wyzwolonym mężczyzną, mój chłopcze. Co powiesz na to, żebyś ty pisał, a ja - studiowała i żebyśmy żyli z moich pieniędzy?

- Słuchaj, nie mogę pozwolić, żeby twój tato nas utrzymywał...

- Do diabła, nie wspomniałam ani słowem o pieniądzach taty, Jack! - Odwróciła wzrok, nie mając pewności, jak przyjmie to, co mu za chwilę powie, ale w końcu zdecydowała brnąć dalej. - Skoro dotąd się nie domyśliłeś, to już pewnie się nie domyślisz, jeśli sama ci nie powiem. - Urwała i wzięła głęboki wdech. - Jestem bogata. Mam kupę forsy. - Kiedy dalej patrzył na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem, dodała: - Pamiętasz, podczas naszej pierwszej przejażdżki mówiłam ci, że Larkerowie mają dużo pieniędzy. Mówiliśmy wtedy o bardzo dużych pieniądzach. Kiedy babcia Larker zmarła, przepisała wszystko na mnie. Wykluczyła z testamentu moją matkę. Z wyjątkiem sum, które przeznaczyła na cele dobroczynne oraz na uniwersytet stanowy w Arizonie, każdy grosik dostał się mnie. Na razie wszystko jest związane jakimś dziwnym trustem, a powiernik musi aprobować każdą kwotę, która wykraczałaby poza moją pensję - i tak daje mi wszystko, o co poproszę - ale kiedy wyjdę za mąż lub skończę dwadzieścia pięć lat, dostanę wszystko. Nie sądzę, żebyśmy dali radę to wszystko wydać, nawet gdybyśmy się bardzo starali.

Jack patrzył na nią w zdumieniu.

- Ty chyba żartujesz.

- Nie. W dniu naszego ślubu dostaniemy dużo, dużo milionów, koleżko.

Jack zagwizdał. Potem uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze chciałem się bogato ożenić.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- No i się ożenisz. Poradzisz sobie z myślą, że przez jakiś czas to ja będę płacić rachunki?

Przytaknął kiwnięciem głowy.

- Chyba tak. Ale nawet gdyby wypaliło z tym całym pisaniem, zrobię doktorat i będę uczył na pół etatu, dobra?

- Dobra. Ale teraz nie zwracajmy sobie tym głowy. - Uściskała go i ucałowała. - Chodźmy powiedzieć starszkom, a potem wynieśmy się stąd i poszukajmy miejsca, gdzie moglibyśmy być sami.

- Aggie pojechała na weekend do Nowego Jorku. Nikogo nie ma w domu. - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Jesteś pewna?

- Jak wszyscy diabli - odparła z błyszczącymi oczyma.

Wrócili do domu i już wkrótce Gloria płakała ze szczęścia, a Phil otwierał butelkę schłodzonego szampana. Wykonano telefony do odległych przyjaciół i krewnych, a Tommy Raymond uparł się, że zabiera wszystkich na kolację, zanim popędzi w dzikie połacie Erie.

Lecz koniec końców Jack i Gabbie zdołali wymknąć się chyłkiem, wzięli samochód ojca i pojechali do domu Aggie.



Glorię obudził głośny hałas. Zaspana i zdezorientowana, nasłuchiwała przez chwilę, zanim zdołała się domyślić, skąd dobiega. Gdzieś na dole szczeakał głośno Wielki Pech, a noc wypełniła się pytającymi głosami dzieci. Zerknęła na zegarek, podczas gdy Phil już wstawał z łóżka. Fosforyzująca tarcza wskazywała dziesięć po trzeciej.

- Co się tam, u diabła, dzieje? - odezwał się Phil.

- Bądź ostrożny - poprosiła, kiedy wkładał szlafrok. Przez chwilę zastanowiła się nad pokrętną naturą ludzkiego myślenia: Phil schodzi być może po to, by stawić czoło włamywaczowi, ale za nic nie zrobi tego nago. Spodnie od jego pidżamy leżały ciśniecie gdzieś w kącie w wyniku spontanicznego wybuchu zmysłowości, przez który kochali się nieco wcześniej tej nocy.

Phil zawahał się.

- Co powinniśmy zrobić? Wezwać policję?

- Nie pamiętam. Narobić hałasu czy coś. Chyba żeby ich wystraszyć.

- Nie chcę przestraszyć dzieciaków. Sean i Patrick chcieliby pewnie złapać faceta i trzymać go, dopóki szeryf nie przyśle tu swoich ludzi.

Z dołu dobiegł jakiś głośny łomot, a Wielki Pech nie przerywał ujadania. Gloria wzdrygnęła się na ten odgłos.

- No, zrób coś.

- Pójdę sprawdzić. A ty wezwij gliny.

Gloria zaczęła wybierać numer, a Phil tymczasem ruszył ostrożnie przez korytarz. Mijając pokój Gabbie, zauważył, że dziewczyna stoi w drzwiach z zatroskaną miną.

- Zostań tu, kotku.

Zatroskana mina mówiła wyraźnie, jak bardzo boi się o ojca. Chłopcy dreptali już przed drzwiami do swojej sypialni. Patrick zdążył nawet uzbroić się w swój kij baseballowy. Phil uwolnił ich od tej potencjalnej maczugi, mówiąc:

- Ja to wezmę. Wy dwaj pilnujcie schodów. - Patrick wyraźnie chciał zaprotestować, kiedy ojciec dodał: - Zatoszczcie się o kobiety.

Chłopcy ustawili się więc u szczytu schodów z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, rzucając wyzwanie potencjalnemu intruzowi, by spróbował ich minąć.

Phil skradał się powolutku po schodach, wciąż nasłuchując. Mimochodem ważył w dłoniach kij, trzymając go tak, jak trzymałby go przymierzający się do zamachu lub odbicia zawodnik. Czuł się trochę głupio, lecz zarazem i nieco pewniej, kiedy trzymał w dłoni coś, co

mogło posłużyć za broń.

Wzdrygnął się, słysząc prychnanie, przeciągłe miauknięcie, a potem głuchy łomot. Wielki Pech zaczął ujadać jeszcze gwałtowniej. Labrador stał przy drzwiach do piwnicy, szczekaniem i skamleniem wyrażając pragnienie dostania się do środka. Z dołu dochodziło szuranie i stukot, jakby ktoś rozrzucał różne przedmioty. Potem Phil usłyszał przeciągły koci wrzask. Zaśmiał się z zażenowaniem, kierując się do drzwi od piwnicy. Brzmiało to tak, jakby Hemingway natknął się w piwnicy na intruza i dyskutował z nim właśnie kwestię naruszenia kocich praw terytorialnych. Po kolejnym głuchym trzasku dał się słyszeć bolesny krzyk, wznoszący się aż do agonialnego wrzasku. Phil otworzył gwałtownie drzwi, a z góry dobiegły go wykrzykiwane pytania.

Wielki Pech, szczekając głośno, pognął w dół po schodach, gdy tymczasem Phil włączył światło i przygotował pałkę. Jeśli do piwnicy zawędrowało coś innego niż koci włóczęga, Hemingway może potrzebować pomocy. Phil przypominał sobie mgliście, że Jack lub Gabbie wspominali coś o terroryzującym okolicę wielkim szopie. Zbiegł pospiesznie po schodach.

Coś czarnego i zwinnego, cholernie wielkiego w porównaniu z kotem, przeskoczyło ze sterty książek na wysokie piwniczne okienko i zniknęło na zewnątrz, zanim Phil zdążył dobrze mu się przyjrzeć. Wielki Pech skoczył za nim, wspinając się po stercie zwalonych książek na stojący pod oknem stół roboczy. Stał na tylnych łapach i czekał gniewnie w ślad za stworzeniem, które umknęło.

- Wielki Pech! Zamknij się, bohaterze! Złaż stamtąd!

Szczeknąwszy po raz ostatni, pies uciszył się i z wyzywającym prychnięciem zeskokczył ze stolika. Phil rozejrzał się dookoła i zawołał:

- Hemingway?

Odpowiedziało mu żalosne miauknięcie, po którym zlokalizował kota pod przechyloną półką z książkami. Po podłodze walały się tuziny książek, a padający segment wsparł się na trzech stojących pod nim kufrach. Wśród tego bałaganu leżał kot.

- Hemingway? - zawołał miękko Phil, sięgając ręką pod półkę. Dotknął czegoś miękkiego i mokrego, a jednocześnie w uszach eksplodował mu wrzask bólu, po grzbiecie dłoni przejechały zaś kocie pazury. Cofnąwszy rękę pospiesznie, zaklął. Hemingway nigdy nie podrapał nikogo z rodziny. Phil pchnął do tyłu przechyloną półkę, a wtedy w świetle nagiej żarówki ukazał mu się Hemingway.

- O Boże - wyszeptał Phil. Kot leżał na stercie pokrwawionych gazet i książek, z brzuchem rozprutym od przednich łap aż po tylne. Pod nim kłębiły się nieprawdopodobnie

długie zwoje wnętrzości. Na szczycie schodów pojawiła się Gloria.

- Phil? - zawołała.

- Nie schodź tu! - ostrzegł ją Phil. Na pyszczku Hemingwaya malowała się wyraźna prośba, by Phil jakoś mu ulżył. Malutki języczek wyśmignął z pyszczka i oblizał nosek. Kot wyraźnie nie wiedział, co się dzieje. Wydawało się, że najbardziej przejmującą go myśl, iż zastano go w tak poniżającym stanie. Próbował zamiauczeć, lecz wydał z siebie jedynie zduszoną, żałośnie słabą imitację zwykłego kocurzego głosu. Jego głowa powoli przechyliła się na bok. Opuszczała się, dopóki nie opadła na zielone okładki książki, a potem zwisała nagle pod dziwnym kątem. Szkliste oczy wpatrywały się w Phila. Hemingway nie żył.

Gloria zlekceważyła ostrzeżenia Phila i zeszła po schodach. Kiedy znalazła się na dole, rozglądnęła się dookoła i przez chwilę zdawała się nie dowierzać własnym oczom. W końcu rzuciła cicho:

- O cholera.

- Dostało się tu jakieś zwierzę i Hemingway próbował je przegonić. Nie wiem, co to było... ale wypruło mu flaki.

Gloria odwróciła się gwałtownie, bo w drzwiach do piwnicy pojawiły się bliźniaki.

- Wy dwaj, trzymać mi się z daleka! - Jej ton powiedział im jasno, jak dalece tym razem mogą sobie pozwolić: absolutnie na nic. Cofnęli się od drzwi, a na podest zeszła Gabbie.

- Co się stało?

- Dostało się tu coś dużego i... zabiło Erniego - odpowiedziała jej Gloria.

Oczy Gabbie wezbrały łzami.

- O, nie - rzuciła cicho. - Biedny Ernie. Co to było? Jakiś inny kot?

- Nie - odpowiedział Phil. - Było za wielkie jak na kota. Nie udało mi się dobrze przyjrzeć. Poruszało się za szybko. Wyglądało trochę jak ogromny czarny kocur. Może to ten szop, o którym opowiadał chłopcom Jack. Tak czy owak, było ogromne.

Chłopcy dosłyszeli z holu jego słowa i w milczeniu wymienili się spojrzeniami. Oni wiedzieli. Kiwnęli głowami bez słów i pomyśleli:

„Coś Złego”.

Gabbie zeszła po schodach, kiedy Phil nakrył Hemingwaya starą gazetą.

- Chryste, ile tu krwi - odezwała się. Rozejrzała się po bałaganie. - Jak to się stało, że przewrócili półkę?

Phil popatrzył i wzruszył ramionami.

- Hemingway leżał tuż obok.

- Nie sądzę, żeby kot był w stanie ją przewrócić. Jack i ja spędziliśmy cały dzień na układaniu tego wszystkiego. - Nie poskarżyła się jednak na głos, że będzie musiała robić to jeszcze raz. Hemingway był kotem taty i wiedziała, że Phil mimo pozorów spokoju głęboko odczuwa tę stratę.

- Pochowamy Erniego - zaofiarował się Sean.

- Przy jabłonkach - dołączył Patrick.

- Dobrze, ale rano - odrzekła Gloria. - Wczesnie rano. Jutro pierwszy dzień szkoły. A teraz do łóżek. - Nagle otworzyła szeroko oczy. - O Jezu! Lepiej zadzwonię jeszcze raz na policję i powiem im, że to kocia bójka, a nie żaden włamywacz. Mieli wysłać do nas radiowóz.

Kiedy Gloria popędziła na górę bliźniaków, Gabbie odezwała się nagle:

- Popatrz na to.

Phil podszedł do córki, która przyglądała się bacznie czemuś za szafką.

- To jakieś drzwi.

- Ale dlaczego schowane za półką z książkami? - zapytała Gabbie. Wspięła się na kufer i opierając się jedną ręką o ścianę, pochyliła się, a drugą sięgnęła do klamki. - Zamknięte na klucz.

- Może otworzy je ten klucz, który znalazł Mark. Wypróbujemy go jutro - zaproponował Phil.

- Przynajmniej przynieśmy go tutaj i spróbujmy teraz - odparła podekscytowana Gabbie.

- Zanim zdołamy się do nich dostać, trzeba będzie przesunąć na bok całe to dziadostwo. - Rozejrzawszy się dokoła, jakby nie mógł się zdecydować, co zrobić najpierw, Phil dodał: - A zresztą, wygląda tu teraz dość koszmarnie. Chyba powinniśmy się wstrzymać z przesuwaniem, dopóki tu nie uprzątniemy.

Gabbie odwróciła się twarzą do ojca.

- No dobrze, ale jeśli dziś wypróbujemy klucz, będziemy wiedzieć, czy w ogóle warto przesunąć to dziadostwo.

Zgodziwszy się z jej punktem widzenia, Phil powędrował na górę i wziął klucz z szuflady toaletki, gdzie umieściła go Gloria. Kiedy zszedł na dół, Gloria odkładała właśnie słuchawkę telefonu. Na jego widok zapytała:

- Co jest?

Wyjaśnił jej całą sytuację i oboje zeszli do piwnicy. Phil wręczył klucz Gabbie, która nadal tkwiła na swojej grzędzie. Ta nachyliła się i włożyła klucz do zamka.

- Pasuje! - obwieściła. Spróbowała przekręcić. - Obraca się! - Drzwi otwarły się o kilka cali, a ona dodała: - Nic nie widzę.

- No to chodź już - odparła Gloria. - Możesz się w tym grzebać jutro. Ty i Jack możecie bawić się tu cały dzień, jeśli chcecie. Ale teraz posprzątajmy ten bałagan i wracajmy do łóżka.

Gabbie zeskoczyła zwinnie z kufra.

- Dobra. Ale umieram z ciekawości, co tam może być.

- Pewnie jeszcze więcej śmieci - mruknął Phil, kiedy delikatnie zbierał w kupkę papiery dookoła szczątków Hemingwaya. Gabbie i Gloria wycofały się do holu, pozostawiając Phila sam na sam z jego kotem. Nie zwracając uwagi na miękką, kleistą wilgoć pod palcami, przeniósł kota do pustego kartonowego pudła. Opuszczając do środka krwawą masę, mówił:

- Zupełnie taki sam jak Papa. Myślałeś, że możesz wszystko, że każdemu sprostasz, co? No cóż, cholerny głupku, trafiła kosa na kamień. - Westchnął, nie usiłując wcale powstrzymać łez, które cisnęły mu się do oczu. - No cóż, przez wiele lat byłeś mi dobrym towarzyszem, Hemingwayu. - Westchnął i postawił pudło na górnym podeście przy drzwiach, skąd chłopcy zabiorą je rano i zakopią. Bez słowa otarł łzy i wyłączył światło.

Przy piwnicznym okienku coś czarnego wyczekiwało, aż pogasną światła. Wydawszy z siebie chory, nienormalny śmiech, wycofało się z pobliża domu. Pan będzie zadowolony. Żałowało jedynie, że człowiek zjawił się tak szybko, zanim skończyło się zżęcać nad kotem. Uganianie się za zwierzakiem po piwnicy, żeby ludzie mogli odkryć zamek, roznieciło w nim ochotę na rozrywki. Miło było rozpruć kotu brzuch i wyciągać jeszcze dymiące trzewia, ale zwierzak żył jeszcze, kiedy coś czarnego zmuszone zostało do ucieczki. Nie pozwolono mu przeciągnąć tortury jeszcze o kilka sekund. Czuło się oszukane. Ale może następnym razem. Może pan pozwoli mi się zabawić jednym z chłopców. Rozważając tę przyjemną perspektywę, pognało w mrok.

Jack złapał za półkę, dźwignął jeden kraniec segmentu i obrócił całość łukiem, wykorzystując jako oś jeden z rogów. Postawił ją z powrotem z dość głośnym stęknieniem, potem rozprostował bolące ramię. Po dwóch tygodniach od pierwszego drenazu ponownie rozwinęło się zakażenie i doktor Latham zmuszony był otworzyć je po raz drugi, jak również zapisać Jackowi drugą turę antybiotyków. Wyglądało na to, że sytuacja wreszcie została opanowana, ale ramię nadal było bardzo wrażliwe. Zanim podstawa półek zdołała dotknąć betonowej podłogi, Gabbie już zdążyła otworzyć tamte drzwi.

Wycelowała do wnętrza przyniesioną ze sobą latarkę i włączyła. Postąpiła o krok w głąb sporego pomieszczenia, potem stanęła jak wryta.

- Jack! - zawołała z cicha.

- Co jest? - zainteresował się, obchodząc dookoła bałagan na podłodze i zatrzymując się tuż za nią.

- Zawołaj tatę.

Jack zajrzał tylko przez drzwi i pokiwał głową. Wbiegł po schodach, a po kilku chwilach za plecami Gabbie stanął Phil. Przyglądał się, gdy tymczasem córka przeciągała strumieniem światła po wnętrzu niewielkiego pomieszczenia.

Wykopane zostało w ziemi tuż przy fundamentach domu, tak żeby jego istnienia nie można było się domyślić z układu pokoiów na parterze i piętrze. Sufit podparto i wzmocniono, tak by żadne wgłębienie na zewnątrz nie zdradziło jego położenia. Na ścianie po prawej stronie ciągnął się rząd haków, na których wisały jakieś zatęchłe szaty. Wszystkie były białe, tylko jedna - czerwona, a po tym, jak załamywało się w nich światło, można było wnioskować, że uszyto je z jedwabiu. Na widok tych szat Phil odezwał się:

- Co to? Kessler był członkiem Ku-Klux-Klanu?

- Nie wydaje mi się - odparł Jack, kiedy Gabbie przesunęła światło na inne partie pomieszczenia. Na drugiej ścianie ciągnęły się półki, pełne poukładanych starannie ksiąg i zwojów pergaminów. W tyle stał drewniany stolik, a przy nim mównica o dziwacznym wyglądzie, na której leżała otwarta wielka księga, obstawiona z obu stron świecami. Na ścianie za stołem zwisał wielki arras w renesansowej manierze, ukazujący sceny z polowania: grupkę jeźdźców w dziwnych zbrojach, wyjeżdżającą właśnie z lasu. Na prawo od jeźdźców śliczna kobieta w bieli tańczyła przed tronem, na którym zasiadała jakaś piękna królowa. Na prawym krańcu arrasu tematyka zdecydowanie przechodziła w erotyczną, gdyż członkowie dworu królowej pozdejmowali przyodziewek i posplatali się w uściskach. Najdalej na prawo

odmalowano bez skrępowania postacie odbywające stosunki - parami i w grupach. Na lewym skraju tkaniny widać było rozwieszoną jako trofea zwierzynę ubitą na łowach. Gabbie lekko zemdliło, kiedy dostrzegła, że wśród rozwieszonej na drzewach zdobyczy znajdują się i ludzie. Pod stołem, kontrastując dziwnie z resztą pomieszczenia, stała dość nowocześnie wyglądająca kasetka bankowa, metalowa, z dwoma szufladkami.

- Co to za miejsce? - zapytała Gabbie.

- Nie mam pojęcia - odparł półgłosem Phil. - Lepiej wezwijmy Marka.

Mark i Gary przyjechali piętnaście minut później. Phil, Jack i Gabbie odczuli niemały wstrząs na widok obu mężczyzn. Mark sprawiał wrażenie, jakby od tygodnia nie zmrużył oka, a Gary był tak zmieniony na twarzy, jakby walczył z przeziębieniem lub grypą. Jasne było, że obaj bardzo ciężko pracują, a ich zachowanie sugerowało także, że podlegają przy tym niemałym stresom. Kiedy tylko Mark spojrzał do wnętrza pokoju, natychmiast się ożywił.

- Dotykaliście czegoś?

- Nie, staliśmy tylko w niemym zdumieniu - odparł Phil.

- To dobrze. - Zerknąwszy na pokrwawione i rozrzucone w nieładzie książki, zapytał:

- Co to wszystko znaczy?

- Wczoraj wieczorem coś zabiło Hemingwaya. - Kiedy Mark i Gary zrobili zdziwione miny, wyjaśnił: - Mojego kota.

- Zabiło go? - powtórzył Mark.

- Wypatroszyło. Chłopcy pochowali go, zanim Gloria odwiozła ich do szkoły.

Mark i Gary wymienili się spojrzeniami, a Mark zapytał:

- Czy w piwnicy jakoś dziwnie pachniało?

- Nic nie zauważyłem - odrzekł Phil. - A dlaczego pytasz?

Mark przyklęknął na chwilę, żeby zbadać bliżej panujący tam bałagan, potem podniósł się i potrząsnął głową, jakby chodziło o błahostkę.

- Dlatego, że lisy i inna dzika zwierzyna często pozostawiają po sobie dość silny odór. No cóż, przykro mi, Phil.

Phil pogodził się już chyba ze śmiercią kota.

- W porządku. To był stary, twardy głupiec, który prędzej czy później i tak zginąłby w walce.

Mark pokiwał głową.

- Kto to widział?

- Tylko my - odparł Phil. - Gloria została w mieście, żeby zrobić zakupy w spożywczym, kiedy odwoziła chłopców do szkoły. Powinna wrócić za jakąś godzinę.

- Wolałbym, żeby nikt z zewnątrz jeszcze na razie o tym nie wiedział.

- Dlaczego? - zainteresował się Phil.

Mark leciutko westchnął.

- Sam jeszcze nie jestem pewien, co tu się właściwie dzieje, Phil. - Urwał i na chwilę pogrążył się w myślach. - Wszystko to - ogarnął gestem sekretny pokój - musi mieć coś



wspólnego z tajemnicą, jaka otacza Kesslera. A może także i z innymi dziwnymi zjawiskami. Tak czy owak, chciałbym się najpierw upewnić co do kilku faktów, więc wydaje mi się, że to dobra myśl, aby nikogo o tym nie powiadamiać, dopóki to nie będzie konieczne. Rzecz jasna, powiemy Glorii, ale gdyby można utrzymać chłopców z dala albo przynajmniej przestrzec ich, by nie rozpowiadali o tym w szkole...

- Powiemy im, że odkryłeś coś tajnego. Znam swoich chłopaków. Nie dadzą nam żyć, jeśli ich tu nie wpuścimy. A jak ich wtajemniczymy, będą trzymać język za zębami - przynajmniej przez jakiś czas.

Mark zgodził się, aczkolwiek nie bez oporów. Jednak dom i posiadłość były własnością Phila, do niego więc należała decyzja, czy pokazać chłopcom ukryty pokój. Mark zwrócił się teraz do Gary'ego, wręczając mu jakieś klucze.

- Przyniś duży magnetofon, kilka czystych taśm, oba aparaty i kilka notesów, a potem możemy zaczynać. - Kiedy Gary zaczął wchodzić po schodach, rzucił za nim: - I weź z bagażnika ten worek, dobrze? - Następnie zwrócił się do Phila: - Znajdzie się u was jakaś lampa i przedłużacz?

Phil pospieszył na górę, a po chwili wrócił, niosąc lampę z pokoju dziennego i ogromny przedłużacz ze swojego gabinetu. Mark zdjął abażur i podłączył lampę do przedłużacza, a Phil włożył wtyczkę do gniazdka w ścianie piwnicy. Pokój zalało białe światło.

Mark wyjął z kieszeni niewielki dyktafon i włączył nagrywanie:

- Mówi Mark Blackman. Jest dwunastego września. Stoję w piwnicy rezydencji Philipa Hastingsa przy Frazer Road 76, Rural Route 6, w okręgu William Pitt, w stanie Nowy Jork, w domostwie znanym w okolicy pod nazwą Dom Starego Kesslera lub Wzgórze Króla Elfów. Rejestruję opis tajnego pokoju, znalezionego...

Wyłączył dyktafon.

- Kiedy to znaleźliście?

- Jakiś kwadrans po trzeciej nad ranem - odpowiedziała mu Gabbie.

- Około trzeciej piętnaście tego samego dnia - kontynuował Mark, włączywszy z powrotem dyktafon. - Pokój ma wymiary w przybliżeniu: dziesięć stóp na piętnaście, na trzydzieści. Dokładniejszych pomiarów dokonamy później. - Kiedy to mówił, Gary już rozwijał taśmę mierniczą, którą wyciągnął z przyniesionego worka. - Wykopano je w ziemi po wschodniej stronie właściwego budynku, tak by o jego położeniu nie można było wywnioskować na podstawie luźnych oględzin domu. Sufit podparto podwójnymi legarami i kolumnami, które miały zapobiec zapadnięciu się do środka. Konstrukcji ścian nie da się

określić na podstawie pobieżnych oględzin. Na ścianie z prawej, widzianej od drzwi, wisi osiem haków, rozstawionych mniej więcej co stopę. Z każdego zwisa szata białego koloru, z wyjątkiem haka najdalej od drzwi, na którym wisi szata czerwona. Materiał wygląda na jedwab lub atlas. Na ścianie po lewej od podłogi do sufitu ciągną się regały z książkami... - I tak kontynuował swój opis, dopóki nie odnotował ze szczegółami wszystkiego, co widział. Kiedy dotarł do opisu ołtarza, oznajmił: - Świece wyglądają na woskowe, lecz mogą być wykonane z jakiejś bardziej egzotycznej mieszanki. Pełniejsza analiza zostanie dokonana później. Świeczniki wyglądają na złote. Natomiast...

- Złote! - wyrwało się Gabbie, lecz Jack zaraz ją uciszył. Wszyscy przyglądali się zafascynowani, jak pracuje Mark.

- Stół, jak się zdaje, został wykonany z jesionu lub innego podobnego mu drewna, może oliwnego. - Zajrzał pod spód, niczego przy tym nie dotykając. - Stolarka typowa dla dziewiętnastowiecznych manufaktur z tego regionu. Spekulacja: mógł zostać wyprodukowany w fabryce Kesslera bądź też Kessler mógł wykonać go własnoręcznie. Książka jest otwarta. Ma w przybliżeniu piętnaście cali długości i dziewięć cali szerokości, wymiary strony. Napisana jest... po niemiecku, niemieckim gotykiem, ale w takim dialekcie, którego nie znam, być może starogórnoniemieckim lub średniogórnoniemieckim. - Opisał następnie cechy pisma i w końcu powiedział: - Najprawdopodobniej jest to kopia jakiegoś starszego tekstu, bo nie wygląda na więcej niż sto lat. - Teraz zainteresował się arrasem i znów na chwilę wyłączył dyktafon. Spoglądając na Phila i Jacka, zapytał:

- Czy możecie załatwić mi więcej światła?

- Mamy jeszcze jedną lampę, którą da się przenieść, i przedłużacz z podwójnym gniazdkiem - odrzekł Phil.

- A w stodole jest lampa robocza, taka, którą można zawiesić na masce, kiedy pracuje się przy samochodzie - dodała Gabbie.

- Przynieście je, proszę.

- Ja skoczę po tę w stodole - zaofiarował się Jack i jeszcze raz ruszył z Philem po schodach.

- Gabbie, jeśli to nie będzie zbyt wielki kłopot, chciałbym cię prosić, żebyś przygotowała kilka kanapek. Albo, jeśli wolisz, mogę dołożyć się do wyprawy po hamburgery. Posiedzimy tu dłuższą chwilę.

- Ach, mogę pokroić to, co zostało z indyka z wczorajszej kolacji. Przyniosę też dzbanek lemoniady. - Zerknęła na zegarek. - Lunch za jakieś dwie godziny?

- Doskonale.

Mark zrzucił sztruksową marynarkę i cisnął ją niedbale na zakurzoną skrzynię. Wrócił do swej opowieści, opisując bardzo szczegółowo każdy detal znajdujących się na arrasie obrazków. Potem otworzył górną szufladkę kasetki.

- Kasetka jest metalowa, szacuję, że nie ma więcej jak dwadzieścia lat. W górnej szufladce znajdują się papiery, które wyglądają na korespondencję, oraz inne dokumenty. - Zamknął górną szufladkę, otworzył dolną i znalazł w niej podobne rzeczy. - Wygląda na to, że znajduje się w niej około dwieście lub trzysta dokumentów. - Wyłączył magnetofon. Gary sięgnął do worka, wyjął rolkę taśmy malarskiej oraz gruby czarny pisak, który wręczył Markowi.

- Teraz zaczynamy wszystko katalogować - wyjaśnił Gabbie.

- To fascynujące - oznajmiła dziewczyna, patrząc na nich z podziwem.

Mark w odpowiedzi uśmiechnął się.

- Powiedz mi to za jakieś sześć godzin, kiedy wciąż jeszcze nie będzie widać końca.

Gary oderwał kawałek taśmy i wręczył ją Markowi. Ten wypisał na niej dużą jedynekę i przylepił ją na najwyższej półce, po lewej stronie, pod zwojem pergaminu. Powtarzał te czynności, dopóki nie wrócili Jack i Phil, którzy ustawili dodatkowe lampy. Wtedy wyjął polaroid i wykonał kilka próbnych zdjęć, żeby ustalić natężenie światła. Oszacowawszy potrzebne wielkości, wyjął nikona i zaczął wszystko fotografować. Gabbie, Jack i Phil usadowili się, by popatrzeć.

Trzy godziny później Mark nadal robił to samo. Phil powrócił do pracy nad ostateczną wersją książki. Przed jej opublikowaniem, w ostatniej chwili chciał wprowadzić kilka poprawek. Gloria zdążyła wrócić już do domu, więc pokazano jej znalezisko. Przez chwilę przyglądała się pracy Gary'ego i Marka, a kiedy ze szkoły powrócili chłopcy, zniknęła na górze. Okazało się, że trzymanie ich z dala od piwnicy to niewielki kłopot. Kilka minut obserwowania, jak Mark przemawia do swego dyktafonu, kiedy wyciąga zwoje i rozwija je po kolei, a Gary je fotografuje, wystarczyło, by zaspokoić ich ciekawość. *Indiana Jones i Świątynia Zagłady* to to nie było. Przyrzekli nie puścić pary z ust na temat sekretnego pokoju, pewni, że czymś takim i tak nie zaimponowaliby kolegom.

Gabbie i Jack przyglądali się jednak z niesłabnącym zainteresowaniem. Gabbie z zasady nie znosiła długich okresów beczynności, lecz przekonała się, że trudno jej oderwać wzrok od pracy Marka. Także i Jack był ciekaw. Jako student literatury nie miał dotąd okazji poobserwować, jak wygląda praca badawcza w terenie, więc przyglądanie się, jak Mark upewnia się, że każdy przedmiot ma dostateczną dokumentację, zanim zostanie ruszony z miejsca, było dlań ogromnie pouczające. W miarę możliwości nic nie ulegnie przemieszczeniu ani zagubieniu, gdyż dokładna kolejność poszczególnych czynności nagrywana była przez Marka na taśmie dyktafonu. Gary nieprzerwanie robił zdjęcie za zdjęciem. Mark zapełnił w całości dwie taśmy dziewięćdziesiątki i korzystał właśnie z trzeciej. Wyłączył dyktafon i wstał z głośnym jękiem.

- Te kolana są już za stare, żeby tyle czasu klęczeć na zimnym betonie. - Nie wyłączając światła, wyszedł z pomieszczenia. - Czas na przerwę.

Poszli na górę, gdzie czekał na nich stos kanapek. Zostały przygotowane w południe, a teraz było już dobrze po trzeciej. Zdjąwszy przykrywający je kuchenny pergamin, Gabbie porozkładała kanapki na talerze i rozdała wszystkim, podczas gdy Jack wyjął z lodówki dzbanek lemoniady. Słyszając, że są w kuchni, wkrótce dołączyli do nich Gloria i Phil.

- Dowiedzieliście się już, co to za rzeczy? - dopytywał się Phil.

- Nie mamy jeszcze nawet połowy, ale niektóre z nich są niesamowite - odparł Mark.

Gary przytaknął kiwnięciem głowy.

- Te zwoje zostały napisane w grece, po starogórnoniemiecku, starorusku, amharyjsku, a kilka po łacinie, hebrajsku... Niektórych sam nie potrafię rozpoznać. Będę musiał pogrzebać w książkach, ale wydaje mi się, że to pahlawi.

- Co to jest pahlawi? - zaciekała się Gabbie.

Gary spojrział na nią i wyjaśnił:

- Średniowieczny perski. To martwy język.

Jack i Gabbie wymienili się spojrzeniami.

- Perski? - zdziwił się głośno Jack. - Co też stary Kessler mógł robić z pergaminami zapisanymi po persku i we wszystkich tych innych językach?

Mark wzruszył ramionami i popatrzył na Gary'ego.

- Będziesz umiał je przetłumaczyć?

- Niektóre tak - odparł Gary z pełnymi ustami. - Językoznawstwo stosowane trochę mi przyrdzewiało. Lepiej poradzę sobie ze staro-cerkiewno-słowiańskim czy staroruskim. Nie powinienem mieć kłopotów także z ruskim i niemieckim. A pahlawi? Języki indoirańskie nigdy specjalnie mi nie szły. Raz czy drugi miałem do czynienia z pahlawi. Mogę zdobyć kilka potrzebnych podręczników i spróbować się przez to przedrzeć, ale jak dla mnie to trochę za bardzo na wschodzie. - Potrząsnął głową. - Znam w Waszyngtonie kogoś, kto takie rzeczy czyta jak komiksy. Możemy zrobić ksero tych zwojów i posłać je ekspresem, a za kilka dni powinniśmy dostać odpowiedź.

Mark pokręcił głową.

- Sprawdź najpierw, co sam dasz radę zrobić. Do twojego kolegi zwrócimy się tylko wtedy, kiedy naprawdę zajdzie taka potrzeba.

- A co z tymi szatami i resztą? - dopytywała się Gabbie.

- Mam kilka niejasnych teorii, ale wolałbym na razie o nich nie mówić. Przynajmniej dopóki nie uda nam się przetłumaczyć kilku z tych ksiązek i pergaminów. Niemieckie sam przeczytam, wtedy Gary będzie mógł się zająć pozostałymi. Mogę nawet przeczytać starośrednio - i starogórnoniemiecki, powoli, ze słownikiem w ręku. A jeśli znajdą się jakieś po francusku lub flamandzku, to i z tymi sobie poradzę. Trochę to potrwa, ale wydaje mi się, że wreszcie trafiliśmy na to, czego szukam od ostatnich dwóch lat. To, co działo się w Niemczech na początku dziewiętnastego wieku, musiało mieć związek z Kesslerem i jego kolesiami i... - Zamyślił się na chwilę. Wydawał się czymś głęboko przejęty, mimo pozorów spokoju na twarzy. W końcu rzekł: - Nie wiadomo, jak i dlaczego coś im się nie udało, bardzo im się nie udało, a wtedy Kessler i jego przyjaciele musieli uciekać. Działy się tam rzeczy, które są tak... niesłychane, że nawet nie chcę o nich wspominać.

- Ale chyba nic niebezpiecznego, co? - zapytała Gloria. Rzecz jasna, miała na myśli swoich chłopców.

Mark zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym odparł:

- Możliwe, ale raczej nie wydaje mi się. W każdym razie, dopóki nie rozpowiemy o

tym znalezisku, nic nam nie będzie.

- Mark, to mi się nie podoba - oświadczyła Gloria. - Co tu się właściwie dzieje?

Mark zerknął na Gary'ego, ale ten tylko wzruszył ramionami. Mark żuł kęs przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie odpowiedział:

- Właściwie to sam nie bardzo wiem. Powiedziałem wam tę odrobinę, którą mi wiadomo o tym, co Kessler i jego gromadka robili w Niemczech, a także o dziwnych zjawiskach, jakie tam wtedy występowały. Może być tak... że to wszystko wzbudzi czyjeś zainteresowanie. Dlatego wolałbym zachować sprawę w tajemnicy. Będę miał dużo większe pojęcie o tym, co się tutaj dzieje, kiedy już skończymy.

- Ile to może potrwać? - zapytał Phil.

- Już prawie kończymy pierwszy zarys katalogu. Pozostał nam do skatalogowania niecały tuzin dokumentów. Na koniec otworzymy tę kasetkę i policzymy listy. Potem ja zacznę tłumaczyć niemiecki i francuski - uśmiechnął się złośliwie - a Gary będzie dostawał bólu głowy nad pahlavi i resztą.

- Na początek, dla rozgrzewki przed pahlavi, wezmę się za coś mniej egzotycznego - odpowiedział Gary. - Będę musiał pojechać do domu i przywieźć swoje lingwistyczne pomoce. Mam nadzieję, że sobie przypomnę, gdzie je schowałem.

- Większość twoich podręczników ze studiów leży na najniższej półce za moim biurkiem.

Gary kiwnął głową, dokończył kanapkę i oświadczył:

- Pojadę teraz.

- Dobrze - odparł Mark.- Pomogą mi Gabbie i Jack. Jeśli nie macie nic przeciwko temu - zwrócił się do dwójki młodych ludzi.

- Nie - odparła Gabbie.

- Skąd - zawtórował Jack. Oboje byli wyraźnie zadowoleni, że mogą wziąć czynny udział.

Dojadłszy kanapki, Mark dopił resztki lemoniady i zakomenderował:

- No to chodźmy. - Widząc zatroskanie na twarzy Glorii, dotknął jej ramienia i patrząc jej w oczy, zapewnił: - Nie ma w tym nic niebezpiecznego, Glorio.

Odwzajemniła jego spojrzenie i wolno kiwnęła głową. Odwróciła się, żeby posprzątać ze stołu, bo Phil wrócił do gabinetu, a Gabbie z Jackiem ruszyli w stronę piwnicznych drzwi.

Wychodząc z kuchni, Mark zastanawiał się, czy Gloria zorientowała się, że skłamał.

Ostatnim dokumentem na półce był zwój cieniutkiego welinu. Mark kazał Gabbie i Jackowi przytrzymać wielki arkusz rozłożony na płasko, podczas gdy sam go obfotografował. Potem nagrał na taśmie:

- Dokument sto trzydziesty szósty: pojedynczy arkusz, prawdopodobnie welinu, o wymiarach... - Gabbie rozciągnęła taśmę, a Jack szybko zmierzył pergamin, podając Markowi wymiary: - ...dwadzieścia cztery na trzydzieści cali. - Mark przyklęknął, by zbadać zwój bliżej. - Na pierwszy rzut oka nie widać żadnego pisma. Siedem linii, rozmieszczonych nierównomiernie, biegnących w pobliżu prawej krawędzi, jak na wykonanej fotografii. Na dole biegnie pojedyncza linia pod kątem mniej więcej sześćdziesięciu stopni do dolnej krawędzi, która ciągnie się na jakieś... siedem cali, potem skręca o jakieś dwieście pięćdziesiąt stopni w stosunku do pierwszego kąta i biegnie przez jedenaście i siedem ósmych cali. Kończy się kółkiem o średnicy wynoszącej niecałe pół cala. W lewym górnym rogu znajdują się trzy znaki. Od okręgu odchodzi linia przypominająca ślimacznicę - od małego do coraz większych okręgów - i biegnie przez dziewięć pełnych okrążeń w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Trudno na razie wnioskować o naturze tego dokumentu.

Kazał im zwinąć pergamin z powrotem i oznajmił:

- No, to by było na tyle. Teraz możemy zabrać się za tłumaczenie. - Uśmiechnął się, w widoczny sposób ucieszony z tego. - Zróbmy sobie krótką przerwę, dopóki nie wróci Gary.

Kiedy usiedli w kuchni przy kawie, Mark odezwał się:

- Wydaje mi się, że wreszcie uzyskamy odpowiedzi, których tak długo szukaliśmy. Już prawie czuję je w zasięgu ręki. - Wyglądał na zadowolonego, ale i zarazem mocno czymś przejętego.

- A jak właściwie zacząłeś zajmować się tą sprawą? - zainteresowała się Gabbie.

Mark zastanawiał się przez chwilę.

- Jakies dziesięć lat temu przygotowywałem książkę o tajnych stowarzyszeniach. Koniec końców i tak nigdy jej nie napisałem. Nie mogłem znaleźć wydawcy, bo dwie podobne książki nie okazały się bestsellerami. Tak czy owak, prowadziłem poszukiwania w Niemczech, w Munsterze - gdzie pod koniec piętnastego wieku działało tajne stowarzyszenie o nazwie Święty Vehm - kiedy przypadkiem wpadły mi w ręce listy od katolickiego księdza z Ulm, leżącego opodal Stuttgartu, datowane na październik 1903 roku. Ksiądz, do którego były adresowane, przyjaźnił się z autorem listów w seminarium. Listy umieszczono omyłkowo w niewłaściwym katalogu miejscowego archiwum diecezjalnego, gdyż

prawdopodobnie powinny były spocząć głęboko w kryptach Watykanu. Opowiadały o jakichś „procesach” i czyniły aluzje do wyroków śmierci. Książka z Ulm był głęboko poruszony zarówno tym, co się działo, jak i reakcją Kościoła. To właśnie była pierwsza wzmianka, na jaką się natknąłem, która mówiła o tym, że na przełomie wieków w Niemczech działy się jakieś niezwykle rzeczy. To, co udało mi się wtedy ustalić, to mniej więcej to samo, co opowiedziałem Philowi i Glorii: nastąpiło odrodzenie wszelkiego rodzaju pogańskich praktyk. - Przez dłuższą chwilę milczał. - Ludzie nawracali się na system wierzeń zakorzenionych głęboko w tradycji i mitologii gocko-germańskiej, w tym i prymitywne rytury skoncentrowane wokół kultu Białej Bogini, podobne do druidycznych praktyk w starożytnej Brytanii. Z tego, co odkryłem, wynika, że przez jakiś czas było tam dość niesamowicie. Natrafiłem na wzmianki o różnych okropnościach... możliwe, że składano ofiary z ludzi. - Znów zamyślił się na chwilę, jakby nie był pewien, co ma mówić dalej. Potem odprężył się i dokończył: - Te wzmianki rozpały moją wyobraźnię. Od tamtego czasu pracowałem nad innymi projektami, ale gdzieś w głębi duszy zawsze byłem przekonany, że pewnego dnia odkryję, co, u diabła, wyprawiało się w tych Niemczech osiemdziesiąt pięć lat temu. - Uśmiechnął się do wspomnień. - Kiedy dwa lata temu skończyłem książkę o praktykach wudu, postanowiłem zrobić sobie wakacje. Wydaje mi się, że zadziałała tu podświadomość, bo wybrałem Niemcy. Zaliczyłem Oktoberfest w Monachium, potem powędrowałem do Ulm, żeby trochę powęszyc. I znów dopisało mi szczęście. W rejestrach tamtejszych kościołów protestanckich i katolickich nie znalazłem nic, za to w archiwum miejscowej gazety natknąłem się na wzmiankę o grupce miejscowych biznesmenów, którzy nieoczekiwanie wyjechali do Stanów, Kanady i Afryki. W ten sposób wpadłem na ślad Kesslera i jego koleżków. - Pokręcił głową. - Nie wiem, w co byli zamieszani, ale dołożyli wszelkich starań, żeby zatrzeć za sobą ślady, a do tego część dokumentów zaginęła w czasie obu wojen światowych. Nie mogłem nawet ustalić, ilu ich dokładnie było, bo z relacji na relację ta liczba wciąż ulegała zmianie. Czasem dochodziła do dwudziestu, czasem miało ich być ledwie dziesięciu. Poza tym zmieniali nazwiska - a nawet narodowość, jeśli tylko mieli taką możliwość. Początkowo uganiałem się za trzema innymi z tej grupy, ale za każdym razem trafiałem w ślepią uliczkę. Po jednym wszelki ślad zaginął w kanadyjskiej Albercie, po drugim - w Nowej Południowej Walii, a po trzecim - w niemieckiej części Afryki Południowej. Potem prześledziłem poczynania Kesslera. Gdybym zaczął od starego Fredricka, to kto wie, może wiedziałbym dziś więcej? Ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia. - W tych słowach zdawało się pobrzmiwać jakieś ukryte znaczenie, a Gabbie już miała to skomentować, kiedy Mark zaczął mówić dalej: - Kiedy wróciłem z Niemiec, spędziłem kilka tygodni w Nowym



Jorku, wezwałem z Seattle Gary'ego i przeprowadziłem się do Pittsville. Zaczęliśmy wyszukiwać informacje o starym Kesslerze, próbując dojść prawdy. I wreszcie wygląda na to, że może się udać.

W tym momencie wrócił Gary, dźwigając pod pachą trzy ogromne tomszcza, a kilka innych w trzymanej w drugiej ręce torbie.

- No cóż, może i tak nie odszyfruję tych zwojów, ale lepiej wyposażony być już nie mogę.

Mark odstawił filiżankę.

- No dobrze, bierzmy się do roboty.

Gloria wetknęła głowę przez drzwi do piwnicy i zawołała:

- Mark! Masz zamiar pracować przez całą noc?

Mark podniósł głowę znad otwartego notesu, w którym tłumaczył właśnie jedną z ksiąg Kesslera, i zerknął na zegarek.

- To już po ósmej?

- Tak. Przesiedziałeś tu przez całą kolację.

Mark przypomniał sobie, że mu o niej mówiła, a on odparł, że zaraz przyjdzie na górę, a potem zapomniał na śmierć o jedzeniu.

- Jest tu Aggie i właśnie szykuje się do wyjścia. Może i wy dwaj ogłosilibyście fajrant i wyszli stąd, żeby coś przegryźć i trochę pospać?

Gary podniósł się powoli, prostując zeszywniałe od siedzenia na betonowej podłodze stawy, i rzucił:

- Popieram ten wniosek.

W ciągu kilku minut uporządkowali piwnicę, na koniec zamknęli nawet na klucz drzwi tajnego pokoju.

Kiedy wyszli, Phil poczęstował ich szklaneczką brandy, a Gloria odgrzała kolację.

- Gdzie Gabbie i Jack? - zainteresował się Gary.

Phil wzruszył ramionami, a odpowiedziała mu Aggie:

- U mnie w domu, jak przypuszczam.

Phil łyknął drinka i zagaił:

- No, umieramy tu wszyscy z ciekawości, co też udało wam się odkryć.

Mark i Gary wymienili się spojrzeniami, a Mark odpowiedział między kolejnymi kęsami:

- Wolałbym pokopać trochę głębiej, zanim zaryzykuję wygłoszenie teorii o tym, co znaleźliśmy.

Gloria wzięła go pod ramię i zaprowadziła do fotela. Usadziwszy go, oznajmiła:

- Ależ jesteś wśród przyjaciół, więc nie musisz się martwić tym, że później przyjdzie ci się z czegoś wycofywać. A jeśli zaraz nie podzielisz się z nami swoją wiedzą, podzielę cię po głowie największym z tych ogromnych tomiszczy. - Zawadiacka poza nie zdołała jednak ukryć głębokiej troski.

Mark uśmiechnął się, unosząc rękę w obronnym geście.

- Dobra, poddam się. - Umilkł na chwilę. Uśmiech na jego twarzy powoli gasł, w

końcu powiedział: - Mam dość szalony pomysł. - Rzucił okiem na Gary'ego, który wyraźnie gotów był przekazać mu inicjatywę. - Ale musicie przez cały czas pamiętać, że w miarę czynionych postępów będziemy modyfikować swoje poglądy. Może się ostatecznie okazać, że Kessler był kimś takim jak my, kto prowadził różne badania, takim historykiem amatorem.

- Który chowa się ze swą pracą w tajnym pomieszczeniu? - wyśmiała go Aggie.

- Może to był obłąkany historyk amator? - podsunął Gary.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Gloria zapytała:

- A więc jak wygląda ta wasza szalona historyjka, chłopcy?

- Zdołałem przetłumaczyć tylko fragment jednej książki - odparł Mark - a do tego oboje robimy to bardzo pobieżnie, żeby uzyskać ogólny pogląd, nie bawimy się w szczegóły. Niemniej wygląda na to, że wszystkie te książki i zwoje tyczą pewnej... tradycji.

- Tradycji? - powtórzył Phil. - Nie bardzo rozumiem.

- Może raczej religii czy kultu. Pamiętacie, że kiedy natknąłem się na list, od którego wszystko się zaczęło, zajmowałem się akurat badaniami nad tajnymi stowarzyszeniami. Tak czy owak, jeśli Kessler i spółka byli odpowiedzialni albo choćby tylko zamieszani w to, co działo się w Niemczech na przełomie wieków, mamy tu do czynienia tylko z niewielką częścią czegoś znacznie potężniejszego.

- Czy możemy prosić o więcej szczegółów? - wtrąciła Aggie, wyraźnie zaintrygowana.

- Do tego potrzebujemy jeszcze kilku tygodni tłumaczenia. Niektóre z tych dokumentów, jeśli są autentyczne, są bardzo stare.

- Jak stare? - zapytał Phil.

- Te zwoje w pahlawi mogą być z ósmego, może nawet siódmego wieku. A prawdopodobne, że greckie napisano kilka wieków wcześniej. Przypuszczam, że pochodzą z pierwszego wieku naszej ery.

- Czy zachowały się w dobrym stanie? - zainteresowała się Gloria. - Czytałam, że te stare zwoje mogą się rozpaść.

- Tak - odpowiedział jej Mark. - Te nasze przetrwały w zadziwiająco dobrym stanie. Ktoś dopilnował, aby były odpowiednio przechowywane. Gdyby sprawdzić ten pokój w piwnicy, pewnie okazałoby się, że jest dobrze zabezpieczony przed zimmem i wilgocią. Możliwe też... że to kopie, a nie oryginały. Potrzebowalibyśmy fachowego sprzętu, aby zbadać próbki - włókienka pergaminu, atrament czy inny materiał, którym pisali - żeby uzyskać pewność. Niemniej, ponieważ są aż tak stare, natykamy się na zwykłe w takich wypadkach trudności: przepisywali je skrybowie, którzy nie znali ortografii, korzystali z

własnego systemu stenograficznego lub posługiwali się jakimś lokalnym dialektem. Mamy dość spore szanse, żeby wszystko schrzanić. - Westchnął, już chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł, a po chwili zaczął od nowa. - Phil, głupio mi to mówić, ale... według mnie najlepiej będzie utrzymać to jeszcze przez jakiś czas w tajemnicy.

- Mówiłeś już o tym wcześniej - wtrąciła Gloria. - Czy mógłbyś sprecyzować dlaczego?

- Hm... nie jestem tego pewien, lecz możliwe, że ktoś - Mark zatoczył ręką szeroki krąg - może się tym zainteresować.

- Jeśli wszystkie te dokumenty są tak stare, jak mówisz - wtrąciła się Aggie - to jestem pewna, że mogłoby się nimi zainteresować spore grono historyków.

Mark potrząsnął głową.

- Nie, miałem na myśli raczej to, że ktoś mógłby tę całą sprawę zechcieć wyciszyć. - Odsunął pusty talerz i pociągnął łyk brandy. Gloria wyraźnie się zdenerwowała.

- Czy chcesz...

- Najpewniej nie - wszedł jej w słowo Mark. - Mówię: „tylko tak na wszelki wypadek” i wciąż to podkreślam. Nie trzeba się o nic martwić, dopóki się nie upewnimy.

- Tajemniczy Mark Blackman - rzuciła Aggie, wzruszając ramionami.

Mark wyglądał przez chwilę, jakby miał ochotę ostro zripostować, lecz po chwili rzucił tylko:

- Przepraszam. Jestem zmęczony. Naprawdę uważam, że nie ma się czym martwić. Ujmijmy to tak: jestem przesadnie ostrożny, dobra?

- Jak dla mnie może być - odpowiedział Phil. - W gruncie rzeczy też wolę podejść do tego ostrożnie. Mam do skończenia książkę, a dom pełen historyków nie sprzyjałby skupieniu.

Gary dopił kawę, a potem rzekł:

- Trochę potrwa, zanim będziemy w stanie stwierdzić w miarę dokładnie, co tu właściwie mamy. Przedzieram się teraz przez ten staroruski. To jakieś kościelne pismo, gdzieś z okolic Morza Czarnego, w którym autor wciąż odwołuje się do spraw, o jakich adresat musiał wiedzieć. Co chwilę napotykam zwroty typu „Zgadzam się z twoim wnioskiem”, a nie ma najmniejszej wzmianki o tym, czego by to mogło dotyczyć. Mam nadzieję, że znajdę tu także list, na który ten jest odpowiedzią, żebym przynajmniej wiedział, z czym autor się tak wciąż zgadza. - Słyszac jego zrzędlawy, udręczonej ton, wszyscy się roześmiali.

- Czy często trafiają wam się takie rzeczy przy tego rodzaju robocie? - zainteresował

się Phil.

- Zwykle nie zajmujemy się tego rodzaju robotą. W swojej piwnicy macie kolekcję zebraną w ciągu wielu wieków - odpowiedział mu Gary. - Te rzeczy pochodzą z całego świata. Mamy listy, zwoje i książki napisane po hebrajsku, w klasycznej łacinie, w łacinie kościelnej, w grece, starogórnoniemieckim, średniogórnoniemieckim, średnioangielskim i w wielu innych językach, jakich nawet nie jesteśmy w stanie rozpoznać, także po chińsku, japońsku, koreańsku i w jakiejś mieszance azjatyckich języków. W pewnym momencie będziemy musieli część z tych zbiorów przesłać do ekspertów, którzy przetłumaczą je poprawnie. - Posłał Markowi znaczące spojrzenie. - I to niedługo.

Mark jednak potrząsnął głową.

- Najpierw musimy wydobyć ogólny sens tego wszystkiego, ustalić, jak wpasowuje się to w jakiś szerszy wzorec, jak się ze sobą zazębia. Istnieje centralny ośrodek... czegoś. Gdybyśmy byli archeologami z przyszłości i trafiłby się nam jakiś dział biblioteki, moglibyśmy męczyć się z nim przez całe lata, zanim wpadlibyśmy na to, że jedyny porządek, jaki da się tu ustalić, to ten, że autorzy zostali ułożeni w porządku alfabetycznym. Bądź też w dziale dokumentalnym moglibyśmy trafić na sekcję poświęconą współczesnej polityce. Te książki, zwoje i listy o czymś nam mówią. Kiedy tylko odkryjemy, co to może być - kult, religia, tajna organizacja rządowa, cokolwiek, będziemy mogli zająć się szczegółami.

- No cóż, na mnie już czas - oznajmiła Aggie, podnosząc się z miejsca.

Mark i Gary zgodzili się, że już dawno należało się pożegnać, i także życzyli gospodarzom dobrej nocy. Odprowadzili Aggie do samochodu, a potem wyjechali za nią z podjazdu.

Kiedy samochód Marka ruszał, Phil rzucił jeszcze:

- Tajne stowarzyszenia, co?

Gloria przez chwilę milczała, potem odparła:

- I dziwaczne dokumenty. Trochę mnie to wszystko przeraża.

Phil spojrzał na żonę zdziwiony.

- Przeraża? Mnie raczej intryguje. A poza tym pozostaje jeszcze kwestia złota. Może to jednak nie jest takie tylko gadanie.

- Chcesz złapać za szpadel i ruszyć na poszukiwanie zakopanych skarbów? - rzuciła sarkastycznie Gloria.

Phil złapał żonę żartobliwie, obrócił ją ku sobie i odparł:

- Tu mam wszystkie skarby, jakich pragnę. - Pocałował ją, osuwając dłoń na pośladek.

Gloria jednak nadal pozostała spięta, nie odwzajemniając żartobliwych pieszczot.

- Hej, co się dzieje?

Oparła głowę na ramieniu męża.

- Mark nas okłamuje, Phil. On coś ukrywa, odkąd zobaczył tamten pokój.

Phil spojrzał na żonę.

- Czy ty trochę nie przesadzasz? Aggie mówiła przecież, że Mark nie lubi gadać o swojej pracy. Sam to potwierdził. Jest po prostu ostrożny.

- Może masz rację - odparła z westchnieniem Gloria. Wiedziała jednak, że tak nie jest.

Gloria odwiesiła słuchawkę.

- To był Mark.

Phil, który siedział przy biurku, popatrzył na stojącą w holu żonę i zapytał:

- Co się dzieje?

- Leci jutro do Nowego Jorku. Mówi, że trafili na mur, więc muszą się skonsultować z odpowiednimi ludźmi. Gary zabiera kopie kilku najbardziej egzotycznych tekstów do swoich przyjaciół na uniwersytecie w Waszyngtonie, a Mark ma zamiar porozmawiać ze znajomymi na uniwersytecie w Nowym Jorku.

Phila zaniepokoił dziwny ton w jej głosie.

- Coś cię martwi, skarbie?

Gloria stała, obejmując się rękoma, a teraz jeszcze potrząsnęła głową, jakby chciała oderwać myśli od czegoś.

- Nie, chyba nie. Tylko że...

- Co?

- Sama nie wiem, ale kiedy Mark odłożył słuchawkę, ogarnęło mnie takie bardzo dziwne uczucie, jakbym... jakbym już nigdy więcej nie miała z nim rozmawiać.

Phil już miał sobie zażartować, kiedy zorientował się, że żona jest naprawdę przejęta, więc szybko się powstrzymał. Wstał i podszedł do niej.

- Hej, Irlandko, co jest? - zapytał, biorąc ją w ramiona i tuląc do siebie delikatnie.

- Od lat już mnie tak nie nazwałeś - odrzekła. Wsparła głowę na jego ramieniu. - To tylko taki zimny dreszczyk.

Phil zawahał się na moment, potem sięgnął poza żonę i wziął do ręki słuchawkę telefonu. Wybierał właśnie numer, kiedy Gloria zapytała:

- Co robisz?

- Poczekaj. - Po drugiej stronie zadzwonił telefon, potem ktoś odebrał. - Mark, tu Phil. Kiedy wylatujesz? - Wysłuchał odpowiedzi, a potem oznajmił: - No to posłuchaj. Może byście razem z Garym wpadli do nas, a potem wszyscy pojechalibyśmy do Buffalo na kolację? Później posiedzimy z Garym w barze na lotnisku aż do odlotu jego samolotu. W ten sposób nie będzie musiał przez dwie godziny sterczeć sam na lotnisku. A ciebie nie powieszają za rachunki za długoterminowe parkowanie. Nie, żaden kłopot. Będziemy mieli frajdę. - Odwiesił słuchawkę.

- A to co było? - zapytała Gloria.

- Mark wylatuje o dziesiątej, a Gary musi złapać samolot o północy. W ten sposób będziesz mogła pozbyć się przecucia, że już nigdy nie zobaczysz Marka. - Zerknął na zegarek. - Zobaczysz go już za niecałe dwie godziny. Będzie tu o piątej.

Gloria uśmiechnęła się.

- Dzięki.

- Za co?

- Za to, że się nie nabijałeś.

Skwitował tę uwagę wzruszeniem ramion, a tymczasem w kuchni dał się słyszeć trzask zamykających się za bliźniakami drzwi.

- Mamo! - poniosło się echem przez cały dom, kiedy Patrick obwieścił wszystkim powrót swój i brata. Otworzyły się wahadłowe drzwi i na scenę wmaszerowały bliźniaki. Sean niósł w ręce plik listów.

- Jest poczta - poinformował.

Phil wziął od niego listy, a Gloria zapytała:

- Zgadnijcie, kto upiekł dziś czekoladowo-orzechowe ciasteczka?

Z okrzykiem aprobaty bliźnięta ruszyły wraz z matką do kuchni, gdy tymczasem Phil wykorzystał srebrny nóż do papierów, który dostał od Aggie, aby się przekonać, jaki też ma w tym miesiącu rachunek na American Express. Nóż przywiódł mu na myśl Aggie, więc zawołał do żony:

- Lepiej zadzwoń do Aggie i powiedz Gabbie, że potrzebujemy jej dziś wieczór do pilnowania chłopców.

Pokręcił głową. Bez rozgłosu i fanfar Gabbie zaczęła spędzać tam noce i przez ostatnich kilka dni rzadko widywali ją w domu, już najprędzej w stodole. Mogła być nie wiem jak zakochana w Jacku, ale o koniach pamiętała. Phil zerknął na ostatni list ze sterty, potem spojrzał raz jeszcze, wpatrując się w adres zwrotny w takim zdumieniu, jakby nie wierzył własnym oczom. Potem krzyknął:

- I powiedz, że jest list do niej. Od matki.



Twarz Gabbie nie wyrażała absolutnie nic, kiedy skończyła czytać list. Składając go powoli, spojrzała na ojca i zaczęła się śmiać.

- Mama wyszła za mąż.

Phil zamrugał ze zdumienia i powtórzył:

- Wyszła za mąż?

Gloria z zainteresowaniem śledziła jego reakcję. Jedyny temat z przeszłości Phila, który wyprowadzał go z równowagi, to była Corinne. Phil podał Glorii kilka suchych faktów i stanowczo odmówił dalszych rozmów na temat swego pierwszego małżeństwa. Kiedy zaczęli się spotykać, Gloria martwiła się, że Phil w skrytości ducha nie przestał kochać pierwszej żony. Szybko przekonała się jednak, jak dalece jej obawy są nieuzasadnione. Gloria wiedziała, że w Philu do tej pory drzemie wiele wrogości i gniewu, lecz poza nimi żywił jeszcze inne uczucia, którymi nie chciał się z nią podzielić. Była to jedyna sprawa, o której jej nie opowiedział.

Gabbie śmiała się nieprzerwanie, ogromnie rozbawiona, ale i z nutką goryczy.

- Wyszła za Jacquesa Jeneau.

Gloria otworzyła szeroko oczy.

- Za tego francuskiego milionera?

Phil wykrzywił usta, a oczy zaszyły mu łzami. Przez chwilę Glorii wydawało się, że wybuchnie płaczem, lecz nagle odrzucił głowę w tył i huknął śmiechem. Był bliski konwulsji, śmiał się tak bardzo, że spadł z poręczy małej sofki stojącej przy jego biurku i grzmotnął na ziemię. Leżał na plecach i wciąż się zaśmiewał.

Gabbie mu wtórowała. Wesołość ojca była tak zaraźliwa, że wkrótce musiała otrzeć łzy. Śmiech przetaczał się falą od jednego do drugiego - napędzali się nawzajem w swej wesołości, aż wreszcie Gabbie musiała usiąść i wstrzymać oddech, żeby móc się uspokoić. Jack, który stał cicho przy drzwiach do holu, zapytał Glorii:

- Co ich tak śmieszy? - Ta jednak wzruszyła tylko ramionami na znak, że także nie ma pojęcia.

Phil leżał na plecach, na chwilę przysłoniwszy ręką oczy, a jego gromki śmiech przekształcił się teraz w nieustający rechot. W końcu wziął głęboki wdech i westchnął. Gabbie zakryła twarz ręką, wycierając łzy z policzków.

- Kto to jest Jacques Jeneau? - zapytał grzecznie Jack.

Phil usiadł, także otarł łzy z twarzy i odpowiedział:

- Ach, w tym właśnie sedno sprawy.

Wstał i podszedł do córki. Uklęknął przy niej i mocno objął ją ramionami - był to rzadki między nimi przypadek publicznego okazywania czułości.

- W porządku, mała?

Gabbie powstrzymała śmiech i spojrzała na ojca zaczerwienionymi od łez oczyma. Pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

- No. - Pocałowała go w policzek, potem rzuciła: - Niezły dowcip, co?

- Może zechcecie nam wyjaśnić, co jest tak diabło śmieszne? - wtrąciła Gloria.

Phil dalej klęczał przy Gabbie.

- Jacques Jeneau to francuski playboy, który czas spędza między wolnymi łodziami a szybkimi kobietami. Jego hobby to przegrywanie regat i rozpraw rozwodowych. - Usiadł na podłodze, wspierając ramię o kolana Gabbie. - Spotkaliśmy go pierwszy raz na jakimś przyjęciu, chyba w sześćdziesiątym szóstym. Na jakiś tam dobroczynny cel. Corinne dostawała sporo takich zaproszeń ze względu na swoją rodzinę, bo my sami byliśmy biedni i ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. Chodziliśmy na sporo takich przyjęć - w każdym razie na te, które były darmowe. Wiązało się z tym mnóstwo darmowych drinków i niezłe jedzenie. A ten cały Jeneau zaczął się dostawiać do Corinne. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - To było, zanim jeszcze zrobiła się tak radykalna, a już wtedy nazwała go pasożytem. Potem widzieliśmy go jeszcze z pół tuzina razy, a za każdym razem on od nowa ostro do niej startował. Traktowaliśmy to jako żart. Uganiał się za nią z przerwami przez jakieś dwadzieścia lat. Wygląda na to, że wreszcie zdołał ją złapać. Niezły żart.

- A największy żart to ten list - odezwała się Gabbie. Westchnęła i spojrzała na Jacka.

- To tyle, jeśli chodzi o wielką damę lewicy. Tylko spójrzcie na ten wytłaczany papier listowy! Rany boskie, przecież to na pewno z firmowego sklepu w Paryżu.

Gloria nie mogła dłużej wytrzymać, wzięła więc list z rąk Gabbie. Przeczytała go, a potem skomentowała:

- A więc przykro jej za te wszystkie minione lata i zaprasza cię do siebie?

Gabbie wstała.

- Trochę późno.

Podeszła i stanęła obok Jacka, który objął ją ramionami.

- Nie bądź dla niej zbyt surowa, Gabbie - odezwał się Phil, wstając. - Może zmięknęła na starość.

- Jeśli wyszła za Jeneau, to nie tyle zmięknęła, co raczej zgniła. - Gabbie wykrzywiła twarz. - Spotkałam go na jednym z przyjęć dla bogaczy u babci. Przystawiał się też do mnie, a

miałam wszystkiego piętnaście lat!

Jack uśmiechnął się szeroko.

- No i co? Pewnie niezły był z ciebie towar jak na piętnastolatkę, a może to typ niegrzecznego staruszka?

- Staruszka? - Gabbie westchnęła z rezygnacją. - Nie, prawdę mówiąc, wygląda świetnie. Coś jak Robert Redford z wielkimi brązowymi oczyma i idealną siwizną na skroniach. A sylwetkę ma jak gimnastyk. Do tego ocieka wprost galijską uprzejmością. Tylko że jest tak cholernie ostentacyjny. Przyzwyczaił się, że kobiety same się na niego rzucają. Myślę, że był na pół zaszokowany, na wpół rozbawiony, kiedy odeszłam i zostawiłam go samego.

- Jaka matka, taka córka - orzekł Phil. - Corinne intrygowała go od lat. Podejrzewam, że po prostu nie mógł ścierpieć, że jest odrzucany.

Gloria postukała się listem po brodzie.

- Jak powiadają Chińczycy: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Żarty żartami, dzieciaki, ale jeśli mamy zjeść jakiś obiad, lepiej sprawdzę, co z pieczenią. Wkrótce będą tu Mark i Gary. - Mijając Gabbie, oddała jej list.

Phil ruszył w stronę drzwi, po drodze rzucając jeszcze:

- To mógłby być niezły miesiąc miodowy, dzieciaki. Południe Francji jest całkiem niezłe.

Gabbie popatrzyła na Jacka.

- A co ty o tym sądzisz?

- Sądzę, że zrobimy tak, jak zechcesz. Zawsze możemy załatwić sprawy tak, żeby wpaść przejazdem do Nicei. Koktajle na jachcie i takie tam. Potem możemy się wynieść, gdyby coś nam się nie spodobało.

Gabbie westchnęła.

- Pomyślę o tym. Może powinnam zobaczyć się z mamą, przynajmniej raz.

Phil odezwał się półgłosem:

- A skoro już wiesz, gdzie jest, to może powinnaś zaprosić ją na ślub?

- O tym także pomyślę. - Z lekką złośliwością dodała: - Ona mnie na swój nie zaprosiła.

Phil położył jej dłoń na ramieniu.

- Rozumiem. Zrobisz, jak zechcesz, w porządku? - Przerwał mu odgłos zajeżdżającego samochodu. - To pewnie Mark i Gary. Wrócimy po północy.

Gabbie kiwnęła głową.

- Bawcie się dobrze.

Pojawiła się Gloria i wyjęła z szafy płaszcz, a tymczasem do drzwi zastukał Mark. Gloria wydała szybko ostatnie instrukcje w sprawie obiadu i wetknęła głowę do salonu, żeby życzyć chłopcom dobrej nocy. Wkrótce samochód Marka wyjeżdżał na główną szosę, a Gabbie i Jack zostali sami w gabinecie ojca.

Jack studiował twarz Gabbie w miękkim świetle padającym przez okno z lampy na ganku i zastanawiał się, co też się dzieje w jej głowie. Zdawał sobie sprawę, że kiedy w grę wchodzi matka, dziewczyna żywi dość mieszane uczucia, ale wiedział też, że zdecyduje tak, jak będzie dla niej najlepiej, bez bzdur i przeprosin. To była jedna z tych cech, dla których tak za nią szalał. Westchnęła i bez słowa położyła mu głowę na ramieniu. Ogarnęło ich to miłe, ciepłe uczucie, jakie zapewniał im ten prosty fakt, że są razem, gdy tymczasem odgłos strzelaniny z salonu poinformował ich, że bliźniaki odkryły coś zajmującego na jednym z ponad setki kanałów, jakie ściągała antena Phila. Gabbie pocałowała go lekko w policzek i odezwała się:

- Chodź, kochany. Trzeba nakarmić potwory.

Z udanym jękiem niechęci, na myśl o porzuceniu wygodnej kanapy, Jack wstał i ruszył za Gabbie do kuchni.

Gabbie wybiegła na korytarz, kiedy telefon zadzwonił po raz piąty. Ociekała wodą i z wściekłością usiłowała utrzymać na sobie ręcznik. Mijając pokój bliźniaków, krzyknęła:

- Wielkie dzięki, bachory!

Sean i Patrick spojrzeli na nią znad czytanych właśnie komiksów i wymienili pytające spojrzenia. Obaj przebywali w odległym, czterokolorowym świecie superbohaterów w charakterystycznych kostiumach z kosmicznej przygody, zatem coś tak przyziemnego jak dzwoniący telefon nie zdołało się przebić przez mur ich skupienia. Patrick wyrzwał przez zalane deszczem okno i zastanowił się bezgłośnie:

„Czy to kiedykolwiek się skończy?”

- Jasne - odparł Sean. - Kiedy w poniedziałek trzeba będzie iść do szkoły. - Żaden z nich nie uważał za dziwne tego, że od czasu do czasu porozumiewali się bez słów. Robili tak przecież od urodzenia.

Patrick powrócił do swego komiksu, narzekając bezgłośnie. Rok szkolny trwał już od miesiąca, a deszcz zdawał się lać nieprzerwanie już od drugiego jego dnia. Albo padało, albo ziemia w parku była zbyt rozmiękła, by dało się na niej grać. A teraz przepadła im kolejna sobota. Od trzech tygodni nie zagrali ani jednej zmiany i obaj czuli się, jakby czegoś ich pozbawiono. Zresztą dzieciaki w szkole już i tak nie chciały więcej grać w baseball. Zaczął się sezon piłkarski, a choć bliźniacy lubili futbol, nie było to to samo, co dobry mecz baseballowy. Był to nieomylny znak, że lato minęło, a następne jest niewiarygodnie odległe. Poza tym w następnym roku miała wystartować Mała Liga i choć ekscytowała ich perspektywa zorganizowanych rozgrywek, czuli też, że z życia umknie im pewien element wolności.

Sean przyglądał się bratu. W obliczu Patricka odbijało się jak w lustrze jego własne przygnębienie, lecz odbicie to pogłębiał jakiś mroczny cień. Sean wiedział, że Patrick pała chęcią odwetu na Czymś Złym, ale miał nadzieję, że kiedy większość jego energii pochłonie szkoła, zadowoli się przeczekaniem owych dwóch tygodni, jakie pozostały im do pierwszego listopada, kiedy to Dobry Ludek odejdzie. Z drugiej strony gdzieś głęboko w środku miał świadomość, że to mało prawdopodobne. Sean czytał w Patricku jak w otwartej księdze. Niedługo Patrick zacznie działać.

Gabbie przemknęła jak burza w przeciwnym kierunku, zatrzymując się tylko na chwilę, by rzucić:

- Cholerny akwizytor! Jeśli telefon zadzwoni jeszcze raz, kiedy ja się kąpię, lepiej niech któryś z was, potworów, odbierze, bo inaczej... - Nie dokończyła, bo żaden z maluchów nie wyglądał na zbytnio przejętego tą mglistą groźbą, sama zresztą nie miała zielonego pojęcia, co mogłaby im w takim przypadku zrobić. A do tego ręcznik był stanowczo za mały, żeby dobrze zakryć większość tego, co Gabbie chciała mieć zakryte. Dość zabawne zmagania z ręcznikiem całkowicie zniweczyły starania o przybranie złowieszczy wyglądu. Podała się więc i odeszła.

- Strasznie często się kąpie. Wciąż bierze prysznic - zauważył Patrick.

Sean przytaknął kiwnięciem głowy.

- Dziewczyny tak robią. Nie lubią być brudne.

Dokonawszy tej wnikliwej analizy, powrócili do swych komiksów.

Po chwili telefon zadzwonił znowu. Sean podniósł wzrok i zobaczył, że Patrick jest całkowicie pochłonięty najnowszymi przygodami Wonder Woman. Wsłuchał się i usłyszał w holu echo głosu Gabbie:

- Odbierzcie ten telefon, do diabła!

Sean wstał więc i popędził do telefonu, podniósł słuchawkę i odezwał się:

- Halo?

- Patrick? Sean? - dopytywał się w słuchawce czyjś głos, zniekształcony przez wielką odległość.

- Sean.

- Mówi Mark. Czy jest wasz ojciec?

- Nie. Mama i tato pojechali na zakupy. Wrócą dopiero na obiad.

- A czy jest tam może Jack albo Gabbie?

- Jack ma dopiero przyjść, a Gabbie jest w wannie. Długo pana nie było. Kiedy pan wraca?

- Niedługo. Jestem w Niemczech. Posłuchaj mnie teraz uważnie, Sean. Chciałbym, żebyś przekazał tacie wiadomość ode mnie. To bardzo ważne. Nie wiem, kiedy wrócę... - Przerwał mu nagły wybuch szumów i trzasków, a potem Mark dokończył: - ...ale mniejsza o to, powiedz tylko tacie, żeby nie ruszała tych rzeczy w piwnicy, dopóki nie wrócę, bez względu na to, co znajdzie. A gdyby znalazł coś jeszcze na terenie waszej posiadłości, powiedz mu... - Jego słowa znów zagłuszyły trzaski. - To bardzo ważne, żeby niczego nie dotykał. Zapamiętałeś?

- Jasne. Jest pan w Niemczech, a tato ma nie ruszać tych rzeczy w piwnicy.

- Dobra. Powiedz też tacie, że dostałem kilka tłumaczeń pergaminów i uzyskałem kilka nowych informacji... - Dał się słyszeć kolejny głośny wybuch trzasków, kiedy w pobliżu rozbłysła błyskawica. Głos na drugim końcu zamilkł. Sean przysłuchiwał się przez chwilę serii cichych kliknięć, a po dłuższej chwili ciszy usłyszał długi sygnał. Ton głosu Marka i ta nagła cisza zaniepokoiły Seana. Trzymał w ręku słuchawkę, dopóki nie włączyło się nagranie, które nakazywało mu ją odłożyć. Odłożył ją więc i ruszył do swojego pokoju.

Gabbie otworzyła drzwi łazienki, zza których wymknęła się smużka pary, i zapytała:

- Kto to był?

- Mark. Jest w Niemczech.

Gabbie wyłoniła się z łazienki, przyodziana w biały, miękki szlafrok. Miała zdziwioną minę.

- Dzwonił z Niemiec?

- Tak. Jest w Niemczech - odparł Sean, kiwając głową. - Kazał powiedzieć tacie, żeby nic nie ruszał w piwnicy, dopóki on sam nie wróci.

Gabbie wycierała ręcznikiem włosy.

- Ciekawe, o co chodzi. Niemcy? Myślałam, że jest w Nowym Jorku. Mówił coś jeszcze?

- Tak... - Sean myślał przez dłuższą chwilę. - Ale już nie pamiętam.

- Świetnie. Lepiej sobie przypomnij, zanim wróci tato. Kiedy wraca Mark?

- Powiedział, że nie wie. - Bez dalszych komentarzy wszedł do swego pokoju i powrócił do najnowszych przygód Batmana. Przez długi czas przeglądał kolorowe strony, ale nie mógł się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, jakie wywarł na nim głos Marka. Sean nie bardzo się na tym znał, ale wydawało mu się, że Mark się boi.

Phil nie był zadowolony, nie mogąc się dokładnie dowiedzieć, co właściwie zaszło.

Pytał:

- A więc powiedział, że mam nic nie robić?

Sean przytaknął kiwnięciem głowy.

- Z czym nie robić, kochanie? - dopytywała się Gloria.

Sean z wysiłkiem próbował sobie przypomnieć.

- Zdaje mi się, że miał coś dla ciebie. W każdym razie mówił, że ci o tym opowie, jak wróci.

Gloria zapatrzyła się w lejący na dworze deszcz.

- Ale nie mówił, kiedy to będzie?

- Powiedział tylko, że niedługo - odparł Sean, wzruszając ramionami.

Gabbie jadła w milczeniu. Udało jej się zrzucić z siebie odpowiedzialność za pomocą twierdzenia, że ma prawo do nieprzerywanej kąpieli, a chłopcy są już na tyle duzi, że mogą zapisywać wiadomości. Ojciec zasadniczo się z nią zgodził, lecz mimo wszystko sprawiał wrażenie zirytowanego. Miała wszystkiego dopilnować.

Usłyszeli pukanie do drzwi, a potem do kuchni wszedł Jack. Był przemoczony, ale uśmiechnięty.

- Gotowa?

- Poczekaj chwilkę - odpowiedziała Gabbie, zrywając się od stołu. - Dzisiaj mamy niewielkie spóźnienie.

- Spokojnie. Film zaczyna się dopiero za godzinę.

- Nie, jedźcie już teraz - wtrąciła się Gloria. - Nie chcę, żebyście gnali przy takiej pogodzie. Przecież wiem, jak Gabbie prowadzi. - Gabbie wybiegła z kuchni i popędziła po schodach. Gloria przyjrzała się ociekającemu wodą młodzieńcowi.

- Dlaczego, na Boga, nie pozwoliłeś, żeby po ciebie przyjechała? Nawet w tym przeciwdeszczowym płaszczu jesteś cały przemoczony.

Jack puścił jej oko.

- Bo gdybym został u Aggie, Gabbie czekałaby do ostatniej chwili, żeby mnie stamtąd zabrać, a ja też wiem, jak ona prowadzi.

- Słyszałam! - dobiegło z piętra.

- Gabbie mówi, że wyjeżdżasz na kilka dni - zagadnęła Gloria.

Jack rozpiął płaszcz.



- Jutro z samego rana. Mam we Fredonii starego kumpla, który pomoże mi zorganizować materiał, a potem przygotuje mnie do drugich ustnych, które mam już za niecałe dwa tygodnie.

- A więc to już? - spytał Phil.

Jack kiwnął głową, zdradzając lekkie zdenerwowanie.

- Jeśli przebrnę przez te ustne, zostanę doktorantem. Sam doktorat nie przyjdzie automatycznie, ale to już tylko kwestia odpowiednio wykonanej pracy. To właśnie na tym egzaminie robią przesiew i odrzucają tych, którzy w ich mniemaniu nie dadzą sobie rady. Taka ostateczna selekcja stada.

- Poradzisz sobie - orzekł Phil.

- Dzwonił Mark Blackman. - Gloria zmieniła temat. - Jest w Niemczech.

- W Niemczech?

- Jeśli Sean dobrze usłyszał, był w Niemczech przez ostatnie dwa tygodnie.

Jack przez chwilę był wyraźnie zbity z tropu.

- To pewnie ma coś wspólnego z tymi rzeczami w piwnicy. W Niemczech? Coś podobnego.

- Pewnie tak - zgodził się Phil. Odłożył widelec. - To jednakże nie wyjaśnia tego, co się dzieje z Garym. Spodziewałem się go z powrotem już kilka dni temu.

Patrick podniósł znad talerza wzrok pełen winy.

- Jest wciąż w Seattle.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Phil.

- Dzwonił.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. Zapomniałem ci powiedzieć. Powiedział, że Mark poleciał z Nowego Jorku do Niemiec, a on sam jeszcze przez jakiś czas zostanie w Waszyngtonie.

- Chyba jutro kupię automatyczną sekretarkę - zżymał się Phil, na poły rozbawiony, na poły zrezygowany. - Dlaczego w domu, w którym mieszka pięć osób, otrzymanie prostej wiadomości przekracza ludzkie możliwości...

Gabbie aż podskoczyła na dźwięk zbliżającego się po podjeździe samochodu. Upuściła na podłogę czytaną książkę i wyrzała przez okno. Jack ledwie zdążył wysiąść z samochodu Aggie, kiedy już zbiegała po stopniach ganku, żeby na niego wskoczyć. Zachwiał się pod jej ciężarem i oparł o błotnik samochodu. Przytrzymał ją w górze, kiedy go całowała. Kiedy wreszcie oderwała usta od jego ust, odezwał się:

- Hej, przecież nie było mnie zaledwie tydzień.

Pocałowała go jeszcze raz, długo i namiętnie.

- Wydawało mi się, że przez miesiąc. - Po chwili dodała z łobuzerskim uśmiechem: - Jestem tak diabelnie napalona, że sama nie mogę w to uwierzyć.

Jack odwzajemnił jej uśmiech.

- Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Wsunęła mu język do ucha, co, jak odkryła, doprowadzało go do szaleństwa. Jackiem wstrząsnął dreszcz. Szybko wyplątał się z jej objęć.

- Ale dopiero w nocy, ty bezwstydna latawico. - Kiedy odęła wargi w udanej obrazie, dodał: - Aggie przyjmuje na herbacie kilka tutejszych matron. Znów zbiera materiały do swojej książki. Chyba że stąd wszyscy się gdzieś wynieśli? - rzucił z nadzieją.

- Nie ma tak dobrze. Bliźniaki za godzinę wrócą ze szkoły, a Gloria gotuje coś w kuchni. Tato gra w gry komputerowe, a my wszyscy powinniśmy być przekonani, że ciężko pracuje. - Uszczypnęła Jacka w tyłek. - Moglibyśmy złapać koc i wymknąć się do stodoły.

Jack podskoczył i wybuchnął śmiechem.

- Jesteś nienasycona, kobieto. - Pocałował ją. - Ci twoi braciszki mają radar. Władują nam się do stodoły w najmniej odpowiednim momencie. Poza tym zaczyna padać, a dach w stodole przecieka, no i jest zimno! Bądź dobrą dziewczynką.

Obejmując go raz jeszcze, Gabbie uśmiechnęła się łobuzersko.

- Dobrą? Mówiłeś, że jestem świetna.

Jack roześmiał się z rezygnacją. Pierwsze krople deszczu obwieściły początek burzy, która przez cały dzień krążyła po ciemnym niebie.

- Chodźmy do środka - rzucił Jack.

W gabinecie Phil garbił się przed komputerem, koncentrując się ze wszystkich sił na tym, co widział przed sobą na ekranie. Po chwili wyciągnął z szuflady notes i ołówek. Przyjrzał się notatkom i wpisał kod, który umożliwi mu powrót do pozycji, z której ostatnio zaczynał. Zdecydowany był jakimś sposobem dokończyć to samodzielnie oraz, bez niczyjej

pomocy, uzyskać najwyższy, czterystypunktowy wynik dla grającego Zorkiem. Podniósł wzrok i uśmiechnął się na widok Jacka.

- Jak tam?

- Całkiem nieźle. Wydaje mi się, że jestem gotów do egzaminu w przyszły wtorek. Mój kumpel Mike wymyślał takie pytania, na które nie wpadłaby nawet sama Aggie. A skoro mowa o Aggie, to pomyślałem sobie, że mógłbym posiedzieć u was ze dwie godziny, zanim pojedę do domu. Mniej więcej w tym czasie jej babski comber powinien się skończyć.

- To dobrze - orzekła Gabbie. - Możemy spożytkować jakoś ten czas.

- Jak spożytkować?

- Na strychu stoi jeszcze kilka kufrów, których dotąd nie spenetrowaliśmy. Chodźmy w nich pogrzebać, to może znajdziemy coś interesującego.

- Pod jakim względem? - zapytał Jack.

- Kto wie? Może uda nam się znaleźć coś, co przyda się Markowi i Gary'emu, kiedy wrócą. - Minęły już trzy tygodnie października, a ani Mark, ani Gary nie wrócili jeszcze ze swoich wojaży, w czasie których poszukiwali rozwiązania dziwnej tajemnicy piwnicznego schowka u Hastingsów. - Parę dni temu dzwonił Gary. Utknął u swoich lingwistycznych przyjaciół w Seattle. Stracił z oczu Marka i chciał wiedzieć, czy mieliśmy od niego jakąś wiadomość.

- Stracił go z oczu? - zastanawiał się Jack. - To dość dziwne.

- Gary nie wydawał się tym szczególnie przejęty. Mówił, że Mark w czasie swoich podróży często zbacza na różne boczne ścieżki. Zgłosiłam nas więc na ochotnika do przeszukania strychu. Tak czy inaczej, będziemy mieli jakieś pożyteczne zajęcie na dzisiejsze popołudnie.

Jack pokręcił głową.

- No dobra. Przegadałaś mnie, ty miodousta diablico.

Phil wpatrzony był już w ekran komputera.

- Bawcie się dobrze - rzucił z roztargnieniem.

- No to chodź, idziemy na strych i zaczynamy grzebać.

Kiedy wchodzili po schodach, Jack zwracając się ku niej z diabolicznym uśmiechem, szepnął:

- Wiesz, to brzmi dość nieprzyzwoicie.

Za całą odpowiedź musiał mu wystarczyć krótki szturchaniec łokciem pod zebro, jaki mu wymierzyła, kiedy zmierzali ku schodom na strych.

Tego się po prostu zrobić nie da. Jak próbujesz przejść z zapaloną pochodnią przez wypełnioną gazem komnatę, wysadzasz się w powietrze, a kiedy zgasisz pochodnię, dopada cię obrzydliwe straszidło. Odgłos padającego deszczu odciągnął uwagę Phila od ekranu komputera. Zerknął przez ramię i przekonał się, że mżawka przerodziła się w regularną ulewę. Potem monotony odgłos pluszczącej o szyby wody przecięły głosy Gabbie i Jacka. Zerknął na zegarek i uświadomił sobie, że grał prawie półtorej godziny. Szybko zachował swoje położenie w grze i wyłączył komputer.

Do gabinetu wszedł Jack, niosąc rulonik papieru.

- Phil, zerknij no na to - odezwał się.

Phil przez chwilę studiował papier.

- To mapa posiadłości - orzekł, a przyjrząwszy się dokładnie pożółktemu papierowi, dodał: - Wygląda na starą.

Jack wskazał na blok tytułowy w prawym dolnym rogu i potwierdził:

- Tutaj piszą, że z tysiąc dziewięćset szóstego. To mniej więcej wtedy nabył ją Fredrick Kessler.

- Stodoła stoi w innym miejscu. I jest mniejsza - zauważyła Gabbie

- Pewnie później kazał zbudować nową - stwierdził Phil. - To z całą pewnością pierwszy plan całej parceli. Nie ma wielkiego balkonu i narzędziowni przy szopie, a podjazd skręca pod nieco innym kątem. - Coś go w tej mapie niepokoiło, jednak nie potrafił sprecyzować źródła swego odczucia.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że Jack przygląda mu się uważnie.

- Ty też? - zapytał chłopak.

- W tej mapie jest coś dziwnego, tato - oznajmiła Gabbie, kręcąc głową.

- Tak, ale co?

- Wygląda jak coś, co już widzieliśmy, a jednocześnie inaczej - zauważył Jack.

- Nie przypominam sobie, żebym oglądał jakieś plany posiadłości, z wyjątkiem tych, które pokazano nam w banku przy zakupie, a i te były bardzo ogólne, dostarczone przez spółkę z tytułem własności do ziemi.

Gabbie wpatrzyła się w mapę tak intensywnie, jakby chciała siłą woli zmusić ją do wyjawienia sekretu. Nagle wyraz jej twarzy oznajmił wszystkim jasno, że coś zrozumiała.

- Mam! - krzyknęła.

- Co takiego? - zapytał Jack.

- Poczekaście tu, a zaraz wam pokażę. - Wybiegła z gabinetu, a po chwili Phil i Jack słyszeli odmykane drzwi od piwnicy. Dobiegły ich zbiegające po drewnianych schodach kroki, potem nikły odgłos otwierania drzwi do tajnego pokoju. Już po chwili Gabbie była z powrotem, niosąc ze sobą jakiś pergamin.

- To jest ta dziwna rzecz, którą znaleźliśmy, kiedy pomagaliśmy Markowi.

Rozwinęła pergamin i wszyscy jeszcze raz spojrzeli na dziwny niezapisany welin z pojedynczymi liniami i okręgami.

- Popatrzcie na te siedem kresek na górze i przyjrzyjcie się podkreślonym słowom na mapie! - mówiła podekscytowanym tonem.

- Gabbie, jesteś genialna! - pochwalił ją Jack. - To nakładka. Patrzcie. - Przyłożył półprzezroczysty welin do mapy. - Kiedy się naciśnie, widać pod spodem mapę.

- Ledwo ledwo - odrzekł Phil, spojrzawszy.

- Może wtedy nie mieli jeszcze kalki technicznej - odparła Gabbie.

- Albo potrzebowali czegoś znacznie trwalszego - dodał Jack. Wskazał palcem: - Patrzcie na te siedem kresek po prawej.

Każda kreska na welinie podkreślała jedno słowo z opisu mapy, stanowiącego część notatki, jaką na przełomie wieków urzędnicy opatrzyli plan, zanim wciągnęli go do rejestru.

- A ten ślimak okręca się dookoła podstawy Wzgórza Króla Elfów - rzucił Jack. Usunął nakładkę i przeczytał znajdujący się pod spodem opis: - „Od linii środkowej drogi okręgowej numer piętnaście, w odległości dokładnie dwóch mil od skrzyżowania z drogą stanowiącą numer siedem, do punktu wyznaczonego krzyżowaniem się linii, pociągniętych od...”  
- Dalej następował opis granic ziemskich posiadłości przy użyciu ówczesnych terminów geograficznych. Słowo „do” było podkreślone. Cały ten akapit nie był niczym innym, jak ścisłym, formalnym opisem prawnym, lecz w ostatniej linijce można było wyczytać „posiadłość znana powszechnie pod nazwą Wzgórza Króla Elfów”, gdzie podkreślone słowa „Król Elfów” dopełniały przesłanie.

Gabbie przeczytała na głos wszystkie podkreślone słowa.

- „Do domu Króla Elfów”. Co to może znaczyć?

- Myślę, że to taki „szyfr wewnątrz szyfru” - zaryzykował Jack. Gabbie i Phil spojrzeli nań pytająco. - „Dom Króla Elfów” dla Kesslera i jemu podobnych mógł znaczyć coś konkretnego... No wiecie, w przypadku, gdyby ktoś taki jak my znalazł mapę i nakładkę, nie wiedziałby, co jest na niej zaznaczone.

Phil przeszedł wzrokiem długie linie i zobaczył większy krąg, zaznaczony jakies pół mili za domem. Wskazując palcem na sprężynę z rozchodzących się okręgów, zapytał:

- A to co?

- Nie mam pojęcia - odparł Jack podekscytowany. - Ale to duże kółko leży u podstawy Wzgórza Króla Elfów. - Popatrzył na Phila i Gabbie. - Wiecie, co myślę?

- Sądzisz, że to jest miejsce, w którym Kessler zakopał swoje złoto? - zapytał Phil.

- A co z „miejsce to oznaczono krzyżykiem”? - zażartowała Gabbie.

- To strzał na chybił trafił - skwitował Phil.

- A cóż innego mogłoby to być? - zapytał Jack. - Po co tyle zachodu, żeby zaznaczyć jeden punkt u podnóża łysego pagórka? No i ta nakładka, ten cały szyfr. Coś tam zostało ukryte.

Phil popatrzył na pozostałe kreski.

- A co w takim razie z tym drugim kółkiem tutaj? - Wskazał na mniejszy okrąg na mapie, położony o jakieś sto stóp na wschód od tego większego.

Gabbie ponownie odsunęła welin i przeczytała notatkę z mapy.

- Tutaj jest ten złamany pień wielkiego dębu. Widzicie, oznaczyli go jako „dąb trafiony piorunem, do wycięcia”.

Phil uśmiechnął się wesoło, kiedy Jackowi wyraźnie zrzędała mina. Potem wzruszył ramionami i oświadczył:

- Gdybym ja miał ukryć gdzieś złoto, schowałbym je w takim miejscu, które łatwo mógłbym odnaleźć nawet bez mapy, na przykład u stóp charakterystycznego złamanego pnia.

- Co w takim razie oznacza ten drugi krąg? - zastanawiał się Jack.

Phil wrócił na swój fotel za biurkiem.

- Może jakąś nakrytą studnię? Albo inną przyziemną rzecz, o której właściciel posiadłości mógłby chcieć wiedzieć.

Jack pokręcił głową.

- Nie, Phil, nie przy tych wszystkich sekretnych bzdurach, które tu się działy. Popatrz na te dziwaczne linie. Jedno z tych dwóch kółek oznacza miejsce, gdzie Kessler ukrył swoje złoto. Idę o zakład.

Phil parsknął śmiechem.

- No cóż, jeśli masz ochotę sobie pokopać, proszę bardzo. Tylko pozasypuj z powrotem wszystkie dziury, kiedy skończysz, dobra?

Jack uśmiechnął się z lekkim zawstydzeniem.

- No dobra. - Zwrócił się do Gabbie: - Chodź, rozejrzyjmy się tam.

- W tym deszczu?! - rzuciła głosem pełnym niedowierzania.

- Tylko powężymy, nic poważnego. No jak?

Z jękiem rezygnacji Gabbie wzniosła w górę ręce i półgłosem rzuciła do ojca:

- Tylko patrz, jak wejdzie do szopy po łopatę.

Gabbie wyszła w ślad za Jackiem, a Phil rozparł się w fotelu, na poły rozbawiony, na poły zaniepokojony. Może za jakąś chwilę założy płaszcz przeciwdeszczowy i pójdzie mu pomóc. Tymczasem jednak włączył komputer i całą swoją uwagę zwrócił ku sposobom bezpiecznego przedostania się przez wypełnioną gazem komnatę.

- Tato!

Słyszając podniecony ton głosu córki, Phil natychmiast wyskoczył zza biurka i ruszył do kuchni. Otworzył drzwi i stanął jak wryty. Gabbie stała przed nim ociekająca wodą i umazana w błocie, a Gloria i chłopcy gapili się na nią w zdumieniu.

- Musisz przyjść. Coś znaleźliśmy!

- Co? - dopytywał się Phil, nie wierząc własnym uszom.

- Pod tym złamanym pniem, tak jak myślałeś. Rozglądaliśmy się tam i trafiliśmy na jamę między korzeniami. Woda od lat wymywała tam glebę. Wystarczyło, że Jack wetknął tam łopatę, a wszystko się zapadło. Odsunął na bok błoto, a kiedy pokopał na niecałą stopę w głąb, uderzył w pokrywę.

- Pokrywę czego?

- Nie wiem - odparła Gabbie. - Coś tam jest w dole. Świeciliśmy w głąb latarkami, a teraz Jack próbuje to wykopać. Nie mogłam rozpoznać, co to jest, tato, ale było wielkie.

- Wezmę płaszcz - oznajmił Phil.

- Ja wezmę swój - dodała Gloria.

Chłopcy już pędzili do holu, gdzie wisiały płaszcze przeciwdeszczowe, kiedy powstrzymał ich głos Phila:

- Hola, a wy gdzie się wybieracie?

- Och, tato - zaczął Patrick - my też chcemy pójść popatrzeć.

- Nie. Wy zostajecie tutaj, oglądacie telewizję i odbieracie telefony. I zapisujecie wiadomości! - krzyknął za nimi, kiedy niezadowoleni chłopcy opuścili kuchnię.

W ciągu kilku minut wszyscy dorośli pędzili w stronę Mostu Trolla. Odkryli, że Jack kopie przy złamanym pniu niedaleko mostka. Phil przyjrzał się dziurze, jaką młodzieniec zdążył już wykopać. Napelniła się wodą, więc Jack pospiesznie wykopał z boku tunelik, który miał ją odprowadzać. Potem przykłęknął i poświecił do jamy pod korzeniami potężną, opatrzoną gumą latarką. Phil przykucnął i zajrzał do środka. Powitał go widok dziwnego kształtu, który odsłonił się, kiedy woda zmyła błoto z wierzchu jakiegoś przedmiotu. Phil przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu, potem wstał, a do dziury zajrzały Gloria z Gabbie.

- Co robimy, tato? - dopytywała się Gabbie.

- Zobaczmy, czy uda nam się to stamtąd wytaszczyć. - Wezwał gestem Jacka, który odłożył na bok łopatę i przykłęknął obok niego. Sięgnęli razem i chwycili za coś, co na dotyk przypominało wielką drewnianą skrzynię. Pociągnęli, ale rzecz nawet nie drgnęła.



- Chryste! - zakrzyknął Phil. - To coś waży chyba z tonę.

Jack zaczął kopać dookoła skrzyni, podczas gdy Phil omiotł światłem latarki jej wieko. Wkrótce Jack stał już po kolana w błocie, kiedy wyrzucał kolejne łopaty ziemi poza obręb dziury. Phil pokazał mu, żeby usunął trochę ziemi z przodu i powiedział:

- To coś ma z boku rączkę. Gabbie, w bagażniku samochodu jest lina. Przyniesiesz? Jack, zrób łopatą w błocie rampę.

Gabbie wzięła kluczyki i pobiegła, podczas gdy Phil oświetlał latarką skrzynię, a Jack kopał zapamiętane.

Zanim wróciła, młodzieniec zdążył już wykopać w błocie gładką rampę aż do samej skrzyni, wjeżdżającą pod kątem pod stary pień.

- Gdyby nie ten deszcz - zauważył Jack - zajęłoby mi to całe godziny. - Niemniej był cały zdyszany, a pod kapturem krople deszczu mieszały mu się z kroplami potu. - Zobaczmy, czy da się to wyciągnąć.

Przywiązali linę do metalowego uchwyty, który znajdował się na najbliższym boku rampy. Phil i Jack pociągnęli razem, a kiedy nie przyniosło to żadnych widocznych rezultatów, za linę złapały też Gabbie i Gloria. Ciągnęli ile sił, ale skrzynia nawet nie drgnęła. Jack krzyknął, żeby przestali, a sam usiadł na ziemi w wykopanej dziurze. Wetknął koniec szpadla między dno skrzyni a ziemię. Potem zerwał się i napał na stylisko.

- Co robisz? - zawołał Phil, przekrzykując deszcz, który zaczął teraz lać jak z cebra.

- Zassało się. Próbuje zlikwidować próżnię między błotem a skrzynią.

Phil pokiwał ze zrozumieniem głową i razem z Jackiem przydeptał stylisko łopaty. Po dłuższej chwili, kiedy obaj mężczyźni napierali na kij całym swoim ciężarem, łopata drgnęła. Phil o mało co nie wylądował na Jacku, lecz w porę odskoczył. Jack wyciągnął łopatę i szybko wyszedł z dziury. Dał znak pozostałym, żeby złapali za linę, więc wszyscy zaczęli ciągnąć na nowo. Po długiej chwili skrzynka przesunęła się odrobinę. Potem znów utknęła.

- Wygląda na to, że przytrzymują ją w miejscu korzenie drzewa - orzekł Jack. Wskoczył z powrotem do dziury i próbował poprzecinać korzenie ostrzem łopaty, lecz bez większych rezultatów. Po kilku minutach jałowego zmagania Gabbie zaproponowała:

- Przyniosę ze stodoły siekierę.

Popędziła w stronę domu i niebawem wróciła z siekierą oraz motyką. Następne dwadzieścia minut Jack spędził na wyrąbywaniu korzeni znad skrzyni. Kilka głośnych zgrzytów pozwoliło im się zorientować, że jest okuta metalem.

Jack odrzucił na bok siekierę i wziął się za motykę. Kiedy uznał, że zabezpieczył dostatecznie szeroki otwór, zaproponował:

- Spróbujmy jeszcze raz.

Cała czwórka jeszcze raz złapała za linę. Ciągnęli równo, aż skrzynia zaczęła wyłaniać się z wolna spod pniaka. Potem weszła w ślizg, dodając do ich wysiłków własny rozpęd, a kiedy wjechała na szczyt wykonanej przez Jacka rampy, elegancko ześliznęła im się pod nogi. Okazała się drewnianą skrzynią długości dwóch stóp, zamkniętą dwiema metalowymi opaskami i okutą na rogach metalem. Metal był brązowy od rdzy, ale zasadniczo sprawiał solidne wrażenie - połyskiwał srebrno z nacięć, jakie pozostawiła na jego powierzchni siekiera Jacka. Nie widać było żadnej kłódki czy zamka. Zauważyli tylko metalową klamrę z wetkniętą metalową zatyczką.

- Co jest w środku? - zapytała natychmiast Gabbie. Przyklęła i podniosła wieko, a Phil poświecił jej latarką. Gabbie odrzuciła wieko do tyłu, odsłaniając wnętrze skrzyni. Rozbłyśki światła zatańczyły na złotych monetach, które wypełniały skrzynię aż po same wręby.

- Nic dziwnego, że była taka ciężka - rzucił półgłosem Jack.

- Cholera! Najprawdziwsza w świecie skrzynia ze skarbami! - zdumiała się Gloria.

- Złoto Kesslera. A więc istnieje - mówiła Gabbie.

Wtem Phil wybuchnął śmiechem i już po chwili wszyscy czworo skakali i wrzeszczeli. Po tym krótkim wybuchu entuzjazmu Gabbie zapytała:

- I co teraz zrobimy?

- Chyba pójdziemy do domu i zjemy obiad - odpowiedział Phil.

Gloria podniosła wzrok na męża.

- Sądzisz, że powinniśmy komuś powiedzieć?

- Zadzwoń rano do Darrena i każę mu posprawdzać prawa własności albo prawa do złóż mineralnych czy prawo do uratowanego mienia, czy też jakieś inne cholerstwo, pod które podpada nasz przypadek.

- Darrena? - powtórzył pytająco Jack.

- To nasz rodzinny prawnik - wyjaśniła Gabbie.

- Nigdy nie wiadomo - dodał Phil - czy nie mamy tu przypadkiem niemieckiego skarbu narodowego albo czegoś, do czego ktoś inny mógłby rościć sobie prawa. Zanieśmy to więc w bezpieczne miejsce, do domu, i dowiedzmy się wszystkiego. A na razie trzymajmy buzie na kłódkę, a mam tu na myśli zwłaszcza bliźniaków. No, chodźmy. Osuszmy się i zjedzmy coś.

Jack zaczął spychać błoto do otworu, który wypełnił się szybko. Potem złapał za drugi uchwyt przy skrzyni i razem z Philem spróbowali ją dźwignąć. Była ciężka, ale nie przyssana

przez błoto, więc dali radę. Wrócili przez mostek, kierując się w stronę suchej i ciepłej kuchni w domu.

Spomiędzy drzew ich wędrówkę obserwowały dwie pary oczu. Wysoka postać trzymała w ramionach małą, czarną, tuląc ją do siebie jak niemowlę. Długie palce gładziły skórzasty brzuch stwora, potem znieruchomiały. Dźgnąwszy znienacka i mocno, wydusiły z małego stworzenia pisk bólu, po czym wysoka istota z obłędem w oczach szepnęła:

- Ach! Już niedługo! - Jej głos nabrzmiewał frustracją. Schwyciwszy czarnego stwora za kark, obróciła go twarzą ku sobie i rzekła: - Już wkrótce, mój pieszczošku. Już wkrótce.

Na pół rzucając, na pół bijąc, umieściła małego stwora z powrotem na ziemi. Coś Złego spadło w błoto z głośnym pluskiem, lecz natychmiast przetoczyło się na brzuch i zerwało na równe nogi, gotowe spełniać rozkazy pana.

- Idź i przyglądaj się, mój mały - szepnęła postać głosem jak echo starożytnych wiatrów. - Idź i pilnuj, dopóki nie dopełni się dzieło. - Odrzuciła głowę w tył i zawyla z rozkoszy, a jej krzyk zagłuszył przetaczający się po niebie grzmot. Potem zniknęła z rozbłyskiem światła wśród mroku.

Następnego dnia deszcz ustał. Kiedy Phil odłożył słuchawkę, ubawiony, parsknął krótkim śmiechem.

- Darrena wcale to nie rozbawiło. Myśli, że zwariowałem. Ale poszuka wszelkich dostępnych informacji na temat zaginionych skarbów, jak to nazywa, a potem do nas przyjedzie. Powiedział, żebyśmy tego nie ruszali, dopóki do nas nie dołączy. A potrwa to pewnie z kilka dni, gdyż, jak to ujął, musi obtańczyć najpierw policję i urząd skarbowy tak, żeby się nie zorientowali, co jest grane. W przeciwnym razie albo jedni, albo drudzy sprzną nam całość sprzed nosa i każą iść do sądu, żeby odzyskać należną nam część.

- Myślisz, że to bezpieczne? - zapytała Gloria.

- Jasne. Jack zasypał dziurę błotem, a po tym deszczu nie zostanie zbyt wiele śladów po tym, że ktoś tam kopał. A poza tym, ile osób widziałas na naszym terenie, odkąd się sprowadziłyśmy? Kilku szkolnych kolegów naszych chłopców, no i Jacka. Nikt nie wie, że mamy tę skrzynię w piwnicy. Nic się nie stanie, jeśli pobędzie tam jeszcze parę dni.

Gloria przysiadła na kanapie naprzeciw biurka Phila. Gabbie i Jack nie wrócili jeszcze z konnej przejażdżki, pierwszej od dwóch tygodni, a chłopcy poszli do szkoły - wysłuchawszy wprawdzie długiego kazania o tym, że nie wolno im z nikim dzielić się wieścią o złocie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wezwać Gary'ego?

- Jasne, gdybym tylko wiedział, jak go złapać. Może udałoby się go wytropić przez Wydział Lingwistyczny uniwersytetu w Waszyngtonie. - Phil przyjrzał się żonie uważnie. - Co cię gryzie?

Gloria siedziała przez chwilę w milczeniu.

- Phil, ja się boję. Dosłownie trzęsę portkami ze strachu. Tu wciąż dzieje się coś takiego... czego nie sposób wytłumaczyć. Sama nie wiem. Ale to, co się stało z Gabbie, i to, co naopowiadali nam o Kesslerze Mark i Gary, no i to, jak zginął Ernie...

Phil wyszedł zza biurka i usiadł przy żonie, obejmując ją ramieniem.

- Posłuchaj, skarbie, jestem pewien, że to wszystko ma jakieś, całkiem proste, wytłumaczenie. Nie wiem dokładnie jakie, ale wątpię, czy czai się w tym coś groźnego. Oczywiście, to, co przydarzyło się Gabbie, było straszne, ale Mark powiedział, że ona już z tego wychodzi, i to bez widocznych problemów, a poza tym ma teraz Jacka. Ten gwałciciel jest już pewnie o tysiące mil stąd. A Kessler i jego kołesie w Niemczech? Cóż, myślę, że okaże się, iż to wszystko ma...

- Tak, wiem, jakieś całkiem racjonalne wyjaśnienie. - Założyła ręce. - Słuchaj, a może ktoś przyjedzie tu szukać tego złota?

Phil wzruszył ramionami.

- Dlaczego akurat teraz? Dom tak długo stał pusty, kiedy Kessler wyjechał do Niemiec, a my się jeszcze nie wprowadziliśmy. Każdy, kto wiedziałby o tym złocie, mógł się tu wpakować w dowolnej chwili i bez wzbudzania podejrzeń wykopać je sobie. A poza tym, kto jeszcze mógł o nim wiedzieć? Jestem pewien, że to właśnie jest to złoto, o którym opowiadał nam Mark, a które Fredrick Kessler wykorzystał do uzyskania tych swoich niejasnych pożyczek.

Gloria nie wyglądała na przekonaną, lecz powstrzymała się od dalszych protestów. Coś nie dawało jej spokoju, dręczyło ją jakieś złe przeczucie. Jej myśli zajęło na chwilę przybycie bliźniaków, którzy wrócili właśnie ze szkoły. Weszli do gabinetu, a Phil przywitał ich:

- Cześć chłopaki. Jak tam było dzisiaj?

Obaj w odpowiedzi wzruszyli ramionami w geście, który miał wskazywać na to, że nic godnego wzmianki. Sean dodał:

- Robbiego Gallowaya odesłano do domu za to, że podarł sweter Marii Delany.

Gloria starała się sprawiać wrażenie zainteresowanej, lecz jej myśli nadal pochłaniało coś innego.

- No, próbował ją polaskotać - dodał Patrick. - Lubi łaskotać dziewczyny. Nauczycielka mówi, że musi sobie porozmawiać z ojcem Robbiego.

Phil uśmiechnął się z wszystkowiedzącą miną, a Gloria wywróciła oczyma i rzuciła szeptem:

- Panie Boże, ustrzeż nas od przedwczesnego dojrzewania w tym domu.

- No cóż, odnalezienie Marka odpada, spróbuję więc wytropić Gary'ego i powiem mu, co się dzieje. - Zwracając się do chłopców, zapytał: - Czy ktoś może wie, u kogo Gary zatrzymał się w Seattle?

- U Lupinskiego - odparł Patrick.

- U kogo? - zdziwiła się Gloria.

- To facet, który zna się z Garym od college'u - wyjaśnił Sean. - Sam nam mówił. Ten facet pracuje dla SuperSoniców. Gary kiedyś chodził z nim na mecze. Powiedział, że to od niego ma taką fajną kurtkę i że u niego będzie teraz mieszkał. - Po czym dodał z lekkim poczuciem winy: - Zapytałem, czy nie mógłby zdobyć i dla nas takich kurtek.

Phil zerknął na zegarek.

- Na wybrzeżu będzie koło południa. Zadzwońię na informację w Seattle i poproszę o numer do biura SuperSonicsów...

Zadzwońił, uzyskał numer, wybrał go i czekał, dopóki po drugiej stronie ktoś nie odebrał.

- Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z panem Lupinskim? - Kiwnął głową, kiedy poproszono, by czekał. Po chwili znów się odezwał: - Pan Lupinski? Moje nazwisko Philip Hastings... bardzo mi miło. Próbuję wytropić Gary'ego Thieusa... - Phil uniósł w zdziwieniu brwi. - Naprawdę? Bardzo proszę. - Po długiej pauzie znów zaczął mówić: - Cześć Gary, co tam u ciebie? Nie sądziłem, że tak łatwo cię znajdę.

Słuchał przez chwilę w milczeniu, potem rzekł:

- Nie, tutaj wszystko w porządku. Ale czy jesteś gotowy na szok? Nie, nic strasznego, dzięki Bogu. Chodzi o to, że Gabbie z Jackiem odkryli złoto Kesslera. - Uśmiechnął się szeroko, słysząc reakcję po drugiej stronie słuchawki, a okrzyki Gary'ego doszły nawet do Glorii, kiedy Phil odsunął od ucha słuchawkę. - Nie, nie żartuję, mój stary. Ten dziwaczny kawałek welinu, jaki znaleźliście z Markiem, to była nakładka do mapy, którą Kessler ukrył w kufrze na strychu. Jack i Gabbie poszli do miejsca wskazywanego przez mapę, trochę pokopali i - voila - mamy złoto.

Odłożył słuchawkę, śmiejąc się cicho pod nosem.

- Powiedział: „Już do was jadę” i rozłączył się. Zadzwońi z lotniska Sea-Tac i da nam znać, kiedy ląduje w Buffalo.

Gloria podniosła się z kanapy.

- Chyba zaparzę dzbanek herbaty. Chcesz trochę? - Przytaknął, a ona przeszła do drzwi. - Chodźcie, chłopaki, dajmy tacie wrócić do pracy. - Chłopcy minęli matkę i wyszli do holu. Stanąwszy w drzwiach, Gloria rzuciła jeszcze: - Ach, i dziękuję, skarbie.

- Za co?

- Za to, że powiedziałaś, iż wszystko jest w porządku.

Kiedy Gloria i chłopcy zniknęli mu z oczu, Phil oparł się w fotelu i westchnął. Bliźniacy wymienili się spojrzeniami, w których obaj pytali się nawzajem, co to wszystko ma znaczyć, lecz że utracili już wszelką nadzieję, iż kiedykolwiek uda im się pojąć dorosłych, cicho udali się na poszukiwanie jakiegoś ciekawego zajęcia. Phil zaś pozostał z gorącą nadzieją, że to, co powiedział, nie miało służyć zamydleniu oczu Glorii, żeby ją trochę uspokoić. Od czasu napaści na Gabbie on także miał przeczucie, że coś obcego, coś niepokojącego... zawisło nad nimi.

Odsunął jednak te uczucia na bok, sądząc, że są jedynie reakcją na niepokoje Glorii,

włączył komputer, wywołał pakiet edytora. Zorka odłożył na jakiś czas, zarówno z powodu frustracji nad niemożnością przebycia wypełnionej gazem komnaty, jak i dlatego, że miał pomysł na nową książkę i chciał przenieść kilka pomysłów na papier. Ta ostatnia myśl wzbudziła w nim cichy chichot, kiedy uświadomił sobie, na jakim „papierze” będzie je zapisywał. Włożył pustą dyskietkę do drugiego napędu i zaczął pisać. Wkrótce zatopił się w myślach, całkiem pochłonięty tym ekscytującym odczuciem, jakie zwykle niesie ze sobą rozpoczynanie czegoś nowego.

Gary aż zagwizdał z niedowierzania i podziwu na widok otwartej skrzyni ustawionej na kuchennym stole, a jego zmęczone oczy niemalże zapłonęły blaskiem.

- A niech mnie wszyscy diabli. - Przyleciał pierwszym samolotem z Seattle do Buffalo.

Jack, który odebrał go z lotniska, odezwał się teraz:

- To dopiero coś, prawda?

Gloria wręczyła Gary'emu filiżankę kawy, mówiąc:

- Muszę przyznać, że kiedy z początku obaj z Markiem opowiadaliście nam te różne historie o Kesslerze i reszcie, zbytnio wam nie wierzyłam. Ale teraz, kiedy mamy to znalezisko w piwnicy i jeszcze to... no cóż, nie można nie wierzyć.

- Masz pojęcie, ile to może być warte? - zapytał Phil.

Gary wziął do ręki jedną z monet i obejrzał ją z bliska. Długie lata deszczu sprawiły, że pokryła się lekkim nalotem, bo skrzynia nie była wodoodporna. Nikt nie dotykał tych monet, odkąd dwa dni temu wniesiono je do domu. Gary umył pieniądze pod kranem i wytarł papierowym ręcznikiem. Zaraz też otworzył szeroko oczy. Zerwał z wieszaka całą rolkę ręczników i zaczął na chybił trafił czyścić poszczególne monety, wykładając je następnie na stół.

- Nie mogę uwierzyć.

- O co chodzi? - zainteresował się Phil.

- Nie umiem rozpoznać nawet połowy tych monet, ale jest kilka, które znam. - Wskazał na małe pieniądze, spoczywające na papierowym ręczniku. - Ta dla zbieraczy ma wartość około tysiąca dolarów.

- Naprawdę? - skomentował Phil, którego w tym stadium nic już nie było w stanie zadziwić.

- To złota pięciodolarówka, a tylko dlatego znam jej wartość kolekcjonerską, że w liceum pisałem o tym wypracowanie. Kilka innych widywałem w podręcznikach. - Podniósł do góry dość sporą monetę. - O ile się nie mylę, to austriacka cesarska marka z końca dziewiętnastego wieku. - A ta - wskazał na chropowaty pieniążek obok złotej pięciodolarówki - to hiszpański real, mniej więcej z siedemnastego wieku. Ten mały facecik tutaj to osiem eskudów z - zmrużył oczy, by odczytać zatarty napis - Peru. Hiszpański okres kolonialny. - Pokręcił głową. - Tych kilka jest warte, lekko licząc, kilka tysięcy dolarów, a może nawet więcej, Phil. - Jakby nagle dopadło go znużenie, wyciągnął jedno ze stojących przy stole



krzesel i osunął się na nie ciężko. Wskazał na monetę wytartą niemal do gładkości. - Wydaje mi się, że ta jest rzymska.

- A więc wszystkie mają wartość kolekcjonerską? - zapytała Gloria.

- Wątpię, czy choć jedna na pięćdziesiąt nie jest warta wielokrotność użytego do jej wykonania złota. Niektóre, jak to rzymskie maleństwo, mogą być warte setki razy więcej, niż wagą.

Nagle dotarło do nich to, co mówił Gary. Philowi opadła szczęka.

- Mój Boże. To oznacza, że ta skrzynka jest warta...

- Jakiś milion - dokończył Gary.

- To co robimy? - zainteresowała się Gloria.

- Sądzę - odparł Gary, wstając - że powinniście jeszcze raz zadzwonić do swego prawnika. Ja, jak mi się wydaje, pojedę do domu i trochę się prześpię. Muszę zadzwonić do Seattle i podać dalsze instrukcje chłopakom i dziewczynom, którzy pracują nad tymi naszymi tłumaczeniami. Wyleciałem stamtąd cokolwiek pospiesznie. - Po wyraźnie znużonej twarzy przemknął mu cień uśmiechu. Dodał cicho: - I może Mark niedługo zadzwoni. Nie martwię się, ale... no cóż, chciałbym po prostu wiedzieć, za czym on tam tak węszy w tej Europie.

- No właśnie - przytaknęła Gabbie z suszarki, na której siedziała. - Co wam wyszło, chłopcy, z tych dokumentów?

Gary wzruszył ramionami. Coś tam sobie ważył w głowie, jakby nie był pewien, ile może powiedzieć. W końcu rzekł:

- Na razie niewiele ma to sensu. Ale kolejne kawałki układanki zaczynają już wchodzić na swoje miejsce. Jeśli mogę cokolwiek wnioskować, Mark chyba miał rację z istnieniem tajnej organizacji. - Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił.

Zauważyła to Gloria i zapytała:

- Co takiego?

- Nic, nic - odparł Gary. - Po prostu jestem zmęczony.

Gloria przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Nie, wyraźnie chciałeś coś powiedzieć. O co chodzi?

Gary westchnął głęboko.

- No dobra, załóżmy, że naprawdę istniała jakaś organizacja, do której należał Kessler. Mogliby wiedzieć o tym złocie. I... no cóż, mogłoby im się nie spodobać, że ktoś to złoto wykopał.

Z twarzy Glorii odpłynął wszelki kolor. Rzuciła Philowi takie spojrzenie, jakby wypowiedź Gary'ego zadawała kłam jego zapewnieniom sprzed kilku dni.

- Może nie powinniśmy nikomu o tym mówić?

- To przesądza sprawę - oznajmił Phil. - Wezwę policję. Złożę to wszystko w policyjnym depozycie. Potem opowiem gazetom o złocie i dopilnuję, żeby Malcolm Bishop wyraźnie zaznaczył, że już go u nas nie ma. Jeśli ktoś będzie go szukał, niech próbuje się wedrzeć na posterunek policji.

- Nie działaj zbyt pochopnie, Phil - odparł Gary. Jego uwaga wywołała na twarzy Phila widoczne zaskoczenie. - To znaczy, sam pomysł nie jest zły. - Wyglądało na to, że usiłuje nadać głosowi lżejszy ton. - Wiecie, zrezygnowałem z pokazowego meczu między Sonicsami a Lakersami, żeby to zobaczyć. Ale było warto. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - I tak miałem wkrótce przyjechać do domu. Muszę w najbliższym czasie wybrać się do Kanady - może nawet już jutro - żeby posprawdzać kilka rzeczy, które zostawił mi Mark na drogę powrotną z Seattle. Tak więc, żli nigdy nie zaznają spokoju. - Umilkł, a uśmiech rozwiął mu się do reszty. - Słuchajcie, miałem na myśli tylko to, że wasz prawnik uznałby pewnie za pochopne powiadomienie o tym kogokolwiek, nawet policji. Może powinniście zadzwonić do niego jeszcze raz? - Phil rozważał to sobie, a Gary dodał: - No cóż, czy ktoś mógłby odwiedzić mnie do domu?

Phil wstał.

- Jasne, wezmę tylko płaszcz.

Kiedy znaleźli się przed domem, Phil zagadnął:

- Coś cię naprawdę gryzie. Co?

Phil wśliznął się za kierownicę, a tymczasem Gary otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł. Przez dłuższą chwilę milczał, rozważając, co ma powiedzieć. Nadal zmagał się wewnętrznie z odkryciem, jakiego dokonali z Markiem w zeszłym miesiącu. Większość z tego, czego zdolali się dowiedzieć, brzmiało jak czysta fantazja. Tak dalece przekraczało granice zwykłych ludzkich doświadczeń, że Gary sam ledwie potrafił w to uwierzyć. Poza tym nieobecność Marka nappełniała go obawą. Zdecydował, że zaczeka jeszcze trochę, zanim podzieli się porcją wiedzy większą niż to absolutnie konieczne. Gdyby się okazało, że Mark nie wróci do czasu jego powrotu z Kanady, może wtedy powie Philowi, co sam wie.

Gary obejrzał się i spostrzegł, że Phil przygląda mu się badawczo.

- Nie chciałem o tym mówić przy Glorii - odezwał się. - Ostatnio wydaje się... trochę nerwowa.

- No cóż, te historie w piwnicy, a teraz jeszcze to złoto... wszystko to jest dość niesamowite.

Gary przypomniał sobie o taśmie, którą Mark nagrał tamtej nocy w lesie, i przez

chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby podzielić się z kimś tym, co wiedział. Zdecydował jednak, że poczeka z tym aż do powrotu z Kanady, więc odparł:

- Trudno mi się z tym spierać. - Pozwolił, by na chwilę zapadła między nimi cisza, zanim Phil uruchomił silnik i przerzucił biegi.

Kiedy toczyli się podjazdem w stronę drogi, Gary wpatrywał się przed siebie.

- Nie chciałem zdenerwować Glorii, Phil.

Ten wydał z siebie jakiś niezobowiązujący pomruk.

Gary pomyślał o tych, którzy omal nie rozjechali Marka na koniach, o tajemniczym młodzieńcu, który go uratował, a także o twierdzeniu Marka, że Jack padł ofiarą strzały elfów. Rzeczywiście, było to niesamowite i nappełniało Gary'ego głębokim niepokojem. Milczał, dopóki Phil nie zatrzymał się przed domem, który wynajmowali razem z Markiem.

- W takim razie wyruszam jutro na Wielką Białą Północ. Jeśli odkryję coś, co będzie miało związek ze złotem, zadzwonię, w przeciwnym razie porozmawiamy dopiero, jak wrócę.

Phil pożegnał się z młodzieńcem, a potem przez całą drogę powrotną do domu nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że odnalezienie złota Kesslera okaże się dla nich raczej przekleństwem niż błogosławieństwem.

Gabbie siedziała przy kuchennym stole, próbując uporządkować monety. Nieustannie spoglądała w dwa podręczniki dla początkujących kolekcjonerów, przyniesione z tutejszej biblioteki, które leżały przed nią otwarte. Największą kupkę stanowiły monety niemieckie, lecz oprócz nich liczne były też monety brytyjskie, francuskie i hiszpańskie, z siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku, ale też i starsze. Gabbie podniosła jedną w górę.

- Ta chyba jest grecka.

Jack wziął ją od niej i powiedział:

- Popatrz na ten kolor. Zobacz, jaka jest zanieczyszczona, miejscami prawie czerwona.

- To miedź - odezwała się stojąca przy zlewie Gloria. - W ten sposób właśnie robi się czerwone złoto.

- Jest naprawdę stara - dodała Gabbie. - A te tam wyglądają na rzymskie.

Jack przysiadł na krześle obok Gabbie.

- Ktoś musiał gromadzić to złoto od diabła długiego czasu.

Do kuchni wszedł Phil. Wrócił, odwiózłszy Gary'ego, a do domu wkroczył akurat na czas, by odebrać telefon.

- Dzwonił Darren. Właśnie wylatuje.

- Naprawdę? - zdumiała się Gloria. - Musiał uznać to za bardzo ważną sprawę, skoro ruszył się z Los Angeles.

- Na tyle ważną, że kazał nic nikomu na razie nie mówić. Dziś wieczorem będzie w Buffalo. Jutro z samego rana umówił się w hotelu z notariuszem. Będą tu około dziesiątej. Mówi, że chce mieć oświadczenie pod przysięgą od każdego z nas. Twierdzi, że najlepiej będzie przekazać to wszystko do Urzędu Skarbowego, a potem wstrzymać oddech i czekać. Jeśli nikt inny nie zgłosi roszczeń, a Darren mówi, że są sposoby na to, żeby sprawdzić takie rzeczy, wtedy dostaniemy wszystko. Będziemy musieli zapłacić podatek, ale w świetle nowego prawa podatkowego i tak zatrzymamy ponad połowę. Powiedział, że w przeciwnym razie federalni mogą zgarnąć wszystko i kazać nam wnieść sprawę do sądu, żeby odzyskać złoto, co może trwać latami.

- Połowa? - wtrącił Jack. - To i tak bardzo dużo baksów.

- Czy to my mamy wezwać tych z urzędu skarbowego, czy on to zrobi?

- Powiedział: „Nie róbcie nic”. Przez wielkie en, małe i, małe ce - odparł Phil.

- Tato, niektóre z tych monet to bardzo rzadkie okazy - wtrąciła się Gabbie. - Znalazłam kilka, które według tej książki warte są dwadzieścia lub dwadzieścia pięć tysięcy

każda. - Uśmiechnęła się radośnie. - To jest dopiero coś. Teraz wiem, jak musieli się czuć faceci, którzy odkryli grób Tutenchamona.

- Przekłęci przez bogów - dodała Gloria. Kiedy zebrani popatrzyli na nią z zaskoczonymi minami, dodała: - Ludziska, ja tylko żartowałam. - Wyjrzała przez okno na gęstniejący deszcz i zastanowiła się przez chwilę, dlaczego czuje w środku taką pustkę. Jakoś nie udzielił jej się zachwyty pozostałych. W lesie coś się poruszyło ruchem nagłym jak błysk, potem zniknęło. Na krótką chwilę ogarnęło ją poczucie wewnętrznego chłodu, które jej matka określała powiedzonkiem „ktoś stąpa po moim grobie”. Potem to uczucie opuściło ją, pozostawiając za sobą mieszaną złośliwych przeczuć i rezygnacji. Coś miało się wydarzyć, a ona nie mogła temu zapobiec.

Szli między drzewami, okryci płaszczem deszczu i wiatru. Ten wysoki z obłąkanymi oczyma, idący na czele, stanął najbliżej skraju lasu. Spojrzał na ludzki dom, z jego metalami i elektrycznością, i chwilę coś rozważał. Potem zwrócił się do swych współtowarzyszy:

- Wkrótce przeniosą skarb poza obręb tych gruntów, chcąc bezpiecznie go schować. - Z uśmiechem przypominającym uśmiech trupiej czaszki obrócił się twarzą do tych, którzy przyszli za nim. - Wtedy znów zaczniemy przemierzać ziemię bez pęt.

Niebo splunęło błyskawicą i zagrzmiało z irytacji, a polanka opustoszała, bo ci, którzy zgromadzili się na niej, rozplynęli się w jednej chwili. Rozpierzchli się po lesie, znikając z widoku jak zapadające w błoto krople deszczu.

Na trzy dni dom Hastingsów zmienił się w obozowisko. Darren Cross, prawnik rodziny, tylko zerknął na złoto i natychmiast wezwał agencję ochrony. Przysłano zaraz dwóch wielkich, posępnych i onieśmielających mężczyzn, którzy mieli przypilnować, żeby obyło się bez nieprzyjemnych niespodzianek. Jeden z nich nieustannie zataczał kręgi wokół domu i stodoły, podczas gdy drugi stał cicho w kącie kuchni i nadzorował prowadzone prace. O trzeciej po południu zastąpią ich inni wielcy, posępni i onieśmielający mężczyźni, a tych z kolei o jedenastej zluzuje następna para, która pozostanie na miejscu do siódmej rano, kiedy to pojawią się ci pierwsi. Cała szóstka była uprzejma, lecz małowólna i nie dała się wciągnąć w żadne towarzyskie rozmówki. Sean był przekonany, że wszyscy są z CIA.

Darren Cross wziął od wszystkich, łącznie z chłopcami, pisemne zeznania pod przysięgą, potem odprawił notariusza z solidną premią, która miała zapewnić jego milczenie. Wezwał rzeczoznawcę, by uzyskać jak najpełniejszy obraz wartości znaleziska, wraz ze spisem inwentarza. Właściciel sklepu numizmatycznego omal nie zemdlał na widok zawartości skrzyni. Po godzinie zażądał, by sprowadzić mu do pomocy kolegę, ponieważ wśród monet znajdują się egzemplarze antyczne, które wykraczają poza jego zakres kompetencji. Darren wyraził zgodę, ale najpierw musiał sprawdzić, czy z tego powodu nie wyjdzie na jaw ich sekret, a to znacznie opóźniło bieg spraw.

Na żądanie Darrena, który chciał zminimalizować niebezpieczeństwo przedwczesnego przecieku, dwóch specjalistów-numizmatyków ulokowano w pokoju chłopców. Oni obozowali w tym czasie w pokoju siostry, która zamieszkała z Jackiem u Aggie. Teraz obaj mężczyźni skończyli zestawienie ilościowe i, po kilku drobnych sprzeczkach, osiągnęli zgodę co do końcowego wyniku.

Cross, gruby, łysiejący facet, który uważał, że moda zaczyna się i kończy na trzyczęściowym czarnym garniturze w szare prążki, siedział w pokoju dziennym, mając u boku Phila. Gloria przysiadła na poręczy kanapy. Nelson Toomes, pierwszy z wezwanych rzeczoznawców, i Murray Parenson, antykwariusz, zasiedli w fotelach po drugiej stronie niskiej ławy.

Darren patrzył w papiery, zawierające ciągi cyfr. W końcu odezwał się:

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znalezisko przedstawia dużą wartość.

Odpowiedział mu Parenson, chudy, wciąż uśmiechający się nerwowym uśmiechem:

- Z całą pewnością. Niektóre z monet, znajdujących się w posiadaniu pana Hastingsa, mogą być jedynymi egzemplarzami na świecie. Szesnaście to unikaty. Z tej przyczyny trudno

oszacować ich wartość - pełną wartość poznamy dopiero wtedy, kiedy zostaną wystawione na aukcji. Ale poza tymi kilkoma osobliwościami zasadnicza część monet ma jasno określoną wartość historyczną, która waha się od nikłej do naprawdę dużej, przy czym tylko niewiele ponad tuzin monet wartych jest tylko odrobinę więcej niż złoto użyte do ich wyrobu. Są to powszechnie znane amerykańskie i brytyjskie monety, bite na początku tego wieku.

Toomes, właściciel sklepu numizmatycznego, wtrącił:

- Te być może nie przedstawiają wartości historycznej, jednak mają wartość kolekcjonerską.

- Ile więc wynosi najniższy szacunek? - zapytał Phil.

- Najniższy szacunek głosi, że jesteś bardzo bogaty - odparł Cross. - Przedtem byłeś ledwie zamożny. Teraz, jeśli zechcesz, możesz iść na emeryturę.

- Jak bardzo bogaty? - zapytała Gloria.

- Trzeba będzie się trochę pobóć z urzędem podatkowym. Potraktują to jako znalezione pieniądze, coś jak wygraną w grach hazardowych. Oszacują też dokładnie cenę rynkową, a rynek będzie wykazywał lekkie wahania. - Popatrzył na Toomesa.

- Bardzo nieznaczne. Nie ma tu na tyle pojedynczych monet bitych w tym samym roku i miejscu, żeby mogły mieć wpływ na cenę rynkową.

- Tak więc, w tej chwili możemy przyjąć następującą cyfrę. - Podał papier Philowi i wskazał na liczbę u spodu.

Phil przeczytał, zamrugał i przeczytał ponownie.

- Dwa miliony dolarów? - rzucił cicho.

- Plus drobne - dodał Cross. Podsunął okulary, które ześlizgnęły mu się na czubek nosa. - Około trzysta tysięcy dolarów drobnych. Po odjęciu podatków znajdziemy się bliżej miliona czterystu. Chociaż może uda nam się trochę ochronić, ustanowić jakąś korporację i część upchnąć w zwolnioną od podatku rentę. Ale prawie ćwierć będziesz musiał oddać Wujowi Samowi.

- A jak to zrobimy? - zapytał Phil.

Odpowiedział mu Toomes.

- W kraju znajdzie się kilka dużych firm, które mogą od ręki dokonać zakupu do miliona dolarów. Jeśli ustanowimy syndykat czterech czy pięciu takich firm, możemy wykupić od pana to znalezisko w całości. Inna opcja to sprzedaż w pana imieniu, pośrednictwo z opłatą. Można byłoby tu uzyskać nieco korzystniejszą dla pana cenę, ale potrwałoby to znacznie dłużej, może nawet rok, zanim zdołałby pan się pozbyć wszystkich monet.

- Darren? - rzuciła pytająco Gloria.

- Sprzedajcie to w jednym kawałku, Glorio. Dzięki szybkiej sprzedaży straciecie mniej niż dziesięć procent wartości, aby potem odzyskać to, korzystnie inwestując przez ten czas, jaki zabraloby wam sprzedawanie ich pojedynczo. Poza tym pozbędziecie się ich i będziecie mieli problem z głowy.

- Czy może pan to załatwić? - zapytał Phil Toomesa.

- Potrzebowałbym zezwolenia na rozesłanie kopii spisu, który sporządziliśmy - odparł Toomes - ale nie powinno być większych kłopotów z powołaniem takiego syndykatu. W ciągu tygodnia powinniśmy się porozumieć co do ceny, a wtedy przedstawimy ofertę.

- Nie będzie żadnej oferty - wtrącił Cross. - Macie spis. Dajemy dwadzieścia procent rabatu za spłatę gotówką. Dla uproszczenia uznajmy, że tej reszty jest trzysta tysięcy. Zapewniamy prowizję na wypadek zmian na rynku w ciągu następných dziewięćdziesięciu dni - bo na tyle policja zechce zatrzymać u siebie złoto w oczekiwaniu na ewentualne roszczenia. Zakładając, że takich roszczeń nie będzie, dziewięćdziesiątego pierwszego dnia dostarczacie mojemu klientowi czek na sumę miliona ośmiuset czterdziestu tysięcy dolarów i wysyłacie ciężarówkę od Brinka po swoje złoto. W przeciwnym razie wypłacimy wam należność za oszacowanie wartości i sprawdzimy, kto jeszcze chciałby założyć taki syndykat. Zapewniam panów, że im więcej pracy będę musiał wykonać, tym wyższa będzie ostateczna cena. Wiecie, że gdybyśmy musieli wystawić to wszystko na aukcję, w końcu uzyskalibyśmy o trzydzieści procent więcej, niż życzymy sobie dzisiaj, ale decyzję musicie podjąć natychmiast.

Toomes nie wyglądał na zachwyconego, lecz odparł:

- Sądzę, że jest to do przyjęcia.

Cross uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Coś jeszcze, panowie?

- Pozostaje jeszcze sprawa tych unikatów, o których wspomniałem - odezwał się Parenson. - Jeśli wolno, nalegałbym na wycofanie ich ze sprzedaży. Przekazując je muzeom, można uzyskać zwolnienia podatkowe, a przy tym będą one dostępne szerokiej publiczności, a nie ukryte w krypcie jakiegoś prywatnego zbieracza.

Toomes już miał zaprotestować, kiedy Cross wszedł mu w słowo i odpowiedział:

- Rozumiem, że ze względu na unikalny charakter tych monet nie podano ich wartości. Wygląda więc na to, że rozmawiamy o wartości całej kolekcji bez owych... ach tak, szesnastu monet. - Toomes był wyraźnie poirytowany. - Damy wam znać, panowie - dodał Cross. - Jeśli zdecydujemy się sprzedać te monety, panie Toomes, będziemy prosić o zmianę ustalonej



ceny. W przeciwnym wypadku skłonni będziemy rozważyć pańską sugestię, panie Parenson. Dziękuję panom za rzetelnie wykonaną pracę. Zaraz wezwę samochód, który odwiezie panów na lotnisko. Powinniście wyruszyć za jakieś dziesięć minut, jeśli chcecie zdążyć na swoje samoloty.

Kiedy wyszli, Cross oświadczył:

- Wyjeżdżam dziś wieczorem, Phil. Zostawiłem odłogiem zbyt wiele spraw, kiedy zabawialiśmy się w łowców skarbów. Myślę, że wszystko jest już załatwione jak należy.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Darren.

- Nie musisz mi dziękować. Niedługo zapłacisz za studia mojego wnuka. A mam nadzieję, że dostanie się na Harvard. - Phil wybuchnął śmiechem. - No, teraz idę się spakować, a ty wezwij policję. Będą chcieli przysłać samochód, ale upieraj się przy tym, że sami przywieziemy im złoto. Dla kompromisu przysła swój wóz, żeby nas eskortował. Przedłożymy im spis, a oni będą chcieli, żeby pracownicy ich depozytu sprawdzili go z zawartością skrzyni, co powinno się okazać całkiem zabawne. Potem zjemy pożegnalną kolację i ruszę do Kalifornii. Tutejsze zimne noce nie wpływają dobrze na mój artretyzm. - Bez dalszych komentarzy potruchtał po schodach, żeby się spakować.

- Cieszę się, że już po wszystkim - odezwała się Gloria.

- Byłaś jakaś cicha przez cały ten tydzień, mała. Coś cię martwi?

- Od dwóch tygodni ten dom przypomina coś rodem z *Alicji w Krainie Czarów* - odrzekła Gloria. - Poza tym martwię się o Marka. Nie odzywa się dłużej, niż Gary się spodziewał - on sam nic nie powie, ale widzę, że także zaczyna się martwić. Boję się, że coś mu się mogło przydarzyć. I nadal martwi mnie to, co powiedział Gary.

Phil uściskał żonę.

- Wszystko wkrótce się wyjaśni. Teraz mamy już z głowy ten złoty interes, więc możemy wracać do normalności. Hałaśliwe dzieciaki, przeciekające dachy, ślub na wiosnę - wiesz, zwykłe, codzienne sprawy.

Westchnęła i odwzajemniła jego uścisk.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Aha, z okazji Halloween urządzą w szkole bal przebierańców, na który chłopcy chcą iść. Trzeba im podpisać jakieś pozwolenie.

- Nie ma sprawy. - Zatrzymał się i zastanowił. - Halloween już za pięć dni, prawda? Lepiej zacznijmy zbierać słodycze.

- Nic z tego. Żadnych przebierańców i chodzenia po domach. Kilka lat temu były tu jakieś kłopoty z zepsutymi słodyczami, więc teraz urządzą imprezy w szkołach - jedną w podstawówce, dla mniejszych dzieci, i jedną w liceum - dla młodzieży. A my musimy tylko

dowieść ich i odebrać.

- To proste - odparł Phil.

Glorię przeszył kolejny dreszcz dziwnego przecucia, ten sam, który nawiedzał ją od chwili, kiedy znaleźli złoto. Zbywszy go wzruszeniem ramion, odparła:

- No cóż, mimo wszystko jeść trzeba nadal. Lunch?

Uśmiechnął się.

- Już się bałem, że nigdy nie zapytasz. - Objął ramieniem kibić żony i razem ruszyli w stronę kuchni.

Silnik policyjnego wozu zaterkotał, nie do końca wyregulowany. Dwaj funkcjonariusze stali niezbyt spięci, lecz dość czujni, przyglądając się, jak Phil i Jack wkładają do bagażnika drewnianą skrzynię z metalowymi okuciami. Kilka chwil później Phil i Darren siedzieli już w samochodzie i wlekli się żółwim tempem po podjeździe w stronę szosy. Gloria przyglądała się, jak ruszają, potem wróciła do domu, zamykając za sobą drzwi.

Z głębi lasu odjeżdżającym pojazdom przyglądała się jeszcze inna para oczu, obserwując, jak suną wąskim podjazdem do granic posiadłości. Samochód Phila zawahał się przy wyjeździe, przepuszczając przejeżdżające samochody. Kiedy droga była wolna, wmieszał się w ruch i przyspieszył, a tuż za nim jechał policyjny radiowóz.

Głosem pełnym satysfakcji, w którym pobrzmiwało też i echo groźby, obserwator spośród drzew szepnął:

- Ugoda została zerwana!

Zawirował, błysnął i zniknął. Jego towarzysz, który zwiślał nad nim z nagiego konara, spoglądał płonącymi żółtymi ślepiami na niknący za wzgórzami samochód. Coś Złego nie rozumiało trosk swego pana, bo było stworzeniem prostym, a jego inteligencję przez wieki stepiły ból i perwersja. Wiedziało jednak, że pan jest szczęśliwy i że to dobrze. A nawet bardzo dobrze. Być może teraz pan pozwoli mu wziąć sobie psa albo tę dziewczynę, albo jeszcze lepiej - jednego z dwóch chłopców. Z leciutkim westchnieniem, pieszcząc w sercu dziwne mordercze wizje, Coś Złego wspięło się wyżej po pniu drzewa, niknąc w rdzawym listowiu.

Bliźniaki próbowały ułożyć się i zasnąć, ale jakoś im to nie wychodziło. Odgłosy zza okien brzmiały dziwnie. Zrobiło się zimno w sposób, który był im zupełnie obcy. Wiał nieprzyjemny, szczypiący wiatr. Wysysał on z ciała ciepło, nie bacząc na nowe pikowane kurtki, kupione u Searsa. Wydawało się, że zaczął wiać kilka minut po tym, jak ojciec zabrał stąd złoto dziś po południu. I było w tym wichrze coś dziwnie elektrycznego, takie syczące bzyczenie, kiedy szarpał, dręczył gałęzie i liście za oknem. Sean czuł się tak, jakby przez cały czas wstrzymywał oddech - czekał na coś, co ma się zdarzyć, jakby to coś zbliżało się z każdą minutą i teraz miało nań spaść. Leżąc na górnej pryczy łóżka, z roztargnieniem potarł kamień wróżek, podarowany mu przez Barneya, a jego obecność trochę go uspokoiła. Odkładając na bok trapiący go niepokój, cicho zawołał po imieniu brata.

- Co chcesz? - usłyszał zasnąną odpowiedź Patricka.

- W co się ubierzesz?

Patrick wiedział, że Sean mówi o balu na Halloween w przyszłą sobotę. W całym tym zamieszaniu, jakie towarzyszyło odkryciu złota, nikt nie rozmawiał z chłopcami o przebraniach. Potem, znienacka, mamie się przypomniało. Mieli się zdecydować do śniadania i nie wolno było zmienić raz podjętej decyzji, nawet gdyby pomysł tego drugiego wydał się komuś lepszy. Po chwili milczenia Patrick odpowiedział:

- Sam nie wiem. A ty co?

Sean wiedział, o co chodzi bratu.

- Za pirata. Za kapitana Billy Kidda.

Patrick wybuchnął śmiechem.

- Ty głupku! Kapitana Kidda. Billy Kid to był ten wyjęty spod prawa.

Leżąc na plecach, Sean wpatrzył się w sufit, trochę zawstydzony.

- Wiesz, o co mi chodzi. A ty w co się przebierzesz?

- Bo ja wiem - odpowiedział mu brat, a w jego głosie pobrzmiwała dość dziwna irytacja. - Miałem właśnie taki jeden sen, kiedy mnie obudziłeś.

- Wcale nie spałeś - odparł jego brat, żeby nie dać mu okazji do obarczenia go winą.

- A właśnie, że tak - upierał się Patrick, lecz zamiast dalej się spierać, dodał: - We śnie widziałem... takiego gościa w fajnym stroju rycerza. No wiesz, w zbroi, z mieczem i na koniu.

Może przebiorę się za księcia.

- Sen? - powtórzył Sean.

- Tak, i to trochę straszny. Ale ten strój rycerza był fajny. Na głowie miał takie jakby rogi, no wiesz, takie jak mają jelenie. I jechał na fajnym koniu. I świecił.

Sean nie odpowiedział. Kiedy jego brat zasypiał i śnił ten swój sen, on sam leżał zupełnie rozbudzony. Jednak w wyobraźni wciąż widział postać obcego rycerza, mimo wszelkich wysiłków, by zwrócić myśli gdzie indziej. Pograżony w ciemności i ciszy patrzył, jak postać w jego myślach z minuty na minutę staje się coraz wyraźniejsza. Lecz Patrick mylił się co do swego snu czy też wizji, jak wołał Sean. Nie był wcale trochę straszny. Był przerażający. Sean westchnął półgłosem. Patricka często bawiło to, czego bał się Sean. Bardziej nieśmiały brat często ukrywał przed nim swoje lęki, czując się gorszy, gdyż uważał, że zostanie wyśmiany. Może i był wrażliwszy od swego brata, ale jak wszystkie dzieci na świecie, odczuwał potrzebę ukrywania wszystkiego, co mogłoby załatwić mu u rówieśników etykietkę innego. Nie ma nic gorszego, niż kiedy w klasie nazywają cię „cieniasem”, „świrem” albo „kujonem”.

Blizniacy pograżyli się w milczeniu. Wkrótce Sean zapadł w półsen, uspiiony po części rytmicznym oddechem Patricka, który zasnął na dobre. Ale za każdym razem kiedy sen już-już miał nadejść, jakaś zmiana tonu wycia wiatru lub dziwny odgłos - na przykład skrzypnięcie w głębi domu - wyrwały go z powrotem na jawę. Stan ten utrzymywał się przez dość długi czas. Sean zmusił się do zamknięcia oczu. Przez chwilę leżał spokojnie, starając się zasnąć, ale udało mu się zapaść jedynie w niespokojną półdrzemkę. Wycie wiatru za oknem wieściło czyjeś nadejście, bliższe z minuty na minutę. Sean kręcił się niespokojnie w łóżku, nie mogąc spocząć, bo z każdą mijającą minutą to poczucie stawało się coraz silniejsze. Coś nadchodzi.

Oczy Seana otwarły się znenacka, a małe serduszko zabiło jak oszalałe, bo wyczuł bliskie nadejście czegoś naprawdę straszego. Potem zeszywniał, przerażony, a oddech uwiązał mu w gardle, gdyż nagle uderzyło go wszechwładne poczucie wielkiego zagrożenia. To coś się wcale nie zbliża. Ono już tu jest!

Był to ten sam rodzaj przerażenia jak tamtego wieczoru, kiedy do pokoju przyszło Coś Złego, ale teraz było o dziesięć razy gorzej. Sean leżał jak skamieniały, bał się rozejrzeć, ledwie był w stanie oddychać. W kącie posłyszał jakiś dziwny dźwięk, jakiś ruch, chrobot, jakby nieznany ciężar zaszurał po ścianie, ale pobrzmiwało w nim także jakby echo muzyki, obcej i przerażającej. Potem do nozdrzy Seana dotarł korzenno-kwiatowy zapach. Wciągając gwałtownie powietrze, zakrył twarz kołdrą i znad jej krawędzi popatrzył na pokój.

W kącie ktoś stał.

Ukryty w mroku najodleglejszego kąta, nie poruszał się, lecz można było dostrzec jego niewyraźny zarys. Potem lekko drgnął. Przez całe jego ciało przemknęły leciutkie srebrzystoniebieskie błyski jak fosforyzujące fale na ciepłym nocnym oceanie, jak gdyby sam ruch wyzwał w nim dziwną energię. Kiedy tylko zorientował się, że został dostrzeżony, światło zanikło, a kształt zapadł się z powrotem w mrok, nieruchomy, niemy i niewidoczny - ale był.

Sean czuł, że on tam jest. Lodowaty lęk ścisnął go w piersi. Walczył ze wszystkich sił, by wypełnić płuca powietrzem, żeby móc krzyknąć, lecz wydanie dźwięku przekraczało jego możliwości. Nie mógł nawet drgnąć. Czas przestał płynąć, a w tej pozbawionej granic przestrzeni między kolejnymi chwilami leżał uwięziony, bezwładny, skamieniały, wiedząc, że po drugiej stronie pokoju ten ktoś czeka, nieruchomo, bezgłośnie, zaznaczając swą obecność lodowatą aurą, od której serce chłopca skuwało się lodem. A stał ledwie o trzy długie kroki od niego. Seanowi zadzwoniły zęby, a zaciśnięte na kołdrze ręce zaczęły się trząść. Potem, z odgłosem przypominającym zduszone westchnienie, ten ktoś w kącie poruszył się.

Sean nie potrafił rozróżnić szczegółów jego wyglądu. Widział tylko nikły połysk, który przebiegł przez całe ciało, jakby ktoś maznął lekko fosforyzującą farbą po pozbawionym rysów czarnym manekinie. Sylwetka ukazywała wysokiego, szczupłego mężczyznę, ruszającego się z płynną gracją tancerza, o mięśniach tak gładkich jak niezmacona powierzchnia wody. Kolor jego włosów i oczu, odcień skóry, kształt twarzy zamazane były albo przez atramentową czerń, albo przez niebieskawą poświatę. Wszystko to jednak nie miało dla Seana najmniejszego znaczenia. Wiedział tylko, że ten człowiek zjawił się tu po nich.

Wiedział też coś innego: że ten świecący niebieskawo mroczny mężczyzna stanowi zło dziesięć razy gorsze od Czegoś Złego.

Mroczna zjawą przesunęła się teraz na środek pokoju, jej twarz zaś wciąż irytująco pozostawała gdzieś na granicy pola widzenia. Sean dostrzegł podłużną głowę, odrobinę za wąski podbródek, lecz żadnych szczegółów: oczu lub ust, włosów ani brwi. Mężczyzna roześmiał się dalekim, przypominającym poświst wiatru śmiechem, odgłosem z zamierzchłej przeszłości. Sean leżał bez ruchu, tylko żołądek ścisnął mu się w odpowiedzi na ten dźwięk. Oczyma śledził ruchy mrocznego mężczyzny, który zbliżał się z wolna do drzwi przy głowach piętrowego łóżka. Chłopiec podążał za nim oczyma, dopóki mężczyzna nie znalazł się na krawędzi jego wzroku. W tej jednej chwili Sean uchwycił kątem oka jego twarz. Odwrócił się, żeby lepiej spojrzeć, a wtedy wszystkie detale zniknęły, jakby nie sposób było

widzieć mężczyzny, patrząc na niego wprost. Sean usiadł, przerażony, że tym ruchem w jakiś sposób się zdradził, lecz nie był w stanie pozostać dłużej nieruchomo. Nadal widział w pokoju jedynie zarys czyjejś sylwetki. W niemym przerażeniu odwrócił głowę, a wtedy na jedno okamgnienie znów ukazała mu się tamta twarz. Starał się odwrócić wzrok, jakby niepatrzenie mogło zmusić tę leciutko świecąca, widmową postać do odejścia, ale nie był w stanie. Z wyjątkiem mimowolnego drżenia siedział absolutnie nieruchomo, łapiąc urywany oddech i dzwoniąc zębami ze strachu. Kiedy mężczyzna się uśmiechnął, przez chwilę w niewyraźnej masce znów dostrzegał rysy twarzy. Miał idealne zęby, które wyszczerzone w szerokim uśmiechu przywodziły na myśl trupa czaszkę. Wydawało się, że świecą na tle tej ciemnej twarzy. I zanim rysy znów znikły w tym trupim uśmiechu, Sean rozpoznał grozę i obłąd, które przyszły wykraść jego i Patricka.

Z bezgłośnym sapnięciem malec wziął kolejny krótki oddech i przytulił się do ściany. Próbował zamknąć oczy, siłą woli odpędzić zjawisko, ale nie potrafił. Miał ochotę zwinąć się w kłębek i schować w jakimś bezpiecznym miejscu. A nie mógł się nawet poruszyć. Utrzymywało go w tym bezruchu coś obcego jego dziecięcej naturze. Zastygł, absolutnie bezradny.

Mroczny mężczyzna postąpił do przodu, zbliżając się do ich łóżka, jakby chciał lepiej przyjrzeć się chłopcom. U jego stóp poruszały się inne, mniejsze kształty. Wyglądało na to, że towarzyszyły mu jakieś nieduże stworzenia. Sean zmusił do pracy zeszywniałe mięśnie i powoli odwrócił się, przyciskając się bokiem oraz jednym policzkiem do ściany i spoglądając kątem oka na przerażającego mężczyznę. „Patrick!” - udało mu się wydusić ochryplym skrzeknięciem. A potem mężczyzna stał już przy samym łóżku.

Przemówił cicho, głosem jak tysiąc szeptów.

- Dwaj. - Brzmiało to tak, jakby użyczyła mu głosu gorąca letnia bryza, a słowo to oznaczało rozpacz.

Dla Seana zabrzmiało to tak, jakby czyjaś dłoń sięgnęła do samej głębi jego jestestwa i przytrzymała go w palącym uchwycie, z którego nigdy już nie miał się uwolnić. Potem dał się słyszeć cichy, obłąkańczy śmiech, a Seanowi stanęły w oczach łzy przestraszenia. Żołądek znów przeszył mu gwałtowny skurcz, jakby miał zaraz zwymiotować, więc przełknął ciężko ślinę, spychając z powrotem kwaśny smak, który napłynął mu do ust. Nie pragnął niczego więcej, jak tylko zawołać mamę i tatę, ale nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Krzyk uwiązł mu w gardle, daremnie próbując się wydostać. Nie mógł oderwać oczu od postaci przy łóżku. Widziany z tak bliska, mężczyzna wyraźnie świecił, otoczony nikłym obłoczkim srebrzystobłękitnego blasku, lecz rysów twarzy nadal nie dało się zobaczyć. Teraz jednak w

czarnym obliczu Sean dostrzegł coś, co mogło znamionować oczy.

Mroczny mężczyzna pochylił się, na chwilę zniknął Seanowi z oczu, a chłopak poczuł w piersiach szczególne, zimne dźgnięcie, jak gdyby ta ręka, co sięgnęła weń chwilę wcześniej, wyrwała stamtąd coś niezwykle cennego. Mężczyzna miał Patricka! Sean czuł, jak w środku tłucze mu się rozpaczliwie krzyk, objijając się o te zapory, które nie dawały mu się wydostać. Sean przełknął ciężko ślinę, bo gardło ścisnął mu strach, po czym zdołał zaczerpnąć kolejny krótki haust powietrza.

Mężczyzna na powrót wyprostował się przed oczyma Seana, a na jego wyciągniętych rękach spał Patrick. Nagle mroczny człowiek przerzucił go sobie przez lewe ramię, tuląc do siebie jak szmacianą lalkę, jego prawa ręka zaś zaczęła pełznąć ku Seanowi.

Ochryplym szeptem, niewiele głośniejszym od suchego skrzypnięcia, Sean zdołał wydusić z siebie:

- Mamusiu...

- Mamusiu, mamusiu, mamusiu - przedrzeźniało go echo, niosące się szeptem po całym pokoju, coraz ciszej i ciszej.

Bezcielesna, świecąca ręka zawahała się, a potem cofnęła. Szorstkim szeptem mężczyzna wymówił jedno słowo:

- Talizman.

Sean z całej siły pochwycił kamień wróżek i potrząsając głową, powtórzył swój ledwie słyszalny krzyk:

- Mamusiu.

Znów pojawiło się drwiące echo, powtarzając to słowo wciąż od nowa, cicho, miękko, niszcząc w nim wszelką nadzieję, by mógł być dosłyszany poza granicami pokoju.

Mroczny mężczyzna nakazał widmowym głosem, brzmiącym jak tysiąc trzciniowych fujarek:

- Zdejmij to.

Sean nagle zdołał się poruszyć. Na skórze poczuł nieznaną gorączkę, jakby ten mroczny strach przed nim emanował własnym ciepłem. Popędził w róg łóżka, starając się odsunąć jak najdalej od ciemnej postaci. Wcisnął się jak najgłębiej, zapierając się małymi stopami, które ślizgały się po pościeli. Po twarzy płynęły mu łzy, a spojrzenie utkwiał w intruzie. Patrick ułożył się w zagłębieniu ramienia tamtego jak mały kociak. Oczy miał puste, a twarz zupełnie pozbawioną wyrazu. Wyblakł dziwnie w szare półcienie.

- Talizman, chłopcze! - Głos był tak samo cichy i miękki jak przedtem, lecz pojawił się w nim rozkazujący ton. Kiedy Sean nie poruszył się, mroczny mężczyzna wskazał nań



ręką.

Nagle z podłogi na łóżko wskoczyło Coś Złego. Przemknęło do przodu i przycupnęło przed Seanem. Miało wielkie, brązowe oczy z żarzącymi się żółto białkami, osadzone w twarzy przypominającej twarz małpy. Wyszczерzone w uśmiechu kły zdawały się świecić. Jego ciało przypominało ciało małego człowieka, lecz miało zbyt wiele stawów w zbyt długich ramionach i nogach i skórę w kolorze węgla drzewnego, jak u starożytnej mumii albo nietoperza. Cuchnęło martwością wieków i wionęło Seanowi w twarz gorącym, odrażającym oddechem, kiedy ciamkało i cmoktało. Szponiasta dłoń sięgnęła ku chłopcu, ale zawahała się w pół drogi.

Nagle na łóżko wskoczyła kolejna postać, a w Seanie serce aż podskoczyło z przestachu. W nogach łóżka stał przygarbiony Patrick. Lecz chłopiec zaraz spostrzegł, że to nie jego brat, tylko jakaś przepelniona złem karykatura! Choć wyglądał identycznie, był nagi, a jego głowa poruszała się w dziwny sposób, trochę tak jak u małpy, kiedy obracała się to w jedną, to w drugą stronę, by przypatrzeć się Seanowi. *Doppelganger*\* [\* *Doppelganger* (niem.) - duch, sobowtór żywej osoby.] zabawiał się bezmyślnie sam ze sobą, przyglądając się malcowi, i w tym także bardzo przypominał małpę z zoo. Do twarzy przylgnął mu niedobry, szyderczy uśmiech. Tak samo jak przedtem Coś Złego, cofnął gwałtownie rękę, kiedy zbliżył ją do talizmanu.

Sean miał tak szeroko otwarte oczy, że dookoła tęczęwki widać było w całości białka. Po policzkach spływały mu strumienie łez. Ciekło mu z nosa, a usta poruszały się bezgłośnie. Stwory jakby się z czymś zmagaly, kiedy po kolei sięgały do kamienia wróżek na szyi Seana. Jeden, drugi, trzeci raz każdy z nich próbował chwycić talizman, lecz zatrzymywał się o kilka cali od niego. W końcu Coś Złego odwróciło się do mrocznego mężczyzny i coś powiedziało. Jego słowa prawie nie przypominały ludzkiej mowy, wypowiedane niewyraźnie i chropawo, jakby stwór miał język w niewłaściwym rozmiarze, a usta wypełnione watą.

- Panie. Boli.

Usta fałszywego Seana otwarły się i stwór zahukał jak oszalała małpa.

Drżenie chłopca wciąż przybierało na sile, przechodząc niemalże w niekontrolowane drgawki. Skóra płonęła mu dziwną gorączką. Przelały się nad nim miazmaty zła, wyduszając mu oddech z płuc, dławiając go, grożąc pogrążeniem w bezmyślnej panice. Jego szczęki poruszały się w daremnej próbie wezwania krzykiem pomocy. Wydostawały się z nich jednak tylko krótkie, żalosne popiskiwanie, ledwie słyszalne na tle wyjącego za oknem wiatru.

Sean zobaczył, że Coś Złego znów patrzy w jego stronę. Kolejny raz ruszyła ku niemu szponiasta ręka, która chciała go dotknąć.

Przez jedną, najeżoną przerażeniem chwilę umysł Seana próbował opuścić ciało, a on sam poczuł, jak siłą woli niemal unosi się z łóżka. Jak zbyt mocno nakręcona sprężyna zegarka, nie mógł dłużej znieść napięcia. Jak uwięzione zwierzę, walące całym ciężarem o kraty klatki, próbował uciec, a przekonawszy się, że to niemożliwe, spotęgował tylko szalejącą w nim furię. Coś Złego znów sięgnęło ręką i znów musiało ją cofnąć. Sean szepnął:

- Mamusiu...

Usłyszał zaraz, jak przedrzeźnia go zduszona struna umęczonych skrzypiec, kiedy Coś Złego wyszczerzyło się w uśmiechu i powtórzyło za nim:

- Mamusiu, mamusiu, mamusiu - mówiło, a jego oddech wypełnił nozdrza Seana smrodem rozkładu. Twarz stwora zastygła w radosną maskę, jakby to słowo sprawiało mu szczególną przyjemność czy też go bawiło. Fałszywy Sean powtórzył wargami ruchy warg chłopca, lecz wydobył z siebie tylko zwierzęcy pomruk.

Potem mroczny mężczyzna nachylił się tak, że jego twarz znalazła się ledwie o kilka cali od twarzy Seana. Nagle cały zapłonął intensywnym blaskiem, od którego chłopca zabolowały oczy. W ciągu tej krótkiej chwili oślepiającej jasności chłopiec dostrzegł jego twarz. Głęboko osadzone oczy zwały się spojrzeniem z oczyma Seana, a malec poczuł, że wszystkie jego myśli skręcają się w sobie. Z ust wyrwał mu się w końcu długi, cichy, wypełniony cierpieniem jęk, gdyż w tamtych oczach malec ujrzał roztańczone światło, którym elektrycznie niebieskie gałki chciały spalić mu duszę. W tej chwili Seana przywitało piękno tak czyste, że aż przerażające, coś obcego, wykraczającego poza ludzką zdolność akceptacji. I w tej właśnie chwili nie pragnął już niczego więcej, jak tylko rzec się własnej woli i pójść za tym mężczyzną, a wraz z przyływem nieoczekiwanej tęsknoty przyszło pragnienie tak konkretne, że wstrząsnęło całym ciałem chłopca. Nie był jeszcze gotów na tego rodzaju pragnienie, zarezerwowane na czas zmian, który dopiero miał nadejść, kiedy to miłość i czułość przeradzają się w namiętność. A teraz uderzyło ono w Seana próżnym podnieceniem, pożądaniem tak intensywnie erotycznym, że zbyt młode ciało nie potrafiło jeszcze zinterpretować takiego impulsu. Chłopiec odkrył nagle, że jego mały penis sztywnieje, a całe ciało wzdryga się i okrywa gęsią skórą. Pot lał się z niego strumieniami, przesiakając na wylot materiał piżamy. Przeniósł wzrok na fałszywego bliźniaka i przekonał się, że szyderczy stwór kuca ledwie kilka stóp od niego i z wywalonym ozorem zabawia się własnym penisem, kołysząc się na boki - jak namacalne odbicie w krzywym zwierciadle zła. Jego oczy były szeroko otwarte tak samo jak Seana, lecz miast przerażenia wyzierała z nich perwersyjna, nieludzka żądza.

Serce Seana waliło jak oszalałe. Chłopiec nie był w stanie dłużej tego znieść.

Wnętrznosci ścisnęły mu się, a malutka erekcja zniknęła, gdy mimowolnie opróżnił pęcherz. Żołądek szarpał się jak coraz mocniej zaciskany węzeł. I w tej właśnie chwili pełnej oślepiającego światła i dorosłych pragnień, które szokowały dziecięce ciało, pięknych namiętności wypaczonych w mroczne żądze, Seanowi dane było coś poznać. Było to coś, co jak mu się wydawało, poznał już wcześniej, tej nocy, kiedy do pokoju weszło Coś Złego, albo wtedy, gdy nagła fala porwała Patricka. Lecz tamte spotkania były przy tym jak szare cienie przy absolutnej czerni. Sean poznał, czym jest krańcowe przerażenie. Przeszyło go na wskroś i otoczyło, a teraz jeszcze przybrało namacalną postać. Stało przed nim jako istota, którą odtąd będzie znał pod mianem Świecącego Człowieka. A nagle rozpoznanie - jak naciśnięty języczek spustu - uwolniło weń to, co dotąd nie mogło się wydostać.

Sean krzyknął.

Nawet nie wyobrażał sobie dotąd, że potrafi tak krzyczeć - głosem, który przeszywa duszę. Wrzeszczał tak głośno, że zdawało mu się, iż usłyszał w odpowiedzi głos matki, zanim jeszcze echo tego krzyku poniosło się w głąb holu.

Dla Seana czas zatrzymał się w miejscu. Zwaliło się na niego z tuzin najrozmaitszych obrazów. Blask wokół Świecącego Człowieka zgasł, przekształcając go z powrotem w czerń otoczoną nikłą, niebieskawą poświatą. Przesunął się, a Sean znów kątem oka zobaczył jego twarz. Ujrzał w niej tak nieludzką, skrzywioną i pełną zła nienawiść, że potem już żaden na świecie obraz nie zdołał go przestraszyć. Coś Złego potoczyło się do tyłu, jak najdalej od źródła nieoczekiwanego dźwięku, niepewne, co ma robić, podczas gdy fałszywy Sean z małym wrzaskiem zrobił fikołka do tyłu i znikł chłopcu z oczu, lądując u stóp łóżka. Sean widział, że Świecący Człowiek trzyma w ramionach Patricka jak lalkę. Jego brat był bardzo blady. On krzyczał nieprzerwanie. Z korytarza doszły doń głosy rodziców, wołających po imieniu jego i brata, głos Gabbie, dopytujący się, co się stało. Po schodach gramolił się Wielki Pech, szczekaniem rzucając wyzwanie wszystkiemu, co śmiało zagrozić rodzinie. Sean krzyczał dalej.

Świecący Człowiek jeszcze raz przystąpił do Seana i sięgnął doń ręką. Cofnął dłoń z powrotem, jakby przyznając, że nie jest w stanie zagarnąć chłopca. Sean usłyszał puste, pełne rezygnacji westchnienie, a potem słowa: „Jeszcze się spotkamy”, wreszcie śmiech tak przenikliwy, że przedarł się przez jego krzyk.

Sean poznał, czym jest rozpacz.

Świecący Człowiek wycofał się w kąt pokoju. Coś Złego i fałszywy Sean popędzili zaraz do stóp pana. Świecący Człowiek nadal trzymał Patricka w zagięciu ręki, jakby ten nie ważył. Resztką otaczającej go poświaty znikła i po chwili mrok pochłonął widok czterech

postaci w kącie.

Potem gwałtownie rozbłysło światło, a w drzwiach stanęła Gloria. Zamarła na ułamek sekundy, kiedy w kącie dostrzegła czarne stwory, przykucnięte u stóp mężczyzny, który trzymał na ręku jednego z jej synów. Wszyscy nadal pozostawali w cieniu, jakby światło nie mogło do końca wypłenić stamtąd mroku. Potem wszystko nagle zniknęło. Gloria przystanąła w pół kroku, zamruwała zmieszana, nie wierząc własnym oczom. Po chwili lekko potrząsnęła głową, jakby chciała odzyskać jasność widzenia. Zerknęła na łóżko i przekonała się, że Patrick leży na swojej pryczy, pogrążony w głębokim śnie. Podeszła bliżej i wyciągnęła ramiona do Seana.

- Skarbie! Co się dzieje?

Sean drżał, niezdolny zapanować nad sobą. Zmoczył łóżko i narobił w piżamę. Nie mógł skupić wzroku. Usta miał szeroko rozwarte, a szczękę opuszczoną bezwładnie, kiedy ciągnął ten swój zdzierający gardło krzyk. Po brodzie ciekła mu ślina, całe ciało zlewał pot. Potrafił wydobyć z siebie tylko jeden dźwięk - ten krzyk.

Krzyk stał się dla Seana rzeczywistością. Był czymś namacalnym w świecie, który wypaczył się w bezcielesne szaleństwo. Mógł się w tym krzyku schować, mógł się nim nakryć, owinać weń całą swoją rodzinę i ukryć wszystkich w jego fałdach, ułożonych i pozwijanych w bezpieczną kryjówkę. Gardło miał zdarte, a całe ciało bolało go z napięcia i strachu, który próbował się przesaczyć przez skórę jak gęsta, paląca trucizna, ale krzyk trwał, realny i krzepiący. Wypełnił cały pokój, otaczając jego i rodzinę namacalną barierą, równie realną jak drewno, kamień czy stal. Krzyk trwał i trwał, bo Sean wiedział, że gdyby tylko przerwał, Świecący Człowiek ze swymi towarzyszami natychmiast wróciłby i dopadł Seana, jego matkę, ojca i Gabbie.

Do pokoju wszedł Phil i zbliżył się do łóżka. Po chwili w drzwiach stanęła Gabbie, która mocno zaniepokojona przyglądała się, jak ojciec przyklęka przy dolnej pryczy. Gloria wyciągnęła rękę, żeby dotknąć Seana, ale chłopiec odsunął się gwałtownie, jakby chciał wypełznąć jeszcze głębiej w swój kąt.

- Sean! O co chodzi, dziecinko? - Podniosła głos, tak jakby jego przerażenie nałożyło się i wzmogło dezorientację, wywołaną widokiem, który zastała, wchodząc do pokoju. - Dziecinko, o co chodzi? Proszę cię, przestań krzyczeć. Już wszystko dobrze. - Oczy zaszyły jej łzami, a na twarzy pojawiło się odbicie cierpienia i strachu, które współodczuwała wraz z synem.

Sean chciał jej powiedzieć, że wcale nie jest dobrze, a wiedział, iż matka sama wie, że nie jest dobrze, że tylko tak mówi - widział to wyraźnie w jej twarzy, lecz wiedział też, że nie

może przestać krzyczeć. Gdyby przestał, wszyscy zostaliby schwytani przez Świeącego Człowieka. Pozostało mu tylko pokazywać ręką tamten kąt i krzyczeć. Wskazywał więc i próbował zmusić ich, by zrozumieli. Prawa ręka celowała w tamtą stronę, gdy tymczasem lewa waliła w ścianę, żeby zmusić ich, by zrozumieli. Kołysał się w przód i w tył, trząsał się, uderzał ciałem o ścianę, chcąc zmusić ich, by zrozumieli. Gloria stała z uniesioną ręką, bezradna w obliczu czegoś, co przekraczało granice jej pojmowania. Widziała w synu niewinność poddaną torturze, stała więc tylko, niezdolna mu pomóc. Sean krzychał.

- O mój Boże!! - zakrzyknął nagle Phil. Gabbie wpiła się palcami we framugę drzwi, aż pobiełały jej kłykcie.

- Co?! - krzyknęła Gloria, która wzdrygnęła się gwałtownie z przestachu, słysząc ton jego głosu.

- Patrick jest nieprzytomny. Jest cały rozpalony. O Boże, Gabbie, dzwoń do szpitala i powiedz, że już tam jedziemy. - Phil zawiązał Patricka w koc i poniósł przez korytarz.

Gloria zmusiła się, by dotknąć Seana, potem zawołała:

- On też jest rozpalony. - Gnana potrzebą zatroszczenia się o syna, zignorowała mokrą pościel oraz powalaną piżamę. Ogarnęła wciąż wrzeszczącego chłopca ramionami, zagarniając wokół niego koc. Pozwoliła, by potrzeba chwili wymazała jej z pamięci ten niezrozumiały, budzący lęk widok, który powitał ją, kiedy stanęła w drzwiach pokoju chłopców. Popędziła korytarzem w ślad za mężem.

Gabbie pognęła do swego pokoju i złapała za słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu, wystukała numer centrali i poprosiła o połączenie z izbą przyjęć. Słyszała, jak na dworze ojciec zapuszcza silnik samochodu, potem jak rusza, rozpryskując żwir, i pędzi pojazdem. A pośród nocy, kiedy wydawało jej się, że już dawno umilkł odgłos samochodowego silnika, wciąż dobiegał ją krzyk Seana.

Na ostrym dyżurze wszyscy byli gotowi na ich przyjęcie, na długo zanim samochód Phila zatrzymał się przed wejściem. Phil dźwigał bezwładne ciało Patricka, a Gloria niosła Seana. Ten krzyczał przez całą drogę do szpitala i teraz gardło miał już tak zdarte, że wydobywał się z niego tylko nikły, chrapliwy jęk. Profesjonalny spokój pracowników izby przyjęć nieoczekiwanie napełnił Głorię otuchą, jak gdyby to, co działo się z jej synami, stanowiło jedynie interesujący problem medyczny, który należało rozwiązać, nie ekscytując się przy tym nadmiernie. Chłopców położono na kozetkach. Przy każdym stanęły dwie pielęgniarki. Młody lekarz pełniący dyżur, szczupły mężczyzna z lekkim nowojorskim akcentem, wysłuchał pielęgniarki, podającej odczyty, badając jednocześnie obu chłopców. Nakazał podać Seanowi łagodny środek uspokajający, potem zaniepokoił się, kiedy siostra podała mu temperaturę Patricka.

- Ponad czterdzieści jeden.

- Dobra, jest niebezpiecznie wysoka - odezwał się spokojnym głosem. - Popodłączajmy go do czujników i spróbujmy trochę zbić to draństwo.

Pielęgniarka podwiozła bliżej termometr cyfrowy i założyła Patrickowi sondę doodbytniczą, podczas gdy inna zaczęła nacierać go alkoholem. Ciekłokrystaliczny ekranik pokazał czterdzieści jeden i dwie kreski. Po kilku minutach cyfra wzrosła do czterdziestu jeden i trzech.

- Panie doktorze - rzuciła pielęgniarka rzeczowym tonem. - Rośnie.

Młody lekarz zerknął na maszynę, krótko kiwnął głową i polecił:

- Dobra, okładamy go lodem.

Podnieśli Patricka i podścielili gumowe prześcieradło. Pielęgniarz przyniósł dwa wiadra lodu i zaczął okładać nim chłopca, podczas gdy siostra przytrzymywała w górze końce prześcieradła, żeby lód nie leciał na podłogę. Lekarz zajął się teraz badaniem Seana.

- Co robicie Patrickowi? - zapytała Gloria.

Doktor zwrócił się do Phila:

- A może usiedliby państwo w poczekalni, a ja tam za chwilę przyjdę. - Kiedy zobaczył, że Gloria gotowa jest się z nim kłócić, dodał spokojnie: - Proszę pani, mamy tu dwójkę bardzo chorych dzieci. Proszę pozwolić, żebyśmy się nimi zajęli, dobrze?

Phil wyprowadził żonę z sali i posadził obok siebie na pokrytej winylem kanapie. Poza cichymi głosami z izby przyjęć słychać było tylko jednostajne tykanie elektrycznego zegara. Phil zerknął w tamtą stronę i przekonał się, że jest dwadzieścia po dwunastej. Przez

otaczającą go mgłę troski przebiła się nagle świadomość, że Gloria cała się trzęsie.

Gloria nie odrywała wzroku od drzwi izby przyjęć, w której grupa obcych ludzi ratowała jej dzieci, lecz w myślach wciąż widziała tamten obrazek z kąta w pokoju chłopców i przypominała sobie tę chwilową pewność, że w tamtym kącie, otoczony mrokiem, był Patrick. Nie mogła wymazać z pamięci tego obrazu, który odwoływał się mgliście do innego odczucia, innego wspomnienia z własnego dzieciństwa. Westchnęła i uzbroiła się w duchu na spodziewane oświadczenie lekarza, że na zawsze utraciła swych chłopców.

Phil wyciągnął rękę i przygarnął żonę do siebie, tak by oparła głowę na jego ramieniu. Próbował dodać jej otuchy uściskiem, lecz oboje dobrze wiedzieli, że tej nocy żadne z nich nie zazna spokoju. Nastawili się na długie oczekiwanie.

Jack rozdał wszystkim kawę. On i Gabbie byli w szpitalu już w dwadzieścia minut po Philu i Glorii. Gabbie zadzwoniła do Aggie, a Jack natychmiast przyjechał. Wytropił automat z kawą i przyniósł wszystkim po filiżance. Kawa Glorii stała przed nią, stygnąc, podczas gdy ona siedziała nieruchomo, pochylona do przodu, z oczyma utkwionymi w drzwiach izby przyjęć.

W pół godziny po przyjeździe Jacka i Gabbie pojawił się młody lekarz, niosąc pod pachą kartotekę, a w dłoni kubek z kawą. Na jego widok Gloria zerwała się na równe nogi.

- Jak nasi chłopcy, doktorze...?

- Murphy, Jim Murphy, pani Hastings. - Lekarz usiadł naprzeciwko nich w poczekalni. Pociągnął łyk kawy, a Gloria uświadomiła sobie nagle, że tylko ona jedna stoi. Usiadła, a doktor Murphy spojrział w kartę i zaczął:

- Ten przytomny chłopiec...

- Sean - podpowiedział Phil.

- Sean - ciągnął lekarz - jest mocno pobudzony. Jednak poza wysoką gorączką - bez widocznej przyczyny - nie stwierdziliśmy u niego żadnych innych objawów. Podaliśmy mu środek nasenny i przeniesiemy go na oddział dziecięcy. Jeśli w ciągu jutrzejszego dnia jego stan się nie pogorszy, będzie mógł wrócić do domu. Z tym drugim chłopcem - zerknął do karty - Patrickiem - sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ma niebezpiecznie wysoką gorączkę, powyżej czterdziestu jeden stopni i... no cóż, udało nam się ją obniżyć, ale musimy poddać go stałej obserwacji. - Kiedy mówił te słowa, dwóch salowych wywoziło Patricka na wózku z izby przyjęć.

Gloria popatrzyła na oddalający się wózek i zapytała:

- Dokąd go zabieracie?

W jej głosie dała się słyszeć nuta paniki, która kazała lekarzowi przyjrzeć jej się uważnie, zanim odpowiedział. Odparł cicho:

- Musimy mieć go pod stałą obserwacją. Przenosimy go na intensywną terapię.

W oczach Glorii natychmiast pojawiło się przerażenie.

- Na intensywną terapię? Mój Boże, co się dzieje?

Lekarz usiłował ją uspokoić.

- Pani Hastings, Patrick miał bardzo wysoką gorączkę. Obniżyliśmy ją do około trzydziestu ośmiu stopni, ale jeszcze przez jakiś czas musimy utrzymywać ją na tym poziomie. Przy bardzo wysokich temperaturach zdarza się, że organizm traci zdolność do



regulowania własnej temperatury. Po prostu dla bezpieczeństwa chcemy mieć Patricka na oku przez resztę nocy. - Zerknął na formularze, które Phil pomógł wypełnić przyjmującej ich pielęgniarce. - Prawda jest taka, że na razie brak nam wskazówek, co właściwie dzieje się z państwa chłopcami. Wiele przyczyn możemy z góry wykreślić, ponieważ przed pójściem do łóżka na nic się nie skarżyli. Może to rodzaj zatrucia pokarmowego, ale reszta rodziny na nic się nie skarży.

- Doktorze Murphy, chłopcom nic nie dolegało, kiedy kładli się do łóżka - wtrącił Phil.

- Wiem, panie Hastings. Podejrzewam, że mamy tu do czynienia z dość złośliwym wirusem, który atakuje szybko. Ale dopóki nie otrzymamy wyników z laboratorium jutro rano, możemy tylko zgadywać. Jedyne, co nam teraz pozostało, to zapewnić chłopcom jak największy komfort, zachować czujność, leczyć objawowo, a jutro z samego rana brać się do roboty. Reszta rodziny powinna podejść do sprawy na spokojnie. Jeśli to wirus, który złapali w szkole, to może on dopaść każde z was w ciągu następnych kilku dni. Jeśli ktokolwiek z państwa poczuje się gorzej, radziłbym już przy pierwszych objawach zgłosić się do nas. Jeśli to rzeczywiście wirus, to naprawdę paskudny.

Wyglądało na to, że Gloria nie jest w stanie ani ruszyć się, ani odezwać. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła tylko z panicznym przestraszaniem. Wydawało się, że drży.

- Proszę pani, robimy wszystko co w naszej mocy - dodał lekarz.

Nie odpowiedziała, zdobyła się tylko na leciutkie kiwnięcie głową.

- Zaraz wypiszę receptę na środki uspokajające, panie Hastings. Myślę, że to nie jest zły pomysł, abyście pan i żona wzięli dziś wieczorem po jednej tabletki. Najwcześniej jutro po południu uzyskamy jakiś obraz tego, co się dzieje.

Gloria wsparła się ciężko o Phila, który odpowiedział:

- Dziękujemy, panie doktorze.

Lekarz wstał i przeszedł do stanowiska pielęgniarek, gdzie nabazgrał coś na bloczku z receptami. Wręczył papierki Jackowi.

- Może pan to zrealizować w aptecce w głównym holu. Jest otwarta przez całą noc. - Jack oddalił się pospiesznie, a lekarz dodał: - Ludzie, naprawdę powinniście wrócić do domu. Obawiam się, że to może dość długo potrwać. Myślę, że nie ma co liczyć na to, że Patrick odzyska świadomość w ciągu kilku najbliższych dni.

Gloria wspierała się na Philu, głowę położyła na jego ramieniu. Na moment przymknęła oczy i znów ujrzała tamten obraz z kąta pokoju chłopców. Wróciło do niej nagle wspomnienie jakiegoś dźwięku, jakby gwizdzącego wiatru, i bliżej nieokreślony kwietno-

korzenny zapach. Znow poczuła w piersi ukłucie paniki.

Wstała zdezorientowana, jakby starała się skupić zamglony wzrok. Phil dojrzał w jej oczach paniczny strach. Przytrzymał ją mocno za rękę i powiedział:

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Robią wszystko, co w ich mocy.

Wydawało się, że Gloria wcale nie słyszy męża. Rozejrzała się dookoła dzikim wzrokiem. Nagle wydała z siebie umęczony okrzyk.

- Patrick!

Ruszyła do przodu, jakby chciała pobiec w stronę oddziału intensywnej terapii. Gabbie i Phil przytrzymali ją, a głos Glorii wspiął się na histerycznie wysokie tony.

Doktor krzyknął w stronę pokoju pielęgniarek, aby natychmiast przyniesiono mu środek uspokajający. Zrobił zastrzyk rozgorączkowanej Glorii i w ciągu minuty kobieta popadła w stan półoszołomienia. Wrócił Jack z przepisaniem lekarstwem i zaraz zorientował się, co się dzieje.

- Myślę, że powinniście pojechać do domu i choć krótko się przespać - odezwał się lekarz. - A zanim tu wrócicie, może dobrze byłoby zażyć po jednej z tych pigułek, które zapisałem, ale wtedy niech ktoś was przywiezie.

- Dziękuję - odparł Phil, potem zwrócił się do Jacka: - Odwieź Głorię i Gabbie do domu, dobrze?

Gabbie położyła dłoń na ramieniu ojca.

- Tato?

- Ja zostaję.

Lekarz już miał zaprotestować, kiedy dostrzegł w oczach Phila coś, co kazało mu ustąpić.

- W porządku, przekażę pielęgniarkom na pediatrii, że wolno panu spędzić noc w pokoju Seana. Ale o intensywnej terapii nawet nie ma mowy. - Wyglądało na to, że Phil chce zaprotestować, ale lekarz wszedł mu w słowo: - To nie podlega dyskusji. Na oddziale intensywnej terapii rodzinie wolno przebywać tylko przez dziesięć minut, a i to w godzinach wizyt. Nie ma żadnych wyjątków, panie Hastings.

Phil zgodził się, po czym odesłał Gabbie i Jacka z Głorią. Podziękował lekarzowi i pojechał windą na pediatrię, zauważając po drodze, że intensywna terapia jest o dwa piętra niżej. Zgłosił się w pokoju pielęgniarek, gdzie poinformowano go, że Sean leży w sali pięćset szesnaście. Udał się tam i zastał Seana śpiącego w dwuosobowym pokoju. Drugie łóżko stało puste.

Oparł się o poręczę łóżka. Spojrzał w twarz chłopczyka i na miejscu Seana zobaczył

Patricka. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać. Przez całe swoje życie Philip Hastings miał się za człowieka racjonalnego. Musiał radzić sobie z wybrykami pierwszej żony o kapryśnej naturze i karierą zawodową w dziedzinie, w której nieustanne gwałtowne zmiany stanowiły normę. Uważał, że w trudnej sytuacji będzie umiał poradzić sobie z niespodziewanym ciosem. Ale to zdarzenie powaliło go na kolana.

Phil nigdy nie lubił okazywać silnych emocji, więc i teraz szybko wziął się w garść. Przez chwilę zastanawiał się nad skorzystaniem z pustego łóżka, ale w końcu zrezygnował z tego pomysłu. Myśl o szpitalnym łóżku zdała mu się odpychająca. Podszedł do wielkiego fotela przy łóżku Seana i tam się usadowił. W ciągu kilku minut późna godzina i wyczerpanie emocjonalne dały o sobie znać i Phil zapadł w niespokojną drzemkę.

Czuł, że unosi się nad jakimś szarym krajobrazem, w krainie półświatła, pocętkowanej szerniałymi od błyskawic kikutami drzew, w mrocznym i pozbawionym życia lesie, gdzie na granicy wzroku przemykały jakieś przypominające cienie postacie. Słyszał dziwaczne szepty, irytująco nie do końca zrozumiałe, denerwująco znajome, lecz nie dające się ogarnąć. Potem zawołał go czyjś daleki głos. To był głos Patricka! Słyszał, jak woła go „Tatusiu!”

Phil wyprostował się gwałtownie w fotelu, kiedy spokojny głos powtórzył wiadomość przez szpitalny system megafonów. Zamrugał, przekonał się, że cały jest zlany zimnym potem, po czym potrząsnął głową, żeby pozbyć się resztek sennego zamroczenia. Głos powtórzył raz jeszcze:

- Stan alarmowy na intensywnej terapii. Doktor Murphy proszony na intensywną terapię.

Phil już mijał stanowisko pielęgniarek, zanim dyżurna zdążyła się do niego odezwać. Minał windę i przeskakując po dwa schody naraz, zbiegł dwa piętra niżej. Tam pchnął wielkie, podwójne drzwi i wpadł do holu. Podwójne drzwi wieściły, że znalazł się na oddziale intensywnej terapii, gdzie wstęp miały tylko osoby upoważnione. Pchnął następne drzwi i znalazł się przed stanowiskiem pielęgniarek, złożonym z całego zestawu monitorów, naprzeciwko wielkiej, szklanej ściany, przez którą widać było sześć łóżek. Nad jednym z nich uwijała się desperacko grupka lekarzy, natomiast naprzeciw zbliżającego się Phila już parła zdecydowanie pielęgniarka, żeby zagrozić mu drogę.

Bez przeproszenia złapała go szorstko za ramię.

- Proszę pana, nie wolno panu tu przebywać.

Phil, na wpół odrętwiały, pozwolił niedużej kobiecie wypchnąć się z powrotem za drzwi. Na korytarzu zdołał tylko zapytać:

- Co...?

- Lekarz porozmawia z panem, kiedy tylko to będzie możliwe. - Pospiesznie ruszyła z powrotem i pozostawiła Phila samego w poczekalni.

Godzinę później doktor Murphy wyszedł i usiadł przy Philu.

- Panie Hastings... - zaczął i urwał. - Proszę posłuchać, trudne rozmowy z rodziną pacjenta nigdy nie szły mi najlepiej, więc powiem po prostu, jak jest. Patrick przeszedł coś, co nazywamy epizodem sercowym.

- Atak serca? - Phil nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Lekarz był wyraźnie zmęczony.

- Niezupełnie. Lekkie migotanie. Opanowaliśmy sytuację, a teraz trzymamy go pod bezustanną obserwacją. Organizm chłopca musiał wiele znieść w ciągu ostatnich sześciu godzin... a takie rzeczy czasem się zdarzają. Pewne regulacyjne funkcje organizmu uległy różnym zaburzeniom.

- Ale już jest w porządku?

- Pod względem czynności serca - myślę, że tak. Trzeba jeszcze wykonać kilka badań, które pozwolą nam stwierdzić, czy serce nie zostało przy tej okazji trwale uszkodzone. Ale...

- Co takiego? - przerwał mu Phil, którego opanowała koszmarna pewność, że stało się coś okropnego.

Lekarz podniósł się z miejsca.

- Proszę pójść ze mną, panie Hastings.

Phil ruszył za młodym lekarzem z powrotem na intensywną terapię, gdzie zastał jeszcze jednego lekarza oraz kilka siostr stojących między stanowiskiem pielęgniarek a łózkami, wpatrzonych w monitory nad głową Patricka z wyrazem absolutnego zadziwienia. Głosem pobrzmiwającym zmęczeniem doktor Murphy oznajmił:

- Panie Hastings, Patrick miał okropnie wysoką gorączkę, która trwała... kto wie jak długo? Obawiam się, że mogło to doprowadzić do dość poważnych uszkodzeń neurologicznych.

- Neurologicznych? - powtórzył szeptem Phil, jakby było to słowo zupełnie mu obce, o nieznanym znaczeniu.

- Uszkodzeń mózgu, panie Hastings - wyjaśnił lekarz takim tonem, jakby takie ujęcie sprawy napełniało go niesmakiem.

Phil skrzywił się i przymknął oczy.

- Jak poważnych? - zapytał cicho.

Doktor pokręcił głową.

- W normalnych warunkach powiedziałbym, że wyjdzie z tego.

- Co pan rozumie przez „normalne warunki”?

Doktor Murphy wskazał na zestaw maszyn, poprzyłączanych do Patricka. Na ekranach tańczyły ruchome linie, ciskające się po całej ich powierzchni w gorączkowym tempie.

- Widzi pan te monitory, panie Hastings? - Phil potwierdził kiwnięciem głowy. - Mówią nam, co w każdej kolejnej chwili dzieje się z Patrickiem. - Podszedł do ekranu stojącego tuż obok łóżka. - To jest elektroencefalograf, EEG. - Wskazał palcem trzy postrzępione, drgające wściekle linie. - Gdyby Patrick przeszedł śmierć mózgową, byłyby płaskie.

- W takim razie nic mu nie jest? - zapytał Phil.

- Panie Hastings - odrzekł doktor Murphy - jestem rezydentem dopiero drugi rok. W tej chwili sam już nie wiem, jak się nazywam. W życiu nie widziałem nic, co choćby mgliście przypominało ten odczyt - a wątpię, by widział coś takiego nawet nasz dyżurny neurochirurg. Tak skrajnie różni się on od wszelkich normalnych zapisów fal mózgowych, jakie widywałem w podręcznikach. W tej chwili nie potrafię panu powiedzieć, co się dzieje z pańskim synem.

- Czy z Patrickiem wszystko w porządku?

Murphy zbliżył się do Phila, ujął go pod ramię i poprowadził z powrotem do poczekalni.

- Panie Hastings, nie mam najmniejszego pojęcia. - Wyprowadził Phila na zewnątrz.

Phil usiadł i popatrzył na lekarza.

- Co teraz zrobimy?

- Jutro z samego rana mam zamiar wezwać doktora Wingate'a, który jest ordynatorem neurochirurgii. Może on będzie w stanie dojść, co się dzieje, ale to wszystko, na co mnie w tej chwili stać.

Phil opadł na oparcie kanapy. Po chwili przymknął oczy. Lekarz siedział przez dłuższą chwilę u jego boku. Potem jednak kolejny raz wezwano go do nagłego przypadku na ostrym dyżurze. Doktor Murphy wstał. Tu nic więcej już nie mógł zdziałać.

Kiedy Phil siedział jak otępiały na zewnątrz, jedna z pielęgniarek na intensywnej terapii zerknęła przez szybę w stronę łóżka Patricka i mogłaby przysiąc, że przez ułamek sekundy widziała wokół chłopca błysk światła, jakby zapłonął jakąś dziwną energią, a potem zgasł. Przypisała to jednak zmęczeniu po gorączkowych wysiłkach w czasie sytuacji alarmowej oraz tym wszystkim niesamowitym odczytom. Spojrzała na monitory - odpowiedniki tych, które znajdowały się przy łóżku Patricka - i pokręciła głową. Gdyby nawet coś było z nim źle, to skąd ona mogłaby o tym wiedzieć? Z tego i tak nic się nie dało

odczytać. Popatrzyła na zegarek i przekonała się, że za dwie godziny kończy dyżur, a wtedy niech kogo innego boli o to głowa. Wróciła do wypełniania co półgodzinnych raportów.

W łóżku za szybą, pod białym prześcieradłem, stopy Patricka ruszały się ledwie dostrzegalnymi drgnieniami mięśni, jakby chłopiec tańczył radośnie we śnie, a w kącikach jego ust pojawił się na chwilę cień uśmiechu. Potem wszystko ustało.

Gabbie stanęła w drzwiach, spoglądając na ojca, który siedział wpatrzony w Seana. Jack przed chwilą wysadził ją przed szpitalnym wejściem, a sam pojechał poszukać miejsca do parkowania. Weszła dosłownie przed chwilą. Zerknęła ponad ramieniem ojca na chłopca, który we śnie ruszał się niespokojnie. W końcu zagadnęła:

- Tato?

Phil obejrzał się, a Gabbie pomyślała, że serce pęknie jej z żalu na widok cierpienia w jego oczach. Przypadła do niego i uklękła. Łapiąc go za rękę, powtórzyła:

- Tato?

- Cześć, skarbie - odparł głosem ochryplym z emocji.

Oczy dziewczyny napełniły się łzami, bo choć nic nie powiedział, wiedziała, że coś okropnego dzieje się z Patrickiem. Przez długą chwilę milczenia walczyła z ogarniającym ją smutkiem, dopóki do sali nie wkroczył cicho Jack.

Jakby na dany sygnał przybyła też pielęgniarka, żeby poinformować ich, że w pokoju jest zbyt wiele osób. Coś w jej sposobie bycia wyzwoliło w Gabbie złość. Jak wcielenie furii wstała, stanęła twarzą w twarz z pielęgniarką i warknęła:

- Gdzie lekarz? - Powiedziała to niegłośnie, lecz bardzo ostrym tonem.

Pielęgniarkę, choć była świadkiem wielu tragicznych scen, zbił z tropu nieoczekiwany gniew dziewczyny. Cofnęła się o krok.

- Wezwę doktora Murphy'ego przez pager... panienko.

Jack podszedł z tyłu do Gabbie i zapytał:

- Patrick?

Gabbie w odpowiedzi tylko lekko kiwnęła głową, lecz zaraz poczuła, jak Jack cały tężeje i usłyszała, jak z ust wyrzywa mu się smutne, zrezygnowane westchnienie. Niedługo potem pojawił się doktor Murphy. Na jego widok dziewczyna przemówiła niegłośnie, lecz stanowczo:

- Panie doktorze, czy mój brat nie żyje?

Lekarz spojrzał ponad jej ramieniem na Phila, który kiwnął głową. Potem wezwał gestem Gabbie i Jacka, żeby wyszli z nim na korytarz. Kiedy znaleźli się przed drzwiami do sali, odpowiedział:

- Nie, panno Hastings, pani brat nie zmarł. Ucierpiał wczoraj w nocy od straszliwie wysokiej gorączki, która jak się zdaje porobiła różne dziwne rzeczy z funkcjami wyższymi jego mózgu. W tej chwili jest podpięty do całej baterii instrumentów, ale szczerze mówiąc,

nie mamy najmniejszego pojęcia, co się z nim dzieje.

- Czy wyjdzie z tego? - dopytywała się twardo Gabbie.

Doktor miał przez moment dość niepewną minę.

- Jeszcze nie wiemy, proszę pani.

Gabbie stała jak rażona piorunem. W końcu odezwała się cicho:

- Kiedy będziecie wiedzieć?

- W tej chwili bada go doktor Wingate, nasz najlepszy neurochirurg. Jest niezwykle bystry. Skontaktuje się później z panią i pani tatą. Zauważyłem, że Patrick był już u nas wcześniej, kiedy założono mu kilka szwów, a wtedy jako lekarza rodzinnego wskazaliście doktora Lathama. Doktor będzie tu niedługo, a ja natychmiast z nim pomówię. Potem on i doktor Wingate przyjdą razem, żeby porozmawiać z pani ojcem.

Gabbie pokiwała głową i zerknęła przez drzwi na Phila. Siedział wpatrzony w twarz Seana, najzupełniej obojętny na toczącą się za drzwiami rozmowę. Gabbie zrobiło się dziwnie smutno w środku. Odparła:

- Dziękuję, panie doktorze.

Podeszła do ojca i pochyliła się, żeby go uściskać. Doktor Murphy przyglądał się jej, rozważając przez chwilę, jaką jest piękną młodą kobietą. Potem odłożył na bok ten chwilowy błysk zainteresowania, zastanowiwszy się nad obecnością uczynnego młodego człowieka. Zwrócił się do niego:

- Niesamowita z niej dziewczyna.

- Wiem, panie doktorze, wiem - odparł Jack i ruszył za Gabbie.

W pokoju Seana Gabbie, niepomna na niewygodę, przycupnęła na poręczu fotela Phila i mocno się doń przytuliła. Jack podszedł bliżej i położył jej dłoń na ramieniu. Nie padło ani jedno słowo. Mogli tylko czekać.

Dwa piętra niżej pielęgniarka zerknęła właśnie przez szklane przepierzenie na łóżko Patricka. Kiedy odwracała wzrok, zdawało jej się, że kątem oka uchwyciła jakiś ruch, więc szybko spojrzała z powrotem. Chłopiec leżał dokładnie tak samo jak przed chwilą - tak jak leżał od początku jej dyżuru, lecz nie wiadomo dlaczego, nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że jednak się poruszył. Zerknęła na odczyty z urządzeń, lecz chaotyczne kreski nadal nie dawały się zinterpretować. Zwyczajną odczucie wzruszeniem ramion, mruknęła pod nosem:

- Za długo już tu pracuję, robię się zbyt nerwowa. Chyba potrzebuję urlopu.

Na obcej ziemi Patrick z całej siły wytyczał słuch, żeby dosłyszeć ten daleki głos. Potem głos umilkł, a on skupił uwagę na otoczeniu. Ale tu dziwnie, pomyślał. Czarne drzewa i dalekie gwiazdy, aromaty niesione ciepłym wietrzykiem. Ale dziwnie. Myśli przychodziły



doń jak promienie światła, przebijające się przez gęstą i mroczną mgłę. Miał świadomość, że coś tu jest nie tak, tylko nie wiedział co i w pewien dziwny, zubożniały sposób wcale nie dbał o to. Pozwolił myślom wędrować swobodnie i wkrótce zapomniał o tamtym głosie.

Doktor Theodore Wingate przyglądał się wydrukowi z komputera analizującego dane z urządzeń kontrolnych na oddziale intensywnej terapii. Kiedy neurochirurg badał złożony na podobieństwo wachlarza papier, za jego plecami stał doktor Latham. Doktor Murphy był przy Patricku.

Phil siedział z lekarzami w gabinecie Wingate'a. Wkrótce mieli się zjawić Gabbie i Jack, żeby odebrać Seana, którego dziś wypisywano. Gloria pozostawała w domu, pod opieką Aggie, kurowana środkami uspokajającymi.

Przybyły neurochirurg miał nieco grubiańskie maniery, ciągle zrzędził, lecz Phil szybko się na nim poznał: Teddy Wingate był dobrym człowiekiem, stwarzającym tylko pozory irytacji i udręczenia każdą osobą, z jaką miał styczność. Pod tą zewnętrzną powłoką krył się otwarty, ciepły człowiek, który po kilku minutach rozmowy był już z każdym po imieniu. Teraz odłożył odczyty i popchnął do góry okulary a la Ben Franklin, które przez ten czas zdołały ześlizgnąć się aż na skraj nosa. Miał okrągłą twarz i przedwcześnie posiwiałe włosy, kontrastujące z rumianą cerą. Zdawało się, że prowadzi nieustanną walkę o jak najwygodniejszą pozycję we wnętrzu swego wymiętego ubrania. Odezwał się cicho:

- Phil, nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

Phil westchnął. Ten stan niepewności niesłuchanie go męczył, a z każdą mijającą godziną coraz bardziej tracił cierpliwość.

- Co robimy?

- Czekamy - odparł cicho Wingate. - Phil, Patrick przeszedł bardzo ostry atak gorączki, który uszkodził mu mózg. - Zerknął na odczyty. - Wygląda na to, że wyższe funkcje jakoś się poplątały. Jego mózg wykazuje zupełnie niebywały rodzaj aktywności. Nie potrafię ci nawet powiedzieć, co sprawia, że jego serce jeszcze pompuje krew, a płuca oddychają. Wyszedł z tej zapaści serca, ale nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze żyje... Phil, sam nie wiem, o czym ja tu, u diabła, gadam. Może to coś w rodzaju mózgowego... krótkiego śpięcia, które samo się naprostuje. A może jest już po nim. Po prostu nie wiem. Nawet nie potrafię odgadnąć, o co chodzi w tych odczytach. Przykro mi.

- A co ja mam robić? - zapytał Phil ochryplym szeptem.

- To co i reszta z nas: czekać - odpowiedział mu doktor Latham. - Lepiej wracaj do domu, Phil. Musisz odpocząć.

Phil w milczeniu pokiwał głową. Wiedział, że musi stanąć przed Gorią. Ale co ma jej powiedzieć? Phil nie znał jej ojca, który zmarł na dwa lata przed ich poznaniem, lecz w

rozmowach z Glorią i jej matką zdołał odmalować sobie dość szczegółowy jego portret, zarówno sprzed, jak i po zdiagnozowaniu raka. Był to silny, nieprzeciętnie postawny mężczyzna, któremu sprawiały przyjemność czynne rozrywki: obozowanie pod namiotem, konna jazda, myślistwo i żeglarstwo - po pięćdziesiątce zaczął biegać na długie dystanse - i ten mężczyzna stał się całkowicie zależny od obcych, którzy musieli przytrzymywać mu basen, kiedy on płakał z bólu i wstydu. Gloria nie mogła o tym mówić. Phil wiedział, że sama myśl o tym, że Patrick mógłby się stać całkowicie bezradny, budziła w niej przerażenie, które przyćmiewało nawet strach przed śmiercią. Zbrojąc się na tę ciężką próbę, Phil zaczął podnosić się z krzesła.

- Najpewniej macie rację... - Miał zamiar się pożegnać, lecz nagle ta straszliwa niewiedza uderzyła weń z całą siłą. Z okrzykiem cierpienia zwalił się z powrotem na krzesło, a z głębi duszy wyrwał mu się udręczony szloch. - O mój Boże! Przecież to jeszcze małe dziecko! - Doktor Latham położył mu dłoń na ramieniu, na próżno próbując przynieść mu taką pociechę, jaką był w stanie mu zaofiarować. Nagle płacz Phila przeszedł w pełne udręki pytanie: - I co ja powiem Glorii?

Po długiej, bolesnej chwili odezwał się doktor Wingate:

- Idź do domu, Phil. Jak chcesz, zadzwonię do twojej żony.

Phil pokręcił odmownie głową, podnosząc nań zaczerwienione oczy. Nagle poczuł się chyba zażenowany. Doktor Latham wziął z biurka pudełko chusteczek higienicznych i podał mu, a Phil wydmuchał nos.

- Nie, Teddy. Gabbie i Jack mają przyjechać... - Zerknął za ścienny zegar i zaklął: - Cholera. Pewnie już tu są i czekają przed wejściem. - Podniósł się nieco chwiejnie. Doktor Latham gestem nakazał mu usiąść z powrotem.

- Pójdę po nich.

- Nie, lepiej sam po nich pójść. - Kierując się w stronę drzwi, Phil dodał jeszcze: - Obu wam dziękuję.

- Phil, naprawdę żałuję, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić, wierz mi - odezwał się doktor Wingate.

Phil wyszedł, a obaj lekarze, którzy dotąd jakoś się trzymali, teraz jakby lekko zapadli się w sobie.

- Zawsze tak samo ciężko, co? - zagadnął doktor Latham.

- To prawda - odrzekł cicho Wingate. - Kiedy byłem rezydentem, mieliśmy tu na dyżurach wyjątkowo błyskotliwego stażystę. Dzieciak był tak cholernie bystry, że sam czułem się przy nim głupi - a jak wiesz, wiele do tego trzeba. Kiedy kończył mu się staż,

próbowałem go skusić, żeby został u nas. Pamiętam jego odpowiedź. Powiedział: „Neurochirurgia? Nie zostałem lekarzem po to, żeby się przyglądać, jak umierają moi pacjenci”.

Kiwając ze zrozumieniem głową, doktor Latham rzekł:

- Święta prawda, Teddy. Dlatego właśnie jestem taki szczęśliwy, że zostałem lekarzem rodzinnym. No cóż, mam jeszcze kilka wizyt - dodał i ruszył w stronę drzwi. - Do zobaczenia...

Nagle drzwi się otwały i do pokoju zajrzał doktor Murphy.

- Lepiej chodźcie szybko!

Obaj lekarze ruszyli za Murphym korytarzem w stronę schodów. Nawet okrągławy Wingate biegł po schodach na intensywną terapię. Kiedy pchnęli drzwi wiodące na oddział, powitał ich ochryply, jakby zwierzęcy krzyk. Patrick siedział na łóżku z niedobrym uśmiechem na twarzy, pohukując i wyjąc. Zdarł z siebie szpitalną koszulę i siedział nagi, jedną ręką trzymając się za lędźwie. Drugą wcierał we włosy jakąś ciemną substancję, zaśmiewając się po maniacku. Czujniki urządzeń nadzorujących, poodrywane, zwisały teraz luzem ze swoich maszyn.

Jedna z pielęgniarek stała przy drzwiach, podczas gdy druga z furią czyściła sobie przód śnieżnobiałego fartucha. Wingate spojrział na pielęgniarkę i zapytał:

- Nancy, co się stało?

Młoda kobieta odparła z morderczym spojrzeniem:

- Sprawdziałam połączenia urządzeń, kiedy nagle się ocknął. Z ekranów nic nie można wyczytać, więc nic tego nie zapowiadało.

Kiedy Wingate poszedł zbadać Patricka, Murphy zapytał:

- Co ty masz na fartuchu?

- Gówno. Nie poznajecie po cudnym zapaszku? - odparła siostra.

- On to zrobił? - zapytał Latham.

Walcząc z trudem o odzyskanie resztek zawodowego spokoju, pielęgniarka odparła:

- Poczulałam, że coś mnie łapie za prawą pierś i spojrzałam w dół. Był przytomny i oddał kał do łóżka. Smarował nim moje piersi.

Latham wpatrywał się w nią z jawnym niedowierzaniem. Głos pielęgniarki zdołał już przybrać prawie spokojny ton, lecz twarz nadal wyrażała gniew. Nie mógł sobie wyobrazić, co mogło spowodować u niej tak silną reakcję. Nancy Roth była wykwalifikowaną, doświadczoną pielęgniarką, która poznała już ciemną stronę swego zawodu. Zdarzało jej się myć pacjentów, bywała obryzgiwana krwią lub wymiocinami. Nic tak przyziemnego jak

ekskrementy nie wywołałoby nawet jednej dziesiątej tej złości i zdenerwowania, jakie teraz okazywała.

- Co jeszcze? - zapytał.

Oczy kobiety nadal przypominały dwie z trudem opanowywane błyskawice.

- Odsunęłam się, a... pacjent - odparła - zaczął się masturbować. - Jej głos złagodniał, zamiast złości dźwięczało w nim teraz zakłopotanie, twarz zaś przybrała strapiiony wyraz. - A przy tym obrzucił mnie takim... spojrzeniem.

Murphy i Latham zerknęli za szybę, gdzie Wingate wraz z drugą siostrą usiłowali zbadać wrzeszczące dziecko. Pielęgniarka opowiadała dalej.

- Panowie, nie wiem, jak mam wam to powiedzieć... Mężczyźni różnie już na mnie patrzyli... Panie doktorze, on miał taki wyraz twarzy, jaki... nie ma prawa się pojawić u tak małego dziecka.

Obaj lekarze zwrócili wzrok na kobietę.

- Nancy, co rozumiesz przez „takie spojrzenie”?

- Patrzył jak marynarz w barze topless. Nie, nawet jeszcze gorzej. - Była teraz bardziej zdenerwowana niż zła. - To było spojrzenie obsceniczne. - Głos przeszedł w szept, jakby czuła się zażenowana. - Ja wiem, że to jeszcze dziecko... ale on wygląda, jakby był gotów w każdej chwili się pieprzyć. - Lekarze wymienili pytające spojrzenia. Siostra Roth, z pełnym rezygnacji machnięciem ręki, dodała: - Ja wiem. To niemożliwe. Ale... coś tu jest nie tak. Ten pacjent. Panowie, ja nie wiem, co to było, ale to było chore. A kiedy chciałam go obezwładnić, próbował mnie obmacywać. - Wzięła głęboki wdech i wyraźnie starała się opanować. - Ja... on sięgnął mi między nogi... jak jakiś wstrętny degenerat. Faj! - dodała z czystym obrzydzeniem w głosie. Cisnęła na bok ręcznik. - Muszę się przebrać.

- Proszę iść - zgodził się Latham. Pielęgniarka wyszła, a wrócił Wingate. Rzucił do Murphy'ego:

- Znajdź Phila Hastingsa, zanim opuści szpital. - Kiedy młody rezydent niemal biegiem opuszczał oddział, krzyknął za nim jeszcze: - I na miłość boską, powiedz mu, żeby się przygotował na następny szok.

Wingate i Latham odwrócili się i obserwowali Patricka przez szklaną ścianę. Rozwrzeszczane dziecko walczyło z trzema pielęgniarkami, które usiłowały zmyć z niego ekskrementy, jakimi wysmarował się cały.

Phil stał przed drzwiami oddziału psychiatrycznego, czekając na Glorię i Aggie. Wiadomość, że chłopiec odzyskał przytomność, na chwilę ożywiła w nich nadzieję, jednak na krótko. Przez małe szklane okienko widział siedzącego na łóżku Patricka. Znow był nagi, gdyż natychmiast zdzierał z siebie każde ubranie, jakie nań nałożono. Kołysał się w przód i w tył, trzymając się za penisa. Przez cały czas pokrzykiwał i pohukiwał, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora umieszczonego wysoko na ścianie naprzeciw jego łóżka. Telewizor pokryto ochronną plastikową folią, więc jedzenie oraz ekskrementy, jakimi ciskał weń Patrick, pokryły plastik różnokolorową warstwą, która jednak wyraźnie nie przeszkadzała mu czerpać przyjemności z oglądanego programu.

Phil poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i odwróciwszy się, ujrzał przed sobą Gabbie, a u jej boku Jacka.

Na oddział weszli Teddy Wingate z jakimś innym lekarzem i podeszli do Phila.

- Przekazałem kartę doktorowi Websterowi, który jest ordynatorem naszego oddziału psychiatrycznego.

Phil uścisnął dłoń ordynatora.

- Co się dzieje z moim synem? - zapytał Phil.

- Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić, panie Hastings - odparł doktor Webster, a widząc, że Phila nie satysfakcjonuje taka odpowiedź, dorzucił: - Wydaje mi się, że w wyniku uszkodzenia mózgu Patrick funkcjonuje na poziomie umysłowym... niemowlęcia mniej więcej sześciomiesięcznego.

Phil oparł się bezsilnie o drzwi, nie zwracając uwagi na dobiegające zza nich odgłosy.

- Co możemy zrobić?

Webster przejrzał kartę.

- Wykonamy jeszcze kilka testów i sprawdzimy, co można zrobić, żeby złagodzić nieco tę jego gwałtowność. Proszę posłuchać, porozmawiam z panem trochę później, dobrze?

Webster odwrócił się i nie czekając na odpowiedź Phila, wyszedł przez inne drzwi. Gabbie popatrzyła na ojca i oświadczyła:

- On mi się nie podoba.

- Peter potrafi być trochę szorstki, ale jest w tym dobry - odrzekł Wingate. Widząc na twarzy Gabbie jawne powątpiewanie, dodał: - Naprawdę, jest dobry.

- Chcę wezwać specjalistę - oznajmiła Gabbie.

- Kogo? - zapytał bez skrępowania Wingate.

- A kto jest najlepszy?

- Michael Bergman - odparł natychmiast Wingate - ze szpitala Johna Hopkinsa w Baltimore. Zdziałał więcej w dziedzinie dysfunkcji mózgu niż ktokolwiek inny. Ma też taki swój prototyp - imager responsu magnetycznego, który dałby śliczny, kolorowy obraz tego, co się dzieje w głowie Patricka. Maleństwo jest przenośne, w każdym razie dwóch silnych mężczyzn powinno dać radę go przenieść. To pierwsze, mające wymiary mniejsze od wymiarów przeciętnego pokoju.

- On jest najlepszy? - upewniała się Gabbie.

- Jak na ten dziwny przypadek - odparł Wingate - bez wątpienia. Spotkałem go na jednej konferencji. To bardzo bystry klient.

- W takim razie go tu sprowadzę.

Murphy uśmiechnął się.

- Może pani go tu sprowadzić?

Gabbie pokiwała głową.

- Tylko patrzcie. Czy mogę skorzystać z telefonu? - Wingate kiwnął głową, po czym wprowadził Phila, Gabbie i Jacka z oddziału psychiatrycznego. Kiedy znaleźli się w biurze Wingate'a, Gabbie usadowiła się za jego biurkiem, sięgnęła po słuchawkę, wbiła numer międzymiastowej, poinstruowała telefonistkę w sprawie rachunku i odczekała, aż telefon po drugiej stronie zadzwoni kilka razy.

- Helen? Tu Gabbie. Muszę rozmawiać z Johnem. - Po chwili jej twarz spochmurniała, a dziewczyna rzuciła do słuchawki: - No to przerwij zebranie. To bardzo ważne. - Głos po drugiej stronie zaczął coś tłumaczyć, ale Gabbie przerwała: - Przestań mi tu pieprzyć, Helen. Mój młodszy brat jest bardzo chory, więc chcę mieć Johna przy telefonie za sześćdziesiąt sekund, bo inaczej w sześćdziesiątej pierwszej możesz zacząć szukać sobie nowej pracy. Jasne? - Niecałą minutę później mówiła: - John? Tu Gabbie Hastings. Słuchaj, mamy jakąś firmę w pobliżu Baltimore? W Waszyngtonie? Świetnie, każ pilotowi jak najszybciej lecieć do Baltimore. Chcę... - Po chwili odparła lodowatym głosem: - Słuchaj no, mój młodszy brat jest bardzo chory i potrzebuję samolotu, żeby przywiózł tu specjalistę, kiedy tylko go wytropię. - Wysłuchiwała odpowiedzi. - Pieprzyć udziałowców. Mam pięćdziesiąt jeden procent akcji Larkercorp, więc jeśli chcę wykorzystać firmowy samolot do prywatnych celów, to go wykorzystam i już. Korporacja może mnie obciążyć kosztami, jeśli to uszczęśliwi udziałowców. A teraz słuchaj: trzymajcie pilota w pogotowiu, bo kiedy tylko ten lekarz się znajdzie, chcę, żeby go przewieziono do Buffalo. Nie, tutejsze lotnisko nie obsługuje odrzutowców. Ktoś będzie tam na niego czekał. Facet nazywa się doktor Michael Bergman i

pracuje w szpitalu Johna Hopkinsa. Spróbujcie dostać się do niego przez kogoś z Fundacji Larkerów. Ma jakiś prototyp maszyny... - Wingate odpowiedział, a ona powtórzyła do słuchawki: - Imager responsu magnetycznego. Tego też będziemy tutaj potrzebować. Zapłać mu, ile zechce, John, albo załatw mu milionowe stypendium. Tylko mi go tu sprowadź. - Podała rozmówcy adres i nazwisko doktora Wingate. Nastąpiła krótka chwila ciszy, potem Gabbie dodała: - Dziękuję. Aha, i przepraszam za to zebranie. Przekaż Helen przeprosiny za to, że byłam taką suką. - Odłożyła słuchawkę. - Zajmie się tym. Teraz musimy poczekać na telefon od doktora Bergmana. - Uśmiechnęła się słabo.

- Jestem pod wrażeniem - odezwał się Jack.

- Pod jakim wrażeniem? Przecież to tylko pieniądze, Jack.

- Może pani załatwić mu stypendium, ot tak sobie? - zdumiał się Wingate.

- Dziadek i babka założyli Fundację Larkerów w celu wspierania różnych badań naukowych. Jestem pewna, że nie będę miała najmniejszych kłopotów z przyznaniem stypendium. - Westchnęła i usiadła przy ojcu.

- Mam trochę papierkowej roboty, więc proszę mi wybaczyć, że w czasie oczekiwania nie będę się udzielał towarzysko - powiedział Wingate.

Niecałe pół godziny później zadzwonił telefon, a Wingate odebrał go natychmiast.

- Witam, doktorze Bergman. Nie pamięta mnie pan, ale kiedyś rozmawialiśmy przelotnie... - Uśmiechnął się. - No cóż, pochlebia mi to. Proszę posłuchać, przywieziono do nas mocno chorego małego chłopca. Ma najbardziej cholerne EEG, jakie w życiu widziałem, a do tego dość dziwny zespół zachowań, na tyle niespotykany, że mógłby pana zainteresować. Jeśli dobrze wnioskuję z tego, co na ten temat czytałem, może to być świetne pole do pracy nad pańskim nowym imagerem. - Słuchał przez chwilę. - Wiem, że to prototyp, doktorze Bergman. Ale proszę się nie martwić, dzieciak ma bogatą siostrę. - Puścił do Gabbie perskie oko. Słuchał przez chwilę, potem odparł: - Nie, ona chce, żeby to pan tu przyleciał. Chłopiec jest zbyt... agresywny, żeby ryzykować przewożenie. Załatwi samolot dla pana i pańskiego sprzętu. - Nastąpiła długa odpowiedź, potem znów odezwał się Wingate. - A więc ile to potrwa? Dobrze, zatem do zobaczenia. - Odłożył słuchawkę. - A niech mnie wszyscy diabli. Będzie tu jutro.

Phil patrzył na córkę z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Rzucił miękko:

- Dzięki, skarbie, Nie wiem, co...

- W porządku, tato - wpadła mu w słowo. Z trudem powstrzymywała się od łez. - Patrick to mój brat.

- Wiesz, przez chwilę mówiłaś jak twoja babka Larker - odrzekł Phil ze słabym



uśmiechem.

Przypomniawszy sobie wczorajszą uwagę doktora Murphy'ego, Jack odezwał się:

- Założę się, że z niej też była niesamowita dziewczyna.

- I owszem, i owszem - przytaknął Phil.

- No, Gabbie - odezwał się doktor Wingate - zdajesz sobie sprawę, że jeśli nasz doktor Bergman zepsuje po drodze tę swoją zabawkę, ty fundujesz mu nową?

- Jeśli będziecie w stanie pomóc Patrickowi, zafunduję po jednej wam obu.

Wingate uśmiechnął się szeroko.

- Zapamiętam to sobie, ślicznotko, zapamiętam. - Podnosząc się, oznajmił: - Muszę lecieć, pacjenci czekają. Możecie korzystać z biura do woli.

Gabbie odwróciła się do ojca i przez dzielącą ich przestrzeń wyciągnęła ramiona, żeby go uściskać.

- Wszystko będzie dobrze, tato.

- Boże, mam nadzieję! - odparł z cichym okrzykiem bólu.

Gabbie kiwnęła głową do Jacka, że chce przez chwilę zostać z ojcem sama. Jack skinął w odpowiedzi i wyszedł. Kiedy zostali sami, Gabbie poprosiła:

- Tato, a może pojechałbyś na chwilę do domu? Jesteś wyczerpany. Gloria też była bardzo zestresowana. Nie wiem, co się dzieje, ale opowiada dość niesamowite rzeczy. Myślę, że lepiej by się czuła, gdybyś był przy niej. Kiedy przyjedzie po Seana, wracaj do domu razem z nią.

- Boję się, Gabbie - odparł Phil. - Nie wiem dlaczego, ale... jakoś mam poczucie, że jestem tu potrzebny. - Popatrzył na córkę zaczerwienionymi oczyma i szepnął: - Trzeba go chronić.

Gabbie zmrużyła oczy. Już chciała coś powiedzieć, kiedy wmieszało jej się w myśli jakieś nikłe echo, pogłos dzwonek, muzyki i prawie rozpoznawany korzenno-kwiatowy aromat. Poczula, że oblewa się rumieńcem i szybko wstała. Bez słowa złapała ojca za ramię i mocno ścisnęła. Potem pochyliła się i nie zwracając uwagi na ostrą szczecinę zarostu, pocałowała go w policzek. Przytulając twarz do jego twarzy, poczuła na policzku ciepłą łzę, nie wiedziała jednak, czyją - swoją czy ojca.

- Kocham cię, tato - rzuciła cicho.

- Ja też cię kocham, kotku - szepnął.

Nie mówiąc nic więcej, pozostawiła ojca samego, wiedząc, że ta potrzeba chronienia Patricka nie jest tylko emocjonalną reakcją na chorobę dziecka. Nie wiadomo, jak i dlaczego zawisło nad nimi niebezpieczeństwo, zawisło nad nimi wszystkimi i jeszcze nie

zamanifestowało do końca swej obecności. Gabbie to czuła, Gloria także o tym wiedziała, a teraz wyczuwał to i jej ojciec. Na korytarzu czekał Jack, więc podeszła do niego, a on bez słowa wziął ją w ramiona. Na krótką chwilę poczuła się bezpieczna i pożałowała, że to uczucie nie może trwać dłużej. W korytarzu pojawiły się Gloria z Aggie, a Gabbie uściskała je obie, podczas gdy Jack otworzył drzwi gabinetu i powiadomił Phila. Ten ucałował żonę i rzekł:

- Z Seanem chyba wszystko w porządku. Nie umięją doszukać się u niego niczego niewłaściwego, więc może już wracać do domu.

Gloria, która sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie, lecz dość opanowanej, wyraźnie ożywiła się na tę wieść.

- To dobrze. A Patrick?

Phil wziął żonę pod rękę i poprowadził ją przodem, o parę kroków przed resztą. Wiódł ją w górę po schodach, potem w głąb długiego korytarza, który prowadził na oddział psychiatryczny. Zanim zabrał ją przed drzwi do pokoju Patricka, powiedział:

- Musisz być silna, kochanie. Patrick się zmienił.

Gloria otworzyła szeroko oczy.

- Zmienił się?

- Doznał jakiegoś... uszkodzenia mózgu.

Ze zwierzęcym okrzykiem Gloria pchnęła męża i gwałtownie otworzyła drzwi. W głębi korytarza dyżurująca pielęgniarka zaczęła protestować, mówiąc coś o nieupoważnionych osobach, ale Gabbie przerwała jej, krzycząc:

- Proszę wezwać doktora Lathama!

Phil, którego zaskoczyła reakcja żony, wszedł do pokoju, kiedy Gloria już podbiegała do łóżka Patricka. Pielęgniarki starały się go domyć, ale zsikał się do łóżka i w pokoju cuchnęło amoniakiem. Siedział, obejmując się ramionami i kołysząc w przód i w tył, wpatrzony w telewizor. Odwrócił się, żeby spojrzeć na rodziców, a wyraz jego twarzy sprawił, że oboje stanęli jak wryci. W jego rysach było coś tak im obcego, że nie mogli się zmusić do przebycia tych ostatnich kilku kroków. Phil wyciągnął ręce i położył je na ramionach Glorii, kiedy krzyknęła: „Patrick!”

Leżący w miękkiej ciemności Patrick usłyszał czyjś daleki głos i na moment poczuł ukłucie niepokoju. Pierzchnęło ono szybko, kiedy wrócił czarny sługa. Myśli Patricka na powrót się rozproszyły, a on sam ułożył się z powrotem na czarnych kwiatach otaczających łożę pana. Kilku innych poruszyło się niespokojnie w drzemce, w której przesypiali godziny dnia, czekając, aż w świecie światła zapadnie noc i czas będzie iść się bawić. Po raz pierwszy,

odkąd tu przybył, Patrick odczuł na tę myśl dziwny rodzaj przyjemności. Potem jednak wdarła mu się do głowy nagła myśl. Coś o świecie na zewnątrz... Myśl zniknęła, kiedy czarny sługa położył się na kwieciu obok Patricka. Chłopiec zastanawiał się chwilę nad słodkim odorem mrocznego stwora i doszedł do wniosku, że nie jest on aż tak odpychający, jak mu się z początku wydawało. Gdy powoli powracał doń sen, Patricka zastanowiło, jak szybko zaakceptował rolę towarzysza stworzenia, które niegdyś nazywał Czymś Złym. Mroczny stwór objął Patricka, składając mu na brzuchu szponiastą rękę, i po raz pierwszy ten szorstki dotyk przyniósł chłopcu dziwne ukojenie. Potem na jedno okamgnienie przypomniał mu się ten znajomy głos, który go obudził.

Phil krążył w pobliżu pokoju, w którym przeprowadzano badanie. Nikt się temu nie sprzeciwiał, dopóki nie wchodził w drogę. Każdy wiedział, jaką torturę przeżywa, zaglądając przez małą szybkę w drzwiach. Było już południe. Lekarze pracowali w pokoju Patricka przez cały ranek i kończyli właśnie ostatnie testy. Gloria była w domu z Seanem, który wedle wszelkich wskazań wyszedł już ze swej choroby. Chłopiec upierał się, że jego koszmar zdarzył się naprawdę, mówił coś o świecącym człowieku i o czymś złym. Ta opowieść wyraźnie wytrąciła Głorię z równowagi, lecz Phil wiedział, że to tylko wywołane gorączką majaczenia. Teraz bliski wyczerpania czekał na wieści o Patricku. Zastanawiał się półprzyciemnie, co się dzieje z Gabbie i Jackiem, potem jednak przypomniał sobie, że pojechali zrobić dla Glorii zakupy, a także opłacić kilka rachunków, które on zostawił u siebie na biurku, a potem mieli wrócić do szpitala.

Patrick leżał przypięty pasami do stołu w sali wydzielonej specjalnie do użytku doktora Bergmana i jego magnetycznego imagera. Czterej lekarze - Wingate, Bergman, Latham i Murphy - wraz z dwoma pielęgniarkami i dwoma technikami obserwowali linie tańczące po trzech wielkich kolorowych ekranach i kilku pomniejszych monitorach. Na tle otaczającej go ze wszech stron maszynerii sam Patrick wydawał się malutki, a jego wykrzywioną ze złości twarz ledwie było widać spod pierścienia czujników, który wieńczył pętlą szczyt stołu. Chłopiec wrzeszczał i pohukiwał jak oszalała małpa, a dwaj salowi pilnowali, żeby nie wyrwał się z pasów i nie zrobił sobie krzywdy. Za każdym razem, kiedy był świadkiem tej sceny, Phil czuł, jak żołądek ściska mu się boleśnie. Tam, w środku, jego dziecko wyglądało jak coś zupełnie obcego, a on nie był w stanie w żaden sposób mu pomóc. Na krótką chwilę nawiedziła go wizja z tamtej pierwszej nocy - Patricka uwięzionego w jakimś odległym, mrocznym miejscu. Phil wziął głęboki wdech i po raz pierwszy od dziesięciu lat, kiedy rzucił palenie - od czasu ciąży Glorii - poczuł tęsknotę za papierosem.

Widział, że lekarze rozmawiają między sobą, ale nie słyszał, co mówią. Spoglądał na plecy Michaela Bergmana, który upierał się, by zwracać się do niego per „Mickey”. Bergman był bardzo przystojnym mężczyzną po pięćdziesiątce, noszącym pod kitlem drogi włoski garnitur z jedwabiu. Miał stalowoszare włosy, elegancko przystrzyżone jak prosto od fryzjera, do tego nieduży wąsik. Krążył dookoła aparatu, sprawdzając z tuzin czujników, przytwierdzonych do pierścienia, który obejmował stół do badań i głowę Patricka. Sprawdzał każdy z przewodów i każdą wtyczkę, aby się upewnić, że wszystko działa jak należy. Zanim się odsunął, nie mógł się oprzeć, by z właściwą dziadkom czułością nie pogłaskać chłopca po

policzku. Ledwie zdążył wycofać rękę, bo Patrick próbował go ugryźć.

W końcu podszedł do konsoly na przodzie i zaczął przyglądać się wykresom. Po kilku chwilach wezwał pozostałych lekarzy do wyjścia, gdy tymczasem dwaj krzepcy salowi powoli odpinali Patricka.

Bergman i Wingate, a za nimi Murphy i Latham opuścili pomieszczenie.

- No i? - zagadnął wyczekująco Phil.

- Chodź z nami, Phil - odpowiedział mu Wingate. - Musimy pogadać.

- Ja muszę zajrzeć jeszcze do kilku pacjentów - zwrócił się do Phila Murphy. - Przez ostatnie dwa wieczory mamy bardzo dużo roboty na ostrym dyżurze. Trochę wagarowałem, żeby się przyjrzeć tym interesującym rzeczom.

Kiedy zbierał się do odejścia, Phil zatrzymał go na chwilę.

- Doktorze Murphy? Ja... chciałem tylko podziękować. I powiedzieć, że świetnie pan sobie radzi z trudnymi rozmowami.

Zmęczony rezydent zmusił się do słabego uśmiechu.

- Można tylko próbować, panie Hastings. - Zerknął tam, gdzie zwykle wymowny doktor Wingate czekał cierpliwie z Bergmanem i Lathamem, po czym dla otuchy uściśnął ramię Phila. - Proszę mi wierzyć, Bergman to najlepszy z najlepszych. Jeśli można coś zrobić, on tego dokona.

Phil pokiwał głową na znak, że się z tym zgadza, a Murphy oddalił się.

Phil ruszył z lekarzami do gabinetu Wingate'a. Teddy Wingate usiadł ciężko w fotelu za biurkiem. Phil i Bergman także usiedli, a doktor Latham stanął w pobliżu drzwi. Bergman westchnął.

- Phil, w ciągu ostatnich dwudziestu lat widziałem wieśset różnych przypadków. Ale ty postawiłeś mnie przed najdziwniejszym. - Machnął ręką w kierunku wydruków. - Przy tym wszystkie inne wyglądają jak normalka.

- Ale co to jest? - zapytał Phil, który nie chciał niczego z góry zakładać, żeby znów nie zniszczyć nadziei.

- Według mojego imagera responsów... twój syn nie ma mózgu.

Phil nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

- Przeprowadziłem właśnie mnóstwo testów, żeby się upewnić, czy nic nie popsuło się w podróży, ale maszyna działa jak należy. Jednak według moich odczytów to, co się dzieje w czasce Patricka, nawet mgliście nie przypomina normalnego stanu.

- Co to znaczy? - zdołał wreszcie wykrztusić Phil.

Lekarze wymienili się spojrzeniami.

- Nie mam bladego pojęcia, Phil - odparł Wingate. - EEG przez cały czas pokazuje to samo cholerstwo. Maszyna Mickeya nie wykazuje jednak żadnych elektrochemicznych reakcji mózgu na stymulację. - Postukał okularami o blat biurka. - Albo jedna z tych maszyn kłamie, albo mamy do czynienia z czymś, co odrzuca wszelkie racjonalne wyjaśnienia.

Phil sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Ja... nie bardzo rozumiem.

- Mickey? - rzucił Wingate.

- Mój imager pokazuje, co pod względem elektrochemicznym dzieje się wewnątrz mózgu. W zakresie medycyny nuklearnej w wielu obszarach nastąpił szybki rozwój, a ostatnio pracujemy ostro nad uzyskaniem obrazów responsu magnetycznego. Wiele imagerów magnetycznych doskonale ukazuje tkanki miękkie, znacznie lepiej niż promieniowanie rentgenowskie, przy minimum ryzyka. To analogowy obraz komputerowy, reagujący na zmiany w stanach energii wewnątrz mózgu. Gdybyś patrzył na ekran, w czasie kiedy ja klaskam komuś głośno nad uchem, zobaczyłbyś zmianę kolorów, wskazującą na to, że mózg zareagował na bodziec. W obecnej chwili w naszym szpitalu wykonujemy całe mapy mózgowych reakcji, wykorzystując badania prowadzone na dziesiątkach ochotników. Chcemy przygotować katalog „normalnych” odpowiedzi. Któregoś dnia będzie można wykorzystać tę maszynę oraz inne, podobne, żeby zawczasu zidentyfikować możliwość wystąpienia problemów, zanim staną się groźne dla życia.

Tu włączył się Teddy Wingate.

- A także by diagnozować inne rzeczy, na przykład epilepsję, zakłócenia procesów uczenia, a być może i dysfunkcje mózgu prowadzące do psychoz i autyzmu.

- Być może. Ale na razie dopiero zaczynamy - dokończył Bergman. Odchylił się do tyłu. - Tymczasem zaś mamy do dyspozycji bardzo ogólne narzędzie diagnostyczne. Możemy przyjrzeć się czymś odpowiedziom mózgowym i orzec: „Ten facet podpada pod zakres normalnych reakcji” albo „jest poza zakresem normalnych reakcji”. W tej chwili nie potrafimy jeszcze powiedzieć: „U tego faceta rozwija się Alzheimer” albo „to dziecko jest dyslektykiem”. I jeszcze długo tak będzie. Widzisz, EEG mierzy impulsy elektrochemiczne, wykorzystując czujniki na głowie. A mój aparat próbuje wysledzić, co to są za zmiany. U Patricka EEG wykazuje, że coś tam się dzieje, a przynajmniej generuje się tam dość energii, żeby pochrzanić nam wszystkie wykresy. Ale mój imager twierdzi, że w mózgu Patricka nie zachodzą żadne reakcje chemiczne. Jeden aparat mówi, że mózg działa, choć w dość porąbany sposób, drugi twierdzi, że w jego czaszce nic nie ma. Jeśli mój aparat ma rację, to Patrick albo ma między uszami próżnię pełną wyładowań elektrycznych, albo nie żyje. -

Niemal z goryczą dodał: - Ale jak na zwłoki, to robi zbyt wiele hałasu. Nie wiem, czy potrafię to lepiej wytłumaczyć.

Znów wtrącił się Wingate.

- Słyszałeś takie wyrażenie „Pali się światło, ale nikogo nie ma w domu”? - Phil potwierdził kiwnięciem głowy. - No cóż, ono najlepiej ilustruje ten przypadek.

- Phil - mówił znów Bergman - to niemożliwe, aby Patrick oddychał, jeśli w mózgu nie zachodzą żadne procesy chemiczne. Nawet gdyby w czasie choroby wszystkie funkcje wyższe uległy całkowitemu zniszczeniu i pozostałby mu tylko funkcjonujący pień mózgowy - coś jak przypadek Karen Ann Quinlan - i tak moglibyśmy wyśledzić sporo reakcji. A więc musimy założyć, że moja maszyna wysiadła - choć wszystkie testy diagnostyczne wykazują, że jest sprawna - i że Patrick przeszedł jakieś bardzo poważne uszkodzenie mózgu, co nam wyjaśnia sprawę nietypowych wyników EEG. - Popatrzył na wydruki leżące na biurku Wingate'a i dodał: - Choć co, u licha, mogą znaczyć, nie jestem w stanie pojąć.

- To nie ma sensu - odezwał się Phil.

- Zgadza się - potwierdził Wingate. - To nie ma sensu. Mamy tu pacjenta, który nie wykazuje żadnych normalnych reakcji tego, przez co przeszedł.

- Co możecie zrobić? - zapytał Phil.

- Obserwować go - odparł Wingate. - Chciałbym potrzymać chłopca jeszcze kilka dni, a potem możemy porozmawiać o przeniesieniu go do dobrze wyposażonego zakładu opieki stałej.

Bergman pokiwał głową.

- Zostanę tu jeszcze trochę. Może kiedy poobserwujemy go jeszcze z parę dni, zaczniemy dostrzegać w tym jakiś sens.

Wingate westchnął, w widoczny sposób walcząc z poczuciem przegranej.

- Czy są jakieś szanse na poprawę?

Tym razem odpowiedział mu Bergman.

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić żadnej perspektywy poprawy, Phil. - Popatrzył w zamyśleniu na papiery. - Nie wiemy nawet, co u niego zaszło pod względem fizjologicznym. A minęło sporo czasu, odkąd zajmowałem się patologią zachowań.

Wingate pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

- Niektóre z jego zachowań wskazywałyby na autyzm. Nieustanne masturbowanie się to klasyczny przykład autostymulacji, podobnie jak kołysanie w przód i w tył.

Phil poprawił się niespokojnie w fotelu.

- Zastanawiały mnie te sprawy z seksem.

- Nie wiem, czy możemy uznać to za zachowania seksualne w naszym normalnym rozumieniu - odpowiedział mu Bergman. - Choć patrząc, jak rzuca się na pielęgniarki, zaczynam tak właśnie myśleć - to dlatego musieliśmy powierzyć go opiece pielęgniarzy i męskich salowych. Niemniej, zabawę penisem dość często spotyka się u niemowląt płci męskiej. Ale to pohukiwanie, śmiech i cała ta reszta, to... - Spojrzenie Bergmana stało się trochę jakby nieobecne.

- Co takiego? - dopytywał się Phil.

- Przez chwilę, kiedy Patrick próbował ugryźć mnie w rękę... mógłbym przysiąc, że widziałem w jego oczach błysk inteligencji. Jakby to wszystko to była tylko taka wielka zabawa. - Zamknął oczy i potarł je wierzchem dłoni. - Przepraszam, Phil, nie powinienem ci narzucać własnych, wywołanych zmęczeniem zwidów. Mógłbyś pomyśleć, że Patricka opętał dybuk.

Phil, sfrustrowany, potrząsnął głową.

- Byłbym wdzięczny losowi, gdyby wymiotował tylko grochówką i gdyby wirowała mu głowa. Wezwałbym egzorcystę i byłoby po sprawie.

Teraz odezwał się Latham.

- Phil, możemy sobie tylko wyobrażać, jaką torturę przeżywacie teraz ty i Gloria. Idź do domu, a my go tu popilnujemy jeszcze przez kilka dni. Załatwię przeniesienie do szpitala stanowego w Tonawanda albo, jeśli wolicie, do jakiejś prywatnej kliniki, ale odsuńmy to na razie do... - Zerknął na wiszący na ścianie kalendarz - powiedzmy, do poniedziałku drugiego listopada, dobrze?

Bergman wstał.

- Zgadzam się z tym. Musimy zdać się na przestarzałą i powolną, lecz sprawdzoną i wiarygodną obserwację, różnorakie leki, terapię - a wtedy zobaczymy, co się będzie działo. Pozostało nam albo to, albo czary.

Latham i Wingate także sprawiali wrażenie, jakby zbierali się do odejścia. Phil wstał więc i ruszył za lekarzami na korytarz. Tuż za drzwiami czekali na niego Gabbie i Jack. Gabbie ucałowała ojca, a on zapytał jeszcze:

- Czy... naprawdę jest jeszcze jakaś nadzieja?

- Kusi mnie, żeby rzucić wyświechtanym porzekadłem „Póki życia...” - odrzekł Bergman - ale... niestety muszę powiedzieć, że nie mamy bladego pojęcia, co się dzieje. Po prostu nie wiemy.

- I co teraz? - zapytała Gabbie ojca.

- Jedziemy do domu opowiedzieć wszystko Glorii. - Urwał i popatrzył na córkę oraz



przyszłego zięcia. - Musimy też przedyskutować pewne plany. - Jack pokiwał głową, wiedząc, że Phil ma na myśli długoterminową opiekę dla Patricka. Phil zmusił się do uśmiechu. - Chodźcie. Przyda mi się dzień z dala od tego miejsca.

Nie mówiąc nic więcej, ruszyli w stronę wyjściowych drzwi.

Latham zwrócił się do Wingate'a i zagadnął:

- Teddy?

Gadatliwy zazwyczaj Wingate od powrotu z psychiatrii stał się dziwnie milczący.

- Nie chciałem nic mówić przy Philu, ale czy nie zauważyliście u naszego małego pacjenta nic szczególnego?

- Tak jak mówiłem - odparł Bergman - wydawało mi się, że dojrzałem coś w jego oczach.

- Otóż to - ciągnął Latham. - Czasem patrzy na wszystko tak, jakby doskonale wiedział, co jest grane. Czy o to właśnie ci chodzi?

- Nie, nie o to, choć ja także mam takie poczucie. Chodzi mi o to, że kiedy jestem w pobliżu dzieciaka dłużej niż kilka minut, mrówki zaczynają latać mi po grzbiecie.

Latham i Bergman wymienili spojrzenia, ale żaden nie skomentował ani słowem uwagi Teddy'ego.

Patrick stał w środku kręgu, patrząc przed siebie niewidzącym, szklanym wzrokiem. Dookoła krążyły postacie o mrocznym wyglądem, których dokładniejsze zarysy wymykały się ludzkiemu spojrzeniu. Dźwięki tłumila gęsta mgła, a od góry przez ponury półmrok przebijało nikiłe światło. Wtem dała się odczuć czyjaś obecność, tak potworna, że nie do wytrzymania. Patrick odwrócił się z wolna, by spojrzeć na zbliżający się koszmar, choć jego oczy nadal pozostały równie puste jak przedtem. Potem koszmar znalazł się tuż przy nim, zagarnął go i uniósł ze sobą.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie Gloria, siadając na łóżku. Serce waliło jej jak oszalałe, przełknęła szarpiający gardło szloch. Rozejrzała się wokół i dostrzegła, że łóżko po stronie Phila jest puste. Wiedziała, że znajdzie go skulonego we śnie na kanapie, przy włączonym telewizorze, bo zasnął pewnie przy jakimś serwisie informacyjnym lub czymś podobnym.

Wtem do pokoju wdarł się głos Seana.

- Mamo!

Gloria pobiegła do pokoju chłopców. Sean spał w łóżku Patricka, jak to miał w zwyczaju od powrotu ze szpitala. Gloria usiadła przy nim, przygarniając go do siebie. Płakał żałośnie, rozdzierająco.

- Miałem zły sen - wyszlochał w jej ramię. - O Patricku.

Jej łzy zmieszały się z jego łzami, kiedy odpowiedziała:

- Wiem, dziecinko. Wiem.

Gloria tuliła dziecko, kiedy w drzwiach stanęła Gabbie.

- Nic mu nie jest? - zapytała zaspiana.

- Nic - odparła Gloria zduszonym głosem. - Wracaj do łóżka, skarbie.

Gabbie wahała się jeszcze przez chwilę, po czym podreptała do siebie.

- Mogę spać z tobą? - zapytał Sean.

Gloria mruknęła, wyrażając zgodę, potem poprowadziła Seana do swojej sypialni. Chłopiec wlaźł do łóżka mamy i taty i wtulił się w poduszkę Phila. Gloria też się położyła. Straszliwie brakowało jej Phila, lecz wiedziała, że kiedy go zbudzi, ten przez resztę nocy nie zdoła zasnąć.

Gloria przyglądała się Seanowi, dopóki oddech chłopca nie stał się równy i głęboki. Dzielili ze sobą świadomość czegoś mrocznego, co pozostawało poza pojęciem Phila - coś, co można było jedynie czuć, a nie wiedzieć. Wiedzieli, że cała medycyna i wszyscy lekarze świata nie zdołają ściągnąć Patricka z powrotem. Walcząc z rozpaczą tak potężną, że ledwie

mogła ją znieść, Gloria starała się zasnąć, chcąc się ukołysać równym oddechem Seana. Sen jednak długo nie nadchodził, a obrazy mrocznych miejsc i zaginionych małych chłopców długo nie chciały zniknąć.

Gabbie wyjrzała przez okno, słysząc na podjeździe zbliżający się samochód.

- To Gary! - krzyknęła do pozostałych.

Jack i Phil siedzieli w gabinecie Phila, cichymi głosami omawiając sprawę długoterminowej opieki dla Patricka. Aggie była w kuchni, pomagała Glorii przygotować herbatę, a Sean oglądał telewizję w salonie. Wszyscy wybiegli na spotkanie Gary'ego, a Gabbie go uściskała.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Gloria.

- A może mógłbym wycygnąć od was drinka? - poprosił Gary.

- Żaden problem - odparł Phil.

Weszli do pokoju dziennego, gdzie Aggie Grant zdążyła już rozłożyć serwis do herbaty na stoliku przy sofie. Gary zrzucił płaszcz i rozejrzał się po pokoju. Wyczuwając panujące napięcie, zapytał:

- Czy coś się stało?

Oczy Glorii nabiegły łzami, więc kiwnięciem głowy dała znak mężowi, żeby on mówił. Phil opowiedział o chorobie Patricka. Siadając z wrażenia, Gary odpowiedział:

- To straszne, Phil. Ogromnie mi przykro. Może powinienem...

- Nie - przerwał mu Phil. - Siedź. W niczym nam nie pomoże to, że wyjdiesz.

- No, a jak ty się miewasz? - zapytał Jack.

- Jestem zmęczony. - Gary łyknął drinka, którego podał mu Phil. - Dzięki. Jestem zmęczony i martwię się.

- O co? - zapytał Phil.

- Mark zniknął - odpowiedział Gary.

- Co ty mówisz? - zdumiała się Gabbie.

- Mark zniknął gdzieś w Niemczech. - Gary urwał na chwilę, potem dodał: - To musi mieć związek z organizacją, do której należał Kessler. Rozmawiałem z Markiem, kiedy byłem jeszcze w Seattle, a on w Nowym Jorku, porównywaliśmy notatki. Wysłałem mu kopie tłumaczeń z tych naszych pergaminów. Nie były dziwniejsze od większości religijnych tekstów, tak jak one wyglądają dla nas, ludzi nowoczesnych. Ale w Nowym Jorku Mark natknął się na coś, co kazało mu jechać do Niemiec. Nie powiedział, co to było. Znam go jednak na tyle dobrze, że wiem, iż coś go naprawdę mocno zaniepokoiło. No i - dodał z westchnieniem - w jakiś czas po naszej ostatniej rozmowie po prostu zniknął. Dzwonił do mnie z hotelu w Monachium, prosząc, żebym znalazł coś o przyjacielu Kesslera, który

osiedlił się w Kanadzie. Pojechałem do Ottawy, potem do London w Ontario, a potem z powrotem do Ottawy. W uzgodnionym wcześniej czasie zadzwoniłem do tego hotelu w Monachium, ale on już się stamtąd wymeldował. Podali mi jego nowy adres, ale tam znów wcale się nie zgłosił. Markowi zdarzało się wcześniej ginąć gdzieś po drodze, robił sobie takie jedno - lub dwutygodniowe wycieczki, ale zawsze zostawiał mi wiadomość, w jaki sposób mogę się z nim skontaktować. A tym razem... nic.

Gary pociągnął łyk ze swojej szklaneczki, podczas gdy pozostali wymienili się spojrzeniami.

- Czy nie powinniśmy skontaktować się z kimś w Niemczech? - zapytał Phil.

Gary wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Może z amerykańską ambasadą. Oni mogliby wiedzieć, kogo pytać. - Pokręcił głową. - Ale coś mi mówi, że Mark ma kłopoty i że możemy go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Na te słowa wszystkich w pokoju przeszył lodowaty dreszcz. Gloria odezwała się szeptem:

- Gary, przerażasz mnie. - Pamiętała dobrze niedobre przecucie, jakie towarzyszyło jej podczas ostatniej rozmowy z Markiem.

- Ludzie, przepraszam - odrzekł Gary. - Tylko że w Kanadzie sprawy potoczyły się tak jakoś niesamowicie. - Pociągnął jeszcze łyk. - Najbardziej niepokoi mnie nie to, co odkryłem, ale to, czego nie mogłem znaleźć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwiła się Gabbie.

- W Kanadzie nieustannie natrafiałem na mur. Koleś Kesslera, który tam przyjechał, nazywał się Hans van der Leer.

- To chyba holenderskie nazwisko - zauważył Jack.

- No właśnie. W tamtejszych gazetach został odnotowany jako Holender. Pojawił się w pięć lat po przyjeździe Kesslera do Pittsville. Gdzie podziewał się wcześniej, trudno się domyślić. Pan van der Leer albo von Leer, jeśli wolicie, zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć swoje pochodzenie. Gdziekolwiek się zwróciłem, natrafiałem na brakujące strony w dokumentach, przełożone akta, wymazane notatki i tysiąc innych rzeczy wykonanych po to, żeby za nic w świecie nie dało się wykryć, kim był w Niemczech. Myślę, że po to właśnie Mark pojechał do Niemiec - żeby odkryć, kim był ten van der Leer i jaki związek ma z Kesslerem oraz resztą towarzystwa z południowych Niemiec. I jak to się wszystko ma do tej całej historii z przełomu wieków. Więc szukałem bardzo starannie i zostałem z niczym. Bardziej niepokoi mnie jednak coś innego... Wygląda mi mianowicie na to, że ta organizacja

Kesslera wciąż jeszcze działa.

- To brzmi strasznie - odezwała się Gabbie.

- Gary, Mark wspominał nam o tym tajnym stowarzyszeniu, ale nic ponadto - wtrącił się Phil. - Czy masz może jakieś pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi?

- Jeśli przypuszczenia Marka się sprawdzą, to może się okazać, że istnieje ktoś, może nawet cała grupa ludzi, kto umie wpływać na ludzką pamięć. Sprawić, że zapomina się o wszelkich z nim kontaktach. - Gary przerwał, potem rzucił: - Niech nikt inny nie odpowiada. Gabbie, co pamiętasz na temat stodoły?

Gabbie popatrzyła na pozostałych nic nie rozumiejącym spojrzeniem, potem uśmiechnęła się.

- Stodoły? - Roześmiała się na głos. - Masz na myśli to, że trzeba ją pomalować albo że dach przecieka?

- Nie, mam na myśli tego faceta, którego tam spotkałaś i który usiłował cię zgwałcić.

Twarz Gabbie wyrażała jedno wielkie zdziwienie.

- Zgwałcić? - Potem zdumienie z wolna zastąpił strach, a twarz dziewczyny nagle pobladła. Cicho, ledwie dosłyszalnie szepnęła: - Zupełnie zapomniałam.

Jack spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Zapomniałaś? Jak to możliwe?

Gary podniósł rękę, kiedy ze wszystkich stron dobiegły go pytania.

- Ludzie, powoli. Chciałem wam tylko zademonstrować coś, co Mark odkrył tamtego wieczoru, kiedy uganiał się po lesie za napastnikiem. Gabbie nic nie pamiętała, ponieważ ten facet, którego spotkała... umiał w jakiś sposób sprawić, żeby zapomniała o wszystkim, co się zdarzyło. Kiedy będę nalegał, Gabbie przypomni sobie różne szczegóły, ale w chwili gdy przestanę, zacznie z powrotem zapominać. Nie jestem pewien, ale to możliwe, że jeśli przez dostatecznie długi czas nie będziemy jej o tym przypominać, zapomni całkowicie. Może nawet - rozejrzała się wokół siebie - zacznie zaprzeczać, że coś takiego w ogóle się wydarzyło.

- Jeśli się skoncentruję, potrafię... - mówiła Gabbie. - Zabrzmiało to dziwnie, ale to jest tak, jakbym ledwie pamiętała dawno oglądany film albo sen, który miałam w dzieciństwie.

- To więcej niż dziwne - odparł Gary. - To prawie niemożliwe. Choć niewiele wiem na temat gwałtów, jestem przekonany, że wszystko, co się zdarzyło, powinno wyryć ci się w pamięci w detalach - albo odwrotnie, w klasycznym przypadku odrzucenia, nie powinnaś nic pamiętać. - Pociągnął drinka. - Markowi przydarzyło się to samo. - Opowiedział wszystkim, co się działo tamtego wieczoru, kiedy on i Mark gonili po lesie napastnika, a także o tym, jak Mark niczego nie pamiętał, jeśli nie wysłuchał taśmy, którą nagrał, i dopóki Gary nie

uwarunkował go pod hipnozą. Potem patrząc na Jacka, zapytał:

- Jak tam twoje ramię?

Jack był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

- W porządku... Ale które ramię?

- Prawe, to, w które wdało ci się zakażenie.

Jack gwizdnął cicho. Popatrzył na pozostałych.

- Do licha, ja też.

- Mark... podwędził ze szpitala coś, co przypominało bardzo małą strzałkę... Mówił mi, że lekarz wziął ją za odłamek kości.

Gloria była wyraźnie wzburzona.

- Gary, co ty nam tu opowiadasz? Że w naszym lesie kryje się jakaś banda wariatów? Którzy gwałcą, strzelają zatrutymi strzałkami... i cholera wie, co robią jeszcze?

- Nie wiem, czy powinienem wam o tym mówić - dodał Gary - ale... do diabła, jeśli Mark nie... wróci, nie chcę pozostać z tą wiedzą sam. Tamtego wieczoru Mark widział w lesie nie tylko chłopaka. - Opowiedział im o tym, co usłyszał na taśmie, a także o tym, z czego zwierzył mu się Mark pod hipnozą.

Wszyscy siedzieli, całkowicie oszołomieni opisem gnających po lesie jeźdźców. Pierwsza odezwała się Aggie. Beznamiętnym tonem orzekła:

- Gary, to niemożliwe.

- Gdybym nie siedział tam i nie patrzył na Marka, i nie widział, jak reaguje, słysząc tę taśmę, no cóż, zgodziłbym się, że to niemożliwe. Wiele o tym myślałem, Aggie. Albo Mark widział rzeczy niemożliwe, albo... - zawiesił głos - ...ktoś panował nad jego umysłem.

- Może naprawdę jechali tam jacyś jeźdźcy... - wtrąciła Gabbie, ale i ona zawiesiła głos niepewnie - ...poprzebierani?

- Dziewczyno, to, co widział Mark, to Dzikie Polowanie - odezwała się Aggie.

- Aggie? - rzucił pytająco Phil.

- To taka legenda. Myśliwi Dzikiego Polowania jeżdżą w nocy po lesie i ścigają tych... którzy są źli albo którzy ich urazili, albo - w innej wersji legendy - tych, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

- Co to ma być? - odezwał się Phil głosem, w którym pobrzmiwał nerwowy śmiech, bo wszystko to razem przechodziło już granice jego pojmowania. - Jakiś irlandzki Ku-Klux-Klan?

Głos Aggie zdradzał spore zdenerwowanie.

- Philipie, ci jeźdźcy to Daonie Sidhe - Stary Lud, wróżki. - Phil zamrugnął gwałtownie

oczyrna. - Ich przywódca to stworzenie z głową dzikiego jelenia. Jeżdżą na koniach, których nie może dosiąść żaden śmiertelnik. To irlandzka legenda o wrózkach.

- To niemożliwe - wtrącił Jack.

- Tato - odezwała się cicho Gabbie - pamiętasz ten arras? Widać na nim tych jeźdźców, a niektóre z wiszących na żerdziach zdobył to ludzie.

Phil potrząsnął głową.

- Mogę od biedy kupić tekst o grupce świrów, którzy przebijają się i naśladują to wszystko. Możliwe nawet, że Kesslera i jego bandę wygnali z Niemiec za to, że byli szajką religijnych terrorystów - ale co to wszystko ma wspólnego z napaścią na Gabbie i ze spotkaniem Marka?

Gary sprawiał wrażenie przygnębionego.

- Po prostu nie wiem. Głównie dlatego, że nie mam pojęcia, co Mark robi w Niemczech. Jest niesłychanie ostrożny w głośnym formułowaniu tego, co myśli. Ja co najwyżej próbuję złożyć do siebie dwa i dwa, wniosując z tego, co każe mi sprawdzić. - Westchnął. - Mogę powiedzieć tylko tyle, że są poważne dowody na to, że i dziś istnieje grupa ludzi, która zajmuje się tym, czym zajmował się Kessler osiemdziesiąt lat temu. Przypuśćmy, że ta tajemna grupa, do której należeli Kessler i van der Leer, posiadała sekret manipulowania ludzkimi myślami - po prostu zabawmy się przez chwilę - przez co mogą sprawić, że ludzie zapominają... albo też mają moc wywoływania u ludzi rozmaitych wizji. A jeśli nie tylko Ciebie może okryć mrokiem ludzkie myśli? - Gary podniósł głos, wyraźnie sfrustrowany. Siłą woli wymógł na sobie względny spokój. - Wybaczcie, jestem wykończony. Słuchajcie, jeśli taka grupa kiedyś rzeczywiście istniała i naprawdę posiadała tę dość niezwykłą moc, to by nam wyjaśniało, dlaczego wciąż jeszcze istnieją, a nawet dobrze się mają, a nikt nie ma pojęcia o ich działalności. Załóżmy, że nie ma w tym nic nadnaturalnego. Przypuśćmy, że Phil ma rację, że to tylko grupka ludzi, którzy się przebijają i nocami jeżdżą tu po lesie i że jest jakieś racjonalne wytłumaczenie tych dziwnych zdolności, jakie przypisywał im Mark. Może w stosunku do Gabbie i Marka wykorzystali jakieś narkotyki - z tego, co mówił mi Mark, na strzałce, którą ugodzili Jacka, była z całą pewnością jakaś szybko działająca substancja. Wtedy nadal stoimy przed faktem, że banda dość dziwnych żartownisiów przebiera się i jeździ nocami po okolicy, starając się ze wszystkich sił naśladować postaci z celtyckich mitów. A przy okazji, tego właśnie kazał mi szukać Mark, zanim znaleźliście te rzeczy w piwnicy. Kazał mi tworzyć całe strony notatek na temat celtyckich mitów i późniejszych, irlandzkich i szkockich legend. Tak czy owak, możliwe, że weszliśmy w kolizję z grupą Kesslera, a to wszystko to tylko zasłona dymna. Ale dopóki nie



zrozumiem, kim są i czym się zajmują, nie uzyskamy żadnych wskazówek, które pozwoliłyby nam się zorientować, z czym mamy do czynienia. Mark wiedział o tym więcej, ale... jego nie ma. Aczkolwiek jedno jest jasne: to co się działo w Niemczech na przełomie wieków, rozgrywa się znów tutaj, choć może na mniejszą skalę. - Na chwilę umilkł. - A z moich perypetii w Kanadzie wnioskuję, że ktoś stara się zapobiec odkryciu grupy przez ludzi z zewnątrz.

Gabbie zakryła usta rękoma.

- Och, Gary, teraz to mnie naprawdę przerażasz.

- Sam też się boję, Gabbie. To wszystko jest takie niesamowite. Znacznie gorsze od tego, z czym zwykle mamy do czynienia. I coraz trudniej to pojąć, im więcej wiemy. Im więcej odkrywam, tym mniej wiem. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie podziewa się Mark. - Gary przykniął oczy i potarł je rękoma. Potrząsając głową, rzekł: - No, teraz kiedy tak uprzyjemniłem wam dzień, przydałoby mi się trochę snu. Chyba sobie pójdę.

- Nie zostaniesz, żeby coś zjeść? - zapytał Phil. - Mamy w piekarniku szynkę.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny i naprawdę chciałbym się zdrzemnąć. Zresztą, jak znam Ellen, będzie chciała wpaść i coś dla mnie upichcić, biorąc pod uwagę, że w ciągu ostatniego miesiąca byłem na miejscu nie więcej niż trzy dni. Dajcie mi dzień, żebym sobie to wszystko jakoś poukładał, a potem wpadnę jeszcze raz. I dajcie znać, jak wyglądają sprawy z Patrickiem.

Wszyscy wstali. Pożegnano się i Gary wyszedł, a w drzwiach pojawił się Sean z pytaniem o obiad. Aggie popędziła go do kuchni, żeby dać mu jakąś przekąskę, a Gabbie powiedziała:

- Ale historia! To wszystko brzmi naprawdę dość przerażająco.

Jack pokiwał głową.

- No i jest jeszcze złoto Kesslera. Może to o nie im chodzi.

- Możliwe - zgodziła się Gabbie. - Może nie wiedzą, że już je znaleźliśmy, i próbują nas odstraszyć, żeby sami mogli go poszukać.

- No cóż, to pierwsza teoria, w której jest choć krztyna sensu - odezwał się Phil. - Jeśli to dawni kołesie Kesslera szukają jego złota, wtedy z pewnością wszystko by to tłumaczyło: halucynogeny i kostiumy. Bo dopóki nie zobaczę którejś z tych wrózek na własne oczy, koledzy Kesslera przemawiają do mnie o wiele bardziej. Niemniej, na razie powstrzymam się od wszelkich sądów, bo nawet i to brzmi dla mnie zbyt ekstrawagancko. Choć wszystko to wygląda nader dziwnie, w dalszym ciągu uważam, że ostateczne wyjaśnienie okaże się o wiele prostsze niż starożytne organizacje z tajemniczą władzą nad ludzkimi umysłami.

Gloria podeszła do Phila i otoczyła go ramionami.

- Nie - powiedziała miękko. - To wszystko jakoś do siebie pasuje. Tylko my nie widzimy, jak zazębiają się poszczególne ogniwa. I to wszystko ma coś wspólnego z Patrickiem...

Phil przerwał jej, nie chcąc, by dała się zbyt ponieść fantazji.

- Kochanie, mamy dwudziesty wiek, że użyję wyświechtanego frazesu. Koniec końców, nie siedzimy na szczycie starożytnej świątyni Cthulhu. Mamy jedynie pewną ilość złota, osobliwe pozostałości po dziwnym starym imigrancie z Niemiec oraz - jego głos złagodniał - tragiczną chorobę. To już w zupełności wystarczy. - Uściskał ją, a potem lżejszym tonem dodał: - Słuchaj, a gdybyś tak wzięła Seana i pojechała odwiedzić swoją matkę na Wybrzeżu? - Ostatnie dni dały im wszystkim w kość, ale Gloria i Sean przeżyli je najciężej. Szok, jaki Gloria przeżyła na widok Patricka, na długie godziny spowodował u niej histerię, a choć teraz starała się panować nad sobą, widać było, że żyje w nieustannym napięciu. Sean zaczął popadać w melancholijne nastroje i zamknął się w sobie.

- Nie - odparła Gloria bez wahania. - Dzięki za tę propozycję, ale... chcę być w pobliżu, a Seanowi także nie przyniesie to nic dobrego. Próbujmy żyć na tyle normalnie, na ile tylko się da.

- W porządku, jeśli jesteś pewna. W takim razie pójdę teraz i obejrzę wiadomości w naszym pudle. Idziesz ze mną?

Z nieco wymuszonym uśmiechem Gloria kiwnęła głową i poszła z Philem do salonu. W drzwiach przystanęła i rzuciła:

- Jack, w całym tym szaleństwie nawet zapomniałam zapytać, jak tam twój ustny?

Jack skrzywił się lekko.

- Jutro po południu, o trzeciej. Chciałem przełożyć...

- Ale ja mu nie pozwoliłam - wtrąciła Gabbie.

Gloria posłała jej smutny półuśmiech.

- Dobrze zrobiłaś, mała. No cóż, powodzenia, Jack.

Phil powtórzył za nią życzenia i oboje wyszli.

Gabbie popatrzyła na Jacka.

- Ta historia z napaścią jest niesamowita.

- Naprawdę zapomniałaś?

- Zupełnie. Gdyby Gary, ty albo ktoś inny o tym nie wspomniał, myślę, że już nigdy bym sobie nie przypomniała. Nawet teraz przypominam sobie to wszystko z dużą trudnością.

- Aż mrówki chodzą mi po grzbiecie. Ja też z trudem sobie przypominam, co działo

się z moim ramieniem.

- Co o tym wszystkim sądzisz?

- Sam nie wiem. To, czego nam naopowiadał Gary, brzmiało dość niesamowicie. Może twój tato ma rację. Może to wszystko da się jakoś racjonalnie wytłumaczyć. - Wstał i z teatralnym westchnieniem dodał: - Słuchaj, muszę jeszcze trochę powkuwać przed egzaminem. Przydałby mi się jakiś trener, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Gabbie wzięła go za rękę.

- Później. Wieczorem. - Wstała i uśmiechnęła się. - Teraz chcę pospacerować w spokoju ze swoim facetem. Przejdźmy się trochę wzdłuż drogi. Po raz pierwszy od tygodnia nie pada i nie jest zbyt zimno.

Jack uśmiechnął się.

- Brzmi nieźle.

Pociągnęła go za rękę przez kuchnię. Obiecali Aggie, że wrócą na czas, żeby pomóc przy obiedzie, potem ruszyli w stronę szosy na przedwieczorny spacer. Aggie patrzyła, jak odchodzą, gdy Sean jadł w milczeniu pół kanapki z masłem orzechowym. Wyczuwała, że za tym obrazkiem zwyczajnej codzienności zbliża się ku nim coś strasznego i nagle poczuła w piersi lodowaty chłód.

Przez chwilę stała w milczeniu, potem poczuła na sobie wzrok Seana. Zwalczyła przemożną chęć, by się wzdrygnąć, odepchnęła na bok poczucie grożące im niebezpieczeństwa i przywołała myśli z powrotem ku codziennym troskom. Trzeba nakarmić rodzinę.

Sean patrzył, jak Gabbie i Jack wychodzą, potem skierował uwagę na swoją kanapkę. Z roztargnieniem zaczął się zastanawiać, co też Patrick będzie miał na kolację u... Upuścił kanapkę na talerz i szeroko otworzył oczy. U... Przez krótką chwilę coś rozumiał, lecz ta świadomość natychmiast mu umknęła. Siedział cichutko przez dłuższą chwilę i z bijącym sercem próbował odtworzyć to, co udało mu się uchwycić tylko na jeden przelotny moment. Odczekał dłuższy czas w nadziei, że myśl powróci. Kiedy nie powróciła, westchnął i wziął do ręki porzuconą kanapkę, żując ją bez przekonania, bo przypomniał sobie, że Patricka karmił w szpitalu z plastikowych naczyń. Nie mógł pozbyć się z głowy obrazu czegoś mrocznego, a jednak świecącego - w ciemnym kącie. Na koniec odłożył nie dojedzoną kanapkę i wyszedł z kuchni.

Phil zajął do kuchni, żeby poinformować żonę i syna, że wybiera się do szpitala. Gloria kiwnęła głową, kiedy wahadłowe drzwi się za nim zamknęły. Phil starał się zachowywać jak najbardziej racjonalnie, dając pozostałym przykład.

Wsiadł teraz do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik obudził się z kapryśnym warkotem, mimo że chodził już wcześniej tego dnia. Najwyższy czas na przegląd, przemknęło mu przez głowę. Kiedy wyjeżdżał z podjazdu na drogę, zaczął się zastanawiać, jak ogromny wpływ wywarła na wszystkich choroba Patricka. Od dwóch dni Gabbie przejęła na siebie przygotowywanie śniadań i lunchów dla Seana oraz utrzymywanie porządku w całym domu, gdyż Gloria ledwie była w stanie zrobić obiad, a i to z pomocą Aggie. Mimo że pochłonięty chorobą Patricka, Phil niepokoił się również stanem psychicznym Glorii. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym radzić. Ostatni tydzień był dla niego tak wyczerpujący emocjonalnie, że nie czuł się na siłach dokonywać jakichkolwiek racjonalnych osądów. Wiedział, że w każdych innych okolicznościach żona byłaby nieustannie przy łóżku Patricka. Lecz z tym dziwnym stworzeniem, które niegdyś było Patrickiem, nie mogła sobie poradzić. Phil wiedział, że gnębią ją wyrzuty sumienia, kiedy nie ma siły wrócić do szpitala. Może kiedy go przeniosą, kiedy umieszczą go w zakładzie opieki stałej... A może nawet uda im się kiedyś przywieźć go z powrotem do domu... Tej ostatniej myśli już nie dokończył.

Phil wiedział, że już niedługo Gloria będzie potrzebowała pomocy. Większość czasu chodziła po domu jak zombie albo siedziała bez ruchu i wpatrywała się w dal. Kiedy ktoś się do niej odezwał, wyrwała się gwałtownie z tego stanu, lecz gdy tylko zostawała sama, natychmiast znów zapadała się w sobie. Zasypiała około wpół do dziewiątej i spała pełne dwanaście godzin, chyba że budziła się w nocy z krzykiem z koszmarnych snów. Często budziła swymi krzykami Seana, a wtedy trzeba było go sprowadzać, żeby spał z rodzicami. Wyglądało to tak, jakby Sean budził się dokładnie w tej samej chwili. Przez chwilę Phil zastanawiał się nad tym, jednak w końcu zbył tę myśl wzruszeniem ramion. Jednak dopóki nie zdarzy się coś konkretnego - dopóki nie zapadnie decyzja o dalszym losie Patricka - robił to samo co pozostali: wstrzymywał oddech i czekał. Dodając gazu, przypomniał sobie, że nie pożegnał się z Seanem. Odpychając od siebie poczucie winy, skręcił w autostradę prowadzącą w stronę szpitala.

Gloria zmywała w roztargnieniu naczynia, wyglądając za okno, nieświadoma obecności milczącego chłopca, który siedział przy stole. Pogrzyżyła się w milczącej rozpacz. Nie potrafiła mówić o Patricku bez łez, a tych kilka wizyt w szpitalu to było więcej, niż potrafiła znieść. Ta jej prawie fobia dotycząca chorób w połączeniu z bólem, jaki odczuwała z powodu syna, spychała ją poza granice wytrzymałości. W jej wewnętrznym świecie było teraz puste miejsce, które niegdyś zajmował chłopiec o imieniu Patrick. Nikt w rodzinie nie skomentował ani jednym słowem jej niechęci do wizyt w szpitalu. Gdyby Patrick był chory na ciele, nie opuszczałyby jego łóżka. Ale to obrzydliwe coś, czym się stał, otaczające go miazmaty... takie jakieś diabelskie... powodowały, że czuła coś więcej niż smutek. Patricka otaczał dziwny mrok, jakaś aura nie z tego świata. Mimo emocjonalnego zamętu, w jakim się pogrzyżyła, Gloria przez cały czas usiłowała sobie coś przypomnieć. Było to coś takiego, co umknęło uwagi pozostałych, coś, co tylko ona widziała. Gdyby tylko zdołała to sobie przypomnieć, Patrick zostałby jej zwrócony. Niemożność przypomnienia sobie doprowadzała ją do frustracji bliskiej złości, a jej nieustanne zniecierpliwienie sprawiało, że reszta domowników chodziła koło niej na paluszkach. Mgliście dotarło do niej, że Sean odstawił kubek z porannym mlekiem. Zwróciła uwagę z powrotem na zmywane naczynia.

Sean był naburmuszony, ponieważ matka nie pozwalała mu wychodzić na dwór, nie pozwoliła mu też pójść na sobotni bal z okazji Halloween. Tak naprawdę nie bardzo miał ochotę iść na tę imprezę, nie chciał tylko siedzieć sam w domu - i tęsknić za Patrickiem. Nie pamiętał dokładnie doświadczeń tamtej nocy, kiedy jego i Patricka zabrano do szpitala. Coś zaciemniało mu pamięć, wspomnienia stały się rozmyte i trudne do uchwycenia. Niemniej przez cały czas był o krok od zrozumienia. Wyglądało na to, że bardzo mu pomaga trzymanie w dłoni kamienia wrózek. Z każdym dniem umiał wywoływać tamte obrazy szybciej i były one coraz wyraźniejsze. Dał sobie spokój z opowiadaniem o nich wszystkim pozostałym. Nie chcieli go słuchać. Nic nie rozumieli. Sean westchnął bezgłośnie.

Zacisnął mocno w pięści kamień wrózek i wpatrzył się weń usilnie. Było coś, co pamiętał z tamtej nocy, kiedy Patrick zachorował. Jakiś niewyraźny kształt w ciemności, który unosił się gdzieś na granicy pamięci, coś, co wyciągnęło ku niemu rękę i...

Sean otworzył szeroko oczy, a serce podskoczyło w nim z radości. Pamięta! Świecący Człowiek! I to coś, co wyglądało jak Patrick! Patricka zabrali Świecący Człowiek i Coś Złego! Sean wiercił się na krześle, lecz jego wzburzenie zupełnie umknęło uwagi matki. Musi coś zrobić, tylko jeszcze nie był pewien co. A nic nie działa zamknięty w domu. Musi

zdobyć jakąś pomoc. Wiedział też, gdzie mógłby jej szukać. Odsunął od siebie nie dojeżdżoną kanapkę i zapytał:

- Mamo, mogę iść na dwór?

- Nie!

Aż podskoczył, słysząc tę gwałtowną odpowiedź. Gloria spojrzała na chłopca zmęczonymi oczyma i dodała łagodnym tonem:

- Nie, kochanie. Byłeś chory. - Sądziła, że najlepiej będzie nie wspominać mu o tym, co opowiedział im Gary. Ale też nie miała najmniejszego zamiaru puszczać Seana w pobliże lasu.

- Ale, mamo... - zaczął Sean, lecz wtedy matka odwróciła się twarzą do niego, a on ujrzał zupełnie nowe spojrzenie, które go przestraszyło. Ona wie! A przynajmniej coś podejrzewa. Na którymś poziomie - świadomości lub podświadomości - doszła do wniosku, że utrata jednego syna w zupełności wystarczy. Sean wiedział, że jeśli zacznie opowiadać matce o tym, co sobie przypominał, nasili tylko w niej opory przed wypuszczeniem go z domu. Przestał jęczeć, wyszedł z kuchni i powędrował do salonu, gdzie z rezygnacją poświęcił się oglądaniu kolejnej porcji popołudniowych kreskówek lub sportu, obmyślając jednocześnie, jakby się stąd wydostać. Może mógłby położyć się wcześniej do łóżka, a potem wymknąć się z domu, kiedy mama już zaśnie. Usiadł na podłodze, oparł się plecami o fotel i włączył pilotem telewizor. Przyciskami od anteny satelitarnej wyszukał mecze akademickiej ligii. Nie obchodziło go, kto z kim gra.

Niecałą godzinę później do salonu wetknęła głowę Gabbie i zapytała:

- Co ty jeszcze robisz w domu, mały? Na dworze jest tak pięknie, prawdziwe babie lato.

Zastanowiwszy się nad odpowiedzią, Sean odparł:

- Oglądałem mecz. - Wstał od niechcienia i wyłączył odbiornik. - Gdzie mama?

- Zdrzemnęła się. A co?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Przejdę się do parku, dobra? Chłopaki będą grać w piłkę.

Gabbie już miała mu zabronić, przypomniawszy sobie wywody Gary'ego, lecz pamiętała także, że wedle jego słów wszystkie dziwaczne historie działały się zawsze po zachodzie słońca.

- Jasne, ale wróć, zanim zacznie się robić ciemno.

- Pewnie. Wrócę wcześniej.

Niedbale machnął ręką na pożegnanie i wyszedł przez kuchnię tylnymi drzwiami

kuchennej werandy. Kiedy tylko dotknął trampkami ziemi, puścił się szaleńczym biegiem. Biegł przez las co sił w nogach i dotarł do Mostu Trolla w rekordowym tempie. Przystanął, żeby złapać oddech, i natychmiast wyczuł aurę zła, która oznaczała obecność Czegoś Złego pod mostkiem. Wyjął spod koszuli swój kamień wróżek i mocno ścisnął go w dłoni. Zdecydowanym krokiem przemaszerował przez most. Gdy znalazł się po drugiej stronie strumienia, obejrzał się za siebie w radosnym poczuciu, że udało mu się czegoś dokonać. I kiedy tak spoglądał na mostek za sobą, nabrał pewności, że to właśnie na nim, Seanie, spoczywa odpowiedzialność za los Patricka. Tylko on jeden może mu pomóc - nie ojciec, nie matka, nie lekarze. Żadne z nich nie wie, przez co chłopcy przeszli, żadne też nie chciało ich wysłuchać. To, co zwykle każe dorosłym reagować tak, jak reagują, kiedy dzieci próbują im coś wyjaśnić, teraz działało ze szczególnym natężeniem. Nawet tato Seana, który normalnie wysłuchałby go, wyraźnie nie był w stanie zastanowić się przez chwilę nad poplątanymi wyjaśnieniami syna. A teraz, kiedy Sean mógł opowiedzieć wszystko jak najdokładniej, wiedział, że ojciec i tak nie uwierzy, że to, co mówi chłopiec, jest prawdą.

Sean wiedział teraz, co musi zrobić. Musi jeszcze raz stawić czoło Świecącemu Człowiekowi i Czemuś Złemu. Nadal go przerażali, lecz skądś wiedział, że osiągnąwszy tamtej nocy nadir strachu, już nigdy więcej nie będzie bał się ich tak samo mocno. Stawił im czoło i przeżył. Wiedział też, że musi zrobić to raz jeszcze, tylko że tym razem czeka go walka, a od jej wyniku będzie zależał los Patricka.

Sean wiedział, że istnieje tylko jedna osoba, która jest w stanie pojąć, co spotkało chłopców. Pędził przez las. Biegł przez całą drogę i wkrótce już łomotał pięściami do drzwi warsztatu Barneya Doyle'a.

Drzwi otwarły się i z góry spojrział na chłopca Barney.

- No, no, o co ten cały harmider?

- Barney, to był Świecący Człowiek! - wypalił Sean. - Wszyscy myślą, że ja i Patrick po prostu zachorowaliśmy. Ale to był Świecący Człowiek. On i Coś Złego przyszli do naszego pokoju razem z takimi dwoma, co wyglądali tak samo jak my, i zabrali Patricka. Mnie by też wzięli, ale miałem ten kamień... - Sean urwał gwałtownie, kiedy zobaczył, że w półmroku za Barneyem porusza się jakaś postać. Podeszła do nich Aggie Grant z zatroskanym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - zapytała.

Sean już zaczął się wycofywać, ale Barney położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

- Wszystko w porządku, chłopcze. Wejdz.

Sean pozwolił, by wprowadzono go do wnętrza szopy, i zobaczył, że Aggie sprawdza

coś w wielkim notesie. Spojrzał w jej stronę, a Barney wyjaśnił:

- Panna Grant wpadła tu po drodze do waszego domu, żeby posłuchać kilku kolejnych bajek, Sean.

- Co mówiłeś o tym świecącym człowieku, Sean? - zapytała cierpliwie Aggie.

Sean spojrzął na Barneya, który ani na chwilę nie odrywał oczu od chłopca. Stary majsterklepka odrzekł cicho:

- To Amadàn-na-Briona.

- Błazen? - odezwała się cicho Aggie. Popatrzyła okrągłymi z niedowierzania oczyma.

- Chyba nie mówisz serio. Patrick dostał wysokiej gorączki.

Barney przejechał ręką po twarzy w geście niepewności, potem odezwał się głosem cichym i opanowanym, lecz pobrzmiewającym tonem zniecierpliwienia i frustracji, jakiego Aggie nie słyszała u niego nigdy wcześniej.

- Aggie Grant, są takie prawdy, których nigdy nie znajdzie się w książkach, i to jest święta prawda. Bóg ma swój plan, a tylko ci z nas, których przepełnia pycha, sądzą, że mogą się dowiedzieć, co to za plan. Zachodziłaś tu i prosiłaś, żebym opowiadał historie o Dobrym Ludku... - Przerwał, jakby z wysiłkiem dobierał słowa. - Ale nie rozumiesz, że te historie wcale nie są... zmyślane. Opowiada je się wciąż od nowa, bo one nas uczą. Uczą nas, jak żyć razem z Dobrym Ludkiem. Po raz pierwszy opowiedzieli je ci, którzy się z nimi spotkali - zniżył głos - i którzy uszli z życiem z takiego spotkania.

Na twarzy Aggie pojawił się wyraz niedowierzania.

- Barney - zapytała cicho, w zadziwieniu - ty chyba nie wierzysz w te stare bajki, co? - Twarz mężczyzny przybrała zdecydowany wyraz, który powiedział jej wyraźnie, że Barney w nie wierzy, po czym stary kiwnął głową. Aggie popatrzyła na Seana i oznajmiła: - Chyba powinnam zabrać cię do domu.

Sean zrobił taki gest, jakby miał wypaść pędem z warsztatu.

- Nie! Muszę porozmawiać z Barneyem. Proszę. - Chłopiec mówił błagalnym tonem, lecz w jego głosie Aggie dosłyszała coś jeszcze: cień ostatecznego zdesperowania.

Aggie spojrzała na Barneya. Nie wierzyła w to, co mówił on albo Sean.

- Barney, co ty naopowiadałeś tym chłopcom?

- Te najbardziej znane opowieści - odparł szczerze - ale o Błaznie nie wspominałem ani słowem. Nie straszylbym chłopaków w taki sposób. A w dodatku sam jeszcze nie doszedłem, co to może być to całe Coś Złego.

Aggie przysiadła na stołku i wędrowała wzrokiem od Seana do Barneya i z powrotem. Lata uczenia uwrażliwiły ją na frustrację, jaką odczuwają młodzi, którzy mają poczucie, że



nikt nie chce ich wysłuchać. Przez długi czas siedziała zamyślona, potem odezwała się:

- No dobrze, mów.

- Tamtej nocy, kiedy zachorowaliśmy - mówił Sean - my wcale nie zachorowaliśmy. Do naszego pokoju przyszedł Świecący Człowiek i Coś Złego... - i opowiedział ze szczegółami o wydarzeniach tamtej nocy.

Aggie słuchała uważnie, a kiedy Sean skończył, zapytała:

- Sean, jak wyglądał ten Świecący Człowiek?

Intuicja podpowiadała jej, że cokolwiek się wydarzyło, miała przed sobą chłopca, który nie powtarzał zasłyszanej bajki albo historii wymyślonej po to, by wprowadzić w błąd dorosłych, a raczej ujawniał przed nią coś, w co sam głęboko wierzył. Sean wierzył, że widział to, o czym opowiadał, a Aggie nie miała zamiaru zlekceważyć czegoś, co miało dlań tak ogromne znaczenie. Sean opisał wygląd mężczyzny najlepiej, jak potrafił, a im więcej mówił, tym bardziej Aggie była przekonana, że chłopiec albo widział żywe wcielenie mitu, albo miał najdziwniejsze z możliwych halucynacji. Kiedy chłopiec odpowiedział na wszystkie pytania, starsza pani była wyraźnie przygaszona i mówiła niemal szeptem.

- Ani trochę nie wierzę, że ten chłopiec naprawdę widział Amadàn-na-Briona. Ty przecież też nie możesz w to wierzyć. - Mówiła jednak nie tyle tonem niedowierzania, co raczej błagalnej prośby, by nie narażać na szwank jej zdrowego rozsądku, żeby ten niewiarygodny opis wychodzący z ust ośmiolatka okazał się jakimś sprytnie wyreżyserowanym przedstawieniem, jakimś dziwnym, niesmacznym i trudnym do pojęcia żartem. Bo jeśli nie, to ten świat okaże się zupełnie obcym miejscem, po którym człowiek krąży na ślepo, nieświadom czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Błada na twarzy Aggie powtórzyła: - Możesz?

- Mogę - odparł Barney - i wierzę, Aggie Grant. Za dużo siedzisz w książkach, a za mało w realnym świecie. - Wstał i wskazał ręką na okno. - Tam, na zewnątrz, są tajemnice na tajemnicach, cuda ukryte za pomocą magii tak potężnej, że cała wasza nauka nie potrafi jej opisać. Nasza historia opowiada o czasach, kiedy przybyliśmy do Irlandii - o tym, jak zastaliśmy tam Firbolgów i Tuatha De Danann\* [\* Firbolgowie - w mitologii irlandzkiej członkowie preceltyckich ras, wywodzonych z Grecji, pokonanych najpierw przez Fomorian, piratów i demony morskie, a następnie wypartych przez Tuatha De Danann, rasę bogów i półbogów, która zwyciężyła Fomorian i rządziła Irlandią w czasie złotego wieku.] i jak wydzieraliśmy im te ziemie. Brytyjczycy oraz ich amerykańskie dzieci za daleko odeszli od swoich celtyckich korzeni i dawnej wiedzy, nauki wywodzącej się z czasów, zanim do Irlandii przybył Kościół, by nieść nam zbawienie. Brytowie byli tacy sami jak rzymscy,

saksońscy i normandzcy najeźdźcy, utracili wizję przeszłości. Wielu z nas, Irlandczyków, nadal ją przechowuje.

- Ale... - zaczęła Aggie.

- Żadnych ale, jeśli łaska, panno Agatho Grant - przerwał jej Barney, zapatrzony gdzieś w przestrzeń za brudną szybką w okienku szopy. - Słyszałaś historie, jakie opowiadają sobie starzy. Zapisywałaś je, bo były barwne i oryginalne. Ani razu nie zapytałaś żadnej z tych osób, czy w nie wierzą. Zapytałaś?

Aggie potrząsnęła głową. Tam, gdzie spodziewała się prostego Irlandczyka, odkryła człowieka, który głęboko cenił i szanował swoje kulturowe dziedzictwo i posiadał coś więcej niż tylko ulotną znajomość kilku prostych bajek. Pamiętał wszystko, co usłyszał, a był dobrym słuchaczem. I przekazywał tę wiedzę dalej. Na swój sposób Barney Doyle był bardem, który utrzymywał przy życiu starożytną tradycję.

- Zakładałam po prostu... - rzuciła słabo.

- Tak, i to jest właśnie to słowo, nieprawdaż? Zakładałaś. Myślisz, że stare opowieści to tylko mity i legendy. My wiemy, że to wszystko prawda - szepnął. Ani na chwilę nie odrywał oczu od ciemniejącego nieba za oknem. - Chyba wkrótce będziemy mieli deszcz. - Ściszył głos. - No to co byś powiedziała, gdybym ci oznajmił, że ja sam widziałem raz na własne oczy, jak Daonie Sidhe tańczą na wzgórku przy blasku księżyca? Byłem wtedy chłopcem, niewiele starszym od Seana, ale nigdy nie zapomnę tego widoku. Był zarazem piękny i przerażający, radosny i smutny, wszystko na raz. Muzyka tak delikatna jak oddech na wietrze i zapach kwiatów... kwiatów nie z tego świata. Opadły mnie tęsknoty i pragnienia, a do tego w niemałym stopniu strach. - Przeżegnał się. - Poczulem też, że mojej nieśmiertelnej duszy grozi niebezpieczeństwo. Często znikają nam z oczu, ten Stary Ludek, Dobry Ludek. - Barney wpatrzył się intensywnie w Aggie. - Ale wciąż tu są, pośród nas. Żyją w tym samym świecie i głupotą jest zaprzeczać prawdzie tylko dlatego, że niezręcznie jest w nią wierzyć.

Aggie poczuła się zupełnie bezradna wobec absolutnej pewności dźwięczącej w słowach Barneya.

- Proszę cię, Barney - odezwał się Sean - muszę odzyskać Patricka. Gdzie go mogę znaleźć?

Barney zapatrzył się w okno, za którym między zbierającymi się czarnymi chmurami popołudniowe słońce nadawało niebu kolor żółtych róż.

- On jest z Błaznem, chłopaku, i z tego to powodu możemy już uznać, że straciliśmy go na dobre.

- Kto to jest Błazen? - dopytywał się chłopiec, który najwyraźniej nie miał ochoty

pogodzić się z niemożnością odzyskania Patricka.

Barney posłał mu spod krzaczastych brwi trudne do odczytania spojrzenie. Chłopcu odpowiedziała Aggie.

- Twój Świecący Człowiek, Seanie. Amadàn-na-Briona, jest przywódcą Mrocznego Ludu, głową tego, co Szkoci zwą Niezbożnym Dworem, sił zła pomiędzy Sidhe.

Sean, który wiercił się niespokojnie w miejscu, zapytał:

- Ale dlaczego zabrali Patricka?

Aggie obserwowała twarz Barneya, kiedy popatrzył na Seana, a potem znów na nią.

- Bo to niedobre i złośliwe bractwo, Seanie. To pewne, że tamten chłopiec to odmieniec.

- Odmieniec? - powtórzyła Aggie. - Ależ on jest w szpitalu.

- Tamten w szpitalu to nie jest Patrick - oznajmił stanowczo Barney.

Sean spojrział na Barneya i oczy zaszyły mu łzami. Zalało go poczucie gwałtownej ulgi. Wreszcie znalazł kogoś, kto go rozumiał. Barney wiedział, że to coś w szpitalu, co wyglądało jak Patrick, nie było jego bratem.

Aggie wstała.

- Jak dla mnie to już za wiele, Barneyu Doyle. Nie będę tu siedzieć i wysłuchiwać, jak rozprawiamy o porwaniu dziecka.- Słowa Barneya wyraźnie wytrąciły ją z równowagi i starała się ją teraz odzyskać. - Chodź, Seanie, myślę, że powinienes wrócić do domu. Pogoda się psuje, więc cię zawiozę.

Sean wstał, jakby chciał się rzucić w stronę drzwi, ale Barney powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie, chłopcze, lepiej będzie, jak pójdziesz. - Oczy Barneya błyszczały, jakby mężczyzna znalazł się na granicy łez. - Nie da rady. Nic nie możesz zrobić. Nie ma sposobu, żeby odzyskać Patricka. - Poczekał, aż Aggie podniesie torbę i notes, potem otworzył przed nimi drzwi. Kiedy wyszli na zewnątrz, Barney zamknął je cicho. Potem dodał półgłosem: - Minął już czas bohaterów, Seanie. Z przykrością to mówię, ale taka jest prawda.

Seanowi przyszło do głowy, by uciec, Aggie jednak miała za sobą długie życie, w którym radziła sobie z całymi rzeszami chłopców różnych rozmiarów i temperamentów, więc lekkim dotknięciem w ramię zdławiła odruch buntu w na ogół posłusznym dziecku. W milczeniu wsiadł z nią do samochodu i pozwolił się zawieźć do domu.

Sean leżał w swoim pokoju głęboko zamyślony. Na dworze zachodzące słońce minęło już stare drzewo przed domem i rzucało na ścianę powykręcane cienie. Odkąd wrócił wczoraj od Barneya, pogrążył się w cichej rozpacz. Na szczęście matka nie obudziła się jeszcze, kiedy Aggie przywiozła go do domu. Aggie nie odezwała się przez całą drogę powrotną. Przed Gabbie nie pisnęła ani słówkiem o tym, co wydarzyło się w domu Barneya, tak jakby samo mówienie o tym miało przydać wagi jego słowom. Lecz nawet dla kogoś tak młodego jak Sean było jasne, że to, co usłyszała, głęboko ją poruszyło. Nalegała też, by Gabbie zatrzymała chłopca w domu, dopóki całkiem nie wyzdrowieje. Kiedy wyjechała, Sean błagał siostrę, żeby na niego nie naskarżyła. Gabbie zgodziła się nic nie mówić w zamian za obietnicę, że Sean nie opuści domu, zanim Gloria nie wyrazi na to zgody.

Ojciec miał wrócić niedługo na obiad, odwiedzwszy w szpitalu tego stwora, którego nazywali Patrickiem, i omówiwszy kilka spraw z lekarzami. W Seanie aż wrzało. Przetoczył się na plecy. Miał przed sobą ostatnią szansę, żeby się wydostać. Wiedział, że dziś w nocy musi działać. Żałował tylko, że skoro musi czekać, aż wszyscy się położą, nie będzie miał okazji porozmawiać wcześniej z Barneyem. W tej sytuacji nie wystarczy mu czasu, był tego pewien. Nie rozumiał wprawdzie tego wszystkiego, ale wykoncypował sobie dostatecznie dużo, by wiedzieć, że działać musi dziś w nocy, a im później zacznie, tym mniej czasu mu zostanie, żeby pomóc Patrickowi.

Kiedy drzwi wejściowe trzasnęły, Sean zerwał się na równe nogi. Popędził spieszenie po schodach tam, gdzie stał jego ojciec. Phil spojrzał na syna i uśmiechnął się.

- Cześć, koleżko. Jak tam?

Sean z całej siły starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo mu zależy. Ucisnął tatę szybko, a potem wykonał swój rzut.

- Mama nie pozwala mi dzisiaj iść na Halloween. - Mówił, balansując na granicy jęku, takim tonem, jakby ten zakaz był całkowicie niezrozumiały i pozbawiony sensu.

Phil ruszył wolno w stronę kuchni.

- Słuchaj, będą jeszcze inne imprezy i... No cóż, twoja mama ostatnimi czasy jest trochę wytrącona z równowagi. - Przystanął i wpatrzył się w twarz syna. Przy nieustannej trosce o Patricka Phil trochę jakby zapomniał o Seanie. Po chwili rzekł: - Ale z drugiej strony dla ciebie to też nie był piknik, prawda?

Kiedy Phil pchnął drzwi do kuchni, po jego twarzy przemknął dość szczególny wyraz. Gloria i Gabbie przygotowywały wspólnie obiad. Przywitały się z nim, a Gabbie go

poinformowała:

- Dzwonił Jack. Już tu jedzie, cały skacowany. Będzie za godzinę.

Jack zdał egzamin ustny już w piątek, potwierdzając swą pozycję doktoranta. Zadzwonił, żeby jej o tym powiedzieć, i chciał natychmiast wracać, ale Gabbie zgłosiła sprzeciw, upierając się, że powinien wyjść gdzieś z kolegami ze studiów, żeby to uczcić. Impreza zakończyła się późno w nocy. W rezultacie Jack dopiero w sobotę po południu mógł zabrać się do papierkowej roboty, która miała się znaleźć na biurku promotora w poniedziałek rano. Tak więc podróż powrotna samochodem do Pittsville w sobotę raczej odpadała. Gabbie bardzo żałowała, że nie może być z nim, ale nie chciała wyjeżdżać, kiedy Gloria była w tak kiepskim stanie.

- Kochanie, myślę, że powinniśmy pozwolić Seanowi pójść dzisiaj na tę imprezę - odezwał się Phil.

Gloria szarpnęła głową, a w jej oczach błysnęła panika. Zanim zdołała się sprzeciwić, dodał:

- Już od kilku dni czuje się nieźle, a poza tym dobrze by mu zrobiło, gdyby wyszedł na trochę. - Sean rzucił Gabbie błagalne spojrzenie, prosząc niemo, aby nie wspominała o jego wczorajszym spotkaniu z Aggie. Gabbie leciutko pokręciła głową i puściła mu perskie oko, potem wróciła do przyrządzania sałatki.

Gloria już chciała coś powiedzieć, lecz ostatecznie wróciła do gotowania, dodając po chwili:

- No... ale on nie ma żadnego kostiumu...

- Mogę być za pirata! - przerwał jej Sean. - Zawiążę sobie na głowie bandanę, wetknę spodnie w kalosze, założę pasek taty o tak - przejechał ręką na skos przez ramiona i pierś - a Gabbie może mi zrobić szminką bliznę. Proszę, mamó.

Gloria zdawała się bliska łez, kiedy Phil tłumaczył jej spokojnym głosem:

- To będzie w szkole. Ktoś ich przypilnuje, a o dziewiątej przywiozę go do domu. Co ty na to?

Gloria toczyła wewnętrzną walkę. Dookoła niej coś narastało, a ona nie potrafiła zrozumieć, co to jest. Rozum podpowiadał, że nie ma nic złego w tym, aby Sean poszedł na szkolną zabawę, której pilnują nauczyciele, lecz coś głęboko w środku - jakiś instynkt - podpowiadał, że to straszliwe ryzyko. Niemniej nie potrafiła wyartykułować swych koszmarnych lęków, więc koniec końców tylko kiwnęła głową, z pobielaną i zapadniętą twarzą. Sean wyskoczył w górę i wrzasnął:

- Dzięki, mamó! - Po czym wypadł za drzwi.

Phil podszedł do żony i przytulił ją do siebie.

- Podrzucimy go, jadąc do szpitala.

- A ja i Jack odbierzemy go z powrotem - dodała Gabbi.

Gloria na chwilę złożyła głowę na ramieniu Phila. Już niemalże pojmowała, rozpoznanie znajdowało się tuż w zasięgu jej ręki: w nocy krążyła tu budząca grozę siła, która otoczyła i złapała w potrzask jej rodzinę. Zawładnęły nimi starożytne tajemnice, mroczne czary, zaginione złoto i stwory nie z tego świata. Te stwory zabrały jednego z jej synów. Ogarnęło ją koszmarne przeświadczenie, że dziś wieczorem utraci i drugiego. Lecz wiedziała także, że nie jest w jej mocy przeciwstawić się temu, a ci, którzy ją otaczają i których kocha najmocniej, nigdy nie będą w stanie tego pojąć. Cała ta wiedza była o krok od wyartykułowania, lecz coś wciąż powstrzymywało ją od skrzepnięcia w bardziej uchwytne formy, na tyle konkretne, by mogła się nimi podzielić. Zamknęła więc oczy, a po chwili z pełnym rezygnacją westchnieniem rzuciła:

- Gabbie, wyjmiesz kurczaka z pieca, kiedy będzie gotowy? Chyba pójde się trochę zdrzemnąć przed obiadem. - Odwróciła się od męża, otworzyła drzwi prowadzące do holu i wyszła.

Sean wyszedł z domu między dwójką rodziców. Był zadowolony ze swego przygotowanego naprędce kostiumu. Jedna ze starych białych bluzek Gabbie dawała efekt dokładnie taki jak trzeba, miała odpowiedni kołnierz i w ogóle, a kiedy podwinęło się bufiaste rękawy, wyglądała dokładnie jak koszula pirata. Dżinsy wetknął do kaloszy, a przez ramię przewiesił pasek ojca, będący całkiem zgrabną imitacją pendentu. Dookoła głowy obwiązał na piracką modłę czerwoną bandanę. Gloria otworzyła drzwiczki samochodu i nie odezwała się ani słowem, kiedy wsiadali. Miała zaczerwienione oczy. Przespała cały obiad, ale później wstała, żeby dołączyć do męża i syna. Niewiele się odzywała, tylko od czasu do czasu napominała Seana, żeby był ostrożny. Sean nawet nie zwrócił na to uwagi, bo w duchu modlił się, żeby nikt nie zauważył, że dziwnie chodzi, w prawym bucie ukrył bowiem ojcowski srebrny nóż do papierów.

Phil perorował lekkim tonem, jakby chciał wymusić na rodzinie powrót do normalności. Po drodze do szkoły Sean odpowiadał na różne pytania ojca, podtrzymując rozmowę. Phil starał się odzyskać poczucie normalności w stosunkach z synem - z tym synem, który mu pozostał, dodał w myślach ponuro. Znow zaczęło padać, więc Phil zauważył:

- Powinieneś być wziąć ze sobą kurtkę, synu.

- Nic mi nie będzie - upierał się Sean - z ulicy na aulę jest tylko malutki kawałeczek, a potem poczekam w środku, aż przyjadą po mnie Jack i Gabbie.

- Dobra, korsarzu - rzucił Phil z wymuszoną jowialnością. Zatrzymał się przy krawężniku przed szkołą podstawową i patrzył, jak Gloria wysiada, żeby Sean mógł wyjść. Kiedy chłopiec mijał matkę, wyciągnęła ku niemu ręce i uchwyciła go gwałtownie, więc przez jedną, krótką, pełną paniki chwilę Sean bał się, że wciągnie go z powrotem do samochodu. Jednak matka uściskała go tylko mocno, w milczeniu, po czym puściła bez słowa i stojąc w leciutkiej mgiełce mżawki, patrzyła, jak Sean idzie w stronę auli. Phil poczuł, że po policzku spływa mu łza, gdyż nawiedziło go nagłe przecucie, że oto widzi Seana po raz ostatni. Skwitował je wzruszeniem ramion, przypisując wszystko zmęczeniu i nadmiernemu stresowi ostatniego tygodnia, a kiedy Gloria wsiadła z powrotem, odjechał.

Sean zbliżał się do auli. Pozostałe dzieci już zaczęły się zbierać. Mają być jakieś zorganizowane zajęcia, mnóstwo budek z grami losowymi - wrzuc dwudziestocentówkę, a wygrasz złotą rybkę, strzałki i balony, koło fortuny, rzucanie workiem fasoli i inne - oraz darmowy poczęstunek dla wszystkich. Będą także różne zabawy i płyty, żeby dzieciaki mogły

potaćzyć, choć Sean sądził, że to raczej dla dziewczynek niż dla chłopców.

Sean słyszał, jak samochód rodziców rusza z krawężnika, więc obejrzał się, żeby zobaczyć, jak odjeżdżają. Wysoko skłębione chmury ukryły ostatnie promienie zachodzącego słońca, obracając cały krajobraz w szarości i czernie, a wodna mgielka przeszła w uczciwą mżawkę. Sean zastanawiał się: zabawa miała trwać od szóstej do dziewiątej, więc będzie musiał idealnie rozplanować wszystko w czasie. Rozejrzał się dookoła, dołączył do grupki stojących przed wejściem dzieci i czekał.



Aggie ostrożnie manewrowała na zakrętach autostrady numer 117, głównej arterii prowadzącej do Pittsville od międzystanowej numer 90, wychodzącej z Buffalo. Mrużyła oczy, oślepiona światłami nadjeżdżających z przeciwka samochodów, odbijającymi się w mokrej nawierzchni. Deszcz już ustał, za co była mu głęboko wdzięczna, gdyż jej stary ford nie prowadził się najlepiej po mokrej nawierzchni. Zjechała ze stanowej autostrady w lokalną drogę, która prowadziła do domu Hastingsów. Kiedy przejechała pod wiaduktem, stacja z muzyką klasyczną zanikła, a deszcz lunął od nowa, z nową, mściwą energią. Z nieba na ziemię lały się strumienie wody, zamazując wszystko z wyjątkiem żółtej przerywanej linii biegnącej na środku szosy. Aggie przełączyła wycieraczki na większą częstotliwość i zwolniła. Zanim dotrze do zjazdu na farmę Hastingsów, czekają ją jeszcze dwa brzydkie zakręty, a teraz nie była dokładnie pewna, gdzie się znajduje. Nie widziała żadnych znaków rozpoznawczych w terenie. Przy drodze nie było latarni, więc mogła dojrzeć tylko tyle, ile wyznaczał blask jej długich świateł. Jechała przez tunel nocy. Odległe błyskawice wywoływały w radiu ochryple trzaski, więc Aggie wyłączyła urządzenie.

Jechała tak przez jakiś czas, wreszcie zaczęła się zastanawiać, czy jakimś cudem źle nie skręciła. Brakowało jej snu - przez ostatni tydzień do późna wysiadywała w domu Hastingsów. Także nieustanna troska o Patricka napelniała ją głębokim znużeniem. Wczorajsza rozmowa z Barneyem i Seanem do reszty wytrąciła ją z równowagi, napelniając jakimś bardzo ogólnym, melancholijnym niepokojem. Trapiło ją jakieś bliżej nie nazwane odczucie. A odkąd zadzwonił Mark, wiedziała już, co to za uczucie - to był strach.

Aggie zerknęła na swojego pasażera, który siedział stoicko na siedzeniu obok i nie odzywał się ani słowem. Niecałe sześć godzin wcześniej odebrała telefon od Marka Blackmana. Wcześniej starał się dodzwonić do Gary'ego, lecz młodszy kolega wyrwał się gdzieś na cały dzień ze swoją dziewczyną. Mark próbował też dodzwonić się do Hastingsów, ale telefon był zajęty. Zdesperowany, zadzwonił do Aggie i przez tę dziwną i niejasną rozmowę zamiejscową pogrążył ją w przerażającym świecie, w świecie, którego pierwszy błysk ujrzała wczoraj, kiedy Sean pojawił się w warsztacie Barneya.

Potem odebrała następny telefon i z siłą perswazji przechodzącą wszelkie pojęcie jej obecny pasażer namówił ją, żeby wyjechała po niego na lotnisko w Buffalo. A zdołała się o nim dowiedzieć jedynie tyle, że jest Niemcem i że Mark Blackman spodziewa się jego przyjazdu. Aggie nawet nie była w stanie wyrazić własnej konsternacji, kiedy ni stąd, ni zowąd zgodziła się odebrać z lotniska cudzoziemca. Tej nocy zadziały jakieś potęgi -

potęgi, których nie potrafiła nawet w pełni ogarnąć, lecz potrafiła wyróżnić z tej całości pewną część: widziała wyraźnie, jak bardzo obca jest ta potęga. Uświadomiwszy to sobie, zaczęła lepiej pojmować resztę.

To, co ostatecznie udało jej się zrozumieć - mimo że było jedynie cząstką dużo większej całości - wystarczyło, żeby ją przerazić, przerazić tak bardzo, że nawet nie wyobrażała sobie, aby była zdolna do tego stopnia się bać. Obecność pasażera tak bardzo ją martwiła, że z trudem koncentrowała się na prowadzeniu samochodu. Spekulacje Marka i Gary'ego na temat tajnej organizacji, do której należał Kessler, to już nie była tylko teoria. Członek owej organizacji siedział właśnie obok niej w fotelu dla pasażera, a przedtem odbył długi lot z Niemiec. A teraz jechali oboje wśród burzy na farmę Hastingsów, bo nie wiadomo dlaczego, ten człowiek musiał tam dotrzeć przed Markiem.

Mark nie powiedział Aggie, gdzie jest. Mógł równie dobrze dzwonić z Nowego Jorku, co z Buffalo lub Toronto. Mógł przylecieć godzinę wcześniej od tego cudzoziemca, wypożyczyć samochód i być ledwie o kilka mil przed nimi, ale równie dobrze mógł właśnie gnać, żeby ich wyprzedzić. Lecz wszystko jedno, jakim sposobem się zbliżał, najważniejsze było - wedle jego słów - aby dotarł na Wzgórze Króla Elfów przed północą i aby nikt nie wiedział o jego przyjeździe. I choć nie wspomniał o tym ani słowem, Aggie wiedziała, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

I mimo że złożyła obietnicę, że utrzyma powrót Marka w sekrecie, ten cudzoziemiec złamał jej wolę, kazał jej po sobie przyjechać, opowiedzieć wszystko, co wiedziała, i przywieźć na miejsce, gdzie mógł znaleźć Marka. A teraz w każdym cieniu czaiła się groźba, a każde mroczne miejsce kryło w sobie zniszczenie.

Aggie rozważała mądrość zawartą w nie pojmanym dotąd powiedzeniu „Nieświadomość to błogosławieństwo”. Uliczna napaść jest dla farmera zupełną abstrakcją, dla mieszczucha zaś źródłem nieustannego poczucia zagrożenia. Taka jest cena wiedzy. Niebezpieczeństwa, które jeszcze parę dni temu Aggie odpuściłaby sobie jako niedorzeczne fantazje, dziś stały się czymś namacalnym, przerażającym realnym. Czuli się tak jak wiejski chłopak, któremu w ciemnej uliczce nagle przytknął do głowy pistolet narkoman na głodzie.

Żałowała, że przed wyjazdem do Buffalo nie udało jej się wytropić Gary'ego, żeby mu wyznaczyć spotkanie w domu Hastingsów. Zapobiegła temu właśnie owa dziwna siła woli nieznajomego. Zdecydowała, że zadzwoni do Gary'ego zaraz po dotarciu na miejsce - jeśli zgodzi się na to ten mężczyzna. Zerknęła nań spod oka. Do tej pory nie wypowiedział więcej niż tuzin słów, a wszystkie z ciężkim niemieckim akcentem. Z wyglądu najbardziej chyba przypominał małomiasteczkowego biznesmena - krępy, łysiejący, odziany w tani, wymięty

garnitur. Wiedziała tylko, jak się nazywa: August... jakiś tam. Uchwyciła mocniej kierownicę. Bała się, bo mimo swego nieszkodliwego wyglądu mężczyzna emanował tą obcą mocą, której obecność wyczuwała przez cały wieczór.

Aggie zamrugała kilka razy, zastanawiając się, gdzie jest. Wtedy zobaczyła pierwszy ze znaków rozpoznawczych: skrzynkę pocztową Lonny'ego Boggsa. Dom Hastingsów leżał dwie farmy dalej. Pierwszy zakręt pokonali ostrożnie, lecz kiedy zbliżali się do drugiego, Aggie dodała gazu. Odezwała się cicho do swego pasażera, informując, że niedługo będą na miejscu. Odpowiedział jej jakimś prawie stęknieniem, które mogło uchodzić za słowo: „gut”. Kiedy Aggie wyjeżdżała zza zakrętu, drogę przed nią oświetliła błyskawica.

Nagle coś wyskoczyło z lasu wprost na jezdnię. Przez ułamek sekundy Aggie sądziła, że to jeleni, gdyż dojrzała okazałe poroże. Chwilę później kręciła rozpaczliwie kierownicą, bo to coś przystało na środku drogi, zagradzając jej przejazd. Samochód wpadł w poślizg, a Aggie instynktownie wdusiła hamulce, podczas gdy jej towarzysz z zaskoczenia zaklął po niemiecku. Niespodziewanie samochód zaczął obracać się w kółko, a Aggie bezskutecznie starała się odzyskać panowanie nad pojazdem.

Aggie odbierała wszystko tak, jakby nagle zaczęło przesuwac się obok niej. Światła samochodu na sekundę oświetliły obiekt na drodze, a wtedy Aggie dostrzegła postać siedzącą na koniu. Kiedy samochód kręcił się w kółko, Aggie naszła dziwna myśl, że być może to Gabbie lub Jack jeżdżą w deszczu, ale potem, kiedy wóz zatoczył pełne koło, postać znów ukazała się w pełnym świetle. Nie był to ani Jack, ani Gabbie. Koń był tak niesłychanie biały, że prawie jarzył się blaskiem wśród deszczu, a jego grzywa i ogon niemal płonęły złocistymi ogniami. A jeździec nie był człowiekiem. Na ramionach spoczywał mu złoty hełm, zwieńczony porożem z kości słoniowej. Pod otwartą przyłbicą widać było oblicze o nieczłowieczych rysach, które przyglądało się szalejącemu po jezdni samochodowi. Oczy, jarzące się własnym, wewnętrznym światłem, śledziły wirowy ruch wozu. Usta Aggie otwarły się w okrzyku przerażenia, bardziej z pewnością, co widzi przed sobą w tej chwili, niż ze strachu przed zderzeniem. Przez mgłę własnego strachu słyszała niewyraźnie, że jej towarzysz krzyczy, lecz nie tyle ze strachu, co raczej ze złości i chyba, aby ją ostrzec. Umysł Aggie wzbraniał się przed uznaniem prawdy, którą przed sobą ujrzała, mimo że dobrze wiedziała, co to jest. Zamknęła więc oczy i zebrała się w sobie, zaciskając ręce na kierownicy, kiedy samochód znów zaczął zawracać.

Kiedy wóz zjechał z drogi i trzasnął w drzewo, jeździec odrzucił głowę do tyłu i zawył nieczłowieczym śmiechem. Huk zderzenia wytłumił lejący jak z cebra deszcz.

Aggie przez długi czas siedziała nieruchomo, w szoku, potem potrząsnęła głową, żeby

rozjaśnić myśli. Piekły ją oczy, więc je potarła. Natrafiła ręką na ciepłą wilgoć, wiedziała więc, że krwawi. Zerknęła w stronę swego pasażera i zobaczyła, że mężczyzna huknął głową w boczną szybę, która pokryła się pajęczą siecią pęknięć. Z czoła obficie spływała mu krew, lecz puste spojrzenie i opadnięta bezwładnie szczeka powiedziały Aggie jasno, że mężczyzna nie żyje.

Jakimś cudem samochód stanął niemal na sztorc, wskazując z pobocza na drogę. Aggie na próżno starała się rozpiąć pas bezpieczeństwa. Nie była w stanie na tyle skoordynować ruchów palców, by wcisnąć prosty guzik. Przez zalewane strugami deszczu okno dostrzegła jakiś ruch. Kiedy próbowała się uwolnić, dopadła ją fala mdłości i zasłabła. Zakręciło jej się w głowie, więc wsparła ją o boczne okno. Wzrok jej się zamazywał.

Przymknęła oczy, co tylko pogłębiło zawroty głowy. Zmusiła się do zachowania przytomności i otworzyła je z powrotem. Czuła dziwne zubożenie. Zaczęła się zastanawiać, czy umiera. Na drodze widziała wśród mroku niewyraźną sylwetkę jeźdźca, czuła też na sobie złowrogie spojrzenie tamtej istoty.

Kiedy istota spięła ostrogami konia i ruszyła w stronę wraku samochodu, Aggie poczuła nagły odpływ sił. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce umrze. Jeździec wiedział, że się zbliżają, i wiedział, że pasażer Aggie to jego wróg. Zapamiętane stare opowieści - baśnie, które teraz zgodnie ze słowami Barneya okazały się prawdą - pomogły jej zrozumieć, że oto niespieszonym truchtem zbliża się ku niej zniszczenie. Aggie przekonała się, że kiedy uzyskała pewność, że umrze, jej strach się ulotnił. Czuła jedynie głęboki żal na myśl, jaką cenę wkrótce będą musieli zapłacić pozostali.

Potem noc rozświetliły błyski innych, czerwono-niebieskich świateł, kiedy zza rogu wyjechał drugi samochód, wóz patrolowy szeryfa okręgowego. Aggie ujrzała, że jeździec zawraca rumaka i spina go ostrogami, aby uciec w las. Zaczęła ogarniać ją ciemność, docierał do niej tylko mgliście skrzekliwy głos policyjnego radia. Pomyślała, że ktoś na farmie Lonny'ego Boggsa usłyszał pewnie huk zderzenia i wezwał szeryfa. Zawołała, lecz nawet w jej uszach krzyk zabrzmiał odległe i słabo. Ze wszystkich sił starała się zachować przytomność, ponieważ zostało już tak niewiele czasu, ledwie kilka godzin.

Kiedy otoczyła ją ciemność, zdawało jej się, że słyszy jeszcze jeden przystający w pobliżu samochód, potem trzask zamykanych drzwiczek. Gdzieś z bardzo daleka dobiegł do niej głos Marka, który wołał ją po imieniu. Jej ostatnią myślą było: „Nieszczęsny Patrick”. Potem ogarnęła ją czarna otchłań.

O wpół do siódmej Sean podszedł do drzwi auli i zapytał pana Hanesa, wychowawcę trzeciej klasy, czy może iść do toalety. Nauczyciel kiwnął z roztargnieniem głową, bo dzieci przez cały wieczór wciąż tylko wchodziły i wychodziły z auli. W łazience zastał kilku chłopców, więc udał, że zajmuje jedną z kabin. Posiedział tam odpowiednio długo z opuszczonymi do kostek spodniami, a kiedy uznał, że już dość, wyszedł. Zamiast wrócić na aulę, szybko skręcił w boczny korytarz, potem pobiegł w przeciwnym kierunku, w stronę biblioteki. Pamiętał zasłyszana gdzieś informację, że w czasie zabaw szkolnych wszystkie zamki przy drzwiach ustawiano w ten sposób, aby wypuszczały wychodzących, a nie wpuszczały nikogo z ulicy. Sean dotarł do wyjściowych drzwi przy bibliotece, pchnął je, a one otworzyły się z głośnym szczęknięciem. Udało mu się uciec. W ciągu kilku minut już pędził przez park w stronę szopy Barneya.

Znów padało. Lał gęsty i zimny deszcz. Sean był cały przemoczony i zziębnięty do kości, kiedy dotarł do szopy. Załomotał w drzwi pięściami, wrzaskiem przywołując Barneya.

Zdawało mu się, że minęły wieki, zanim drzwi się otwarły, a przed nim stanął Barney z butelką whisky w ręce, lekko pijany. Na widok chłopca zawołał:

- A! Przyszedłeś po słodycze, Seanie Hastings? Jak bez wątpienia wiesz, nie mam żadnych. No, wejdz. Zaziębisz się na śmierć, jak będziesz tak stał i gapił się na mnie w progu.

- Chłopiec wszedł, a Barney wyszukał jakiś w miarę czysty ręcznik i rzucił go chłopcu, który wysuszył się najlepiej, jak potrafił. - Głupio robisz, biegając w deszczu bez płaszcza, Seanie. Przecież niedawno miałeś wysoką gorączkę.

- Barney, muszę znaleźć Patricka. Mówiłeś, że Dobry Ludek dziś w nocy odejdzie!

- To prawda. Z pierwszym uderzeniem zegara o północy spakują manatki i odlecą. Przy ostatnim uderzeniu zegara znikną nam z oczu, przenosząc się do jakiegoś innego kawałka lasów - Bóg jeden wie którego - gdzie będą terroryzować inną nieszczęsną społeczność. Dałby Bóg, żeby to byli Anglicy. - Uniósł butelkę whisky jak do toastu i pociągnął spory łyk. Przygważdżając chłopca wciąż jeszcze trzeźwym wzrokiem, dodał: - No to przyniosłeś łuk i srebrną strzałę albo srebrny miecz, tak jak kazałem twojemu bratu?

Sean sięgnął ręką do kalosza i wyjął srebrny nóż do papierów.

- Mam to.

Barney opadł z wolna na kolana przed chłopcem. Wziął od niego nóż do papierów i poobracał go w dłoniach. Nóż był ze srebra. Patrzył nań przez dłuższy czas, potem przeniósł wzrok na malca. Wydał z siebie ciche westchnienie. Łzy zakręciły mu się w oczach, kiedy

sięgał drżącą ręką do ramienia chłopca.

- A więc postanowiłeś spróbować?

- Ja muszę, Barney. Dziś w nocy Patrick odejdzie razem z nimi, prawda?

Barney odpowiedział mu niemal szeptem.

- Tak jest, a wtedy będzie stracony na wieki, bo marne są szanse na to, że kiedyś jeszcze natrafisz na Dobry Ludek. Widziałem ich w życiu raz, potem drugi, a między tymi wydarzeniami minęło dobre pięćdziesiąt lat. Większość z nas nie widuje ich wcale przez całe swoje śmiertelne życie na ziemi. Ale to, co bierzesz na swoje barki, Seanie Hastings, to bardzo niebezpieczna rzecz. Twoi rodzice mogą dziś w nocy opłakiwać stratę dwóch synów. Czy pomyślałeś też o tym?

Sean przytaknął krótkim kiwnięciem głowy, potem zapytał:

- Gdzie jest Patrick?

Barney wstał, trzymając w dłoni nóż do papierów. Odwrócił się i wziął do ręki oselkę, której używał do ostrzenia nożyc, sekatorów i noży, i zaczął pracować nad wyostrzeniem krawędzi, szczególnie zaś nad spiczastym czubkiem. Kiedy doszedł do wniosku, że sztylet jest tak ostry, jak tylko być może, zwrócił go Seanowi. Następnie zdjął z haka płaszcz i umieścił w jednej kieszeni na wpół opróżnioną flaszkę, w drugiej - wielką wodoszczelną latarkę. Wziął ze stołu niewielki słoik, wysypał znajdujące się w nim gwoździe i śrubki, potem poszukał i dopasował zakrętkę.

- Skoro więc jesteś zdecydowany, lepiej idź uzbrojony we wszystko, co się da. Chodź ze mną szybko, bo po prawdzie niewiele zostało nam czasu. - Już ruszał w stronę wyjścia, gdy coś sobie przypomniał. Wyszarpnął jakąś szufladę i długo w niej grzebał, zanim w końcu wyciągnął różaniec i krzyż. - Wieki minęły, odkąd miałem dość rozumu, żeby się pomodlić, Seanie, ale tej nocy nadrobię wszystkie stracone lata.

Barney wyprowadził chłopca z szopy, potem zatrzaskał za sobą drzwi, nie zwracając sobie głowy zamykaniem ich na klucz. Na wpół biegnąc, na wpół idąc - tak szybko, jak chciały go nieść stare nogi, pędził przed siebie, a obok niego biegł truchtem Sean.

- Najpierw - oznajmił Barney - musimy zajść do świętej Katarzyny.

Pognał Seana do wielkiego kościoła na Trzeciej Ulicy, o cztery przecznice od parku. Otwierając wielkie wierzaje, szepnął:

- To wigilia Wszystkich Świętych, ludzie się modlą, więc idź jak najciszej. - Poprowadził chłopca do przedsionka, tam gdzie na wiernych czekała misa ze święconą wodą. Barney odkręcił słoiczek, napełnił go, a potem szybko zakręcił z powrotem.

Nakazując mu gestem ciszę, poprowadził Seana przez główną nawę w stronę ołtarza.

W transepcie stała figura Najświętszej Pani, a przed nią płonęły dziesiątki świec. Barney dotarł przed ołtarz i przyklęknął, żegnając się krzyżem, a Sean uczynił to samo. Potem podszedł do ołtarza przed figurą Matki Boskiej i poszukał w kieszeni monet. Umieściwszy w skarbonce kilka ćwierćdolarówek, wziął jedną świecę i podał Seanowi.

- Zapal ją i pomódl się do Matki Boskiej, żeby cię miała w opiece, Seanie. Takie przedsięwzięcie musi mieć sankcję świętości, bo inaczej z góry skazane jest na niepowodzenie. Rozumiesz?

Sean kiwnął głową. Jego rodzice nie praktykowali, ale bywał w kościele z babcią O'Brien. Zapalił świecę, po czym umieścił ją przed posągami Najświętszej Pani. Zamknął oczy i powiedział cicho:

- Matko Boża, proszę, pomóż mi znaleźć Patricka i bezpiecznie sprowadzić go do domu.

Barney przyglądał się chłopczykowi przez długą chwilę oczyma pełnymi aprobaty.

- Po prawdzie to najuczciwsza modlitwa, jaka może być. A teraz musimy się spieszyć.

Poprowadził go z powrotem jedną z bocznych naw, obok rzędu konfesjonałów. Przed kościołem znów dopadł ich ulewny deszcz i siekł, kiedy gnali ulicami, mijali szopę Barneya, by wreszcie wpaść do lasu. Tam Barney wyjął z kieszeni latarkę i włączył ją.

- Odtąd musisz mnie słuchać bardzo uważnie, bo droga jest niebezpieczna. Jeśli zabłądzisz, zginiesz na zawsze. Rozumiesz?

Seana ogarnął strach, ale kiwnął głową. Barney westchnął z rezygnacją.

- No to posłuchaj: droga do krainy Dobrego Ludku leży pod wzgórzem na waszej posiadłości.

- Pod Wzgórzem Króla Elfów - dodał Sean.

- Tak je nazwał ten Niemiec. To najprawdziwszy pagórek wrózek, bez dwóch zdań. - Szli teraz wolno przez las ścieżką, którą chłopcy wracali zwykle z parku. Sean znał drogę, więc bez kłopotu podążał w ślad za Barneyem. Na wpół pijany Irlandczyk instruuwał go dalej. - Staniesz twarzą do zachodzącego słońca, potem okrążysz go dziewięć razy na wspak - to znaczy w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara - dopóki nie natrafisz na wejście do krainy Dobrego Ludku. - Potarł twarz, kiedy przywoływał zapadłą głęboko w pamięci wiedzę. - Kiedy przejdziesz jaskinię, natrafisz na ścieżkę.

- Taką jak żółta kamienna droga.

- Możesz sobie tak o tym myśleć, chłopcze. Tylko że nie będzie żółta. A jeśli powiesz tak: „W imię świętego Patryka, Matki Boskiej i w imię Boże pokaż mi drogę”, znajdziesz przewodnika.

- Przewodnika? Kogo?

- Nie wiem, chłopcze, opowieści nie mówią jasno. Może to być kruk, ale tego musisz się strzec, bo to przebiegły i podstępny przewodnik, który będzie próbował wywieść cię w pole, jeśli nie będziesz miał go stale na oku i pilnował, żeby mówił prawdę. Możliwe, że to będzie kobieta lub mężczyzna mówiący w obcym języku, którzy mogą próbować cię zwieść. Albo może to być i dziecko. Ale najpewniej będzie to złocista kula światła. Tak przynajmniej mówią stare legendy. Idź za nią. Nie wolno ci zbaczać z drogi, jeśli nie nakaże ci tego przewodnik. Nie możesz zatrzymać się dłużej niż dla złapania oddechu, bo inaczej zgubisz przewodnika. I nie możesz ufać nikomu, kogo spotkasz, choćby wydali ci się nie wiem jak piękni i dobrzy. - Pomyślał chwilę i dodał: - Z wyjątkiem jednego. Będzie tam mężczyzna, którego w opowieściach zwą Prawdomównym Tomem. Nie potrafi skłamać, więc jego odpowiedziom możesz zaufać. Poznasz go po mowie, bo to Szkot, co znaczy, że prawie Irlandczyk. - Ze wzruszeniem ramion dodał: - W każdym razie nie jest Anglikiem.

Sean pokiwał głową, jednak powoli zaczynał ugiąć się pod brzemieniem straszliwego zadania, które wziął na swoje barki. Starał się zachować w pamięci to, co mówił mu Barney, i przekonał się, że kiedy skupia uwagę na tym, co trzeba, a czego nie należy robić, łatwiej mu ignorować własny strach.

- No dobrze, idąc, będziesz mijał po drodze różne piękne i zadziwiające widoki, ale w żadnym wypadku nie wolno ci schodzić ze ścieżki, chyba że tak ci każe twój przewodnik. Zobaczysz dom pełen muzyki i światła, potem drugi, którego rogi stanowią cztery ogromne drzewa, wyższe od sekwoi. Będzie cię kusiło, żeby tam wejść, ale nie rób tego. Możesz już nigdy nie wrócić. - Barney odwrócił głowę, jakby szukał czegoś wzrokiem w ciemnościach, a zaczerwienione oczy nabiegły mu łzami. - Tyle jest tych opowieści, chłopcze, a ja nie mogę sobie przypomnieć nawet jednej dziesiątej z nich. Ach, gdzie się podział cały mój spryt? Nic nie pamiętam. - Potem dodał z naciskiem: - Seanie, bez względu na wszystko musisz pamiętać o jednym: nie wolno ci schodzić ze ścieżki, chyba że tak ci rozkaże przewodnik, jakiego ześle ci Bóg.

Zbliżyli się już do zbocza pagórka, a Barney poprowadził chłopca w górę, oświetlając latarką mokrą ziemię. Nagle schylił się i zerwał garść jakiegoś zielska.

- Co robisz? - spytał Sean.

- Chcę sprawić, żebyś widział to, co prawdziwe - odparł Barney, pokazując mu, co trzyma w dłoni. - Inkarnatka.

- Ale to koniczyna.

- A ty myślisz, że inkarnatka to co, Seanie Hastings? Jakiś cholerny kalifornijski



kaktus? - Odkręcił pokrywkę słoika ze święconą wodą. Zdusił inkarnatkę na zakrętce, chowając odkryty słoik pod płaszczem. Dolawszy trochę święconej wody, wymieszał papraninę kciukiem.

- Chyba czysty deszczyk Boży za bardzo mi tego nie rozwodni - wyszeptał błagalnie. Gestem nakazał Seanowi się przybliżyć i nabrał na palec trochę zielonkawej papryki. - Zamknij oczy - nakazał. Lekko wilgotnym kciukiem przetarł mu powieki. - Osłaniaj rękoma twarz przed deszczem, żeby nie zmył ci tych plam.

Sean wykonał polecenie.

Barney zaintonował szybko:

- Błogosławiony święty Patryku, strzeż tego chłopca i daj jego oczom zobaczyć, co jest prawdą, a co nią nie jest. Amen. - Potem zwrócił się do Seana: - Bez soku z inkarnatki zmieszanego ze święconą wodą nie mógłbyś się oprzeć ich złodom. Kamień wrózek utrzyma ich ręce z dala od ciebie, a to uwolni twoje myśli spod ich czarów, ale tylko dopóty, dopóki tego nie zmyjesz. Pamiętaj, w krainie Dobrego Ludku jest wiele fałszywego piękna. Bądź ostrożny. - Opróżnił zakrętkę i, nadal osłaniając święconą wodę, wykorzystał deszcz, żeby splukać ją do czysta. Kiedy doszedł do wniosku, że jest całkowicie wolna od obcej materii, zakręcił słoik z powrotem.

Wręczył słoik Seanowi i poprowadził go w kierunku Mostu Trolla.

- Kiedy dotrzesz do kresu swej drogi, spotkasz tam Błazna. - Barney przystanął przy trafionym piorunem pniaku, pod którym Jack znalazł złoto. Nie zwracając uwagi na błoto, przykląkł i położył chłopcu na ramionach obie ręce. - Posłuchaj mnie uważnie, jeśli chcesz zachować nadzieję dla siebie i brata. Nazywają go Błaznem, bo w dawnym języku tak się właśnie nazywał, ale nie wolno ci mieć go za tępaka lub głupka. W starej mowie „błazen” oznaczał kogoś, kto nie zważał na niebezpieczeństwo, rozwydrzonego, nierozważnego hultaja, który poważił się na takie rzeczy, jakich nie śmiałyby się podjąć nikt przy zdrowych zmysłach. A ten Błazen jest niebezpieczny ponad wszelkie wyobrażenie. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię, Seanie Hastings?

Sean przytaknął kiwnięciem głowy, lecz widać było, że wiele z tego, o czym mówi Barney, pozostaje dlań niezrozumiałe. W końcu Barney dodał:

- No cóż, pamiętaj tylko, że potrafi być tak niebezpieczny jak każdy, kto stanął po stronie diabła, i to już powinno wystarczyć. A oto co musisz zrobić, chłopcze: musisz go nazwać jego prawdziwym imieniem: Amadàn-na-Briona. Powtórz je. - Sean powtórzył, lecz Barney rzekł: - Nie, w ten sposób nic z tego nie będzie. - Przecwiczyl je z Seanem kilkanaście razy, zanim uznał wymowę chłopca za właściwą.

Barney zerknął w stronę wzgórza, wznoszącego się czarnym cieniem między przerywanym drzewami półmrokiem.

- Kiedy wymówisz jego prawdziwe imię, uzyskasz nad nim władzę. Niezbyt wielką, ale wystarczającą. Rozkaż mu przez imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa, żeby zwrócił ci brata i dał wam odejść wolno. Musisz nakazać jemu i jego pomocnikom, aby nie napastowali was w drodze. Uważaj, jak to ujmiesz, bo możesz wydać mu rozkaz tylko raz. - Barney przekazał Seanowi dokładnie, co ma powiedzieć, potem nachmurzył się. - Szkoda, że nie wiemy, co to za stwór to wasze Coś Złego, ale skoro nie wiemy, to szkoda czasu na rozmyślanie. Jeśli się zjawi, to się zjawi. Kamień wrózek sprawi, że będzie się ciebie wystrzegał, a ty musisz chronić Patricka. Wykorzystaj swój sztylet, a może i trochę święconej wody. To są stworzenia, które podczas buntu Szatana przeciwko Ojcu Niebieskiemu stanęły z boku. Nie okazały się na tyle sprawiedliwe, by mogły pozostać w niebie, lecz i nie tak złe, by zasługiwały na piekło, tak więc umieszczono je w tej krainie pośrodku. Niemniej unikają wszystkiego, co święte, więc użyj wody, jeśli nie będziesz miał innego wyjścia, ale trochę sobie zatrzymaj. To bardzo ważne. - Barney zacisnął mocno dłonie na ramionach chłopca, jakby chciał w ten sposób podkreślić wagę swoich słów. - Kiedy już znajdziesz brata, musisz wylać mu na głowę trochę święconej wody, zrobić mu na czole znak krzyża i powiedzieć: „W imię Boże, jesteś wolny”. Powtórz. - Sean powtórzył, tym razem bez kłopotu.

- Nie przeocz tego. Bo dopóki tego nie zrobisz, Patrick pozostanie sługą Błazna i może walczyć o to, by tam pozostać. Potem musicie jak najszybciej uciekać, bo jeśli Błazen znajdzie jakiś sposób na to, by obejść twój rozkaz, na pewno go wykorzysta, żeby was ścigać. A jeśli uda mu się wyjść za wami ze wzgórza, zagarnie was znowu. Tym razem już na zawsze. Na zewnątrz nikt nie może stawić mu czoła, chyba że jakiś prawdziwy bard albo czarownik, ale ani ja, ani ty nie znamy czarów. Zatem każ mu tam pozostać, kiedy już uwolni twego brata, bo po północy musi odejść. A teraz ostatnia rzecz: nie zatrzymuj się na odpoczynek, nawet jeśli przewodnik ci pozwoli. Tam czas płynie inaczej. Zatrzymasz się na krótką drzemkę i obudzisz się wiele lat później, choć będziesz starszy tylko o tę jedną noc. Pozostaniesz bez najmniejszej nadziei na powrót i za daleko, by ktoś mógł cię znaleźć. A więc nie zasypiaj i ciągle dąż naprzód.

Oczy Barneya wypełniły się łzami i dodał:

- Niebezpieczną wybrałeś ścieżkę, Seanie. Dąż przed siebie, pamiętaj, co ci powiedziałem, i nie ufaj nikomu z wyjątkiem Prawdomównego Toma, gdybyś przypadkiem go spotkał. Kiedy wrócisz, wyjdź z jaskini i idź odwrotnie niż przedtem - zgodnie ze wskazówkami zegara dziewięć razy dookoła wzgórza, a wtedy znajdziesz się tu z powrotem.

Ale musisz wyjść ze wzgórza przed północą, bo inaczej kto wie, gdzie się wydostaniesz. - Ton jego głosu wyraźnie zmiekkł, a Barney przytulił chłopca mocno do siebie. - Gdybym był prawdziwym mężczyzną, a nie zapijaczonym pierdołą, sam ruszyłbym, żeby dokonać tego dzielnego czynu, zamiast stać bojaźliwie z boku i patrzeć, jak wyrusza mały chłopiec. Piękne i odważne z ciebie chłopię, Seanie O'Brien Hastings, choć jesteś tylko pół-irlandczykiem. Idź już i wracaj szybko, i niech cię chronią Matka Boska ze świętym Patrykiem.

Przeżegnawszy go krzyżem, pchnął chłopca w drogę. Malec okręcił się i stanął twarzą do wzgórza. Ruszył w prawo i wkrótce zatoczył pełne koło wokół pagórka. Po ósmym okrążeniu zniknął Barneyowi z oczu. Stary majsterklepka, dalej klęcząc w błocie, wyjął z zanadrza różaniec i krzyknął w noc:

- Będę się za ciebie modlił, Seanie Hastings! Będę się modlił do świętego Judy, który jest opiekunem niemożliwych przedsięwzięć, i do matki Boskiej, i do świętego Patryka, i nawet do tego Anglika, świętego Jerzego, żeby w potrzebie pokierował twym sztyletem. - Ściszył głos i dodał: - I nie ruszę się spod tego wzgórza aż do ostatniego uderzenia północy, mój drogi, dzielny chłopcze.

Niepomny na siekące go strugi deszczu i błoto, w którym klęczał, Barney Doyle pogrążył się w modlitwie. A modlił się z tak gorączkowym zapalem, jakiego nie czuł od czasów, kiedy sam był chłopcem..

Sean oddalał się od Barneya, osłaniając oczy przed rzęsim deszczem. Wszystko dookoła docierało doń z dziwną wyrazistością: monotonne bębnienie deszczu i dziwne echo, jakie ten dźwięk wywoływał dokoła. W powietrzu unosił się cierpki zapach mokrej sośniny, wilgotny leśny aromat tak intensywny, że uderzył Seanowi do głowy. Czuł i słyszał plusk błota, które niechętnie wypuszczało z objęć spody jego kaloszy. Bluzka Gabbie przylgnęła mu do ciała, czuł na skórze lodowatą pieszczotę wiatru. Odsunął od siebie doczesne troski i kiedy zaczął zataczać kręgi wokół wzgóрка, znikając z oczu Barneya, skupił myśli na przypominaniu sobie wszystkiego, co od niego usłyszał.

Przy trzecim okrążeniu deszcz ustał, a on mógł opuścić rękę, która miała ochronić zielone plamy. Zobaczył, że Barney wygląda jakoś dziwnie, jakby rozdzielała ich wielka tafla bursztynowego szkła.

Przy czwartym okrążeniu zrobiło się ciepłej.

Przy szóstym było jakoś jaśniej.

Przy siódmym wzgórek zdecydowanie pojaśniał, gdy tymczasem okoliczne drzewa pograżyły się w czarnej jak dżet ciemności, więc chłopiec nie mógł już dostrzec klęczącego Barneya. Wiatr stał się odległym szeptem, a sosnowy zapach - wyblakłym wspomnieniem.

Przy zataczaniu ósmego kręgu wzgórek stał się samotną wyspą w kosmosie i nic już nie wskazywało na to, że dookoła może być jakiś krajobraz. Poza wzgórkami nie istniało światło ani żaden widok. Okrążywszy pogórek po raz dziewiąty, znalazł się u wylotu jaskini. W głębi dostrzegł niki światło.

Sean przystanął, wziął głęboki wdech i wszedł w głąb wzgórza.

Sean wszedł do jaskini w zboczu Wzgórza Króla Elfów. Z początku ostrożnie przekradał się długim tunelem, wyczuwając drogę w ciemnościach. Potem zniemacka runął do przodu, jakby stąpnął w olbrzymią dziurę. Przez moment żołądek ścisnął mu się ze strachu i krzyknął. Potem ni z tego, ni z owego stał już na twardym gruncie. Znow krzyknął, kiedy doświadczył tak gwałtownej zmiany orientacji. To było tak, jakby cały świat przekręcił się nagle o dziewięćdziesiąt stopni: spadał, a potem nieoczekiwanie znow stał na nogach, jakby grawitacja zdołała dogonić go po drodze.

Sean wiedział, że znalazł się w niezwykłym miejscu.

Nie widział nic z wyjątkiem mdłego światelka na końcu tunelu. Uciszył krzyk siłą woli, potem namacał w ciemnościach swój sztylet. Sprawdził, co z wodą święconą, i ku swej głębokiej uldze przekonał się, że słoik nadal tkwi bezpiecznie za koszulą. Wziął głęboki wdech, potem rzucił do siebie: „Zamknij się, bekso”. Połajanka sprawiła, że poczuł się lepiej, i ponownie podjął przerwana podróż.

Szedł, jak mu się zdawało, już bardzo długo przez ten zaciemniony tunel, gdzie otaczał go żyzny, zbutwiały zapach wilgotnej ziemi. Ta jego subiektywna wieczność minęła, kiedy ujrzał, że odległe złociste światło staje się coraz większe. Ruszył w tamtą stronę i wyszedł wreszcie z jaskini w zboczu wzgórza.

Wypuścił wstrzymywany oddech, napawając oczy obcym widokiem, jaki miał przed sobą. Drzewa o zbyt idealnych kształtach chwiały się na lekkim wietrzyku pod niebem, które miało kolor gdzieś w połowie drogi między czernią a błękitem. Był dzień, ale taki trochę niesamowity, bo światło zdawało się dochodzić zewsząd naraz, a nie z jakiegoś jednego źródła, świeciło też na ćwierć normalnej mocy. Przypominało to trochę plażową mgiełkę upału, lecz bez palącego słońca. W świetle tym była taka jakaś złotawość, jakby odcień szampana, która leciutko zniekształcała widzenie. Wszystko, co Sean widział, było jak pogrążone w mroku, a jednak wyraźnie rozróżniał wszystkie szczegóły.

Chłopiec wzdrygnął się i odpędził pierwszy krótki atak paniki. Niczego tu nie znalazł, tak jak się spodziewał. Sądził raczej, że będzie tu jak u Disneya: mnóstwo intensywnych, jaskrawych barw. Tymczasem spoglądał na kraję półtonów, złocistych mgiełek i miękkich dymów. Każdy kolor zdawał się złamany, przytłumiony, jakby spoglądało się nań przez szare szkło. Było to mgliste miejsce, choć mgły wcale nie zauważył. Światło padało łagodnie, jakby obowiązywały je tutaj całkiem inne zasady.

Tu nie świeci słońce, pomyślał Sean. Nigdy. Spod jego stóp wybiegała w dal ścieżka

czy raczej - droga. Wykonano ją z kamienia, jasnego, niemalże białego. Stał, niezdolny się ruszyć. Spojrzał w dal i spostrzegł, że z ciemniejszych zakątków pomiędzy drzewami na skraju łąki wysypują się jacyś ludzie. Jeszcze przed chwilą ich tam nie było. Ruszyli w jego stronę, trochę jakby swawolnie, pokazując go sobie nawzajem i przemawiając w nieznanym języku. Seanowi oczy omal nie wyskoczyły z orbit, kiedy zbliżyli się na tyle, że mógł rozróżnić szczegóły ich wyglądu. Przyodziani byli z wielką rozmaitością: niektórzy prawie nędzy, inni znów od stóp do głów okryci stylowymi strojami z bogato haftowanej, misternie tkanej materii, o wielce złożonym kroju. Wszyscy jednak skórę mieli zupełnie zieloną. Wiatr przynosił do Seana nikłe echo śmiechu, a chłopcu dreszcz przebiegł po grzbiecie. Nie był to obłąkańczy śmiech Błazna, lecz i tak nie było w tym odgłosie nic ludzkiego.

Sean przełknął mącający mu w głowie strach i dotknął ręką plamy na prawym oku. Poczł, że maź nadal spoczywa na swoim miejscu, a więc jeśli to, co mówił Barney, jest prawdą, istotnie biegną ku niemu zieloni ludzie. Zdławił potrzebę krzyku i przemówił słowami, których nauczył go Barney:

- W imię Matki Boskiej i świętego Patryka oraz w imię Pańskie, wskaż mi drogę. - Mówił wysokim, zduszonym od strachu głosem, niemniej zdołał wypowiedzieć to zdanie dostatecznie głośno.

Powietrze natychmiast wypełniło się bliżej nieokreślonym brzęczeniem, a zieloni ludzie zatrzymali się w pół kroku. Na dalekim krańcu drogi pojawił się jakiś obiekt, który pędził teraz w jego stronę. Ku Seanowi leciało pędem miniaturowe słońce, lecz kiedy się zbliżyło, spostrzegł, że zdaje się takie jasne tylko przez kontrast z otaczającym ich przyciemnionym krajobrazem. Była to kula złocistego światła, wirująca tak szybko, że nie dało się dostrzec żadnego szczegółu na jej powierzchni. Zieloni ludzie zagadali z cicha między sobą, wskazując rękoma na chłopca i złocistą kulę. Kula wciąż pędziła ku niemu z cichym buczeniem, aż wreszcie zawisła w powietrzu tuż przed Seanem.

- Czy jesteś moim przewodnikiem? - zapytał chłopiec.

Kula zakołysała się w powietrzu, jak gdyby chciała potwierdzić, że taki właśnie jest jej cel, a Sean mówił dalej:

- Chcę znaleźć Patricka, mojego brata. Zabrał go Błazen.

Kula przez moment chwiała się niewyraźnie, jakby przeszyta strachem, lecz trwało to tylko krótką chwilę, potem zaś obiegła Seana dookoła i ruszyła przed nim wzdłuż drogi. Chłopiec zaczerpnął głęboki haust powietrza. Uświadomił sobie, że po policzkach spływają mu łzy, więc je czym prędzej otarł. Okazując stanowczość, której wcale nie czuł, pomaszerował za sunącą niespiesznie kulą, zdecydowany iść za nią aż do celu swej

wędrowki. Zieloni ludzie przyglądali się w milczeniu mijającemu ich chłopcu. Nie poruszyło ich to, czego byli świadkami, lecz na wzmiankę o Błaznie stracili całą poprzednią wesołość, usunęli się też Seanowi z drogi, pozwalając mu bez przeszkód ruszyć za swym przewodnikiem.

Wydawało się, że czas nie istnieje. Barney wprawdzie coś o tym wspominał, ale Sean nie mógł sobie przypomnieć, jak to dokładnie brzmiało. Odczuł pierwsze słabe drgania głodu i pożałował, że nie wziął ze sobą jakiegoś prowiantu, na przykład kanapki z masłem orzechowym. Ale przecież nie mógł pomyśleć o wszystkim. Zacisnął prawą dłoń na srebrze sztyletu i szedł za złocistą kulą światła. Próbował z nią rozmawiać, ale pozostała niema. Krajobraz, przez który wędrowali - lesiste obszary o mrocznej i obcej urodzie - przejmował chłopca niesamowitym dreszczem zachwytu. W pobliżu przepływały kryształowo czyste strugi, a Sean zastanawiał się, czy bezpiecznie byłoby się z nich napić. Barney nic o tym nie wspominał, lecz Sean uznał, że najlepiej będzie poczekać, aż poczuje nieodpartą potrzebę zaspokojenia pragnienia.

Kula poruszała się w dość szczególnym rytmie, kołysząc się z jednej strony drogi na drugą prawie tak, jakby tańczyła lub skakała. Sean natomiast kroczył w milczeniu środkiem prawie białych kamieni.

Po długim, niewymiernym czasie ujrzał przed sobą w oddali zamek. Sądził, że dotarcie doń zajmie mu dużo czasu, gdyż zamek zdawał się ogromny, a w czasie marszu powiększał się tylko nieznacznie. Pokonawszy zakręt, zobaczył przy drodze człowieka. Przysiadł on na wielkiej skale, która leżała przy skrzyżowaniu białej drogi z mniejszą ścieżką, wiodącą do zwodzonego mostu przy zamku.

Chłopiec zmrużył oczy, żeby lepiej dojrzeć zamek we wszechobecnej mgiełce, lecz dostrzegł tylko, że jest ogromny, a jego mury bardziej przypominają szkło niż kamienie. Na odległych wieżyczkach powiewały na dziwnym wietrzyku walczone proporce, widać też było ruszających się ludzi, choć Sean wcale nie był pewien, czy to naprawdę ludzie. Tutejsze światło sprawiało, że wszystko, co znajdowało się w oddali, wyglądało jakoś dziwnie. Zamek wznosił się nad plażą, ciągnącą się wzdłuż brzegów wielkiego jeziora lub zatoki. Sean dziwił się, jak mógł nie dostrzec wcześniej tak ogromnej płaszczyzny wody. Przesunął wzrok na drugą stronę zamku i spostrzegł, że wybrzeże szybko spowija się mgłą, która blaknie następnie w srebrzystozłote światło. Dreszcz przebiegł chłopcu po plecach, kiedy próbował pojąć, na co właściwie patrzy. Wydawało mu się, że patrzy na ekran telewizora, na którym jeden obraz przechodzi właśnie w drugi, lecz nie wiadomo dlaczego zatrzymał się w samym środku swego zanikania. Odsuwając na bok niepokój, szedł dalej drogą, która przechodziła teraz obok miejsca, gdzie siedział nieznajomy człowiek.

Sean zwolnił kroku, żeby po drodze przyjrzeć się uważnie siedzącemu. Miał on



zwisające do ramion włosy oraz gęstą i nieprzystrzyżoną brodę. Odziany był w koszulę z żelaznych kółek naszytych na skórę i parę prostych, wełnianych spodni wetkniętych w cholewki butów z miękkiej skóry, obszytych owczym kożuszkciem. Seanowi zdawało się, że ów mężczyzna wygląda jak wiking, choć wcale nie miał hełmu z rogami. Sean zbliżył się ostrożnie do skraju drogi, skąd od niemego wojownika dzieliło go niespełna dwadzieścia stóp, lecz mężczyzna w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że zauważył jego obecność. Wydawał się pogrążony w transie lub tak głęboko zatopiony w myślach, że nic doń nie docierało. Na głowie miał głęboką bliznę, różową i pofałdowaną, którą pokrywały króciutkie włoski, jakby dopiero co się zagoiła. Sean zauważył, że na kolanach trzyma pustą pochwę od miecza. Chłopiec zwolnił jeszcze bardziej, żeby móc się wszystkiemu przyjrzeć, bo z zamkowego barbakanu wyłoniły się cztery kobiety z orszakiem sług i przeszły zwodzony most. Każda z nich zdawała się należeć do ludzkiego rodu, choć ich rysy cechowała pewna doza nadludzkiej piękności. Jedna przyodziana była w królewską purpurę i złoto, druga miała na sobie równie wspaniałe i godne szaty w szafirowej zieleni. Trzecia ubrana była w biel i srebro, ostatnia zaś - w czern. Kiedy się przybliżyły, Sean przystanął, niezdolny oderwać wzrok od tej zadziwiającej procesji. Miał wrażenie, że tylko kobieta w czerni zauważa jego obecność, lecz i ona obrzuciła go jedynie przelotnym spojrzeniem i obdarzyła wątłym cieniem uśmiechu, po czym odwróciła się twarzą ku mężczyźnie siedzącemu na skale. Odezwała się tak cicho, że Sean nie słyszał jej słów, niemniej mężczyzna wyrwał się ze swego dotychczasowego transu.

Wszystkie cztery kobiety czekały, gdy tymczasem wojownik podnosił się z wolna. Zatrzymał się na moment, kiedy dostrzegł Seana, i coś do niego zagadał. Mówił niepewnie, w nieznanym Seanowi języku. Jego słowa docierały do chłopca zniekształcone, jakby coś umyślnie przeszkadzało usłyszeć je wyraźnie. Potem przemówiła kobieta w czerni, ponownie obrzucając Seana krótkim spojrzeniem. Mężczyzna kiwnął głową i podał kobiecie ramię. Ona je przyjęła i we dwoje zwrócili się ku zamkowi, za nimi zaś ruszyły pozostałe trzy kobiety, a na koniec służba.

Seana zafascynowało to widowisko. Zastanawiał się w duchu, kim mogą być te bajeczne osoby, lecz wkrótce jego uwagę przyciągnął widok złocistego przewodnika, który zniknął właśnie za horyzontem. Przypomniał sobie ostrzeżenie, żeby nie przystawał, bo inaczej straci go z oczu. Ogarnięty paniką ujrzał, że przewodnik zniknął, rzucił się więc do biegu za swoją kulą światła. Wbiegł na szczyt wzniesienia i tam się przekonał, że zdołał zmniejszyć dystans dzielący go od kuli, lecz biegł w dalszym ciągu, gnany obawą, że utraci swą jedyną nadzieję na odnalezienie brata. Kiedy dogonił złocisty glob, zorientował się, że po obu

stronach drogi linia drzew przybliżyła się do krawędzi białej drogi i że zrobiło się o wiele ciemniej. Ten bór był znacznie bardziej przytłaczający, posępniejszy od lasu, który ciągnął się od zamku do wzgórza z zielonymi ludźmi. Sean mocniej zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Zmuszając się do zachowania spokoju, podążał uparcie za jaśniejącym przewodnikiem.

Phil zajrzał przez szybę do pokoju, w którym Mickey Bergman ostatni raz badał Patricka przed swym jutrzejszym powrotem do Baltimore. Lekarz zostawił chłopca i wyszedł na korytarz. Wziął Phila pod rękę i poprowadził do poczekalni, gdzie siedziała Gloria. Opuściła Phila, gdyż nie była w stanie patrzeć na rozwrzeszczane stworzenie, które niegdyś było jej synem, a które teraz usiłowało gryźć i drapać pielęgniarzy, przytrzymujących go na łóżku, żeby Bergman mógł je zbadać.

- Philipie, miałem zamiar cię wezwać, gdybyś się nie pojawił. Jest coś, co powinienem ci powiedzieć.

- O Patricku?

- Tak. Przykro mi to mówić, ale jego zachowanie staje się coraz bardziej... ekstremalne. Jest także... coraz silniejszy, jakby... czy ja wiem, może to jakiś rodzaj histerycznej siły. Coraz trudniej przy nim pracować. Dziś... zaatakował wolontariuszkę.

- Co takiego? - zdumiał się Phil.

Bergman usiadł naprzeciw Phila i Glorii.

- Dziewczyna chciała dobrze, ale zachowała się głupio, wchodząc do jego pokoju - jest tu nowa. Powiedziała, że przyglądała się Patrickowi przez okno i wydał jej się bardzo przygnębiony i przestraszony. Trzeba było dwóch salowych i pielęgniarki, żeby go z niej ściągnąć.

- Co on zrobił? - zapytała Gloria.

Mickey potrząsnął głową.

- Gdyby nie był ośmiolatkiem, powiedziałbym, że próbował ją zgwałcić.

Wyraz twarzy Glorii wystarczył za wszystkie słowa, których jej nagle zabrakło.

- Zdarł z niej bluzkę i przygwoździł ją na łóżku - ciągnął Bergman. Jego twarz wyrażała niepewność. - Ugryzł ją w lewą pierś, paskudna rana. Dziewczyna będzie miała bliznę. Słuchajcie, jeśli to ma dalej tak wyglądać, to nie wiem, czy sugerowany przez Wingate'a szpital będzie dla niego odpowiedni. Mogę załatwić mu miejsce w jednym z psychiatrycznych zakładów badawczych w szpitalu Johna Hopkinsa. Myślę, że chciałbym zajmować się jego przypadkiem jeszcze trochę dłużej.

- Dzięki, Mickey - odparł Phil. - Ale skąd to nagłe zainteresowanie?

Bergman odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona.

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć. Jest w nim coś takiego, co mi nie daje spokoju. - Popatrzył na Glorię i przekonał się, że jest znacznie bardziej opanowana niż do tej pory, więc

odważył się wypowiedzieć swoją opinię. - Nie wiem, co się dzieje z Patrickiem, ale to coś zupełnie wyjątkowego. A jeśli... uda nam się dowiedzieć, co to jest... wtedy może będziemy w stanie...

- Mu pomóc? - dokończyła Gloria tonem, który wskazywał, że nie żywi w tej kwestii zbyt wiele nadziei. Mickey pokręcił głową.

- Tego nie mogę powiedzieć. Myślę tylko, że moglibyśmy odkryć coś istotnego. Naprawdę nie potrafię powiedzieć dlaczego. Możecie uznać to za przecucie.

- Musimy o tym pogadać - odparł Phil. - Kiedy będziemy mogli zobaczyć Patricka?

- Obawiam się, że trochę to potrwa. Będziecie musieli poczekać. Musimy podawać mu coraz większe dawki, żeby go uspokoić, i coraz dłużej czekać, aż zaczną działać. Myślę nawet, czy nie zmienić mu leków, żeby się nam dodatkowo nie uzależnił. No i... trochę to potrwa, zanim go umyją. - Przyjrzał się im uważnie, a potem dodał: - Zdajecie sobie sprawę, że kiedy go zobaczycie, będzie w pasach?

Oboje kiwnęli głową, a Mickey wstał.

- No dobrze. Zadzwoń do was jutro, kiedy już będę w Baltimore. - Phil także się podniósł i wyciągnął do niego rękę. Wymienili uścisk dłoni, a Bergman dodał: - Cieszę się, że przyjechałem. I to nie tylko ze względu na tę oburzająco wielką łapówkę, jaką mi zaproponowano. To wyjątkowy przypadek. Żałuję tylko, że tak niewiele mogłem zdziałać.

Phil patrzył, jak lekarz odchodzi, a potem usiadł przy żonie. Gloria sprawiała wrażenie zupełnie odrętwiałej, pogrzyżyła się bez reszty we własnym świecie, kiedy oboje czekali, aż pielęgniarka da im znać, że mogą odwiedzić Patricka. Phil pragnął, aby żołądek dał mu wreszcie spokój. Odkąd zaczęło się to wszystko, niemal co godzinę zażywał środki zobojętniające. Wydawało się, że jest coraz gorzej. Zniknięcie Marka znów wytrąciło wszystkich z równowagi. Do tego Sean stał się niespokojny i melancholijny. Przeciągając ręką po zmęczonej twarzy, Phil powiedział do siebie:

- No, nie przesadzaj, stary.

Gloria odwróciła się lekko w jego stronę.

- Hę?

Potrzęsnał głową.

- Mówiłem do siebie. - Gloria wróciła do swego samotnego świata.

Phil złajał się z ducha: to oczywiste, że wszyscy są podenerwowani. Mark węszy gdzieś pewnie w swoich sprawach i tylko chwilowo stracił kontakt z Garym. A Sean... no cóż, odebrano mu brata, a nawet więcej niż brata, bo bliźniaka. To normalne, że jest głęboko poruszony i melancholijny. Phil miał nadzieję, że dzisiejsza zabawa pomoże mu dojść do

siebie.

Nagle poczuł się strasznie wyczerpany. Wyczerpany nerwowo do tego stopnia, że popadł w dziwne, jakby elektryzujące odrętwienie, które kazało mu teraz zapaść w kapryśną, przerywaną drzemkę - choć zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje, to jednak swego stanu nie mógłby nazwać jawą.

Myślał o Patricku i widział syna ledwie o dwanaście stóp przed sobą, jakby zniknęły wszystkie ściany między poczekalnią a jego separatką. Odnosił wrażenie, że chłopiec leży pogrążony we śnie w jakimś zupełnie innym miejscu, na łożu z kwiatów i traw. Obok niego spoczywało coś... czarnego. Coś... niedobrego. Phil próbował ostrzec Patricka, chciał krzyknąć do chłopca, żeby wstał i biegł do tatusia, ale jego ręce i nogi ani drgnęły, a głos pozostawał niemy. Wywrzeszczał więc w myślach imię Patricka. Chłopiec usiadł. Serce Phila podskoczyło z radości, kiedy zobaczył, jak chłopiec rozgląda się dookoła, mrugając z zaskoczenia. Wtem malec zobaczył ojca. Wstał z uśmiechem i uczynił krok w jego stronę, lecz z tyłu już podnosiło się to czarne i złe stworzenie. Phil krzyknął do chłopca, żeby uciekał, sam także próbował do niego podbiec, lecz ciało nie chciało słuchać jego poleceń. Patrick wyczuł za sobą obecność złowrogiego stwora i obejrzał się przez ramię. Jego oczy zaokrągliły się z przerażenia na widok nieokreślonego czarnego kształtu, potem zwrócił twarz w stronę ojca. Zrobił koszmarnie powolny krok, gdy tymczasem czarny potwór wyciągnął smoliste ramiona i zagarnął w nie chłopca. Patrick otworzył usta i krzyknął.

- Phil!

Obudził się nagle, cały zlany potem i z bijącym gwałtownie sercem. Minęło kilka sekund, zanim zdołał się pozbierać i odkryć, że zapadł w drzemkę w fotelu. Przy fotelu klęczał teraz Mark.

- Nic ci nie jest? - pytał.

- Nic - odparł ochryple Phil. - Po prostu na chwilę zasnąłem. Miałem koszmar. - Otarł twarz z potu i wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

Dopiero wtedy do Phila i Glorii dotarło, że jest z nimi Mark, więc oboje jednocześnie zaczęli mówić.

- O nic nie pytajcie - przerwał im zaraz Mark. Po twarzy znać było, że od dłuższego czasu obywa się bez snu. Policzki nad zwykle nienagannie przystrzyżoną brodą pokrywał kilkudniowy zarost. Oczy miał zaczerwienione i podkrążone, a skórę pokrytą jakby kredowym nalotem. Był przemoczony, jakby przez dłuższy czas przebywał na deszczu.

- Wszystko dobrze? - spytała Gloria.

- Mniejsza o mnie - odparł Mark. - Opowiedzcie mi dokładnie, co się zdarzyło, odkąd

wyjechałem. Pojechałem do was, a tam Gabbie powiedziała mi, że jesteście tu z Patrickiem.

Zaczął Phil, a potem dołączyła się Gloria, więc po kilku minutach Mark wiedział już dość dokładnie o wszystkim, co wydarzyło się od czasu jego wyjazdu. Klęczał nadal przed Philem i Glorią, z dłonią przyciśniętą do ust pogrążył się w zadumie. Potem rzekł:

- Chryste, daliście się podejść.

- Co takiego? - zdumiał się Phil. Z miny Marka zorientował się, że coś jeszcze jest nie tak, więc zapytał: - Co się dzieje?

- Aggie miała wypadek. Jest na dole. Doktor Murphy powiedział mi, że jesteście tu na górze z doktorem Bergmanem, więc przyszedłem ci powiedzieć.

- Jak to się stało? - dopytywał się Phil.

- Kiedy wyjechałem od was, natknąłem się na wypadek na drodze. Poznałem samochód Aggie - opowiadał bez śladu emocji. - Wpadła w poślizg na drodze między waszą posiadłością a farmą Lonny'ego Boggsa.

- Czy nic jej nie będzie? - zapytała Gloria, podnosząc się z krzesła.

Phil wstał i wyglądał tak, jakby chciał ruszyć w stronę windy, jednak Mark przytrzymał go.

- Nie przeżyła.

- Skąd wiesz? - dopytywał się Phil.

- Widziałem, jak gliny wyciągają ją z samochodu, a potem przykrywają brezentem ją i jej pasażera. Zawieźli ją na patologię, nie na ostry dyżur.

- A niech to wszyscy diabli - szepnęła Gloria. Oczy zaszyły jej łzami i powtórzyła cicho: - A niech to wszyscy diabli.

Phil stał w milczeniu, zbyt odrętwiały, by dotarła doń wieść o śmierci Aggie. Traktował ją jak członka rodziny, a do tego jak mentorkę. Zapytał mechanicznie:

- Jak to się stało?

- Mogę tylko zgadywać - odrzekł Mark. - Ale teraz nie liczą się szczegóły. - Zerknął na zegar na ścianie. - Liczy się czas.

- Co masz na myśli? - zdziwiła się Gloria.

Mark wyminął Phila i stanął tuż przed Glorią.

- Czy z tamtej nocy, kiedy Patrick zachorował, pamiętasz jeszcze coś niezwykłego oprócz krzyku Seana?

Gloria potrząsnęła przecząco głową, potem jednak przypomniała sobie mgliście mroczny cień w kącie.

- No cóż, było tam takie coś.

- Co takiego? - wydawało się, że Mark za chwilę przewierci ją wzrokiem na wylot.

Wyjaśniła mu, najlepiej jak mogła, co zobaczyła wtedy w kącie, a Mark zapytał:

- Ile powiedział wam Gary?

- Mnóstwo dziwacznych bzdur - odparł Phil. - Sam chyba nie wierzył w połowę tego, co nam nawygadywał, ale mówił, że wtajemniczyłeś go tuż przed wyjazdem do Seattle. Coś jednak przed nami ukrywał.

Mark powiedział tylko:

- Jest gorzej, niż wam powiedział. Będę musiał znów wyjechać, a to z dwóch przyczyn. Pierwszy powód to mężczyzna, który zginął dziś razem z Aggie. Miał przyjaciół, a oni wkrótce tu za nim przybędą. Niektórzy z nich pewnie już są w drodze. Jeśli mnie znajdą, mogą mnie zabić.

Gloria znalazła się już chyba na skraju hysterii, kiedy tak siedziała z szeroko otwartymi oczyma, przyciskając do ust pięść ze zmiętą w twardą kulkę chusteczką higieniczną.

- Na jakiś czas musimy zejść do podziemia, Gary i ja. Ucieczka tylko oddali to, co nieuniknione. Znajdą nas prędzej czy później. Ale zanim to nastąpi, mam nadzieję, że zdołam uzyskać jakąś monetę przetargową.

- Co za „oni”? - zapytał szorstko Phil.

Mark puścił to pytanie mimo uszu.

- Druga przyczyna to ta, że muszę się jeszcze dokądś udać, a ty, Phil, musisz iść ze mną.

- Dokąd?

- Do miejsca, gdzie niewielu zdołało dotrzeć, a tam musimy zapobiec krzywdzie wielu, wielu ludzi. Potrzebna mi pomoc, a Gary musi załatwić kilka spraw i dlatego nie może pojechać ze mną. Nie mam kogo poprosić, ale ciebie nawet nie muszę prosić, bo ty masz w tym swój osobisty interes.

- A niby dlaczego? - zapytał Phil.

- Udaję się do miejsca, w którym są twoi synowie. Jestem jedynym, który pomoże ci dostać się tam, gdzie są Patrick i Sean.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Gloria ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Pojechałem do was do domu, a tam Gabbie powiedziała mi, że Seana nie było w szkole, kiedy pojechała z Jackiem go odebrać. Wezwali policję, ale oni go nie znajdą. Tylko ja wiem, gdzie on poszedł. Poszedł odzyskać Patricka.

- Mark, co ty wygadujesz, do kurwy nędzy! Przychodzisz tu, mówisz, że Aggie nie

żyje, że ktoś cię ściga i całą kupę innych tajemniczych pierdół, a potem bredzisz, że Sean odchodzi w noc, żeby szukać Patricka! - Phil mówił coraz głośniejsze, w miarę jak tłumione dotąd złość i frustracja wydostawały się z ciemnego kąta, w którym je zamknął. - No, może umknęło to twojej uwagi, ale Patrick jest tu, na tym oddziale. Ma uszkodzony mózg, ale pod każdym innym względem czuje się dobrze!

Mark położył dłoń na ramieniu Phila. Wciąż opanowanym, lecz podszytym groźbą głosem powiedział:

- Ten tutaj to nie jest Patrick, Phil.

Phil wyrwał się Markowi spod ręki.

- Co ty wygadujesz? Chyba najlepiej znam własnego syna. Mark zerknął na Głorię i zniechęca wyminął Phila, kierując się w stronę wejścia na oddział. Phil jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, potem rzucił się za nim.

Mark wszedł na oddział i ruszył korytarzem, zaglądając w szklane szybki w drzwiach, dopóki za jedną z nich nie ujrzał Patricka. Potem podszedł wprost do stanowiska pielęgniarek. Klucze leżały na blacie, a dyżurna była pogrążona w lekturze gazety. O tej porze większość pacjentów leżała spokojnie - spała lub oglądała telewizję.

Mark wziął klucze i zanim kobieta zdążyła zareagować, już wypróbował jeden po drugim w zamku separatu Patricka.

- Proszę pana! - krzyknęła pielęgniarka. - Co pan wyprawia? - Zanim jednak przeszła połowę dzielącego ich dystansu, Mark zdołał otworzyć drzwi i wejść do środka.

Pielęgniarka została odsunięta niegrzecznie na bok, kiedy Phil i Gloria weszli.

- Tam nie wolno wchodzić! - krzyknęła jeszcze dyżurna.

Phil wszedł i zobaczył, że Mark stoi u stóp Patrickowego łóżka. Chłopiec leżał przypięty potężnymi skórzanymi pasami. Mierzył Marka gniewnym spojrzeniem i syczał jak rozwścieczony wąż.

Mark wskazał ręką na chłopca i powiedział kilka słów w jakimś obcym języku. Patrick wzdrygnął się i skulił w sobie, próbując odsunąć się od Marka, jakby przerażała go obecność tego mężczyzny. Pasy napięte były do ostateczności. Phil dotarł w pobliże Marka, lecz zanim zdołał go złapać, stało się coś, od czego serce zamarło w nim na chwilę. Po raz pierwszy od czasu choroby dojrzał w oczach chłopca błysk przenikliwej inteligencji. Z ust malca dobył się przesywający dźwięk, kiedy ze wszystkich sił ciągnął za ramię, potem chłopiec popatrzył na Phila i przemówił:

- Tato, on mi robi krzywdę.

Gloria sapnęła z przestachu i cofnęła się, łapiąc za futrynę drzwi. Mark ciągnął



nieprzerwanie tę swoją melorecytację w języku, w którym Phil zaczął rozpoznawać galijski, staroszkocki lub staroirlandzki. Wtedy Patrick szarpnął mocno i jeden z pasów pękł. Trzy kolejne szarpnięcia i chłopiec wyswobodził się z krępujących go więzów. Przycupnął skulony przed oskarżycielsko wycelowanym palcem Marka, dziwnie przekrzywiając głowę, jakby wypowiedane słowa sprawiały mu fizyczny ból. Cofał się, dopóki nie dotarł do krańca łóżka, a i wtedy nie zatrzymał się, tylko zaczął tyłem wspinać się w górę po ścianie.

Mark zaś nieprzerwanie celował weń palcem, wykrzykując do niego słowa w owym dziwnym języku. Gloria wrzasnęła, a pielęgniarka zbladła gwałtownie na widok chodzącego po ścianie dziecka. Obok kobiet przepchnęło się do środka dwóch postawnych salowych, jednak i oni stanęli jak wryci, kiedy ujrzeli chłopca wchodzącego tyłem na ścianę. Jeden z nich, potężny czarnoskóry mężczyzna, wyrzucił z siebie:

- Jasna cholera! Pieprzony Spiderman!

Wtedy zagrzmiął w sali głos Marka:

- W imię Boga Wszechmogącego nakazuję ci zwrócić nam pacholę!

- Nigdy! - wysyczał Patrick i cała jego postać zajarzyła się dziwnym blaskiem.

- Zwróć nam pacholę! - rozkazał Mark.

- Uгода została zerwana! - wykrzyczało przyciskające się do ściany stworzenie. - Nie możesz mnie zmusić!

Mark odwrócił się, wypatrzył dzbanek z wodą, którą natychmiast wylał na dziecko.

- Niechaj oczyści cię woda! Niechaj zniweczy urok! Niechaj zniknie twój czar! Niech odejdzie odmieniec!

Woda obryzgała chłopca i nagle zamiast Patricka do ściany tulił się stwór rozmiarów ośmioletniego chłopca - przysadzisty, gruby, o pająkowatych kończynach, wielkim, okrągłym brzuszysku i z ogromnym penisem. Głowę miał dwa razy większą od głowy dziecka, a na twarzy maskę wściekłości i nienawiści. Jego szerokie usta wykrzywiał obrzydliwy grymas, a pomiędzy ostrych zębów, widocznych nawet z drugiego końca pokoju, zwieszał się wielki, czerwony ozór. Spojrzenie żabich oczu o żółtych tęczęwkach i czerwonych źrenicach miało się po całej salce. Stworzenie miało stalowoszarą skórę, a po bokach głowy uszy przypominające wachlarze lub wielkie muszle. Palce na dłoniach i stopach wieńczyły długie, czarne szpony. Wyglądało jak wcielenie koszmarnego snu.

Stwór odchylił głowę do tyłu, otworzył szerokie usta i zawył przeraźliwie jak klakson, a ten dźwięk rozniósł się daleko, pobrzmiwając jak głębokie dudnienie. Separatkę wypełnił odór zgniłych jaj. Głos stwora wznosił się w rejestrze od basu do tenoru, aż wreszcie potwór wrzasnął przeraźliwie:

- Mój pan jest wielki! A wy jesteście zdani na jego pastwę! - Z głośnym śmiechem, który wywołał gęsią skórkę u wszystkich obecnych, zeskoczył ze ściany na łóżko, odbił się jak na trampolinie, nieprawdopodobnym skokiem śmignął w powietrze, wyskoczył przez okno i w deszczu odłamków szkła uciekł w noc.

Mark popędził do okna. Z zewnątrz dobiegły ich piski gwałtownie zatrzymywanych samochodów i dźwięki klaksonów, kiedy potwór przebiegał pędem na drugą stronę autostrady. Po chwili w ciemnościach dał się słyszeć huk wpadających na siebie kolejno samochodów. Jeden z salowych podbiegł do okna, krzycząc:

- To niemożliwe! To pancerne szyby! Tego nie da się rozbić nawet kowalskim młotem!

Mark chwycił Phila pod ramię i na poły poprowadził, na poły powlókł zdumionego mężczyznę. Gloria płakała histerycznie, a pielęgniarka starała się ją uspokoić. Druga pielęgniarka, która przybiegła chwilę wcześniej, zemdląła w drzwiach, więc drugi salowy starał się ją ocucić.

Kiedy oddalali się szybko wśród szaleństwa, jakie rozpętało się na oddziale psychiatrycznym, Mark ujął Phila pod ramię i spokojnie przeprowadził przez część dla odwiedzających. Szybko skręcił na klatkę schodową i nie wypuszczając ramienia Phila, zbiegł po kamiennych schodach.

Phil otrząsnął się wreszcie z oszołomienia. Zapytał rzeczowo:

- Dokąd idziemy?

- Na Wzgórze Króla Elfów.

Mark pognał Phila po schodach, a potem przez stosunkowo spokojny rejon głównej poczekalni. Gestem nakazał mu iść jak gdyby nigdy nic w stronę wejściowych drzwi.

- Zaraz rozpęta się tu piekło. Kiedy tylko ktoś w psychiatryku zaczyna wrzeszczeć, natychmiast zaczyna roić się od pielęgniarek, salowych, ochroniarzy i lekarzy. Wszyscy za chwilę będą tu szukać szaleńca, który wdarł się do pokoju dzieciaka.

- Co robimy? - pytał Phil. Obejrzał się przez ramię. - Gloria...

Mark mówił przyciszonym, lecz mocno napiętym głosem.

- Phil, zajmą się nią. Niedługo może zapanować prawdziwy chaos na ziemi. Ja i ty mamy bardzo wiele do zrobienia w ciągu... - zerknął na zegar na ścianie mijanego holu, który wskazywał jedenastą - ...w ciągu następnej godziny.

- Mark, co się dzieje?

- Będziemy musieli skorzystać z czarów, żeby ocalić świat. No i odzyskać Seana i Patricka.

Phil zamrugał gwałtownie.

- Czarów? Jasne, czemu nie. Po tym, co przed chwilą widziałem...

- Samochód, który wynająłem, stoi na parkingu przed szpitalem - mówił dalej Mark. - Moje nazwisko jest w rejestrach wypożyczalni. A mój własny samochód wziął Gary. Pojedziemy twoim.

Opuścili hol wejściowy i przeszli przez parking, kierując się do samochodu Phila. Phil uruchomił silnik i zapytał:

- A co robi Gary?

- Robi za moją polisę na życie, mam nadzieję. - Mark popatrzył na Phila oczyma pełnymi smutku. - Ludzie, z którymi mamy do czynienia, mogą nas wszystkich zdmuchnąć bez chwili wahania. - Phil wycofał samochód. Kiedy na parking zaczął wjeżdżać inny samochód i oświetlił ich na chwilę reflektorami, Mark odwrócił głowę i zasłonił się ramieniem, żeby jego kierowca nie mógł go zobaczyć. Kiedy Phil włączył się do ruchu, Mark mówił dalej: - W ciągu wieków tysiące ludzi zginęły tylko po to, by ochronić pewne niewiarygodne tajemnice, Phil. A teraz Gary i ja znamy te tajemnice. Być może zyskaliśmy w ten sposób monetę przetargową.

- Jezu, Mark, o czym ty, do cholery, mówisz? Jakie tajemnice?

Mark jakby zapadł się w fotel obok siedzenia kierowcy, kiedy Phil dodał gazu na autostradzie.

- To długa i skomplikowana historia. I każdy, kto ma z nią jakikolwiek związek, jest... no cóż, potencjalnie grozi mu niebezpieczeństwo. Sam już nie wiem. - Skierował wzrok za okno, jakby chciał pozbierać myśli, potem wskazał na zbliżające się skrzyżowanie, którym można było dojechać do miasta. - Kieruj się w stronę warsztatu Barneya Doyle'a. Musimy się dostać na Wzgórze Króla Elfów, ale nie chcę korzystać ze ścieżki przy waszym domu na wypadek... gdyby już tam na mnie czekali.

Phil odwrócił ku niemu głowę.

- Kim są ludzie, których tak się boisz? I co mieliby robić w moim domu?

Mark zapatrzył się w deszczową noc.

- Byłem w Friedrichshafen, na granicy ze Szwajcarią. Przez tydzień trzymali mnie w zamknięciu. Jednego wieczoru trochę się zaniedbali, więc uciekłem. Trzy dni zajęło mi dotarcie do Paryża - miałem problemy na granicy i musiałem pociągnąć za kilka sznurków. Wydaje mi się, że dwa razy o mało mnie nie złapali.

- Mark, wiem, że jesteś ogromnie zestresowany, człowieku, tak samo jak my wszyscy. Ale gadasz od rzeczy. Jacy „oni”?

- Magowie.

- Magowie? - powtórzył Phil. - Tacy jak trzej królowie?

Twarz Marka oświetliło na chwilę światło latarni na mijanym skrzyżowaniu.

- Kiedy byłem jeszcze w Nowym Jorku, Gary przesłał mi kilka tłumaczeń tego, co zabrał ze sobą do Seattle, i to właśnie one naprowadziły mnie na właściwy ślad. Pisma, które przetłumaczono dla mnie w Nowym Jorku, pięknie dopasowały się do tego, w co wierzyłem już wcześniej. Wiedziałem, że grupa Kesslera nadal działa. - Przerwał na chwilę. - No cóż, znaleźli mnie. Ten facet, który był w samochodzie z Aggie, nazywał się August Erhardt. Erhardt był magiem.

Phil zerknął na Marka z ukosa.

- Takim jak w powieści Johna Fowlesa?

- Historia jest długa, a my nie mamy zbyt wiele czasu, poruszę więc tylko kilka najważniejszych kwestii - mówił Mark. - Około 550 roku p.n.e. Persowie podbili Medię, której terytoria znajdują się w obecnym Azerbejdżanie. W Medii istniało tajne stowarzyszenie kapłanów zwanych magami, które szybko wtopiło się w perską społeczność, stając się poważną siłą polityczną. Historykom niewiele wiadomo na ich temat. - Spod kół nadjeżdżającego z przeciwka samochodu trysnęły fontanny wody, pokrywając przednią szybę pontiaca Phila rozedrganą kurtyną. Już za moment wycieraczki odsunęły ją na bok. - Kiedy Persja padła pod Aleksandrem Wielkim, oni przetrwali. Przetrwali także Rzym, Dżyngis-

chana, Tamerlana. W trzecim wieku naszej ery stali się jednym z dominujących ruchów religijnych na Wschodzie. Sądzono, że w siódmym wieku zostali wyniszczeni przez szytów, kiedy Persję podbił islam, ale wychodzi na to, że nie.

Phil potrząsnął głową, jakby nie dowierzał własnym uszom.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten człowiek jadący z Aggie był członkiem supertajnego perskiego kultu, który przetrwał dwa i pół tysiąca lat?

Mark pokiwał głową.

- Podobnie jak Fredrick Kessler. Kessler, Erhardt, a także kanadyjski przyjaciel Gary'ego, van der Leer - wszyscy oni to spadkobiercy tej samej tradycji, jaka przez wieki przetrwała do dziś, przekazana przez tamtych starożytnych kapłanów magijskich. A ta znów perska tradycja wywodzi się bezpośrednio z prymitywnego kultu duchów, który później przybrał formę legend o wrózkach i innych istotach, które zamieszkiwały Ziemię na spółkę z człowiekiem.

- To coś w pokoju Patricka? Ten jakiś tam odmieniec?

- Coś w tym rodzaju, choć tkwi w tym o wiele więcej, niż potrafia nam wyjaśnić stare legendy. Będę wiedział dokładniej, kiedy już dotrzemy tam, dokąd zmierzamy.

- W takim razie powiedz mi, jak to możliwe, że ci magowie żyją wśród nas już tyle setek lat, a nikt nie wie o ich istnieniu? Czy nie jest przypadkiem tak, że to jakaś grupa... która tylko twierdzi, że jej korzenie sięgają aż tak głęboko?

- Wciąż jeszcze nie wierzysz tak naprawdę w to, co magiczne. Widziałeś na własne oczy tego stwora w szpitalu, a nadal nie możesz uwierzyć. - Mark zamyślił się na chwilę, a Phil prowadził w milczeniu. - Masoni utrzymują, że ich historia sięga czasów, kiedy stawiano świątynię Salomona. Inne ugrupowania także przypisują sobie starożytne korzenie. Kto temu zaprzeczy? Wiem tylko tyle: wiele spraw związanych z Fredrickiem Kesslerem wydawało mi się zupełnie bez sensu, dopóki nie pojąłem, że popiera go potężna organizacja, która umożliwiła mu wyjazd z Niemiec, załatwiła wszystko po cichu z niemieckim i amerykańskim rządem, zaopatrzyła go w kapitał na inwestycje, listy polecające do tutejszych bankierów, wszystko. To samo zrobiono dla van der Leera. Zapewniono mu mniej więcej takie same korzyści. To, co zdarzyło się w Niemczech na przełomie wieków, było zupełnie niepotrzebnym konfliktem między owym tajnym stowarzyszeniem kapłanów a tradycyjnymi religiami. Jeden z magów oszalał i próbował się upublicznić. Udało mu się nawrócić okolicznych wieśniaków, wskrzesił stare obrzędy i trwało to dopóty, dopóki przeciwko niemu i jego wiernym nie zwrócili się lokalni przywódcy religijni. Przez jakiś czas trwała otwarta wojna. A za działaniami Kościoła, zmierzającymi do wyciszenia sprawy, stali właśnie inni

magowie. Załatwili wszystko tak, żeby ci, którzy mieli jakiegokolwiek związki z szalonym magiem, opuścili Niemcy. Ich miejsce zajęli inni magowie.

Phil wyprzedził właśnie jadącego wolno pikapa i zjeżdżał z powrotem na prawy pas, kiedy z naprzeciwka zza zakrętu wypadł pędem jakiś samochód. Kiedy reflektory ich samochodu oświetliły przelotnym błyskiem tamten pojazd, niebo rozdarła błyskawica.

- Cholera! - rzucił Mark prawie szeptem.

- Co jest? - zapytał Phil, zerkając nań przelotnie.

- Ci faceci w samochodzie, który nas minął. Wydaje mi się, że rozpoznałem tego z tyłu. Nazywa się Wycheck. To jeden z nich.

- Z nich? Z magów?

Mark tylko kiwnął głową.

- Kierują się do szpitala. A to oznacza, że mamy nad nimi najwyżej piętnaście minut przewagi.

Phil skręcił w drogę numer 451, kierując się w stronę warsztatu Barneya.

- To już za dużo jak dla mnie. A co to wszystko ma wspólnego z tym, że byłeś więziony? No i co z tymi czarami, a także stworem, który zajął miejsce Patricka?

- Kapłani Magii to nie kolejni wyznawcy dziwnego kultu - odparł Mark. - To prawdziwa potęga, supertajna światowa organizacja - sen ziszczony cierpiącego na manię prześladowczą wariata. Wtajemniczeni nie posiadali jednej dziesiątej wiedzy magów. Należeli do nich mężczyźni i kobiety, którzy na przestrzeni wieków zajmowali kluczowe pozycje w rządach, Kościołach, firmach. W Rzymie prowadzili zakon westalek - mieli możliwość ułaskawiania więźniów skazanych na śmierć przez senat cesarstwa wedle własnego uznania! Stanowili klasę druidów - naukowców, kapłanów, władców - w starożytnych społecznościach celtyckich, a z tego, co mi wiadomo, zagłada kasty druidów dokonana przez Rzymian może być jedną wielką zmyłką, służącą skonsolidowaniu pozycji w rozmaitych rządach albo też mogła to być walka o władzę między dwoma frakcjami. Nigdy się tego nie dowiemy. Najprawdopodobniej mieli też swoich szamanów i czarowników rozsianych po całym Nowym Świecie, na długo zanim dotarł tam Kolumb. Tak czy owak, choć nie jestem pewien szczegółów, mniemam, że jedna z frakcji magów próbuje przejąć władzę. Wydaje mi się, że światowa sytuacja stała się zbyt złożona, nawet jak dla nich - coraz trudniej im upilnować, żebyśmy nie powysadzali się nawzajem w nuklearnym holokauście, tak więc chcą otwarcie przejąć władzę, ale żeby to zrobić, potrzebują pretekstu. - Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że planują wypuścić na ludzkość te wróżki, żebyśmy się trochę nawzajem poturbowali, a potem przejąć inicjatywę. To obłąkańczy plan. Stawką jest życie nas

wszystkich, ale nawet jeśli uda mi się temu zapobiec, obie frakcje magów mogą i tak próbować mnie zabić - jedna za to, że zniweczyłem ich plany, druga - po prostu za to, że za dużo wiem. A wtedy przyjdą tu po mnie, po ciebie - kiwnął głową w stronę Phila - po Głorię, Jacka i Gabbie, po dzieci, jeśli uda nam się je odzyskać, po Gary'ego, Ellen, lekarzy i pielęgniarki w szpitalu, i po każdego, kto mógłby wiedzieć o ich istnieniu.

- Kurwa mać! - wyszeptał Phil. - Chyba zaraz zhaftuję.

- Nie ma na to czasu - oznajmił Mark.

- Co musimy zrobić? - pytał szeptem Phil.

- To jest właśnie ta część, której nie potrafił wam opowiedzieć Gary. Cholera, on sam w to wszystko nie wierzył. Ten stwór w szpitalu należał do innej rasy - rasy, którą przez wieki nazywaliśmy gnomami, elfami, skrzatami i wieloma innymi nazwami. Ja sam przywykłem myśleć o nich jako o wrózkach. Już przedtem miałem kilka dowodów na ich istnienie - strzępy wiedzy, raczej aluzje, które swoją niejasnością doprowadzały mnie do szału - ale nigdy nie działo się nic tak poważnego jak w tym roku na waszej farmie. Napaść na Gabbie, rana Jacka, problemy z domem, wszystko to wynika z natury tych stworzeń. Rasa ta ma swój język, ale jakkolwiek by ją nazwać, jest rasą należącą do sfery irracjonalnej, nierzeczywistej. To istoty duchowe. Niemniej, mają i właściwości cielesne, tak jak my mamy właściwości duchowe. Nasze światy są zupełnie odrębne, ale czasem na siebie nachodzą. Można się tam dostać za pomocą... no cóż, nazywamy to magią.

- To niemoż... - zaczął Phil, ale urwał, zanim zdołał dokończyć. Byłby to wszak nie tyle sprzeciw, co raczej błagalna prośba. - O cholera! - zaklął, kiedy minął skrót do Williams Avenue. Zdekoncentrował się. Zawrócił na ciągłej, skręcił za róg. Przyziemne sprawy związane z prowadzeniem samochodu zdołały przywrócić mu nieco spokoju. - A więc co magowie mają wspólnego z wrózkami?

- Najstarsza znana opowieść o ludzie wrózek to *Żona czarodziejka*. Perska, co by wskazywało na to, że najstarsze opowieści zbiegają się z powstaniem potęgi magów. Zbiory starych opowieści to nie bajki, a... rodzaj przewodnika, który mówi nam, jak sobie radzić ze Starym Ludem. Są prawdziwe. No i mamy jeszcze traktat zwany Ugodą. Ten traktat powstrzymuje wróżki od wypowiedzenia nam wojny. To jeszcze nie wszystko, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć, bo sam więcej nie wiem. Między wrózkami jest jedna istota, która próbuje obalić ten traktat. A magowie pilnują, żeby ten ktoś nie złamał obowiązujących zasad, i w ten sposób utrzymują pokój między obiema rasami. To właśnie on ma u siebie Patricka.

Phil zaczął coś mówić, lecz przerwał, ogarnięty całkowitą bezradnością wobec tego,

co usłyszał. W końcu rzekł:

- A co my zrobimy?

Mark popatrzył na niego przez ramię.

- Musimy naprawić szkodę. Zabierając złoto, unieważniłeś Ugodę.

- Tamto złoto?

Mark kiwnął głową.

- Należy do nich, jest częścią traktatu. Muszę dostać się do miejsca, gdzie żyją te istoty, aby porozmawiać z nimi. Zwoje znalezione w piwnicy mówiły o tym, jak można się tam dostać... i przeżyć. Kazałem Gary'emu wziąć je ze sobą, kiedy on i Ellen wyjeżdżali z miasta. Chciałem zabrać je z waszego domu jako zabezpieczenie.

- Ze względu na magów? - zapytał Phil, a Mark przytaknął kiwnięciem głowy. - Nic już z tego nie rozumiem - przyznał Phil. - Chcesz zachować układ i magowie także chcą tego samego, a więc w czym problem?

Mark zaśmiał się gorzko, a szmer padającego deszczu zmiękczył trochę ten szorstki dźwięk.

- W tym, że sam to i owo schrzaniłem, a także w tym, że nasz przeciwnik jest wyjątkowo cwany i magowie myślą teraz, że sprzymierzyłem się z istotą, która porwała Patricka. Posłali Erhardta, żeby naprawił szkodę, ale ten elf, ta istota, od której zaczęły się wszystkie problemy, zepchnęła Aggie z szosy, zabijając jedyne człowieka, który był względnie blisko i potrafił zapewnić utrzymanie Ugody. Jestem pewien, że to zdarzenie upewni magów, że ja pozostaję z nim w zмовie. Jedyne moją - naszą - nadzieją jest to, że zdołam zająć miejsce Erhardta i przed północą pozalátwiać pozytywnie wszystkie sprawy. W przeciwnym razie...

- Kto to jest? - dopytywał się Phil. - Kto porwał Patricka?

- Ten sam facet, który zaaranżował zerwanie Ugody. To najprawdopodobniej on dopadł Patricka. Król Elfów.

- Nie wiem, czy sobie z tym poradzę, Mark - rzucił Phil.

W pobliżu szopy Barneya Phil wyraźnie zwolnił, jakby nagle opanowała go niechęć przed zbliżeniem się do celu.

- Nie masz zbyt wielkiego wyboru, Phil - odezwał się Mark. - Po jednej stronie mamy magów, po drugiej wróżki, a jeśli przed północą nie zrobimy tego, co należy, możemy obudzić się w samym środku trzeciej wojny światowej. I to bynajmniej nie z Ruskimi. - Znowu zaśmiał się gorzko. - A zresztą, nawet jeśli nam się uda, nie jest wcale powiedziane, że magowie po nas nie przyjdą.



Zatrzymali się za szopą Barneya.

- Masz latarkę? - zapytał Mark.

Phil sięgnął pod siedzenie i wyciągnął stamtąd wielką, trójfunkcyjną latarkę - ze strumieniem światła, fluorescencją i migaczem wzywającym pomocy. Włączył ją, żeby sprawdzić, czy baterie są w porządku. Okazało się, że latarka daje strumień odpowiednio silnego światła.

Phil nie przejawiał zbyt wielkiej ochoty, by wysiąść z samochodu.

- To, co mi przed chwilą opowiedziałeś, brzmi jak bełkot wariata, Mark. Gdybym nie zobaczył na własne oczy tego stwora w szpitalu, dzwoniłbym po zieloną karetkę dla ciebie. Niemniej, większość z tego to i tak czyste spekulacje. Co tak naprawdę wiesz?

- Niewiele. - Mark włączył z powrotem latarkę i przy jej świetle zerknął na zegarek. - Nie mamy zbyt wiele czasu. Po drodze do was opowiem ci tyle, ile wiem, a także wszystko, co dzięki temu wywnioskowałem. Zostało nam już bardzo niewiele czasu.

Mężczyźni wysiedli z samochodu i wymienili się spojrzeniami. Deszcz przeszedł znów w mżawkę, lecz obaj mokli. Nie zwrócili jednak na to najmniejszej uwagi.

Mark włączył latarkę i poprowadził Phila w las.

Sunąc przez mokry las, Mark zaczął opowiadać:

- Magowie od zawsze stanowili dla historyków najeżony niewiadomymi problem - z powodu znikomej liczby udokumentowanych faktów. Wiemy, że przez długi czas rządili w Persji. Po Zoroastrze przewodzili zoroastrianizmowi, a najslawniejszym z nich w owym czasie był człowiek o imieniu Saena. Trochę mogliśmy się dowiedzieć o tym z *Zend-Awesty*, świętej księgi zoroastrian, lecz możemy tylko zgadywać, jakie wierzenia były wspólne dla obu tych religii. Wszystko inne to tylko wysnute stąd przypuszczenia. - Zamyślił się na chwilę, po czym dorzucił: - Może jako rodzaj ochronnej zasłony terminy „mag” i „magowie” dadzą się zastosować do dziedzicznych kapłanów większości religii w tym rejonie świata. Do dziś przetrwały pozostałości wiary zoroastriańskiej. Parsowie w Indiach nadal zachowali strukturę dziedziczną: trzeba się urodzić w tej wierze, nie dozwala się na żadne nawrócenia. Lecz wiemy też, że poza publicznymi sektami magowie dalej prowadzili swoją działalność.

Maszerowali ścieżką w równym tempie, lecz szlak zrobił się śliski od deszczu i mimo światła latarki, w ciemnościach grunt często okazywał się zdradliwy.

- Magowie byli monoteistami. Zoroastrianie mówią o dwóch demiurgach, stworzonych przez Najwyższą Istotę: o sile dobra, zwanej Ormuzd, która pozostała lojalna względem Boga, oraz o sile zła zwanej Arymanem, która, jak nasz Szatan, podniosła bunt. Magowie nie budowali świątyń, a swoje obrzędy sprawowali w lasach i na szczytach gór. Ten pokój w waszej piwnicy był raczej magazynem, a po trosze i biblioteką, w każdym razie nie tajemną świątynią. Czcili ogień i światło, a także słońce, w pewnym sensie. Nie same ich formy, a raczej jakąś duchową energię, która manifestuje się w ogniu i świetle. Byli astrologami i, jak się sądzi, czarownikami. - Dodał cierpko: - A to raczej fakt, nie legenda. Dzięki świetnemu obeznaniu z duchami potrafili uzyskać nad nimi władzę. Przedtem, zanim dokonaliśmy odkrycia w waszej piwnicy, pochodzenie grupy przypisywano rozmaicie - od zaginionych plemion Izraela do ostatnich kapłanów Atlantydy. Ale to tylko legendy.

Mark umilkł, kiedy przechodzili w bród przez wezbrany wodą potoczek. Phil zorientował się, że brnie po kostki w wodzie i ma zupełnie przemoczone skarpety. Mark jednakże nie zwracał najmniejszej uwagi na niewygody i ciągnął dalej swą opowieść.

- Nie wiem, ilu ich jeszcze jest, ale nie mogą być wszędzie. Nie powinni byli pozwolić, abyś kupił farmę po Kesslerze, Phil. Gdyby pozostała w ofercie jeszcze przez jakiś czas, kapłani przysłaliby tu kogoś, żeby ją wykupił. A to dowodzi, że w pobliżu nie było żadnego innego maga. Niemniej, choć nie jest ich wielu, posiadają ogromne wpływy. Jestem

pewien, że mają swoje wtyki we wszystkich kołach biznesu i polityki, tak wszechobecną ludzką sieć, że najdziksza teoria spiskowa wygląda przy niej całkiem realistycznie. Kapłani muszą mieć bardzo imponujące powiązania, skoro przez tyle czasu udało im się utrzymać rzecz w tajemnicy. A mówimy tu o długich wiekach.

- A nawet jeśli ktoś przypadkiem natknie się na prawdę, to kto mu w nią uwierzy? - zauważył Phil. - Chryste, sam na własne oczy widziałem to draństwo, a nadal nie wierzę. - Lecz po chwili poprawił się: - Nie, jednak wierzę. - Potem zapytał: - W takim razie dlaczego na mojej ziemi są te... no... wróżki?

- Bo gdzieś być muszą - odrzekł Mark. Nieco zdyszany, odsunął na bok nisko zwieszoną gałąź, potem mówił dalej: - To wszystko tylko takie moje zgadywanki, ale... Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad przebiegiem rozwoju społecznego ludzkości? *Homo sapiens* istnieje na tej ziemi od jakiegoś miliona lat, a mimo to początki cywilizacji sięgają ledwie, powiedzmy, dziewięciu tysięcy lat - jeśli przyjmimy tu dla terminu „cywilizacja” najszersze z możliwych znaczeń. A co się działo przez poprzednie dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden tysięcy lat? Być może trwała nieustanna wojna między tymi dwiema rasami, w której żadna ze stron nie potrafiła całkiem wykończyć tej drugiej. Dziesiątki prób wyjścia ponad poziom barbarzyństwa, zakończonych fiaskiem, bo wróżki spychały ludzkość z powrotem na poziom myślistwa-zbieractwa. A my sami także dawaliśmy im nieźle w kość, chwytając je i przetrzymując w niewoli, wykradając im moc za pomocą tej... no... magii. Niszczyliśmy je tak samo, jak one niszczyły nas. Potem coś się zdarzyło. Jeśli zdołamy wyjść cało, może kiedyś uda nam się dowiedzieć, co to było. Niemniej zawarto pokój, na mocy którego pozwolono istnieć obu rasom. Jakiś rozejm, zawieszenie broni - myślał przez chwilę - albo ugodę. Tak właśnie nazywali to magowie, którzy mnie więzili: Ugoda. Może bitwa, jaką stoczono, okazała się dla obu stron zbyt krwawa i zdano sobie sprawę, że nikt nie przeżyłby następnej. Być może kilka mniej krewkich głów po obu stronach zaczęło agitować za pokojem, naprawdę nie wiem. Nie potrafię nawet sobie wyobrazić, w jaki sposób mogą rozumować takie istoty. Ale gdyby wszystkie moje wnioski były słuszne, wtedy jest możliwe, że kiedy po raz pierwszy zawarto ten układ między wróżkami a ludźmi, zagwarantowano w nim istnienie takich miejsc, w których wróżki mogłyby spędzić pół roku przez nikogo nie nękanie, a za to mogłyby dostać prawo do odstrzału każdego, kto tam wkroczy, jak długo same pozostawiają w spokoju wszystkich dookoła.

- Coś jak rezerwat? - pytał Phil. - Chcesz powiedzieć, że ci kapłani są dla tych wróżek czymś w rodzaju agentów do spraw Indian?

- Raczej strażników więziennych - odparł Mark - jeśli podczas podpisywania Ugody

przewaga była po stronie ludzkości. To tylko przypuszczenie - przyznał. - Tak czy owak, wynika z tego, że Herman Kessler był ostatnim magiem w tej okolicy. Nigdy się nie ożenił, co jak na maga jest dość dziwne - jeżeli nadal istnieje wśród nich wymóg dziedziczności. Ale jeśli nawet, ktoś powinien być gotów przejąć to miejsce po jego śmierci. Tymczasem Herman zmarł niespodziewanie w czasie swej podróży do Niemiec, a ta wiadomość nieprędko dotarła do innych magów - być może coś nie pozwoliło im się w porę dowiedzieć. Zorientowali się dopiero, kiedy ja się pojawiłem, a wtedy zaniepokoiłem ich swoim upartym węszeniem - myśleli, że mam coś wspólnego ze śmiercią Hermana. Normalnie nie byłoby żadnych problemów, gdyby Wzgórze Króla Elfów pozostało przez jakiś czas bez opieki, chyba że pojawiłyby się tu wróżki - a one tak właśnie zrobiły. Myślę, że zwykle przychodzą i odchodzą bez ustalonego harmonogramu, więc istnieją spore szanse na to, że kapłani utrzymują wiele takich „rezerwatów”, choć w ciągu ich życia wróżki nie pojawią się w nich ani razu. Ale tu się pojawiły, a kapłana nie było, więc wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli. I to nie przypadek. Jest w tym wszystkim coś, czego nie potrafiłem odkryć. Trzymali mnie zamkniętego w hotelowym pokoju przez prawie dwa tygodnie. - Zamyślił się. - Kiedy wysłali tu Erhardta, żeby naprawił szkody, popełnili błąd - zapomnieli mnie przenieść albo zostawić przy mnie kogoś, kiedy pojawiła się pokojówka. Uśmiechnąłem się do niej, wręczyłem stumarkowy napiwek i spokojnie sobie wyszedłem. Trzy dni spędziłem w autobusach, zmierzając w stronę francuskiej granicy - wiedziałem, że pomyślą raczej, iż udałem się do Austrii albo w stronę Stuttgartu. Niemniej przez cały ten czas, jaki wśród nich przebywałem, nabyłem przekonania, że podejrzewają, iż ktoś z ludzi mógł się sprzymierzyć z frakcją wróżek, najpewniej z samym Królem Elfów.

- No dobra - rzucił Phil, już niemal zupełnie spokojny - ale co to ma wspólnego z moim synem?

- Coś poszło nie tak - odrzekł Mark. - Nadal nie mam pojęcia co, ale w ten czy inny sposób zmieniły się obowiązujące zasady. Jeśli dobrze wszystko odczytałem, w normalnej sytuacji narażeni byłibyście co najwyżej na jeden czy drugi psikus, na przykład skwaśniałe mleko, wciąż przemieszczające się przedmioty albo dziwaczne odgłosy w nocy. - Musiał podnieść głos, bo deszcz znowu się wzmógł, chłoszcząc ich z taką siłą, że piekły ich oczy. Ulewa huczała między drzewami niemal tak głośno jak morskie grzywacze przy brzegach. - Jednak sprawy nie idą tak, jak powinny. Za tym wszystkim, co się zdarzyło, stoi ktoś, a może nawet cała grupa, kto chce powrócić do otwartej wojny z dawnych wieków. To dlatego doprowadzili was do złota.

- Wspominałeś już o tym wcześniej. Co z tym złotem? - dopytywał się Phil.

- To złoto nie należało do Kesslera. To złoto ludzi, lecz było własnością wróżek, coś w rodzaju rękojmi, składanej w ciągu wieków i mającej zagwarantować, że ludzkość dotrzyma swojej części umowy. Co roku przeprowadzano specjalny obrządek, a do skarbu dodawano jeszcze trochę złota jako znak dochowania wiary. Każdy taki „rezerwat” ma własny skarb. Być może stąd właśnie wzięła się legenda o złocie karzełek. Tak czy owak, złamałeś warunki traktatu, Phil, kiedy zabrałeś stamtąd to złoto. - Podniósł do góry dłoń. - Mój pierścień ze studiów jest złoty. Możemy mieć tylko nadzieję, że jeśli dopełnię obrzędu i podaruję im ten pierścień, zdołamy jakoś załagodzić sytuację, dopóki nie zjawi się tutaj kolejny mag. Jeśli nie...

- Będzie to samo co w Niemczech na przełomie wieków? - domyślił się Phil.

Mark pokiwał głową.

- Obawiam się, że nawet gorzej. Tysiąc razy gorzej. Tam to był tylko niegroźny konflikt, wynikły z tego, że miejscowi za sprawą obłąkanego maga zaczęli czcić wróżki. Wszystko przeminęłoby szybko i bez echa, gdyby niektórzy z chłopów nie zaczęli praktykować dość niesamowitych obrzędów. Mam kilka akt wskazujących jednoznacznie, że część z nich zaczęła składać ofiary z ludzi. Tak czy owak, gdyby nie włączył się do tego rząd i nie rozpętał polowania na czarownice, magowie uciszyliby wszystko szybko i sprawnie. Tutaj natomiast będziemy mieli do czynienia z całkowitym złamaniem traktatu, a ja nawet nie potrafię odgadnąć, co by to mogło oznaczać w praktyce. Niemniej, choć nie wiemy, jacy ludzie są w to wmieszani po naszej stronie, wiemy, kto odpowiada za te zdarzenia w ich królestwie.

- Król Elfów? - upewnił się Phil.

- Król Elfów. A to zdecydowanie czarny charakter. Irlandczycy nazywają go Błaznem, znany jest też pod innymi imionami, ale to ta sama postać. Jest najlepszym kandydatem na tego, któremu może nie podobać się ograniczenie do ziem, podarowanych w pakcie. - Po chwili milczenia dorzucił: - Nie mam pojęcia, jak tego dokonał, ale wiem na pewno, że to on ponosi odpowiedzialność za wypadek, w którym zginęła Aggie. A już samo to, że wiedział o przyjeździe Erhardta, pokazuje jasno, że w jakiś sposób komunikuje się z osobą, która wie, co w danej chwili robią magowie.

Phil poczuł, że jeszcze chwila, a ogarnie go całkowite zwątpienie.

- Jak, u diabła, mamy zamiar czegokolwiek dokonać w ciągu - ilu to? - piętnastu minut?

- Musimy po prostu być o północy przy wzgórzu. Jeśli zdarzy się to, co myślę, to nie musimy być tam ani minuty wcześniej. Ale niech niebo zlituje się nad światem, jeśli choć o

minutę się spóźnimy.

Phil kroczył za Markiem w milczeniu. Świat nagle wydał mu się miejscem niewiarygodnie obcym i przerażającym.

Sean poczuł, że zmęczenie zaczyna brać nad nim górę, kiedy tak szedł za swoją kulą światła. Nadal zachowywał czujność, lecz monotony i równy marsz przez las zmniejszył jego niepokój. Otaczające go nieziemskie, mroczne bory nie wydały mu się przerażające, ale obce. Drzewa wyglądały... dziwnie - to jedyne słowo, jakie przychodziło Seanowi na myśl. Smukłe, delikatne drzewa chwiały się lekko na wietrze, a ich ciemne kolory nadawały gałęziom pozory przezroczystości. Nie, miejsce było wprawdzie dość niesamowite, ale nie budziło strachu. Wiedział, że prawdziwa próba czeka go tam, gdzie przetrzymują Patricka, i ta perspektywa trochę go przerażała - lecz że miał tylko osiem lat i dawno powinien być w łóżku, czuł się za bardzo zmęczony, żeby się martwić.

Przystanął. Usłyszał muzykę, rozbrzmiewającą w harmonii z poszumem wiatru wśród gałęzi i liści. Po chwili podjął na nowo swój marsz, a kiedy podążał za kulą, muzyka stopniowo stawała się coraz głośniejsza. Dźwięczały w niej flety, harfy i dzwonki, a także metalicznie pobrzmiwające bębny. Droga wkroczyła na polankę, a Sean otworzył szeroko oczy ze zdumienia, to bowiem, co ujrzał przed sobą, na pierwszy rzut oka wyglądało zupełnie jak Wzgórze Króla Elfów. Jednak jedno szybkie spojrzenie dookoła wystarczyło, by stwierdził, że to tylko odległe podobieństwo, rosnące po obu stronach drzewa nie przypominały bowiem tych, które można zobaczyć w stanie Nowy Jork.

Szczyt wzgórza ożywiały poruszające się na nim postacie kobiet i mężczyzn o nieziemskiej urodzie, tańczących przed tronem. Na tronie siedziała kobieta o pięknej sylwetce: dumnie wyprostowanej, a przy tym pięknej i gibkiej. Dookoła niej jarzyło się światło, koronując wzgórek białobłękitnym nimbem. Pośród panującego w tym świecie półmroku wzgórek wydawał się wysepką światła. Złocista kula sunęła po drodze, mijając uczestników zabawy, lecz kobieta na tronie skinęła dłonią i światło natychmiast zoczyło w jej stronę.

Sean zawahał się, potem ruszył za kulą po zboczu wzgórza. Tańczący przystanęli, a muzyka cichła stopniowo, kiedy malec ich mijał. Na szczycie wzgórza nadal panował półmrok, lecz i tak było tu o wiele jaśniej niż na drodze.

Kobieta siedząca na tronie była wprost oszałamiającej urody. Jej rudozłote włosy, sczesane do tyłu z wysokiego czoła, przytrzymał złoty diadem. Nosiła cieniusieńką, półprzezroczystą szatę, przez którą widać było pełne piersi. Miała wdzięczne, nieskazitelnie piękne ramiona i szyję. Sean nie był do końca pewien, czy te dziwne rzeczy z tyłu należą do kroju sukni, czy też kobieta naprawdę ma dwa półprzezroczyste skrzydła. Uśmiechnęła się, a

Sean nie odczuł najmniejszego strachu. Utkwiła w nim spojrzenie jasnoblękitnych oczu i odezwała się melodyjnym kontraltem:

- Mały śmiertelny chłopiec! Co cię tu sprowadza i każe iść w trop za Przewodnikiem Wędrowek, malutki, śliczniutki? Czy przyszedłeś rozjaśnić nasz dwór swoim ślicznym uśmiechem? - Pochyliła się i wyciągnęła rękę, żeby ująć Seana pod brodę. Kiedy dotknęła jego skóry, jej palce cofnęły się odruchowo. - Nosisz talizman! Musisz go zdjąć.

Sean rozejrzał się. U podstawy tronu tłoczyły się maleńkie istotki, które szeptały i pokazywały sobie chłopca. Kilka takich niedużych stworzeń krążyło też na skrzydłach wokół tronu, choć przez cały czas zachowywały ostrożność, by nie przelecieć bezpośrednio nad oszałamiająco piękną kobietą. W pobliżu stało kilku nieziemskich mężczyzn, urodziwych i smukłych. Nieco dalej czekało w milczeniu wiele ślicznych kobiet. I jedna, i druga płeć nosiła najrozmaitsze ubiory: od bardzo skąpych po bogato zdobione, ciężkie kostiumy, zupełnie tak samo jak tamci zieloni ludzie. Tyle że ci tutaj mieli skórę podobną do skóry człowieka. Seana zastanowiło, dlaczego wokół pięknej pani stoją sami mężczyźni, lecz zbył tę myśl wzruszeniem ramion, kiedy zaczął rozważać, czy powinien zrobić to, co mu każe.

Za tronem stał mężczyzna w średnim wieku, który w przeciwieństwie do otaczających go osób wyglądał na śmiertelnego człowieka. Nosił piękną tunikę z delikatnej zielonej materii, przetykanej srebrnymi nitkami. Jej kołnierz obszyto perłami i klejnotami, przez co nadawał mu królewski wygląd, choć mężczyzna był jedynie cieniem w blasku siedzącej przed nim kobiety. Ledwie dostrzegalnie, żeby nie zauważyli tego pozostali, pokręcił przecząco głową.

Sean rozglądał się, a tymczasem piękna kobieta mówiła dalej:

- No chodź, malutki. Zostań z nami, śpiewaj i tańcz. Uraczymy cię najprzedniejszym jadłem i napitkiem, a ty zostaniesz ładniutkim paziem do naszych posług. - Ze zmysłowym uśmiechem dodała: - Poznasz rozkosze, jakich nie dane jest znać waszej rasie, ładny ludzki chłopcze... - Zmierzyła go wzrokiem, po czym dodała: - ...kiedy będziesz trochę starszy.

Sean wziął głęboki wdech. W tej kobiecie było coś, co wprawiało go w stan niepokoju. Nie żeby była brzydka albo niemila. Nie odczuwał też tego rodzaju strachu i poczucia zagrożenia, jakie towarzyszyło mu w trakcie spotkań z Czymś Złym i Świecącym Człowiekiem. Lecz w tym korzenno-kwiatowym zapachu, jaki unosił się w powietrzu, w tej uderzającej do głowy muzyce i silnie oddziaływującym powabie kobiety było coś takiego, co powodowało, że Sean czuł się dziwnie niezręcznie, a serce biło mu szybciej niż zwykle. Coś zbliżonego, choć o wiele słabszego czuł raz, kiedy na jakimś przyjęciu urodzinowym pocałowała go dziewczynka ze starej szkoły. Podobny psychiczny dyskomfort poczuł także,



kiedy zdarzyło mu się wparować do łazienki i ujrzał wycierającą się po prysznicu Gabbie. Wspomnienie jej nagiego, wilgotnego i zaróżowionego od gorącej wody ciała prześladowało go później przez wiele dni. Żałował, że nie mógł tam zostać i popatrzeć, sam nie wiedział dlaczego. Kiedy Gabbie miała na sobie ubranie, była tylko jeszcze jedną głupią dziewczyną, z wyjątkiem tych chwil, kiedy uczyła chłopców jeździć konno. Było to tak, jakby na jedno okamgnienie ujrzał coś, co dane mu będzie zrozumieć, kiedy będzie starszy, a co teraz jedynie wprawiało go w zakłopotanie. Była to potężna, przykra, a jednak zniewalająca potrzeba, która przygnębiała Seana, a jednocześnie wzbudzała w nim poczucie winy, jednak dlaczego, tego nie był w stanie pojąć. Ignorując nieprzyjemne odczucie w żołądku, Sean oświadczył:

- Przyszedłem odnaleźć mojego brata.

Uśmiech kobiety zgasł, a na jej twarzy pojawiło się uczucie szczerego żalu.

- A więc odrzucasz zaofiarowaną przez nas gościnność? - Niemalże odęła gniewnie wargi.

- Muszę znaleźć swojego brata - powtórzył Sean.

Z pełnym rezygnacji westchnieniem kobieta odrzekła:

- W takim razie, jak trafiłeś do naszej krainy, ładniutki śmiertelny chłopcze?

- Barney kazał mi dziewięć razy okrążyć wzgórze, a potem przejść przez jaskinię.

Powiedział mi, jak zdobyć światło, które zaprowadzi mnie do Patricka.

- A jak dostał się tu twój brat Patrick?

- Zabrał go Świecący Człowiek.

Spojrzenie kobiety w jednej chwili zlodowaciało, a Seana zaraz opuściło dotychczasowe pragnienie, by wejść jej na kolana i położyć głowę na piersi. Głos kobiety zabrzmiał gniewnie, przybrał szorstki ton, kiedy rozkazała:

- Opowiedz mi o tym Świecącym Człowieku.

Sean opisał dokładnie spotkanie ze Świecącym Człowiekiem, Czymś Złym oraz fałszywymi Patrickiem i Seanem, a kiedy skończył, kobieta oznajmiła:

- Ów zanadto nadużył już naszej cierpliwości. Posłuchaj uważnie, poszukujący chłopcze. Kiedy znajdziesz brata, twoja droga powrotna będzie wiodła dwoma szlakami, a ty sam będziesz musiał wybrać, którym zechcesz wrócić. Sprowadź go tu białą drogą, tak żebym mogła usłyszeć, jak powiodły się wasze sprawy, a ty i twój brat będziecie mogli wrócić bezpiecznie do domu. Unikaj czarnej ścieżki.

Sean przypomniał sobie ostrzeżenie Barneya. Cichutko, żeby nie urazić tej wielkiej pani, odparł:

- Chcę tylko odzyskać brata. - Potem zastanowił się i dodał: - Czy pani nie może mi

go oddać?

- Tutaj, w Krainie Jasności, rządząmy my, śmiertelny chłopcze. Ale wiedz, że w świecie śmiertelników, a także w Krainie Cienia, my i on jesteśmy sobie równi, natomiast w Krainie Mroku ten, którego zwiesz Świecącym Człowiekiem, jest od nas potężniejszy i tam musimy się go lękać. Ty sam musisz sprowadzić go do nas, do Krainy Jasności, żebyśmy mogli stawić mu czoło. W każdym innym miejscu wynik będzie niepewny. Zrób to, a wtedy my bezpiecznie odprawimy do domu ciebie i brata. Takie jest nasze słowo w tej kwestii.

Sean obserwował jarzącą się kulę, która zdawała kręcić się niecierpliwie w miejscu. Nie chciał okłamywać pięknej kobiety, ale Barney kazał mu nikomu nie ufać. Potem zerknął na śmiertelnego mężczyznę. Wydawał się smutny, lecz uśmiechnął się leciutko do chłopca i kiwnął głową na „tak”.

Ośmieliwszy się, Sean zapytał:

- Czy ty jesteś Prawdomówny Tom?

- Tak zwą mnie niektórzy - odparł mężczyzna. Miał silny akcent, który utrudniał rozumienie słów, lecz Sean pamiętał, że wedle słów Barneya Tom miał być Szkotem.

- Jest z waszej rasy, choć długo już trzymamy go przy sobie - kobieta uśmiechnęła się do niego ciepło - czasem nawet wbrew własnemu zdrowemu osądowi. - Znow zwróciła się do Seana. - Ale jest tu kochany i pozostaje lojalny wobec nas.

- Przyjdę tu z Patrickiem - odparł Sean. - Pozwolisz nam wrócić do domu?

Kobieta roześmiała się, a jej głos był teraz miękki jak śpiewny głos harfy.

- Tak, dzielny chłopcze, pozwolimy wrócić do domu tobie i twojemu bratu. Ale najpierw odnajdź tego, którego zwiesz Świecącym Człowiekiem, i odzyskaj brata. Potem wróć do nas, ale strzeż się: żeby dotrzeć do tamtego dworu, musisz przejść przez Dworzyszczce Zamierzchłych Pór. Unikaj w nim wszystkich drzwi z wyjątkiem tych po obu końcach. Musisz też wystrzegać się niecných sztuczek. No i wreszcie musisz się spieszyć, bo nasz dwór i dwór tamtego tej nocy przemieści się w waszym świecie, a wy znajdziecie się bardzo daleko od domu. Idź już zatem.

Skinieniem dłoni uwolniła Przewodnika Wędrówek, jak nazwała ową kulę światła, a ta wystrzeliła natychmiast w stronę białej ścieżki. Sean popędził za nią spieszenie, obawiając się, że kula pozostawi go z tyłu, lecz światło, kiedy ruszyło wolno przed siebie, powróciło zaraz do leniwego tańca od jednego skraju drogi do drugiego. Sean zaczerpnął głęboko powietrza, by uzbroić się w odwagę i spokój, a potem ruszył za nim. Po kilku minutach zauważył, że ścieżka pod stopami zmieniła kolor z prawie białego na neutralnie szary. Pociemniało też niebo nad jego głową. Odpychając od siebie ogarniający go strach, dreptał

dalej.

Las stawał się coraz ciemniejszy, lecz wcale nie przybierał tego złowieszczego wyglądu, jakiego Sean spodziewał się po pogłębiających się cieniach. Było po prostu mniej światła. Szli teraz drogą wzdłuż szmerzącego wesoło strumienia, a Sean rzucił okiem w stronę Przewodnika Wędrówek. Nadal wykonywał on swój bezmyślny, wijący się taniec z jednej strony ścieżki na drugą, więc uznał, że bez trudu będzie mógł się z nim zrównać, jeśli tylko nie pozwoli mu się zanadto oddalić. Podbiegł do strumyka i przykląkł, żeby się napić. Ustami dotknął wody i zaczął pospiesznie pić. Nagle tuż przed nim pojawił się jakiś obraz. Szybko oderwał twarz od powierzchni wody. Rozejrzał się i upewnił, że to niemożliwe, aby ktokolwiek pływał w tym strumieniu. Strumyk miał ledwie parę stóp szerokości i na pewno ledwie kilka cali głębokości. Wyjrzał nad krawędź wody i znów uderzyło go przekonanie, że nic tutaj nie jest takie jak w domu. Powierzchnia wody była jedynie płaszczyzną dzielącą go od innego królestwa, turkusowozielonego świata oceanów i jezior. Przysunął się nieco bliżej i przyjrzał się twarzy pod powierzchnią. Była to twarz kobiety, tak się przynajmniej zdawało Seanowi, a wyglądała to tak, jakby unosiła się o parę cali pod powierzchnią. Skórę miała jasnoblękitną, a w dole, tam gdzie powinny znajdować się nogi, chłopiec dostrzegł rybi ogon, pokryty niebieskawymi łuskami. Widział, że jest naga i od pasa w górę ukształtowana normalnie, prawdę mówiąc - gdyby Sean umiał oceniać takie rzeczy - uznałby, że jest piękna. Miała duże piersi, piękną linię szyi i smukłe ramiona, które poruszały się wdzięcznie w kontrpunkcie do ruchów rybiego ogona. Czarne włosy rozpościerały się dookoła głowy jak obłoczek ciemnych, pierzastych, jedwabistych nitek, a usta, raczej fioletowawe niż czerwone, zastygły w uśmiechu. Twarz miała podobną do człowieczej - z wyjątkiem oczu, które były całkowicie czarne, bez widocznej tęczówki i twardówki. Zdawało się, że ruchem ręki przyzywa Seana do siebie, namawiając, by wszedł do wody. Poniżej Sean widział głębinę. Wyglądało to tak jak wtedy, kiedy rodzice zabrali chłopców na wycieczkę łodzią, która miała szybę w dnie. Z niebieskawego mroku oceanu wznosiły się potężne wieże koralu, a Sean pojął nagle, że to nie naturalne wytwory, lecz raczej potężne wieże jakiegoś miasta, wyrastające wysoko ponad oceaniczne dno.

Malec wycofał się znad brzegu strumienia, bardziej skonsternowany niż przerażony, nękany tym samym dziwnym odczuciem w żołądku, które pojawiło się, gdy patrzył na królową. Chłopięce ciało nie było jeszcze gotowe na rozpoznanie dorosłych popędów, więc jedynym efektem, jaki wywarła na nim jej uwodzicielska piękność, było zmieszanie. Sean zauważył, że Przewodnik Wędrówek oddalił się znacznie, więc pobiegł za światłem, z

odczuwalną ulgą oddalając się od pięknej kobiety-ryby. Tutaj nawet woda była jakaś inna. Wzdrygnął się lekko, kiedy przypomniał sobie napomnienia Barneya, żeby nie schodził z drogi.

Światło znajdowało się teraz o sto jardów dalej, więc zrównanie się z wykonującą swe meandry kulą nie zajęło chłopcu więcej niż minutę. Zmuszając się do zachowania spokoju, malec zrównał krok z przewodnikiem i szedł dalej.

Sean ujrzał, że dookoła znów rozpościerają się lasy. Odkąd opuścił brzegi strumienia, wchodził w coraz gęściejszy, coraz bardziej mroczny las. W przeciwieństwie do lasów, które mijał do tej pory, ten miał w sobie coś groźnego, więc chłopiec kurczowo zaciskał dłoń na srebrnym sztylcie. Droga biegła prosto między drzewami i w pewnym punkcie przecinała się z drugą, z ciemnego kamienia. Sean przystanął na chwilę, gdyż zobaczył, że ciemna ścieżka także wychodzi z jaskini. Po drugiej stronie groty widział siekący deszcz. To inna droga do domu! Przypomniał sobie, co mówiła tamta pani o dwóch drogach, z których musi wybrać, i że powinien pójść białą. Ale ta tutaj zanieśie go do domu szybciej, bez tego nie kończącego się marszu z powrotem do słonecznego wzgórka, z którego wszedł do tej krainy.

Westchnął i ruszył za Przewodnikiem Wędrówek. Kula już prawie zdążyła zniknąć mu z oczu między drzewami i przez krótką chwilę chłopiec obawiał się, że pozwolił jej uciec, lecz po krótkim biegu odnalazł ją prącą przed siebie w jednostajnym tempie. Las stawał się coraz gęstszy, w miarę jak wchodzili coraz głębiej, i coraz groźniejszy z wyglądu. Drzewa zdawały się wyższe, a pnie rosły gęściej. Wkrótce poczuł się tak, jakby wędrował przez kolejny tunel. Walcząc z przemożną chęcią zawrócenia biegiem ku wiodącej do domu jaskini, szedł zdecydowanym krokiem za jarzącym się światłem.

Chłopiec i jego przewodnik pokonali kolejny zakręt, a Sean odkrył, że droga wiedzie obok najdziwniejszego domu, jaki zdarzyło mu się widzieć. Stał między czterema potężnymi drzewami, a jakimi - tego już nie wiedział, może to były ogromne dęby. Kiedy podszedł bliżej, spostrzegł, że pnie drzew stanowią rogi tego domu, a między nimi rozpościerają się ściany. W oknach jarzyło się kuszące żółte światło, ciepłe i wesołe na tle ponurego mroku lasu. Przewodnik Wędrówek zawahał się przy wejściu, chybocząc i zataczając niewielkie kółka. Sean stanął obok kuli i popatrzył na drzwi tego domu. Po chwili zapytał:

- Czy tam jest Patrick?

Przewodnik zachybotał na boki, a Sean żałował, że kula nie umie mówić czy chociażby komunikować się z nim w jakiś inny sposób. Wtem wpadła mu do głowy pewna myśl, bo przypomniał sobie, jak odpowiedziała na jego pierwsze pytanie na słonecznym wzgórzu.

- Pytasz mnie, czy chcę tam wejść?

Kula zakołysała się energicznie w górę i w dół. Potrafi odpowiadać tak lub nie!

- A powinienem tam wejść? - zapytał więc Sean. Kula zakołysała się niepewnie. - Nie wiesz?

Kula znów poskakała w górę i w dół.

- Czy kiedy tam wejść, będzie mi łatwiej znaleźć Patricka? - Znów niezdecydowane kołysanie. Wtem Seanowi przyszło na myśl coś, co powiedział mu Barney. - Czy tam jest niebezpiecznie?

Kula znów parę razy podskoczyła.

- No to chodźmy. Zabierz mnie do Patricka.

Kula zawahała się, zrobiła kilka kółek. Wtedy Sean zrozumiał.

- To droga na skróty! - Kula podskoczyła kilkakrotnie. - Czy oszczędzimy dużo czasu? - Znów podskok. Sean przełknął ciężko ślinę i oświadczył: - W takim razie pójdziemy tędy.

Świetlista kula ruszyła w stronę drzwi do wielkiego domu, a kiedy tam dotarła, drzwi same się otwarły. Sean ścisnął mocno rękojeść sztyletu i ruszył za nią.

Sean stał przez chwilę pełen nabożnego podziwu. Cały dom stanowił jedną wielką izbę. Ale za to jaką izbę! Podłogi wykonano z polerowanego drewna, tak obfitującego w słoje, że zdawała się płynącą rzeką jasnych i ciemnych linii. Pnie potężnych drzew, które tworzyły rogi budynku, ktoś wyrzeźbił w kolumny, ukazujące ludzi i inne stworzenia w każdym możliwym aspekcie, jaki można było sobie wyobrazić. Sean prześledził wzrokiem ową płaskorzeźbę i dostrzegł sceny obrazujące każde wydarzenie z życia człowieka: urodziny, śmierć, miłość i wojnę, odkrycia, powroty do zdrowia, czyny heroiczne i niegodne, rozrywki najzwyklejsze i niezwykłe. Nie miał pojęcia, skąd wie, co przedstawiają owe płaskorzeźby - rozumiał po prostu, co oznacza każda z nich, i był pewien swojej wiedzy. Kula sunęła powoli przez ogromną salę, jakby obawiała się spowodować choć najlżejszy hałas.

Ściany budynku wykonano z białego, złoto żyłkowanego marmuru, co zdało mu się bardzo dziwne, biorąc pod uwagę, że z zewnątrz budynek prezentował się jak gigantyczna drewniana chałupa. Oglądając to wszystko szeroko otwartymi z podziwu oczyma, szedł w milczeniu za swym przewodnikiem. W sali znajdowało się sześćdziesiąt drzwi: pierwsze były te, przez które wszedł, naprzeciwko, po drugiej stronie sali znajdowały się drugie, a po obu stronach widział jeszcze po dwie pary. Pary drzwi w bocznych ścianach były jednakowej wielkości, lecz każde ozdobił odrębny, swoisty wzór. Chłopiec dotarł na wysokość pierwszej pary i zatrzymał się z przestachu, kiedy nagle oboje drzwi otwarły się przed nim na oścież.

Zatrzymał się, a serce waliło mu mocno, kiedy rozglądał się z prawa na lewo, chłonąc widziane za framugą obrazy. Miał świadomość, że po otwarciu drzwi w ścianie, po obu stronach powinien zobaczyć ogromny las. Lecz zamiast niego ujrzał niewielki gaik, który przywitał jego wzrok burzą najrozmaitszych odcieni wspaniałych jesiennych barw na drzewach, ciągnących się daleko w głąb. Nozdrza chłopca wypełnił rześki, orzechowy zapach. Kiedy zapatrzył się na piękny krajobraz, ujrzał małą, rudą wiewiórkę, która czyrkając, łajała sójkę-złodziejkę za skradziony orzech. W polu widzenia Seana pojawili się mężczyzna i kobieta, oboje posiwiali, lecz trzymający się prosto. Mieli na sobie modne stroje, kobieta - tweedowy żakiet i spódnicę, a na nogach wygodne traperki, mężczyzna - sztruksową marynarkę na golf. Oboje trzymali w ręku laski, raczej dla szyku niż z potrzeby. Mężczyzna zatrzymał się i uchylił przed Seanem wesołej czapeczki, kobieta zaś uśmiechnęła się i ruchem ręki wezwała go, by podszedł bliżej.

Sean wiedział, że powinien iść dalej, lecz ogarnęła go przemożna ochota, by pójść i sprawdzić, czego od niego chce ta miła para. Już chciał wykonać pierwszy krok w tym



kierunku, kiedy posłyszał za sobą ostre ptasie ćwierknięcie i obrócił się natychmiast w drugą stronę. Przez znajdujące się naprzeciwko drzwi ujrzał uroczą łąkę, okrytą głęboką, niemal szmaragdową zielenią. Zbocza wzgórz pstrzyły kolorami polne kwiaty, a kwitnące drzewa owocowe przyciągały białym kwieciem tysiące zbierających nektar pszczoł. Na gałęzi drzewa tuż za drzwiami siedział śpiewający rudzik. Sean westchnął. Nie wiedział, co to za miejsce, ale odczuwał lęk. W polu widzenia chłopca pojawiła się podskakująca czerwona piłka, a za nią przybiegli chłopiec i dziewczynka. Oboje mieli na sobie proste tuniki sięgające kolan i sandały. Oboje naraz chwycili za piłkę, w związku z czym wywiązała się szamotanina. Kiedy już miała się przemienić w prawdziwą walkę, dziewczynka, niemal idealna w swej dziecięcej urodzie, spostrzegła stojącego przed drzwiami Seana. Puściła piłkę i pokazała na niego ręką. Obcy chłopiec miał ciemne oczy i włosy, ale rysy równie urodziwe jak jego towarzyszka. Spoglądał na Seana z lekką nieufnością, lecz dziewczynka uśmiechnęła się i jęła przyzywać malca, by przyłączył się do zabawy. Seana ogarnęło nagle pragnienie, by porzucić wędrówkę i pójść się pobawić. Tych dwoje dzieci najwyraźniej przeżywało tu cudowne chwile.

Zrobił krok ku tamtym drzwiom, gdy nagle poczuł, że znów coś go ciągnie w przeciwną stronę. Obejrzał się i zobaczył, że kobieta i mężczyzna stanęli w swoich drzwiach i energicznie machają do niego, żeby to do nich podszedł. Chłopiec czuł, że coś go ciągnie w tamtą stronę, a serce zaczyna mu gwałtownie bić. To chyba jakieś czary, pomyślał. Wiedział, że nie wolno mu się poddawać tej dziwacznej chęci odwiedzin u obcych mu ludzi, bo powinien odnaleźć Patricka. Myśl o bracie wyraźnie mu pomogła, kiedy odwracał się ku drzwiom na drugim końcu sali i oddalał od przyzywających go czterech postaci.

Sunąc powoli do przodu, przybliżył się do drugiej pary drzwi, a wtedy i te się otwały. Sean spojrzął w drzwi po prawej. Za nimi ujrzał niewiarygodnie piękny zimowy pejzaż. Wraz z powiewem chłodnego powietrza doleciał go czyjś śmiech. Na scenę wkroczyło dwoje staruszków, najwyraźniej śmiejąc się z tego, co powiedziało przed chwilą jedno z nich. Spod ciężkich futrzanych czap, podobnych do tych, jakie Sean widział kiedyś u Rosjan w serwisie informacyjnym w telewizji, wyglądały włosy białe jak otaczający ich śnieg. Staruszkowie rozmawiali w języku, którego Sean nie rozumiał. Minęli bez wahania punkt obserwacyjny chłopca, jakby zupełnie nie zauważając jego obecności. Dopiero kiedy mieli zniknąć mu z oczu, mężczyzna zdołał go dostrzec. Natychmiast zaczął przyzywać Seana, żeby do nich podszedł, mówiąc coś szybko w tym swoim dziwnym języku.

Sean cofnął się, dławiąc w sobie pragnienie przyłączenia się do roześmianej pary. Odwrócił się i zajrzał w przeciwny otwór. Zobaczył tam scenę z plaży, która napełniła mu serce bólem tęsknoty. Wyglądało tam zupełnie jak w tych wszystkich miejscach, do których

rodzice zabierali ich kiedyś w Kaliforni - w pobliżu Point Durne i Zuma Beach. Wtem spośród fal wyłonili się młody mężczyzna i kobieta. Kobieta była naga od pasa w górę tak samo jak mężczyzna. Każde z nich nosiło tylko cieniutką przepaskę biodrową, która z trudem cokolwiek zakrywała. Kiedy żartobliwie ochlapywali się wodą, radosne krzyki niosły się daleko ponad szumem uderzających o brzegi fal. Lekki wietrzyk owionął Seana słoną mgiełką i gorącym podmuchem lata, a chłopiec poczuł na policzkach ciche łyzy tęsknoty, kiedy za framugą drzwi dał się słyszeć nikły okrzyk dalekiej mewy. Chciał być z powrotem w Kalifornii, ze swoimi przyjaciółmi, a nie zagubiony w jakimś obcym miejscu, gdzie miał szukać Patricka. Młodzi ludzie zaczęli się obejmować, potem znów wybuchnęli śmiechem, kiedy chłopak pociągnął dziewczynę na piasek. Pocałował ją, nakrywając własnym ciałem, a potem podniósł wzrok i dostrzegł Seana. Z olśniewającym uśmiechem, w którym białe zęby kontrastowały z opaloną twarzą, młody mężczyzna krzyknął do niego przyjacielsko. Kiedy się podniósł, dziewczyna przetoczyła się na brzuch i leżąc dalej na ziemi, uśmiechała się i machała do chłopca ręką. Sean poczuł gorący przypływ paniki, kiedy ogarnęło go pragnienie, by wejść w ten najbardziej swojski ze wszystkich widoków. Przełknął ciężko ślinę i skupił myśli na Patricku, a wtedy udało mu się odwrócić w stronę drzwi na końcu i postąpić o krok w tamtym kierunku. Kroczył dalej powolutku, a kiedy położył rękę na klamce, zapytał przewodnika:

- Czy to jest Dworzyszczce Zamierzchłych Pór?

Przewodnik podskoczył kilka razy w powietrzu, a Sean jeszcze raz obejrzał się na widziane przez czworo drzwi sceny.

- Miałbym problemy, jeśli wszedłbym w te drzwi, co?

Przewodnik potwierdził energicznie, przyśpieszając obrót wokół własnej osi i chybotając w górę i w dół. Sean zastanowił się przez chwilę, co by było, gdyby tak wszedł w któreś z bocznych drzwi. Pewnie utknąłby w pułapce i nigdy już nie mógł wrócić do domu. Stłumił jednakże ciekawość i zwrócił uwagę na drzwi przed sobą. W przeciwieństwie do wejściowych, te nie otworzyły się przed nim same. Sean otworzył je, naciskając wielką klamkę, a one rozwarły się ociężale.

Sean stał przez chwilę bez ruchu, bo nawet Przewodnik Wędrowek zdawał się wahać przed zanurzeniem w mroczny i odpychający las, jaki zarastał przestrzeń za budynkiem. Chłopiec wziął głęboki wdech, wstąpił na ciemną ścieżkę i ruszył za złocistym światłem prosto w czarną rozpacz.

Las wyglądał teraz jak twór z pozbawionego wszelkiej nadziei koszmaru: mroczne sklepienie z drzew rosnących tak blisko siebie, że ich powykręcane konary wyglądały jak brązowe sploty na tle czarnego namiotowego płótna, jak żałobny batikowy baldachim wysoko nad głową. Tutaj opadało człowieka poczucie minionych wieków. Sean rozglądał się trwożnie na boki, jakby za każdym zakrętem czyhało coś, co mogło na niego naskoczyć. Korę drzew porwały głębokie żleby, nadszarpnął zdradziecko czas, tak że pnie przypominały teraz twarze starodawnych ludzi, których przez długie wieki poddawano torturom. Wiał pobrzmiwający echem wiatr, a kołyszące się w jego podmuchach gałęzie zdawały się wyciągać ku Seanowi groźnie... lub błagalnie.

Sean maszerował przed siebie, niosąc w pamięci zmorę tamtej nocy, kiedy zabrano Patricka, i własny strach. Wiedział, że gdyby nie podarowany mu przez Barneya kamień wróżek, zostałby pojmany razem z bratem. Kiedy przyszedł po nich Świecący Człowiek, Sean przypominał drżące ze strachu zwierzę, kulące się w przerażeniu stworzenie, którego nie można było już nazwać człowiekiem. Nic, co mógłby teraz zobaczyć, nie zdoła już przewyższyć grozą tamtej beznadziei, zaniechania wszelkiej walki o przetrwanie. Młodociany umysł musiał sobie poradzić z nowo odkrytą rzeczywistością zranionej dumy i żądy zemsty, a ponieważ żadne z tych uczuć w niczym nie przypominało tego, czego naoglądał się w telewizji w sobotnie poranki, nie zdołał ich właściwie rozpoznać. Niemniej czuł w sobie obie te potrzeby i wiedział, że kiedy już stanie twarzą w twarz ze Świecącym Człowiekiem, będzie działał. Nie rozmyślał nad tym - po prostu przyjął to za pewnik. Bez Patricka czuł się tak, jakby i w nim samym brakowało jakiejś ważnej części, bo ta szczególna więź między nimi - ta, która pozwalała im czasem dzielić się myślami, wiedzieć, co w danej chwili czuje ten drugi - ta więź została brutalnie przecięta. Bez Patricka Sean był nie do końca sobą. Los dał mu szansę na odzyskanie brata, więc nic oprócz samej śmierci nie zdoła go powstrzymać.

Zawodzące, ponure wycie wiatru przerwał tętent szybko zbliżających się końskich kopyt. Niebo pociemniało, jakby przed jeźdźcem postępowała sama noc. Sean stanął, niepewny, co powinien teraz zrobić: kryć się, uciekać czy po prostu stać. Wybrał pierwszą z tych możliwości i pognał, żeby wyprzedzić świetlistą kulę. Sięgnął po nią dłonią i przekonał się, że posiada lity środek, kulkę wielkości basebalowej piłki. Złapał ją i śmignął w przydrożne krzaki, gdzie przykucnął za obalonym pnem i wyrzwał przez wysoką dziką trawę, nakrywszy najpierw własnym ciałem kulę światła.

Drogą galopował jeździec - postać jak z koszmarnych snów. Jarzący się białym

blaskiem koń, wyciągnięty w płynnym galopie, poruszał długimi nogami tak, jakby płynął w powietrzu. Powiewał ognistą grzywą i ogonem, kiedy jeździec zmuszał go ostrogami do jeszcze szybszego biegu. Sam jeździec odziany był w czarno-srebrną zbroję, hełm, pelerynę i tunikę. Hebanowy płaszcz powiewał za nim jak gigantyczny, wydymany wiatrem żagiel. Głowę trzymał wysoko, jakby czegoś szukał, bo ciemne otwory na oczy w zwieńczonym jelenimi rogami szyszaku zdawały się pilnie przeszukiwać okoliczne lasy.

Na strzemieniu przycupnęło, przylgnięte do nogi swego pana, Coś Złego, które przy akompaniamencie końskich kopyt zanosilo się przenikliwym, niedobrym śmiechem. Wyglądało na to, że cieszy je ta ryzykowna przejażdżka. Między jednym a drugim przerażonym uderzeniem Seanowego serca jeździec zniknął z pola widzenia.

Sean przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo i czekał, aż serce wróci do normalnego rytmu, potem przypomniał sobie o przewodniku. Zsunął się na bok i ujrzał matowoszarą metalową kulkę, ciężką i zastygłą w bezruchu. Spoglądał na nią w rozpacz, bo jakże odnajdzie Patricka, skoro już nie miał przewodnika? Oczy wezbrały mu łzami, kiedy szeptał:

- Proszę cię, nie umieraj! Pomóż mi znaleźć Patricka!

Powtórzył słowa, których nauczył go Barney, ale kula leżała nieruchomo. Na koniec, zrezygnowany, postanowił wędrować dalej, gdy nagle gdzieś nad sobą posłyszał cichy, przyjazny śmiech.

Przetoczył się na plecy i odpełznął do tyłu, wymachując swym srebrnym sztyletem.

Z drzew opuścił się niedbale na ziemię czternasto - lub piętnastoletni chłopiec, który utkwiał w Seanie spojrzenie jasnoblękitnych oczu. Wyraźnie nie przejmował się widokiem sztyletu, lecz Sean i tak celował weń ostrym szpikulcem. Wtem rozpoznał w nim chłopaka, opisanego przez siostrę.

- To ty skrzywdziłeś Gabbie!

Chłopak przecząco pokręcił głową, uśmiechając się przy tym szeroko, a potem ruszył szybko i nagle jak kot. Zanim Sean zdążył się zorientować, chłopak już klęczał przy nim i trzymał w żelaznym uścisku przegub ściskającej sztylet dłoni, unieruchamiając ją w ten sposób.

- Gdybym zamierzał zrobić ci krzywdę, Seanie Hastings, nie byłoby to zbyt trudne zadanie. Ale to, że mogę cię dotykać mimo talizmanu, dowodzi lepiej od słów, że mam przyjazne zamiary. - Puszczać rękę chłopca, dodał: - To nie ja nękałem twoją siostrę.

Sean trwożnie odpełznął do tyłu. Fakt, że nieznajomy mógł mu zrobić krzywdę, a nie zrobił, wcale nie dodał mu otuchy.

- Wyglądasz tak samo jak tamten - odparł, przywołując całą swoją odwagę.

- U naszej rasy wygląd to sprawa kaprysu - odparł młodzian z westchnieniem. Zamigotał niebieskobiałym światłem, przypominającym nimb otaczający Świecącego Człowieka, potem zmienił kształt - ciemny kontur za świecącą powłoką - a później poświata zniknęła. Na miejscu chłopaka klęczał teraz mężczyzna, nieco starszy, lecz nadal młody. Miał na sobie dziwaczny kapelusz z szerokim rondem, proste spodnie, koszulę i grube, robocze buciory. Nosił brodę. Zanim Sean zdążył zaprotestować, ujął go pod ręce i dźwignął w górę, odzywając się głębokim, dojrzałym głosem:

- Widzicie to, co chcemy, żebyście widzieli, wy z rodu śmiertelników. To nasza wola nadaje nam taki lub inny kształt. A w tej postaci mogłem mieć twoją siostrę, gdybym tylko zechciał. - Uśmiechnął się na to wspomnienie i dodał: - Tak urodziwej już od lat nie oglądałem pośród waszej rasy, ale choć ochoczo i z radością rozłożyłaby przede mną nogi, nie ja będę tym, który złamie Ugodę. - Puścił Seana, jeszcze raz otoczył się tym samym blaskiem i nagle przed Seanem stał mały chłopczyk, najwyżej sześć - czy siedmioletni.

*Patrz z daleka czy też z bliska,  
Świeca to, czy gwiazda błyska?  
Widzisz, co widzisz, lub tak zda ci się snadnie,  
Lecz kto smak wody przed wypiciem zgadnie?  
Gdzie prawda, gdzie kłamstwo - kto pozna?  
Kiedy oczom zawierzyć swym można?  
Wątpij w to, co w śmiertelnych zmysłach się zrodzi,  
Gdyż natura nasza mistyczne pokona przegrody  
Wstawione między to, co jest, a to, co się zdaje,  
A nam znów tylko prawda... albo sen zostaje.*

Mówił dziecinnym, figlarnym i śpiewnym głosikiem. Zajaśniał raz jeszcze i znów przed Seanem stał tamten chłopak.

- W tym właśnie tkwi sekret naszej siły, bo skoro wierzycie w to, co widzicie, to broń i tarcza, jadło i napitek są rzeczywiste dla tych, którzy takimi je widzą. Iluzja to potężna moc, jeśli zostanie uznana za prawdę. Dalibóg, gdybyście mieli siłę uwierzyć, moglibyście żyć wiecznie, czerpiąc z tego życia, którego aż nadto w powietrzu! Nosisz na powiekach zieloną plamę, dlatego też potrafisz przejrzeć iluzję, lecz nie dlatego, że plama ma taką moc, lecz dlatego, że ty w to wierzysz. - Roześmiał się, a na ten dźwięk Sean poczuł, jak coś gorącego spływa mu po grzbiecie. - I ty zapamiętasz. Nie, nie ja nękałem twą urodziwą siostrę,

chłopcze - dodał po chwili. - Kto inny pragnął jej krzywdy, tak jak to bywało wcześniej i jak będzie się działo nadal, jeśli mu na to pozwolić. Chciał na mnie zrzucić winę z zemsty za dawny mój czyn, nieszkodliwy żarcik, który do tej pory stoi mu kością w gardle.

Sean wstał, chciał się znaleźć jak najdalej od tego budzącego niepokój chłopaka.

- Muszę znaleźć brata - rzucił jak wyzwanie, jakby ostrzegał nieznanego, by nie ważył się go zatrzymać.

Młodzieniec wybuchnął dźwięcznym, perlistym śmiechem.

- A ja nie stanę na zawadzie twoim poszukiwaniom, Seanie. - Spojrzał w głąb drogi, jakby spodziewał się, że jeździec może pojawić się z powrotem, i dodał: - Ów narobił nam w ciągu wieków wielu kłopotów, ale tym razem posunął się dalej, niż Królowa skłonna jest tolerować... - Roześmiał się, jakby ta perspektywa zdała mu się zabawna. Potem nagle spowaźniał. - Niemniej poza granicami Krainy Jasności jest równie potężny jak ona. Znajdź brata, póki nie ma tu Błazna, potem bieżajcie białą ścieżką prosto na dwór Królowej. Jeśli ów was dogoni, walczcie najlepiej, jak potraficie. Niektórzy wam pomogą, choć żaden z nas - nawet ja - nie dorównuje potęgą Błaznowi. Jedna tylko Królowa może się z nim równać. - Chłopiec jeszcze raz wybuchnął śmiechem, jakby to wszystko było tylko zabawą. - Niemniej, niektórzy z nas, choć nie dorównują Błaznowi, są i tak potężniejsi od reszty. - Sięgnął dłonią po pozbawioną życia kulę i dmuchnął na nią lekko. W miejscu, na które dmuchnął, natychmiast ukazała się żarząca plamka, rozpełzając się szybko po całej powierzchni. Krągłym ruchem nadgarstka cisnął wirujący krąg wysoko w powietrze, gdzie rozbłysnął całą mocą poprzedniego blasku. - Odżyj, mały duchu światła, prowadź w wędrówce tego oto chłopca, zabierz go tam, dokąd ciągnie go serce. Znajdź tego, który jest z nim jednego serca i ducha - niech znów będą dwaj z jednego łona. Leć!

Przewodnik Wędrówek zatoczył krąg wokół głowy Seana, potem wystrzelił z powrotem ku drodze, gdzie natychmiast powrócił do swego węzowego tańca, tym razem jednak znacznie szybszego, jakby polecenie młodzika dało mu więcej energii. Sean rzucił się do biegu i zrównał się z kulą, kiedy niknęła za zakrętem drogi. Obejrzał się przez ramię, żeby podziękować chłopakowi, lecz na drodze nie pozostał już nawet ślad jego obecności. Sean zadrzał i ponownie spychając na bok strach, podjął na nowo swą wędrówkę w poszukiwaniu Patricka.

Poskręcany, jałowy krajobraz zdawał się ciągnąć milami. Sean dawno już stracił poczucie czasu, poddał się po prostu i brnął ciężkim krokiem za rozjarzonym Przewodnikiem Wędrówek. Miał poczucie, że brnie przez ten opuszczony łąd już od wieków.

Potem weszli na szczyt jakiegoś wzniesienia, a przez powykręcane konary drzew Sean dojrzał inne dziwne domostwo. Stało tyłem przy wzgórku, a raczej stanowiło jego część, gdyż widać było tylko jedną, przednią ścianę. Wyglądało to tak, jakby ktoś postawił tę ścianę u wylotu jaskini czy wyrobiska w zboczu pagórka. Przez otwarte drzwi dolatywały jakieś głosy. Sean nie rozumiał języka, który składał się głównie z ryków i pochrząkiwań, wrzasków i obłąkańczych śmiechów - a rozbrzmiewał przy akompaniamencie rozbijanych o ściany naczyń i ciskanych ciężkich przedmiotów - nie miał jednak ochoty poznawać uczestników tak burzliwie przebiegających rozmów, minął więc dom nader pospiesznie.

Sunął na tyle szybko, że wyprzedził lekko Przewodnika Wędrówek i musiał chwilkę na niego poczekać. Kiedy tak stał, zauważył pewną dziwną właściwość drogi. Gdy obracał głowę, spostrzegał, że droga zmienia barwę z czarnej na białą i odwrotnie, przypominając mu „ruchome” obrazki, jakie znajdował czasem w pudełkach z płatkami śniadaniowymi. Dla Seana było jasne, że tutaj drogi biała i czarna biegną równolegle.

Sean ruszył podwójną drogą w głąb niewielkiej kotlinki, potem wyszedł po jej drugiej stronie i nagle znalazł się przed zupełnie odmiennym krajobrazem. Przed nim wznosił się gęsty, potężny bór pełen ciemnych drzew, a niebo nad głową przechodziło raptownie z szarości w czerń. Nikt nie musiał mu mówić, że opuszcza właśnie miejsce, które Królowa nazwała Krainą Cienia, i wchodzi w Krainę Mroku.

Sean przystanął, gdyż widok ten przejął go lękiem. Kraina Cienia zdawała mu się znękanym, smutnym krajem, gdy tymczasem Kraina Mroku okazała się ziemią niezemskiej piękności. Nieznane, subtelne drzewa chwiały się w powiewach lekkiej letniej bryzy, a między konarami nocne ptaki ciągnęły uprzykrzone, przenikliwie trele. Każde z drzew miało ciemnozielone liście i pąki kwiatów, mimo że na niebie nie było światła. W zamian światłem emanowały pnie, liście, trawy, nawet goła ziemia. Był to krajobraz pełen niewiarygodnych, fosforyzujących jarzeń, miast pojedynczego źródła światła, od którego mogłyby tworzyć się cienie. W powietrzu unosiła się ciężka woń nocnych kwiatów, a pieśni ptaków spletały się z cykaniem świerszczy. Nie było to niedobre, przytłaczające miejsce, gdzie obłąkane duchy pielęgnują swą czarną nienawiść do ludzkości, ale najprawdziwszy czarodziejski las wróżek, las pełen magii i dziwów. Przytłaczał trochę swoim pięknem, jednak w tym miękkim,

mrocznym krajobrazie leśnym nie wyczuwało się nic, czego należałoby się bać. Seanowi towarzyszyło raczej uczucie, jakby szedł nocą przez najpiękniejszy i najdoskonalszy las na świecie. Widział tu i kolory, choć niespotykane i obce. Wszystko to razem przypominało ledwie widoczne malowidło, kreślone ciemnym światłem, które jednak żyło, rosło harmonijnie, nie tak zniszczone i powykęcane jak w Krainie Cienia. To właśnie była kraina wrózek, jakiej spodziewał się w głębi serca!

Sean zauważył, że Przewodnik Wędrówek płonie teraz znacznie mniej intensywnym blaskiem, jakby potrzebował mniej światła, by być widocznym. Lecz mimo to dalej kontynuował swą wesołą, taneczną wędrówkę od pobocza do pobocza, na pozór wcale nie przejęty tym, gdzie się znalazł. Przypomniawszy sobie, jak nerwowo zareagował na prośbę o odnalezienie Błazna, Sean pomyślał, że to dobry znak. Żywił bowiem cichą nadzieję, że Świecący Człowiek i Coś Złego nadal pędzą konno po lasach i nieprędko tu wrócą. Bardziej niż o cokolwiek innego chłopiec modlił się w duchu o to, by udało mu się znaleźć Patricka i bezpiecznie uciec bez konieczności stawienia czoła Świecącemu Człowiekowi. Czuł wprawdzie, że to raczej mało prawdopodobne, lecz sama myśl o tym napawała go większym optymizmem.

Przewodnik Wędrówek wyraźnie przyspieszył tempa, więc i Sean ruszył szybciej, żeby dotrzymać mu kroku. Uznał to za sygnał, że są blisko celu lub że dogania ich coś groźnego, więc serce zabiło mu szybciej i w mig stał się czujny. Nagle opuściło go całe dotychczasowe zmęczenie.

Przechodzili teraz między gęsto rosnącymi, grubymi pniami. Ścieżka zwężyla się tak znacznie, że Sean nie mógł pojąć, w jaki sposób przejechał tędy koń Świecącego Człowieka. Nieoczekiwanie znaleźli się przed kolejnym pagórkiem wrózek, tyle że to wzgórze zdało się chłopcu większe od pagórka Królowej, a do tego zwieszające się nad szczytem konary tworzyły nad nim coś w rodzaju czarnego baldachimu. Wydawał się zupełnie opustoszały, w każdym razie Sean nie zauważył na nim nikogo.

Przewodnik opuścił ścieżkę i zaczął piąć się na wzgórek, Sean zaś podążył za nim, przebierając pracowicie małymi nóżkami. Na szczycie wzgórka znalazł namiot, cały w czarnych jedwabiach i piernatach, a w środku tego namiotu - Patricka.

Patrick leżał na stercie poduszek, pogrążony w głębokim śnie. Sean spojrzął na brata i serce podskoczyło w nim z przestachu. W ciągu zaledwie kilku dni niewoli Patrick już zaczął się zmieniać. Nie miał na sobie ubrania, jedynie cienką przepaskę z listowia, a we włosach wplecione girlandy czarnego kwiecia i ciemnozielonych liści. Usta pokryto mu głęboką czerwienią, a powieki i paznokcie pomalowano czymś, co nadało im perłowy blask. Dookoła



niego spały najróżniejsze małe stworzenia. Nadejście Seana nie przerwało im drzemki. Malec wpatrzył się w nie na chwilę, pierwszy raz w życiu zobaczył bowiem przed sobą wróżki, których wygląd zgadzał się z jego dziecięcymi oczekiwaniami. Przy boku Patricka ułożyły się skrzaty i duszki. Każdy z nich przypominał z wyglądu małego człowieczka, nagiego i ozdobionego z tyłu parą delikatnych skrzydełek. Dookoła Patricka drzemały też i mniej wdzięczne z wyglądu stwory - jedne przypominające ropuchy, inne pokryte futrem i jakby zdeformowane. Od tych Sean odwrócił oczy, jakby bał się, że samym tylko spojrzeniem mógłby wyrwać je z głębokiego snu.

Dookoła namiotu brzęczały owady, świecące miękkim światłem robaczki świętojańskie, które przybrały ciemny baldachim punkcikami niebieskozielonej iluminacji. Przez wieczystą noc dochodziło jękliwe zawodzenie nieznanymi ptaków, trylujących o swoich sekretach. Wiał leciutki, a nawet zmysłowy wietrzyk, pieszczony zaś jego podmuchami Sean miał ochotę rozplakać się nad urodą tego miejsca. Potem wietrzyk przyniósł mu delikatny korzenno-kwiatowy zapach, lecz z takich kwiatów i przypraw, jakie nie bywają na ziemi. Ta piżmowa woń sprawiła, że serce Seana zabiło szybciej i chłopiec zrozumiał, że to, co się dokonuje w tym łóżu, pod tym baldachimem, jeśli będzie trwało, zmieni i zepsuje Patricka. Musi natychmiast zabrać stąd brata.

Na paluszkach wszedł do namiotu i szarpnął ramieniem Patricka, żeby go obudzić. Chłopiec poruszył się ociężale, jakby pod wpływem narkotyku, a Sean potrząsnął nim kilka razy. Wreszcie odemknął powieki i zaraz szeroko otworzył oczy, widząc nad sobą brata. Sean gestem nakazał mu ciszę, a Patrick kiwnął głową, choć poruszał się bardzo ospale. Żeby wstać, musiał najpierw delikatnie odsunąć malutką kobietkę, przytuloną do jego piersi. Chłopcy odczekali następnie długą chwilę, lecz małe duszki nadal spały głęboko, zupełnie nieświadome ich ruchów. Sean ujął Patricka za rękę i wyciągnął go z czarnego namiotu. Choć Patrick szedł ociężale, udało mu się nie nadepnąć na żadne ze śpiących stworzeń.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Sean wziął głęboki wdech i spojrzał na brata. Patrick mrugał nieustannie, próbując zobaczyć coś wyraźniej, potrząsał też głową. Powieki wciąż mu opadały, a szczęka zwisała luźno, jakby przez cały czas musiał walczyć ze sobą, żeby nie zasnąć. Sean na poły prowadził, na poły włókł Patricka za sobą w dół po zboczach wzgórz.

- Chodź - szepnął, kiedy znaleźli się na dole. - Musimy stąd uciekać.

Patrick przytaknął kiwnięciem głowy, nadal zdezorientowany, a Sean przypomniał sobie, co Barney mówił mu o spaniu w krainie wrózek. Patrick mógł przespać cały ten czas, odkąd zabrał go Świecący Człowiek! Nawet teraz był na pół śpiący, może nawet sądził, że to wszystko sen. Możliwe, że nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdują. Sean musi

więc przejąć dowództwo i po prostu zaufać, że brat będzie spełniał jego rozkazy bez protestu, dopóki obaj nie znajdą się w bezpiecznym miejscu.

Przewodnik Wędrówek zszedł za chłopcami z pagórka. Sean spodziewał się, że kula zniknie, kiedy Patrick się znajdzie, lecz teraz zapytał:

- Pokażesz nam drogę powrotną?

Przewodnik Wędrówek podskoczył w miejscu i zaczął prowadzić ich z powrotem tą drogą, którą przybył Sean. Obecność rozjarzonej kuli jakoś dodała ducha chłopcu. Po raz pierwszy naprawdę miał nadzieję, że uda mu się zabrać stąd brata bez konieczności spotkania ze Świecącym Człowiekiem. Wiedział, że jeśli uda im się wydostać ze wzgórza i utrzymać się z dala od Świecącego Człowieka do północy, Dobry Ludek odejdzie, a oni będą bezpieczni.

- Proszę Cię, Boże, pozwól nam wrócić bezpiecznie do domu! - szepnął chłopiec.

Patrick sunął niepewnym krokiem za bratem, pozwalając mu ciągnąć się za rękę, lecz wzrok nadal miał szklisty, a wyraz twarzy odległy i marzycielski. Nie odezwał się ani słowem, kiedy Sean zaczął prowadzić go ścieżką w stronę domu.

Sean i Patrick czekali. Coś zatrzymało Przewodnika Wędrówek w jego beztróskim tańcu na drodze. Zawisł w powietrzu, obracając się dookoła własnej osi, jakby zastanawiał się, którędy dalej. Już od jakiegoś czasu znajdowali się z powrotem w Krainie Cienia - Seanowi wydawało się, że minęły już całe godziny, choć mogły to być ledwie minuty. Otaczał ich mroczny i opuszczony las - miejsce pozbawione wszelkiej nadziei, idealne otoczenie dla koszmarnych snów i niecnych planów - z drzewami o szarych liściach i czarnych, powykręcanych konarach, na których nie rosły ni owoce, ni kwiaty. Hebanowe pnie, na wieczność pogrążone w najbardziej szarej jesieni, tkwiły przy drodze jak w pułapce, milcząco błagając o ocalenie. Ostry wiatr dmuchnął Seanowi w twarz nikłym wspomnieniem zapachu dymu i rozkładu. Chłopiec obrócił się ku Patrickowi i spostrzegł, że brat ma nieobecne spojrzenie, jakby myślami przebywał gdzieś daleko stąd. Od chwili gdy został uratowany, Patrick prawie przez cały czas milczał. Sean musiał powtarzać pytanie po kilka razy, chcąc uzyskać od niego jakąś odpowiedź, a i wtedy była ona zwykle krótka i nieuważna, jakby Patricka pochłaniało coś zupełnie innego. Sean poczytał to za wynik przebywania w niewoli i po chwili porzucił wszelkie próby nawiązania rozmowy. Zresztą zmęczenie oraz strach i tak skłaniały go raczej do milczenia. Sean ruszył dalej, ująwszy brata za rękę. Patrick zawahał się, potem zaczął iść o krok za bratem.

Pomiędzy drzewami po prawej dał się słyszeć jakiś hałas, a po chwili podobny rozgwar odpowiedział mu po lewej. Sean przystanął i musiał szarpnięciem osadzić w miejscu Patricka. Hałas po obu stronach wzmógł się - szelest poruszanych gałęzi, stukot końskich kopyt i pobrzękiwanie broni. Sean nie miał wątpliwości, co go teraz czeka: spomiędzy drzew wychynęli jeźdźcy i ustawili się tak, że w każdej chwili mogli bez trudu okrążyć chłopców.

Potem z lasu wyłoniły się hordy innych stworzeń, powykręcanych i pokracznych, jeśli nie na ciele, to już z pewnością na duszy. Panie o niebywałej urodzie, przybrane w przejrzyste białe szaty, które spływały aż do samej ziemi, na poły wyszły, na poły wypłynęły spomiędzy sękatych drzew. Małe istotki, które spały przy Patricku, niewiele większe od kolibrów, mknęły w powietrzu na spotkanie Seana. Jeźdźcy i konie, przybrani wspaniale w świetne zbroje i czapraki, ruszyli z wolna, by okrążyć bliźniaków. Pomiędzy końskimi nogami przemykały przysadziste, złe z wyglądu stwory ze szpetnymi pyskami zastygłymi w uśmiechach pełnych złośliwej radości. Sean zdumiał się, że tyle istot, nawet malutkich, mogło się jeszcze przed chwilą kryć przed jego wzrokiem. Bał się, lecz nie ustępował pola, trzymając jedną ręką dłoń Patricka, drugą zaciskając mocno na rękocyści sztyletu.

- Oto nasze dziedzictwo - odezwał się za nim jakiś głos.

Sean podskoczył w miejscu i okręcił się z gwałtownym biciem serca, bo spoglądał na niego sam Błazen. Jeździec bezszelestnie podszedł go z tyłu. Sean wiedział już, dlaczego Przewodnik Wędrówek stanął w miejscu - zatrzymał go swymi czarami Świecący Człowiek, tak jak poprzednio uczyniła to Królowa.

Błazen stał przed nim, olśniewający w swej czarno-srebrnej zbroi, trzymając pod ręką szyszak. Jego biały rumak cicho mierzył Seana spojrzeniem świecących bursztynowych oczu. Rycerz przekrzywił lekko głowę, przyglądając się małemu chłopcu, stojącemu przed nim ze wzniesionym sztyłem.

- Dzielny jesteś, mały wojowniku - rzucił ze śmiechem. Potem zawołał: - Słuchajcie mnie, moje dzieci! Pójdźcie tu! Mamy gościa. - Wyciągnął przed siebie szyszak, a zaraz z szeregu oderwał się elf o wyglądzie chłopca, który wziął go od swego pana.

Gdy krąg wrózek zaczął się zacieśniać, Sean rozejrzał się szybko w poszukiwaniu drogi ucieczki. Błazen podjechał parę kroków i osadził wierzchowca tuż przed chłopcami. Pochylił się i zawisł twarzą nad buzią Seana.

- Tutaj było niegdyś tak samo jak w innych krainach, przez które przechodziłeś - oznajmił. Odwrócił się i gestem wskazał otaczające ich jałowe lasy. - Między Krainą Jasności a Krainą Mroku znajdowała się tu niegdyś Kraina Zmierzchu, gdzie dzieci naszego ludu bawiły się pod okiem nas, jego władców. Panowała harmonia i równowaga, mieliśmy jeden dwór, którym rządaliśmy w pokoju. Ja władałem, a u mego boku Królowa. Potem pojawili się magowie ze swymi czarami oraz zaklęciami i stoczono wielką bitwę. - Wyprostował się w siodle, wyciągając się na całą swą majestatyczną wysokość, po czym kontynuował dźwięczącym dumą głosem: - Walczyliśmy bohatercko. - Potem głos mu przycichł. - Ale zostaliśmy pobici i zmuszono nas do zaprzysiężenia Ugody. - Pochylając się znów nad Seanem, dodał: - Oto nasze dziedzictwo. To właśnie jest dzieło twojej rasy: Kraina Cienia. Równowagę zniszczono, nastał kres harmonii, rozdzielono potęgę, zatem tam, gdzie niegdyś był jeden dwór, mamy dwa, zwarte w walce. Królowej nie ma już u mego boku. Nic nie jest dobrze. - Przymrużywszy oczy, wpatrywał się uważnie w Seana, po czym zapytał: - A więc powiedz mi, mały dzielny chłopcze, co sądzisz o darach, jakie twoja rasa złożyła naszemu ludowi?

Sean zerknął przez ramię na Patricka, który wyglądał jak otumaniony, i przełknął ciężko ślinę. Błazen pochylił się nad nim i ostrożnie wyciągnął rękę. O pół cala od Seanowego ramienia szarpnął rękę gwałtownie w tył.

- Nadal nosisz talizman, chłopcze. - Wywinął rękę w zupełnie nieprawdopodobny

sposób i złapał Patricka. - Ale ten oto go nie ma! On pozostanie, a ty razem z nim. - Wybuchając śmiechem szaleńca, dorzucił: - Będę miał swoją parkę.

Patrick zwisał z dłoni Świeącego Człowieka jak przytrzymywane za kark kocię, bez ruchu i bez protestu. Sean przełknął strach. Powoli, żeby niczego nie poplątać, wyrzekł:

- Amadàn-na-Briona. W imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa rozkazuję tobie i twojemu dworowi wypuścić mnie i mojego brata i żebyś za nami nie jechał. - Ogarnięty zwątpieniem, zdał sobie sprawę, że nie powiedział tego dokładnie tak, jak nakazał mu Barney, ale modlił się w duchu do Matki Boskiej, aby tyle wystarczyło.

Błazen odchylił głowę i przeraźliwie wrzasnął, otaczające zaś ich wróżki cofnęły się z zapartym tchem jak odrzucone nagłym powiewem wiatru. Rumak Błazna szarpnął do tyłu i zatańczył w koło, przebijając w powietrzu przednimi kopytami, a tylnymi łomocąc ciężko o ziemię, jakby zwierzę podzielało gniew swego pana. Błazen utrzymał się w siodle, mimo że rozpostarł szeroko oba ramiona, a w jednej ręce dalej trzymał Patricka, jakby ten nic nie ważył. Dookoła jeźdźca zapłonęło światło, dzika aura wściekłości. Wrzask Błazna zdjął Seana prawdziwym przerażeniem, więc chłopiec wzdrygnął się i odstąpił o krok, a z gardła wyrwał mu się szloch. Straszliwy dźwięk sprawił, że po twarzy popłynęły mu łzy, przywołując wspomnienie o tamtym krzyku, który wydawał z siebie Sean w noc odwiedzin Świeącego Człowieka. Krzyk trwał i trwał w nieskończoność, chropawy głos nienawiści i gniewu. Potem ucichł stopniowo, a rycerz w zbroi zwrócił ku Seanowi twarz, która stała się maską czystego szaleństwa. Światło wokół Błazna zelżało, kiedy wypuścił Patricka. Chłopiec opadł ciężko na ziemię, potrząsnął głową, jakby próbował pozbierać myśli, i zaczął powoli dźwigać się na nogi. Z tłumu wysunęła się czarna sylwetka Czegoś Złego i podbiegła do Patricka, żeby przytrzymać go w miejscu za ramię w oczekiwaniu na rozkazy pana. Na twarzy Świeącego Człowieka ból zastąpiła wściekłość. Sięgnął w dół, uchwycił Seana za luźny przód koszuli i z potężną siłą wydzwignął chłopca do góry, mimo że dotknięcie osoby, która nosiła kamień wrózek, wyraźnie sprawiało mu ból. Sean wydał z siebie cichy pisk zaskoczenia i strachu, po czym ciął z całej siły sztyletem, raniąc grzbiet ręki wroga i krzycząc:

- Puszczaj!

Błazen wrzasnął z bólu i wypuścił chłopca. Sean opadł na drogę, gdzie przez chwilę siedział, obserwując przeciwnika. Ten zaś złapał za zranioną rękę, jakby przeszyty bólem, i zaczął wić się w siodle, znów rozniecając wokół siebie bardzo silne lśnienie. Koń zatańczył pod nim niespokojnie, kiedy jego pan znów krzyknął. Krzyk trwał i trwał, a pozostałe wróżki cofnęły się o kolejny krok. Potem dźwięk i blask zaczęły słabnąć, a Błazen siedział w

bezruchu na koniu naprzeciwko Seana. Ciskając z błękitnych oczu oszalałe błyskawice, wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Znasz moje imię, śmiertelne dziecko. Muszę zrobić, jak sobie życzysz, bo *geas*\* [\**Geas, geasa* (irl.) - zobowiązanie, narzucane za pomocą czarnoksiężskich mocy, którego w żaden sposób nie da się uniknąć lub odrzucić.] ma mnie w swej mocy. Ale jeszcze nie jesteś wolny. Przed tobą długa i daleka droga. Możesz rozkazać mi tylko jeden raz, a to już uczyniłeś. Zrobię, jak mi rozkazałeś, ale nic poza tym! - Siedział w siodle, trzymając się za zranioną dłoń, z której spływała obficie czerwona krew. Po chwili machnął nią w powietrzu trzy razy, a rana zniknęła bez śladu. Z obłąkańczym śmiechem zawrócił konia, żeby spojrzeć na swych poddanych. - Puście ich, albowiem mają na to moje słowo! - Tłum mrocznych wrózek przestał sunąć groźnie na Seana, z wyjątkiem Czegós Złego, które chwyciło Patricka za rękę i zaczęło ciągnąć w swoją stronę.

Błazen znów krzyknął, tym razem raczej z uciechy niż z bólu czy złości. Siedział okrakiem na koniu, a jego twarz opłomieniało szaleństwo nie mniejsze niż owej nocy, kiedy pojawił się w pokoju chłopców. Koń znów zatańczył pod nim, parszcząc i ukazując białka oczu. Sean pospiesznie ruszył w stronę brata. Coś Złego skuliło się i zaczęło się cofać, a w jego prostym umyśle zapanował zamęt wobec tej tak nagłej zmiany rozkazów pana. Sean spoglądał na budzącego grozę potwora i przekonał się, że w istocie jest on o wiele mniejszy, niż mu się przedtem zdawało. Niemal świecące, brązowo-żółte oczy zamrugwały, śledząc pilnie ruchy Seana, potem obejrzały się na Świecącego Człowieka w oczekiwaniu rozkazów. Seana ogarnął straszny gniew - miał serdecznie dość tego, że rządzą się nim i próbują zastraszyć te wszystkie stwory.

- Daj nam spokój! - krzyknął chłopiec i zamachnął się dziko na Coś Złego, które cofnęło się w popłochu, sycząc ze złości i strachu przed srebrnym sztyletem. Stworzenie obnażyło kły, ale Sean jeszcze raz pogroził mu sztyletem, więc czmychnęło i przycupnęło za koniem swego władcy.

Patrick nadal wyglądał jak oszołomiony, oczy miał szkliste i nie okazywał po sobie, że cokolwiek rozumie z tej sytuacji. Niepewny, co ma robić dalej, Sean pociągnął Patricka za rękę, jakby chciał go znów poprowadzić drogą.

Patrick podążał za nim posłusznie przez kilka kroków, gdy wtem zabrzmiał głos Błazna:

- Patrick, bierz go!

Sean poczuł szarpnięcie i obróciwszy się gwałtownie, zobaczył, że Patrick zaparł się nogami w ziemię. Patrick szarpnął jeszcze raz i Sean upadł. Wtedy Patrick rzucił się na brata.

Sean nigdy dotąd nie zwyciężył go w bójce. Przez całe niedługie życie coś go zawsze powstrzymywało, narzucało granice złości, którą mógł skupić na bracie, jakby zadając ból Patrickowi, zadawał go sobie samemu. Patrick nie wykazywał nigdy podobnych zahamowań, do woli karząc brata, gdy konflikty między nimi stawały na ostrzu noża. Teraz Sean zdawał sobie sprawę, że przegrać tę walkę, oznacza coś więcej, niż tylko przegrać kolejną braterską szarpaninę.

Z nieznaną sobie furią zrzucił z siebie Patricka i odtoczył się na bok. Wtedy do boju przyskoczyła kolejna postać, a Seanowi wionął w twarz smród rozkładu. Zmagaly się z nim potężne ramiona, a z przeraźliwych krzyków można było poznać, że za dotyk płacą słoną cenę, gdyż czary kamienia wróżek sprawiały Czemuś Złemu wiele cierpień. Sean nie wahał się. Rozpaczliwie, na oślepe zamachnął się sztyletem i poczuł, że jego czubek zagłębia się w czymś miękkim. Coś Złego zawyło z bólu i umknęło, pozostawiając Seana siedzącego w oszołomieniu na drodze.

Chłopiec słyszał, jak gniewny ryk Błazna odbija się echem po ciemnym lesie, słyszał też wrzaski umykającego między drzewami Czegoś Złego, ale widział przed sobą jedynie Patricka, gdyż brat znów na niego skoczył. Sean poczuł, jak słoik pod koszulą rozbija się z chrzęstem, a woda zalewa mu bok. Święcona woda! Zapomniał wyzwolić Patricka spod mocy Błazna, a teraz rozlał wodę.

Strach przed utratą Patricka dodał mu nadludzkich sił. Gorączkowo odepchnął brata na bok i lewą ręką złapał za poję koszuli, żeby zwilżyć ją rozlaną wodą. Poczekał, aż Patrick znów na niego skoczy, a wtedy wyciągnął ku niemu mokrą dłoń. Szybko pomazał święconą wodą twarz brata, niezręcznie przeżegnał go znakiem krzyża i wystękał:

- W imię Pana naszego, jesteś wolny!

Patrick zakołysał się do przodu, jakby ktoś zdzielił go od tyłu cegłą. Jego oczy po raz pierwszy nabrały bystrzejszego wyrazu. Popatrzył na brata, potem dookoła siebie. Otworzył szeroko oczy, jakby im nie dowierzał, ale zanim cokolwiek powiedział, Sean już był na nogach i szarpnięciem podnosił go z ziemi. Trzęsąc się z przerażenia, Sean przełknął strach i krzyknął do Świecącego Człowieka:

- Złamałeś słowo! - Oczekiwał, że teraz stanie się coś niedobrego, ale Błazen nadal siedział na swoim koniu i mierzył chłopców wieszczącym zgubę spojrzeniem.

- Ten oto prostaczek - odparł, wskazując ręką na uciekające Coś Złego - nie usłuchał mego rozkazu. A on - teraz pokazał na Patricka - jeszcze nie należy do mojego dworu. Zrobiłem tak, jak mi kazałeś.

Sean wiedział, że w jakiś sposób pokpił sprawę, ale dłużej już nie mógł nad sobą

panować. Obok niego stał Patrick i coraz bardziej wybałuszał oczy na to, co przed sobą widział. Zdawało się, że zaraz zemdleje. Sean złapał brata za rękę i pociągnął gwałtownie za sobą.

- No chodź!

Patrick pozwolił się obrócić i poprowadzić, ale nie mógł oderwać oczu od zebranej dookoła gromady wrózek. Sean odwrócił się twarzą do duszków, które siedziały bez ruchu, nie odrywając wzroku od bliźniaków.

Znienacka Błazen krzyknął - wysokim, prawie kobiecym, rozdzierającym głosem. W głosie tym zadźwięczał ból, a rycerz zatoczył koniem niemalże koło i podniósł w niebo zakutą w stal pięść. Jeszcze raz okręcił konia i wymachując w gniewie wyciągniętą ręką, wrzeszczał:

- Idźcie! Wynoście się! Wszyscy, co do jednego!

Mroczne wróżki umknęły z powrotem w las, wycofując się na widok gniewu swego pana. Zniknęły tak prędko, jak się pojawiły. Chłopcy zostali teraz na drodze sam na sam z Błaznem. Ruszył groźnie w ich stronę, a oni rzucili się do biegu.

Młode stopy tupotały po kamieniach, kiedy malcy pędzili po ścieżce wśród drzew, w ślad za śmigającym w powietrzu Przewodnikiem Wędrówek. Każdy kolejny krok przybliżał ich do bezpiecznej przystani, a oddalał od wszechwładnego przerażenia, które przybrało namacalną postać - Błazna.

- Co się dzieje?! - wykrzyczał Patrick. - Gdzie jesteśmy? - Wyglądało to tak, jakby budził się z głębokiego snu.

- Nie gadaj, tylko biegnij! - odpowiedział mu Sean. Obaj więc uciekali w milczeniu, spojrzenia utkwivszy przed sobą, jakby samo spojrzenie za siebie wystarczyło, by musieli oddać to, co z takim trudem przyszło im wywalczyć. Każda chwila stanowiła kolejną próbę, niosła kolejne ryzyko, kolejną pułapkę, która mogła uniemożliwić im ucieczkę.

A potem, kiedy uciekali tak, nie wiadomo ile czasu, zobaczyli przed sobą tylną ścianę dziwnego domu, który stanowił granicę między ziemiami Królowej a krainą, gdzie Sean spotkał Błazna. Między ową granicą a chłopcami pozostało zaledwie kilka sękatych, powykręcanych drzew.

O kilka jardów od tylnych drzwi chłopcy zwolnili.

- Co się dzieje? - powtórzył Patrick.

Sean wskazał za siebie.

- Ten facet, Świecący Człowiek, ukradł cię z naszego domu. Byłeś tu już ponad tydzień.

- Nic nie pamiętam! - odparł Patrick, wyraźnie wytrącony z równowagi. - A gdzie



jesteśmy?

- Barney mówił, że to kraina Dobrego Ludku. Nie wiem, jak się nazywa. Nie pytałem.

- A jak wrócimy?

Sean wskazał ręką przed siebie.

- Przez ten dom, potem białą drogą do miejsca, gdzie jedna pani, Królowa, chce nam pomóc. A potem przez jaskinię, a tam czeka na nas Barney.

- Czemu ten facet chce nam zrobić krzywdę? - pytał Patrick.

- Bo ja wiem? Może Barney nam powie. - Potem zastanowił się przez chwilę. - Mówił, że ludzie stworzyli to smutne miejsce, wiesz, to z brzydkimi drzewami. Może po prostu jest wściekły na nas.

Zwykle to Patrick pełnił rolę przywódcy we wszelkich przedsięwzięciach obu braci, lecz w tych dziwacznych okolicznościach z ochotą oddał przewodnictwo Seanowi. Obudził się w samym środku bójki z bratem, w otoczeniu gromady dziwnych i niesamowitych istot to za wiele nawet jak na jego zamiłowanie do przygód. Sięgnął dłonią do głowy i poczuł pod palcami girlandy z liści i kwiatów.

- Co to za śmieci? - zdziwił się, wyciągając je spomiędzy włosów.

Znienacka spomiędzy drzew opadła jakaś postać, z niesłychaną siłą lądując na Seanie. Patrick wrzasnął z zaskoczenia i odskoczył do tyłu.

Sean przetoczył się na plecy, ale to coś trzymało go mocno. Nie potrzebował nawet widzieć napastnika, by wiedzieć, że to Coś Złego podążało za nimi w koronach drzew, próbując ich dopaść, zanim opuszczą Krainę Cienia. Coś Złego zawył z bólu, kiedy starało się obezwładnić Seana, gdyż kontakt z kimś, kto miał na szyi talizman, sprawiał mu niewymowną torturę. Czarne, szponiaste ręce rozdarły bluzkę Seana, kiedy stwór starał się zedrzeć mu z szyi kamień wrózek.

Sean zamachnął się do tyłu nożem, lecz tylko wbił ostrze w miękki, wilgotny grunt. Wrzasnął, na poły ze złości, na poły z przestachu, i jeszcze raz przetoczył się po ziemi, lecz Coś Złego mocno uczepliło się jego grzbietu.

Wtem Sean poczuł, jak potężne szpony łapią go za gardło i w rozpaczliwym przyływie paniki zdołał przekręcić się na brzuch. Zaczął się czołgać, a Coś Złego krzyknęło niemalże ludzkim głosem. Cierpiało straszliwe męki, lecz nie ustawało w spełnianiu rozkazów pana, który polecił mu zedrzeć kamień z chłopca i sprowadzić obu z powrotem.

Nagle Coś Złego zakołysało się na jego grzbiecie i po chwili Sean poczuł, że ciężar ześlizguje się z niego. Obrócił się i ujrzał, że Patrick uderzył stwora, zdołał zwalić go z brata i teraz on zwarł się z nim w walce, Patrick młócił na oślepie kamieniem, którego użył jako broni,

lecz bez talizmanu i bez srebrnego sztyletu nie stanowił dla Czegoś Złego żadnego zagrożenia.

Bez wahania Sean skoczył na zwartą w boju parę, dodając własny ciężar do ciężaru Patricka, żeby przygnieść stworzenie do ziemi. Dźgnął pod siebie sztyletem i poczuł, że jego ostrze się zagłębia. Stwór krzyknął przeraźliwie, a ten krzyk miał później powracać do chłopca w koszmarnych snach.

Sean krzyknął z przestachu, a nabiegłe do oczu łzy zamazały mu wzrok, jednak nie ustąpił ani na jotę i własnym ciężarem naparł na rękojeść noża, żeby zrekompensować w ten sposób brak siły w rękach. Rękojeść wbiła mu się w żołądek, podczas gdy ostrze zapadało się coraz głębiej w brzuch Czegoś Złego, a chłopcu wydawało się, jakby dzielili ze sobą ból. Coś Złego krzyczało. Przestraszone krzyki chłopców dołączyły jak kontrapunkt do bolesnego wrzasku. Potem głos stwora przybrał gulgoczące, zduszone tony, a wreszcie przeszedł w syk i jakby skrzypienie. Patrick rzucił się Seanowi na plecy, a wtedy sztylet zapadł jeszcze głębiej w ciało potwora. Rozdzierający serce krzyk zmienił się, przycichł, stał się najpierw charkotem, potem sykiem podobnym do uciekającej z bojlera pary, ostrym, ostatecznym dźwiękiem. Głosem śmierci.

Patrick stoczył się z grzbietu brata. Sean odczołgał się niezgrabnie, jakby odpychany najohydniejszym obrazem, jaki przyszło mu oglądać. Żaden z chłopców nie odezwał się ani słowem, kiedy patrzyli, jak na ziemi wije się czarne stworzenie ze sterzącym z brzucha srebrnym sztyletem. Ciskało się jak świeżo złowiona ryba, z nosa i gęby tryskała mu karmazynowa krew, a potem nagle legło spokojnie, wzdrygnęło się, zadrżało i znów legło bez ruchu.

Sean spojrzął na Patricka, który siedział w milczeniu. Z szeroko otwartych oczu spływały mu po policzkach łzy. Sean otarł rękawem własny ciekący nos, potem łzy i zostawił brata. Podeszedł do miejsca, gdzie leżało Coś Złego, okrążając stwora powoli, żeby się upewnić, czy naprawdę nie żyje.

Kiedy w końcu uznał, że tak jest w istocie, pochylił się nad nim, żeby odzyskać sztylet. Kiedy dotknął palcami rękojeści, czarna łapa dźwignęła się nagle i złapała go za przód koszuli. Sean wrzasnął. Coś Złego przyciągało chłopca do siebie, żółto-brązowe oczy były teraz otwarte i czujne. Ledwie o kilka cali od czarnej twarzy napór zelżał. Potem Coś Złego przemówiło, ledwie poruszając okrwawionymi wargami. Gulgoczącym szeptem, cienkim i cichym jak głosik małego dziecka, rzekło:

- Ja też... byłem kiedyś... taki jak ty. - Potem ledwie dosłyszalnym, syczącym szeptem dodało: - Wolny... dziękuję... ci.

Na jedno okamgnienie cała nienawiść znikła z jego oblicza. Sean zajął mu głęboko w oczy, które na tę jedną chwilę przestały płonąć obłąkańczym blaskiem, stały się wielkie, brązowe i miękkie. A gdzieś w głębi tych wilgotnych oczu, głęboko w cieniu nienawiści i złości, krył się ślad czegoś więcej. Widząc to światelko, Sean zrozumiał: kiedyś, dawno temu, Coś Złego było równie ludzkie jak on sam. Skądkolwiek pochodziło, miało tam swoich rodziców i dom, życie pełne nadziei, obietnic i wszystkiego, czego spodziewa się młodość. Lecz wszystko to zostało mu odebrane przez czarną, połyskującą światłem postać. Tak samo jak Patrick, Coś Złego było dzieckiem wykradzionym rodzicom przez wróżki i zabranym w te obce krainy. To zapomniane przez wszystkich dziecko przez lata zostało zdeformowane i zdeprawowane, a jego niegdyś dziecięce ciało pod wpływem nieludzkich namiętności przybrało postać rodem ze złych snów. Sean zrozumiał też coś jeszcze: zostać zabranym przez Świecącego Człowieka oznacza stać się czymś takim. Potem światło w oczach stwora przygasło, głowa poleciała do tyłu, a ręka wciąż jeszcze zaciskała się na koszuli Seana. Chłopiec delikatnie porozwierał zaciśnięte palce i uwolnił się z uchwytu.

Sean odsunął się od stwora, wiedząc już teraz, jaki los czekałby obu bliźniaków, gdyby Świecący Człowiek zdołał zagarnąć ich z powrotem. Jako obiekt perwersyjnych namiętności i żądz zostaliby wykorzystani, zdeprawowani i zdeformowani, aż ich ciała i dusze upodobniłyby się stopniowo do Czegoś Złego - stwora tak czarnego na duszy, że nawet wspomnienie o własnym człowieczeństwie stało się dlań odległe, niemal zapomniane.

Sean patrzył na tę istotę, która niegdyś była dzieckiem takim jak on, ogarnięty mieszaniną ulgi i smutku. Być może właśnie owo niemal utracone człowieczeństwo pozwoliło stworowi oprzeć się mocy talizmanu. I być może owo niemal utracone człowieczeństwo pozwoliło chłopcom zagłębić w nim sztylet, zapewniając stworzeniu ostateczny spoczynek.

Wtem zbliżający się tętent uświadomił mu, że niebezpieczeństwo znów znalazło się tuż za ich plecami. Odwrócił się od Czegoś Złego, zapomniawszy całkiem o sztylcie. Patrick stał oniemiały, jakby wypowiedziane przed chwilą słowa stanowiły rodzaj narkotyku, który odarł go zupełnie z woli. Sean porwał brata za rękę i pociągnął w stronę dziwnego domu, gdzie czekał na nich Przewodnik Wędrówek, kołysząc się gwałtownie na boki - jakby zniecierpliwiony lub przestraszony. Dotarli do tylnych drzwi, jednak kiedy Sean pociągnął za klamkę, drzwi nie chciały się otworzyć. Zalała ich panika, bo wydawało im się, że uparte drzwi umyślnie stawiają im opór. Sean szarpał i szarpał, aż wreszcie klamka ustąpiła i drzwi otwarły się ociężale. Pchnął je na oścież i zobaczyli przed sobą wewnątrz Dworzyszczą Zamierzchłych Pór. Chłopcy postąpili o krok i stanęli jak wryci, bo przed nimi ukazała się

wysoka postać, która wychynęła z zalegających na krańcach budynku mroków. Tym razem nie miała na sobie zbroi, tylko barbarzyńskie nakrycie głowy, zdobione rogami antylopy, oraz kaftan naszywany klejnotami, a na każdym ramieniu - czaszkami mew. Przez długą chwilę Błazen przyglądał się uważnie obu chłopcom, po czym odrzucił głowę do tyłu i zawył z radości.

Phil i Mark znaleźli Barneya klęczącego na deszczu. W palcach zaciskał kurczowo różaniec i pogrążony był w modłach. Phil podszedł do niego. Przekrzykując szum deszczu, zawołał pytająco:

- A Sean?

- W środku - odrzekł Barney, wskazując ręką na wzgórze.

- Co takiego? - zdumiał się Phil. - A gdzie jest wejście?

Mark złapał go mocno za ramię.

- Dziewięć razy dookoła wzgórza, na prawo. Jak w starych legendach.

- No to chodźmy po nich! - krzyknął Phil.

Mark przytrzymał go za ramię, a Barney krzyknął:

- Czekajcie!

Phil przestał ciągnąć w stronę wzgórka, Barney zaś gestem poprosił o pomoc. Podpieranym przez Marka, dźwignął się na nogi.

- Jeśli wpakujecie się tam za nimi na osłep, możecie zaprzepaścić wszelką nadzieję na ratunek. Czas i odległość w krainie Dobrego Ludku wyglądają inaczej, jak twierdzą stare bajki.

- Nie wiem, co tu się, u diabła, dzieje - krzyczał Phil - ale jeśli moi synowie wędrują gdzieś tam w środku, mam zamiar ich stamtąd wydostać.

Barney westchnął.

- Mówisz jak prawdziwy mężczyzna, Philipie Hastings. Ale dochodzi północ, więc jeśli nie wrócą w ciągu następnych kilku minut, nie mogę ręczyć, że ty sam wyjdiesz z tego cało. Masz na tym świecie jeszcze żonę i córkę i o nich powinieneś pomyśleć.

- Zostajemy - oznajmił Mark.

Phil już miał się sprzeciwić, kiedy Mark dodał:

- Jeśli to, czego się spodziewam, nastąpi, wtedy odzyskamy chłopców, Phil. Jeśli pokpię sprawę... wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

Na szczycie wzgórza ciemność nocy rozdarł nagle blask białej poświaty. Phil ujrzał przed sobą wspaniałą kobietę - jeśli w ogóle należała do rodu ludzkiego - otoczoną przez, jak się zdawało, królewski dwór, który zaczął się właśnie wylaniać na szczycie pagórka. Niewyraźne postacie występowały ze światła i schodziły po zboczu. Mark podszedł i stanął obok Phila.

Wszyscy trzej mężczyźni przyglądali się Królowej Wrózek. Zdawało się, że kiedy

schodzi dostojnie w dół zbocza, przepływa w powietrzu nad błotem. Jak zdołała przebyć granice dwóch światów - trudno powiedzieć. Za nią postępowali dworzanie, wśród których jeden był niewątpliwie człowiekiem z krwi i kości, gdyż jako jedyny w całym towarzystwie musiał brnąć w błocie, kiedy wszyscy inni prześlizgiwali się nad powierzchnią ziemi.

Barney stał, chwiejąc się na nogach - nie wiadomo, czy z pijaństwa, czy raczej z przestachu - a widząc tak blisko siebie Królową Wrózek, otworzył usta ze zdumienia. Królowa popatrzyła na Marka, jakby oczekiwała, że coś powie. Kiedy milczał, odezwała się pierwsza.

- Nie jesteś jednym z magów.

Mark odezwał się cicho, jednak w nieruchomym już teraz powietrzu jego słowa niosły się dobrze.

- Za złamanie Ugody odpowiada Król Elfów, zwany Błaznem. Sprzymierzył się ze zdrajcami wśród magów - z tymi spośród ludzi, którzy chcieli dzielić z nim władzę nad ludzkością. Zastawił pułapkę na tego oto człowieka - wskazał ręką na Phila - aby znalazł złoto, a on, nie wiedząc, że jest ono rękojmnią dobrej wiary, zabrał je. Nieumyślnie naruszył prawo.

- Umiemy poznać, kiedy słyszymy prawdę. Wszyscy żałujemy tego, co było niegdyś. Jeśli Ugodę zerwano, to nie z winy śmiertelnych. Ów zapragnął przywrócić dawne czasy i zamyślał zemścić się na tych, którzy zwyciężyli nas przed wieloma wiekami. - Niemal ze smutkiem dodała: - Słusznie zwie się Błaznem ten, który nie jest już Królem. - Jej pierś uniosła się westchnieniem, które u śmiertelniczki wydałoby się teatralnym gestem, lecz dla nadludzkiej natury Królowej było nad wyraz odpowiednie. - Zmuszeni będziemy wystawić mu wreszcie rachunek, kiedy się pojawi. - Rozejrzała się dookoła. - Dochodzi godzina przeprowadzki. Jakoś ociąga się z nadejściem. Błazen czy Król, musimy czekać na niego, bo do podróży potrzebna nam jego wola na równi z naszą własną.

- Tytania i Oberon - rzucił cichutko Mark.

- Tak właśnie ich zwano - zgodził się człowieczy towarzysz Królowej. - Lecz to tylko imiona nadane im przez śmiertelników, a nie ich własne, podobnie zresztą jak Elberich i Gloriana. Nie są też naprawdę Arymanem i Ormuzdem, a po prostu tymi, którzy niegdyś władali Faie.

- Faie - powtórzył Phil. - Czy tak się nazywają?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- To słowo Normanów. Oni sami zwą siebie Rasą albo Ludem - jak większość ludów - lecz ich słów nie da się wymówić w ludzkim języku, bo tylko anioły i demony mają podobne

do nich głosy. Dla nas są Fee, Peri lub Sidhe. Mają też z tuzin innych nazw. Ale - najprościej - są tym, czym są, tak jak my jesteśmy tym, czym jesteśmy. Każda rasa i naród postrzega ich w formie podobnej do swojej.

Mark ze znużeniem pokręcił głową.

- I co się teraz stanie?

- To, co działo się od wieków, krótko mówiąc: będzie zmiana. Na dobre czy na złe, tego nie potrafię powiedzieć.

- Nie rozumiem - odparł Mark.

Thomas wskazał na coś ręką.

- Nadchodzi Ariel. A tuż za nim przybędzie jego pan.

Obok milczących dworzan Królowej, którzy stali rozsiani po całym wzgórzu, przemknął świecący piaskowy bicz, po czym zsunął się po zboczu. W ślad za nim podążały istoty służące Błaznowi. Na widok Królowej wszystkie przystały, ale mała świecąca trąba powietrzna śmiało przemknęła mimo, by zatrzymać się dopiero przed Philem i resztą. Wir powietrzny szybko przekształcił się w młodego chłopaka, który uratował Seana i Patricka.

- Czołem, Thomasie - rzucił młodzik z widocznym znużeniem.

- Witaj, Arielu - odrzekł mężczyzna. - Spocznij proszę. Wyglądasz na zmęczonego.

Ariel odparł z rezygnacją:

- To prawda. Mój pan znów zrachował mi kości, ażem zakrzyknął z tej wielkiej radości. Była to wielka i świetna porażka. - Z łobuzerskim uśmiechem dodał: - Ale choć muszę znów zwać go swym panem, niemniej dobrze dałem mu się we znaki. A on padł ofiarą kaprysów losu i teraz znajduje się w Dworzyszczu Zamierzchłych Pór. Jeśli go nie opuści, zanim zegar wybije dwunastą, nie pomogą mu wszystkie jego moce. A wtedy będę miał pana, choć z drugiej strony - nie będę go miał. Sprawa to nader zawiślana.

- A co porabiałeś w Krainie Mroku? Czy poszedłeś tam za zgodą Królowej? - pytał Thomas.

- Niezupełnie - odparł młodzik. - Ale wiedziała, jakie mam zamiary. Nie po raz pierwszy utraciła mnie na rzecz mrocznego dworu i rozkazów Błazna. A gdyby Błazen nie zatracił się w swoim marzeniu o czasie, odzyskałaby mnie z powrotem i nie byłby to ostatni raz, kiedy zamieniłem dwór Króla na dwór Królowej. - Ze złośliwym uśmieszkiem dorzucił: - Żadne z nich nie uważa mnie za szczególnie lojalnego poddanego. - Nachmurzył się, jakby czymś rozdrażniony. - Chyba muszę odczuwać powołanie do czego innego, bo czas wielki, bym odmienił swój los. Ach, teraz ze służki przedzierzgnąć się w pana. - Westchnął. - Choć służba u Błazna miała swoje zalety. Ostatnim razem wysłał mnie między śmiertelnych, żebym

nawiązał kontakt z magami w lasach Grecji. Ach, cóż to była za radość włóczyć się na wycieczkach ze studentami uniwersytetu! Noce spędzaliśmy na hulankach, które zawstydziłyby samego starego Dionizosa. A przed tym musiałem przez czas jakiś pilnować maga Kesslera.

Mark spojrzął w stronę Phila.

- Wydaje mi się, że właśnie odnaleźliśmy Waylanda Smitha.

Chłopiec uśmiechnął się łobuzersko i przytaknął kiwnięciem głowy. Zajaśniał na chwilę, po czym ukazał im się w postaci kowala.

- To taki nasz talent - wyjaśnił głosem teraz już głębokim i dźwięcznym. - Ta postać bardzo ujmuje śmiertelne kobiety. W mojej powszedniej formie uznają mnie za dziecko i chcą mi matkować. Ta postać zaś zdaje się wzbudzać znacznie większą uwagę. Odkryłem też, że w tym przebraniu nie trzeba się uciekać do żadnych sztuczek, żeby zdobyć kobietę. Kiedy wyglądam tak jak teraz, same do mnie przychodzą. Piękne słówko, ciche dotknięcie, obietnica miłości i już z ochotą rozkładają nogi, żeby zabawić się w bestię z dwoma grzbietami. - Wybuchnął śmiechem. - W tej postaci spędziłem wiele przyjemnych godzin ze śmiertelnymi dziewczkami, a ci, wśród których tak się miło zabawiałem, to było wesołe i rubaszne towarzystwo, prostytutki wszyscy co do jednego. Chociaż, tak sobie myślę, służba u Błazna po naszej potyczce może nie być już tak radosna. Jeśli wygra, będzie wojna. Jeśli nie, będzie wściekły i swój gniew wyładuje na mnie. - Jego głos podniósł się o ton, gdyż Ariel wrócił do swej zwykłej postaci chłopca. Phil wyraźnie nic z tego nie rozumiał.

- Kto to jest Wayland Smith?

- Później ci powiem - odparł Mark. - Jeśli będzie jakieś później.

Phil przez chwilę przypatrywał się chłopakowi uważnie, potem zakrzyknął:

- Moja córka! Czy to ty...?

Przeciągając się swobodnie, młodzik odpowiedział:

- Nie, dumny ojciec. Nie ja trapiłem twe dzieci. Widziała mnie, lecz tylko w moim bardziej męskim przebraniu, ja zaś oddałem jej tylko malutką przysługę. Urodziwa jest i chętnie zażyłbym z nią odrobiny rozkoszy. - Wzdrygnął się i uśmiechnął szeroko. - Na myśl o niej sztywnieję. - Uśmiech po chwili zniknął, a chłopak dodał: - Ale nie wyraziła życzenia, a ja nie chciałem być tym, który złamie Ugodę, używając tajemnych sztuczek. Ów przybrał moją najpowszedniejszą postać, bo chciał obarczyć mnie winą za złamanie pokoju, gdyby wieść o tym czynie dotarła do uszu Królowej. Dla niego byłby to najwspanialszy żart, gdyby z jego winy mnie wygnała. To był okrutny czyn, spowodowany bardzo zadawnioną waśnią między nami, bo pomiędzy całym Ludem ja jeden wyrosłem tak, że niemal mu dorównuję,



choć niegdyś byłem tylko żartownisiem i łotrzykiem. Pilno mu było mnie oczernić - oznajmił młodzik z niedobrym uśmiechem - ale chyba odpłacę mu się sowicie, kiedy zajmę jego miejsce. - W krótkim rozbłysku poświaty chłopiec znów zmienił postać i nieoczekiwanie przed oczyma oszołomionych śmiertelników stał Błazen w całym swym przytłaczającym majestacie.

Błazen zaśmiał się, a na dźwięk tego nieziemskiego głosu Philowi zjeżyły się włosy na karku i ramionach.

Ale wtedy Królowa zawołała ze swego miejsca:

- Natychmiast zrzuć tę maskę! Szydzisz z tego, który cię przerasta!

W jednej chwili znów mieli przed sobą chłopaka. Skłonił się dwornie przed Królową, która gestem wezwała ku sobie sługi. Na wzgórzu wyfrunęły malutkie świecące duszki, a ona sama starała się odzyskać równowagę. Mrugnawszy chytrze okiem pod adresem obecnych tu ludzi, młodzian, zwany Arielem, oświadczył:

- Jeszcze nie pora, ale wkrótce nadejdzie. - Niemal od niechcenia zwrócił się do Królowej: - Syn króla Indii nie żyje.

Królowa kiwnęła głową.

- Wyczuliśmy jego śmierć.

Thomas westchnął.

- To dobrze, że nareszcie spoczął. Natura jego stała się plugawa *in extremis*\* [*In extremis* (łac.) - w ostatecznej konieczności, w agonii.], odkąd Błazen odebrał go Królowej. A do tego już za długo był powodem sporu między dwoma dworami. W jaki sposób odszedł?

- Syn tego tu oto, zwany Seanem, uśmiercił go sztyletem ze srebra - odparł Ariel, potem uśmiechnął się wesoło. - To dzielny chłopak. Syn króla Indii podziękował mu za ten czyn. Ciche słowa wdzięczności rozniósł wiatr, aby wszyscy mogli je słyszeć. Teraz jego dusza jest wolna i może szukać spoczynku w Panu.

- Sean? Co... - wykrztusił Phil.

- Dziesięć tysięcy pytań - odezwał się Mark. - A ja nie wiem, od którego zacząć.

Barney pokiwał głową, siadając ciężko na błotnistej ziemi.

- I nie na wiele zdadzą ci się też odpowiedzi, Marku Blackman. Który człowiek uwierzy ci w to na trzeźwo?

Mark spojrzał na młodziana.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że jeszcze nie nadeszła pora?

Ariel zerknął na Królową, stojącą w otoczeniu swego dworu. Z ledwie powstrzymany śmiechem odpowiedział:

- Przez całe wieki służyłem jej i temu drugiemu, kaprysami losu przerzucany od dworu do dworu. Wkrótce jednak, jak sądzę, będę nimi władał, bo jeśli mój pan nie zwycięży chłopców w Dworzyszczu Zamierzchłych Pór, ja zajmę jego miejsce. I będę mógł dzielić łożo

z Królową bez zwykłych przykrych konsekwencji.

- Konsekwencji? - powtórzył za nim Mark, wyraźnie nic z tego nie rozumiejąc.

Ariel rzucił teraz okiem na Thomasa.

- Królowa ma dziki i niepohamowany apetyt. Dwukrotnie miałem przyjemność paść ofiarą jej przelotnego kaprysu. Padłem pokonany. Nikt nie zdzierzy objęć Królowej z wyjątkiem - skłonił głowę w stronę Thomasa - tego tu.

Mark uniósł w zdziwieniu brwi. Thomas wzruszył ramionami.

- Królowa czerpie z mego towarzystwa wiele... przyjemności. Mogę zapewnić jej... pewne rzeczy cielesne. Przy mnie nie musi borykać się z problemem dominacji. Może przyjmować je ode mnie bez poddania i strachu, a ja jestem w stanie przeżyć jej dary.

Ariel zarechotał cienkim, radosnym śmiechem.

- Uznała go za tak cudownego kochanka, że kiedy zechciał odejść, rzuciła na niego klątwę. - Teraz chłopiec rzucił się na ziemię i legł na plecach z rękoma założonymi pod głowę, wyraźnie zachwycony, że trafiła mu się sposobność snucia opowieści. - I to jaką klątwę! Nie może się odezwać, żeby nie powiedzieć prawdy - i tylko prawdy, ani mniej, ani więcej. Żadnych ozdóbek, dowolności, koloryzowania czy podkreślania, żadnych przemilczeń ani miłosiernych aluzji. Tylko prawda. Poeta w ten sposób przeklęty niewiele zyska łask u innych śmiertelnych. Panowie, którzy patronują poetom, chcą pochwał i pochlebstw, a nie surowej prawdy. - Znów zerknął na Thomasa. - I chyba znacznie trudniej znajdować rymy, kiedy zakazano ci tylu słów, poeto. - Spoglądając z powrotem na Marka, młodzian rzekł: - Wrócił do nas, strażniku opowieści, tak jak to przewidziała Królowa.

Mark otworzył szeroko oczy.

- No jasne! Ty jesteś Thomas Learmont!

- Jam jest - odpowiedział mężczyzna.

- Kto? - zdziwił się Phil, zerkając na mężczyznę.

- Thomas z Erceldoune - odpowiedział mu Mark. - Thomas Wierszopis.

Barney, który zdołał już dojść do siebie, zaśmiał się cicho, ochryple. Choć jego śmiech uciął wkrótce strach, rzucił śmiało:

- Szkot, a więc niewiele lepszy od Anglika, ale poeta, przez co jest prawie Irlandczykiem.

Thomas zignorował przytyk.

- Proszę - rzucił błagalnie Mark - zostało tak niewiele czasu. Czym są te stworzenia?

Thomas wzruszył ramionami.

- To istoty z ducha. Nie mają śmiertelnej postaci, przybierają kształt, jaki im się

podoba. - Popatrzył na Marka. - Wzbudzają przerażenie lub pożądanie, miłość i strach, te najsilniejsze z uczuć, jakie mogą zrodzić się w sercu śmiertelnych, i rozdmuchują je jak gorejący płomień. Potem żywią się tymi namiętnościami, pożerając je jak jadło i napitek. Kiedy biorą sobie śmiertelnych kochanków, ich duch wraz z duchem kochanka płonie jak ogień. Jeśli są łaskawe, powodują niewielki strach lub niewielką namiętność, biorą oszczędnie i pozwalają śmiertelnikowi wrócić do zdrowia. Lecz jeśli nie mają w sercu litości, biorą wszystko, aż pożrą umysł i duszę śmiertelnika, którego w ten sposób wykorzystają, pozostawiając za sobą tylko popiół. Ciężko to wszystko pojąć. Odmówiono im cielesności, więc za nią tęsknią. Naśladują nas i nasze ciała, ponieważ sami ich nie mają. Zazdroszczą nam. Mimo wesołości i żartów, są aż nazbyt często smutni.

- Ale ty jesteś człowiekiem - odezwał się Phil - dlaczego przebywasz wśród nich?

- Nie przeczę - zgodził się Thomas. - Królowa i ja dobrze się wzajem poznaliśmy. Taki układ nam odpowiada. - Zawiesił głos. - Choć od czasu do czasu zdarza mi się zatęsknić za widokiem mgły na wrzosowiskach i słońca na wzgórzach Szkocji.

- Może w tym roku - wtrącił się Ariel. - Nigdy nie wiadomo, które miejsce ona wybierze. Teraz, kiedy dwory zjednoczyły się na nowo, a ona wolna jest od jego cierpkich rozkazów, może się okazać, że wybierze takie miejsce, gdzie można urządzić wielką uroczystość. - Zwracając się do Marka i pozostałych, dodał: - Zanim nastąpiła ta noc, od czasu zawarcia Ugody ona i Błazen byli sobie pod każdym względem równi i oboje musieli wyrazić zgodę co do tego, dokąd następnie pomaszerujemy. Dwory Zbożny i Niezbożny w swoim świecie są odrębne, ale w świecie śmiertelników muszą podróżować jako jeden. - Ariel uśmiechnął się jeszcze szerzej i szepnął konspiracyjnie: - Kiedyś, dawnymi wieki, mieliśmy jeden dwór. Dopiero po Zniszczeniu, kiedy wymuszono na nas Ugodę, lud nasz rozdzielił się na dwoje. - Oczy rozbłysły mu zachwytem. - Choć może tak się stać, że kiedy rozwiąże się ten konflikt, znów będziemy jak jeden! - Wtem jego oczy dojrzały także i mroczną stronę. - Albo jeśli zgodzą się ci pomniejsi, możemy ujrzyć innego władcę w Krainie Mroku. - Ariel zachichotał, a Phil wzdrygnął się, słysząc obłęd w jego głosie. - Czyż to nie wielka i nader akuratna ironia losu, synowie człowieczy? Czy istniała kiedy żałośniejsza rasa od nas? Bo aby czerpać przyjemność, trzeba stać się niewolnikiem, a dawać ją bez wzajemności to puste zwycięstwo. Tak więc szukamy na swe ofiary ludzi, żebyśmy nie musieli wyniszczać się nawzajem. - Roześmiał się znowu, tym razem z wyraźną goryczą. - A jednak nasze perwersje to nic w porównaniu z dokonaniem ludzi. Kiedyś muszę w końcu pojąć, co skłania was, ludzi, do marnotrawienia darów, którymi obdarzył was Bóg. Odczuwać tak silnie... znać, co to rozkosz i ból... radość i zadziwienie... nawet śmierć!

- Wy nie umieracie? - wtrącił Mark tonem pełnym niedowierzania.

Odpowiedział mu Thomas.

- Są istotami z ducha, a śmierć oznacza całkowite unicestwienie. Nie mają duszy - albo są samą duszą, jakkolwiek zechcecie to pojmować. Lecz kiedy upadają, upadają na całą wieczność, podczas gdy światło człowieka przenosi się tylko do nowego, lepszego świata.

Mark i Phil wymienili się spojrzeniami. Mark już miał zadać kolejne pytanie, kiedy w oddali rozległ się przecinający noc dźwięk kościelnego dzwonu.

- Już czas - rzekł Thomas.

Z uderzeniem dzwonu wróżki poczęły leciutko świecić. Wiele z nich zmieniło kształt. Rycerzy z dworu Królowej i jeźdźców Błazna otoczyła niebieskawa poświata. Konie zniknęły, podobnie jak broń i zbroje. Pozostały tylko polatujące nad ziemią małe istotki z przejrzystymi skrzydełkami.

- Co...? - zaczął Phil.

Z drugim uderzeniem kościelnego dzwonu Królowa szybko otoczyła się światłem. Przeistoczyła się w inną postać, jeszcze piękniejszą i bardziej olśniewającą niż poprzednia. Miała teraz złociste skrzydła, mieniące się pasemkami tęczy barw, a włosy rozsypane na ramionach jak najdelikatniejsza złota przędza. Nosiła bajecznie piękną suknię o niesłychanym kroju, lecz przejrzystą, więc kiedy wzbijała się w powietrze, ta odsłoniła jej nagie ciało: doskonale kształtne i proporcjonalne piersi, biodra, pośladki i długie nogi - lecz wszystko w heroiczno-posągowych wymiarach, gdyż wzrostem przewyższała Marka prawie o głowę. Pod nieskazitelną skórą poruszały się płynnie niewiarygodnie gładkie mięśnie. W tym świetle jej ramiona i nogi zdawały się złote, na całym ciele zaś nie widać było ani śladu owłosienia z wyjątkiem złocistej, miękkiej kępki puchu na łonie. Twarz miała teraz jeszcze doskonalszą niż poprzednio, każdy z rysów wdzięczniejszy i delikatniej zarysowany, każdą krzywiznę subtelniejszą. Mimo to znacznie bardziej niż przedtem dawała się odczuć jej odmienna od ludzkiej natura.

Mark rozglądał się dookoła, ale to Phil wykrzyknął:

- Gdzie są moi synowie?

Ariel odpowiedział mu z dzikim śmiechem:

- W miejscu bez czasu i bez nadziei, a jeśli nie wyrwą się ze szponów mego pana, i to szybko, pozostaną tam na całą wieczność.

Brzmienie jego głosu zdjęło lodowatym dreszczem duszę Phila, który zanurzył się w rozpacz czarniejszą niż wszystko, co czuł do tej pory. Odwrócił się w stronę zbocza i jął wypatrywać swoich chłopców, wiedząc, że pozostało mu jeszcze tylko dziesięć uderzeń

dzwonu, zanim utraci ich na zawsze.

Sean i Patrick stali w bezruchu. Ciemny las rozbrzmiewał coraz bliższym tętentem kopyt. Sean siłą woli zmusił się, by przemówić:

- Nie zrobiłeś tak, jak ci kazałem! - Nagle uświadomił sobie, że srebrny sztylet pozostawił w ciele Czegoś Złego. - Złamałeś słowo!

Pełen niedobrej radości Błazen podparł się pod boki i rzekł:

- Czyżby? Kazałeś mi nie jechać za sobą. - Z szyderczą łaskawością, która przerażała Seana bardziej niż jego gniew, ciągnął dalej: - Ale nie mówiłeś nic o tym, że mam nie jechać przed tobą. I nie powiedziałeś ani słowa o tym, że oni nie mogą za tobą jechać!

Wskazał ręką na las za plecami chłopców, gdzie za martwą sylwetką Czegoś Złego pojawiła się teraz armia mrocznych wrózek. Ci na koniach jechali stępa, ci na piechotę przyczaili się w oczekiwaniu, aż chłopcy rzucą się do ucieczki przed Błaznem.

- Teraz jesteś mój! - dodał Błazen i do zbliżających się wrózek rzucił: - Brać ich!

Sean i Patrick wymienili spojrzenia i porozumieli się niemo, tak jak czynili to od urodzenia. Rzucili się biegiem w stronę wejścia i stojącego za nim Błazna, jak najdalej od jego poddanych. Wirująca złocista kula Przewodnika Wędrówek ruszyła za nimi.

Kiedy tylko cała trójka minęła progi domostwa, drzwi zatrzasnęły się za nimi, odcinając ich na chwilę od pościgu. Błazen zawahał się na moment na widok tej nieoczekiwanej szarży, a w tym czasie Patrick pobiegł na prawo, a Sean na lewo. Patrick zrobił unik, lecz kiedy mijał drzwi, za którymi znajdował się letni pejzaż, te rozwarły się z trzaskiem. Hałas sprawił, że chłopiec zawahał się, odsunął instynktownie i dostał w zasięg ramion Błazna.

Potężna dłoń wystrzeliła gwałtownie i złapała chłopca, lecz ten wykręcił się i wyrwał z uścisku, który palił tak jak dotknięty drut pod napięciem. Upadł, przetoczył się, obrócił i zerwał do przysiadu.

Lecz zamiast, jak się spodziewał, ujrzeć zbliżającego się doń Błazna, przekonał się, że straszna istota obróciła się w miejscu, by zagrozić drogę Seanowi, który nie zdążył jeszcze przemknąć obok niego. Tym razem odziana w rękawicę pięść miała za co uchwycić, kiedy złapała za przód bluzki Gabbie. Z okrzykiem triumfu Błazen uniósł Seana w górę.

- Już nie będziesz mnie dłużej męczył, chłopcze! - I z rozdzierającym uszy śmiechem dodał: - Teraz poznasz, co to ból!

Przyciągając Seana bliżej, zamachnął się wolną ręką, a Patrick widział, że jego

rękawica ma szponiaste końce, które zawisły w oczekiwaniu, by rozdrzeć ciało jego brata.



- Sean! Uciekaj! - wrzasnął Patrick.

Sean wił się i wyrywał, ale szponiasta rękawica opadła.

Krzyknął, kiedy rozdarła materiał koszuli i przecięła jego dziecięcą skórę. Patrick stał w bezruchu, niezdolny pomóc bratu w tej chwili cierpienia, kiedy bluzka siostry powoli nasiąkała czerwienią. Błazen zachichotał, a od tego śmiechu krew zastygała w żyłach. Patrick widział, że zadrapania na piersi Seana nie są głębokie, bo Błazen na razie bawi się tylko swą ofiarą.

Wtem Sean wolną ręką szarpnął za przód koszuli. Guziki puściły, a on już ześlizgiwał się w dół. Błazen patrzył szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, jak chłopiec wywija się z jego uchwytu, a on pozostaje ze zwisającą szmatką w ręku. Pórnagi już teraz chłopiec uskoczył na bok, a Błazen obrócił się, by odciąć mu drogę ucieczki.

Sean odsunął się głębiej, a za nim natychmiast rozwarły się drzwi kryjące zimowy krajobraz. Chłopiec zaczął się cofać w tamtą stronę, wyczuwając za swymi plecami otwartą przestrzeń.

- Tam nie ma ucieczki, chłopcze. Tam jest tylko Wieczna Zima, a kto dostanie się w jej władanie, utraci wszelką nadzieję.

Sean przykucnął, jakby chciał wykonać skok ku wolności i wyminąć Błazna, ale ten odpowiedział na to, przesuwał się w prawo. Symulował następnie ruch w przeciwną stronę, a Błazen także wykonał stosowne posunięcie. Chłopiec był bezradny.

Kucał w miejscu i wyglądało na to, że koniec końców sparaliżowała go panika. Widok sztywnego z przerażenia brata podziałał mobilizująco na Patricka. Nie pozwoli, żeby ten świecący gość zabrał Seana. Okręcił się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co można by wykorzystać w walce. W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden jedyny obiekt. Patrick sięgnął błyskawicznie i złapał za Przewodnika Wędrówek, tak samo jak przedtem zrobił to Sean. Kulka wielkości piłki baseballowej rozjarzyła się - nie wiadomo: ze złości czy ze strachu.

- Przepraszam - rzucił tylko Patrick, kiedy wykonywał zamach. - Sean! Wybijam! - krzyknął.

Słyszając to, Świecący Człowiek odwrócił się w stronę Patricka, natomiast Sean schylił się jeszcze niżej. Patrick obrał za cel głowę Świecącego Człowieka i rzucił. Nie posiadał wprawdzie Seanowej finezji, ale jego wyrzut do drugiej bazy był silniejszy niż u wszystkich znanych mu rówieśników, a do tego miał świadomość, że to najważniejszy rzut w całym jego

młodym życiu. Przewodnik Wędrówek poleciał pięknym, prostym torem, pędząc ku głowie Błazna. Trzasnął Świecącego Człowieka prosto w twarz, a ten z okrzykiem - bólu czy gniewu, bliźniacy nie potrafili rozpoznać - zatoczył się do tyłu.

Sean zebrał się w sobie i przyjął tę powszechnie znaną pozę, jaką przybiera chłopiec, który podkrada się do innego, czekając, aż wspólnik psoty pchnie do tyłu niczego nie spodziewającą się ofiarę. Skórzany but Błazna zawadził o Seana, a on sam przewrócił się do tyłu i z ogłuszającym wrzaskiem wpadł przez drzwi do zimowego krajobrazu.

Sean potoczył się do przodu, gramoląc się na czworakach. Lecz miast potężnej, ziejącej gniewem figury, która miała pojawić się w drzwiach, żeby ich zagarnąć, ujrzeli Błazna siedzącego na śniegu. Podbiegli do niego stary mężczyzna i kobieta, którzy stanawszy po obu stronach, pomogli mu wstać. A wtedy chłopcy spostrzegli, że staruszkowie nie tylko go podnoszą, ale i przytrzymują. Tam, gdzie przedtem widać było uśmiechnięte życzliwe twarze, pojawiły się teraz maski szaleństwa, przechodzące w swej grozie nawet twarz Świecącego Człowieka. Błazen zmagął się z przytrzymującą go parą, lecz nawet jego magiczna moc nie zdołała ich poruszyć.

Patrick podszedł do miejsca, gdzie kuczał Sean, i stanawszy za bratem, powiedział:

- Popatrz na to!

Na ich oczach twarz Błazna pobladła i pokryła się siatką zmarszczek, aż dopasowała się wyglądem do twarzy przytrzymujących go w bezruchu staruszków. Błazen krzyknął, lecz z jego ust wydobył się tylko szept śmiertelnego przerażenia.

Wtem Patrick ścisnął Seana mocno za ramię, aż ten się obrócił. W przeciwległych drzwiach inny Błazen, młody i pełen wigoru, siedział w identycznej pozie jak jego starszy *doppelganger*, utrzymywany w bezruchu przez młodą parę letnich kochanków.

Sean podniósł się chwiejnie na nogi. Głosem zduszonym od zmęczenia i przeżytych emocji rzucił:

- Chodźmy.

Patrick podparł go ramieniem, a potem puścił. Sean ruszył wolno w stronę wyjścia. Kiedy wyszli poza zasięg pierwszej pary drzwi, ta zamknęła się, a otworzyła się przed nimi druga. Za wrotami wiodącymi w jesień dojrzała wersja Błazna odwiekana była właśnie w głąb przez mężczyznę i kobietę, którą Sean widział podczas poprzedniej wędrówki. Chłopcy odwrócili się.

Za ostatnimi drzwiami Błazen-dziecko, w tych samych szatach co pozostałe wersje, tylko odpowiadających rozmiarowi siedmioletniego dziecka, wleczony był przez dziewczynkę i chłopca. We wszystkich trzech twarzach bliźniacy ujrzeli jakiś niezbożny

wyraz. Nikłe dziecięce krzyki pełne były przerażenia.

Sean odwrócił głowę i zobaczył na policzkach Patricka lustrzane odbicie własnych łez.

- Wracajmy do domu.

Patrick przytaknął kiwnięciem głowy. Wiedział, że żadne słowa nie będą w stanie przekazać innym tego, czego właśnie byli świadkami. Wtedy dał się słyszeć daleki głos dzwonu z kościelnej wieży, a Sean wykrzyknął:

- Już północ! Musimy się spieszyć.

Zmuszając do biegu niewiarygodnie zmęczone nogi, pomknęli w stronę wyjścia.

Wtedy noc zadźwięczała chłopięcym krzykiem Seana:

- Barney!

Pojawiwszy się jakby znikąd, bliźniacy pobiegli na ołowianych nogach ku trójce mężczyzn. Phil wybiegł im naprzeciw, zagarniając obu w ramiona i łamiącym się z emocji głosem powtarzając wciąż ich imiona. Barney podążył ku nim przez błoto tak szybko, jak tylko niosły go niemłode i zdrętwiałe od długiego klęczenia nogi. Dopadł chłopców ze łzami w oczach i modlitwą na ustach, mówiąc:

- Niech będzie pochwalony święty Patryk! Udało ci się, Seanie! Sprowadziłeś go z powrotem!

Sean próbował coś powiedzieć, ale nie mógł, gdyż koniec końców zmogły go zmęczenie i przeżyty strach. Teraz mógł jedynie pozwolić, by ojciec go utulił. Wyczerpani chłopcy zdali się na wsparcie Phila, bo sami byli już zupełnie bezwładni. Ledwie łapiąc oddech, Patrick powiedział wreszcie:

- Świecący Człowiek próbował nas dorwać, ale go przechytrzyliśmy i teraz utknął w tym domu za drzwiami.

Wtedy dał się słyszeć śpiewny głos Królowej.

- W Dworzyszczu Zamierzchłych Pór?

Patrick przytaknął kiwnięciem głowy.

- Złapał Seana, a ja rzuciłem w niego świecącą kulką. Wpadł do środka.

Królowa zakryła twarz rękoma i zatkała.

Mark rzucił pytające spojrzenie człowiekowi, który stał przy niej.

- Nie rozumiem - rzekł.

Dzwon przy świętej Katarzynie wybił trzecie uderzenie dwunastej.

- Ogromnie go kochała - odpowiedział śmiertelnik.

Tulący synów Phil przypomniał sobie wszystko, co słyszał o Błaźnie, i zdumiał się głośno:

- Kochała tego szaleńca?

Lecko płacziwym tonem Thomas wyjaśnił:

- Królowa kocha wielu, wielu też kocha ją. Ale ten, który utknął wśród zamierzchłych pór, należał do jej pierwszych kochanków i wrogów.

- Kiedyś - odezwała się Królowa głosem przypominającym muzykę - oboje byliśmy panami tego śmiertelnego świata. Potem współzawodniczyliśmy z człowiekiem o miejsce na

nim. - Ręką zatoczyła krąg, wskazując krainę we wnętrzu wzgórza, gdzie żyli. - Odkryliśmy ten świat, przeniknęliśmy jego tajemnice, jego umiejscowienie w czasie, a także wszystkie tajniki przemieszczania się między dziedzinami ducha i materii. - Westchnęła. - Ale potem ludzie nauczyli się sztuk czarnoksiężskich, a ucierpieliśmy na tym my. Nastął wiek człowieka, a my istniejemy tylko z jego łaski. Wasze rzesze ciągle rosną, podczas gdy nasze pozostają takie same, a do tego posiadliście niewiarygodnie potężną wiedzę. Odkryliście sekret metali i znienawidzonej elektryczności, która odziera nas z siły. A poza tym, znacie, lub poznacie wkrótce, wszystkie tajniki wszechświata, samo serce wszystkich tajemnic. - Podniosła wzrok na Marka. - Już wam nie dorównamy. Znaleźliśmy się na waszej łasce.

Mark kiwnął ze zrozumieniem głową. Phil stanął obok niego i zapytał:

- Co ona chce przez to powiedzieć? Czy nic nam nie grozi?

- Ze strony wrózek? Nic. To istoty z energii. Skoro to wiemy, możemy znaleźć sposób, żeby je pokonać, nawet bez pomocy magii. Królowa powiedziała właśnie „znienawidzona elektryczność”. Myślę, że potrafilibyśmy skonstruować odpowiednią broń. - Był wyraźnie sfrustrowany. - A więc koniec końców zmuszeni jesteśmy sprzymierzyć się z tymi, którzy od wieków ukrywają je przed resztą świata.

- Z magami? - pytał Phil, przyciskając do siebie obu chłopców.

Mark wziął głęboki wdech, żeby się trochę uspokoić.

- Owszem, a gotów jestem się założyć, że kiedy my odwalamy tu za nich robotę, oni starają się zrobić wszystko, żebyśmy nie zdradzili ich istnienia. Magowie posiadli już wystarczającą władzę wśród światowych rządów, żeby udało im się wszystko zatuszować. Wszyscy moglibyśmy mieć „wypadek”. Jeśli zaczniemy gadać, jesteśmy z góry skazani na przegraną. A zatem nie będziemy nic gadać. - Potem pokręcił głową. - Zresztą, kto by nam uwierzył?

Do obu mężczyzn przemówiła teraz Królowa.

- Nie wiem, o czym mówicie, ale wyczuwam, że rozumiecie nasze położenie. Błazen i jego jeźdźcy mogą zagonić w lesie samotnego człowieka w czasie Dzikiego Polowania, ale wy macie nieograniczoną liczbę wojsk i maszyny, które sieją okropne spustoszenie. To, co wieki temu zrobili magowie z Krainą Cieni, to nic w porównaniu z tym, do czego teraz jesteście zdolni. Teraz wszystko - Kraina Jasności i Kraina Mroku - stałoby się takie samo. Nastalby kres naszego ludu.

- A zatem - odparł Mark - musimy zadbać o to, by nikt nie poznał prawdy. - Potrząsnął głową. - Nie napiszę swojej książki. - Potem dodał: - Wasza Wysokość, jest tyle rzeczy, które chciałbym poznać, nawet jeśli nigdy nie wolno mi będzie opowiedzieć o nich innym. Tyle

spraw dotyczących pradawnych wieków. Thomas mówił o aniołach i demonach, a także o tym, że Bóg ustanowił waszą władzę nad ludem...

- Śmiertelny przyjacielu - odparła miękko Królowa - my, z ludu, znamy swoją historię o wiele gorzej niż wy swoją. Ludek nie ma strażników wiedzy, a my sami nie jesteśmy pierwszą, która włada, nie będziemy też ostatnią. Jesteśmy jedynie najnowszym wcieleniem tych, którzy w tej postaci przewodzą ludkowi. Nasze dni nie są niepoliczne, choć wam mogłoby się tak wydawać. Nie pamiętam czasów sprzed Ugody.

Mark był wyraźnie zdziwiony.

- Ale Thomas mówił...

- On przekłada na śmiertelny sposób myślenia to, co widzi, podobnie jak to czynią wszyscy z waszego rodzaju oprócz magów. Nie jesteśmy tacy jak wy. Kiedy ta, która pierwsza nosiła ten kształt, znikła, przejęła go inna - ta sama forma, lecz wypełniona inną treścią. Tak jak i ja objęłam ją w swoim czasie, a ktoś inny obejmie ją po mnie. Ta, która była przede mną, jest znów jednym z tych małych fruujących stworzonek. - Wskazała ręką na malutkie, proste duszki, które śmigały dookoła niej. - Albo Przewodnikiem Wędrówek. Wszystko to młode istoty, które niewiele pojmują, dopiero zaczynają rosnąć. Być może nie potrafię sprawić, że zrozumiesz. Jestem tą, której pierwszej przekazano władzę u boku mego Pana, a zarazem nie jestem. To należy do cyklu życia.

Mark rozważał to sobie przez chwilę.

- Kiedy wyczerpuje wam się energia życiowa, przychodzi ktoś następny i przejmuje waszą rolę, ktoś we wstępującym stadium energetycznym. - Zerknął na Ariela. - Tak jak on. A energia poprzednika opada do tego poziomu, od którego zaczynał, to znaczy znów staje się dzieckiem! - Mark otworzył szeroko oczy. Zwrócił się do Ariela: - Ty będziesz Błaznem!

Ariel wzruszył ramionami i z beztróskim uśmiechem odparł:

- Nie naszą jest sprawą odczytywać przyszłość. A w przeciwieństwie do was, wcale sobie nie życzymy jej znać. - Potem mrugnął porozumiewawczo, kiedy w powietrzu rozległo się czwarte uderzenie dzwonu. - Ale chyba wkrótce.

- Mniemamy, że poznałeś już więcej prawdy o nas niż nasz ukochany Thomas - zauważyła Królowa. Skinąwszy głową w stronę młodziana o imieniu Ariel, dodała: - Spodziewam się, że pewnego dnia stanie się tak, jak przewidujesz, a ja przekonam się, że on przeszedł przemianę i stał się tym, który zatracił się w Dworzyszczu Zamierzchłych Pór. Ów pozostawał niezmienny znacznie dłużej ode mnie. - Spojrzenie utkwiła w oddali, jakby pogrążona we wspomnieniach. - Myślę, że to nienawiść do waszej rasy dodawała mu energii do istnienia. - Spojrzała na Marka, a jej oczy rozjarzyły się od przepełniających ją uczuć. -

Nie, więcej już nic się nie dowiesz, człowieku. Ale zapamiętaj jedno: we wszystkim jest Tajemnica, którą wy, ludzie, nazywacie Bogiem. - Królowa rozejrzała się dookoła, a niebo zmieniło kolor, tracąc nieco ze swego nieziemskiego błękitu, który wraz z pojawieniem się Królowej wyparł dotychczasową czerń. - Nadszedł moment, kiedy musimy ruszać, żeby ten świat i nasz własny mogły pozostać w harmonii. Lud musi ruszyć na inne wzgórze na tej ziemi. Musimy uzgodnić, dokąd zmierzamy. - Zwróciwszy się do Ariela, dodała: - Ruszajmy w drogę. Musimy zdecydować, gdzie pozostaną nasze dwory przez następne sześć księżyców.

Mark dotknął ramienia Phila i wskazał na coś ręką. Phil spojrzał w tamtą stronę i zrozumiał, o co mu chodzi. Podczas gdy ludzie umazani byli od błota i deszczu, żadna z wróżek nie nosiła ani śladu wilgoci na ubraniu czy ciele. Mark oznajmił:

- Wszystkie te postacie to tylko iluzja. To naprawdę istoty z energii. Jaka szkoda, że nie mogę wiedzieć więcej! - Ogarnął go głęboki smutek na myśl o wszystkich pytaniach, które pozostaną bez odpowiedzi. Potem przypomniał sobie, że pozostało im jeszcze kilka nierozwiązanych problemów, więc rzekł: - I my także musimy się spieszyć. Nie wiem, ile pozostało nam czasu, zanim dopadną nas magowie, ale nie mam żadnych wątpliwości co do tego, co z nami zrobią.

- Obawiam się, że daje pan upust rozbudzonej skłonności do dramatyzowania, panie Blackman.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, skąd dobiegły te słowa - ku mężczyźnie, który wyszedł z cienia na ścieżkę prowadzącą od Mostu Trolla. Człowiek ten odziany był w kosztowny wigoniowy płaszcz, obsyty norkami. Nie był ani młody, ani stary - jego wiek można było oszacować zarówno na trzydzieści dziewięć jak i pięćdziesiąt dziewięć lat, trudno byłoby określić go dokładniej. Miał schludnie przystrzyżoną bródkę w eleganckim fasonie nie widywanym zbyt często od lat trzydziestych, a ręce starannie wymanikiowane. Na głowie nosił filcowy kapelusz, a w jednej ręce zakończoną złotą gałką laskę. W drugiej trzymał groźnie prezentujący się pistolet, wycelowany w Marka i Phila. Mężczyzna wykonał teraz lekki ukłon.

- Pan Hastings? - Phil przytaknął kiwnięciem głowy. - Nazywam się Anton Wycheck, panie Hastings. - Mówił z lekkim środkowoeuropejskim akcentem. - Przybyłem tu w ślad za pańskim przyjacielem, panem Blackmanem, żeby omówić z nim kilka spraw.

- Jakoś wcale mnie to nie zaskakuje, panie Wycheck - odrzekł Phil.

- Witaj, Anton - dorzucił Mark, po czym zwrócił się do Phila. - To właśnie Antona wypatrzyłem w tamtym samochodzie. Był jednym z moich gospodarzy w Niemczech.

- Było to pożałowania godne nieporozumienie, panie Blackman. Od tamtej pory

zdołaliśmy już poznać prawdę. A w świetle tego, co właśnie widzieliśmy, nie potrzebujemy nawet tamtych dowodów. - Wycheck skłonił się teraz Królowej i przemówił do niej w języku dla Phila całkowicie nierozpoznawalnym. Potem z równym szacunkiem zwrócił się do Ariela.

Phil wyczuł, że obaj jego chłopcy drżą, zwrócił się więc do Wychecka:

- Czułbym się o niebo raźniej, gdyby zechciał pan skierować ten sprzęt w inną stronę, panie Wycheck.

Mężczyzna popatrzył na pistolet, który schował następnie do kieszeni.

- Proszę o wybaczenie. Nie miałem pewności, co tutaj zastanę, więc odczuwałem potrzebę... Zapomniałem, że go trzymam. - Potem rzucił przez ramię kilka słów w innym języku, chyba w którymś ze środkowoeuropejskich, i natychmiast z cienia wyłonili się trzej mężczyźni, wszyscy odziani w levisy i czarne golfy. Dwóch z nich niosło odkrytą przez Jacka skrzynię ze złotem, trzeci zaś szaty z tajemnego pokoju oraz łopatę. Skrzynię postawiono na ziemi, natomiast szaty rozdzielono między czterech mężczyzn, którzy natychmiast je wdziali.

- Musimy się spieszyć, bracia - oznajmił Wycheck. - Wybiła północ.

Phil zerknął na Królową, która wraz z całym dworem stała w milczeniu i przyglądała się czwórce nowo przybyłych.

- Ugoda została dotrzymana - oznajmił Wycheck, zwracając się twarzą do Królowej. Zgiął się w ukłonie, po czym wyjął złotą monetę i unióś ją tak, aby wszyscy ją widzieli, następnie umieścił ją z powrotem w skrzyni. Zaraz potem jeden z pozostałych mężczyzn zaczął kopać, podczas gdy dwaj inni stali po obu stronach skrzyni.

- Ugoda została dotrzymana - odrzekła Królowa. - Dary magów są dowodem ich dobrej wiary. Wasza strona tej wiary zawsze dochowywała. Zawiniły tylko sny o dawno umarłych czasach tego, który zszedł na złą drogę. Dziękujemy wam za dochowanie wiary.

Teraz przemówił Tom.

- Stańcie tam i nie podchodźcie bliżej, albowiem wszyscy tutaj odejdziemy w jednej chwili do innego miejsca, gdzie stykają się światy wróżek i śmiertelników. Ja stoję blisko, bo udam się w podróż ze swoją Królową, ale wy nie macie podobnych życzeń. Przy tym oto pniaku będziecie bezpieczni. Żegnajcie mi. Zbliża się Poranek Wszystkich Świętych, zatem czas ruszać w drogę.

Mark zawahał się, jakby sądził, że nie zniesie tylu pytań, które pozostały bez odpowiedzi, ale w końcu kiwnął tylko głową i czekał.

Sean przytulił się mocno do ojca i spojrzał na Patricka. Jego brat wyraźnie się rozluźnił, przypominał dawnego siebie, kiedy przyglądał się spektaklowi odlotu dworu elfów. Potem przeniósł wzrok tam gdzie pozostali. Oczy wszystkich utkwione były w Królowej,



która wzniosła się w powietrze, a w sekundę po niej uczynił to także i Ariel. Wszystko stało się światłem i w jednej chwili dwie migocące kolumny energii pulsowały przed nimi w bezgłośnym rytmie. Wszystkie duszki na wzgórzu także wzbiły się w powietrze, a z lasu nadciągały następne, mknąc, skacząc i frunąc. Ich dziesiątki dołączały do tych, które już znalazły się na wzgórzu. Wszystkie rozjaśniały się nagłym blaskiem i po chwili stawały się małymi słupami energii - te małe, skrzydlate, przypominały przy tym robaczki świętojańskie, podczas gdy młodzian zwany Arielem stał się kolumną niemalże dorównującą Królowej. A wtedy znów dał się słyszeć odległy głos dzwonu z kościoła świętej Katarzyny - dziesiąty czy jedenasty raz, Phil stracił już rachubę. Wróżki zaczęły poruszać się w dziwnym, jakby rytualnym tańcu wokół tych dwóch, które były najjaśniejszym światłem. Nabierały tempa, krążąc coraz szybciej. Znowu zabrzmiał dzwon i krąg jeszcze bardziej przyśpieszył. Tuż przed ostatnim uderzeniem dał się słyszeć głos:

- Nie bierzcie tego zwyczajstwa za ostateczne, śmiertelni. Kto wie, co jeszcze może zgotować nam los?

Sean złapał ojca mocno za rękę, bo ten głos równie dobrze mógł należeć do Ariela, jak i do Świecącego Człowieka.

Wreszcie wybiła północ, a światło i wróżki zniknęły. Mimo to polankę nadal wypełniały różne dźwięki i nadal otaczała wszystkich chroniąca przed deszczem aura Królowej. Przez długą chwilę ludzie stali wśród tej wysepki ciszy, a potem zrobiło się ciemno.

Nagle zbocze wzgórza oświetlała już tylko latarka Barneya, lunął na nich deszcz i dmuchnął zimny wiatr. Potem rozległ się znowu śpiewny głos Ariela:

- Twój dług wobec mnie został spłacony, strażniku wiedzy. Oby Bóg miał cię w swojej opiece.

Z humorem, choć i z nutką żalu, Mark odpowiedział:

- Żegnaj mi, wesoły nocny wędrowcze, w rzeczy samej sprytny a łotrowski z ciebie skrzat!

Gdzieś w powietrzu nad nimi zabrzmiał kaskadą przenikliwy śmiech Ariela, potem rozpląnął się w ciszę.

- Panowie, to nie najlepsza noc na włóczenie się po lesie. Czy wolno mi zasugerować, abyśmy wrócili teraz do domu pana Hastingsa? Sądząc z tego, co widziałem, macie za sobą ciężką noc.

Zauważyli, że Wycheck i jego towarzysze pozdejmowali już swoje szaty.

- Nie przypuszczam, aby zechciał pan nam to czy owo wyjaśnić, panie Wycheck? -

rzucił Phil.

- Tylko to jedno - odparł wymuskany cudzoziemiec przyjaznym i życzliwym tonem, lecz jego oczy zachowały przy tym zimną twardość krzemienia. - Wszechświat to przepastne miejsce i niewielu z nas miało okazję uchwycić, choć przelotnie, cząstkę jego prawdziwej natury. Z tych, którym się to udało, jeszcze mniejsza liczba zdołała wyjść z takiego doświadczenia cało. Po prostu proszę wliczyć siebie i swoją rodzinę do tego bardzo wąskiego kręgu dusz, którym się poszczęściło, panie Hastings. Pozostawcie to wszystko za sobą i pozwólcie, by zbladło w waszej pamięci. Gdybyśmy kiedykolwiek - ja i moi współpracownicy - odkryli, że nadal mieszacie się do naszych spraw... będziemy zmuszeni przedsięwziąć odpowiednie środki. - To ostatnie nie zabrzmiało jak pogróżka, raczej jak proste stwierdzenie faktu. - Panie Hastings, proponuję teraz, abyśmy wrócili do pani Hastings, pańskiej córki i jej narzeczonego. Jestem pewien, że bardzo się tam o was niepokoją, a pańscy synowie wyglądają tak, jakby bardzo potrzebowali gorącej kąpieli i ciepłego łóżka. Porozmawiamy jeszcze, kiedy dotrzemy do pańskiego domu, bo zostało nam wiele spraw do omówienia. - Teraz zwrócił się do Marka: - A przy okazji, pański współpracownik, pan Thieus, oraz jego uroczą przyjaciółka także tam pana oczekują, panie Blackman.

Przyglądając się, jak jeden z towarzyszy Wychecka sypie szuflę błota na skrzynię, Phil zapytał:

- Jak wam się udało wydostać ją z posterunku policji?

Oszczędnym gestem pan Wycheck nakazał Philowi, aby ten wszedł przed nim na ścieżkę.

- Jak bez wątpienia powiedział panu pan Blackman, mamy swoje sposoby.

- Magowie?

- Swoją tożsamość wolimy zachować dla siebie - odpowiedział z uśmiechem mężczyzna. - A teraz, jeśli będzie pan łaskaw, lepiej, żebyśmy odstawili do domu tych dwóch zmęczonych chłopców.

Z tym Phil nie mógł się spierać, bo obaj bliźniacy usypiali już na stojąco. Otoczył obu ramionami, odczuwając w środku ogromną ulgę, że znów może to zrobić, a kiedy Barney odzyskał swoją latarkę, zabrał ich do domu.

Gabbie niemalże wyfrunęła przez drzwi od werandy, kiedy usłyszała wśród nocy głos ojca, a Gloria pozostawała ledwie o krok w tyle. Po obu stronach ojca dreptali Sean i Patrick, widać było, że są wyczerpani. Phil i Mark ściszym głosem omawiali to, co ich spotkało.

- Tato! - krzyknęła dziewczyna. - Są tu jacyś obcy mężczyźni z bronią... - Umilkła raptownie na widok Patricka. Gloria podbiegła i złapała obu synów, przyciskając ich gwałtownie do siebie. Nie mogła powstrzymać się od łez, kiedy tuląc ich do siebie, kołysała się do przodu i do tyłu. Po chwili Patrick odezwał się błagalnym tonem:

- Mamo, za chwilę mnie udusisz!

Phil poczuł, jak coś pęka mu w środku, i po twarzy spłynęły mu łzy. Nic innego nie mogło mu powiedzieć wyraźniej, że sprawy wracają do normy niż ta skarga, rzucona przez syna. Uświadomił sobie, jak bardzo tłumił uczucia przez ostatnich kilka tygodni, a także ile musiał znieść jego rozum podczas tej niezwykle i nieprawdopodobnej nocy. Teraz ugięły się pod nim kolana. Zwrócił się do Marka i Barneya:

- Panowie, pozwólcie, że postawię wam drinka - jeśli zgodzisz się na szkocką, Barney, bo nie mam irlandzkiej.

- Whisky to whisky, jeśli już przyjdzie co do czego, gość nie ma prawa się skarżyć na gościnność swego gospodarza. Dziękuję, zostanę. Ale to będzie ostatni, bo od jutra wracam znów do AA i jeszcze raz składam obietnicę... Chyba że jeszcze kiedyś tu wrócę. - Zerknął na Wychecka i jego towarzyszy. - Zakładam, że nie będzie obiekcji?

Mark potrząsnął głową. Dokładnie wiedział, jak czuje się Barney.

- Chodź, Phil. Należ nam wszystkim kolejkę. - Przenosząc wzrok na wymuszanego mężczyznę, dodał: - Masz ochotę się przyłączyć, Anton?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie, moi współpracownicy i ja nie zabawimy tu długo.- Lecz ruszył za nimi do domu. Pozostali trzej mężczyźni obeszlili dom dookoła, kierując się w stronę frontowego ganku. Phil zauważył, że nucą coś ściszymi głosami, coś w rodzaju rytualnej pieśni, a przez jedną chwilę wyśpiewywane słowa zdawały się w dziwny sposób przyciągać jego myśli. Skwitował wzruszeniem ramion to dość niesamowite odczucie i poprowadził wszystkich do środka.

Kiedy Phil wszedł do pokoju dziennego, zastał w nim Jacka, Gary'ego oraz jego dziewczynę Ellen, którzy siedzieli na kanapie, oraz dwóch obcych mężczyzn, tak samo jak tamci odzianych w golfy i levisy. Stali niedbale, lecz widać było, że jeszcze przed chwilą

sprawowali straż. Gary wstał i podszedł do Marka, mówiąc coś do niego pospiesznie. Phil nalał kilka drinków i zaczął rozdawać je obecnym. Gabbie przeszła do sofy, by usiąść przy Jacku, który siedział tam ze ściągniętą ponuro twarzą.

Pociągnąwszy solidny haust whisky, Phil przyglądał się, jak Gloria zwraca się do Wychecka.

- Chłopcy są zupełnie wyczerpani. Czy mogę ich wykąpać i położyć do łóżka?

- Ależ jak najbardziej, pani Hastings - odpowiedział mężczyzna z uśmiechem. - Chcielibyśmy jak najmniej przeszkadzać.

Obaj, Sean i Patrick, podeszli do ojca, żeby go uściskać na dobranoc, po czym Gloria zabrała ich na górę. Kiedy w pokoju nie było już ani jego żony, ani synów, Phil zapytał:

- A więc, co nas teraz czeka, panie Wycheck?

- No cóż, mam ochotę kupić ten dom. - Widząc, że twarz Phila zastyga w ponurą maskę, wyjął z kieszeni płaszcz czek i rzekł: - Myślę, że przekona się pan, iż nasza oferta jest więcej niż przyzwoita.

Phil zerknął na wymienioną na czeku sumę i pokiwał głową.

- To prawie dwa razy tyle, ile sam zapłaciłem.

- Nie chcemy wykorzystywać faktu, że chciałby pan jak najszybciej sprzedać ten dom. Wiem, że pan i pańska rodzina musicie szybko się przeprowadzić, jeszcze przed pierwszym styczniem. Czy będzie z tym jakiś problem?

- Nie - odparł Phil. - Czasu będzie aż nadto.

- Pewien prawnik skontaktuje się z panem w sprawie podpisania wszystkich niezbędnych papierów - mówił dalej Wycheck - ale czek, jeśli pan sobie życzy, może zostać spieniężony od razu.

Phil pokręcił głową.

- „Chciałbym sprzedać”. Podoba mi się to. Śliczny eufemizm dla wymuszenia.

- Trudno to nazwać wymuszeniem, panie Hastings. Pan naprawdę chce sprzedać ten dom. No przecież dziś rano otrzymał pan od swojego agenta wiadomość, że pańska wytwórnia chce nakręcić następną część *Gwiezdných piratów*. Bardzo nalegał, aby przyjął pan tę propozycję, ponieważ pieniądze są zbyt duże, żeby odmówić. A ponieważ Henderson Crawley już nie chce reżyserować następnego filmu z tej serii, chcą powierzyć panu także reżyserię. - Kiedy to mówił, myśli Phila wypełniły się dziwnymi echemi, jakby wszystkie te słowa wypowiadał w nich jego agent. Odczucie to mocno zbiło go z tropu, jednak ustało w chwili, gdy Wycheck przestał mówić.

- Sądziłem, że wszyscy po prostu znikniemy - wtrącił się Mark.

- Panie Blackman, dni, kiedy problemy rozwiązuje się za pomocą przemocy, nie są jeszcze, niestety, za nami, jednak tam, gdzie to możliwe, staramy się szukać także innych środków, by za ich pomocą usuwać trudności. Zniknięcie ludzi cieszących się niejaką sławą mogłoby nastęrczyć nam niepotrzebnych kłopotów. Pomijając rozgłos, jakim cieszy się pan oraz pan Hastings, co by się działo, gdyby przepadła bez wieści jedyna dziedziczka fortuny Larkerów? Nie, nie, staramy się na ogół postępować rozsądnie, tam gdzie to tylko możliwe. Ci spośród szeregów naszego bractwa, którzy wzięli udział w tej nie najszcześniejszej próbie zmiany natury naszych „ustaleń”, zostali zidentyfikowani i unieszkodliwieni. Panie Blackman, gdyby został pan z nami jeszcze jeden dzień, otrzymałby pan powrotny transport i nie musiałby pan tłuc się tymi wszystkimi niewygodnymi autobusami. Widzi pan, to właśnie August Erhardt był ostatnim szpiegiem wśród nas. Niektórzy z naszych braci uznali, że wznowienie dawnego konfliktu mogłoby dopomóc w konsolidacji naszych, już przecież i tak dość poważnych pozycji w świecie, a w konsekwencji doprowadzić nawet, kto wie, do nowego, zjednoczonego światowego porządku. Utopijny sen, który od czasu do czasu odżywa w naszych szeregach, a szczególnego uroku nabral w świetle obecnych ogólnoswiatowych napięć. Obawiam się, że to źle pojmowany idealizm. Przesłaliśmy słówko - w jaki sposób, nie potrzeba wam wiedzieć - identyfikując go jako tego, który został wysłany tu dla oczyszczenia sytuacji. Jego śmierć była sprawiedliwą nagrodą za jego działalność.

- A co z Aggie Grant? - rzucił z goryczą Mark.

- To pożałowania godny wypadek - odparł Wycheck i nie można było mu odmówić szczerości. - Ale tak jak we wszystkich wojnach - giną niewinni.

Teraz odezwał się Gary.

- No dobrze, ale jak zamyślacie to wszystko uciszyć? A te historie w szpitalu?

- Pani Grant zginęła w wypadku i tak to właśnie zostało podane do wiadomości publicznej. John Wilson, przejezdny autostopowicz z Selmy w Alabamie, którego była uprzejma podwieźć, zginął wraz z nią. Pan Wilson nie miał bliskiej rodziny. Zostanie pochowany na koszt gminy.

I tym razem słuchając go, Phil przekonał się, że słyszy w głowie dziwne echa, lecz teraz głos zdawał się należeć do doktora Lathama.

Wycheck kiwnął głową w stronę jednego z milczących, czarno odzianych mężczyzn, który podał mu gruby plik dokumentów w folderze. Ponieważ w kominku rozpalono ogień, pan Wycheck zaczął systematycznie wrzucać kolejne papiery w płomienie.

- Te akta nigdy nie istniały. Doktor Michael Bergman ze Szpitala imienia Johna

Hopkinsa łaskawie zgodził się przyjechać do Pittsville, żeby wypróbować swą eksperymentalną maszynę na ciężko chorym chłopcu z tutejszego sierocińca. Dziecko niestety zmarło, a doktor Bergman nie był w stanie mu pomóc. W pięknym geście doktor Bergman opłacił kremację zwłok dziecka, którego prochy zostaną następnie rozsypane w tym oto lesie. Dalej, podejrzewany przez policję włóczęga - ten sam, którego posądza się o napastowanie panny Hastings dwa miesiące temu - został zatrzymany i na prośbę policji poddany obserwacji psychiatrycznej. Uciekł dziś w nocy, zaatakowawszy pielęgniarkę i dwóch salowych, a następnie rozbiwszy krzesłem wadliwe okno z pancernego szkła. Policja jest w trakcie poszukiwań, ale nie uda jej się ująć go ponownie.

Phil potrząsnął głową, bo tym razem echo w jego głowie przybrało głos detektywa Matthews'a. Odparł z westchnieniem:

- Dopiął pan swego.

Wycheck rzucił w ogień ostatni z papierów. Wskazał na stojącą na podłodze walizkę.

- Te zaś dokumenty, znalezione w piwnicy, powrócą na miejsce wraz z tym, którego przyślemy, aby tu zamieszkał, panie Hastings. Do tego czasu zatrzymamy je u siebie. Jestem pewien, że pan to rozumie.

Phil kiwnął głową. Wycheck z uśmiechem uniósł laskę w geście pozdrowienia i rzekł:

- Nasze sprawy zostały pomyślnie załatwione. A więc życzę wszystkim dobrej nocy.

Dał znak mężczyznom w czerni, z których jeden podniósł z podłogi walizkę, po czym obaj wyszli. Wycheck sam także udał się do wyjścia, a Phil popatrzył na Marka. Po dłuższej chwili Mark rzucił z żalem:

- Byłaby z tego cholernie dobra książka, Phil.

- A i owszem, Mark. - Phil wybuchnął śmiechem. - Tylko kto, na miłość boską, uwierzyłby w choć jedno słowo?

Twarz Marka stawała się stopniowo coraz mniej ponura, wreszcie i on zaczął się śmiać.

- Pewnie masz rację.

Phil dosłyszał jakieś dziwne brzęczenie, więc wyteżył słuch. Brzmiało to tak, jakby na zewnątrz ktoś niezbyt głośno śpiewał. Potrząsnął głową i dźwięk umilkł. Weszła Gloria.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak ktoś wchodził! - Podeszła i pocałowała Marka w policzek. - Boże, ale się cieszę, że udało ci się wrócić cało i zdrowo. Tak długo cię nie było. Prawie dwa miesiące! - Jej twarz pozbawiona już była poprzedniego napięcia, jednak unosiła się wokół niej jakaś aura smutku. Nie widać było jednak tego nerwowego rozgorączkowania, jakie gościło na jej twarzy przez kilka ostatnich tygodni.

Mark i Phil wymienili się spojrzeniami, a Gloria mówiła dalej:

- Wiecie co, mnie też by się przydał mały drink. Taka okropna wieść o Aggie. - Zerknęła w górę. - Bliźniaki przyjęły to gorzej, niżbym się spodziewała. Obaj są po prostu wyczerpani.

Phil popatrzył na Marka, po czym obaj rozejrzeli się po pozostałych. Gary wydawał się normalny, ale Gabbie, Jack i Ellen mieli szklane spojrzenie. Wtedy Ellen potrząsnęła głową, jakby właśnie się obudziła i oznajmiła:

- To... takie smutne. Wiecie, wpadliśmy, żeby wam powiedzieć, że się pobieramy, ale teraz to wydaje się jakoś nie na miejscu.

- Myślę, że Aggie ucieszyłaby ta wiadomość - odparła Gloria.

Gary, Mark i Phil stali nieruchomo, dzieląc ze sobą tę samą myśl: oni już zaczynają zapominać. Barney siedział i pocierał głowę, jakby go bolała.

- No cóż, panie Hastings, dziękuję za drinka - odezwał się. - Myślę, że czas złożyć nowe przyrzeczenie. To picie zaczyna już dawać mi się we znaki. Czuję się tak, jakby w głowie ktoś walił mi młotem. - Sięgnął przez krzesło i podniósł z podłogi potężną latarkę. - Przepraszam za ten samochód, ale rano jeszcze raz się temu przyjrzymy.

Phil pokiwał głową, czując jednocześnie, że coś mu się wymyka. Przyłożył kciuk do czoła tuż u nasady nosa i odparł:

- W porządku, Barney, ale... Oho! Wypiliście kiedyś duszkiem coś bardzo zimnego i przeszył was potem ból w tym miejscu? - Gloria przytaknęła kiwnięciem głowy. - Auu!

- W takim razie życzę wszystkim dobrej nocy, jeśli to możliwe po tak smutnej wiadomości o pani Grant. I o tym nieszczęśniku, którego podwoziła. Szkoda, że tak marnie skończyli.

Gloria spojrzała na Phila, umazanego błotem i trawą.

- Wołałabym, żebyś zostawił ten samochód w spokoju, zamiast się pod niego wczłogiwać.

- Powiniennem był - odparł Phil - ale dowlokłem się jakoś od szkoły do Barneya i... - Przymrużył oczy i znów przycisnął kciuk do czoła. - Pomyśleliśmy, że zobaczymy, co się dzieje. Cholera, i tak bylibyśmy zmokli po drodze do domu.

- Powinieneś był zadzwonić - odrzekła Gloria tonem dezaprobaty. Przeniosła wzrok na Marka. - Sean miał na sobie tylko jedną z bluzek Gabbie, co przy tej pogodzie i tak jest nieporozumieniem. Ale potem zaplątał się w jakieś ciernie i musiał ją tam zostawić. A Patrick poszedł przebrany za Puka, jeśli potrafisz uwierzyć. W zielonych liściach przyszytych do bielizny! Jak mogłam się zgodzić na coś takiego, nigdy nie zdołam zrozumieć.

Jack siedział na kanapie, obejmując się ciasno splecionymi ramionami, z twarzą ściągniętą i pobladłą.

- Jack, nic ci nie jest? - zagadnął go Phil.

- Nie, tylko... trochę mnie ruszyła śmierć Aggie. - Gabbie przytuliła go mocno.

Kiedy usłyszeli, jak wychodzący Barney zamyka za sobą drzwi, Mark przyzwał do siebie Gary'ego.

- Oni wszyscy zapominają. Myślę, że powinniśmy porównać swoje notatki. Być może nie będziemy mogli opowiedzieć o tym nikomu innemu, ale prawo nie zabrania, żebyśmy...

Gary zrobił dziwną minę.

- Ale o czym, Mark?

- No przecież... o... - odpowiedział Mark, szukając po omacku słów, kiedy myśli zaczęły go nagle opuszczać, jakby powodowane własną wolą.

Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu, a Gloria zapytała:

- Kto to może być? - Przeszła w drugi kąt pokoju, żeby uzupełnić szklaneczki Phila i Marka.

- To pan Wycheck, człowiek, który odkupuje od nas dom. Nalegał, że chce przyjechać i zostawić czek jeszcze dziś. Mówiłem mu przez telefon... - Phil ściągnął brwi, jakby go chwycił nagły ból głowy, potem dokończył: - ...że to niepotrzebne, ale nalegał.

Mark obrócił się, chciał coś powiedzieć, lecz w myślach zerwała mu się nagła burza obrazów. Wziął głęboki wdech, bo dopadł go chwilowy zawrót głowy. Wstrząsnął się i powiedział:

- Ja... zapomniałem, co chciałem powiedzieć. - Zamrugał gwałtownie. - Co mówiłeś o tej sprzedaży domu?

Phil wzruszył ramionami.

- To wszystko potoczyło się tak szybko. Dziś rano zadzwonił mój agent. Wytwórnia chce nakręcić kolejną część *Gwiezdných piratów* i to ja mam ją reżyserować.

Gloria wręczyła mężczyznom napełnione szklaneczki.

- A w ciągu następnych dziesięciu minut zjawia się tu, nie wiadomo skąd, ten cały Wycheck i mówi, że jest zainteresowany kupnem naszej posiadłości, gdybyśmy chcieli ją sprzedać. Facet jest stuknięty. Nie uwierzysz, jaki zysk będziemy mieć z tej sprzedaży. - Usiadła na krześle, na którym przedtem siedział Barney. - A więc opowiedz nam, jak było w Niemczech? Dowiedziałeś się czegoś?

Mark wziął drinka i poczuł, że ból głowy stopniowo słabnie. Przez chwilę coś go dziwnie nękało, jakby nie mógł sobie czegoś przypomnieć, wreszcie, zirytowany, machnął na



to ręką.

- Nie, same ślepe uliczki. Chyba dam sobie już spokój z próbami dowiedzenia się, co się działo w Niemczech na przełomie wieków, kiedy wyjeżdżał stamtąd tatuś Kesslera. - Nagle jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu. - Chociaż... wpadł mi w ręce pewien mały dziwny dokument w... - przez jego twarz przewinęła się chmura, jakby starał się usilnie coś sobie przypomnieć, potem znów zniknęła - ...w Kolonii. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale papierek wydaje się oryginalny. Myślę, że będę w stanie udowodnić, że Atlantyda to naprawdę była Kreta w erze mykeńskiej. A więc jak tylko Gary i ja zlikwidujemy tutejsze mieszkanie - zakładając, że Ellen nie zabroni mi ze mną jechać - lecimy nad Morze Śródziemne.

Ellen, która do tej pory siedziała w zupełnym milczeniu, odparła teraz:

- Nie, miodowy miesiąc przy pracy mi nie przeszkadza, skoro ma upłynąć na którejś z wysp na Morzu Śródziemnym!

- Opowiedz nam o tym! - poprosiła Gloria.

Na podwórzu człowiek o nazwisku Wycheck siedział bez ruchu w samochodzie i przysłuchiwał się nikłym głosom napływającym z otwartego okna. W tym samochodzie oraz w drugim, zajmowanym przez jego współbraci, słychać było monotony śpiew starożytnych sztuk czarnoksiężskich. Uznawszy, że wszystko jest tak, jak być powinno, dał znak tym z drugiego samochodu, żeby ruszali. Potem dał identyczny znak własnemu kierowcy, a sam zaczął podkręcać szybę. Powoli, prawie bezszelestnie, samochód wycofał się z podjazdu i skręcił w szosę.

## EPILOG

### GRUDZIEŃ

Patrick i Sean brnęli przez las po drodze ze szkoły do domu. Padał lekki śnieg, który topniał w zetknięciu z ziemią. To był ich ostatni dzień w szkole. Jutro zaczynała się przerwa świąteczna, a potem mieli nie wrócić już do tutejszej szkoły. Tato sprzedał dom jakiemuś obcemu, a oni przeprowadzali się z powrotem do Kalifornii. Rodzice polecieli w listopadzie na dwa tygodnie na Zachód, a potem wrócili z wieścią, że znaleźli cudowny dom w jakimś miasteczku o nazwie Carpinteria. Gabbie twierdziła, że to niedaleko Santa Barbara. W ciągu tygodnia tato będzie mieszkał w Los Angeles, gdzie będzie pracował nad swoim nowym filmem, ale na weekendy będzie przyjeżdżał do domu.

Jack musiał załatwić jakieś sprawy w związku ze sprzedażą domu Aggie, co może trochę potrwać, jak mówili chłopcom rodzice. Gabbie i Jack będą mieszkać w domu Aggie, dopóki Jack nie skończy tej jakiejś tam obrony, a wtedy sprzeda dom i przyjadą do Kalifornii, gdzie wezmą ślub. Chłopcy dowiedzieli się ku swej radości, że koń Gabbie, Bumper, będzie trzymany w stajni ich nowego domu, dopóki Gabbie i Jack nie znajdą domu dla siebie, bo nowa posiadłość Hastingsów ma stodołę, a Gabbie powiedziała, że mogą na nim jeździć, jeśli nie będą próbować żadnych cudów, na przykład skakać przez płot. A poza tym mama wspomniała coś o tym, że na Gwiazdkę mogliby dostać własne konie.

Chłopcy bez najmniejszego wahania przeszli po Moście Trolla. Iluzja zniknęła, a wraz z nią cały strach. Przez siedem miesięcy przeszli od normalnych dziecięcych strachów do rzeczywistego koszmaru. Teraz już ciemność nie wydawała im się groźna, nie wahali się też stawić czoło temu, co nieznanemu. Przeżyli doświadczenie, które odmieniło ich dziecięce wyobrażenia o świecie, a ta zmiana sprawiła, że obaj stali się mądrzejsi, ale i bardziej smutni. Koledzy ze szkoły zdawali im się teraz mniej wariaci, jakby zajmowały ich wyłącznie głupstwa. Niemniej, działo się wiele spraw, które pozwalały im odciągnąć myśli od wydarzeń ostatnich siedmiu miesięcy.

Kiedy zbliżali się do domu, na prowadzenie wyszedł Sean. Od czasu ich wielkiej próby w święto Halloween Patrick już nie próbował dominować nad bratem. Traktowali się teraz na równi. Patrick wiedział, że ocalenie zawdzięcza bratu, ale Sean nigdy mu tego nie wypominał. Stali się sobie bliźsi niż kiedykolwiek przedtem.

Wielki Pech wiedział, że to czas ich powrotu ze szkoły, więc wybiegł im naprzeciw,

podczas gdy matka stała cierpliwie na stopniu werandy, wyczekując ich powrotu. W zimowym powietrzu rozszedł się zapach gorących ciasteczek. Obaj omietli spojrzeniem podest schodów, niemalże spodziewając się ujrzeć na nim Erniego, rozciągniętego w nasłonecznionym punkcie i emanującego właściwą kocurom pewnością, że wszystko jest jak należy. Gdyby żył, okazywałby całkowitą obojętność wobec panującego wokół zorganizowanego rozgardiaszu. Ekipa od przeprowadzek zjawi się jutro rano, a cała rodzina ma pojechać na długi weekend do Nowego Jorku. Gloria i chłopcy ruszą na zwiedzanie miasta, podczas gdy Phil w poniedziałek uda się na rozmowę z wydawcą, zanim zacznie się wydawniczy bożonarodzeniowy martwy okres. Potem ruszą w kierunku swego nowego domu i zdążą na czas, by spędzić święta z babcią O'Brien w Glendale. Dla chłopców była to nader radosna perspektywa. Sean ociągał się chwilę przy nasłonecznionym kawałku schodów, a Patrick pokiwał ze zrozumieniem głową. Jeden z tutejszych farmerów zastrzelił szopa, więc ustała hekatomba z okolicznych psów, kotów, kur i kaczek. Jednak chłopcy dobrze wiedzieli, jak zginął Ernie. Dziwiło ich, jak wszyscy dookoła mogli zapomnieć o tym, co się stało. Sean pomacał swój kamień wrózek, ten, który podarował mu Barney, i pomyślał, że może on jest przyczyną, dla której bliźniacy nadal wszystko pamiętają. Patrick pomacał swój, który znalazł po wielu dniach przeszukiwania koryta potoku. W milczeniu pokiwał głową.

„Tak, jak też myślę, że to dlatego”.

Ze stopni domu - który był ich domem przez tak krótki czas - chłopcy obejrzeni się za siebie. Stodoła, szopa, drzewa - wszystko to stało się dobrze znane, zniknęło gdzieś poczucie obcości, towarzyszące im tuż po przyjeździe, zastąpione ciepłym poczuciem, że zżyli się z tym miejscem. A teraz mają to wszystko zostawić za sobą i przenieść się gdzie indziej, gdzie znów trzeba będzie od nowa przyzwyczajać się do nowego otoczenia, nowych przyjaciół i nowych doświadczeń. Spoglądając na rosnący za stodołą las, wspominali w milczeniu swe spotkanie z inną rasą w innym świecie. Wymienili niewypowiedziane pytanie.

„Czy ich jeszcze kiedyś spotkamy?”

Potem przypomnieli sobie ostatnie słowa, wypowiedziane przez Ariela albo - nie wiadomo jak - przez Błazna: „Któż może wiedzieć, co jeszcze zgotuje nam los?”

Nie odpowiadając, chłopcy weszli po schodach. Sean szedł za Patrickiem, lecz jeszcze obejrzał się za siebie, czując nagły zimny dreszcz. Przez chwilę nie był pewien, czy czuje na sobie czyjś wpatrzony z głębi lasu wzrok, czy też to zwykła sztuczka jego wyobraźni. Nie był też pewien, czy słyszał zwykły szelest wiatru w konarach, czy też naprawdę był to nikły odgłos wysokiego, chłopięcego śmiechu, który zawisł na chwilę w powietrzu. Odpychając od siebie chwilowy niepokój, odwrócił się i wszedł do ciepłej kuchni.

*Gdyśmy zblądzili, my, cienie,*

*Rzecz się cała wraz ocali,*

*Tylko myślcie, żeście spali,*

*Gdy się snuło to marzenie\* [\* W. Szekspir, op. cit.].*